PRZEGLĄD

POWSZECHNY

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO
Ps. 148.

ROK TRZYDZIESTY CZWARTY. — TOM ~~CXXXVIII~~ 136

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1917.

KRAKÓW.
DRUK EUGENIUSZA i Dra KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.
1917.

27 Października.

Jeżeli dzień 5 listopada 1916 r. nazwaliśmy świtem nowej Polski, to dzień 27 października b. r., w którym na czele narodu stanęła Najjaśniejsza Rada Regencyjna, nazwać należy początkiem polskiego dnia roboczego. Państwo polskie to już nie ideał, nie daleka gwiazda przyświecająca tęsknocie pokoleń, ale rzeczywistość, to już rzeczywisty początek pracy narodu nad własnym domem i na samodzielny kawałek chleba. Z chwilą, gdy na widowni publicznej staje Rada Regencyjna, mająca powołać do życia Radę stanu i gabinet ministeryalny, położonym jest kamień węgielny pod budowę państwa. Regencya jest czynnikiem suwerennym, Rada stanu czynnikiem ustawodawczym, gabinet czynnikiem rządzącym; trzy te czynniki razem składają się na istotę nowożytnej władzy państwowej. Władza ta ma w tej chwili pod sobą niektóre tylko zakresy publicznego życia, istnieje jednak rękojmia mocarstw sprzymierzonych, „iż pomyślny rozwój stosunków doprowadzi do dalszego przelewania władzy rządowej w ręce polskie".

Wraz z powstaniem Rady Regencyjnej stała się rzecz w obecnej Polsce niezwykła. Przycichły na chwilę swary stronnictw, zniknęły na moment zwalczające się obozy, jedne partye w mniejszym, drugie w większym stopniu ugięły czoła przed majestatem swojej najwyższej władzy i poczuły się z nią solidarne. Do duszy narodu przemówiła doniosłość faktu. Zapewne, że akcesorya tego faktu odpowiadały psychologii polskiej, jak to np., że na czele regencyi stanęła głowa Kościoła w Królestwie Polskiem, dalszy ciąg prymasa-interrexa — albo to, że władza regencyjna

spoczęła w rękach godnych, cieszących się powszechnym mirem; istota jednak rzeczy leży w tem, iż społeczeństwo odczuło, że staje przed niem istotna władza rodzima, że po akcie 5 listopada, ogłaszającym niepodległe państwo polskie, jest to pierwsze rzeczywiste przyłożenie rękj do budowania tegoż państwa. Tymczasowa Rada Stanu, zorganizowana bezpośrednio po akcie 5 listopada, była tylko etapem, etapem co prawda w danych warunkach niezbędnym, była stadyum rzetelnie przygotowującem to, co dziś mamy. Dziś mamy początek rzeczywistej możności budowania państwa polskiego.

Możność odbudowania własnego państwa, własnego domu rodzinnego, z którym związana jest cała przeszłość — ileż to słowo budzi myśli i uczuć! Dziś społeczeństwo nasze, jak i świat cały, zanadto jest wyniszczone długoletnią wojną, zbyt znużone niecierpliwem wyczekiwaniem niepewnej przyszłości, zanadto rozbite na obozy, ażeby było zdolne dawać folgę uczuciom, choćby najwznioślejszym. Niemniej jednak to, co w tej możności budowania własnego domu, jest rzeczywistem, wartościowem, doniosłem, działać musi i działa rzeczywiście na dusze i umysły. To, że powstaje ośrodek nowego życia, że naród bezdomny zaczyna mieć ognisko domowe, że naród wydziedziczony i bezpański zaczyna raz wreszcie mieć pana i głowę, która z obowiązku jego dobrem kłopotać się musi, że raz wreszcie zjawiają się strażnicy jego praw, którzy o pełnię tych praw będą zabiegać, pod których przewodem zacznie kraj dźwigać się z gruzów i porastać w siłę — to są sprawy, które żadnego Polaka nie mogą pozostawić obojętnym. Nie mówimy już o tem, że jest to jedyna droga, ażeby w rozstrzygającej dla sprawy polskiej chwili, jaka z końcem tej strasznej wojny przyjdzie, nie być zależnym wyłącznie od łaski i niełaski obcych.

Z wielkości zadania zdaje sobie Rada Regencyjna sprawę. W orędziu jej do narodu czytamy:

„Mamy budować podwaliny pod niepodległe i potężne państwo polskie, z mocnym rządem i własną siłą zbrojną, jakich wymagają nasza przeszłość i to znaczenie, które w przyszłym układzie państw europejskich ono mieć powinno. Zdajemy sobie sprawę, że tą samą ręką budującą musimy jednocześnie ocierać łzy,

goić rany, odwracać głód i niedolę, wywołane przez obecną wojnę. Ufni w pomoc Bożą, pokładamy wiarę w skuteczność naszych usiłowań, w siłę twórczą narodu polskiego. On to w chwilach najtrudniejszych zdumiewał świat zarówno swojem męstwem, czego żywym dowodem podczas tej wojny są nasze Legiony w swoich walkach bohaterskich za polską sprawę, jak i umiejętnością powoływania do życia tych czynników państwowych, które stanowić powinny o zdrowiu i o pomyślnym rozwoju narodu. Tym czynnikom doby Konstytucyi 3 Maja, czasów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, oraz późniejszych lat nieszczęsnych, chociaż okrutne losu zrządzenie nie dało się im w całej pełni rozwinąć, zawdzięczamy, iż w stuletniej niewoli nie zatraciliśmy czystości ducha narodowego i obecnie, gdy godzina sprawiedliwości wybija, stajemy wobec całego świata, zbrojni w niewzruszone prawo do niepodległego bytu. Do tej siły twórczej całego narodu odwołujemy się w tej chwili. Wstępujemy w ślady przodków, pomni na naszą wierność Kościołowi katolickiemu, pomni też na tolerancyę, która była zawsze właściwą duchowi polskiemu. Niechaj w idei demokratycznej, która coraz głębiej przenika społeczeństwo polskie, powstanie jeden ogólny, wielki czyn współudziału w budowie państwa polskiego. Niechaj nie zrażają trudności walki, bez której tak wielkie dzieło do skutku dojść nie może, a raczej niechaj świadomość o nich zdwoi siły, by ich stało nawet na nadludzkie zmagania. Niechaj w każdej polskiej piersi zatętni gorące, nieprzeparte pragnienie dołożenia swojej cegły do silnych murów gmachu ojczystego".

Staje zatem przed nami państwo o charakterze demokratycznym, opierającym się na współudziale całego społeczeństwa, głównie zaś o charakterze katolickim, czego tak wybitnym objawem jest udział hierarchii kościelnej w regencyi. Tak ten rys, jak i cały duch orędzia wskazuje, że nowa Polska będzie ciągiem dalszym Polski dawnej, wyższem wzniesieniem dawnej tradycyi i wielkiej kultury, dalszem ogniwem w spełnieniu posłannictwa, jakie Opatrzność Polsce przeznaczyła.

W tej pierwszej wstępnej chwili nic więcej nad to, co mówi orędzie, powiedzieć nie można. Wkrótce powołaną będzie do ży-

cia Rada Stanu, która będzie wyrazem żywotnych potrzeb społeczeństwa, kierunków, idei i ideałów, to społeczeństwo przenikających — będzie powołanym rząd, który będzie miał obowiązek tym potrzebom i ideałom w miarę możności czynić zadość. Wtedy wykreśloną będzie szczegółowo przyszła droga narodowego życia, którą dziś tylko ogólnikowo Rada Regencyjna mogła oznaczyć.

Jakiemi będą przyszłe losy i drogi nowej władzy państwowej polskiej, a z nią i Polski całej, nikt dziś jeszcze przewidzieć nie może, tak, jak nikt przewidzieć nie zdoła, jakim torem potoczą się losy świata całego. Jest jasnem, że na barki regencyi spadnie zadanie ciężkie, bo te barki mają być niespożytym fundamentem, na którym dalsza przyszłość Polski ma spocząć. Zadanie tem cięższe, że to dopiero początki, że wszystko nowe, nieznane, że drogi dotąd niewytknięte, że siły rozprószone. Mimowoli w tej chwili łączą się myśli i uczucia z wymownemi słowami Arcypasterza, który od Dostojnych Regentów przysięgę odebrał:

„Niech Bóg ojców naszych darzy Was, Dostojni Panowie, duchem mądrości, rozumu, rady, umiejętności, a zarazem męstwa i bojaźni Bożej, bo napróżnobyście budowali Ojczyznę, gdyby Bóg przy pracy Waszej nie był i On jej błogosławieństwem swem nie darzył.

Niech Wam towarzyszy siła, wyrozumiałość, uznanie i posłuch kraju całego. Niech jedność, ścisłość i spoistość narodu wzrasta z dniem każdym i będzie uwieńczeniem Waszych czynów, pracy i zarządzeń.

Niech dalekiem będzie od Was zwątpienie i zniechęcenie, jeżeli spadną niesłuszne podejrzenia i krytyki złośliwe i życzę Wam, a ze mną cała Ojczyzna nasza, jak długa i szeroka, aby imiona Wasze, jako jej budowniczych, złotemi głoskami w dziejach naszych, dla zbudowania potomności, zapisane były, a czas rządów Waszych stał się jedną z najpiękniejszych kart dziejów ojczystych. I będzie tak napewno, gdy miłość Ojczyzny, tradycye głębokiej i silnej ojców naszych wiary świętej, jak gwiazda przewodnia przyświecać Wam będą i nie pozwolą w labiryncie sprzecznych poglądów, rad i opinii zboczyć z drogi właściwej.

Idźcie więc Dostojni mężowie, skuci węzłami miłości i przysięgi z Ojczyzną, z tym Łazarzem zmartwychwstającym, oswobodźcie ją z powijaków śmierci i przywróćcie jej wolność całkowitą, aby mogła po dniach ucisku i niedoli zaśpiewać pieśń wyzwolenia i hymn dziękczynny Stwórcy „Te Deum", którym ongi rozbrzmiewały stropy tej prastarej świątyni w wielkim dniu Konstytucyi Trzeciego Maja.

Idźcie! I niech Bóg dziadów i pradziadów naszych będzie z Wami i narodem całym po wszystkie wieki wieków".

Ks. J. Pawelski.

W stulecie Kościuszki.

Dzieje schyłku Rzeczypospolitej oraz początków Polski Porozbiorowej przekazały nam tylko jedną postać, która zdołała zyskać powszechną, niepodzielną cześć współczesnych i zgodną, jednolitą miłość potomnych: Tadeusza Kościuszkę. A przecież w tejże samej epoce, u boku nieraz Naczelnika siły zbrojnej narodowej, czasami i przerastając go swą rolą i znaczeniem w kraju, działali ludzie wcale niepośledniej miary. Taki Dąbrowski choćby, który aż po sam koniec swego skołatanego żywota nie wahał się brać na siebie ciężkiej odpowiedzialności przed narodem, którego nie łamało, nie zniechęcało do zaczynania na nowo najcięższe niepowodzenie. Jego prace Syzyfa, dowód niezłomnego hartu duszy, zjednały mu w końcu cześć współczesnych i potomnych, ale nie zjednały tej bezbrzeżnej miłości, jaką obdarzyli Kościuszkę. Taki ks. Józef, wyrabiający się powoli ze skromnych początków na największego wodza naszego, wodza jedynej zwycięskiej kampanii polskiej XIX. wieku (1809), rycerza — najnieszczęśniejszej — gdy to Bogu wypadło oddać honor Polaków. Uznano go w całej pełni dopiero pod koniec jego życia, po wielu, wielu momentach nieufności, a w potomności nie obdarzono tak gorącym i powszechnym umiłowaniem.

Gdzie leży źródło tej wyjątkowej, przerastającej wszystkich i wszystko popularności Kościuszki?

Nie w jego niezawodnie nadludzkości jakiejś, bo nie miał on w sobie tych groźnych prawie rysów natury, co to wywołują

równie gorące przywiązania, jak i nienawiści. Istota jego charakteru była względnie prosta i jasna i nie odbijała nazbyt ostro od ogólnego tła charakterów polskich; inaczej kult jego nie byłby nigdy tak niepodzielnym.

Na kult ten — zdaniem naszym — złożył się szereg przyczyn, większych i mniejszych, których całość dopiero wyjaśnić nam go może. Jedne z nich tkwiły w samym Kościuszce, inne zaś były i są odbiciem psychologii narodu naszego.

Uczczono go przedewszystkiem za to, że był żołnierzem swej Ojczyzny. Nic i nigdy nie może nam zasłonić tego prostego, a tak gorąco przez ojców naszych jeszcze odczuwanego faktu. Polska tych czasów z instynktu samozachowawczego budowała ołtarze sławy, oddawała swe serce jedynie swym żołnierzom. Źle to, czy dobrze, ale tak było. Kult Kościuszki nie ma nic wspólnego z jego działalnością w drugiej połowie życia, na emigracyi, gdy to siłą rzeczy wypadło mu ograniczyć się do roli moralnego wykładnika narodu. Sławę mu dała, miłość niepodzielną zapewniła jego służba jako Naczelnika siły zbrojnej w insurrekcyi w roku 1794. W drugiej połowie jego życia rola jego, uznanie, jakim go darzono, opierały się jedynie na tej przeszłości, z nich czerpały swe siły. Odczuwał to wybornie już sam Kościuszko. Gdy raz, w zetknięciu z młodym oficerem napoleońskim, Dezyderym Chłapowskim, w chwili dużego podniesienia serca ogarnął on jedną myślą swe życie, to wyrwało mu się przedewszystkiem wspomnienie chwili decydującej: ataku racławickiego.

W marzycielskiej na pozór, tkliwej prawie duszy Naczelnika istotną sprężyną była jednak pewna twardość i prosta konsekwencya żołnierska, która tłomaczy nam w dość wyraźny sposób jego umiłowania, jego zalety i wady. Kościuszko był naprzykład zdecydowanym teoretykiem republikanizmu, wychowanym na tych ideach amerykańskich, które ogarnęły później Francyę, a w jego duszy zostawiły osad wyjątkowo trwały. Był następnie twardym i konsekwentnym rzecznikiem dokonania u nas szybkiej i daleko posuniętej reformy stosunków włościańskich. Ale i te silne i trwałe jego dążenia wypływały z jednego prostego źródła: chęci wzmożenia siły obronnej swego kraju, jego żywotności bojowej. Wierzył w to,

że republikanizm amerykański, przeniesiony na grunt Polski, odrodzi siłę rycerską naszej szlachty, porwie za sobą miasta; sądził, że zmiana stosunków włościańskich powiększy dziesięciokrotnie energię wojskową narodu. Swym okiem żołnierza widział przedewszystkiem obowiązki rycerskie nowych republikanów polskich, kosynierskie — zyskanych dla Ojczyzny chłopów.

Charakterystycznym dokumentem w tym względzie są jego instrukcye, wydawane związkowym, przygotowującym powstanie roku 1794. Z wzorów amerykańskich bierze on nasampierw instrukcyę generał-majorów, mających przygotowywać ludzi, broń i zapasy w swych okręgach, oraz związki, po miastach mające ogarniać opinię kraju i przygotowywać ją do powstania. Jest w nich mowa o działaniu na lud przy pomocy urlopowanych żołnierzy i podoficerów, którzy go wdrożą do jego roli racławickiej.

Ten sposób ujmowania ideału politycznego (i socyalnego) decydował zarazem o jednym z najpiękniejszych rysów Kościuszki: o tym, że w chwili decydującej umiał on zawsze podporządkować swoje sympatye oczywistemu interesowi narodu. Przypomniano sobie o tym w roku 1831, gdy to Chłopicki, gdy Skrzynecki — zamiast służyć narodowi, jako wodzowie — usiłowali mu narzucać swoje plany pacyfikacyi, swoje pojęcia interesu polskiego, oparte na uczuciach tych, którzy byli najsłabszymi w narodzie. Republikanin Kościuszko uznał odrazu, jak żołnierz, Konstytucyę 3-go maja; w roku 1794., gdy w jego ręku spoczywała taka pełnia władzy, postawił jedno, jedyne hasło programowe: „Bić, jeszcze raz bić i pobić!“ Był wtedy tylko żołnierzem Rzeczypospolitej, myślącym o jej ratunku, przekazującym lojalnie sprawę ustroju przyszłego reprezentacyi narodowej, na którą nie był czas w chwili wojny.

Takie pojęcie służby Rzeczypospolitej, z zaparciem się nieraz swych umiłowań, z brakiem troski o swe życie, o swą opinię wojskową nawet, sprawiało, że on jedyny zdobył się na rzeczy największe, na jakie zdawało się nie stać już było Polski w epoce rozbiorów. Książę Józef Poniatowski, obejmując dowództwo w kampanii roku 1792, wyrzekł charakterystyczne słowa: „Pójdę więc na śmierć i gorzej niż na śmierć, bo na niesławę“. Skrzynecki,

gdy go naglono o śmielsze kroki wojenne, odpowiadał stale: „Ja drugich Maciejowic nie urządzę". Tych obaw, takich zastrzeżeń nie znał nigdy Kościuszko. W dwa niepełne bataliony piechoty rozpoczynał on swą insurrekcyę w Krakowie, w chwili, gdy wiele, bardzo wiele nawet rzeczy mogło zapowiadać, że całe przedsięwzięcie skończy się na drobnej ruchawce, że nawet z wojska tylko część oświadczy się za nim, gdy następnie wróg poczynił już zarządzenia ochronne i wysłał pod Kraków swe wojska. Wiara i zacięta, litewska decyzya Naczelnika stworzyły wówczas fakt, którego nikt się nie spodziewał, a którego następstwa były wprost nieobliczalne: Racławice: Dzięki temu drobnemu zwycięstwu mogła zaistnieć, mogła rozwinąć się do tak potężnych, jak na Polskę, rozmiarów insurrekcya roku 1794. Tych rzeczy naród nie mógł nigdy zapomnieć Kościuszce. Cała Polska odczuła wkrótce instynktownie, że ona sama nie byłaby nigdy zdobyła się na decyzyę, na śmiałość tego rodzaju; odczuła również, że bez tej decyzyi, w biernym poddaniu się losowi, jaki tej zgotował drugi rozbiór i przymierze z Rosyą, czekał ją ten sam koniec, co po Maciejowicach i Pradze, ale zroszony nie krwią walecznych, która wychowuje nowe pokolenia i zdobywa sobie szacunek w świecie, tylko potem niewoli i niesławy.

A zdecydowany był Kościuszko w roku 1794. przez cały czas swej służby. On nigdy nie bał się Maciejowic, nie unikał brania na siebie odpowiedzialności, jak nie unikał śmierci lub ran na polach Szczekocin i Maciejowic. Mógł się omylić nieraz, jako wódz, ale na jednej rzeczy nie zbywało mu nigdy: na inicyatywie, na niezmordowanym, ochoczym szukaniu rozstrzygnięć. Nie szedł do celu zygzakami, ale po linii prostej, wytrwale i spokojnie. Zdaje się, że w dziejach ludzkości ludzie tego rodzaju znacznie częściej prowadzą do zwycięstw, niż ludzie genialni. A jakiej to wartości były zalety, to okazały później dzieje powstania listopadowego, gdy było wyborne wojsko, były środki, a zabrakło tak bezwzględnie wodza w rodzaju Kościuszki.

Te cechy charakteru Naczelnika zbudowały Kopiec Kościuszki, na który z takim żalem do siebie zwykł był patrzeć Chłopicki. One zjednały mu już w roku 1794-tym tę miłość powszechną,

to zaufanie bezwzględne, o którym jak o fakcie niebywałym prawie u nas, wspominał zawsze w czasie walki roku 1831 jeden z weteranów insurrekcyi, generał Kazimierz Małachowski, a które sprawiło, że Maciejowice, będące same przez się drobną klęską, stały się grobem insurrekcyi. Te cechy Kościuszki były źródłem miłości, jaką obdarzali go dziadowie i ojcowie nasi i one również jedynie muszą być źródłem naszej.

Wacław Tokarz.
Profesor Wszechnicy Jagiellońskiej.

Uniwersały Kościuszki.

Uniwersał do wojska.

„TADEUSZ KOŚCIUSZKO

„Najwyższy Naczelnik Siły zbrojnej Narodowej do wojska Polskiego i Litewskiego.

„Przysięgliśmy koledzy nieraz Ojczyźnie naszej być wiernymi i daliśmy tego dowód. Dotrzymajmy jej jeszcze tej wierności i teraz, gdy przemoc, niedość mając na podziale ziemi naszej, chce nam wydrzeć oręż, a rozbrojonych na ostatnią nędzę i szyderstwo wystawić. Obróćmy go do piersi nieprzyjacielskich, wydźwignijmy Ojczyznę z niewoli, powróćmy świetność imieniowi Polaka, samowładność narodowi, zasłużmy na wdzięczność Ojczyzny i sławę drogą żołnierzowi!

„Wzywany od was, stawam na czele waszem, Koledzy! Przyniosłem życie moje dla Was! Odwaga wasza i obywatelstwo są mi rękojmią pomyślności kochanej Ojczyzny. Bądźmy jednem ciałem z obywatelami, łączmy się najściślej, łączmy serca, ręce i sposoby wszystkich ziemi naszej mieszkańców. Zdrada nam broń wytrąciła z ręki; niech Cnota znów tę broń podniesie, a wnet spadnie to ohydne jarzmo, w którem jęczymy.

„I czyż możecie znieść, Koledzy, aby was obca przemoc ze wstydem i hańbą rozpędzała? poczciwych naszych ludzi zabierała, zbrojownie nasze opanowała, a potem resztę nieszczęśliwych współziomków podług swej woli dręczyła? Nie, Koledzy! Pójdźcie za

mną! Czeka was sława i słodka pociecha być zbawcami Ojczyzny. Ja wam ręczę, iż będę się starał waszej wyrównać gorliwości.

„Nie mniemajcie, abyście winni byli posłuszeństwo tej zwierzchności, pod którą jesteście. Rząd i magistratury przez Moskali narzucone, czyż warte waszego uszanowania? Narodowi i Ojczyźnie tylko waszą wierność winniście; Ona na was woła o obronę, ja w jej imieniu moje wam przesyłam rozkazy.

„Biorę z wami, ukochani Koledzy, za hasło: Śmierć albo zwycięstwo! Ufam wam i temu narodowi, który zginąć raczej postanowił, aniżeli dłużej jęczeć w haniebnej niewoli".

Podpis: Tadeusz Kościuszko — i pieczęć z napisem w otoku: „Pieczęć Najwyższego Naczelnika siły zbrojnej narodowej — 24 marca 1794 — wolność, całość i niepodległość".

Manifest połaniecki.

Uniwersał urządzający powinności gruntowe włościan i zapewniający dla nich skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwość.

Ogłosić ludowi iż:

1. Podług prawa zostaje pod opieką rządu krajowego.

2. Że osoba wszelkiego włościanina jest wolna i że mu wolno przenieść się, gdzie chce, byleby oświadczył Komisyi Porządkowej swego województwa, gdzie się przenosi i byleby długi winne oraz podatki krajowe opłacił.

3. Że lud ma ulżenie w robociznach, tak, iż ten, który robi dni 5 lub 4 w tygodniu, ma mieć opuszczony dzień jeden. Do tego, kto robił pańszczyznę we dwoje, mają być opuszczone dni po dwoje. Kto robił pojedyńczo, mają mu dni być opuszczone pojedyńczo. Takowe opuszczenie trwać będzie przez czas insurrekcyi, póki w czasie władza prawodawcza stałego w tej mierze urządzenia nie uczyni.

4. Zwierzchności miejscowe starać się będą, aby tych, którzy zostają w wojsku Rzeczypospolitej, gospodarstwo nie upadało,

i żeby ziemia, która jest źródłem bogactw naszych, odłogiem nie leżała; do czego równie dwory, jako i gromady przykładać się powinny.

5. Od tych, którzy wezwani będą na pospolite ruszenie, póki tylko zostawać będą pod bronią, pańszczyzna przez ten czas nie będzie wyciągana, lecz dopiero rozpocznie się od powrotu ich do domu.

6. Własność posiadanego gruntu z obowiązkami, do niego przywiązanemi, podług wyżej wyrażonej ulgi, nie może być od dziedzica żadnemu włościaninowi odjęta (chyba się wprzód o to przed dozorcą miejscowym rozprawił i dowiódł, że włościanin obowiązkom swym zadość nie czyni).

7. Któryby podstarości, ekonom lub komisarz wykraczał przeciw niniejszemu urządzeniu i czyniłby jakie uciążliwości ludowi, taki ma być wzięty, przed Komisyę stawiony i do sądu kryminalnego oddany.

8. Gdyby dziedzice (czego się nie spodziewam) nakazywali lub popełniali podobne uciski, jako przeciwni celowi powstania, do odpowiedzi pociągnięci będą.

9. Wzajemnie lud wiejski, doznając sprawiedliwości i dobroci rządu, powinien gorliwie pozostałe dni pańszczyzny odbywać, zwierzchności swojej być posłusznym, gospodarstwa pilnować, role dobrze uprawiać i zasiewać. A gdy takowa ulga uczyniona jest dla włościan z pobudek ratunku Ojczyzny i właściciele przez miłość Ojczyzny chętnie ją przyjmują: przeto włościanie nie mają się wymawiać od najmów, potrzebnych dworowi za przyzwoitą zapłatą.

10. Dla łatwiejszego dopilnowania porządku i zapewnienia się o skutku tych zleceń, podzielą Komisye Porządkowe, jak jest rzeczono w ich organizacyi, województwa albo ziemie lub powiaty swoje na dozory tak, ażeby każdy dozór tysiąc, a najwięcej tysiąc dwieście gospodarzy mieszkańców obejmował. Nadadzą tym dozorom nazwiska od głównej wsi lub miasteczka, i w takim zamkną ją okręgu, żeby łatwa komunikacya być mogła.

11. W każdym dozorze wyznaczą dozorcę, człowieka zdatnego i poczciwego, który z włożonych na siebie obowiązków w or-

ganizacyi Komisyi Porządkowych będzie odbierał skargi od ludu w jego uciskach i od dworu w przypadku nieposłuszeństwa lub niesforności ludu. Powinnością jego będzie: rozsądzać spory, a gdyby strony nie były kontentne, do Komisyi Porządkowej je odsyłać.

12. Dobrodziejstwo rządu w ulżeniu ludowi ciężarów zachęcić go powinno bardziej jeszcze do pracy, do rolnictwa, do obrony Ojczyzny. Gdyby więc hultaje jacy na złe używali dobroci i sprawiedliwości rządu, odwodzili lud od pracy, buntowali przeciwko dziedzicom, odmawiali od obrony Ojczyzny, Komisye Porządkowe w swoich województwach i powiatach pilnie na to mieć będą oko i natychmiast takowych hultajów łapać rozkażą i do sądu kryminalnego oddadzą. Niemniej Komisye Porządkowe czuwać mają nad włóczęgami, którzyby w tym czasie domy porzucali i po kraju włóczyli się. Wszystkich takowych ludzi chwytać i do Wydziału Bezpieczeństwa, w każdej Komisyi będącego, oddawać trzeba, a po zrobionym egzaminie, gdy się tułaczami i próżniakami okażą, do robót publicznych używać.

13. Duchowni, najbliżsi ludu nauczyciele, powinni mu przekładać, jakie ma obowiązki dla Ojczyzny, która się prawdziwą matką względem niego okazuje. Ciż duchowni oświecać lud powinni: że pracując pilnie około roli swojej i dworskiej, równie milą czyni Ojczyźnie ofiarę, jak ten, który ją orężem od zdzierstw i rabunków żołnierstwa nieprzyjacielskiego zasłania; że pełniąc powinność względem dworów, zwłaszcza tak sfolgowaną przez niniejsze urządzenie, nic innego nie czyni, tylko winny dług wypłaca dziedzicom, od których grunta trzyma.

14. Duchowni obojga obrządków niniejsze urządzenie ogłaszać będą z ambon po kościołach i cerkwiach ciągle przez niedziel cztery; prócz tego Komisye Porządkowe z grona swego lub obywatelów gorliwych o dobro Ojczyzny wyznaczą osoby, które objeżdżać będą gromady po wsiach i parafiach i onym toż urządzenie głośno czytać z zachęceniem ich, aby wdzięczni tak wielkiego dobrodziejstwa Rzeczypospolitej, szczerą ochotą w jej obronie wypłacili się!"

Dan w obozie pod Połańcem dnia 7 maja 1794 r.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO.

Daty Kościuszkowskie.

W setną rocznicę zgonu Naczelnika narodu, streszczamy niżej działalność jego szeregiem dat odnośnych:

1746, 2 luty: Narodziny Andrzeja Tadeusza Bonawentury Kościuszki w Maraczowszczyźnie, z matki Tekli z Radomskich z ojca Ludwika Tomasza małżonków Kościuszków.

1746, 2 luty: Ksiądz Rajmund Korsak, przeor Dominikanów z Hoszczewa, chrzci niemowlę.

1765, 18 grudnia: Po ukończeniu szkoły Kościuszko wstępuje do Korpusu Kadetów, czyli szkoły Rycerskiej w Warszawie.

1766, 20 grudnia: Na mocy patentu królewskiego, awansowany na chorążego korpusu.

1768: Przy lustracyi korpusu dnia 5. maja znajduje się już na liście oficerów i pełni służbę podbrygadyera.

1769: Jako stypendysta Stanisława Augusta udaje się na dalsze studya w zakresie inżynieryi wojskowej do Francyi.

1774: Wraca do kraju jako skończony inżynier wojskowy i artylerzysta.

1775, 21 kwietnia: Wyznaje afekt swój Ludwice Sosnowskiej, w majętności jej ojca, Sosnowicy, a zrażony odmową Sosnowskiego, postanawia kraj opuścić.

1775: Na galarze płynie do Gdańska, stamtąd udaje się do Francyi.

1776: Opuszcza Francyę, udaje się za ocean, do Filadelfii,

aby tam wstąpić do szeregów wojskowych i walczyć o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

1776: Z polecenia ataku, przedstawia plan ufortyfikowania Billinsportu, zabezpieczającego miasto od ataku floty angielskiej przez odgrodzenie rzeki Delaware.

1776: Kongres, uznając niepospolite zdolności Kościuszki, mianuje go inżynierem w służbie Stanów Zjednoczonych, z rangą pułkownika i pensyą 60 dolarów miesięcznie.

1777: Kościuszko fortyfikuje wzgórza pod Saratogą, a plany jego zyskują ogólne uznanie. Waszyngton, zachwycony, nadmienia: „Twórca ich jest mężem głębokiej nauki i wyższych zalet!“

1778: Mianowany komendantem armii północnej, dokonywa świetnej fortyfikacyi kraju wyżyn Highlands.

1782, 14 grudnia: Wkracza z wojskiem do Charlestown.

1783, 13 października: Kongres mianuje go generał-brygadyerem i wyraża głębokie uznanie dla jego długich, wiernych i niepospolitej miary zasług.

1783: Otrzymuje order Cyncynnata.

1784: W pełni sławy, obdarzony zaszczytami, wraca do kraju rodzinnego.

1789: Stanisław August mianuje go podczas sesyi sejmowej generał-majorem wojsk koronnych.

1792, maj—czerwiec: Odkomenderowany do armii ukraińskiej, dowodzonej przez Józefa ks. Poniatowskiego, uczestniczy w kampanii polsko-rosyjskiej; Stanisław August, w nagrodę męstwa i „szczególnej roztropności“, obdarza go nowoustanowionym Krzyżem Zasługi Wojskowej (Virtuti Militari).

1792, 8 lipca: Okazuje niepospolitą znajomość sztuki wojennej, przeprowadzając szczęśliwie przez Bug cofającą się armię polską.

1792, 17 lipca: Bitwa pod Dubienką. Rosyanie gwałtownie nacierają kilkakroć silniejszemi wojskami, — mimo to Kościuszko cofa się we wzorowym porządku.

1792 — nieco później: Stanisław August wynagradza znakomite zasługi Kościuszki, awansując go na generał-lejtenanta i mianując szefem 4 regimentu buławy polnej koronnej.

1792, 30 lipca: Oburzony przystąpieniem króla do Targowicy i nagłą zmianą polityki jego względem Rosyi, Kościuszko w obozie pod Sieciechowem podaje się do dymisyi.

1792, 26 sierpnia: Paryskie „Assemblée Législative“ (Zgromadzenie Prawodawcze), na wniosek żyrondysty Goudeta, obdarza Kościuszkę godnością „obywatela Francyi“ i umieszcza go na liście „najznakomitszych mężów stanu“.

1792, 17 października: Boleśnie dotknięty w uczuciach patryotycznych przewagą wpływów moskiewskich, opuszcza Warszawę i udaje się do Galicyi.

1792, 5 grudnia: Przebywając w Zamościu, już należącym do Austryi, otrzymuje rozkaz generała austryackiego Wurmsera, motywowany poleceniem z Wiednia, opuszczenia granic Austryi w ciągu 12 godzin.

1792, grudzień: Przybywa do Lipska.

1793: Jedzie do Paryża, gdzie go rząd tamtejszy przyjmuje z wyróżniającą uprzejmością. Zabawiwszy kilka miesięcy, wraca do Lipska, tam bowiem patryoci układają plan powstania, jednomyślnie powołując go na najwyższego naczelnika siły zbrojnej narodu.

1794, 23 marca: Przybywa do Krakowa.

1794, 24 marca: Na Rynku krakowskim, obok ratusza, wobec niezliczonych tłumów ludu i wojska, składa przysięgę narodowi, poczem ogłasza manifest, wzywający wszystkich obywateli kraju na ratunek Ojczyzny.

1794, 1 kwietnia: Na czele dwu batalionów wyrusza z Krakowa.

1794, 4 kwietnia: Stacza zwycięską bitwę pod Racławicami.

1794, 7 maja: W obozie pod Połańcem ogłasza uniwersał w sprawie nadania praw wolnościowych ludowi wiejskiemu.

1794, 6 czerwca: W bitwie pod Szczekocinami (Rawką) z wojskiem rosyjskim i pruskim ponosi klęskę.

1794, 7 czerwca: W obozie pod Małagoszczem ogłasza uniwersał o pospolitym ruszeniu.

1794, lipiec i sierpień: Kieruje zdala obroną Warszawy, poleca wznosić fortyfikacye.

1794, wrzesień: Po ustąpieniu nieprzyjaciela wkracza do Warszawy.

1794, 10 października: Bitwa pod Maciejowicami. Kościuszko śmiertelnie ranny dostaje się do niewoli rosyjskiej.

1794, 10 grudnia: Wraz z Niemcewiczem i Fiszerem przewieziony do Petersburga i osadzony w twierdzy Pietropawłowskiej.

1796, 19 grudnia: Opuszcza Petersburg, przez Finlandyę udaje się do Szwecyi.

1797, 13 stycznia: Przybywa na wyspę Elherö.

1797, 27 stycznia: Przybywa do Sztokholmu, gdzie doznaje entuzyastycznego przyjęcia.

1797, 28 lutego: Udaje się do Gotersburga.

1797, 16 maja: Dąży do Anglii, gdzie go naród z wielką czcią przyjmuje.

1797, 18 sierpnia: Na okręcie „Adriane" przybywa do Filadelfii, witany radosnymi okrzykami przez całą ludność.

1798, 5 maja: Wręcza swój testament własnoręczny prezydentowi Jeffersonowi; testamentem owym całą swą własność w Stanach Zjednoczonych przeznacza na wykup Murzynów i obdarowanie ich wolnością.

1798, 6 maja: Otrzymawszy wiadomość o sukcesach legionów polskich, opuszcza Amerykę i dąży do Europy.

1798, 28 czerwca: Staje w Bayonnie, a stamtąd spieszy do Paryża.

1815, 15 maja: W Brunau otrzymuje posłuchanie u cara Aleksandra I.

1815, 15 maja: Przybywa do Wiednia.

1815, 23 czerwca: Boleśnie zrażony niepowodzeniem w sprawach Ojczyzny, udaje się na stały pobyt do Solury w Szwajcaryi i tam zamieszkuje w domu Franciszka Zeltnera, b. prefekta kantonu Solury.

1817, 15 października: Umarł w Solurze o godz. 10 wieczorem. *M. dz.*

Istota wielkości Tadeusza Kościuszki.

Splata się życie Kościuszki w zupełności z życiem narodu, tak, iż myśl przechodzi nieustannie z jego osoby na Polskę i nieraz niewiadomo doprawdy, gdzie pociągnąć granicę pomiędzy sprawami osoby jego, a jego i naszego narodu; dlatego on taki „nasz". Nie było między współczesnemi sprawami polskiemi takiej, którejby nie dotykała jego biografia w jakimś stopniu, mniejszym lub większym. Był to żywot rozpięty nietylko na tle życia publicznego, jak tyle żywotów sławnych mężów, ale wprost wpleciony w byt narodu, bo nie jednego tylko pokolenia. Ciekawem i pouczającem byłoby przeprowadzenie pod tym względem analogii pomiędzy stanowiskiem Mickiewicza a Kościuszki w ekonomice naszego życia narodowego; ale może obie te biografie nie są jeszcze dostatecznie zbadane i opracowane, iżby mogły służyć za tworzywo do rozwiązywania takich zagadnień psychologiczno-społecznych.

Po benedyktyńskiej, a głębokiej analizie żywota Kościuszki (przez Korzona) kolej na syntezę, i arcydziwna to rzecz, że nasz świat naukowy nie próbował tego. Może uwagi niniejszej rozprawki wyjaśnią trochę tę zagadkę.

Kwestyę biograficzną Tadeusza Kościuszki streścić można w jednem zdaniu: Czy był tylko przezacnym, czy też przy zacności i wielkim zarazem człowiekiem?

Współcześni rozstrzygnęli tę kwestyę, z rzadkimi wyjątkami, na rzecz wielkości. Świadczą o tem wszystkie najstarsze biografie, a w ostatniej z pisanych przez osobistego i naocznego świadka (generał Paszkowski) znajdujemy wprost zestawienie Kościuszki z Napoleonem, ujęte głęboko, a wyrażone wspaniale.

Ze współczesnych pięciu tylko ludzi miało wątpliwości co do wielkości, a nawet co do umysłowej wyższości Naczelnika: generał Poniński, generał Zajączek, Katarzyna II., Wielki książę Konstanty i Napoleon sam.

Zajączek był typem karyerowicza. Kiedy książę Józef wystąpił w styczniu 1807 z memoryałem do Napoleona w sprawie ogłoszenia Królestwa Polskiego i przywołania Kościuszki, Zajączek, kandydat do wszelkich zaszczytów i do wszelkiej władzy, wyprawił od siebie kontrmemoryał, w którym wywraca na nice rozmaite argumenty Poniatowskiego i poucza Napoleona, że Kościuszko jest tylko „kreaturą i agentem Czartoryskich", że należy całą tę kompanię „stale trzymać pod dozorem" i nie dopuszczać do żadnych urzędów. O urzędy chodziło Zajączkowi. Jeżeli Napoleonowi potrzebny ktoś, któryby był w Polsce ponad Dąbrowskiego, ponad Poniatowskiego, może jaki wicekról — toć pocóż Kościuszko, skoro jest od tego... Józef Zajączek (który potem tak służył za podnóżek Konstantemu).

Katarzyna nie poznała się na wielkości duszy swego więźnia. Gdzieżby kryteryum w jej umyśle? Nie szanowała caryca Kościuszki, boć ona nie szanowała nikogo ani niczego na świecie. Dla Katarzyny chytrość z wyzyskiem była najwyższą mądrością. Kościuszko, nie chcąc brać sobie przykładu z „mądrości" takiego np. Ksawerego Branickiego, był „głupcem w całej rozciągłości tego wyrazu". Innym razem przedrwiwa sobie z niego, że jest „łagodny, jak baranek"... Absolutnie nie była zdolna zrozumieć go, a cała jej „wielkość" jest zaś tego rodzaju, iż zdanie jej doprawdy nie może wchodzić tu w rachubę.

Aleksander I. i Konstanty dali Kościuszce w r. 1814 w Paryżu powóz dworski do dyspozycyi, a na balu u księżnej Jabłonowskiej prowadzili Kościuszkę przez tłum gości, wziąwszy go pod ramiona i wołając: „miejsca, miejsca, oto wielki człowiek" —

lecz w połowie następnego roku zmieniło się zdanie dynastów rosyjskich, a Konstanty rozpowiadał, że Kościuszko „zdziecinniały starzec", plecie „jakieś niedorzeczności o całej niepodległej Polsce". Sądy „człowieka-potwora" przytacza się też tylko dla zupełności.

Ale Napoleon? Stwierdźmyż, że osobiście nie znał go wcale, ani nie miał sposobności poznać z działalności, „przy robocie". W r. 1806 chciał użyć Kościuszki do swoich celów, ale ten odmówił. Napoleon wjechał tryumfalnie do Poznania, w Warszawie rządził Murat, ale też tenże Murat pisze do cesarza 28. listopada 1806: „Wołają Kościuszki wielkim głosem; jego imię jest we czci całego kraju, on posiada zaufanie powszechne". Kościuszko podał swoje warunki na piśmie 22. stycznia 1807 (granice z r. 1772), a odpowiedź Napoleona, do ministra policyi Fouchégo adresowana, brzmiała brutalnie odmownie, z uwagą następującą:

„Nie przywiązuję żadnego znaczenia do Kościuszki; nie używa on wcale tego poważania w kraju, jak sobie wyobraża.. Zresztą postępowanie jego dowodzi, że jest poprostu głupcem (un sot). Trzeba mu więc pozwolić, niech robi, co chce, nie dbając wcale o niego".

Każdy wyraz tego listu jest dowodem, że Napoleon nie oryentował się w Polsce i błądził. Mniemanie o mniejszym stopniu „poważania w kraju", pochodzi z memoryału Zajączka, a nietrudno byłoby wykazać, że wiele późniejszych błędów w sprawach wschodniej Europy z tego samego wywodzi się źródła: z polegania na Zajączku. Faktem jest, że jeszcze w 1815 r. przywiązywano ogromną wagę do opinii Kościuszki. Nieprawdą też było, jakoby Napoleon nie przywiązywał znaczenia do jego decyzyi i pisał nieprawdę, jakoby mu pozwalał robić, co chce. Kościuszko został faktycznie internowany w Berville; odmówiono mu paszportu do Szwajcaryi. Stawianie warunków i rodzaj ich stanowiły dla Napoleona dowód głupoty; chciał przez to powiedzieć, że uważałby siebie za głupca, gdyby z Kościuszką o warunkach dyskutował. Niedaleka przyszłość miała okazać, że w tym wypadku poglądy Napoleona na rozum a głupotę polityczną były zupełnie opaczne i mylne. Te dane polityczne, które m u s i a ł y następnie sprowa-

dzić upadek Napoleona, wyrosły z obojętności jego względem przywrócenia niepodległości c a ł e j Polsce. Pokazało się w końcu, kto tu okazał brak mądrości.

Zostaje Poniński młodszy. Krwią własną rehabilitował nazwisko rodzinne, splamione przez ojca w czasie pierwszego rozbioru. Zgłosił się do Kościuszki na ochotnika, pod Szczekocinami odniósł ranę. Był to wojskowy starej daty, bez nauki; został generałem, bo się rodził w bogactwie, a został przyjęty do insurrekcyi chętnie, bo wyższych oficerów wogóle nie było nadmiaru. Sprawia wrażenie człowieka upośledzonego od przyrody na umyśle, jakiegoś niedorozwoju; złożył tego dowody w swej służbie wojennej..

Podczas oblężenia Warszawy miał przełamać linię wojsk rosyjskich od strony Wilanowa i Piaseczna. Sam się na to ofiarował — ale takim był niezdarą, że nawet nie zebrał informacyj topograficznych, ani przewodników nie wziął, lecz nie rekognoskując całkiem miejsc, szedł na ślepo; zaplątał się wśród ciemnej nocy w las, chybił kierunku, trafił na bateryę i piechotę rosyjską, i straciwszy około setki ludzi, cofać się musiał w najgorszym nieporządku.

Drugim razem okazał się szkodliwym, kiedy chodziło o to, żeby nie dopuścić połączenia się armij Suwarowa i Fersena; można było bowiem liczyć na powodzenie o tyle tylko, o ile udałoby się rozprawić z każdą z tych armij z osobna. Kazał tedy Naczelnik Ponińskiemu połączyć się z korpusem Karola Sierakowskiego, do którego sam dojechał konno do Okrzei w dniu 6. października 1794, pędząc wraz z Niemcewiczem szalonym galopem od godziny 5. rano do 5. wieczorem. Dojechawszy, zastaje tam wprawdzie Ponińskiego, ale dowiaduje się, że ani jednym strzałem nie próbował nawet spłoszyć Fersena, który pod jego okiem stawiał sobie najspokojniej most na Wiśle pod Kozienicami, podczas gdy Poniński cyngla nie ruszył, a Kościuszce z rozbrajającą naiwnością tępego umysłu oświadczył, że stoi pod Kozienicami, bo „czeka na rozkazy".

Pod Maciejowicami wiadomy jego czyn, jak bitwa musiała zostać przegraną dla braku rezerw, które on miał przyprowadzić,

a na które czekano napróżno pełnych sześć godzin. Poniński poszedł sobie w całkiem innym kierunku, niż miał rozkaz, a chociaż słyszał podczas marszu strzelaninę ostrą, nie kierował się jednak według huku dział i przybył pod Maciejowice w dwie godziny po bitwie.

Otóż ten Poniński przyjeżdża w r. 1803 do Paryża, ażeby zażądać od Kościuszki poświadczenia niewinności, gdyż w dziele historycznem Ségura zarzucono mu zdradę. W obszernym wywodzie, nadesłanym Kościuszce, wchodzi w szczegóły natury wojskowej, robiąc to w taki sposób, że Paszkowski (sam oficer i potem generał Napoleoński) pisze o tem: „Zdaje się, iż sen opowiada, albo dalekie jakie wieści, nie bywszy sam blisko, ani w miejscu czynności". Były tam bowiem takie nonsensa, jak pomylenie Bugu za Wieprz, przesunięcie bitwy pod Brześciem o dwa tygodnie, zdwajanie odległości miejsc; i takie braki, jak niewymienienie żadnego miejsca, gdzie sam stanął, ani dnia, w którym był u Naczelnika — słowem był to wojskowy nonsens. Generał, który bywszy w kampanii, pomylić potrafił Bug za Wieprz, był chyba upośledzonym na umyśle; inaczej tego nikt nie wytłumaczy.

Ten tedy Poniński w drugim liście odzywa się do Kościuszki prostacko, miota się, zwala na niego „wszystkie nasze nieszczęścia", zarzuca mu „słabość charakteru" i „niedorzeczność", a nawet tchórzostwo. W tym wypadku nie będziemy już tracić miejsca na żadne argumenty, tylko zwrócimy uwagę, że zazwyczaj każdy wielki mąż miewa swego... Ponińskiego, a czasem i w liczbie mnogiej, Ponińskich.

Tak przedstawiała się kwestya wielkości Kościuszki współczesnym. Potomni, pisarze rozmaitych narodowości, współzawodniczyli w doborze wyrazów, ażeby oddać należycie cześć i podziw. Były próby żywotopisu krytycznego, o ile dawało się to wykonać przy ówczesnym stanie źródeł (Siemieński), i Kościuszko z każdej takiej próby wychodził jeszcze większym. Nareszcie w r. 1894 Korzon dokonał swej pomnikowej zaiste analizy, a o ile wdaje się w syntezę, dochodzi do wyników wprost superlatywnych. Podpisany próbował syntezy w r. 1916, ale wpierw przerobiłem cały materyał na nowo, analizując długo każdy najdrobniejszy

szczegół [1]) i powiem otwarcie, że nabrałem najmocniejszego przekonania, jako brakuje słów stosownych w języku ludzkim, ażeby należycie wyrazić wielkość Kościuszki. Nawet nie wyobrażałem sobie, że zajmowanie się jego życiem może wprawiać tak w zachwyt i gdym doszedł do końca książki swojej, czułem, że pisaniem tej biografii dostąpiłem nietylko zaszczytu, ale wprost szczęścia. Czcigodny Nestor naszego cechu historycznego miał stokrotnie słuszność. A jednak w „cechu" zdanie Korzona nie liczy wielu zwolenników. Uznaje się w kołach naukowych zacność Kościuszki, ale ma się wątpliwości co do jego zdolności. Czci się w nim symbol Sprawy, czci się Polskę w jego osobie, lecz jego samego uważa się za najzacniejszego człowieka, o przeciętnej wcale intelligencyi.

Należy wytoczyć tę rzecz na światło, bo dyskusya może być nadzwyczaj pożyteczną nietylko dla tematu naukowego, który przez rozmaitych badaczów zostałby wielostronniej oświetlony, a może nawet przez kogo na nowo odmiennie ujęty, a w każdym razie zyskałby na szczegółowem dalszem opracowaniu — ale co najważniejsza, wszedłby na porządek roztrząsań naukowych jeden z kardynalnych problemów kultury: p r o b l e m w i e l k o ś c i. Filozofia polska, socyologia, historyozofia, zyskałyby karmę godną europejskiego widnokręgu naukowego. Problemu wielkości nie badano jeszcze nigdzie. Nuże, czemuż polska nauka nie ma się nim zająć? Więc niech ścierają się zdania o Kościuszkę, bo gdy się walczy myślą o rzeczy wielkie, natenczas bez względu na wynik ostateczny: s i c i t u r a d a s t r a, a to, potrzebne zawsze, dziś szczególniej nam byłoby przydatne. Społeczeństwo winno być sposobne do spraw wielkich, przywykłe do nich i w ć w i c z o n e w n i e. Takiem jest zadanie społeczne Nauki i Sztuki, taki stosunek kultu Prawdy i Piękna do całokształtu kultury.

Dla dwóch przyczyn stają się możliwemi powątpiewania co do wielkości Kościuszki. Pierwszą stanowi pewna niedojrzałość krytyki polskiej, a więc i gorliwość okazywana w sposób

[1]) Tadeusz Kościuszko. Na setną rocznicę zgonu Naczelnika, życie, czyny, duch, — opisał Feliks Koneczny. Poznań, u Karola Rzepeckiego, 1917, w 4-ce, str. 392, ze 116 illustracyami.

niewłaściwy, nie w swoim czasie, nie na swojem miejscu i niestosowną metodą, jak-to zawsze przytrafia się przy niedojrzałości.

W języku potocznym rozumie się przez krytykę zazwyczaj naganę. Skrytykować: znaczy zganić. U nas procent osób, posiadających wykształcenie naukowe, jest jeszcze tak minimalny, że to naiwne, nienaukowe pojmowanie krytyki musi być rozpanoszone, nadawać pewną cechę naszej umysłowości, a w ostatecznej konsekwencyi, jakby zamykając błędne koło tej sprawy, udzielać się uczonym. Trudno wyobrazić sobie, żeby ogólny stan umysłów danego kraju mógł nie oddziaływać na sposób ujmowania problemów naukowych; toteż dlatego nawet nauka miewa zabarwienia narodowe (przyczem nie mam zgoła na myśli szowinizmu, dla nauki zabójczego).

Cechą naszej umysłowości jest pessymistyczna apryoryczność krytycyzmu naukowego. My aparatem krytycznym nie umiemy władać, i w związku z tem boimy się ciągle, czy nie jesteśmy sami wobec siebie za mało krytycznymi. Z powodu szczególnych naszych okoliczności zachodziła u nas częściej, niż gdzieindziej, potrzeba obalenia pewnej tradycyi; krytyka musiała nam otwierać oczy na niejedno, co w istocie rzeczy było zgoła odmiennem, niż powszechnie sądzono. Utarło się tedy wśród powszechnej niekrytyczności, jakoby nie było krytycznego poglądu na sprawę, póki nie nastąpi rozbrat z tradycyą — a stąd u talentów miernych, a dbałych, żeby wydać się umysłami krytycznymi, straszliwa gorliwość do obalenia tradycyi. Wystąpiło istne maniactwo, żeby koniecznie dojść do wyników negatywnych, pod grozą zarzutu, że się nie jest poważnym pracownikiem naukowym, że się niema metody naukowej. Jestto niekrytyczne stosowanie metod krytycznych [1]).

Ta negatywna apryoryczność daje się we znaki w kwestyi Kościuszki. Ktoś zwróci tedy uwagę, że Kościuszko taki, jakiego

[1]) Toteż w swych „Dziejach Polski za Piastów“ (1902) i „Dziejach Polski za Jagiellonów“ (1903) pozwoliłem sobie odbiedz w wielu punktach od interpretacyi, uważanej wówczas niemal za obowiązkową, czyniąc to na podstawie własnych studyów źródłowych. Byłem wówczas izolowany co do pojmowania przeszłości narodowej.

czcimy, to symbol, a było to rzeczą niemal przygodną, z kogo tradycya symbol zrobi — Kościuszko zaś rzeczywisty m u s i o c z y w i ś c i e pozostać bardzo daleko poza idealną doskonałością symbolu. Zresztą przyjęła się zasada, że polityka i wodza należy osądzać „według powodzenia", a Kościuszko wojnę przegrał; wyszedł więc na arcypoczciwego człowieka, ale z głową nieszczególną, boć inaczej byłby musiał wygrać. Księga Korzona sprawiła srogi z a w ó d. Jakto?! Tyle aparatu naukowego poto, żeby pisać „panegiryk"? Wiem, że właśnie dzięki swemu „Kościuszce" stracił Korzon ogromnie na naukowej estymie. Zawisła nad polskim światem naukowym formalna żądza, żeby obniżać, okrawać; wydawało się to obowiązkiem wobec nauki. Dziś jeszcze ten Naczelnik, którego uwielbiają wszyscy pisarze, którzy przerobili, dawniej czy dziś, c a ł ą jego biografię wszechstronnie, kompletnie, — uważany bywa przez takich, którzy tylko trochę otarli się o temat żywota Kościuszki, a więc przez wszystkich niemal, za... „Kościuszkę dla dzieci".

Uważający za konieczność naukową, żeby okroić coś z wielkości Kościuszki w imię krytyki, odznaczają się dziwną łatwowiernością tam, gdzie właśnie krytyczność byłaby najbardziej na miejscu. Panuje jakaś słabość względem sztuczności sytuacyj, łatwowierność co do epizodów napuszysto-teatralnych, jakkolwiek tak sprzecznych z charakterem Naczelnika. I tak powtarza się ciągle jeszcze, jakoby osobiste zetknięcie się z królem zawdzięczał młody Kościuszko awanturze, którą jako młokos urządzić miał wojewodzie podlaskiemu, i to o... tańce. Nie wystarcza „hypoteza", że król kazał sobie przedstawić swoich stypendystów!

Podobnież cytuje się epizod teatralny z opowiadań Prozora, jak Kościuszko nie chciał stanąć na czele insurrekcyi, lecz gdy poproszono go o to na klęczkach, przystał, robiąc niejako ofiarę ze swego przeświadczenia o szkodliwości przedwczesnego wybuchu. Miało to być „w Dreźnie" (a może w Lipsku?!) w r. 1793. Wiemy zaś ze źródeł, że Kościuszko już pod koniec roku 1792 układał plany insurrekcyi i zdecydowany był dać inicyatywę.

Najprzykrzejszym objawem łatwowierności względem tradycyi, gdy ona niema właśnie żadnego poważnego punktu opar-

cia w źródłach, jest pokutująco wciąż „historya cała“ o romansie z Ludwiką Sosnowską, historya, oparta na jej własnym liście, ułożonym w 16 lat później [1]), kiedy Kościuszko był sławnym już człowiekiem. Nawet kursuje wciąż jeszcze wymysł o zamiarze wykradzenia panny! Nic to, że istnieje własnoręczny list Kościuszki (z Niemirowa w sierpniu 1791, do Żurowskiego, ojca „Teklusi“), w którym wyraża się o tej plotce z najwyższem oburzeniem: „cała krew we mnie zlodowaciała“. Widocznie łatwiej posądzić Kościuszkę o kłamstwo, niż przeciwić się „tradycyi“, gdzie ona... nie dodaje wielkości bohaterowi; występuje się do walki z nią tam tylko, gdzie ona przeszkadza do umniejszenia bohatera.

I otrzymujemy Kościuszkę „rzeczywistego“: awanturnika czupurnego i płochego lekkoducha, spekulanta przytem, bałamucącego poważne panny, kiedy sam nie miał nic, prócz długów (rok 1775), ze specyalnością do wykradania panien; na lata męskie zrobił się wyniośle pysznym, przybierał rolę męża opatrznościowego, dającego się ubłagać na klęczkach; na starość był „zdziecinniały“. A cóż-to za naród, dobierający sobie takiego na „symbol“?!

Oprócz negatywnej apryoryczności naszego krytycyzmu jest atoli druga jeszcze przyczyna, dla której stają się możliwemi powątpiewania o wielkości umysłu Kościuszki. Materyał biograficzny do życia Naczelnika jest ciągle jeszcze tak niekompletny, iż pozwala to każdemu wołać: Czekajmy na syntezę, aż skompletują się źródła!

A jeżeli się nie skompletują? Czyż nauka nie zna sposobów, żeby i przy małym zasobie źródeł bezpośrednich otrzymać wyniki naukowe?

Biografia Kościuszki wykazuje ciągle jeszcze znaczne luki. Młodość bohatera trzeba odtwarzać ze skąpych źródeł z taką usilnością kombinacyi wszelkich metod, jak gdyby chodziło o mozajkową robotę w zakresie najskąpszych źródeł średniowiecznych; z całym szeregiem miejsc w tej biografii da sobie radę doprawdy tylko przywykły do najżmudniejszych zestawień ułamków źródeł

[1]) Poza tem są tylko jakieś „kozacze źródła“, podejrzane ogromnie o sztuczne pochodzenie.

medicaevista. Tak jest do 15-go roku życia bohatera, a potem przez przeszło pięć lat nic a nic, ani literki o nim nie posiadamy.

Lata 1760—1765, tak ważne lata w wychowaniu młodzieńca, od 15 do 19 roku życia, nie wyjaśnione żadną wskazówką bezpośrednią, ani też pośrednią choćby, ale współczesną; musimy odtwarzać je sobie z faktów lat następnych metodą wsteczną. Np. widząc, że przyjęto go do szkoły kadeckiej, do której w ó w c z a s (bo przechodziła przez trzykrotne zmiany ta szkoła) wymagano znacznie wyższego przygotowania, niż wyniósł je był ze szkoły lubieszowskiej, wnosimy stąd, że uczył się w domu i pracował dalej nad sobą — ale też poprzestać jesteśmy zniewoleni na tak ogólnikowym wniosku. Z pobytu w szkole kadeckiej, od grudnia 1765 do lata 1768 posiadamy zaledwie skąpe ułamkowe wiadomości, bo też wogóle o całej tej pierwotnej szkole rycerskiej nie wiemy niemal nic; to, co się pisuje o wychowaniu w szkole kadeckiej, Kościuszki nie tyczy, bo odnosi się do drugiej i trzeciej organizacyi szkoły. Np. słynny „katechizm rycerski" powstał, kiedy Kościuszko wracał z Ameryki.

Następuje pierwszy wyjazd za granicę i od końca 1769 r. do 1774 roku znowu skazani jesteśmy na metodę wsteczną, na wnioskowanie z pewnych faktów późniejszych. Źródło bezpośrednie, odkryte przez p. Dżwonkowskiego, poucza nas, że Kościuszko bawił nietylko w samym Paryżu i że brał lekcye malarstwa. Oto w s z y s t k o, co wiedzieć da się o tych latach wprost ze źródeł równoczesnych. Na innem miejscu niniejszej rozprawki zwracam uwagę na okoliczność, że taki stan źródeł może obałamucić badacza, zwłaszcza, gdy nie zna dokładniej całości przedmiotu.

Prawym symbolem stanu źródeł i badań jest tablica pamiątkowa, umieszczona w Krakowie na domu w Rynku Głównym, przy Linii A—B pod l. 45, jakoby w tym domu mieszkał był Tadeusz Kościuszko w r. 1774. Nieprawda! Był w Krakowie dopiero o rok później, w r. 1775. Tym razem wiemy to ze źródła bezpośredniego i równoczesnego, autentycznego, bo z listu własnoręcznego samego Kościuszki, pisanego dniem lub dwoma dniami przed zapowiedzianym w tym liście przyjazdem do Krakowa; posiadamy więc pewność absolutną, że data, wyryta na tablicy, jest mylna,

a wiemy o tem od lat 10 (list ten, do Mniszcha, ogłoszony był w „Przeglądzie Powszechnym“ z czerwca 1907), ale tablica została i zostanie niepoprawioną, ażeby dalej szerzyć nieprawdę o życiu Kościuszki. Czyż nie symbol?

O pobycie ośmioletnim w Ameryce za pierwszym razem znowu... robota mozaikowa ze źródeł porozpraszanych i po większej części pośrednich; ale przynajmniej rzeczy zasadnicze są nam w tym okresie życia zupełnie jasne. Wiadomości nasze nieliczne, ale pewne, pozytywne. Ciekawa atoli sprawa z tem, że nie wiemy ani kiedy i skąd Kościuszko wyjeżdżał do Ameryki (z Krakowa, ze Sławinka, czy z Drezna? z końcem 1775, czy na początku 1776 roku?), ani też, jaką drogą i kiedy wracał (wiemy tyle tylko, że w lipcu 1784 wsiadł na okręt w Nowym Yorku) i czy zatrzymywał się gdzie po drodze w zachodniej Europie? Przez całych tych ośm lat nie posiadamy ani jednego bodaj listu od Kościuszki lub do niego pisanego, ani jednej jakiejkolwiek notatki, nietylko od niego, ale choćby z bezpośredniego jego otoczenia.

Przez 5 lat siedzi Kościuszko w swojej wiosce, gospodaruje, a źródła pouczają nas o ciotce Zuzannie, o tacy na kawę, o labiryncie w leszczynie, dodając trochę rachunków — i to niemal wszystko. Doprawdy, czyż kiedy „naturalista“ jaki rozporządzał mniejszym zasobem... kości? I tak się to wlecze do końca 1789 roku, a potem są wiadomości do spraw publicznych, jakie przechodziły przez ręce bohatera, lecz osobistych o nim samym wiadomości zawsze skąpo — nawet podczas wojny 1792 r., nawet podczas „insurrekcyi“. Zaniedbał Naczelnik całkiem pamiętać o Historyi i dbać o „źródła“ samemu; jeszcze wynalazek autoreklamy do użytku historyków nie był wydoskonalony. (Byłby z niego korzystał... Zajączek).

Nie koniec luk. Nader skąpy zasób wiadomości do czasów więziennych, nieco gęściej informacyi do podróży tryumfalnej przez Szwecyę i Anglię; dziewięciomiesięczny powtórny pobyt w Ameryce dopiero w ostatnich czasach rozjaśniony; lata 1799—1801 odkryciami źródeł nowych teraz niemal dopiero wyraźniej się zarysowują. Potem aż do października 1803 nic, literalnie nic nie rozświeca nam początków 14-letniego pobytu w Berville;

z roku 1803 posiadamy tylko wiadomości o Kościuszce z powodu wyjścia dzieła Ségura, a potem głuche milczenie w naszych materyałach biograficznych aż do jesieni 1806, poczem od lutego 1807 aż do kwietnia 1814 znowu absolutny brak informacyj przez całych siedm lat. Przez kilkanaście następnych miesięcy wiadomości urywkowe, skąpe, urywają się z chwilą osiedlenia w Solurze; ostatnie lata życia ledwie jest z czego odtworzyć.

Wobec tylu i tak dotkliwych luk pole do pewnej dowolności domysłów i pomysłów otwarte, a jeżeli one przybiorą się w pozory krytycyzmu, mogą liczyć prawie zawsze na powodzenie.

Tradycya przechodzi często w legendarność, co jest objawem pospolitym, a pewna legendarność poczęła owiewać postać Kościuszki wcześnie, dziwnie wcześnie, zanim nawet jeszcze został Naczelnikiem. Pierwszy przykład pochodzi z roku 1791, a mianowicie znana powszechnie legenda o rymarzu i biczyku, wprowadzonym przez Kościuszkę umyślnie w modę, żeby dopomódz zubożałemu rzemieślnikowi. Znamy ją z czytanek ze szkół ludowych. A otóż przykład, jakie zajmujące wypadki kryje w sobie kwestya biografii Kościuszki: Ten Kościuszko „dla dzieci", z rymarzem i biczykiem owym, jest... autentyczny. Kto wie, czy nie okaże się kiedy autentycznym ów koń, zatrzymujący się przed każdym żebrakiem.

Więc ostrożnie z negatywną apryorycznością wobec Kościuszki!

Podczas gdy p i e r w o t n a „legendarność" postaci Kościuszki okazuje się coraz bardziej zupełnie historyczną, powstaje nowy jakiś Kościuszko, zmyślany przez pomyłki krytycyzmu: Kościuszko fikcyjny, na tle „legendarności", wytwarzanej przez historyków. Do przykładów, zacytowanych wyżej, dodajmy znamienny przykład z ostatnich lat:

Odkryto źródło do pierwszego pobytu Kościuszki we Francyi, dowodzące, że uczył się tam rysunku i malarstwa. Wysnuło się z tego wniosek, że król wyprawił go do Francyi na studya, jako talent malarski, — a potem szły z tego konsekwencye: Wątpliwości, czy Kościuszko wogóle zamierzał od początku swych studyów zostać żołnierzem, czy tylko jakieś okoliczności życia nie

zrobiły żołnierza z niedoszłego, niedouczonego malarza? A w takim razie tłumaczyłby się brak wyższych zdolności wojskowych, którego stwierdzenie potrzebne jest „krytycyzmowi"... Zapewne, jakżeż dziwić się przegranej w kampanii, którą dowodził niedouczony malarz!

A tymczasem rzecz jest prosta: każdy inżynier musi umieć rysować (nietylko przerysowywać) i do pewnego stopnia malować. Poto wyjechał za granicę, żeby się nauczyć przedmiotów potrzebnych inżynierowi wojskowemu więcej, niż się ich można było wyuczyć w Warszawie; w s z y s t k i c h przedmiotów, a więc i rysunków, których wyższy stopień nauki przechodzi w naukę malarstwa. Uczył się tego tem chętniej, i prawdopodobnie więcej, niż wymagała zawodowa jego potrzeba, bo osobiście bardzo lubiał rysować. Mamy dowody z różnych okresów jego życia, że uważał rysunki za wyborny środek na wypoczynek umysłu i na wzburzone nerwy; sam zabawiał się rysowaniem w więzieniu, w Sztokholmie, Goteborgu i potem w Berville, polecał też innym to zajęcie nieraz — lecz nigdy ani śladu jakiejkolwiek pretensyonalności do artyzmu. Pamiętajmyż, że wówczas rysowano i malowano powszechnie, dyletantyzując, „dla własnej przyjemności", podobnież jak za naszych czasów uprawia się muzykę, będąc chemikiem, architektem, a choćby nawet generałem. Coby powiedzieli dzisiejsi „muzykalni" generałowie, gdyby im dać do zrozumienia, że się ich uważa za niedouczonych dla braku talentu muzyków, którzy od biedy wstąpili do wojska?! — Zresztą wystarczy przejrzeć rysunki i malowane prace Kościuszki w Muzeum Ks. Czartoryskich w Krakowie, ażeby zoryentować się odrazu w tej kwestyi. Słowem: nie trzeba kształcić się na malarza, żeby pobierać lekcye rysunków. Dalsze kształcenie się w rysunkach stanowiło też zapewne c z ą s t k ę przygotowywania się do objęcia obowiązków nauczyciela w warszawskiej szkole kadeckiej, jako „przedmiot uboczny", mówiąc językiem dzisiejszych egzaminów. Powiodło się odkryć ślad podrzędnych studyów Kościuszki za granicą; miejmy nadzieję, że uda się kiedyś jeszcze odkryć ślady źródłowe jego studyów głównych[1]).

[1]) Prawdopodobnie nie był Kościuszko (posiadający już rangę kapitana) zapisany do żadnej szkoły, lecz studyował praktycznie, przez zasię-

Jakie były te główne studya, wiemy doskonale od samego Kościuszki i tylko szczegółów nam brak, ale nie zasadniczych wiadomości. W liście do Mniszcha z 19 października 1775 powiada Kościuszko wyraźnie: „Sposobiłem się przez pięć lat bycia mego w cudzych krajach... w ekonomice i w stanie żołnierskim... ile że i wrodzoną pasyę do tych rzeczy miałem". O malarstwie ani wzmianki; to było tylko dodatkiem do obowiązkowego rysunku inżynierskiego.

Jakimżeż sposobem byłby mógł w Ameryce zostać inżynierem pułkownikiem odrazu, a następnie naczelnym inżynierem armii południowej i wznosić fortyfikacye, które długo jeszcze potem bywały podziwiane przez znawców, gdyby we Francyi zajmowały go były nie studya wojskowe głównie, lecz malarstwo?! Czyż następnie sejmiki ośmiu województw upominały się w r. 1789 o exmalarza?

Słyszy się nieraz uwagi na temat, że jednak Kościuszko, chociaż żołnierz znakomity, nie był atoli wojownikiem, tak, jak np. byli wojownikami „Gustaw Adolf, Karol XII., Napoleon". Ośmielam się twierdzić, że właśnie był wojownikiem, t. j. żołnierzem, chcącym wojować, lubiącym udział w wojnie, pragnącym wojny na wielką skalę (oczywiście o ile byłoby to zgodne z interesem własnego kraju, boć ani tamci nie byli prostymi kondottierami, żołnierzami dla miłości soldateski!). Od dzieciństwa niemal marzy o zawodzie wojskowym, staje się najbardziej naukowo wykształconym oficerem polskim (drugim Dąbrowski), sposobności do praktyki szuka choćby za oceanem. Tamci mieli prawo wypowiadania wojny; on nie był królem, tylko generałem; jak można nie uwzględniać tego?! A czyż nie był za kontynuowaniem wojny 1792 roku, wbrew królowi? Czyż nie głosował za porwaniem króla, żeby go dostawić do obozu i zmusić do cofnięcia akcesu do Targowicy? (Eustachy Sanguszko podjął się wykonać ten zamach, aprobowany przez księcia Józefa, gdy tenże książę nagle własny swój rozkaz na drugi dzień cofnął).

---

ganie informacyi i bezpośrednie obcowanie ze specyalistami i zwiedzanie fortec (za zezwoleniem władz wojskowych francuskich); może też przy pomocy lekcyj prywatnych u najwybitniejszych uczonych oficerów.

Jestto tragedya talentu Kościuszki, że nie miał dla siebie armii odpowiedniej, a na wyrobienie polskiej nie starczyło nigdy czasu. Wojownikowi trzeba dobrze urządzonego wojska, jako żywiołu, a Kościuszko nie miał się nigdy znaleźć w tym swoim żywiole. Czy może ganić go, że nie przyjął służby austryackiej, pruskiej, francuskiej, gdzie miałby wszystko i mógłby swobodnie oddać się zawodowi, do którego miał „passyę wrodzoną"?

Czyż rozwojowi zdolności Kościuszki towarzyszyły kiedykolwiek okoliczności pomyślne? Podczas studyów w szkole rycerskiej umiera matka, a brat starszy, posiadający pełnomocnictwo do gospodarowania na ojcowiźnie, przygotowuje... ruinę majątkową. Potem otrzymuje od króla stypendyum na wyjazd, na studya za granicą; ale stypendyum poczyna wkrótce zalegać, raty nie dochodzą i Kościuszko zadłuża się grubo. Miał nominacyę na posadę przy szkole rycerskiej i zaczął pobierać płacę, ale szkołę zmieniają na początkową, przy której on niepotrzebny, spada z etatu, i powróciwszy z generalskiemi studyami, nie ma zajęcia, ani dochodów i jeszcze głębiej grzęźnie w długi. Gdyby nie sumienność i zacność dziewierza Estki, byłby się stał człowiekiem zależnym ekonomicznie. Zostaje wreszcie pułkownikiem, potem generałem na drugiej półkuli; pracuje tam wśród okoliczności na początek wprost fatalnych dla siebie, jakby się los zawziął na niego. Wybija się pomimo wszystko, a nawet dorabia się materyalnie takich korzyści (pensya i donacya ziemska), że dla siechnowickiego szlachetki to fortuna nielada. Ale ta pensya aż do r. 1798 go nie dojdzie. Jest nareszcie generałem polskim. Pełen zapału i gorliwości, wysila się, żeby być pożytecznym, ale oto raz wraz odrzucano jego projekty i plany; zmuszony był słuchać wodza, nietylko latami znacznie młodszego, ale o którym wiedział (i wiedzieli to wszyscy), że umie mniej od niego, co zresztą było na każdym kroku aż nazbyt widoczne; a wódz naczelny, rutynista pruskiej szkoły (o której Kościuszko zdawał sobie sprawę, że jest już przestarzała), a na dobitkę zdrajca (ks. Wirtemberski) [1]).

---

[1]) Stosunek Kościuszki do okoliczności życia i do społeczeństwa nie może tu być traktowany bliżej; wymagałoby to osobnej rozprawy. Cóż może być poważniejszego nad osądzenie stosunku wielkiego człowieka

Do oceniania zdolności wojskowych Kościuszki posiadamy następujące dane:

Uznanie, wyniesione ze służby amerykańskiej, kilkakrotne świadectwa przywódców amerykańskich o niezmiernej pożyteczności jego robót inżynierskich, a nawet o rozstrzygającem znaczeniu ich w losach wojny, tudzież opinie zawodowych znawców, wyrażane po wojnie, przy sposobności oględzin tych robót. Tamże w Ameryce studyuje balistykę bliżej, a pod koniec kampanii zajmuje się praktycznie zagadnieniami z zakresu piechoty. W służbie polskiej rozszerza dalej swój widnokrąg zawodowy. W r. 1790 opracowuje plany furażu, w r. 1791 instrukcyę dla strzelców, zdaniem znawców wyborną. W r. 1790 jego musztra piechotna okazała się najlepszą. W wojnie 1792 roku on tylko jeden okazał talent wyższy, a samodzielny, na wodza; stwierdził to już szereg znawców sztuki wojennej. Kto z zawodowych wojskowych wyraził kiedy wątpliwość jaką w tej mierze? Nie będący znawcami przedmiotu, jeżeli pomimo to chcą zabrać samodzielnie głos w tej sprawie, niechaj zważą przedtem dwa fakty: Natychmiast po tej wojnie otrzymał Kościuszko propozycye od rządu republikańskiego francuskiego i od cesarza Franciszka (a więc z dwóch przeciwnych obozów), żeby wstąpił do ich armii. W 1793 r. dołączyła się takaż propozycya króla pruskiego. Czyż brakowało tym armiom generałów? Prawdopodobnie chodziło nie o to, żeby mieć o jednego generała więcej, lecz o jakość nabytku...

Przywództwo wojskowe należy do zawodów, w których o zdatności rozstrzyga talent organizacyjny, istota wszelkiego talentu władczego.

Elementarnym zaś warunkiem przywódcy będzie zawsze to, żeby budził zaufanie w żołnierzu; stopniem następnym, wyższym, żeby być lubianym. Książę Józef stwierdza już pod r. 1790, że generał-major Kościuszko jest „nadzwyczaj kochany przez korpus". Jego brygada celowała wyćwiczeniem wojennem i porządkiem, co stanowi dalej o wyższym szczeblu zmysłu organizacyjnego.

---

do środowiska, w którem mu danem było działać? O ile wyrósł on z niego, o ile je przerósł; czy więcej wziął z niego, czy więcej przydał mu z siebie?

Zmysł organizacyjny, to w znacznym stopniu nic innego, jak tylko zdolność użycia ludzi. Tę posiadał Kościuszko w wysokim stopniu, lecz tylko wybór ludzi miał zbyt mały, a często wogóle nie miał wyboru. Talent obcowania z ludźmi okazuje się w takim np. epizodzie na początku insurrekcyi. Wodzicki zabiera się ostro do prezydenta Krakowa, Lichockiego, a Kościuszko powiada mu grzecznie, spokojnie:

— Mospanie Prezydencie, nie wchodzę ja w to, jakim Waćpan byłeś względem Moskali, ale spodziewam się, że i dla mnie będziesz grzecznym.

Jak umiał ludzi użyć, przykład na Wybickim. Wszak-to Naczelnik zachęcał go, by układał pieśni żołnierskie.

Umiał też ludzi ocenić. Przykład nader znamienny na Dąbrowskim. Toć Madaliński wieszał go in effigie, a Kościuszko przyjął go pod swą komendę i powierzał doniosłe zadania podczas oblężenia Warszawy, a potem powierzył mu przywództwo powstania wielkopolskiego. Dzięki Kościuszce zajaśniał niepospolity talent Dąbrowskiego, jedyny militarny, twórczy talent obok Kościuszki. A gdy potem w Paryżu część emigracyi protestowała przed rządem francuskim przeciwko powierzeniu Dąbrowskiemu (jako obciążonemu zarzutem Targowicy) dowództwa legionów, Kościuszko ocalił go swą powagą.

Zdolności wojskowe Kościuszki wznosiły się do stopnia zdolności twórczej. Na wczesny popęd ku twórczości wskazuje samodzielne (nie narzucane) studyowanie wszelkich rodzajów broni, jakkolwiek zawsze z zachowaniem sobie cechy specyalisty inżyniera wojskowego. Pomysły własne miewa i wykonuje już w Ameryce, a pomyślnie. Posiadamy klasyczne świadectwo z r. 1790, że pracował samoistnie, że czerpał od innych, ale krytycznie, przebrakowując, co zatrzymać, co odrzucić, a przytem snuł w razie potrzeby pomysły własne. W liście do generała artyleryi, Stanisława Potockiego, skarży się na niewolnicze naśladowanie pruskich wzorów przez księcia Wirtemberskiego (kiedy wystąpił z własnym planem w sprawie furażu): „Mieć potrzeba choć jeden oryginał swój, a nie kopiować wszystkiego, jak zwykliśmy, z drugich krajów zwyczaje, które ani okolicznościom naszym dogodne, ani sto-

sowne rządowi naszemu". Wiadomo, że Kościuszko pierwszy stosował szyk rozprószony, jeszcze p r z e d strategią rewolucyi francuskiej — co znów dowodem, że umiał brać od obcych (Amerykanów), ale wiedział, kiedy i co. Kiedy w insurrekcyi marzy o 300.000 pospolitego ruszenia, głównie włościańskiego, nie naśladuje wzorów francuskich; ma własne pomysły, bo „należy odstrychnąć się czasem od reguł pospolitych" (ileż razy zresztą zastrzegał się, że insurrekcya nie będzie rewolucyą francuską w Polsce!).

Na samym wstępie insurrekcyi osięgnął swemi kombinacyami — bez wystrzału — że Moskale cofnęli się z Krakowa pod Radom. Następnie podziwiać nam przymioty wodza pod Racławicami, gdzie bitwa trzy razy na odmienne wchodziła tory, a zawsze w lot wydane były rozkazy, obmyślone na chwilę stanowczą, a przewidujące wszystko: natarcie, odparcie i cofanie się, obliczone i na momentalny plac boju i na możliwe przesunięcie się pobojowiska. Kosynierzy? Wczoraj ledwie przybyli do obozu? Ale ten wódz z niczego tworzy żołnierza-zwycięzcę!

Pod Szczekocinami przegrał nie z powodu takiego lub innego planu strategicznego, lecz wyłącznie dla zdrady pruskiej, co obecnie szczegółowo jest już wyjaśnione. Nadchodzą inne hiobowe wieści, a on wojuje dalej, a dzięki jego planom kampanii udało się nie dopuścić do militarnego współdziałania wszystkich trzech armij rozbiorczych; ten jeden fakt z wojny 1794 roku starczyłby na dowód wyższych zdolności wojskowych, talentu na wodza. Jemu samemu bezpośrednio przypisać należy, że korpus Zajączka dotarł nieuszkodzony pod Warszawę. Obrona Warszawy podczas oblężenia uznawana jest od początku opracowywań naukowych za tytuł do sławy wojennej i nie pojawił się dotychczas głos odmienny, ani w polskiej, ani w obcej literaturze zawodowej; co do tego panuje tedy powszechna zgoda. Następnie stwierdzić należy, że Kościuszko znalazł się wobec coraz bardziej przeważających sił, ale osiągnął taktyką swą ten rezultat, iż armia pruska nietylko nie dała już żadnej pomocy Rosyanom, lecz sama pozostała na stanowisku obronnem, i to popadając w coraz gorsze kłopoty. Niebawem Prusy zostały zaszachowane tak dalece, iż armia pruska uważała za konieczność opuścić okupowane już wo-

jewództwa sandomierskie i krakowskie, żeby bronić Torunia i Gdańska, które sam król pruski uważał za zagrożone.

Jeszcze w sierpniu, we wrześniu nawet 1794 wahały się szale wojny. Prusy, zepchnięte na stanowisko defenzywne, Austrya uciszona i wyczekująca, gotowa znowu w danym razie pójść przeciw Rosyi i Prusom, i na Rosyę gotowała się nowa wojna turecka. Przedstawiciel Francyi w Carogrodzie, Descorches, nie darmo pisał 29 września 1794: „Jeszcze kilka tygodni trudów i utrapień, a los wasz, dzielni i drodzy Polacy, bardzo się poprawi". Mnożą się wogóle coraz liczniejsze dowody, że obliczenia Kościuszki były dobre i powstanie nie było bynajmniej tylko aktem rozpaczy.

Pod Maciejowicami położenie strategiczne było tego rodzaju, iż Fersen miał jak najgorsze horoskopy (rozmowa jego z oficerem pruskim, Heiligenstaedtem) i to pomimo podwójnej przewagi liczebnej. Dzięki Kościuszce żołnierz polski wiedział już, że taka przewaga nie wyklucza zwycięstwa. Fersen przygotowany był na klęskę. Jakoż pierwsza połowa planu bitwy, obmyślonego przez Naczelnika, nie zawiodła. Plan był dobry, dawał dobre wyniki. Do wykonania drugiej połowy planu trzeba było, żeby Poniński pojawił się pod Tyrzynem z rezerwami, ze świeżem wojskiem. Wiadomo, co zrobił... I czyżby żołnierz wytrzymał był sześć godzin, nie usunąwszy się ze stanowiska, gdyby nie plan dobrze obmyślany, wytrzymujący taką próbę do ostatka, i gdyby wódz nie miał władzy nad duszą żołnierza, istnego „rządu dusz", gdyby nie posiadał talentu organizacyjnego? Dodajmyż, że gdy już niesposób było czekać na Ponińskiego, Kościuszko nie pozostał bezradnym, lecz obmyśla na prędce plan, jak wycofać resztę wojska z rzezi. Pragnie uformować czworobok; niestety, był już w niewoli szereg generałów i on sam wkrótce, posiekany od ran, stracił przytomność; przestał wydawać rozkazy... Wśród takich okoliczności udało się Rosyanom odnieść walne zwycięstwo, tam, gdzie dniem przedtem bali się być osaczonymi i zniesionymi doszczętnie.

Po Maciejowicach nastręcza się pewien pośredni dowód talentu wojennego Kościuszki. Klęska ta nie stanowiła bowiem sama przez się o przegranej wojnie, tylko zmuszała do wojny

przedłużenia, zanim sytuacya znowu się wyrówna. Powstanie wymagało przetrwania ciosu maciejowickiego, żeby doczekać się zdwojenia armii z Wielkopolski (gdzie powodziło się świetnie orężowi polskiemu) i wywołać nowe ruchy na Litwie. Cel wojny, istota sprawy, o którą się walczy, nie może zresztą spoczywać i zasadzać się na jednej wyłącznie głowie, choćby najszlachetniejszej, choćby najmędrszej. Historya zna dość przykładów wojen, prowadzonych zwycięsko po katastrofie osoby wodza. Czemuż więc ta insurrekcya upadła wraz z Kościuszką? Bo zabrakło jego wielkiego talentu wojskowego i organizatorskiego, i młoda organizacya polska poszła w rozsypkę... Powstaniu zabrakło organizatora.

Odtąd Kościuszko nigdy w życiu nie miał już działać w swoim żywiole, na czele armii. Wezwano go w marcu 1798 jednomyślnie na wodza legionów (znowu uznanie talentu wojennego przez współczesnych i towarzyszów) i on wezwanie przyjął; ale będąc znowu zarazem Naczelnikiem Narodu, reprezentantem jego suwerenności, nie mógł stawać na ich czele w polu, dopóki były wojskiem posiłkowem obcego państwa, póki podlegały cudzoziemskiej głównej kwaterze. Nie doczekano się, żeby te legiony wkroczyły na ziemię polską, doczekano się tylko San Domingo (1801); z drugiemi zaś legionami (1806) nie miał nic wspólnego.

Cudzoziemcy uważali Kościuszkę za powagę wojskową zawsze, pomimo Maciejowic. Była już mowa o zaprosinach do obcych armij. Z inicyatywy amerykańskich przyjaciół Kościuszki posiadamy inny jeszcze dowód jego talentu. Na ich prośbę pisał w latach pierwszych XIX. wieku dzieło o manewrach artyleryi konnej, sprowadzając je do siedmiu zasad naczelnych. Znawcy stwierdzili, że było to dzieło „jedyne na świecie, przedmiot ten traktujące“ (wyszło drukiem w r. 1808 po angielsku). Dobiegał 60-ki wieku swego, pisząc tę pracę. Nie opuszczała go tedy z latami zdolność twórcza, skoro mógł oddać się z powodzeniem pracy twórczej w zakresie swym ulubionym inżynieryi wojennej i balistyki.

Dowód ten podnieść należy z naciskiem szczególnym dlatego, że przyjętem jest powątpiewać o umyśle Kościuszki po Maciejowicach. Wśród licznych ran były bowiem i trzy pałaszem

w głowę; na bóle głowy długo ciężko narzekał, a w dodatku jest świadectwo lekarskie z r. 1796, w którem wyraźnie wypisano, jako jest nieuleczalnie osłabiony nawet umysłowo. Wyjaśnione więc jest w zupełności jego „zdziecinnienie"? Kwestya „zdziecinnienia" wymagałaby więcej miejsca, byłby to temat do osobnego artykułu — z rezultatem takim samym, jak o „wodzu z malarza" i o „Kościuszce dla dzieci" — poprzestanę tedy tutaj na stwierdzeniu trzech faktów co do t r z e c h świadectw lekarskich.

Pierwsze z nich, z r. 1796, pochodzi od zacnego angielskiego lekarza w Petersburgu, Dra Rogersona, wielbiciela Kościuszki; a było wydane w tym celu, żeby uwolnionemu ze względów politycznych z więzienia Kościuszce wydostać pozwolenie wyjazdu za granicę. A więc przepisywano mu kąpiele aż het, na wyspach Azorskich, a przynajmniej w Bath w Anglii. Chodziło o to, żeby przedstawić Kościuszkę, jako nie mogącego już być niebezpiecznym. Jestto świadectwo lekarskie tendencyjne, oparte na p i a f r a u s.

W czerwcu 1797, w kilka więc zaledwie miesięcy po Rogersonie, wydaje orzeczenie lekarskie słynny inny lekarz angielski, Dr. Warner, ale rzecz dzieje się już na wolnej ziemi angielskiej. Ten stwierdził, że „mowa jego pełna trafnego rozsądku, żwawych uwag, dowcipnych odpowiedzi, ujawniała pojęcie szlachetne i umysł wykształcony". Dziwnie prędko wyleczył się z „nieuleczalnej choroby umysłowej"!

W tydzień po wylądowaniu w Ameryce bada Kościuszkę Dr. Rush, pisze obszernie o biodrach, goleniach etc., ale ani nawet privatissime nie bada stanu umysłu. Nie zwracano nawet uwagi na tę stronę przedmiotu, bo nie było powodu. Zresztą sama podróż Kościuszki z Petersburga do Ameryki obfituje w szczegóły, świadczące nietylko o przeciętnem zdrowiu umysłu, ale o potędze umysłu Kościuszki i o niezmiernej sile woli.

Wypada zadać sobie jeszcze pytanie, czy Kościuszko miał inicyatywę wojenną? — Z monograficznych opracowań wiadomo, że tak. Żałowano w Ameryce, gdy nie posłuchano jego projektu; wojna roku 1792 straciła również wiele na tem, że plany Kościuszki nie zostały wykonane. Wojskowa inicyatywa co do insurrek-

cyi wychodzi od niego. Plan insurrekcyi ma gotowy już jesienią 1792 roku (z końcem stycznia lub z początkiem lutego 1793 przedstawia go w zarysie Dumourierowi w Bruxelli), a gdy stał się bezprzedmiotowym skutkiem przymierza angielsko-rosyjskiego przeciw Francyi, opracowuje plan nowy.

Poddaje się czasem krytyce kwestyę terminu powstania, czy nie przedwcześnie wdał się Kościuszko w wojnę?

Nowy jego plan oparty był na tem, że dzięki Działyńskiemu i Dąbrowskiemu redukcya armii polskiej, a zwłaszcza kadr oficerskich, nie będzie przeprowadzona, wbrew oficyalnym nakazom, póki tylko da się zwlekać. Regularna armia ma przystąpić do powstania i stanowić jego trzon. Spiskowi pragnęli wybuchu już we wrześniu 1793, ale Kościuszko termin odłożył. Tak nakazał na zjeździe w Podgórzu pod Krakowem, dnia 11 września 1793, a przecinając wprost dyskusyę z malkontentami, wyjeżdża do Włoch, wyznaczając termin na ponowne złożenie sobie raportów na dzień 16 marca 1793. Punktualnie tego dnia stawia się znowu w kraju (w Brzesku Nowem nad Wisłą). Szczególniejszym zbiegiem dat ostateczna redukcya wojska polskiego oznaczona była na dzień przedtem, na dzień 15 marca. Nadszedł w ten sposób siłą rzeczy termin, którego nie można już było odkładać. Generałowie odmówili redukowania pułków, odmówili posłuszeństwa targowickiej Komisyi wojskowej, a Kościuszko objął nad wojskiem najwyższą władzę, i nastąpił sławny akt przysięgi na Rynku krakowskim dnia 24 marca 1794.

Zaczyna się pełen treści ustęp dziejów narodowych, zajmujący nader nawet dla cudzoziemca, a Polakowi sondujący głębię duszy. Mało w historyi powszechnej rozdziałów o równej głębi dziejowej. Nie uwzględnia się dotychczas jeszcze tego, że tu w dobie krótkiej, siedmiomiesięcznej zaledwie, ożywiło się na widowni dziejów w niesłychanym skrócie całe jestestwo Polski, wszystko, co stanowiło polskość, buchając nadzwyczajnym zapasem sił surowych, lecz łamiąc się w locie dla braku wyrobienia, a nie mogąc nabrać tchu na nowo w okoleniu zabójczem, ścieśniającem się coraz bardziej.

Nie uwzględnia się też dotychczas przy ocenie roku 1794

tej okoliczności, że prowadzenie wszelkiej wojny obejmuje trzy kręgi: wojskowy, społeczno-administracyjny i dyplomatyczno-polityczny. Kościuszko posiadał władzę najwyższą pod każdym względem, lecz tylko w zakresie dwóch pierwszych kręgów działał sam; trzeci z nich oddał Ignacemu Potockiemu. Miał bowiem o sobie to przeświadczenie, że na dyplomacyi się nie zna, i że Potocki jest mistrzem w tej dziedzinie w porównaniu z nim. W sprawach dyplomatycznych Kościuszko nie dawał inicyatywy, a Potocki miał zupełnie wolną rękę. Nawet w r. 1796, gdy chodziło o sprawy polityczne, związane z uwolnieniem z więzienia, Kościuszko nie powziął postanowienia, póki nie odbył narady z Ignacym Potockim. Zważmyż też, że Potocki był ministrem spraw zagranicznych przed insurrekcyą, a Naczelnik nic innego nie zrobił, jak tylko to, że pozostawił go w urzędzie. Zresztą Potocki rozpoczął był akcyę dyplomatyczną jesienią 1792 w Lipsku, zanim jeszcze Kościuszko mógł przewidzieć, że i jemu wypadnie jechać do Lipska. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Kościuszko z inicyatywy Ignacego Potockiego jeździł do Paryża (jako obywatel republiki francuskiej). Jest wiele danych po temu już przy dzisiejszym stanie źródeł, że Kościuszko, tak czynny w zakresie spraw wewnętrznych, zewnętrzne pozostawił najzupełniej do uznania swego ministra, nie uważając się za kompetentnego.

Sprawy wewnętrzne rozwijają się pod ręką Naczelnika doskonale, z wielką korzyścią dla powstania. Wkraczamy w nową dziedzinę rozległego talentu Kościuszki, który i „ekonomikę“ studyował, mając też do niej „wrodzoną pasyę“. Badanie bliższe tych rzeczy zmusza na nowo do podziwu dla fenomenalnego talentu organizacyjnego u Naczelnika.

Zaraz 24 marca uchwalony był rekrut i nadto pospolite ruszenie w dwóch stopniach. Rekrut miał wzmacniać wojsko regularne; pospolite ruszenie pierwszego stopnia od 18—28 roku życia do milicyi, a drugi stopień, do 40 roku, zbrojny w cokolwiek, do chwilowej służby lokalnej w razie potrzeby. Z uchwalonych olbrzymich podatków podnieść należy podatek nowy, obmyślony wówczas i ogłoszony po raz pierwszy, t. zw. „postępowy“, a co teraz zowie się „progresywnym“, stosowany w najnowszych dopiero

czasach, jako ostatni wyraz postępowej skarbowości publicznej. Już to samo wystarczyłoby, żeby udowodnić zmysł organizacyjny, a talent twórczy, wielce twórczy.

Nazajutrz, 25 marca urzędowała już Najwyższa Rada Narodowa, Komisya Porządkowa, zorganizowano sądownictwo i pobór podatków. Umiano działać szybko, bo widocznie wszystko było z góry przygotowane należycie. Zapewne dzielił Naczelnik niejedną zasługę z Kołłątajem, Potockim i innymi, lecz sprawy wojskowe wychodziły z jego tylko inicyatywy. Doskonale przygotowana była widać sprawa z kosynierami, skoro w 10 dni po ogłoszeniu powstania już mógł był Jan Ślaski przyprowadzić ich 2.000. Bo też Kościuszko kazał „dysponować lud do powstania" od jesieni 1793 (była o tem mowa na zjeździe w Podgórzu), a zatem projekty kosynierów musiał mieć gotowe jeszcze wcześniej.

Jako dyktator [1]), winien był Kościuszko zorganizować cały porządek publiczny, ująć społeczeństwo w ład i skład, zaprowadzić i utrzymać rząd. Któremu z tych obowiązków nie uczynił zadość, w czem zawód sprawił? Insurrekcya była pod tym względem wzorową — a więc mamy i tu do czynienia z pierwszorzędnym talentem organizacyjnym.

W jeden zaledwie miesiąc po wybuchu powstania przechodzi cały kraj pod władzę Kościuszki. W maju 1794 występuje już publicznie zamiar wystawienia 300.000 zbrojnych. Czy to nie było przechwałką? Uważajmy tedy: Dnia 7 maja manifest połaniecki uspakaja dziedziców, obawiających się przewrotu społecznego i ruiny rolnictwa. Opozycya zmniejsza się do znikomej mniejszości, do rzadkich wypadków biernej niechęci, włościan zaś manifest poruszył nawet wśród litewskiego i ruskiego (białoruskiego) ludu. Cele manifestu okazały się odrazu w y k o n a l n y m i. Wykonanie wymagało oczywiście czasu. Jeżeli Kościuszko zostanie przy władzy przez dłuższy czas, wstanie wojskowość polska i sprawa włościańska będzie załatwiona...

Nad r e f o r m ą a g r a r n ą Kościuszkowską warto zastanowić się bliżej. Przez nią należy Naczelnik do dziejów nietylko

[1]) Miał mieć do pomocy Radę Najwyższą Narodową — lecz przez siebie samego mianowaną i organizowaną.

wojskowości polskiej i nietylko do historyi politycznej, ale też do dziejów rozwoju społeczeństwa, stojąc w tej dziedzinie w pierwszym szeregu. To wielki inicyator społeczny; to wielka siła twórcza do wytwarzania ulepszonych warunków społecznych. Jak człowiek składa się z duszy i ciała, podobnież naród ze społeczeństwa swego i państwa, czyli z kultury narodowej i z niepodległości. Państwo jest środkiem, a doskonalenie społeczeństwa celem; takie jest chrześcijańskie pojmowanie dziedzin życia publicznego. Dane społeczne są też zawsze silniejsze od danych państwowych; przetrwaliśmy brak państwa, nie przestając być narodem, a nawet rozwijając się narodowo, bośmy ocalili z pogromu swe siły społeczne; jakkolwiek osłabione przez brak niepodległości. Ile w tem przechowaniu idei narodowej poprzez piekło porozbiorowe zasługi przypada i d e i K o ś c i u s z k o w s k i e j, demokratycznej, chłopskiej, a nie przewrotowej, któż obliczy?

Główna dźwignia historycznej wielkości Kościuszki ma swój punkt zaczepienia w tej okoliczności, że on umiał pracować kulturalnie.Kto służy wyłącznie celom państwowym, bez uwzględniania danych społecznych, ten nawet państwu źle służy, marnuje swą pracę, która w ostatecznym wyniku nawet ubóstwianemu państwu może wyjść na złe, skoro nie oparła się o tło kulturalne. Niema grubszej pomyłki, jak uważanie państwa za jakiś absolut, mogący stanowić cel dla samego siebie. Najlepszym politykiem jest działacz społeczny, który działaniem swem normuje zarazem siłę państwa. Polityk, nie działający równocześnie kulturalnie, jest tuzinkowym politykiem i wogóle łudzi się co do wartości swej pracy. Potomność przebiera ogromnie, brakuje ostro pomiędzy „wielkościami" takiemi politycznemi, choćby używającemi jak największego rozgłosu za życia. Rozgłos, to jeszcze nie sława. Sława staje się udziałem takich tylko polityków, którzy pracowali zarazem około rozwoju społecznego. Tacy też tylko nadają się do sterowania nawą państwa, tacy tylko są naprawdę zdatni do kierowania narodem, zdatni na wioślarzy życia publicznego. Reszta, to czczy retorzy, lub naiwni — a zawsze wychodzi to na młócenie słomy.

Dla Kościuszki nie istniała polityka państwowa bez społecznej, i na tem polega jego wielkość. Manifest połaniecki nie jest

w jego życiu niespodzianką, lecz konsekwencyą długiego szeregu faktów poprzednich w jego życiu. Zaczyna się to od studyów ekonomiki, a kończy na ujęciu sprawy włościańskiej w sposób, świadczący znowu o umysłowości twórczej w stopniu jak najwyższym.

Chciałbym wprowadzić tu poprawkę do rozpowszechnionego mniemania, jakoby cała demokracya Naczelnika opartą była na wzorach i wspomnieniach amerykańskich. Ten nasz pierwszy Amerykanin, jakim był Kościuszko, pokazał, jak należy czerpać doświadczenie, naukę i przykłady, ale nie naśladować. Zawsze jednako trzymał się prawidła, że nie wolno „kopiować wszystkiego... zwyczaje, które ani okolicznościom naszym dogodne, ani stósowne rządowi naszemu". Zresztą w sprawie włościańskiej Ameryka nie mogła dostarczać nam żadnego przykładu, żadnego wzoru, ani nawet pomysłu. Wszakże tam sprawa agrarna załatwioną była za pomocą... niewolnictwa. Jak można zapominać o tem?! Polska wogóle nie miała skąd czerpać wzorów do swej sprawy włościańskiej. We Francyi szlachcic nie przemieszkiwał na wsi i sam osobiście (prócz jednej Normandyi) w pocie czoła nie gospodarował, wielka zaś rewolucya 1789 roku zajmowała się tą sprawą tylko ze strony wolności osobistej, ale nie z ekonomicznej. Reformy Józefa II. nie zmierzały do żadnego zasadniczego zreformowania wiejskich stosunków, ograniczając się do zniesienia nadużyć, a zresztą w krajach „cesarskich" nie było również takich szlachciców „wioskowych", jacy stanowili u nas trzon warstwy szlacheckiej i właściwy jej typ. Stanowczo nie było skąd czerpać wzorów. Polska myśl okazała w tym zakresie oryginalność, była twórczą (początek daje ksiądz Świnarski, kanonik poznański, w r. 1742, na 23 lat przed wstąpieniem Józefa II. na tron, na pół wieku przed wielką rewolucyą).

Kościuszki działalność zaczęła się w tej dziedzinie od Siechnowic, gdzie zniósł pańszczyznę żeńską, a męską ograniczył do dwóch dni. Potem stał się zwolennikiem uwłaszczenia na podstawie oczynszowania. Wcześnie łączy się sprawa ta w umyśle Kościuszki z zagadnieniem militarnem państwa polskiego. W r. 1792 (najpóźniej!) ma już gotowy plan, jak reforma włościańska ma zarazem dostarczyć Polsce żołnierza. Czy znał szczegóły „p i e c h o-

ty wybranieckiej" z czasów Batorego, to wątpliwe. Same stosunki wiodły atoli do podjęcia tej samej zasady: żeby zapewniać znaczne korzyści ekonomiczne włościańskiemu ochotnikowi wojennemu, a mianowicie uwolnienie od wszelkich danin, stopniowane aż do nadania własności ziemskiej. Niezależnie od tego pragnął nadania ludowi wiejskiemu wolności osobistej bez nakładania jakichkolwiek warunków.

Zdolność twórcza nie umie pozostać... kontemplacyjną; pragnie zamysły swe wcielać. Skromny i mający zwyczaj usuwać się, posiada ten sam Kościuszko wolę silną, czy raczej potężną, a bywa ogromnie pewny siebie, boć wie jasno, czego chce, a wywiera wpływ koło siebie tak znaczny, że ze zdumieniem wypada nam stwierdzać jego rozmiary, gdy wglądniemy bliżej w źródła. Propagandą zawodowo nie zajmował się nigdy, ale myśl twórcza posiadała władzę promieniowania (propagandą zajęli się inni) i faktem jest np., że Kościuszko wywierał wpływ na księcia Józefa. Wszak w liście tegoż do króla z dnia 14 lipca 1792 (na kilka dni przed Dubienką) czytamy wyraźną myśl Kościuszkowską: „Gdybyś Wasza Królewska Mość... był poruszył kraj cały... dając wolność chłopom, albobyśmy byli zginęli z honorem, albo Polska byłaby się utrzymała mocarstwem".

Pierwszym znanym dotychczas przykładem wprowadzenia myśli Kościuszkowskiej w czyn, jest ofiara Hilarego Chojeckiego z Motowidłówki, zadeklarowana w połowie czerwca 1792 w obozie pod Lubarem. Motowidłówka ta leżała w bezpośrednim rejonie Kościuszki, poruczonym jego pieczy jeszcze przed wybuchem wojny (pod tą wsią Moskwa przekroczyła następnie granicę). Objeżdżając wciąż „komendy", zajeżdżając na kwatery, miał Kościuszko dużo sposobności do osobistego zetknięcia się z obywatelstwem. Motowidłówkę i jej dziedzica znać musiał, gdyż był to punkt strategiczny.

Hilary Lubicz Chojecki uwalniał w swych dobrach od wszelkich opłat na lat 10 każde gospodarstwo, z którego zgłosi się jeden żołnierz na ochotnika; gdy dwóch, uwalniał na lat 20; które zaś gospodarstwo dostarczy wojsku więcej, niż dwóch ochotników, nadawał chatę i grunt na wieczystą własność, zobowiązując się

sam opłacać podatki z takiej posiadłości. Było to bez mała dwa lata przed manifestem połanieckim.

Łączył Naczelnik w genialny sposób sprawy wojskowe z reformą agrarną. Czy realnym był politykiem, na to mamy dane wyraźne. Oto w pięć miesięcy po przysiędze krakowskiej jest 150.000 zbrojnych, t. j. połowa zamierzonego dzieła jest gotowa! W pięć miesięcy zaledwie! Rzeszy tej zarzucić można bardzo nierówną jeszcze wartość militarną. Naczelnik organizował jednak dalej siłę zbrojną, czyniącą tak widoczne postępy. Nie zapomniano o fabrykach broni, ani o lejarni. Znajdowały się w kraju, a funkcyonowały znakomicie. Toteż przy talencie organizacyjnym Kościuszki znachodziły wszelkie dane, że najpóźniej za drugie pięć miesięcy dotarłoby się do cyfry 300.000 i że się tę armię zaopatrzy porządnie w broń i wyćwiczy należycie.

I z tej strony tedy dochodzimy do przekonania, że obliczenia Kościuszki co do insurrekcyi były dobre.

Zawiódł atoli całkiem trzeci krąg wojny: dyplomatyczno-polityczny. Niestety, składał się on z szeregu klęsk, które przesądzały stanowczo o losie powstania, czyniąc zwycięstwo militarne niemożliwem. Zawiodły rachuby austryackie Ossolińskiego, a rząd austryacki udawał tylko życzliwość (eksponując nawet arcyksięcia Karola w roli kandydata do korony polskiej), ażeby tem łatwiej wprowadzić w pułapkę Polaków. Prusak do tego stopnia powtórzył zdradziecką grę z roku 1791, iż nietylko poseł pruski pozostał w Warszawie, ale nawet w obozie przy Kościuszce przebywał agent pruski (Glave). Naczelnik był przekonany, że pod Szczekocinami pojawi się jeden batalion Prusaków, dla utrzymania Rosyan w złudzeniu, jakoby król pruski im sprzyjał — podczas gdy w rzeczywistości robiono obiecanki dla utrzymania Kościuszki w złudzeniu, a pod Szczekocinami wystąpiło całkiem niespodzianie 18.000 Prusaków i 64 armat.

Biorąc rzeczy ściśle, nie Kościuszko został oszukany, lecz ci, których uważał za kompetentniejszych od siebie w sprawach polityki zewnętrznej i dyplomacyi. Na całkowite wyjaśnienie tych spraw trzeba czekać jeszcze, aż uda się wydobyć więcej „tajemnic

stanu" z archiwów, ale już przy dzisiejszym stanie badań narzuca się kilka spostrzeżeń:

Wojnę z Austryą wykluczał Naczelnik od samego początku, ale nie z Prusami. List okólny do zwierzchników komend, wydany 20 kwietnia 1794, poucza ich, że „powstanie nasze przeciwko chciwości i opresyi d w ó c h sąsiednich mocarstw jest wymierzone". Wiemy z licznych dowodów źródłowych, że wykluczonem jest wliczanie do owej „dwójki" Austryi, że Kościuszko sam aprobował porozumiewania się z biurokracyą cywilną i wojskową, toczące się w imię „naturalnej łączności interesów pomiędzy Austryą a Polską"; tu może być mowa tylko o Rosyi i Prusiech.

Zwraca uwagę dziwnie późna data tego okólnika. Jakżeż to? Dopiero w miesiąc po ogłoszeniu powstania poucza się zwierzchników komend, przeciw komu walkę podjęto? Budzi się przypuszczenie, czy pierwotnie insurrekcya nie miała być zwróconą wyłącznie przeciwko Rosyi; ale Kościuszko, przejrzawszy pruskie zamiary, wolał uprzedzić wroga, i postanowił walczyć także z Prusami, nie widząc innego wyjścia. Miałby w takim razie słuszność, bo Prusy stanowczo zdecydowane były wystąpić przeciw Polsce, a w dwa tygodnie po okólniku Kościuszki postanowił król pruski (5 maja) dowodzić osobiście wojskiem, wyznaczonem do walki z insurrekcyą.

Niewiadomo, w jaki sposób odwiedziono Kościuszkę od uważania Prusaków za nieprzyjaciół; faktem, że się tak stało i że przez maj 1794, aż do 6 czerwca uważał ich przynajmniej za neutralnych, jeżeli nie za życzliwych. Dał się więc zmylić wbrew własnemu, poprzednio nabytemu przekonaniu; komu dał się zmylić, domysły snuć łatwo, ale lepiej czekać na dalsze odkrycia źródłowe. — W cztery dni po Szczekocinach wydał odezwę, obwieszczającą wojnę również z Prusami. A niebawem wtargnęło wojsko austryackie w Sandomierskie i ledwie zdołano zażegnać starcie militarne z trzecim zaborcą.

Nowsze badania dostarczają wskazówek, że Austrya właściwie przyprawiła insurrekcyę o upadek, chociaż w polu z nami nie walczyła; według planu Gallenberga dokonano tak dokładnego osaczenia policyjnego Polski, że była zupełnie izolowaną, pozba-

wioną zgoła wszelkiej komunikacyi z Europą. Listy dyplomatyczne leżały niewyprawione, a gdy zdołano wyprawić kuryera, ten nie dotarł do Polski. Zostały do dnia dzisiejszego papiery, nie doręczone, a których treść wskazuje na zabiegi wcale nie utopijne. W takiem odcięciu od całego świata jedna znaczniejsza klęska mogła stać się katastrofą. Odcięcia tego przytoczę tu (z licznych dowodów) przykład jeden: Dnia 9 listopada pojawia się w „Monitorze" paryskim gorący artykuł z apostrofą do Kościuszki, że „wszystkie oczy przyjaciół ludzkości zwrócone są na świętą sprawę, której broni". Było to przeszło miesiąc po Maciejowicach. Nikt w Paryżu nie wiedział, co się w Polsce dzieje. W Carogrodzie już od sierpnia 1794 napróżno próbowano porozumieć się z Polską, a chodziło o przymierze z Polską, Francyą i Szwecyą przeciwko Rosyi. Tak Austrya otoczyła nas murem swej (sławnej u tylu ludów) policyi tak skutecznie, iż rzeczywiście spełniło się, co zaręczał swemu rządowi Gallenberg, że „w takim razie przymierza francuskie i tureckie przejdą do rzędu niemożebności (Undinge)". Należy nam dodać, że Kościuszko ani do Austryi zaufania nie miał, i jeszcze dnia 28 kwietnia upominał się u władz austryackich o nieprzyjazne zachowywanie się władz pogranicznych.

Wogóle Kościuszko nie był wcale łatwowiernym, a wywieść go w pole było rzeczą niemal niemożliwą. Pozostaje to w związku z jego „litewskiem" usposobieniem, tak przydatnem do polityki, ale jeszcze bardziej z jego charakterem [1]). Sam określił to w jednym z listów, pisząc nieświadomie o sobie: „Charakter stały, prosty i otwarty zawraca zawdy najchytrzejsze dyplomaty i istotę najpodstępniejszą, przebiegłą i podłą".

Jakoż okazać się to miało w r. 1796, w stosunku do carycy Katarzyny, która w dworskiej zaiste... naiwności imaginowała sobie, że Kościuszko da się jej użyć, gdy go będzie potrzebować przeciwko Prusom (że „wypuści na Prusy Kościuszkę"), jako bierne narzędzie jej rachub (jako „głupiec", którego się wyzyska, a potem wyrzuci). Rachuby te okazały się niewykonalnemi. Gdy

[1]) U nas miesza się zazwyczaj usposobienie a charakter, a tymczasem to całkiem odrębne są rzeczy. Studyum o usposobieniu Kościuszki byłoby nader ciekawe, a pożądane.

Katarzynę, zmarłą podczas przygotowań do uwolnienia Kościuszki, zastąpił Paweł, ostrożność i przezorność Kościuszki nie zmniejszyła się wcale, a nie kto inny, tylko on sam pokierował sprawą w ten sposób, iż uwolnieni zostali wszyscy jeńcy polscy bez zaciągania zobowiązań politycznych lub wojskowych (w listopadzie 1796 groziła wojna zaborców o podział łupów) i że sam mógł opuścić Rosyę... Pozostając potem w Finlandyi i w Stokholmie (podobnież w Londynie) pod ciągłym dozorem rosyjskim (codzienne odwiedziny ambasadora), potrafił jednak porozumieć się z rządem francuskim przez pośrednictwo posła holenderskiego. Wiadomo, jak później nie zdołali go podejść ani Fouché, ani Talleyrand, jak ani Napoleon nie mógł mieć w nim swego narzędzia [1]). Kiedy aż z trzech stron naraz wskrzeszano Polskę (pod koniec 1806 i z początkiem 1807 roku), on pozostał sobą, na stanowisku Naczelnika Narodu, reprezentanta jego całości i niepodległości. Jeżeli powiedzie się obozowi czy to francuskiemu, czy pruskiemu, czy też rosyjskiemu wyzyskać wypadki na korzyść Polski, Kościuszko nikomu robót nie utrudniał, przeciw żadnemu stronnictwu nie wystąpił, ale sam przywódcą żadnej partyi nie był. On wiedział, że wystąpić sam mógłby tylko wtenczas i tylko tam, gdzie i kiedy byłaby podjęta akcya celem przywrócenia Polsce niepodległości n a p e w n o i s z c z e r z e — a co do tego posiadał przenikliwość, godną najwyższego podziwu. Nigdy nikt nie zdołał go „użyć"! Stawali się ofiarami nadużyć przewrotności i narzędziami wrogów zawodowi dyplomaci, ale nie Kościuszko. Wywiedli Prusacy w pole Ignacego Potockiego dwa razy, wywiódł Aleksander Czartoryskiego, i również dwa razy — ale nie Kościuszkę. Przyznawał, że samo „przywrócenie imienia polskiego" ma wartość, ale dalekim był od uważania Królestwa Kongresowego za niepodległość! Nazywał rzeczy po imieniu. Nigdy nikomu za złe nie miał ani nie odradzał współdziałania w pracach i w administracyi Kongresówki, ale swoją drogą zastrzegał się przeciw uważaniu tego za niepodległość. Określił też ściśle, dokładnie, co rozumieć należy przez nie-

[1]) Jakżeż naiwnem jest przypuszczenie, że był narzędziem Czartoryskich! Dla braku miejsca nie wchodzę tu w to bliżej.

podległość: ani jednego obcego żołnierza, ani jednego obcego urzędnika!

Nie wyczerpawszy materyału w krótkiej rozprawce, przytoczono tu jednak dosyć dowodów, żeby mieć prawo do następującego twierdzenia:

Gdzie tylko Kościuszko osobiście wdał się w sprawy, wszędzie, zawsze i we wszystkiem objawiały się jego zdolności, i to w stopniu niepospolitym.

Był-to talent wielostronny, a twórczy. Ale to nie wystarcza do orzeczenia o wielkości. Ani szlachetność umysłu, ani zdolność umysłu, ni talent, ni charakter nie stanowią jeszcze o wielkości. Ani nawet twórczość sama, wogóle żaden rodzaj, ni żaden stopień talentu! Twórczość stanowi wprawdzie cechę istotną wielkości, ale rozstrzyga o niej dopiero w pewnej kombinacyi ze stanem umysłowości, który nazwijmy kulturą czynu.

Zdolność nabywa wartości dopiero natenczas, gdy przejawia się w czynach. Zdatność do czynu jest powszechną, podobnież, jak zdatność myślenia; a jednak niewielu jest stosunkowo ludzi, myślących stale i osób stale czynnych. Nawet niedołęga zdobędzie się na czyn epizodyczny, zmuszony jakąś koniecznością lub znęcony korzyścią. Przy całej zdatności do czynu można przejść przez życie biernym. Ale kto ma w sobie popęd twórczy, u takiego żadne przeszkody nie stłumią wątku twórczości, który on snuje z siebie samego bez ustanku.

Ciągłość czynu może być bez zdolności twórczej, objawiając się jako tylko pracowitość; dopiero zapłodniona ciągłością myśli, nabywa siły twórczej. I tak łączą się te kategorye zjawisk umysłowych, wydając ze swych kombinacyj kategorye wyższe.

Kultura czynu jest nawyknieniem do nieustannej czynności, skombinowanej z ćwiczeniem myśli. Nie wystarcza ruchliwość sama, nieustanne zajęcie się czemś, żeby mówić o kulturze czynu. Takie przymioty posiadają i dzieci, i to w wysokim stopniu. Chodzi o celowość pracy, o wysiłku obliczenie, ażeby nie szedł na marne. Czynność ma się bowiem stać środkiem do jakiegoś celu — a według wartości tego celu osądzimy wartość człowieka.

Innemi słowy: nie wystarcza ciągłość myśli i czynu, musi

jej towarzyszyć stałość celowości. Ta zaś zawisłą jest od jednolitości charakteru, która opiera się na jedności myśli z mową, na zgodności mowy z uczynkiem. Toteż jednolitość charakteru stanowi warunek nieodzowny kultury czynu. Charakterowi jednolitemu łatwiej o decyzyę.

Kościuszko doprowadził do mistrzostwa kulturę czynu, a natchnął ją celowością, czerpiąc z tego pierwiastka, w który włożył całe życie swoje: z Miłości. Tego pierwiastka brak było Napoleonowi.

Może być kultura czynu w służbie Dobra i Zła, w służbie jednostki lub ogółu. Można być wielkim w Złem.

Wielkość człowieka zależy od stosunku jego siły twórczej do kultury czynu. U Kościuszki i to i tamto znajdowało się w tak wysokim stopniu napięcia, że wielkość jego nie może ulegać wątpliwości, zwłaszcza, że trudnoby orzec, czy jedna strona przeważała kiedy nad drugą — do tego stopnia odznaczał się zrównoważeniem w swem poczynaniu. Kościuszko był mistrzem w opanowaniu własnych swych sił, tak dalece idealnym był u niego stosunek pomiędzy siłą twórczą a kulturą czynu.

Nie mogąc się tutaj wdawać bliżej w te sprawy psychologiczno-socyologiczne, zmierzam do konkluzyi:

Wartość wielkości człowieka wielkiego zależy od stosunku jego wielkości do najwyższej kategoryi pojmowania rzeczy ludzkich, t. j. do etyki. Twórczość winna być etyczną, wielkość moralną.

W kwestyach, sięgających do sedna człowieczeństwa, pomnieć należy, że jest stworzonym „na obraz i podobieństwo Boże". To tylko posiada w człowieku wartość bezwzględną, co ma w sobie coś z porządku nadprzyrodzonego. Twórczość wiedzie do wielkości natenczas, gdy zawiera w sobie jakiś odblask Twórczości Przedwiecznej. Twórczość człowiecza, twórczość wytwarzająca, stanąć musi pod Stwarzającą, na jej ograniczony obraz i ograniczone podobieństwo — w tem ograniczeniu, którego rozmiarów nie znamy i poznać nie mamy sposobu; jakie jej Przedwieczna zakre-

ślić raczyła. Tyle wiemy, że od twórczości do wielkości jedyna droga przez etykę.

Kościuszko celował nadzwyczajnem wykształceniem etycznem. Obok czułości etycznej, dostępnej każdemu (a którą podziwiamy nieraz u prostaczków), istnieje jeszcze wykształcenie etyczne, którego nabywa się ciągłą pracą nad sobą.

Etycznem kształceniem się trafił Kościuszko na drogę ku wielkości, przez obowiązek wyrobił w sobie kulturę czynu, poddawszy jej wrodzoną sobie olbrzymią siłę twórczą. Oto istota jego wielkości, którą próbowałem poddać analizie.

Dr. Feliks Koneczny.

Posąg Kościuszki.

Ze spiżowego on bachmata,
Prawicę w złote wznosi słońce,
Z piersi mu okrzyk nie wylata,
Jeno ma w oczach wielki dziw:
Gdzie hufce zbrojne? Gdzie obrońce
Lechickich znikły niw?

Spiżowej masce snać się zdało,
Że w racławickiem stoi błoniu
I trąby słyszy, grzmiące chwałą,
Więc niespokojnie zwraca twarz...
Zaklęty w spiże siadł na koniu
Zwycięski Hetman nasz.

Z ust jego okrzyk nie wylata,
Ani mu surmy bitew dzwonią,
Ani doń leci wieść skrzydlata...;
Do pochwy oręż włożył swój
I patrzy przed się, gdzie nad błonią
Zerwą się orły w bój?

Spiżowy rumak ziemię grzebie,
Z rozwianą grzywą nozdrza wzdyma
I chciałby wichrem rwać przed siebie,
Lecz Hetman cugle ujął w dłoń,
Tęsknemi patrzy w dal oczyma,
W jesiennych smugi błoń...

Daremno czeka On — Wódz żywy,
W krąg Niego martwe z spiżu łona,
Na wielkie ojców swych porywy
Niezdolne w orli szlak się wzbić,
Niezdolne ująć miecz w ramiona
I jasną ponieść wić...

Z wzniesioną w błękit dumnie twarzą
Spogląda Hetman w przestwór złoty,
I dawne boje Mu się marzą
I dawnych wizye idą snów —
I pytać zda się: „Gdzie me roty?
Gdzie orłów moich huf?“

O czekaj Wodzu nasz, Hetmanie,
Aż wzrośnie zastęp z twardą duszą,
Aż nowy hufiec z ziemi wstanie,
Z sercem, zakutem w mocy spiż...
Aż lwy się stare w pole ruszą,
Twój sztandar niosąc wzwyż!

O czekaj Wodzu — niechaj płynie
U stóp Twych szybka zdarzeń fala,
Aż ducha płomień w Twej krainie
Spiż martwy — w ognia zmieni słup...,
O czekaj Wodzu, grzmoty zdala
Do Twoich biegną stóp...

My Ci tymczasem niesiem wieńce,
Ozdobne cacka i festony,
Choć serca wrą nam w krwawej męce,
Choć sztandar woła, w górę wzbit,
Choć wkoło łuny blask czerwony
Wyzwoleń głosi świt...

Ks. Tadeusz Karylowski.

Historyczne podstawy władzy papieskiej.

Wsparty o stare, głęboko sięgające podstawy, wzniósł się gmach papiestwa więcej, aniżeli przed tysiącem lat, do potężnej, świat cały obejmującej budowy. Wtedy już, wiarą ludu uznane kolumny, dźwigały sklepienie, kryjące miliony chrześcijańskich dusz, a sięgające od hiszpańskich skał na pobrzeżu oceanu do południowych granic rosyjskiej równiny, od katarakt Nilu do krańców angielskiej północy, do pobrzeży Szwecyi i Jutlandyi. Żadne państwo w historyi świata nie może się w swojem powstaniu równać z papiestwem, ani pod względem wieku, ani ze względu na znaczenie okoliczności, towarzyszących powstaniu.

Więcej niżeli przed tysiącem lat, spoczywała władza papieska w rękach wytwornego Rzymianina, człowieka o wysokiem wykształceniu i szlachetnej powierzchowności, M i k o ł a j a I. (858—867), któremu historya przyznała tytuł: wielkiego. Wzrastając w rzymskim patryarchacie, przyswoił sobie od młodości już w bogatej mierze wiedzę, zarówno klasyczną, jak kościelną i prawną w owej szkole Laterańskiej, nad którą unosił się jeszcze wtedy złoty odblysk studyów z czasów Karola Wielkiego. Jeden ze współczesnych papieżowi pisarzy porównuje go, ze względu na szerokowładne rządy na czele chrześcijańskich narodów i ze względu na jego walkę z możnymi i najmożniejszymi, z papieżem Grzegorzem I. i prorokiem Eliaszem. (Regino v. Grüm, *Mon, Germ. hist. S. S. 1 p. 579).*

Pomimo otaczających go niebezpieczeństw, pomimo zdrady przekupnych prałatów, strzegł on silnie obowiązków i praw duchowego prymatu w Rzymie, który uważał równie ze swoimi poprzednikami za duchowe dziedzictwo władzy kościelnej św. Piotra. W czasie dziewięcioletniego swego panowania musiał przeprowadzić głęboko sięgającą walkę z pysznym i mocarnym arcybiskupem z Rawenny, przełamać opozycyę, która wyszła od wysoce uzdolnionego a samowładnego metropolity Hinkmara z Reims, połączonego ścisłymi węzłami z królestwem Frankonii, przedewszystkiem zaś musiał wystąpić w szranki przeciw uczonemu i żądnemu panowania Photiusowi, który narzucił się na patryarchę Konstantynopola i przeciw stojącej poza nim potędze cesarstwa bizantyjskiego, nieprzychylnej zdawna staremu Rzymowi. Wszędzie bogate żniwo powodzenia zbierała jego siła i mądrość. Zasady przeniesionej na papieża ochrony obyczajności i prawa wywołały za jego czasów radosne echo wśród wierzących. Kościół zarówno we Włoszech, jak i w młodem jeszcze państwie kościelnem, wzrósł w siłę. Frankowie zbliżyli się więcej do płynącego z Rzymu życia, Bizantyjczycy zostali powstrzymani, przynajmniej za jego życia, od niebezpiecznego kroku, prowadzącego do odszczepieństwa. Pracował on nieznużenie nad uobyczajnieniem świeżo do Kościoła wstępujących narodów, on to wezwał apostołów Słowian: Cyryla i Metodego do Rzymu, w celu podania im wskazówek, on wyciągnął ochronne i pomocne dłonie ku narodowi bułgarskiemu, gdy po przyjęciu wiary katolickiej kultura jego była jeszcze w powijakach, on pouczał jego posłów, on wbrew bizantyjskim chęciom połączenia Bułgaryi ze Wschodem (przypomina to daremne zabiegi Rosyi w dobie obecnej, o osiągnięcie przewodnictwa) doprowadził ją do zespolenia z Zachodem i z naszą chrześcijańską kulturą. Na ich prośbę przesłał im mężów dla głoszenia kazań, a gdy zwrócili się do niego z różnemi zapytaniami w sprawie różnych, prawnych i moralnych zagadnień, odpowiedział im wyczerpująco w słynnem a do dziś dnia zachowanem piśmie: *Ad consulta Bulgarorum*, obejmującem 106 rozdziałów. *(Jaffe Reg. rom. pontiff. n 2812).* Dokument ten jest wzorem sztuki socyalnego, religijnego i politycznego wychowania ludów, a wyróżnia

się także specyalnie tem, że papież obok używanego ogólnie prawa rzymsko-bizantyjskiego, uwzględniając szczególne potrzeby tworzącego się państwa bułgarskiego, posługuje się również jako normą w rozstrzyganiu zagadnień prawem longobardzko-frankońskiem. Zdaje się, według świeżych dowodów Maksa Conrata (Nowe archiwum 36, 1911 A. 719 i d.), iż posłał im jako prawo, według którego naród się miał rządzić, nie kodeks justyniański, jak powszechnie sądzono, tylko t. zw. edykt longobardzki, z kapitulacyami Karola Wielkiego, przyjętemi dla longobardzkich Włoch. W każdym razie przeprowadził on wtedy jedno z najznamienitszych rozgraniczeń prawa ogólnego, na korzyść nowych praw ludowych. Papiestwo nie było przesiąknięte fanatyzmem, jaki mu się często, przy roztrząsaniach podwalin jego władzy, przypisuje, nie pragnęło urządzić świata według wzoru starego Rzymu, ani go „zrzymianić". W podobny sposób czynił Mikołaj I. pełne rozsądku starania o rozwój chrześcijańskiej kultury u Anglo-sasów, Duńczyków, Gotów zachodnich, w Hiszpanii, u chrześcijan w Afryce, uciskanych przez Arabów i t. d. Mógł on już wtedy zwać Rzym chrześcijańską stolicą, w której tysiące szukały opieki św. Piotra i przytułku. *(Jaffe w. 2796 ad Michaelem imperatorem: Mansi* 14 p. 207; Hergenröther, *Photius* 1. 574).

Nieznużona, powszechna, duchem Chrystusa ożywiona działalność wielkich następców św. Piotra w Kościele powszechnym, stworzyła olbrzymią dźwignię do powstania tak wysoce wpływowego stanowiska papieży w wiekach średnich. Mikołaj I. był szczęśliwym pionierem na drodze do tego stanowiska, nie można jednak przypisać tego, jak to nieraz czyniono, przypadkowemu szczęściu i słabości książąt i ludów, ani, jak to uczynił jeden z nowoczesnych epigonów, przestarzałej teoryi o ambicyi, pisząc: „o rzadkiem szczęściu, które dozwalało papieżowi zadowalać zawsze jego hierarchiczne pretensye (H. Böhmer w protestancko-teologicznej „Realenzyklopädie" [3], 14 st. 70). Nie żądza panowania tak zwanej kasty kapłańskiej utworzyła średniowieczną potęgę papiestwa, ale powstała ona z pełnych ofiary wysiłków, płynących z wyższego powołania i pełnomocnictwa, o urzeczywistnienie moralnych, prawdziwie chrześcijańskich ideałów w życiu narodów. To było zna-

mieniem pracy w ciągu życia Mikołaja, którego Kościół z wdzięczności zaliczył w poczet swoich Świętych, ze względu na wysokie cnoty osobiste, pełną zaparcia pokorę i miłość bliźniego. To było również cechą jego poprzedników we władzy i najwybitniejszych jego następców, pomimo, że w ogólnym szeregu papieży, nie brak wcale cieniów pod względem obyczajności i że czysto ziemskie cele przesłaniały drogę ich postępowania. Jak wielu innych, musiał znosić także Mikołaj Wielki bardzo przykre cierpienia, a zbierać w nagrodę nie chwałę i zasługę, władzy należną, ale prześladowanie i obelgi, szczególniej wtedy, gdy występował przeciw nieobyczajności i samowolnym wybrykom regentów.

Król lotaryński Lothar odtrącił za czasów tego papieża swą prawowitą małżonkę, by żyć publicznie z kochanką. Bez trwogi wystąpił Mikołaj I. do walki przeciw koronowanemu cudzołożnikowi, w obronie praw moralności, w obronie czci nieszczęśliwej królowej, chociaż wielu wysokich dostojników Kościoła w państwie Lothara stanęło po jego stronie, odgrażając się papieżowi. Gdy fortele i usiłowania światowej polityki nie zdołały zachwiać stanowczości rzymskiego pasterza, wdarł się brat Lothara, cesarz Ludwik II., z wojskiem do Rzymu. Jego bandy znieważały księży i osoby prywatne, łamały krzyże i sztandary, dwa dni i dwie noce oblęgały papieża, który schronił się do kościoła św. Piotra i tam przebywał bez jedzenia i napoju, gotów był jednak raczej życie położyć, niżeli zezwolić na zachwianie praw małżeństwa, tworzących życiowe tętno chrześcijańskiej rodziny. W końcu zwyciężył i on w tej walce, jak i inni papieże w podobnych wypadkach znieważenia małżeństwa pokonywali książąt, n. p. Grzegorz V. króla Roberta, Urban II. francuskiego króla Filipa, Innocenty III. króla Filipa Augusta i t. d. Czyż takie zwycięstwa nie musiały kłaść silnych podstaw pod władzę papieską? Małymi okazywali się mocarze wobec moralnej wielkości chrześcijańskiego Rzymu, gdyż papieże w podobnych wypadkach przemawiali, jak Innocenty III., do ostatniego z wymienionych królów: „Pójdziemy dalej po królewskiej drodze, nie zbaczając w prawo ni w lewo, sądząc bez względu na osobę, bo Bóg sam nie zważa na osobę".

*

Za punkt wyjścia dla naszej pracy obraliśmy sobie czas pontyfikatu Mikołaja I., a więc czas przed zakończeniem pierwszego tysiąclecia chrześcijańskiej ery, stąd cofniemy się do początków papiestwa, a później podążymy naprzód, zwracając oko na nowsze czasy. Rzut oka wstecz wykaże, jak obok podwalin znakomitości, stworzonych osobistą wielkością i pracą wielu papieży, spoczywają inne podwaliny, historyczne, sięgające w głąb aż do historycznie głównego fundamentu, t. j. prastarych ksiąg świętych, zawierających właściwe uzasadnienie prymatu.

Pomijając na razie założenie państwa kościelnego, spotykamy, cofając się wstecz, dostojne postacie papieży, którzy ścisłym węzłem połączyli rzymską stolicę z najbardziej nadziejną siłą Zachodu, z krajem Franków, opierając tem samem kulturę Zachodu i własny wpływ na silniejszych podstawach. Leon III. i Hadryan I., przyjaciele Karola Wielkiego, dalej zaś wstecz: Stefan II., Zacharyasz, Grzegorz III. i II., oto papieże, pod którymi świecko-książęca władza papieska wzrastać zaczyna. Wcześniej jeszcze, na przełomie VI. i VII. stulecia, spotykamy czcigodną postać Grzegorza I. Wielkiego († 604), którego nazwano największym z papieży, ze względu na cudowne połączenie osobistych, przepięknych zalet z uzdolnieniem męża stanu, w najświetniejszym, starorzymskim stylu i z potęgą woli chrześcijańskiego władcy. Grzegorz I., przejęty palącym bólem nad Włochami, chylącemi się wskutek najazdu Longobardów do upadku, porzucił urzędy państwowe i świat i z olbrzymich latyfundyów swej senatorskiej rodziny założył siedm klasztorów i sam pozostał mnichem w założonym przez siebie klasztorze na rzymskim Caelius, jednakże głos Kościoła powołał go, wbrew jego woli, na widownię światową. Ludy, które zajęły obszary państwa rzymskiego, pomiędzy niemi zwłaszcza zawzięci, częścią pogańscy, częścią aryańscy Longobardowie we Włoszech, podlegali pieczy urzędu papieskiego i duchowej opiece jego biskupów, księży i mnichów. Najpierw jednak musiał Grzegorz bronić przeciw nim chylące się do upadku mury Rzymu. Starał się uratować z Włoch przed longobardzkim mieczem, co tylko uratować było można dla wschodnio-rzymskiego władcy, cesarza Konstantynopolitańskiego. Mało znanym, świetlanym pun-

ktem w historyi Grzegorza I. jest dzień, w którym odważnie i z godnością wyszedł na spotkanie króla Longobardów, Agibalfa, powstrzymując go u bram kościoła św. Piotra, leżącego wówczas jeszcze poza obronnymi murami, i niby drugi papież Leon przed Attylą, potęgą swego kapłańskiego słowa skłonił go do odwrotu. (*Prosperi Continuator Harniensis w Mon. Germ. hist. S. S. antiq.* 9 p. 339, niemal współczesne sprawozdanie z r. 649). Mimo to przed tem samem Byzancium, dla którego ratował połowę Włoch, umiał bronić duchowego prymatu św. Piotra nad Kościołem w starciach z cesarzem Maurycym; jeszcze żarliwiej ujmuje się za prawami pokory i miłości względem własnych współbraci przeciw dumnemu dworakowi, patryarsze bizantyjskiemu, Janowi, który przywłaszczał sobie tytuł patryarchy ekumenicznego. Resztki dawnych herezyi: argénizmu, donatyzmu, monofizytyzmu, usuwał mądrze pełną siły ręką. Uczył biskupów — a także przy sposobności germańskich książąt, jak mają rządzić. W swoich religijnych pismach, pełnych ojcowskiej serdeczności, stworzył on średniowieczne, niewyczerpane źródło zbudowania i nauki, żadne też inne pisma nie były w klasztorach tak często przepisywane, jak jego prace. Zakonników św. Benedykta, przez swoje zarządzenia prawne, pełne troski, podniósł do godności ściśle z hierarchią połączonego, pełnego życia organu kościelnej i oświatowej pracy, a jak stał się ojcem zakonników, tak stał się także odnowicielem liturgii i muzyki kościelnej.

Obfity zbiór jego listów, ze względu na ich związek z najwcześniejszą historyą Niemiec, wydany w całości przez: *Monumenta Germ. hist.*, dozwala historykowi raz pierwszy w szeregu dawnych papieży, wglądnąć szczegółowo w najdrobniejsze cechy rządów dawnego papiestwa; z korespondencyi dawniejszych papieży ocalała bardzo mała cząstka. To tak zw. registrum Grzegorza I., pilnemi rękami zakonników rozpowszechniane, uwieczniło dla użytku papieży i biskupów, podniosły przykład o wszystko dbałego papieża i okazało następcom zasługi, położone przez tegoż niemal zawsze chorego męża dla wielkich celów ludzkości. Ukazuje go nam ono, wglądającego nawet w drobne sprawy państwa duchownego i ziemskiego dobrobytu, a nawet udzielającego ochrony

prawnej proszących go o nią wdowom, wspierającego cierpiących nędzę chrześcijan na dalekim Wschodzie, którzy także domagali się wsparcia od bogatego już wówczas Kościoła rzymskiego.

Poznajemy u tego papieża-mnicha niemal namacalnie ową nadnaturalną siłę rozpędową chrześcijańskiej religijności, będącą podwaliną władzy papieskiej. Pód wpływem tej siły zaparcia się i miłości wychowani przez św. Grzegorza biskupi i zakonnicy Zachodu, stanowiący prawe ramię papiestwa, stworzyli niemal cuda w dziejach kultury.

Cofając się dalej wstecz, spotykamy mężów takich, jak: Pelagiusz I., Symmachus, Gelaziusz I., istne typy starożytności, w których duch rzymski uszlachetnił się przez chrześcijańskie zasady rządzenia. Przykuwa tu w pierwszym rzędzie uwagę postać Leona I. Wielkiego (440—461), wybawcy Włoch od Attyli i obrońcy Rzymu wobec Genzeryka. Święty Leon był potężnym murem ochronnym przeciw tyranii bizantyjskiej, w rzeczach wiary był światłym ojcem Kościoła i kaznodzieją, występującym z podniosłemi mowami. Przed nim działali Sykstus III. i Celestyn I., dalej zaś wstecz, na progu V. stulecia, Innocenty I., u szczytu IV. wieku papież Damazy IV., a w pośrodku tegoż Juliusz I., każdy z nich w swoim specyalnym zakresie i odpowiednio do stosunków czasu wybitny, jako obrońca praw prawdziwej nauki wobec herezyi, jako opiekun odziedziczonych zdawna przywilejów stolicy rzymskiej i jako krzewiciel dobrobytu w burzliwych czasach wędrówki narodów. Jak wyniośle spoglądają na patrzącego dziś jeszcze mozajkowe portrety niektórych z tych papieży, w ozdobionych ich staraniem kościołach Rzymu! Tu oddychamy duchem dawnego, rzymskiego Kościoła państwowego, pod którego opieką papiestwo, wówczas już władające, jako najwyższa instancya, Kościołami Wschodu i Zachodu, mogło swoje zadanie wypełniać lepiej. Cesarstwo, stawszy się chrześcijańskiem, potrzebując samo pomocy od religii, przyczyniło się swojem prawodawstwem w olbrzymiej mierze do uznania podstaw papiestwa. Rzymski biskup, Sylwester, przy rozpoczęciu nowej chrześcijańskiej epoki (314—331) cieszył się wielkimi względami cesarza Konstantyna, pierwszego cesarza, który przyjął chrzest (307).

Sylwestrowi było danem, iż za jego czasów skończyła się epoka prześladowań. Wielu naczelników rzymskiego Kościoła, od czasu gdy Neron rozpoczął krwawe prześladowanie, poniosło śmierć za wiarę. Rzymski prymat, kryjący się w zarodku, który dopiero w późniejszym czasie mógł się odpowiednio rozwinąć, nie występował w pierwszych trzech stuleciach tak, jak w czwartem i piątem, ale istniał i był uznawany, jak o tem świadczą pisma: Cypryana i Ireneusza, Tertuliana i Ignacego z Antyochyi, jak również listy i zarządzenia rzymskich biskupów, n. p. Wiktora I. i już trzeciego z rzędu następcy księcia apostołów, Klemensa I. Świadectwa owe niesłusznie nazwano niedostatecznemi; częste a przynajmniej milczące przypuszczenie, że posiadamy już wszystkie źródła, jest fatalną pomyłką.

Że jednak apostoł Piotr w Rzymie stolicę swoją założył i tamże, na watykańskiem wzgórzu, jako męczennik ostatni znalazł spoczynek, było ogólnie przyjętem twierdzeniem. Potwierdziła je wobec zaprzeczeń, interesami polemicznymi podyktowanych w w. XVI., stanowczo wiedza dzisiejsza nasza i protestancka. *Grób św. Piotra,* obok cyrku Gajana przy Via Cornelia, nazwał Rudolf Lanciani, jeden z pierwszych pomiędzy badaczami włoskimi, *„evidenza topografica“*, a nazwał go tak na podstawie historyczno-topograficznych źródeł. (Grisar, „Historya Rzymu i papieży średniowiecza“, 1 tom, 1901, str. 191 i n.). W czasach najnowszych jeden z bezstronnych uczonych niemieckich, Hans Lietzmann z Bonn, poddał w książce swojej p. t. „Piotr i Paweł w Rzymie“ (Bonn 1915) dawne liturgiczne i archeologiczne dowody, krytycznej i rzecz ostatecznie decydującej ocenie. W tem historycznem miejscu, u grobu pierwszego z apostołów, dzierżącego klucz Piotra, musimy wspomnieć o dokumencie, zakładającym papiestwo.

Piotra wybrał sam Założyciel Kościoła, w zastępstwie swojem, jako głowę i kamień węgielny tegoż, a jego urząd naczelny nad wiernymi miał przejść na dziedziców jego tronu — na rzymskich biskupów. W tem zarządzeniu Chrystusa spoczywa *źródło papieskiej władzy.* Są to uroczyste świadectwa historyczne, których echo dźwięczy przez cały tok dziejów, gdy jemu, dawnemu

rybakowi, oświadcza Ten, który słowu swoje nieśmiertelną prawdą uczynić może, że jest Piotrem, opoką, a na tej opoce zbuduje Chrystus swój Kościół, którego moce piekielne nie przemogą, że odda mu klucze niebieskie, a później, po zmartwychwstaniu, ten sam Zbawiciel, w uzupełnieniu obietnicy Piotrowi jedynie daje polecenie: „Paś baranki moje, paś owieczki moje". Na ten wielki, prawny tytuł pasterza powoływali się śmiało wszyscy papieże, przy swoich duchownych rządach i objawach władzy w ciągu wszystkich stuleci; przed tym tytułem skłaniali głowę wierzący, i dopiero w XVI. stuleciu wśród walk religijnych, powstałych z innej przyczyny, poczęli rozpowszechniać przeciwnicy papieża samowolnie wysnute tłumaczenia, że w mowie o opoce Chrystus siebie, a nie Piotra, nazwał ową skałą, na której Kościół ma się oprzeć: „Ty jesteś Piotr i na tej opoce", to znaczy na mnie, Chrystusie, chcę zbudować całe Moje chrześcijaństwo". Tak często pisał Luter, a szczególnie w ostatniem dziele swojem: „Papiestwo założone przez dyabła" (Grisar, Luter, 2 wyd. tom 3, str. 813). Dokładniejsza jednak protestancka egzegeza biblijna wyzbyła się w dobie obecnej tego samowolnego i niegramatycznego wyjaśnienia tekstu. Znany przedstawiciel protestantyzmu, H. A. Mayer, oświadcza otwarcie: „Bez wątpienia został wówczas prymat przyznany Piotrowi wśród apostołów" (ib. str. 814), a Schelling już w r. 1858 pisze: „Te słowa Chrystusa są najzupełniej rozstrzygającemi dla pierwszeństwa św. Piotra pośród apostołów, i trzeba zupełnego zaślepienia partyjnego, by módz przeczyć sile dowodowej tych słów, albo im inne przypisywać znaczenie". Musieli więc przeciwnicy poszukać innego wyjścia; orzeczono tedy śmiało, że cały ustęp o epoce jest obcym wtrętem. Jeszcze w nowszych czasach jeden z niekatolickich teologów powtórzył to samo zdanie w jednem z pism, które zresztą cieszyło się zawsze w świecie naukowym lepszą opinią.

Czynnikiem decydującym jest tu to przekonanie, iż założenie podwalin pod władzę duchowną papieską, nie było rzeczą ludzką, lecz według niezachwianej wiary Kościoła, czynem Boga. Wiarę w Bóstwo Chrystusa wypowiedział Piotr w pełnych siły słowach: „Ty jesteś Chrystus, Syn Boga żywego", bezpośrednio

przed słowami Chrystusa: „Tyś jest Piotr". Jak Kościół dla katolika nie jest dziełem człowieka, tylko Boga i dlatego jest niezniszczalny, tak samo i prymat następców św. Piotra. Jego zdaniem, bez Bóstwa Chrystusowego, które stanowi fundament chrześcijaństwa, nie byłoby Kościoła, ani prymatu, któryby był zdołał przetrwać burzę stuleci. Jedynie z tej niewidzialnej, Boskiej Głowy Kościoła, z Chrystusa, spływała w ciągu stuleci na Kościół, jako widome Ciało Chrystusowe, jakie tworzy on według słów Pisma św., owa żywotna siła, umożliwiająca Kościołowi działalność, cały świat obejmującą, i na jego widomą głowę, papiestwo. Dla tych, którzy stoją poza Kościołem i nie są obyci z pojęciami teologicznemi, trudnem jest może zrozumienie tej idei, wierzący katolicy jednak przypominają sobie, że cudowne, prawdziwie Boskie siły wyróżniały Piotra jeszcze przed powołaniem go na ten urząd, jako zadatek tego, co miało być możliwem kiedyś dla niego i jego następców. Gdy Piotr, według świadectwa Ewangelii, szedł do Pana po morzu, uniosły go posłuszne fale, a wzruszeni świadkowie cudu zawołali do Chrystusa: „Zaprawdę, Ty jesteś Synem Bożym". Również Piotr i towarzysze byli świadkami, gdy Pan stworzenia w czasie burzy „rozkazał wiatrom i morzu, i stała się ogromna cisza". Słowa Chrystusa Pana, rzeczone podówczas do uczniów: „Dlaczego się trwożycie, o małowierni", w godzinach walk i niedoli wlewały zawsze siłę niebiańską w żyły Kościoła i papiestwa. Gdy liturgia wspomina z wdzięcznością Świętych w długim szeregu papieży, wzywa też w antyfonie wierzących, aby przejęli się ich wiarą, tem ich życiowem tchnieniem *(„imitemini fidem")*, odpowiedź brzmi: *„Jesus Christus heri et hodie"*, „wczoraj i dzisiaj i na wieki".

Jestto ta sama myśl, którą wyrażono w słowach, zamieszczonych na egipskim obelisku, na placu św. Piotra w Rzymie, w pobliżu Watykanu, rezydencyi papiestwa: *„Christus vincit! Christus regnat! Christus imperat!"*

* * *

Gdy od początków biskupów rzymskich spoglądamy przed siebie na papiestwo za czasów Mikołaja I., albo około roku tysią-

cznego, to widzimy rozwój pod względem socyalnym i politycznym; patrymonia rzymskiego Kościoła i rozpoczynające się państwo kościelne występują tam jako nader potężne czynniki. Kwestya socyalna i polityczna nie mogły od początku pozostać Kościołowi obcemi, nie był on bowiem założony dla samych duchów. Społecznie działał Kościół rzymski od najwcześniejszych czasów, w coraz szerszych kręgach, przez ulepszanie stosunków społecznych, przedewszystkiem jednak przez dobroczynność na wielką skalę. Biskupa Sotera z czasów Marka Aureliusza sławi pismo dziękczynne korynckiego biskupa Dionizosa za hojnie przysyłane dary z dalekich stron, a to głównie dla wyznawców greckich, skazanych za to, że nie zaparli się wiary św., do robót w kopalniach. W piątem i szóstem stuleciu wzmocniony już i zamożny Kościół rzymski, stał się jakby wspólnym spichlerzem dla krajowej i obcej nędzy materyalnej. Gdzie znajdowały się wówczas środki dla owych niewyczerpanych darów, o których słyszymy, na jałmużny, wykupno niewolników, na wyposażenie ubogich kościołów, na utrzymanie misyonarzy, na wszystkie te dzieła miłosierdzia, o których zachowały się sprawozdania z czasów Gelaziusza, Pelagiusza, głównie zaś Grzegorza I.? Spoczywały one głównie we wzrastających z czasem dobrach ziemskich papiestwa albo Świętopietrza, we włościach t. zw. patrymoniów rzymskiego Kościoła. Za czasów Grzegorza I., około r. 600, obejmowały one według sumarycznych obliczeń, przeprowadzonych na podstawie zapisków w jego registrum, przestrzeń mniej więcej obszaru Flandryi; były zaś rozrzucone po bogatych w zboże wyżynach Sycylii, po żyznych dolinach Włoch, od Kalabryi i Neapolu aż do Alp Kotyjskich, znajdowały się również w Afryce północnej, Galii południowej, w Ilyryi. Patrymonia wzrosły wskutek nadań bogatych rzymskich rodów, przekazanych Kościołowi. Co ongi zdobył chciwy łupu orzeł rzymski pod wodzami i konsulami, to składali u stóp obrońcy swego, księcia apostołów, pobożni wnukowie. Znakomite nazwiska tych Rzymian znajdują się zachowane w spisie *massae* i *fundi*, szpitali i kościołów wiejskich, oraz w papieskich księgach rachunkowych: *Massa Papiriana, Furiana, Varroniana.* Tu w tych darach dla ubogich *(res pauperum)* często określano

patrymonia; żyją dalej takie nazwiska, jak: Corneliuszów. Anicyuszów; Fontejus, Pontius, Pompilianus, Constantius, Caj.is i t. d. (Grisar, Patrimonien i t. d. Zeitschrift für Kath. Theol. 1877, str. 32 i n.). Troskliwość o zarząd tych posiadłości, zwłaszcza ze strony kościelnych t. zw. „defenzories", zaznacza się szczególnie w listach papieży. Jeszcze za Gelazyusza I. założona księga gruntowa *(polyptychus Gelasianus),* rozszerzona była podstawą zarządzeń Grzegorza I., a ten w swoich rozkazach schodzi nawet do takich szczegółów, jak np. ile krów ma się trzymać na Sycylii. Prawdziwie książęcą posiadłością były te bogactwa w rękach papieży. Jednak nawet największy właściciel na Zachodzie, nigdzie jeszcze nie rządził jako władca; świecka władza we Włoszech spoczywała w rękach wschodnio-rzymskiego, bizantyjskiego cesarza. Jedyne w swoim rodzaju wyposażenie dóbr Kościoła rzymskiego okazuje się jednak jako rzeczywiste przygotowanie do państwa kościelnego, tem bardziej, że kierunek zewnętrznego położenia prowadził do państwa kościelnego, torując drogę odpowiednim naturze zmianom w rządach Italii za króla Pippina.

Jeszcze jedno spotężnienie władzy rzymskiej Stolicy przygotowało państwu kościelnemu podłoże; niedawno wspomniane ustawodawstwa świeżo na chrześcijanizm nawróconego cesarstwa sięgały w postanowieniach swoich tak daleko — naturalnie nie bez względu na własny interes — że pozostawiły biskupom, a w szczególności papieżowi, głęboko sięgającą kontrolę nad zarządem miejskim i wojskową obroną miast. W praktyce często pozostawiano miasta zupełnie ich pieczy. Gdy zatem papieże z poczucia patryotyzmu występowali czynnie, ilekroć wymagało tego niebezpieczeństwo, grożące od nieprzyjaciół, albo potrzeby pieniężne zawsze niedomagającego i słabego pod względem wojennym cesarstwa, gdy oni jedni wraz ze swymi biskupami bronili nieraz grodów i zamków, albo moralnym swoim wpływem u nieprzyjaciela chronili życie mieszkańców, zdobywali sobie przez to ogromne uznanie u ludu, to też później, przy założeniu państwa kościelnego, poddał się on samorzutnie i z radością władzy papieskiej.

* * *

Gdy teraz po utworzeniu państwa kościelnego spytamy się o historyczne podstawy władzy papieskiej, staniemy wobec drugorzędnej, ale bardzo ważnej podstawy materyalnej natury. Dobra patrymonialne i ochrona miast były już silnym czynnikiem do rozwoju rzymsko-kościelnej władzy; utworzone jednak w ósmem stuleciu państwo kościelne dodało papieżom nowy, a w czasach późniejszych nieraz poważnie na szali wypadków oddziaływujący tytuł: powszechnego stanowiska. Błędnem jest atoli pojawiające się często mniemanie, że państwo kościelne było w ciągu dziejów niejako kotwicą papiestwa. W pierwszych już czasach, po napadzie Longobardów na Włochy, oznaczył papież Pelagiusz II. w pierwszym swoim liście r. 580 *(Mon. Germ.* fpp. 3, p. 449) Franków, jako przeznaczonych w przyszłości pomocników do wybawienia i wywyższenia Rzymu. Nie tylko jednak przeciw niebezpieczeństwu Longobardzkiego zalewu, ale także przeciw uciskowi dotychczasowego zwierzchnika, cesarza greckiego, okazała się konieczną pomoc ze strony potęgi zachodniej, jak również i silne oparcie papiestwa na władzy świeckiej. Zamiast zapobiedz upadkowi Rzymu i Włoch, wydawali bizantyjscy władcy, hołdując właściwym sobie upodobaniom, dekrety w sprawach wiary, po myśli swoich patryarchów i biskupów dworskich. Opozycyę Stolicy apostolskiej przeciw ich wyrokom, które niszczyły naukę chrześcijańską, usiłowali wielokrotnie pokonać przemocą; papieży uważali przecież za swoich poddanych, którzy winni im byli posłuszeństwo! Tak n. p. zatwierdził Konstantyn II. przeciwną prawdziwej chrystologii naukę monoteletów i zażądał od Rzymu jej zatwierdzenia. Wobec bohaterskiego sprzeciwu papieża Marcina I. (649—655), kazał tego chorego, szlachetnego męczennika u grobu Piotrowego, dokąd się na łożu zanieść rozkazał, uwięzić, dostawić okrętem do Konstantynopola, i po hańbiących ceremoniach, w jego obecności odbytych, uznał go za zdetronizowanego, a następnie wysłał go na wygnanie do taurydzkiego Chersonezu, gdzie Marcin w nędzy i ubóstwie, a nawet głodem zmożony, życie zakończył. Za Grzegorza II. (715—731) groziły podobne gwałty z powodu zaburzeń obrazoburców, pod rządami w błąd wprowadzonego cesarza Leona Izauryjczyka. Grzegorz II. wystąpił nieustraszenie w obronie starego kultu, a tem

samem też w obronie twórczej pracy i pilności artystycznej. Lud i wojsko środkowych Włoch stały po stronie papieża, mimo tego Izauryjczyk chciał nawet targnąć się na osobę papieża; nie udało mu się to jednak wobec groźnej postawy Rzymian, którzy ślubowali za Najwyższego Pasterza i opiekuna wiary chrześcijańskiej życie położyć. We wojsku księstw Pentopolis i Wenecyi, a później także we Włoszech środkowych przyszło nawet do prawdziwej rewolty; wygnano dowódców bizantyjskich, a obrano swoich własnych. Papież pozostał jednak, mimo wszystko, wierny wschodniorzymskiemu państwu, pomógł nawet greckiemu egzarsze Eutydiuszowi do pokonania buntu Tyberiusza w Turcyi, chociaż byłoby mu przyszło niezmiernie łatwo zająć we Włoszech miejsce bizantyjskiego władcy.

Ale dopiero w chwili największej grozy, spowodowanej najazdem Longobardów, stało się wkrótce potem nieuniknionem założenie nowego rządu, w wydanym na łup kraju. Papieże ociągali się z tem do ostatka. Następca Grzegorza II., Grzegorz III., szukał (od r. 739) napróżno pomocy przeciw królowi Longobardów, Luitprandowi, u potężnego majordomusa Franków, Karola Martella.

Papież Zacharyasz, jego następca, zdolny Grek, ułagodził Luitpranda i wpływem swoim uratował dla Bizancyum egzarchat Rawenny. Pełne znaczenia są słowa w ówczesnem źródle: „Księdze papieskiej“: gdy papież Zacharyasz wyruszył do Luitpranda, „oddał rządy miasta Rzymu patrycyuszowi i księciu Stefanowi“, to znaczy, że wierny państwu, oddał rzeczywiście przez siebie sprawowane rządy do rąk najwyższego urzędnika bizantyjskiego. We Włoszech zjednał Zacharyasz wszystkim prowincyom wschodniorzymskim pokój, w kraju Franków zaś potwierdził śmiałym gestem polityka pełen następstw krok możnych tego kraju, który przynosił koniec tamtejszym beznadziejnym stosunkom, gdzie królowie Merowingów posiadali tylko tytuły i pozory, a właściwa istota i treść rządów spoczywała w rękach majordomusa. Majordomusa Pipina namaścił z polecenia Zacharyasza apostoł Niemiec, św. Bonifacy, w r. 751 na króla. Stało się to — rzecz dziwna — w tym samym roku, gdy we Włoszech środkowych, pod gwałtownym

naporem Longobardy Aistulfa zdobyto Rawennę i tak złamano na zawsze potęgę bizantyjską.

Nowy papież, Stefan II., widząc Rzym zagrożony bezpośrednio przez nieubłaganego, dzikiego zwycięzcę, spieszy w porze zimowej przez Alpy do Pipina, a umowa, która nastąpiła z tym przedsiębiorczym i Kościołowi oddanym władcą, przyczyniła się do powstania państwa kościelnego, jako owocu twardej konieczności. Wyniki najnowszych, żywo nad tą sprawą prowadzonych badań, są następujące: papież Stefan albo przez niego św. Piotr otrzymuje w Ponti od Pipina, w obecności jego szlachty, w dniu 6 stycznia 754 r. przysięgę, potwierdzoną obietnicą, że król bronić będzie Kościoła rzymskiego i jego gminy *(defensio romanae ecclesiae* i utrzymanie pistitiae b. Petri), z zastrzeżeniem przeprowadzenia tam stanu samodzielności, jaki się wytworzył w Rzymie i w jego prowincyi. Jest to akt podobny do znajdującej się w prawie frankońskiem *commendatio,* tylko jest to commendatio o wiele wyższego stopnia. W czasie tego pobytu Stefana w kraju Franków zawarto także formalny związek pomiędzy papieżem i królem i obustronnie go zaprzysiężono, tak, jak się to dzieje między dwiema równoznacznemi potęgami; przyjaciel i wróg, czytamy tam, mają być od tego czasu uważani za wspólnych obu *(Cod. Carol. n. 45);* przytem zostaje król zamianowany przez papieża „Patrycyuszem Rzymian", to znaczy obrońcą miasta Rzymu i jego obrębu, tytuł, który poprzednio posiadał egzarcha Rawenny. Później, w r. 754, nastąpiło w Kiersy *(Carisiacum)* praktyczne zastosowanie wyżej wzmiankowanego przyrzeczenia patronatu z Pontion, w tej formie, że kwestye włoskiego stanu posiadania między możnymi a papieżem rozwiąże frankoński władca, wystawiając dokument, którym oddaje papieżowi, jako własne jego państwo, kraj, który Longobardom ma być odebrany, jako przez nich bezprawnie obsadzony. Na imię księcia apostołów wystawiono więc dokument gwarancyjny; dosłowny tekst jego wprawdzie zaginął, jednak istnienie jego na podstawie innych źródeł, szczególniej zaś na podstawie późniejszego dokumentu darowizny, o którym będzie niżej wzmianka, prawie na pewno udowodnić można. Z dzielnymi Frankami oblęga wnet Pipin Pawię i zmusza króla Aistulfa do obietnicy,

że wyda zabrane prowincye na rzecz papieża. Egzarchat zaś Rawenny miał się dostać *Romanidom*, prawdopodobnie wschodnim Rzymianom. Ponieważ jednak podstępny król wyruszał przeciw królestwu Italii, pod nim zjednoczonej, i nie tylko nic nie oddał, ale na nowo chciał napaść na Rzym, więc zmuszony został orężem Pipina, który po raz drugi wyruszył przeciwko niemu, nie tylko do zwrotu wpierw przyobiecanych obszarów, ale również do wydania egzarchatu i Pentapolis. Klucze miast przywieziono do Rzymu i złożono na grobie św. Piotra. Wtedy pojawiają się na widowni dotychczas bezczynni Bizantyjczycy, a ich posłowie żądają zwrotu wszystkiego dla swojego cesarza; otrzymują jednak od Pipina ową sławną odpowiedź, że prowadził wojnę przeciw Longobardom nie w celu pozyskania łaski jakiegoś człowieka, ale z miłości dla księcia apostołów Piotra i dla zmazania swoich grzechów, a za żadne pieniądze nie cofnie danego rzymskiemu Kościołowi przyrzeczenia.

Posiadłości ówczesne Longobardów zostały więc w nowem państwie podzielone na dwie części. Granice nowego państwa kościelnego szły na północy od Luni, miasta dawnej granicy między Tuscyą i Liguryą, przez Parmę do Mantuy, dalej przez Monfelice, gdzie niegdyś stykały się granice egzarchatu z prowincyą Wenecyi. Zachodnia część egzarchatu pozostała przy Longobardach, Pentapolis jednak przypadła papieżowi. Na południu tworzył kresy rzymski Duketus, t. j. Tuscya i Campagna wraz z wiecznem miastem. Rzymu i jego okręgu nie opuszczono przy spisywaniu darowizn, nie były bowiem przez Aistulfa zdobyte, więc też były odebrane; odnośnie do nich uznano poprostu dawny *status quo*. Historya przydzielenia poszczególnych obszarów do państwa kościelnego pozostaje mimo to jeszcze osłonięta pewną tajemnicą, ponieważ pierwotny dokument nie istnieje, a późniejszy układ pomiędzy papieżem Hadryanem I. a Karolem Wielkim z r. 781 darowiznę inaczej nieco uregulował. Dopiero papież Hadryan każe bić własną monetę w Rzymie; przez dłuższy czas liczono także jeszcze ze strony duchowieństwa lata według panowania cesarzy bizantyjskich. Forma suwerennej władzy papieskiej rozwijała się więc po darowiźnie zwolna i stopniowo. Dalej przyznawali papieże przed

i po koronacyi Karola Wielkiego pewne prawo frankońskich władców w Rzymie i jego obszarach: było to raczej prawo patronatu, płynące z tytułu patrycyusza. Wspaniałem widowiskiem była koronacya Karola Wielkiego na cesarza zachodniego, dokonana przez papieża Leona III. w Boże Narodzenie r. 800; była ona nowem powołaniem do życia od lat 324 przeszło wygasłego zachodniego imperyum, była również solennem utwierdzeniem związku pomiędzy papiestwem a największą, najsilniejszy rozwój zapowiadającą potęgą Zachodu. Przez to, że odtąd papieże dokonywali koronacyi, a prawo to chętnie przyznano następcom Piotrowym i przez państwo kościelne, które często otrzymywało pomoc od cesarzy, ponieważ jej często usilnie potrzebowało, uzyskała nową podstawę papieska władza, najpierw ze względu na doczesność, wolność zewnętrzną i dominujące stanowisko wobec ludów.

Było to podłoże, które papieżowi w rządach doczesnych zapewniało większą niezależność, oraz ułatwiało ich wpływ religijny i kulturalny.

Z pomiędzy obrzędów koronacyjnych w wiekach średnich wyróżnia się koronacya Ottona Wielkiego, dokonana w Rzymie w r. 962, w czasach niepokojów, panujących w mieście i w państwie kościelnem. Ostrzem miecza przywrócił Otton rozluźniony porządek. Od niego pochodzi pierwszy, zachowany w oryginale, dokument darowizny państwa kościelnego, będący potwierdzeniem i rozszerzeniem dawnych posiadłości. Gdy przed kilku dziesiątkami lat Leon XIII., wiedziony wielkodusznym zamiarem, otworzył archiwum Watykańskie dla uczonych, to pierwszym owocem przeprowadzonych tamże studyów była praca wysoko cenionego historyka i paleografa niemieckiego, Teodora von Sickel, o tym właśnie cennym, złotą tynkturą na purpurowo farbowanym pergaminie spisanym dokumencie; w r. 1881 mógł on potwierdzić niewątpliwą prawdziwość dyplomu. W przedmowie do swej książki pisze: „Nie ukrywam tego, że teraz, gdy każde słowo privilegium z 962 r. jest najzupełniej stwierdzonem, to także i analogiczne wypadki z czasów wcześniejszych przedstawiają się w innem świetle". Krytyka bezprawnie usiłowała wagę tych wypadków zachwiać, albo je wytłumaczyć fałszywie. „Jak ogniwa jednego łańcucha"

łączą się, według słów Sickla, dokumenty Ludwika z r. 817 (jedynie z treści znane) z dekretami Ottona I. i Henryka II. z r. 1020.

O fałszerstwach w ogóle, z których, zdaniem przeciwników, powstała władza papieska w średniowieczu. pozwala mi szczupłość miejsca tylko na krótką uwagę. Jeżeli wyżej przytoczone fakta są stwierdzone, to pozostaje tylko bardzo mała możliwość wpływu jakichkolwiek fałszerstw na całość rozwoju. Często poddawane krytyce uchwały ze Sardyki dzisiejsza krytyka uznaje znowu za prawdziwe. Tak zwana darowizna Konstantynowska i Pseudoizydorskie dekretalia są godnemi ubolewania fałszerstwami i aż do XVI. stulecia sprawiały wiele zamieszania, ale po pierwsze, nie zostały one spisane przez Kuryę rzymską (Pseudoizydora, jak wiadomo, trzeba szukać we Frankomanii, a i darowiznę samą również wielu tam odnosi), a po drugie, zamierzały one właściwie tylko uprawnić wytworami nieudolnej fantazyi stan już istniejący i prawidłowo wytworzony. A jeżeli nawet papieże powołują się na te dwa pisma, w czasach, gdy wyłudziły one sobie ogólne uznanie, to ulegali w tem tylko ogólnemu brakowi historycznej krytyki i środków, umożliwiających prawdę. Nawet pomiędzy tymi i tym podobnymi pasożytami fałszywych tradycyi średniowiecza pozostaje pień papiestwa nienaruszony i zawsze samoistny w swej sile.

* * *

Czasy Ottona I. wyprowadziły nas już poza pontyfikat Mikołaja I. Począwszy od Mikołaja, tego świetnego przedstawiciela papiestwa, jak to przedstawiłem na początku tej pracy, rozciąga się dalej, niżeli przez tysiąclecie, aż do doby dzisiejszej życie, pełne zmian i kształtowań na starych podstawach władzy papieskiej. Któż zdołałby to skreślić w kilku słowach?! Po Mikołaju I. i kilku jego dzielnych następcach przychodzi wprawdzie gwałtowny upadek z wysokości. Potężne partye szlacheckie zawładnęły papiestwem, narzucając mu swoich niegodnych lub nieudolnych członków swoich rodów (przypominam trzech Janów: X., XI. i XII., którzy prawdopodobnie dali także powód do bajki o papieżycy Joannie). Dopiero poprzednicy Grzegorza VII., później zaś on sam, dawny mnich Hildebrand, niemieckiego imienia, stworzyli na

twałe szczęśliwsze czasy. Walka Grzegorza VII. (1073—1085) z nadużyciami inwestytury, starania o czystość stanu duchownego, przez świętokupstwo i inne występki splamionego, o wolny rozwój życia kościelnego we wszystkich kierunkach, nawet u przeciwników zawsze wzbudzać będzie podziw. „Był to — pisze historyk szwajcarski, Jan von Müller — człowiek bohaterskiej odwagi, senatorskiej mądrości, a gorliwości proroka". Państwo kościelne zawdzięcza mu również swoje odrodzenie. Sprzyjając mu margrabina Matylda, rozszerzyła posiadłości papieskie przez darowiznę Matyldyńską. Grzegorz VII. sam mógł 1077 r. przyłączyć Benewent do państwa kościelnego, podczas gdy sąsiedni Normanowie w r. 1059 dobrowolnie uznali się wasalami św. Piotra.

Szereg czystych pod względem obyczajów i przeważnie nienagannych dziedziców św. urzędu prowadzi do Innocentego III. (1198—1216) tej drugiej, tak jasno w dziejach błyszczącej postaci. Choć był jeszcze w młodocianych latach, opanował jednak ten i bystry i szeroko patrzący papież z rzadką siłą swoje czasy, budząc wszędzie zapał religijny. Wielcy przedstawiciele tej wielkiej władzy przyczynili się w ogóle przez swoje wybitne zalety osobiste, do podniesienia prymatu na średniowieczną wysokość górującą wobec narodów. — Po kilku dziesiątkach lat spotykamy Hadryana IV., Anglika, i Aleksandra III., byłego prawnika ze Sienny, w ich zwycięskich starciach z Fryderykiem Barbarossą, a równocześnie z przeciwnikami państwa kościelnego, wewnątrz na nowo podkopanego. Później, w pierwszej połowie XIII. stulecia, widzimy pobożnego Honoryusza III., podeszłego wiekiem a odważnego Grzegorza IX, bystrego i przenikliwego Innocentego IV., wszyscy oni, to nieustraszeni szermierze, zwalczający nieustraszenie tendencye Fryderyka II., a równocześnie pilni pracownicy nad dobrem i świętością Kościoła, opiekunowie wiedzy, misyi światowych i życia zakonnego. Opieki i troski o państwo kościelne nie zaniedbywali nigdy papieże, pomimo ciężkich nieraz czasów. Bonifacy VIII. (1294—1303), wytrawny Benedetto Caetani, stoi już na progu obniżania się stanowiska papieskiego. Mimo, że jako wpływowy regent i bystry prawnik, — ale dla zbytniej żywości i zbyt silnego poczucia swego szlachectwa, często za ostry w słowach — trzymał

jeszcze świadomą siły ręką cugle dawnej władzy, to jednak przygotowywał się już rozłam pomiędzy potęgą duchowną a świecką, dążący do usamodzielnienia państw, i rosło stopniowo paraliżowanie wpływów kościelnych. — Wymownym symptomatem tego było głęboko sięgające rozdwojenie Filipa Pięknego ze Stolicą papieską.

Tu należy spojrzeć znowu wstecz, na rozwój tego dominującego stanowiska papieży w późniejszem średniowieczu, z uwzględnieniem jego strony prawnej. Jako zjawisko główne należy tu uważać tę okoliczność, jak ludy same dobrowolnie, szczególniej od czasów odrodzenia Kościoła za Grzegorza VII., zaczynają, z czci dla księcia Apostołów, czynić papieżom dobrowolne, liczne ustępstwa i przyznają im zwolna cały szereg świeckich przywilejów, które państwo kościelne wynoszą na szczyt państw chrześcijańskich. Przez połączenie tych, w prymacie niekoniecznych praw, z wszechstronnie rozwijającą się potęgą czysto duchowną, stoi papiestwo w czasie od XII. do XIV. stulecia u szczytu wpływów, do jakich kiedykolwiek doszło. Jest to nowe, czasem uzasadnione rozszerzenie podstaw władzy papieskiej. W pojedynczych szczegółach, gdy się przyłoży sondę teologiczno-prawno-kościelną i polityczno-historyczną, trudno jest nieraz osądzić, z jakiego źródła wypływa udział papiestwa w tej lub innej sferze życia publicznego, czy z czysto duchownej pełni władzy, czy też przez dobrowolne upoważnienie, dane papiestwu przez przedstawicieli świeckiego prawa. Papieże uznają w dalszym ciągu władzę świecką zawsze jako niezawisłą. Według niedwuznacznych oświadczeń w ich publicznych reskryptach (porównaj Innocentego III. Bullę „Per venerabilem"), otrzymała ona od Boga swą niezależność. W zakresie spraw świeckich jednak, pod względem obyczajów i sumienia, ograniczona jest prawidłami religii i jako taka, w zagadnieniach, stąd się wyłaniających, podlega najwyższej instancyi Głowy Kościoła. Odnośnie do grzechu, jak mówiono wówczas (ratione peccati), podlegać miała władza świecka władzy duchownej, nadto być obowiązaną do niesienia pomocy swymi ziemskimi środkami Królestwu Chrystusowemu. (dwa miecze). Tylko niektórzy teólogowie, pod koniec owego okresu najwyższego rozwoju władzy du-

chownej, pragnąc wyjaśnić stan rzeczy istniejący albo go utrwalić, pobłądzili w swych twierdzeniach, że papież dzierży w swojej dłoni wszelką władzę, zarówno duchowną, jak i świecką i tylko za jego zezwoleniem i dla niego mają książęta i narody stosować ziemskie prawa. To zwodnicze i powabne zdanie zaraziło również wielu wpływowszych członków Kuryi, jednak w oficyalnych aktach papiestwa i w jego publicznych, większego znaczenia wystąpieniach nie znajdujemy tej zasady. Przed dzisiejszem naszem forum jednak działanie papieży daje powód do często błędnego przekonania, ponieważ papieże wobec podówczas jasnego stanu prawnego rzeczy, nie rozróżniają trwożliwie, do czego mają prawo na mocy Boskiej władzy, płynącej z prymatu, a do czego tylko drogą władzy, przeniesionej na nich ze strony ludów, czy to przez zwyczaje, czy też równocześnie przez księgi świeckiego ustawodawstwa.

Papieże detronizowali nieraz uparcie w klątwie kościelnej trwających książąt, na tej zasadzie, że jednostka, wyłączona z chrześcijaństwa, nie może rządzić chrześcijanami. Przyjmowali od królów ich kraje, jako lenne dobra św. Piotra i ściągali za nie daniny. Nadawali królom przez namaszczenie osobiste lub ze strony biskupów, większą godność, wynieśli rzymsko-niemieckiego cesarza, przez koronacyę w Rzymie, do godności imperatora i wprowadzili go tym sposobem na uświęconą, a całym ich duchownym autorytetem bronioną godność. Co się tyczy tej godności cesarza rzymskiego, nie należy przeoczyć tego, iż w rozumieniu papieży nie było to żadne *imperium mundi* we właściwem znaczeniu, ani też żadna, jakkolwiek ukształtowana monarchia świata, lecz tylko honorowe pierwszeństwo pomiędzy innymi chrześcijańskimi monarchami, szczególniej dla ochrony prawa i pokoju; głównym zaś punktem tej godności było zadanie i obowiązki *advocatus ecclesiae*, stojącego na straży interesów Królestwa Bożego na ziemi. Papieże, stojący u szczytu średniowiecznej powagi, potwierdzili dalej swoim autorytetem układy pomiędzy książętami i rozstrzygali kwestye sporne pomiędzy nimi a ich poddanymi. Poskramiali groźbą kar duchownych, banicyi i interdyktów ludzi, zakłócających spokój w czasach, gdy niepohamowane instynkta nawet publicznie brały górę, oni kierowali potęgą swojej powagi wspólnie podejmowane

dzieła chrześcijańskie, jak wyprawy krzyżowe, ku obronie Zachodu przeciw zalewowi przez niewierzące masy Wschodu, później zaś wyprawy przeciw Turkom, dla tej samej obrony, a dla zachowania chrześcijańskiej kultury.

Filozof Leibnitz uznaje w swojem piśmie *„De jure suprematus“* z r. 1677 ten stan rzeczy jako uprawniony. „Historya uczy — mówi on (str. 2), — że większość ludów Zachodu służyła Kościołowi z poddaną mu pobożnością. Nie wchodzę w to, czy to było prawo Boskie, faktem jednak jest, że stało się to za wolą wszystkich i mogło się stać słusznie, i że pożytkowi ogólno-chrześcijańskiemu nie pozostało obcem“. I dodaje: *„Sic ergo Christus regnat, vincit, imperat“*. W dalszym zaś toku dzieła (str. 96) powraca znowu do owej pełni rozwoju duchownej potęgi i mówi o „wielkiej władzy, jaką papieże wykonywali na Zachodzie, z uznaniem i ku zadowoleniu wszystkich“. Dalej zaś pisze: „Wielu znakomitych pisarzy, także protestanckich, wyraziło zdanie, że takie prawo może być papieżowi pozostawione i że Kościołowi jest ono pożyteczne, jeśliby tylko pewne nadużycia usunięto“.

Owa średniowieczna, silnie z polityką związana władza papieży, mogła według tego, cośmy powiedzieli, zniknąć i zniknęła, ale przez to bynajmniej nie przygasła istota papiestwa, t. j. jego duchowne stanowisko na czele chrześcijańsko-katolickiego świata. Jest jednak zupełnie zrozumiałem, że w przejściowym czasie upadania tej władzy powstały najrozmaitsze konflikty i zamącenia; bo podobnie jak monarchowie w każdym czasie bronią praw uzyskanych, o ile nie są tchórzami, tak samo usiłowali papieże, w interesie Kościoła, utrzymać przyznaną im raz władzę akcydentalną. Z przeciwnej jednak strony posunęło się to zwalczanie, skutkiem namiętności, czy też nieporozumień, aż do nieprawnego sprzeciwiania się samej duchownej władzy prymatu. Smutne czasy niedługo po Bonifacym VIII. rozpoczętego wygnania awiniońskiego, a dalej długotrwałe dziesięciolecia schizmy zachodniej przyczyniły się najwięcej do osłabienia politycznej władzy papieża, a w pewnej mierze nawet do zmniejszenia duchownego wpływu jego rządów u ludów. Przytem rozpadało się państwo kościelne w ówczesnych groźnych czasach, dochody Stolicy świętej opadały chwilami do

sumy, zupełnie nie wystarczającej na zadania i cele Kościoła. Pomnażano więc pobierane z Rzymu podatki kościelne, a skutkiem tego rosła równocześnie oziębłość, niechęć i uprzedzenie, bo podatki te były nieraz sztuczne i rzeczywiście uciążliwe. Godni, wysokimi ideałami duchowymi przejęci mężowie, jak np. Urban V., policzony przez Kościół do rzędu Błogosławionych, dalej Grzegorz XII., Marcin V., Eugeniusz IV., byli i w tych czasach ozdobą Stolicy Piotrowej. Ale gdy później, w czasach renesansu, zawładnął Rzymem prąd silnie zeświecczałego humanizmu i obniżył moralność miasta i Kuryi, gdy papieże w usiłowaniach odbudowania państwa kościelnego i swojej niezależności we Włoszech za daleko zaplątali się w intrygi polityczne i wojenne — nieobyczajny Aleksander VI., wojowniczy Juliusz II., otaczający się przepychem Leon X. charakteryzują ową epokę — wtedy oderwanie wielkich obszarów od wspólności rzymskiego Kościoła miało do tego kroku pozorny powód. Za czasów upartego i namiętnego Pawła IV., którego złe i dobre przymioty z taką życiową prawdą opisał nam niedawno Pastor, a częściowo jeszcze i za czasów jego wielkiego następcy, Piusa V., świętego Dominikanina, zaznaczały się jeszcze odnośnie do wykonywania władzy papieskiej, dawne trudności i niebezpieczeństwa okresu przejściowego. Odtąd jednak pod duchownymi regentami, którzy w nabożności pragną dorównać św. Dominikaninowi, a przynajmniej pod względem ducha Kościoła i w pełnej poświęcenia pracy doścignęli go, urabia się papiestwo nowszych czasów. Jest to dowodem, że instytucya prymatu dorasta także względem dzisiejszej ludzkości do swoich zadań, służących dobru ogólnemu i wierzących dzieci swoich, pomimo, iż nie zdobi jej już dziś blask średniowiecznej potęgi światowej i chociaż ta jego podpora, państwo kościelne, w obecnych czasach złamaną została.

Pełne przestrogi wspomnienie jednej z przeżytych przez państwo kościelne ruin uderzyło mnie około roku sześćdziesiątego. podczas studyów w Rzymie. Pochodziło ono z najbardziej groźnej ręki. jaka się kiedykolwiek podniosła przeciw dziedzictwu św. Piotra, od Napoleona I. Czytałem na frontonie pałacu *Cancellaria* napis: „*Carte Imperiale*“ w śladach, które zostały po wyjętych me-

talowych literach: był on już niemal zupełnie zatarty. Nawet tak pozornie silny metal na budowie, wzniesionej przez Napoleona, szybko się zniszczył, nawet nazwisko imperatora uległo szybkiemu zatarciu. Państwo kościelne podniosło się jednak po nim jeszcze, a jeżeli dziś upadło ponownie i ustąpiło miejsca zjednoczonemu królestwu naszego niegdyś sprzymierzeńca, a obecnie wroga we wojnie, to żyje jednak dalej w Rzymie władza, która silniejsze ma podwaliny, niżeli Napoleona władztwo nad światem i nieskończenie więcej umotywowane ma prawa, niżeli żądne zdobyczy Włochy, bo władza cześć nakazująca, oparta na niezniszczalnych podstawach założonego przez Chrystusa Kościoła.

Widziałem w latach bardziej słonecznych w Rzymie jeszcze Piusa IX., jako papieża i władcę, przy uroczystych wyjazdach poprzez ulice, złotawym piaskiem wysypane, otoczonego konną gwardyą szlachecką we wspaniałych uniformach. Gwałtowne zdobycie miasta, które przeżyłem dnia 20 września 1870, pod gradem kul Piemontczyków, w pobliżu samego wyłomu, sprowadziło inny obrót rzeczy. Ale j e d n o uczucie ożywiało tych wszystkich, którzy obcowali ze zdetronizowanym Piusem, Leonem XIII. i Piusem X., to żywe przekonanie o niewzruszonem i nietykalnem trwaniu największej i rozstrzygającej pomiędzy wszystkiemi podstawami władzy papieskiej, mianowicie tej, która nad grobem św. Piotra na osadzie kopuły wypisana jest złotemi literami na wysokość człowieka: „*Tu es Petrus, Pasce oves meas*“. Jednak dostrzegano i w Rzymie aż nadto widocznie w wypadkach większej i mniejszej wagi, jak to ograniczenie papieży do zakresu jedynie duchownego łamało ich niezawisłość.

Chrześcijańska historya Rzymu minionych stuleci budzi w czułych przyjaciołach papiestwa to żywe wyobrażenie, jak wieczne miasto niejako w żałobie jest pogrążone względem tego, który je zachował i podniósł do rzędu wielkich, a któremu ono dało warunki wolnego rozwoju i wielkiej światowej działalności.

Oby po ukończeniu tej wojny światowej znalazła się droga do utrwalenia papieskiej wolności i władzy niezależnej!

Ks. H. Grisar.

Zasadniczy postulat konstytucyjny i ustawodawczy w nowem Państwie Polskiem.

(Ciąg dalszy).

Już wskutek zaprowadzonej w Księstwie Warszawskiem przez kodeks Napoleoński instytucyi małżeństwa cywilnego nieuniknionymi stawały się ciągłe konflikty władz kościelnych, które z najściślejszego swego obowiązku, jako stróże rzeczonych trydenckich kanonów dogmatycznych bronić musiały przeciw władzom świeckim sakramentalnej istoty i świętości małżeństwa chrześcijańskiego tak pod względem ustawodawczym, jak również administracyjnym i sądowym. W granicach rzeczonych kanonów dogmatycznych żadne ustępstwo ze strony władzy kościelnej nawet w drodze konkordatowej na rzecz władzy świeckiej nie było i nie jest możliwe, bez sprzeniewierzenia się kardynalnym obowiązkom apostolskiego urzędu jej dzierżycieli i niewzruszonym kościelnym dogmatom. Albowiem jedynie tylko co do ściśle cywilnych skutków małżeństwa chrześcijańskiego, mianowicie zaś zawartego pomiędzy katolikami lub małżeństwa mieszanego, Kościół przez swoje organa uznać może kompetencyę państwa; wszystko zaś, co dotyczy istotnych warunków małżeństaw, trwania tego stosunku, a nawet pod względem wspólności pożycia małżonków tudzież zaręczyn, jako aktów przygotowawczych, tak w zakresie prawa materyalnego jak formalnego, zalicza jako *causae*

spirituales z tytułu sakramentalności małżeństwa chrześcijańskiego do wyłącznej kompetencyi władz i organów kościelnych. Czyli innemi słowy, jedyną zasadniczą normą, określającą racyonalnie stosunek Kościoła do państwa w kwestyi małżeństwa, odpowiednio do jego sakramentalnej istoty i dla dobra członków Kościoła, a zarazem obywateli państwa, może być prawo Boże i ugruntowane na niem prawo kościelne. Ono oznacza prawa i obowiązki Kościoła, wypływające z Boskiego jego posłannictwa, które ma nieustannie spełniać w stosunku do państwa i społeczeństwa w odniesieniu do rzeczy i spraw duchownych, do których niewątpliwie należą stosunki małżeńskie. Stwierdził to wyraźnie konkordat austryacki z r 1855 w art. I X, a następnie wyprowadził z tej zasady wyczerpująco konsekwencye, patent małżeński z r. 1856. Małżeństwo cywilne w jakiejkolwiek formie narusza w kardynalnym punkcie ów racyonalny stosunek pomiędzy Kościołem i państwem, gwałci prawo Boże i sumienia katolickich obywateli, narusza w podstawach instytucyę małżeństwa, jego świętość i trwałość, a tem samem podkopuje główny fundament rodziny, państwa i społeczeństwa Wprowadza bowiem mniej lub więcej jaskrawy, a zawsze zgubny dualizm w stosunek małżeński, w którym właśnie najściślejsza istnieć winna jedność stanowiska państwa z zasadami i z stanowiskiem Kościoła; rozrywa w owym stosunku to, co w takowym istotnie i nierozdzielnie jest złączone, tj. kontrakt od sakramentu. Nie może bowiem istnieć ważny kontrakt małżeństwa pomiędzy chrześcijanami tam, gdzie niema sakramentu. W ten sposób państwo, wprowadzające instytucye małżeństwa cywilnego, poniża zasadniczo ten święty stosunek do rzędu niecnego konkubinatu, zgubnego w swych skutkach dla społeczeństwa. One też zaznaczyły się gwałtownie i w szerokich rozmiarach po zaprowadzeniu w księstwie Warszawskiem małżeństwa cywilnego przez kodeks Napoleona, jak się to wybitnie okazuje z dokumentów, w powyżej wzmiankowanej sześcioletniej korespondencyi zamieszczonych.

Wprawdzie już pod koniec Rzeczypospolitej kwestya lekkomyślnego zawierania małżeństw w Polsce, zwłaszcza małżeństw

mieszanych, tudzież w ślad za coraz głębszym upadkiem obyczajów w Rzeczypospolitej mnożących się niezmiernie gorszących rozwodów, wywołała energiczną interwencyę ze strony wielkiego prawodawcy w kościele, papieża Benedykta XIV, skierowaną w kilku brewiach specyalnie do Episkopatu polskiego w latach 1741—1748,[1]) wśród którego wywarły zbawienny wpływ, przynaglając władze duchowne do gorliwości w przestrzeganiu kanonów małżeńskich. Nie można tego twierdzić o ówczesnej społeczności świeckiej, wśród której nadal, a najwięcej w latach rozbiorów rozwody grasowały. Bądź co bądź atoli pomimo tych opłakanych stosunków, które podkopywały w Polsce świętość instytucyi małżeństwa, takowa jednak aż do końca Rzeczypospolitej opierała się tak pod względem ustawodawczym, jakoteż sądowym wyłącznie na podstawie prawa kościelnego. Z całą tą zdawien dawna istniejącą tradycyą prawa małżeńskiego zerwał dopiero kodeks Napoleona, nagle narzucony w księstwie Warszawskiem,[2]) co poczytywano powszechnie za klęskę narodową [3]). Zapoznając bowiem w swem zasadniczem określeniu małżeństwa jego charakter, jako stosunku religijno-etycznego, kodeks Napoleona zniweczył temsamem kardynalną podstawę trwałości i świętości chrześcijańskiego związku małżeńskiego, która tkwi w jego sakramentalności. O nią się zupełnie *pro foro civili* nie troszczył nawet odnośnie do związków małżeńskich pomiędzy katolikami zawartych, rozrywając wbrew zasadom Kościoła o istocie małżeństwa chrześcijańskiego kontrakt od sakramentu, a w następstwie usuwał ów stosunek na wskróś duchowny *(causa spiritualis)* z pod jurysdykcyi władzy duchownej i poddawał takowy organom władzy świeckiej. Zarazem wyprowadzając konsekwencye ze swego określenia mał-

---

[1]) ób. Nowodworski: Encyklop. kość. T. XIII, str. 329 i nast. powołane brewia wszystkie znajdują się w Bullarzu pap. Benedykta XIV, wydanym w Rzymie 1754. T. I ma znaczenie zbioru urzędowego. Ob. F. Wernz Jus Decretalium 3. ed. 1913. T. I. p. 386, 268.

[2]) ob. Czasopismo prawn. i ekonom. Brzeziński recenzye dzieła H. Konica „Dzieje prawa małż. w Król. Pol. Kraków 1903.

[3]) ob. Skarbek Dzieje Ks. Warsz. Wyd. 2. Poznań 1877. str. 192—195.

żeństwa, jako kontraktu cywilnego, sankcyonował rozwody, które w księstwie Warszawskiem wzrosły do cyfry zatrważającej, bo w przeciągu sześciu lat więcej ich było w sądach cywilnych, niż przez 60 lat poprzednich w konsystorzach, jak nas objaśnia powołana sześcioletnia korespondencya (str. 489). Ów opłakany stan stosunków małżeńskich w Polsce, wytworzony przez kodeks Napoleona, który wywoływał ciągłe konflikty pomiędzy władzami duchownemi a świeckiemi, był, jak sądzę [1]), głównym powodem projektowanej w r. 1817 reformy prawa małżeńskiego w Królestwie Polskiem. Zażalenia biskupów znalazły podatny grunt w religijnych zasadach Aleksandra I. Tenże atoli uwzględnił je zrazu tylko połowicznie; poruczył on komisyi prawodawczej ułożenie projektu prawa małżeńskiego dla Królestwa Polskiego w miejsce tytułów V i VI ks. I kodeksu cywilnego Napoleona, który też imieniem monarchy wniesiony został na pierwszym sejmie Królestwa, zwołanym w roku 1818 i zamieszczony w całości w dotyczącym dyaryuszu sejmowym [2]). Wprawdzie według motywów przedstawionych przez radcę stanu Woźnickiego rzeczony projekt polegał na zasadzie, że związek małżeński nie jest samym tylko kontraktem cywilnym, lecz bierze swój początek od Stwórcy, zawierał zatem rzekomo takie tylko zmiany i modyfikacye prawa dotychczasowego, jakich religia katolicka i świętość Sakramentu od prawodawców wymagała i dlatego nakazywał zawierać śluby małżeńskie w obliczu ołtarza, czyniąc zawisłą ich ważność od pobłogosławienia kapłańskiego, następnie zabraniał pod nieważnością (art. 7) związków małżeńskich duchownym katolickim, którzy już otrzymali wyższe święcenia, tudzież osobom zakonnym płci obojej, które złożyły wieczyste śluby, a wreszcie zabraniał katolikom po rozłączeniu ważnie zawartego małżeństwa wchodzić w powtórne związki małżeńskie bez zezwolenia zwierzchności duchownej. Były to atoli jedyne istotne cechy religijne powyższego projektu. Z drugiej strony bowiem w oddziale II działu VI znalazło

---

[1]) ob. Brzeziński l. c. o dziejach pr. małż. w Król. Pol. str. 232.
[2]) Dyaryusz Sejmu Król. Pol. 1818 T. I. str. 96—103. art. 1—98.

szerokie zastosowanie rozłączenie ważnie zawartego małżeństwa tak z przyczyn w ustawie określonych, jakoteż na zasadzie wzajemnego zezwolenia, a rozłączeni małżonkowie wyznań akatolickich mogli według art 94 wchodzić w nowe związki małżeńskie i to z zachowaniem wszelkich form ślubu małżeńskiego; rozłączeni zaś małżonkowie religii katolickiej nie mogli tego uczynić, nie otrzymawszy pozwolenia od właściwej władzy duchownej. W ten sposób zatem ów projekt stawiając rozłączenie się małżonków na równi z rozwodem, utrzymał tę zgubną konsekwencyę instytucyi napoleńskiej małżeństwa cywilnego. Odsyłanie stron katolickich po rozwodzie cywilnym o pozwolenie na ślub do władz duchownych nie stawiało wcale ich rozwodom już z powodów niejasności odnośnego przepisu skutecznej zapory. Również wbrew zasadniczej kompetencyi sądów kościelnych przekazywał rzeczony projekt (art. 70) sprawy o nieważność i o rozłączenie (art. 72), jak wszelkie inne sprawy cywilne sądom cywilnym [1]).

Redaktorowie w mowie będącego projektu zamierzali w takowym z tem zupełnie niedostatecznem, jak widzieliśmy powyżej, uwzględnieniem w instytucyi małżeństwa niektórych jego momentów religijnych i stosunku do Kościoła, pogodzić inne wręcz w nieusuwalnej sprzeczności z kardynalnemi zasadami kościelnego prawa zostające postanowienia projektu, dopuszczające rozwodów, tudzież sądownictwo cywilne w sprawach małżeńskich, orzekające według ustaw cywilnych, do których przyjęto wprawdzie niektóre przepisy kanoniczne, lecz bez odwołania się do nich. Wnioskodawca Rady Stanu motywował to rzekomymi względami konstytucyjnymi, aby, jak twierdził (Woźnicki) — związek małżeński nie był wyjęty z pod panowania i opieki praw krajowych, aby władza prawodawcza konstytucyjna nie była ścieśniona, a nawet, jak szumnie głosił — niepodległość narodowa nie była ograniczoną [2]). Ta właśnie tendencya, ujawniona w projekcie do pogodzenia ze sobą nieusu-

[1]) Brzeziński l. c. str. 232.

[2]) Dyaryusz Sejmu Król. Polskiego z r. 1818. T. I. str. 88. Brzeziński l. c. str 233.

walnych sprzeczności pomiędzy jurysdykcyą Kościoła a kompetencyą państwa w zakresie stosunków małżeńskich, owo połowiczne, rzekomo religijne, a jednak wręcz przeciwne kardynalnym zasadom Kościoła i tego prawa, które, jak wiadomo, stanowiło główną normę polskiego prawa małżeńskiego aż do czasów Napoleońskich, traktowanie tak świętej i ważnej dla społeczeństwa instytucyi, wywołało w Senacie nieznaczną wprawdzie co do liczby oponentów, ale doniosłą pod względem argumentów, stanowiska i powagi opozycyę ze strony mniejszości senatorów, głosujących za odrzuceniem wniesionego projektu, który ostatecznie w Senacie 24 głosami na 33 głosujących został przyjęty. Z opozycyą wystąpiło wszystkich pięciu biskupów zasiadających w Senacie, tj. Skarszewski, biskup lubelski, Gołaszewski, biskup wigierski, Franciszek Malczewski, biskup kujawski, Ferdynand Ciechanowski, biskup chełmski i Jan Paweł Woronicz, biskup krakowski. Tenże już przy pierwszem wniesieniu rzeczonego projektu prawa małżeńskiego w dłuższem swem przemówieniu podniósł sprzeczność, zachodzącą w projekcie pomiędzy zasadniczo w nim stwierdzonym charakterem wyznaniowym a nawet sakramentalnym instytucyi małżeństwa, który znalazł swój wyraz tak pod względem formy, jak co do przeszkód wyższych święceń i wieczystych ślubów zakonnych, a dalszemi postanowieniami projektu, niezgodnymi z dogmatami religii katolickiej i nienaruszalnymi kanonami Kościoła, warującymi jego wyłączną kompetencyę do ustawodawczego normowania istotnych warunków i skutków małżeństw sakramentalnych oraz sądownictwa w tych sprawach. Opierając się na końcowych słowach projektu, że nie ma uwłaczać prawom religijnym Kościoła katolickiego w tej mierze postanowionym względem katolików, w spodziewanym konkordacie z papieżem widział Woronicz sposób zaradzenia rzeczonym sprzecznościom. Na następnej sesyi Senatu Skarszewski, biskup lubelski, stwierdził, że ustanawianie przeszkód ważności małżeństwa, dyspensowanie od takowych, jakoteż rozpoznanie ważności lub nieważności Sakramentu małżeństwa należy do władzy duchownej. Czyż religia rzymsko-katolicka, wyznawana przez największą część mie-

szkańców — pytał mowca — ma być pozbawioną prawa swojego w sądzeniu spraw tyczących się Sakramentu małżeństwa, ta religia, której konstytucya szczególniejszą zapewnia opiekę, a tem samem katolickim konsystorzom, jako sądom małżeńskim? Jedynie co do skutków orzeczonej przez sąd duchowny separacyi, tudzież unieważnienia, sprawa ma być, zdaniem mowcy, odesłaną do sądu ziemskiego. Wreszcie tenże zauważył, że wyroki rozwodowe stosownie do praw dotychczasowych wydane nie na mocy przyczyn kanonicznych, nie mogą być utrzymane w swej mocy. Nie można bowiem dozwalać, aby takie małżeństwa cudzołożne, na ich podstawie zawarte, prawem krajowem były utwierdzone [1]). Oprócz biskupów oświadczyło się przeciw owemu projektowi czterech senatorów świeckich, wojewodowie: Stanisław ks. Jabłonowski i Paweł Skórzewski, tudzież kasztelani: Jan hr. Tarnowski i Stefan Kozubowski. Z drugiej zaś strony przemowy senatorów świeckich, głosujących za projektem w mowie będącym prawa małżeńskiego, jak kasztelana Tadeusza Matuszewicza i wojewody Józefa Wybickiego wykazują jaskrawo, jak błędne wśród ówczesnego wyższego społeczeństwa polskiego panowały zapatrywania na znaczenie religii i jej stosunek do Kościoła katolickiego w najgłówniejszych kwestyach, a w następstwie także na istotę małżeństwa i jego charakter sakramentalny w związku z prawem i jurysdykcyą duchowną — poglądy i doktryny powstałe w okresie rewolucyi francuskiej i jak nieliczni stosunkowo byli w Sejmie Królestwa Polskiego przedstawiciele katolickich zasad, dotyczących kompetencyi Kościoła w sprawach małżeńskich. Inaczej postąpiła z projektem Izba poselska [2]), odrzucając takowy d. 6 kwietnia 1818 r. znaczną większością 46 głosów na 118 głosujących. Głównym powodem jego odrzucenia była zaznaczona już wyżej jego tendencya do uwzględnienia momentu religijnego w instytucyi małżeństwa przez uznanie formy kościelnej, jako obowiązującej, pod nieważnością przy równoczesnem naruszeniu zasa-

[1]) ob. Dyaryusz Sejmu Król. Pol. z r. 1818 l. c. str. 103—8.

[2]) ob co do tej kwestyi Brzeziński l. c. str. 232 i nast.

dniczej kompetencyi sądów kościelnych, przez przekazanie spraw małżeńskich sądom cywilnym. Wskutek tego projekt ów wywołał opozycyę ze strony posłów, stojących na gruncie zasad religii katolickiej i z powodu swej niezgodności z kanonami trydenckimi o charakterze dogmatycznym, warującymi jurysdykcyę sądów kościelnych musiał być przez nich odrzucony. Tym katolickim zasadom dali wyraz w swych przemowach posłowie: Stanisław Grabowski, członek komisyi do spraw organicznych i administracyjnych, tudzież Oebszelwitz, Szołowski, X. Duczymiński i inni. Z drugiej zaś strony projekt rzeczony, przywracając małżeństwu jego religijną cechę, nie zadowolnił również posłów, którzy byli zwolennikami sekularyzacyi tej instytucyi; pozostając po największej części pod wpływem illuminizmu, oświadczali się oni za utrzymaniem stanowiska dotychczasowego kodeksu cywilnego w sprawach małżeńskich z wykluczeniem wszelkiej ingerencyi administracyjnej lub sądowej Kościoła i jego organów; występujący w Izbie poselskiej jako minister oświecenia i obrzędów religijnych Stanisław Potocki w dłuższem przemówieniu bronił projektu rzekomo konstytucyjnymi historycznie fałszywymi argumentami. Projekt ów upadł skutkiem swej połowiczności i niekonsekwencyi. Atoli szkodliwe następstwa sekularyzacyi małżeństwa coraz to silniej występujące w kraju, w którym idee rewolucyjne i napoleonizm nie zdołały wyniszczyć głęboko zakorzenionych katolickich zasad, skłaniały samego choć im obcego władcę i niektórych doradców z jego otoczenia do tego, aby pomimo odrzucenia z wyżej podanych powodów rzeczonego projektu obstawał przy tem, aby nowy projekt prawa małżeńskiego, zmieniający odnośne tytuły kodeksu cywilnego, jak najbardziej uwzględniał wymagania religii katolickiej [1]).

1. (13.) października 1820 monarcha wyznaczył deputacyę, złożoną z członków Rady Stanu i obu Izb sejmowych do wy-

---

[1]) ob. H. Konic Dzieje prawa małżeńskiego w Król. Polskiem (1818—1836) Kraków 1903, str. 24 i nast. Brzeziński l. c. Dyaryusz Senatu Sejmu Król. Pol. z r. 1825 T. I. str. 123 i nast.

gotowania projektów prawodawstwa cywilnego i kryminalnego; rozpoczęto od kodeksu cywilnego francuskiego, co do którego król 19. (31.) lipca objawił swą wolę, aby wogóle zachowane były w nowym projekcie przepisy tegoż kodeksu, a te tylko zostały zmienione, których utrzymanie znajdowałoby się w sprzeczności z poprawami, jakich już doznał, lub z temi, jakichby nowe w kraju ustawy lub okoliczności, z położenia jego wynikające, wymagać jeszcze mogły. W materyach, mających styczność z religią, deputacya wezwała[1]) duchowieństwo różnych wyznań do udzielenia jej uwag, z których przy układaniu projektu korzystała i które następnie roztrząsano w Radzie Stanu. W czasie dyskusyi nad tytułami o aktach stanu cywilnego, o małżeństwach, o ich unieważnieniu i rozwodach znajdował się na posiedzeniach Rady Stanu członek Sekcyi Duchownej i Komisyi rządowej wyznań religijnych. (C. d. n.)

J. Brzeziński.

---

[1]) ob powody l. c. Dyaryusz Senatu Sejmu z r. 1825 l. c. str. 124.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Opowieści Chrystusowe przez Maryę Czeską. Poznań 1917,

Po wszystkie czasy i wieki niezgłębionym, niezmierzonym, niewyczerpanym jest wpływ księgi najcenniejszej ze wszystkich, Pisma św. Nie nam tu się zastanawiać nad jego znaczeniem w dziele odrodzenia i odkupienia ludzkości, nad jego wartością pierwszorzędną dla teologii, nad jego stanowiskiem i stosunkiem do nauk ścisłych, chodzić nam tu będzie tylko o wpływ, jaki wywierało i wywiera w dziedzinie sztuki, na płody wyobraźni twórczej. A jest ten wpływ olbrzymi, wiekowy, błogosławiony. Kiedy duch ludzki, łaknący jako jeleń do zdrowych źródeł twórczości, zbliży się do tajemniczych ksiąg Pisma św., to tryskają one dla jego wyobraźni zdrojem świętym, ożywczym, poddając mu motywy starodawne, znane, lecz ciągle nowe, świeże, porywające.

To też nie dziw, że od najdawniejszych czasów poeci najrozmaitsi, synowie różnych narodów, przedstawiciele różnych światopoglądów, czerpali motywy do swej twórczości z Pisma św. A w długim szeregu ich imion znajdziemy obok dostojnych Ojców Kościoła: Efrema, Ambrożego, hiszpańskiego Juwenka i Aureliusza Prudencyusza, Celiusza, Seduliusza, obok dawniejszych Miltona, Racine'a, Klopstocka, Byrona, Hebbla, Heysego, mamy nowszych, jak Wallace'a, Rostanda, Maeterlincka, Wilde'a. Niestety, nie wszyscy z czystem

[1]) Przydałoby się o obne studyum o polskiej literaturze piękna.

sercem i niepokalanemi usty spieszyli do przenajświętszego zdroju, więc choć zeń zaczerpnęli motyw lub osnowę, sposobem wykonania zbrukali świętą myśl twórczą.

I w naszem piśmiennictwie wpływ Pisma św. znaczy się złocistą nicią poprzez dzieje wyobraźni polskiej. Poczyniając od najdawniejszych powieści polskich, powieści XV i XVI w. i kolęd, snuje się ta nić poprzez twórczość Kochanowskiego, Szymonowicza, Miaskowskiego, Karpińskiego, Mickiewicza, Zaleskiego, Ujejskiego, Hołowińskiego, aż w najnowszych czasach ujawnia się w niechrześcijańskich dziełach Kasprowicza, Daniłowskiego, Szandlerowskiego, w potężnym dramacie Roztworowskiego, w powieści Konczyńskiego, choć tu więcej widoczny wpływ Józefa Flawiusa.

Pod wpływem Pisma św. stoją więc najrozmaitsze działy sztuki i liryki i poematy i dramaty, nas tu jednak najżywiej zajmują objawy wpływów w powieści polskiej. Podkreślić to trzeba z naciskiem, że właśnie Pismo św. stoi u kolebki powieści naszej, boć pierwsze powieści polskie nietylko motyw, ale i materyał brały z Pisma św., uzupełniając go wyobraźnią obcych narodów, ale także rodzimą. Do najdawniejszych powieści polskich należą przecież „Sprawa chędoga o Męce Pana Chrystusowej",[1]) właściwie kazanie na Wielki Piątek, lecz przeznaczone także ku „czcieniu" (czytaniu), dalej „Rozmyślanie o żywocie Pana Jezusa z rękopisu grecko-katolickiej kapituły przemyskiej",[2]) a pewnie też zaliczyć tu można „Tobiasza Patryarchę", „Historyę o Judyt, pani i wdowy cnotliwej"[3]) i „Historyę o dwóch starczach, którí pożądali Zuzanny"[4]). A nawet „Żywot Pana Jezu Krysta",[5]) napisany około 1500 r. przez mistrza Baltazara Opecia, a wydany po raz pierwszy u Jana Hallera w Krakowie 1522 r., nie przekład, lecz „przeróbka" z Bonawentury, jak świadczy Brückner, mieści tyle w sobie materyału powieściowego, że i on należy do tego działu. Pomysły bardzo ciekawe, a często zabawne, to najczęściej płody obcej wyobraźni, zaczerpnięte szczególnie z apokryfów, których krążyło bardzo wiele; samych ewangelii według pisa-

[1]) Prace fil. t. V. (354—392) Brückner Powieści z XV i XVI w.
[2]) Wyd. Brückner 1907, nakł. Ak. Um.
[3]) Wiszniewski, Historya literatury polskiej t. VII.
[4]) J. Łoś, Przegląd zabytków językowych do r. 1543, Kraków 1915 r.
[5]) Wyd. X. Polkowski 1887 r. w Krakowie.

rzy chrześcijańskich można było naliczyć 50[1]). Wiele szczegółów co do dziecięctwa Jezusowego czerpano z Evangelium infantiae [2]), albo z Ewangelii Tomasza, zaś co do Męki Pańskiej z Ewangelii Nikodema, której polski przekład posiadamy jeszcze dziś w rękopisach.

Rozwiodłem się dlatego o pierwszych tych powieściach i apokryfach, ponieważ szczegóły w nich zawarte powtarzają się, niekiedy w najrozmaitszych odmianach jeszcze w najnowszych powieściach i legendach. Tam to tryska to pierwotne zródło, skąd płyną te liczne a drobiazgowe wiadomości o życiu i wyglądzie Maryi, o tem, co się działo z Jezusem w Egipcie, jak się bawił w Betlejemie i Nazarecie, jak cierpienie i śmierć Jego oddziaływały na Matkę Bożą i Apostołów. Jest tam wszystko tak szczegółowo, wyraziście i przystępnie opisane, iż pobożna a wrażliwa i ciekawa wyobraźnia pierwszych stuleci i średniowiecza chętnie szukała pokarmu w apokryfach i zużywała go nietylko do kazań, lecz także legend i powieści.

A nawet i nowsze czasy zużywają ten apokryficzny materyał do swoich, lecz przyznać trzeba, że często samodzielnie go opracowują, dodając nowe i rzeczywiście ciekawe pomysły. Do najsławniejszych książek tego rodzaju należą bez wątpienia „Legendy Chrystusowe" Selmy Lagerlöf, na polskie przełożyła je Wanda Młodnicka [3]). Historya z glinianemi ptaszkami, które na znak dany przez Jezuska się ożywiają i ulatują, znajduje się już w Evangelium infantiae, znanem w V w. Podobnie przypominają tę ewangelię „Wdzięczne dziewczę" [4]) i „Ptaszki" z legend' jakie z talentem ułożyła dla dzieci Żulińska.

Sceny legendarne na tle Nowego Testamentu w świetle naszej wyobraźni narodowej opracował Maryan Gawalewicz w swej „Królowej Niebios", a w najnowszych czasach Domańska w swym „Dyzmie" [5]). Szerszym kołom ludowym dała się poznać Domańska jako autorka opowiadań biblijnych, opracowując w poznańskim „Przewodniku katolickim" postaci i wypadki ze Starego Testamentu [6]). Na tem samem polu pierwsze stawia kroki dość umiejętnie X. Wło-

---

[1]) X. J. Kruszyński, Wstęp ogólny do Pisma św. Włocławek 1915.
[2]) Wyd. z arabskiego H. Sika 1697 r. Trajecti ad Rhenum.
[3]) Lwów 1905.
[4]) Barbara Żulińska, Mały Jezus, Lwów 1912.
[5]) Antonina Domańska, Legendy z życia Świętych, Poznań 1917.
[6]) „Przew. kat." R. 1916 i 17.

dzimierz Leitgeber w „Swadźbie starego sługi". Wysoko zaś stanęła Jadwiga Marcinowska w swej powieści „Vox clamantis"[1]).

* * *

Najszerszy jednak i najpełniejszy plan w opisywaniu scen biblijnych zakreśliła sobie, najwyżej talentem i poezyą wzniosła się, najgłębiej do skarbów Pisma św. sięgnęła młoda autorka, Marya Czeska w swych „Opowieściach Chrystusowych"[2]). Już objętością swoją dzieło prześlicznie wydane i ilustrowane rzuca się w oczy, a jest to, jak widoczne z dodatkowych słów w tytule „Dziecię i Mistrz", dopiero pierwsza część, nastąpi jeszcze druga może „Ofiarnik i Ofiara". Zaznaczyć jeszcze należy, że „Opowieści Chrystusowe" ukazały się nasamprzód na łamach „Przeglądu powszechnego".

Kto stanie przed wzorzystą tkaniną wschodnią, ożywioną postaciami i scenami z życia i historyi, ten nie wie, na co wpierw patrzeć, co wpierw podziwiać, czy orgie barw, czy świeżość krasy, czy kunszt przędzy, czy misternych nici różnobarwnych motanie, czy umiejętność wynajdywania scen i wspaniałego ich wykonania. Otóż tkaniną wzorzystą a umiejętnie i kunsztownie tkaną, tkaniną wschodnią wydają mi się opowieści. Żeby rozpatrzeć się dokładniej w ich wartości, przyjrzyjmy się najpierw przędzy osnowy, jaka się mota w tej powieści niezwykłej.

Rozumie się, Chrystusowe opowieści mieć muszą i będą miały jeśli się tak wyrazić można, Chrystusa za bohatera. Więc zawsze i wszędzie On, człowiek niezwyczajny a promienny, Bóg ukryty a wszechmogący króluje nad tokiem całej powieści. czy ukazując się w pełni swej potęgi i czaru, czy też działając z pewnego oddalenia. Dokoła Niego toczy się cała akcya, do Niego zmierzają wszystkie myśli i uczucia, czy to miłosne, czy nienawistne, o Nim wiodą się wszystkie rozmowy i rozhowory po ludnych placach i ulicach gwarnych, po odległych a zacisznych chatach wieśniaczych. Zewsząd wygląda Jego święte Oblicze dobremi oczyma rozpromienione, miłującemi usty ożywione, blade; ciche w świetlistej aureoli złotego włosa i majestatycznej gloryi potężnego Bóstwa, wszędzie jawi się Jego smukła, wiewna postać, której cień nawet dobrotliwy niesie zdrowie i ulgę.

Zapowiada Jego przyjście w rozkosznem mieście róż, w dzie-

[1]) Warszawa 1913 r.

[2]) Marya Czeska, Opowieści Chrystusowe, Poznań 1917 r., str. 314.

wiczej komnatce Maryi, wpatrzonej w błękit niebios, słońcem porannem złocony. „Wysłaniec Boży“ a wieszczony Zbawca staje potem w grocie Betlejemskiej „U progu życia“, witany przez prostych pastuszków, by odebrać „Hołd“ od Baalowego kapłana Baltazara, od księcia indyjskiego Gatkaspara i jego wychowawcy Melchiora. Jeszcze Dziecię, niesione na rękach Matki do świątyni, pomni „O tych, którzy czekali“, o Symeonie i o Annie Fannelowej. A kiedy okrutny nad nim zapada „Wyrok Heroda“ na dalekiej, pustynnej „Na egipskiej ziemi“, już przez starca przeczuwany jako światłość świata. Wróciwszy zaś do ojczyzny, zjawiając się Janowi po śmierci jego ojca, posyła go na samotnię, duchowo się łączą „Jezus i Jan“. Lecz nim Jego przyszła godzina, w podziw wprowadza rabinów „W Jeruzalem“, patrzy na śmierć Józefa i podłość Judy, pędząc „Ostatni rok w Nazarecie“, zwycięża, kiedy wśród skalnych gór ścierają się „Dwie potęgi“ i bierze chrzest „Nad Jordanem“. Powołanie Piotra i cud w Kanie — oto „Początek dzieła“, wśród którego tak donośnie a miłościwie brzmią słowa, wołające grzesznicę „Pójdź za mną, Maryo!“ Tu radość z nawrócenia, lecz tam boleść dogłębna, bo Zwiastun Jego dziewiczy wstępuje „W mrok“. Lecz i nad Nim unosi się już mrok, bo kiedy jedni Go uznają, drudzy nań, iż nie spełnia ich marzeń, się porywają w nienawiści, taka to ludu „Wiara i... wiara“, i co gorsza, między najbliższymi znajduje się, jak wąż w zanadrzu „Dwunasty uczeń“. A Jezus mimo wszystko obdziela łaskami nie tylko rodaków, ale i „Niewiastę Chananejską“.

Oto złote pasmo życia i działalności „Dziecięcia i Mistrza“ wijące się przez tkaninę opowieści. Jak już ze streszczenia ich widoczne, autorka nie tyle posługuje się apokryficznemi legendami, ile się stara duszą czującą i kochającą wniknąć w dzieło Boga-człowieka. Kiedy więc w Apokryfach autorowie gonią wprost za cudami nieraz wprost zabawnemi i niesmacznemi, a nawet uwłaczającemi godności Zbawcy[1]), kiedy nawet w Legendach Selmy Lagerlöf najwyraziściej uwidocznia się strona, że tak powiem, baśniowa, tutaj mamy psychologiczne zgłębienie powołania i działania Wcielonego Bóstwa. Widać, że autorka sercem młodem, gorącem pokochała nietylko motyw artystyczny, ale przywarła do samego Zbawcy i duszą nastrojem no-

[1]) W Ewangelii Tomasza św. Józef nawet raz Jezuska wytargał za uszy, a w Ewangelii Dzieciętwa Jezusek za zepsucie zabawki zsyła śmierć na Hananiego, co się powtarza i w „Rozmyślaniu przem.“

dlitewnym owianą stara się wniknąć w tajemnice Odkupienia, przedstawiając je ze swobodą artystyczną. A przyznać trzeba, że okazuje wiele smaku w wyborze scen i legend, w kreśleniu rysów charakterystycznych. I tem wyżej stanęła od Selmy Lagerlöf, która nie przedstawia nam św. Józefa odpowiednio do jego godności, a wprost razi nas swą swobodą protestancką, swym nietaktem przykrym wobec św. Piotra w niebiesiech. Może być, inwencyą artystyczną i darem zajmującego opowiadania góruje nad naszą autorką, lecz biorąc pod skalpel krytyczny całość, pierwszeństwo przyznajemy Czeskiej.

Zupełnie nowocześnie zabrała się nasza autorka do nowej pracy. Nie, żeby nachwytała kilkanaście legend i usiadłszy, obrabiała je na własną modłę, nie, po studyach, prawdziwych studyach zabierała się autorka do swej sprawy. Widoczne to po znajomości Pisma św. i rozmyślaniu nad niem, po znajomości stosunków ekonomicznych, obyczajowych u Żydów, widoczne po sięganiu do gałęzi różnych nauk pomocniczych. Wprawdzie więcej od autorki wchłonęła w siebie wiadomości biblijnych Marcinowska, lecz pewnie zbyt uczona jest jej powieść, żeby miała mieć prawdziwe powodzenie. Czeska poszła, zda się, właściwą drogą, pamiętając o tem, że w dziele sztuki nauka jest tylko służebnicą i nie wolno jej ze sztuką rywalizować.

Nie brak, rozumie się, i uchybień rozmaitych tak co do treści, jak i formy. W niektórych opowieściach żądałoby się więcej pogłębienia, jak np. w „Dwunastym uczniu". Niektóre opisy działają trochę nużąco, trochę się powtarza kobieca miękkość, graniczące niekiedy z ckliwością, bladością, wywołującą nudę. Już w wyrazach to widoczne, bo się powtarzają aż do znudzenia te długie, smukłe palce, te wysokie „smukłe" postaci. A może autorka umyślnie tak homerycznym zwyczajem powtarzała te wyrazy? Lecz czy tu na miejscu ten zwyczaj? Dalej wymagałoby się więcej krytycyzmu językowego czy realizmu powieściowego w niektórych miejscach. Jakże rażą owe obce wyrazy [1]) w rodzaju „kuracyjny" na tle tak odległej epoki! Wprost zaś uważamy za usterki językowe formy, jak „ofiarze", „upierścieniowane (?) palce", „uspakajali", „zrozum". Dalej co jeszcze razić może, to przekręcanie nazw, których brzmienie właśnie przez Pismo św. utarte. Toć czytamy u Łukasza 1, 26 wyraźnie Ναζαρετ (Nazaret) a nie Nazareat — Nazareat to rodzaj ślubu staro-

[1]) Dziwny ten błąd znachodzi się i w najnowszej, arcymiłej powieści autorki „Dwaj Rymszowie", Poznań 1917.

testamentowego — u Jana 5, 2 Βηθσαδά (Vulg. Betsaida), a nie Betseda. Pocóż iść za jakimiś pisarzami innych narodowości, kiedy za Pismem św. tych właśnie nazw wszyscy używamy. Wreszcie zaznaczyć wypada, że słupy w świątyni Herodyańskiej, w której nawet przedsienie już na kilka lat przed narodzeniem Chrystusa skończono, pewnie nie były „cedrowe" (str. 40), lecz marmurowe, podobnie jak słupy w krużgankach, za to stropy były cedrowe.

Wszystkie te usterki, których łatwo będzie można się ustrzedz w drugiej części, niezdolne obniżyć wartości dzieła, które znaczące zajmuje miejsce w naszem piśmiennictwie dzięki swej świeżej, wonnej, promiennej poezyi. Rzeczywiście poetką, niepoślednią poetką jest autorka i przez cały ciąg powieści gra nam na swej złotostrunnej harfie wielki i wspaniały hymn religijny, co opiewa miłosną drogę Zbawcy, wiodącą do duszy współczesnego człowieka. A śpiewa ten hymn miłości na wezwanie pieśniarki i przyroda cała palestyńska i skały urwiste i pola szerokie, liliami białemi strojne i lasy, cedrami, cyprysami szumiące i srebrzyste gaje oliwkowe i jezior i rzek wody modre i nieba błękit szafirowy i słońca blask złocisty i domu zacisze i rozgwar ulicy i Świątyni Jerozolimskiej wspaniałość królewska. Tchnienie poezyi takiej rozkoszne, tem cenniejsze, że uszlachetnia wszystkie władze duszy człowieczej.

Jeszcze do niedawna Marya Czeska mało znaną była, choć lubownicy poezyi rychło się poznali na jej świeżych a szlachetnych lirykach, umieszczanych na łamach „Przeglądu powszechnego", Ruchu kulturalnego w Poznaniu, w różnych pismach lwowskich i warszawskich. Po lirykach zwrócono uwagę na jej liczne nowele, a dziś przez Opowieści wchodzi autorka śmiało w rozwarte wierzeje naszego chramu literackiego. Trudno teraz już orzec stanowczo, jakie stanowisko zajmuje między kobietami piszącemi, lecz to powiedzieć można, że należy do najwybitniejszych. A jeśli wolno przewidywać na podstawie tych wartości, jakie dała naszemu piśmiennictwu i stosunkowo młodego wieku, to kto wie, czy Czeska nie weźmie w drżące i korne swe dłonie harfy sierocej po Konopnickiej, Orzeszkowej. W każdym razie cieszyć się można, że przeciwko plejadzie zdolnych, ale mniej chrześcijańskim duchem przejętych pisarek w rodzaju Zapolskiej, Moszczeńskiej itp. występuje autorka *par excellence* katolicka w zbroicy niecodziennego talentu.

X. Nikodem Cieszyński.

Zagadnienie społeczne, Ks. Dr. A. Szymański, Włocławek 1916. 8-o, 540.

Nie miały dotychczas nasze seminarya swojego podręcznika do socyologii, nie mieliśmy wogóle socyologii, przedstawiającej w jakimś całokształcie, prócz ogólnej kwestyi społecznej, także kwestyę społeczną polską. Byliśmy wskutek tego skazani na wyciąganie ręki po podręczniki obce: Casanovy, Beliota, względnie do ograniczenia się na tłumaczeniu Biederlaka, który z natury rzeczy polskiej społecznej bolączki nie dotyka. To, co się u nas pisze, a pisze się niemało, są raczej ekonomie, albo jakieś monografie z zakresu socyologii. Przecież nawet takie prace, jak: Trzcińskiego „Przewodnik pracy społecznej", Gryzieckiego „Duchowieństwo a socyalna kwestya", Kulwiecia „Przewodnik pracy społecznej" są albo natury zbyt praktycznej, albo noszą jakąś cechę dzielnicowości. Temu piekącemu brakowi zapobiegł Ks. Dr. Szymański, wydając swe „Zagadnienie społeczne", jako podręcznik dla seminaryum.

Bezsprzecznie najlepszem poleceniem jego dzieła jest list Ks. biskupa Zdzitowieckiego, umieszczony na wstępie dzieła. Przypatrzmy się tedy, czem to nowe dzieło zdobyło tak zaszczytne uznanie.

Podajemy najpierw treść. Kwestya społeczna, jak sam człowiek, łączy w sobie dwa pierwiastki: materyalny czyli ekonomiczny i duchowy czyli moralny, i dlatego nie podobna zrozumieć kwestyi społecznej bez poznania organicznej łączności Kościoła, jako niewzruszonej podstawy wszelkiej etyki i kwestyi społecznej, bez odpowiednich pojęć o ekonomicznych prawach życia społecznego. Otóż autor całkiem wyczerpująco omawia obydwie kwestye w części pierwszej swego dzieła.

Mając już pogląd na samą naturę zagadnienia społecznego, można przystąpić do rozpatrywania szczegółowych jego przejawów, co też autor czyni w części drugiej. Omawiając zatem z kolei zagadnienia społeczne w przemyśle i rzemiośle (r. VI.), w handlu (r. VII.), w rolnictwie (r. VIII.), mógłby się jeszcze ktoś spodziewać jednego rozdziału o kwestyi kobiecej. Kto jednak przeczyta wspomniane dotychczas rozdziały, wyrobi sobie dostateczne pojęcie w tym względzie, gdyż autor wyczerpująco omawia i tę kwestyę przy szczegółowych przejawach zagadnienia społecznego.

Poznawszy szczególne społeczne niedomagania, wypada zapytać się, jak im można zaradzić, co dotychczas uczyniono w danym kierunku i jak należy w przyszłości postępować. Do tej kwestyi przechodzi autor

w części trzeciej: „Polityka społeczna". Kwestyę można ująć albo szczegółowo, dając odpowiedź na każde pojedyncze zagadnienie społeczne, albo ogólnie, omawiając niedomagania, które w każdym przejawie kwestyi społecznej wywierają swój wpływ ujemny. Autor obrał ostatnią drogę. Rozpatruje więc najpierw to, co najbliżej człowieka — warunki hygieniczne, następnie pracę, jako podstawę życia. Pracy i jej warunkom, lokacyi, wynagrodzeniu, zrzeszeniom poświęca autor dwa rozdziały (XI. i XII.). Gdy się tę kwestyę omówi wyczerpująco, zagadnienie społeczne, rzec można, jest dostatecznie przedstawione.

Ale Ks. Szymański pojął szerzej kwestyę społeczną. Szerzej, niż się to zazwyczaj dzieje. W rozdziale następnym (XIII.) przystępuje do kultury umysłowej i moralnej. Kwestyę oświaty, rodziny, omawia się dość powszechnie w podręcznikach socyologii, ale zjawiska takie, jak przestępczość małoletnich, pornografia, prostytucya, handel żywym towarem i t. p. pomija się zazwyczaj, a przecież wpraszały się już dawno, by je zaczęto pojmować jako fakta społeczne, natury nadzwyczaj drażliwej. W socyologii katolickiej pominąć ich nie można. To też autor poświęca tej sprawie osobny rozdział. A trzeba podnieść, że nas Polaków kwestya ta bardzo obchodzi i może o nią nie dbać tylko ten, kto nigdy nie słyszał, jak się handluje polską krwią i polską cnotą, jakie niebezpieczeństwo grozi narodowi ze strony chorób płciowych.

Wreszcie w ostatniej części spotykamy historyczny pogląd na społeczne kierunki i na katolicyzm społeczny. Temu przedmiotowi socyologowie na ogół poświęcają dużo miejsca w swych podręcznikach. Ks. Szymański mniej się nad tem rozwodzi, przez co dzieło nietylko nic nie straciło, owszem, pośrednio zyskało. Opuszczając bowiem zbyt obszerne omawianie historyi społecznych ruchów, mógł tem śmielej pomieścić w swem dziele wiele informujących szczegółów, nie powiększając zbytecznie rozmiarów swej pracy. I tu właśnie dotykamy wielkiej zalety dzieła Ks. Szymańskiego. Oto przedstawia w każdej niemal szczegółowej kwestyi, jaką omawia, prawdziwie wielki, z ogromnym mozołem zebrany materyał statystyczny. Gdy się przy tem uwzględni źródła przezeń podane, czuje się czytelnik zniewolony do oddania hołdu pracy czcigodnego autora.

Lecz największą zasługą, prawdziwie obywatelskim czynem autora jest uwzględnienie w całym podręczniku naszych ojczystych, polskich stosunków. Przy dotychczasowem rozbiciu naszego społeczeństwa, wobec nierównomiernego rozwoju naszego narodu w różnych zaborach, jest niezmiernie trudno zoryentować się w naszej społecznej

kwestyi. Bez tego zaś nietylko niczego nie można zrobić, ale niepodobna być nawet dobrym teoretykiem dla swoich. Autor zatem, czem mógł, służył swemu czytelnikowi. I chociaż nie wszędzie mamy daty ze wszystkich dzielnic, przecież to, co autor uczynił, jest dużo, bardzo dużo.

W całej też pracy przebija się duch obywatelski, narodowy, wprawdzie nie w afektach, ale w onem słowie, odkrywającem społeczne bole i wskazującem, czegośmy dokonali i co w przyszłości czynić trzeba.

Ze wszystkich uwag autora na ten temat podejmujemy tu jedną, jako nadzwyczaj doniosłą na dzisiejsze czasy, a mniej znaną ogółowi naszego społeczeństwa. Czytamy na str. 63, bezpośrednio po wywodach ogólnej natury, o różnych rodzajach sprawiedliwości: „Niezależnie od interwencyi państwowej i nakazu władz publicznych każdy członek społeczeństwa, zarówno rządzący, jak rządzony, jest obowiązany do pracy dla dobra całego społeczeństwa. Wprawdzie zobowiązanie to samo przez się jest niedoskonałe i przechodzi w dokładnie określone dopiero przez nakaz władzy. Ale ono jest i nabiera szczególnej doniosłości tam, gdzie istnieją konflikty między dążeniami społeczeństwa, tworzącego świadomy siebie naród, a dążeniami władz publicznych. W tych wypadkach na każdym obywatelu ciąży bardziej obowiązek ściślejszego określania zadań i powinności sprawiedliwości społecznej; jednocześnie powstaje rodzaj władzy publicznej moralnej, której moralne nakazy wskazują drogę do dobra obywateli i narodu". Słowa te nie są do czytania, ale do rozważania!

Gdy zwrócimy uwagę na formę, również musimy podkreślić wiele zalet nowego podręcznika. Na wstępie każdej części i każdego rozdziału podaje autor krótkie streszczenie, ułatwiające pochwycenie pochodu myślowego. Tej szybkiej oryentacyi w dziele Ks. Szymańskiego sprzyja także techniczna strona podręcznika. Uwagi i uznania godny jest również potrójny spis, którym autor swe dzieło opatrzył.

Musimy jednak zwrócić uwagę, że podręcznik Ks. Szymańskiego nie jest książką do czytania, ale podręcznikiem w całem tego słowa znaczeniu i to podręcznikiem, wymagającym w wielu wypadkach profesora. Mimo wielkiej jasności i bardzo wielu szczegółów, autor dość często suponuje dużo znajomości u czytelnika. Najlepiej to chyba zdradzają terminy techniczne: indemnizacya, ratyfikacya, tabele prestacyjne, ażiotaż i t. d., licznie po tekście rozsiane, a same przez się nie dość jasne dla profanów w kwestyi społecznej. Większą bezsprzecznie wartość posiadałby podręcznik, gdyby wystarczył sam sobie i gdyby

krok za krokiem wprowadzał studyującego go w labirynt społecznego zagadnienia.

Pozwolimy sobie jeszcze zwrócić uwagę na dwa wyrażenia autora, nieco niejasne, a przez to budzące pewne wątpliwości. Pisze autor (str. 68), że „przedmiotem formalnej sprawiedliwości społecznej jest dobro ogólne, szczęśliwość doczesna, która polega formaliter na praktyce cnoty". Nie chcemy stanowczo twierdzić, że ujęcie przedmiotu formalnego społecznego szczęścia jest fałszywe, ale bądź co bądź samo w sobie nie całkiem oczywiste, a przez autora nie wystarczająco rozwinięte i uzasadnione. Dlatego należałoby może lepiej wyjaśnić samą istotę szczęścia doczesnego, które w kwestyi społecznej wielką odgrywa rolę.

Również nie możemy się zgodzić na twierdzenie autora, pomieszczone na str. 470 w słowach: „O zawarciu małżeństwa świadczy z jednej strony obopólna zgoda współmałżonków, z drugiej cielesne połączenie w akcie spółkowania, w którem spełnia się symbol połączenia Chrystusa z Kościołem". Zdanie to nie jest bynajmniej powszechnie przyjęte wśród teologów, owszem, jeśli ma zwolenników, to chyba najmniej. Na dnie jego ukrywa się pogląd Freisena co do istoty małżeństwa, jak wiadomo, powszechnie odrzucany. Sądzimy przeto, że podręcznik niceby nie stracił na swej wartości i poczytności, gdyby czcigodny autor w następnych wydaniach przedstawił w tej kwestyi zdanie powszechnie przyjęte.

Nie wątpimy też, że w dalszych wydaniach autor poczuje pewne jakby niedomówienia, zaciemniające tu i ówdzie treść, większą zwróci uwagę na poprawność druku, pozostawiającą nieco do życzenia. Te braki tłumaczymy sobie pośpiechem, z jakim autor wydawał podręcznik. A pośpiech jest całkiem zrozumiały.

Dziś bowiem pora i pora najodpowiedniejsza na szerzenie znajomości zagadnienia społecznego. Wszak wojna wstrząsnęła do głębi całą ludzkością, wszystkiemi społeczeństwami i pod wielu względami wyłoniła dotychczas nieznane całkiem, lub nie dość dokładnie znane społeczne braki. Z drugiej strony w wielu społeczeństwach, a przedewszystkiem w naszem, obudził zdumiewającą energię i zdolność do pracy społecznej. Czas więc jest najodpowiedniejszy, by cały naród, a w pierwszej linii kapłani, mający w nim tak wybitne stanowisko, poznali cały ogrom społecznego zagadnienia wogóle, w szczególności zaś polskiego narodu, by skoro całkowicie spadną z naszych rąk okowy

i ducha już więcej nie będzie więzić straszliwa zmora niewoli, jąć się całą siłą wszechstronnej reformy.

Wypada sobie zatem tylko życzyć, by podręcznik Ks. Szymańskiego rozszedł się jak najszybciej i szerzył znajomość naszych bied i zachętę do pracy, a pośrednio torował drogę jeszcze pełniejszym i lepszym wydaniom.

J. Krzep.

Bressleres Albert Ks. T. J. **Dopuśćcie dziatkom iść do mnie.** Przerob. z franc. Marya z Dzieduszyckich Komorowska. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. Wydanie II. Stron 51. Z jednym obrazkiem. Cena 50 fen.

Najwymowniej świadczy o poczytności i zaletach powyższej książeczki fakt, że w ciągu niecałych dwóch lat ukazał się już drugi nakład tegoż wydawnictwa.

Śliczne też są te liściki chłopczyka, który z tą czarującą prostotą duszy czystej, anielskiej, opisuje stan swej duszy, opisuje, jak walczyć musiał, aby módz przystępować codziennie do Komunii św. Najpiękniejsze są te rozdziały, w których chłopczyk ofiaruje życie swe za ojca niewierzącego, nie praktykującego. Cierpienie wydaje mu się szczęściem, gdyż opromienia je wiara i ufność, że chorobą i śmiercią wcześniej wymodli nawrócenie ojca.

Książeczka powyższa to jedna z tych, które porywają nie retoryką i świetnym językiem, lecz przykuwają mocą najczystszej ofiary, mocą cichego heroizmu, których największą zaletą to prawdziwa, dziecięca prostota.

K.

Ks. Dr. Szydelski. **Religia, a wychowanie i szkoła.** Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha. Poznań 1917. Stron 101.

Autor wysnuwa przedewszystkiem główny czynnik wychowawczy, ukształcający duszę i charakter, mianowicie religię i omawia stosunek jej do wychowania i szkoły. Stanowczo żąda autor zachowania religii w szkołach polskich, a nawet rozszerzenia zakresu i ulepszenia metody nauczania, wykazując jasno i dobitnie korzyści, jakie wypływają z religii na życie etyczne jednostki, a tem samem i narodu. Zwal-

cza system etyki niezależnej i uzasadnia swoją argumentacyę, że podstawą wychowania winna być religia.

Wdzięczni jesteśmy też autorowi za wyjaśnienie, w jakim stosunku do nauki religii w szkołach stała Komisya Edukacyjna. Pod tym względem niedostatecznie byliśmy poinformowani i często spotykano się z zarzutem, jakoby Komisya Edukacyjna nietylko obojętny, lecz wprost wrogi przybierała charakter, wyrzucając ze szkół naukę religii. Opierając się na ustawach Komisyi i korespondencyi Kołłątaja, autor odpiera zarzuty, ukazując pracę Komisyi na polu wychowania religijnego we właściwem świetle.

Ciekawą jest część ostatnia broszury p. t. „Wieczory dyskusyjne", w której autor podaje dość obszerną dyskusyę, nawiązaną do referatu, omawiającego religię jako podstawę wychowania.

Z.

Czuj Jan Dr. **Buddyzm.** (Głosy na czasie Nr. 41). Stron 101. Cena 1·60 Mk. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha.

Ruch naukowy o buddyźmie przybrał rozmiary rozleglejsze. Literatura niemiecka wydała kilka dzieł ciekawych o Buddzie i buddyzmie, polska literatura, jak zwykle, uboższa i pod tym względem. Na ogół wśród inteligencyi i młodzieży uniwersyteckiej ruch buddystyczny podatny znalazł grunt i jeszcze przed kilku laty entuzyazmowano się nauką Buddy.

Autor w broszurze powyższej daje niezbędne wiadomości o Buddzie i jego nauce, oparte na dociekaniach naukowych, nie przeładowane jednakże balastem naukowym, w formie przystępnej. Podaje życiorys Buddy, dogmatykę buddyzmu, pisze o etyce, uwydatniając różnicę pomiędzy etyką buddystyczną a chrześcijańską. Nie przeczy autor, że etyka Buddy w pewnych punktach zbliżona do etyki chrześcijańskiej, jednakże różni się zasadniczo. Następnie omawia wpływ buddyzmu na kulturę, przyczyny ruchu buddystycznego w czasach najnowszych i rzekome podobieństwo między buddyzmem a religią chrześcijańską.

Wszystkie swoje wywody popiera autor rozumną argumentacyą. Całość utrzymana jednakże zanadto w stylu polemicznym.

L.

Dr. St. Wachowiak. **Odczyty ekonomiczne.** Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha. Poznań 1917. Stron 67.

W niniejszem dziełku dał nam autor kilka odczytów ekonomicznych i to: „Od czego zależy nasza przyszłość gospodarcza?“, „Nasza siła gospodarcza w liczbach“, „Bankructwo międzynarodówki“, „Sprawa cofania się liczby urodzeń“.

Odznaczają się one zdrowym i jędrnym poglądem na sprawę, wykazują, że kraj nasz, bogato wyposażony w warunki rozwoju gospodarczego, w przyrodzone źródła dobrobytu, może przy umiejętnej i rozumnej pracy rozwinąć się nietylko na polu rolnictwa, lecz także handlu i przemysłu. Z rozwojem ekonomicznym Polski znikną też różne bolączki, przedewszystkiem ustanie tłumna emigracya ludu roboczego, a poprawa bytu materyalnego wpłynie również korzystnie na etykę i kulturę naszą.

Ciekawym i ważnym jest odczyt, podający siłę naszą gospodarczą w liczbach, wykazujący ściśle statystycznie stan wewnętrzny narodu i jego gospodarki.

Całość ważna i pożyteczna poleca się wszystkim, którym rozwój ekonomiczny kraju leży na sercu. Odczyty przysłużą się szczególnie organizacyom ekonomicznym i zawodowym.

W.

Marya Dembińska. **Tadeusz Kościuszko.** Obraz historyczny. Nakładem i czcionkami Drukarni i Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. Stron 80. Z 22 ilustracyami. Cena w oprawie 2'40 Mk.

Sto lat upływa od chwili, gdy jeden z najzasłużeńszych, z najszlachetniejszych Polaków zgasł, gdy wielkie, czyste serce na zawsze bić przestało. A jednak pamięć jego w duszach naszych dotąd żywa, niewygasła, nieśmiertelna. I pamięć tę zachowujemy i przekazujemy przyszłym pokoleniom, przekazujemy szczególnie przez historyę.

Powyższe wydawnictwo ma na celu uprzytomnić, uplastycznić nam obraz naszego bohatera narodowego. Autorka dała dobrą charakterystykę Kościuszki. Doskonały typ polski wcielił się w tej postaci, pełnej światła i dzielności. Jako człowiek, nie żywi w sobie żadnej myśli samolubnej i zdaje się cały być ofiarą na ołtarzu szczęścia powszechnego. Jako żołnierz, łączy w sobie nieustraszoną odwagę ze wspaniałomyślnością dla pokonanych, jako wódz czaruje prostotą i przykuwa do siebie serca żołnierzy, jako polityk wskrzesza w swych ode-

zwach ideę zrzeszenia się ludzi odmiennych stanów. Jak na barwnej kanwie snuje się ten żywot, tak obfitujący w cierpienia i wypadki niezwykłe, snuje się, skreślony przez autorkę z pietyzmem dla Kościuszki.

Szereg obrazków, wykonanych rotograwurą, ilustruje sceny z życia Kościuszki i przykuwa tem więcej uwagę czytelnika.

K.

Z piśmiennictw obcych.

Die Grossmächte der Gegenwart, von Dr. R. Kjellen, übersetzt von Dr. C. Koch, 12-te Aufl. B. G. Teubner, Leipzig-Berlin. In 8-vo, str. 207.

Die politische Probleme des Weltkrieges, von Dr. R. Kjellen, übersetzt von Dr. F. Stieve. 2-te Aufl. B. G. Teubner, Leipzig-Berlin. In 8-vo, str. 141.

Obie powyższe prace powstały, jak to zaznacza ich autor — profesor szkoły wyższej w Gothenburgu w Szwecyi — z jego wykładów. Są też one właściwie podręcznikami, ułatwiającymi oryentowanie w bieżących wypadkach, wywołanych przez wojnę światową. Znaczne obeznanie się prof. Kjellena z odnośną a tak bogatą literaturą ułatwiło mu wszechstronne obrobienie przedmiotu, a dla czytelnika stało się cennym zbiorem wskazówek co do źródeł, z których może ewentualnie sam korzystać.

W pierwszem z tych dziełek przedstawia autor treściwie stosunki ośmiu mocarstw: Austro-Węgier, Włoch, Francyi, Niemiec, Anglii, Stanów Zjednoczonych, Rosyi i Japonii. Postępuje on przytem systematycznie przy każdem mocarstwie, dając naprzód króciutkie daty statystyczne, następnie genesis jego powstania, potem zaś charakterystykę jego topografii, narodu, społeczeństwa, a wreszcie polityki zagranicznej.

Rzeczonym wywodom szwedzkiego uczonego możnaby jednak zarzucić, że tam, gdzie zaczepia o historyę, nie są one dokładne i że miejscami widać w nich odbicie pustych frazesów, mających „kurs przymusowy“ w pewnym odłamie publicystyki europejskiej. I tak, pisząc np. o dziejach Austryi, twierdzi, że była ona jedynem „przed-

murzem" Europy przed potęgą turecką. Zdradza więc prostą ignorancyę — nie chcemy przypuszczać złej chęci — skoro zapomina o roli, jaką odegrała Polska w ciągu wieków wobec Europy i Turcyi. Następnie zaś powtarza bezmyślnie idyotyczny zarzut rzekomego gnębienia Rusinów przez Polaków w Galicyi.

W drugiem z wymienionych w nagłówku dziełek oświadcza prof. Kjellen, że jego sympatye są po stronie państw centralnych, ale zapewnia równocześnie, że jako człowiek nauki i jako członek narodu neutralnego wobec zapasów światowych, stara się być w swej pracy zupełnie bezstronnym.

Podzielił on ją na sześć rozdziałów, traktujących o problemach geopolitycznych Rosyi, Anglii i Niemiec, o problemach etno-politycznych, w odniesieniu do narodowości i rasy, a wreszcie socyalnych i kulturalno-politycznych tych mocarstw.

W tej pracy okazał się prof. Kjellen sprawiedliwszym, gdy mówiąc o s p r a w i e p o l s k i e j, jako jednym z problemów etno-politycznych, wyraża się w ten sposób:

„Widzimy tu naród rozczłonkowany, pozbawiony wolności i bez śladu centrum państwowego; władcami jego pojedynczych części są Austrya z 5-ciu milionami Polaków, Rosya z przeszło 12-tu milionami, Niemcy z przeszło 4-ma milionami. Naród, liczący 21 milionów ludzi, wysoko cywilizowanych i rozwiniętych socyalnie, z bogatą literaturą i wielkiemi tradycyami swej samodzielnej przeszłości — naród, o którego indywidualnych właściwościach i o silnie rozwiniętem poczuciu narodowem wątpić nie można — żyje bez własnego państwowego dachu nad głową, mieszcząc się w trzech cudzych mieszkaniach. Z czysto formalnego punktu widzenia nie popełniono nigdy większej zbrodni przeciw zasadzie narodowości, niż wówczas, gdy to się stało" (str. 73).

W roztrząsaniach co do przyczyn, jakie poprzedziły i wywołały obecną światową katastrofę, autor założył sobie przejść je wszystkie kolejno. Jest to, rzecz prosta, zadanie zbyt wielkie, aby było można całkowicie mu sprostać w niewielkiej książce. Przyznać jednak trzeba, że prof. Kjellen przedstawił dość dokładnie starcia natury ekonomicznej i politycznej między pojedynczemi mocarstwami, z wyjątkiem Stanów Zjednoczonych, co do których nie mógł przewidzieć, pisząc w r. 1916, że wezmą udział w wojnie światowej. Nie mógł on także przewidzieć takiej niespodzianki, jak rewolucya rosyjska. Dwa te fakty, łącznie z oświadczeniem się Chin po stronie „entente'y" zmieniają zna-

cznie oblicze zatargu międzyeuropejskiego, czyniąc go przytem zatargiem naprawdę światowym, rozszerzonym na całą kulę ziemską.

Przy końcu wyraża prof. Kjellen „akademickie“ życzenie, by „zwycięzca w wojnie światowej uszlachetnił swoje zwycięstwo i siebie samego przez pełne względów postępowanie wobec słabszych, nowych organizmów państwowych, jakie wyłonią się z fal obecnej burzy, t. j. przez sprawiedliwy pokój“.

Jest to życzenie uczonego. Mężowie stanu jednak mają, niestety, inne zapatrywania na to, jak należy zwycięstwo, odniesione z orężem w ręku, wyzyskiwać.

J. Trepka.

Impressions de guerre de Pretres Soldats — recueillies par Leonce de Grandmaison. Paris. Librairie Plon. 1917.

Łzawe i krwawe te kartki, tętniące bólem i niedolą życia wojennego, a pisane przez tych, którzy byli w ciągłym i ścisłym kontakcie z duszą żołnierza francuskiego — którzy tę duszę dźwigali w cierpieniu i wespół z niem podnosili, a często przeprowadzali do granicy wiecznego pokoju. Rząd francuski wysłał tysiące księży do obozu, do okopów — ogołocił z nich parafian i mając cel przeciwny na oku, przyczynił się do spotęgowania wiary francuskiego żołnierza. Kapłan w obozie, czy to kapelan, czy żołnierz lub oficer, zawsze jest kapłanem i dusze towarzyszy zwracają się do niego w cierpieniu i biorą światło i siły.

Nachylony nad konającym, by go pocieszyć i zbliżyć do Boga, czy prowadzący swój oddział w ogień, czy pomagający im znosić ciężkie życie w okopach, kapłan jest tam zawsze żołnierzem Chrystusowym, a spisane przez księży wspomnienia wojenne, obozowe, pełne są tego ducha wiary, którego nic zachwiać nie zdoła — świeci, jak światło w ciemnościach.

Przesuwają się nam przed oczyma duszy smutne, straszne nieraz sceny, słyszymy pękanie granatów, grzmot dział, jęk rannych i konających — a duch Boży unosi się nad tem morzem cierpień. Niejeden z tych, którzy w swem życiu powszedniem nigdy o Bogu nie myśleli, nieraz ledwo o Nim słyszeli, tu budzi się do życia duszy. Śliczna opowieść o dwóch żołnierzach, z których jeden to 19-letnie dziecko, artysta muzyk, sierota; o Bogu nikt mu nigdy nie mówił. Ale Bóg w kilku dniach oświecił tę duszę i uczynił z niej naczynie wybrane. Cudowna harmonia katolicyzmu zdobyła z łatwością to serce artysty — Petit-

Pierra, (bo tak go zwano w obozie) stał się apostołem, od chwili, gdy Chrystus Eucharystyczny zstąpił do jego duszy. Zapłonął świętą chęcią dzielenia się z towarzyszami swoją wiarą i płynącem z niej szczęściem, a gorące jego serce zdobywało serca dla Boga. A znalazł się obok niego apasz paryski, o instynktach i przeszłości bandyty. Petit-Pierre nie spoczął, póki za łaską Bożą nie przyprowadził Freda Panu Jezusowi. Wzruszającym jest opis, jak to serce zdziczałe chwiało się, szło naprzód i cofało się — a młody apostoł modlił się z ufnością, a Chrystus przyciągnął do siebie dobrego łotra. Święta przyjaźń złączyła tych dwóch ludzi, tak od siebie różnych, aż ich Bóg w jednym dniu, wśród bitewnego ognia do siebie powołał.

Inny obrazek, to zdobyta też dusza żołnierza-żyda, który ugodzony śmiertelnie, prosi dobrego towarzysza o chrzest i przed nim czyni wyznanie swych grzechów. A jeszcze inna opowieść, to obraz uroczystego nabożeństwa w dzień św. Marcina, celebrowanego w Arras przez jednego z wybitnych tam biskupów, Mgr. Lobbedey, dla stojących na tym froncie żołnierzy. Tłum napełniał świątynię — biskup wchodzi na ambonę i przemawia, podnosząc serca obecnych — wtem poczynają grzmieć niemieckie działa i pociski padają tuż koło kościoła — lęk ogarnia obecnych, ale biskup w infule i z pastorałem w ręku, nie schodzi z kazalnicy, lecz spokojnym głosem udziela błogosławieństwa tym, którzy razem z nim może za chwilę staną przed Bogiem: „Benedicat vos omnipotens Deus, Pater et Filius... W te słowa wpada huk, trzask, łomot — zdawało się, że kościół się wali — ale to tylko dom sąsiedni — kościół pozostał nietknięty. A żołnierze opowiadali sobie długo w okopach o nabożeństwie na św. Marcina, gdy błogosławieństwo biskupa, „który się nie bał granatów", odwróciło ich pociski. Potem — opisy ciężkiego życia w okopach — strasznych przejść koło Verdun — opisy bohaterskich skonów — cała epopeja zamknięta w tych skromnych kartkach.

Druga część książki omawia stosunki w Belgii, pod okupacyą niemiecką, oddaje przedewszystkiem dzielność duszy belgijskiej. Obraz niezupełny, bo nie pora teraz na pełne światło... przewijają się fragmenta toczącej się tragedyi.

Na pierwszym planie widnieje wspaniała postać arcybiskupa kardynała Mercier, otoczona aureolą czci całej Belgii, bez różnicy przekonań i stronnictw. To obecnie pierwszy obywatel belgijski, zwycięzony, o postawie sędziego, pełnego niezależności i majestatu. Około prymasa grupują się „prawdziwi Belgowie", nie dostosowujący się oportu-

nistycznie do położenia. Życie wśród nich ciche, poważne, niema strojów ni zabaw — pełne zrozumienia dla powagi chwili. I prasa stoi na jej wysokości. Akcya społeczna, w stosunku do okoliczności, ożywiona — a niezmierną pomocą dla niej są ambasadorowie hiszpański i amerykański. Dary dla Belgii, przychodzące z Ameryki i innych krajów, wprowadziła do niej C. R. B. (Commission of Relief for Belgium), a rozdziela je Komitet narodowy, którego działalność rozgałęzia się i obejmuje wszelkie potrzeby kraju. Miłosierdzie klas zamożnych występuje na tle wojennej niedoli, a dodać należy, że podnosi je wkładany w nie ochoczo trud osobisty.

Zajmującą nad wyraz książkę „Wspomnień kapłanów-żołnierzy“ zamykają „Listy ze Wschodu“, z Serbii i Grecyi.

Helena Skolimowska.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pokojowa działalność Papieża. — Pokój papieski a katolicyzm. — Enuncyacye Księdza Biskupa Pelczara. — Arcybiskup warszawski regentem.

Nota papieża w sprawie pokoju nie przyniosła do tej chwili, w której te słowa piszemy, rozstrzygającego wyniku, nie doznała również stanowczej odmowy. To bardzo wiele. W tym stanie roznamiętnienia i nienawiści, jaki obecnie zawładnął światem, ta chwila zawahania się przed wypowiedzeniem ostatecznego słowa, to i dla sprawy pokoju krok naprzód i dla uznania powagi papieskiej szczegół znamienny.

Anglia, Francya, Włochy, Rosya i mali sprzymierzeńcy koalicyi nie odpowiedzieli dotąd. Odpowiedział tylko Wilson. Odpowiedź Wilsona, choć nie przypadła do smaku aneksyonistom niemieckim, była jednak po myśli większości parlamentu niemieckiego. W tem zdarzeniu tkwi ważny objaw, ważniejszy, niż to się wielu wydaje. Czekajmy dalszego biegu spraw.

Odpowiedziały po myśli Papieża państwa centralne. Że katolicka Austrya poszła za wezwaniem Papieża, rzecz jasna. Niezwykłem jednak uznaniem powagi papieskiej jest to, że i protestanckie Niemcy i mahometańska Turcya i schyzmatycka Bułgarya poszły za przykładem Austryi. Krok taki tych państw w istniejącym związku rzeczy był nieodzowny, niemniej jednak, jako hołd, złożony powadze papieskiej, zachowuje swoje znaczenie.

W całem tem zdarzeniu ponad wszelką wątpliwość jest jasnem, że działalność pokojowa Papieża już w tej chwili cieszy się powodzeniem o epokowem znaczeniu. To, że państwa centralne uznają przewodnie idee noty papieskiej, a więc potrzebę usunięcia militaryzmu i rozbrojenia, ponadto międzynarodowy sąd rozjemczy, to zdaniem całego świata jest zdarzeniem przełomowem pierwszego rzędu. Zgnieść militaryzm to było hasło ententy — usunąć militaryzm i zabezpieczyć świat od wojny, to dziś wygłoszona zasada państw centralnych. A więc istotna podstawa przyszłego pokoju już dziś istnieje. Nie zdziałał tego sam Papież, ale w każdym razie obopólne ogłoszenie tej zasady przyspieszył i ułatwił. W tym samym duchu zaczęła iść większość parlamentu niemieckiego, a jednak sprawa cała utknęła w kuloarach. Któż wie, gdyby nie nota papieska, czy bieg spraw przyszłych nie byłby taki, że do tego ogłoszenia tych zasad nie byłoby wcale przyszło!

Tak przedstawia się zasadnicza strona tej sprawy. Szczegółem, który tej sprawie dodaje uroku i podnosi serce, jest odpowiedź cesarza austryackiego. Mimochodem zaznaczamy, że już kilka razy zajął młody cesarz w tym pierwszym roku swego panowania arcykatolickie stanowisko. Taki krok naprzykład, jak amnestya polityczna, uzasadniony tem, że nienawiść zwalczać trzeba miłością, jest krokiem i politycznie mądrym i płynie z chrześcijańskiego poczucia; dziecię cesarskie, wspomniane w dokumencie amnestyi, jako pobudka tego aktu łaski, jest tylko odblaskiem tego Dziecięcia, które ze szopki betleemskiej niesie miłość i pokój. Jest dalej jasnem, że cały nacisk szlachetnej pokojowości w tej chwili wychodzi od cesarza Karola. To stwierdził w mowie tronowej, szczególniej zaś w energicznym nacisku na sprzymierzeńców. W odpowiedzi obecnej na notę papieską użył całego szeregu zwrotów, jakich Stolica Apostolska już dawno nie słyszała. Weźmy sam początek listu: „Z winnym szacunkiem i głębokiem wzruszeniem powzięliśmy wiadomość o nowym kroku, który Wasza Świątobliwość, wypełniając poruczony Mu przez Boga święty urząd, zrobiła u nas i u naczelników innych państw wojujących, w tym szlachetnym zamiarze, by ciężko doświadczone ludy doprowadzić do takiej zgody, któraby im przywróciła pokój. Z wdzięcznem sercem przyjmujemy ten nowy dar ojcowskiej opieki, którą Ty, Ojcze Święty, otaczasz zawsze wszystkie ludy bez różnicy i witamy z głębi naszej duszy to porywające upomnienie, które Wasza Świątobliwość wystosowała do rządów wojujących ludów. Podczas tej okrutnej wojny zawsze spoglądaliśmy ku Waszej Świątobliwości, jako tej najwyższej osobistości, która mocą swego nadziemskiego

posłannictwa i dzięki górnemu pojmowaniu swoich obowiązków, stoi wysoko ponad wojującymi ludami i która nieprzystępna wszelkiemu wpływowi, mogłaby znaleźć drogę, prowadzącą do urzeczywistnienia naszego własnego życzenia: do trwałego i dla wszystkich stron honorowego pokoju!

Są to słowa, godne wiernego syna Stolicy Apostolskiej, jak to stwierdza podpis tej odpowiedzi.

Jakakolwiek będzie odpowiedź entente'y, która ma się pojawić w pierwszych dniach listopada, już to, że obie walczące strony zaprzątać się muszą sprawą przyszłego pokoju, tę sprawę przybliża. Nota więc papieska przyniosła i rzeczywisty pożytek i postawiła wysoko autorytet Stolicy Apostolskiej.

Pokój papieski a katolicyzm.

Papież ostatnią notą swoją raz jeszcze zabrał głos w sprawie pokoju. Zabierał go już tyle razy. Niezrażony dotychczasowem niepowodzeniem, a zarazem i narażaniem się na niechęć a nawet nienawiść tej strony walczącej, która chce dłuższej wojny, dał ponownie wyraz przekonaniu, że chodzi tu o wolę Bożą, przed spełnieniem której nigdy cofnąć się nie wolno. Czyżby tak wytrawny dyplomata, jak Benedykt XV., nie zrozumiał, na jakie trudności się naraża, czyżby nie przewidział początkowych niepowodzeń swojej akcyi? Zresztą wie, z jakim brakiem taktu występowali dotychczas przeciw niemu katolicy z obozu entente'y — słyszy codzień obijające się o mury Watykanu obelgi patryotów włoskich! A jeżeli mimo to na wszystkie te następstwa siebie wystawia, to czyż nie stwierdza tem samem najwymowniej, że żaden wzgląd ludzki nim nie kieruje, tylko głos sumienia, że tylko głos woli Bożej każe mu głosić, iż mordom i zbrodni należy natychmiast położyć koniec. Zrozumiejmy, że taka rola Papieża, to bohaterstwo, to nawet równoznaczne z męstwem męczenników. A jeżeli z tem męczeńskiem poświęceniem połączymy modły o pokój, jakie z rozkazu tego Papieża po całym świecie się odbywają, to w tej idącej ku niebu żertwie Pasterza narodów nie trudno rozpoznać rysy Chrystusa samego, kładącego życie po to, „aby jedno byli".

W tem położeniu, zwłaszcza, gdy ten Papież wzywa katolików, aby przy jego boku stanęli, jasnem jest, jakie powinno być stanowisko każdego katolika. Już nie delikatne poczucie tego, co znaczy „sentire cum Ecclesia", ale najprostszy posłuch, najjaśniejszy głos obowiązku, zakazuje katolikowi stać zdala z założonemi rękami, a nakazuje wziąć

czynny udział, wedle sił każdego i możności, w przyspieszeniu dzieła pokoju.

Na sprawę tę kładziemy nacisk, bo w najbliższem naszem otoczeniu, w łonie państw centralnych, zaczyna wzrastać agitacya za dalszem prowadzeniem wojny. Aneksyoniści niemieccy nie zadowalają się rozdmuchaniem ognia wojennego w Niemczech i żagwie tego ognia coraz częściej przerzucają w obręb Austryi i Węgier. Już były zebrania i wiece z tem hasłem, grube nadto sumy poszły na zakupno dzienników, ażeby przez prasę tę agitacyę uprawiać. Podobno liczne dzienniki w Austryi i w Węgrzech, jak „Fremdenblatt“ i „Pester Lloyd“ są już dla tej sprawy kupione. Rentowność takiej agitacyi jest widoczna. Pomijając kwestyę apetytów aneksyjnych, wojna dla wszelkiego gatunku spekulantów jest złotem przedsiębiorstwem. Nędza milionów tych ludzi nie obchodzi.

Zbrodniczość tej agitacyi jest tem większa, że wojowniczość ententy już widocznie maleje. Porównać mowy ministrów angielskich z przed roku, w których jako cel wojny malowane były strzępy z państw centralnych, z ostatnią notą Wilsona, która cel wojny uważa za osiągnięty, jeżeli nastąpi demokratyzacya Niemiec, a będzie się miało aż nadto silny dowód, że szkoda dalszych ofiar na tę wojnę. Jeżeli ma to być partya mniej lub więcej nierozegrana, to każda nowa kropla ludzkiej krwi byłaby wylaną bezpotrzebnie. I to czuje dziś cała Europa. Jak grzyby po deszczu wyrastają dziś enuncyacye z warunkami pokojowymi. Mamy już warunki papieskie, francuskie, angielskie, amerykańskie, państw centralnych, rosyjskiej rady robotniczo-żołnierskiej, komitetu holendersko-skandynawskiego. Najlepszy znak, że zaczyna pukać troska o wynik wojny.

Na spotkanie Anioła pokoju pierwsi w Europie, jako organizacya, wyszli socyaliści. Jakie nadzieje wiązali oni z konferencyą w Sztokholmie! I kto wie, czy nie byłoby do tego przyszło, że socyalizm przyniósłby różdżkę oliwną światu, a tem samem ująłby w ręce berło świata, gdyby nie to, że główna dzisiaj arena socyalizmu, republika rosyjska, tak głęboko zapadła w bagno bezrządu, iż nikt się z nią nie liczy. Ale trzeba przyznać, że socyalizm szczerze zajął się sprawą pokoju i sztandar agitacyi szeroko rozwinął. Skutek był ten, że tłumy pod tym sztandarem stanęły. W małem miasteczku austryackiem, pod wpływem jednego wiecu socyalistycznego za pokojem, liczba towarzyszy urosła z 30 na 600. Cała wydręczona tą wojną ludzkość pragnie pokoju i tłumy pójdą za tym, kto ten pokój przyniesie.

Gdy zawiódł Sztokholm, wysunął się na pierwszy plan Watykan. Oczy całego świata w tę stronę zwróciły się i do tej chwili są tam utkwione. Jest obecnie chwila wyczekiwania, są trudności, jasnem jest jednak, że Papież trudnościami się nie zrazi, bo zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że głazu takiego, jak obecna wojna, jedną notą nie usunie się z posad.

I o to właśnie chodzi, by w takiej chwili, gdy losy pokoju się ważą, wszyscy katolicy skupili się przy Papieżu. Już nietylko istota chrześcijaństwa, nietylko religijne uczucie, ale najprostsze poczucie ludzkości nakazuje, by cały katolicyzm dziś sztandar pokoju rozwinął. Niech świat otrzyma pokój z rąk najczystszych i niech w uścisku tych rąk pozostanie! Gdy Papież da światu pokój, sprawa Boża wzrośnie ogromnie.

We wszystkich kościołach, przez cały ciąg wojny, wznoszą się modły o pokój. Już tylko konsekwencyą tego faktu będzie, gdy to, co się dzieje w kościołach, rozpocznie dziać się i poza kościołem, gdy ci, co o pokój się modlą, rozpoczną za nim agitować. W Szwajcaryi odbywa się obecnie pokojowy zjazd katolicki, w Wiedniu odbył się niedawno wiec katolicki z tym programem. Takie zebrania, wiece, gdyby odbywały się w całem państwie austryackiem, nie mogłyby pozostać bez skutku na decydujące czynniki w państwie i na sprzymierzeńców tego państwa, a tem samem i na całość sytuacyi.

Z agitacyą taką związaną jest nietylko najbliższa sprawa pokoju, ale i zdrowy posiew chrześcijańskich idei, jakie pokojowa nota papieska zawiera. Gdy agitacya wojenna schodzi na manowce błędu, gdy taki Welsersheimb rzuca w „Neue Freie Presse“ ideę, że niema się co troszczyć o małe narody, agitacya katolicka ma przed sobą królewską ideę, że siła powinna ustąpić przed prawem, że istnieje prawo narodów, że światem ma rządzić siła moralna. Ileż treści, ileż zastosowań w tej idei się zawiera!

Rozumiemy dobrze, że rychły pokój nie zniesie na ziemię wszelakiego dobra. Ale jeżeli jest faktem, że coraz mniej złudzenia jest w świecie, by dalszy ciąg wojny przyniósł istotną zmianę, to nic nie stoi na przeszkodzie, by do głosu przyszło sumienie chrześcijańskie.

Enuncyacye Księdza Biskupa Pelczara. Dnia 7 października, w kościółku w Bakończycach odbyło się uroczyste nabożeństwo dla 3 pułku legionów, odprawione przez Ks. Biskupa Pelczara. Po Mszy św. Ksiądz Biskup, przybrany w pon-

tyfikalne szaty, wszedł na kazalnicę i wygłosił do legionistów przemowę, która doniosłem echem rozeszła się po całym kraju. Ważniejsze jej ustępy podajemy niniejszem:

„Przybyłem do tej świątyni, aby w Ofierze najświętszej polecić Was, kochani Synowie w Chrystusie, i waszych braci poległych najlitościwszemu Sercu Zbawiciela, pokrzepić Was słowem Bożem i dać Wam na drogę arcypasterskie błogosławieństwo. Chcę przez to zaznaczyć, że cenię wasze poświęcenie się dla Ojczyzny i uznaję zasługi legionów około sprawy narodowej, a potępiam niezgodę, która w legionach i w całem społeczeństwie polskiem wrogie tworzy obozy i często niegodziwą posługuje się bronią.

Kiedy przed trzema laty postanowiono na zjeździe krakowskim utworzyć legiony polskie, powitało społeczeństwo nasze tę uchwałę z radością, bo w tej nadziei, że legiony rozżarzą patryotyzm w duszach polskich, obcym zaś zaświadczą, że Polacy pragną szczerze niepodległej Polski, skoro dla niej składają w ofierze mienie, trud i życie. Legiony powstały pod opieką i kosztem tej monarchii, w której narodowości polskiej, gdzieindziej srodze gnębionej, przyznano należne prawa i swobody. Jakże tedy nie poczuwać się do wdzięczności dla wielkodusznego, w Bogu spoczywającego cesarza Franciszka Józefa i szlachetnego jego następcy? Jak nie uznać dobrej woli w ogłoszeniu niepodległości polskiej i nie korzystać z tego dla zorganizowania rządu i wzmocnienia sił narodu? Słuszna również, aby przyszłe królestwo polskie, niepodległe i o ile będzie możebnem, zjednoczone, weszło w ścisły sojusz z katolicką monarchią austro-węgierską i w bliski związek z dynastyą habsburgską, bo sam rozum polityczny wskazuje, że w ten sposób zabezpieczy najlepiej swe interesa religijne, polityczne i ekonomiczne.

Oręż legionów zwrócił się przeciw Rosyi, tej od dawna nieprzejednanej nieprzyjaciółce narodu polskiego, która szczególnie po nieszczęśliwych powstaniach straszne Kościołowi i narodowi zadała ciosy. Wprawdzie podczas tej wojny dały się i tam słyszeć obietnice wskrzeszenia Polski, opartej o Rosyę; lecz któż nie widzi, że zwycięstwo Rosyi byłoby tryumfem panslawizmu prawosławnego, czy radykalizmu i socyalizmu, sojusz zaś z Rosyą, carską czy republikańską, ułatwiłby zatrucie ducha polskiego przez ducha rosyjskiego i zaszczepienie w organiźmie polskim nihilizmu w wierze i obyczajach. Czy można tego pragnąć? Czy nie byłoby także zgubą dla Polski zaprowadzenie repu-

bliki, radykalnie i socyalistycznie urządzonej, albo bratanie się z masoneryą, szerzącą ateizm? A więc baczność przed tymi wrogami!

Nadzieje, położone w dzielności legionów, nie zawiodły, bo męstwem w tylu bitwach i hartem wśród tylu trudów, zwłaszcza w kampanii karpackiej, opromieniły one nową sławą imię polskie, spotęgowały miłość ojczyzny u swoich, obudziły podziw u obcych. Cześć im za to, a poległym lub z ran zmarłym bohaterom pamięć wdzięczna w narodzie i pokój wieczny u Boga! Wprawdzie żal nam tej młodzieży szlachetnej, która na pobojowiskach grób przedwczesny znalazła; ale pamiętać trzeba, że nic wielkiego nie dzieje się bez ofiar i że ta ofiara z krwi jest także ekspiacyą za grzechy narodu, a jako taka zaważy na szali miłosierdzia Bożego.

Przy pomocy legionów miała się dokonać organizacya wojska polskiego; ale niestety, myśl ta zbawcza została skrzywiona przez politykomanię, za którą poszła niekarność, brzemienna w złe skutki. Wy jednak, kochani Synowie, wyszliście z tej próby zwycięsko i dzięki waszej starszyźnie wytrwaliście przy chwalebnym waszym sztandarze. Cześć Wam za to i błogosławieństwo Boże, aby legiony zreformowane stały się jakby pniem żywotnym, z któregoby wyrosło wspaniałe drzewo, to jest, liczne i dzielne wojsko polskie na chwałę i obronę ojczyzny".

To są najważniejsze ustępy mowy Ks. Biskupa Pelczara. Tkwi w nich moment bardzo doniosły. Niekarność w legiony wprowadził socyalizm a zarazem i do rozbicia ich skutecznie się przyczynił, ten sam socyalizm, który w początkach wojny tak wysoko ideę legionową postawił. U kolebki legionów można było obawiać się, czy przyszła Polska nie bierze na siebie zbyt wielkich zobowiązań wobec socyalizmu za jego rycerską ofiarność, dziś zobowiązania wszystkie i rachunki sam socyalizm przekreślił. Przejawiła się wówczas w socyalistach polskich niewątpliwie miłość Ojczyzny, ale miłość pojętą w duchu partyjnym. „Socyalistyczna Polska ludowa", oto cel, do którego dążyli. Gdy sprawy jednak zaczęły się plątać, gdy bieg wypadków nie poszedł po prostej linii socyalistycznych marzeń, gdy wreszcie, w miejsce caratu, który zawsze był czerwoną chustą dla socyalistów, wyskoczyła na widownię socyalistyczna rzeczpospolita rosyjska, zmienił się kierunek socyalizmu polskiego. Wobec sympatycznej mu socyalistycznej republiki, stajało mu serce i oręż legionowy wypadł z ręki, wobec zaś niepowodzeń w zamiarach, zniecierpliwienie ogarnęło przewódców partyi i upór. I wtedy okazało się, że nie była to szczera, bezwzględna miłość Ojczyzny, ta

miłość, która umie poświęcić wszystkie osobiste i partyjne widoki. Nie zawahali się przed rozbiciem legionów, dla których poprzednio tyle ofiar złożyli, nie wzdrygnęli się przed wniesieniem rozstroju w społeczeństwo, byle tylko na swojem postawić. I w takiej chwili, gdy reszta legionów, ocalona z rozbicia, po to, by stać się zawiązkiem armii polskiej, potrzebowała skrzepienia na duchu, światła, ciepła, drogowskazu, staje przed nią Dostojny Arcypasterz dyecezyi przemyskiej z natchnionem słowem wielkiej miłości i mądrej rady. Słowo te świadczy dziś i świadczyć będzie potomności, jak w przełomowej chwili okazał się katolicyzm wiernym idei narodowej i wytrwałym w tej wierności do końca. A zarazem z mowy Ks. Biskupa staje się jasnem, że związek polskości z katolicyzmem jest tak silny, że tylko przez katolicyzm można trafić do Polski; świeży dowód tego złożył socyalizm, gdy w szukaniu za Polską zabłąkał się. Kiedyś, kiedy nowa Polska rozpocznie samodzielne życie, będzie musiała zazdrośnie strzec czystości swego ducha narodowego i wolności od wszelkich wpływów postronnych, to, co tak wymownie i stanowczo wyraził Ks. Biskup, że z Rosyą republikańską czy carską nie możemy wchodzić w związki.

Mowa Ks. Biskupa do legionistów jest prawdziwym klejnotem polskiej wymowy; wypłynęła z głębi serca i z długich rozmyślań i doświadczeń, jak jeden odlew spiżu. Godnie zajmuje miejsce wśród pierwszorzędnych mów, głoszonych dawnemu rycerstwu polskiemu; jak w tamtych tak i w tej staje wysoko ideał polskiego żołnierza. Prześliczne są dalsze ustępy, zalecające odwagę, karność, życie z wiary, miłość Boga i Ojczyzny.

Równocześnie z mową legionową wydał Ks. Biskup Pelczar orędzie do duchowieństwa dyecezyi przemyskiej. Motto orędzia: „aby wszyscy byli jedno". Są to wskazówki dla kapłanów o jedności na dobę obecną. Przełomowa chwila dla naszego narodu wymaga, by wszyscy dla jego odrodzenia wszystkie wytężyli siły, „mając ducha jednego i serce jedno". Ta jedność u kapłanów ma się objawiać w wyznawaniu zasad katolickich, w posłuszeństwie Stolicy świętej i swemu Biskupowi, w pracy pasterskiej i społecznej, w poglądach na sprawy narodowe, polityczne i społeczne, przyczem silnie uwydatnia Ks. Biskup, że duchowieństwo winno stać ponad stronnictwami politycznemi i z żadnem stronnictwem nie wiązać się. Wskazuje również na tę niezgodę, która rozdziera dziś stronnictwa i paraliżuje pracę koło odbudowy państwa polskiego. W końcu oświadcza się Ks. Biskup przeciw sojuszowi z Rosyą, a za sojuszem z Austryą i związkiem z dynastyą habsburgską, przy

zachowaniu atoli całkowitej niepodległości. „Jaka będzie przyszłość Polski, Bóg to sam rozstrzygnie, bo w ręku Jego są losy nasze. Tymczasem trzeba wyrabiać w narodzie jedność poglądów i dążeń, leczyć jego rany, rozwijać jego siły moralne i materyalne, a przedewszystkiem modlić się gorąco i pokornie o rychłe zmiłowanie Pańskie". Dodajmy od siebie pytanie, czy nie nadeszła już chwila, w której trzebaby rozpocząć za sprawę polską publiczne modły, zbiorowe komunie i adoracye. Najpierw dlatego, że zbliża się moment rozstrzygający, a powtóre dlatego, iż rozbicie w Polsce jest takie, że tylko sam Pan Bóg może przyjść ze skuteczną pomocą.

Arcybiskup warszawski regentem.

Po dobie wahania i przemian doszło do tego, że na czele niepodległej, choć jeszcze okupowanej, Polski stanęła Rada regencyjna. Dostojnicy, w których ręce złożono tę władzę, dostąpili tego szczęścia, że królewski ideał narodu polskiego zamienią w królestwo tego świata.

Na czele Rady regencyjnej stanął Arcybiskup warszawski. Już od dłuższego czasu zwracała się opinia publiczna w tę stronę. Jest to ciąg dalszy nieprzerwanej polskiej tradycyi, że w braku króla władzę jego dzierży najwyższa głowa Kościoła polskiego. Jak długo właściwy prymas polski przebywa poza granicami dzisiejszego Królestwa, zastępstwo jego spełnia arcybiskup warszawski. Stąd, w 19 wieku czterech arcybiskupów warszawskich podpisywało się tytułem prymasa. Niezależnie od tych i tym podobnych kwestyj, nietyle prawnych, jak raczej dyktowanych odczuciem i koniecznością historyczną, przyjmujmy z wdzięcznością dla Opatrzności to, że początek nowej Polski wiąże się ciągłością ducha z Polską dawną, że królewskie stanowisko katolicyzmu w Polsce trwa po dziś dzień.

Z życia panującego dziś Polsce suwerena podajemy za prasą następujące szczegóły:

Dostojny Arcybiskup-Regent Ks. Aleksander Kakowski, urodził się w r. 1862 w Dębinach (ziemia ciechanowska) w majątku szlacheckim, z ojca Franciszka i Pauliny z Ossowskich. Odebrawszy staranne domowe wychowanie, kształcił się w gimnazyach pułtuskim i warszawskim, poczym wstąpił do seminaryum metropolitalnego św. Jana w Warszawie. Skoro je zaś w r. 1882 ukończył, wysłany został jako jeden z najzdolniejszych uczniów do Akademii duchownej w Petersburgu. Tutaj jednak dłużej przebywać nie mógł, gdyż fatalny klimat

petersburski źle na jego zdrowie oddziaływał. Wyjechał tedy już w roku 1883 do Rzymu, gdzie oddawał się studyom w papieskim uniwersytecie Gregoryańskim.

Po powrocie do kraju był od roku 1886-go wikaryuszem przy kościele św. Karola Boromeusza w Warszawie.

Równocześnie został mianowany przez władzę duchowną (w roku 1887) obrońcą nierozerwalności małżeństwa przy sądzie arcybiskupim warszawskim i obowiązki te, prokuratora duchownego, spełniał przez lat dziesięć.

Od roku 1887 był profesorem seminaryum metropolitalnego św. Jana i wykładał prawo, zasady wymowy, teologię pasterską, a na kursach niższych literaturę polską.

W r. 1898 opuścił stanowisko obrońcy, a został asesorem Konsystorza warszawskiego. W tymże roku 1898 został mianowany regensem (dyrektorem) seminaryum duchownego i rektorem kościoła filialnego św. Józefa Oblubieńca (po-karmelitańskiego przy Krak.-Przedmieściu).

W uznaniu zasług, położonych na powyższych stanowiskach, otrzymał godność kanonika honorowego kapituły warszawskiej (r. 1901), poczym rzeczywistego (1904 r.). Za prace z zakresu prawa i historyi prawa kanonicznego w Polsce, Akademia Duchowna w Petersburgu w r. 1911 mianowała go doktorem św. Teologii. Tegoż roku otrzymał godność papieskiego prałata domowego.

Był zawsze Arcybiskup warszawski jednym z najlepszych znawców prawa kanonicznego i cywilnego w świecie duchownym naszego kraju, był też wybornym profesorem tego przedmiotu. Nie oglądał się na podręcznik, który grał rolę podrzędną, wykładał jasno i zwięźle, zdanie miał wyrobione i śmiałe. Budził interes naukowy wśród otoczenia i zachęcał do pisania. Napisał wiele artykułów w zakresie prawa ogólnego i kanonicznego, prawodawstwa cywilnego i kościelnego w Polsce, gruntownych i wyczerpujących, drukowanych w „Przeglądzie Katolickim“ i „Podręcznej Encyklopedyi Kościelnej“.

W znanym sporze o zwyczaje polskie kościelne zajął stanowisko narodowe i wydał dzieło poważne i gruntowne: „O powadze rytuału piotrkowskiego ze stanowiska prawno-historycznego“.

Oprócz tego napisał i wydał: „Zbiór konstytucyi synodalnych biskupa Stanisława Karnkowskiego“ — „Vademecum pro nuntiis apostolicis in Polonia“ (po włosku). — „Preliminaria do kodeksu prawa Piusa X“. — „Congregatio generalis totius provinciae Gnesnensis a J.

Uchański a. 1578 celebrata et congregatio synodalis archidiaconatus Camenecensis a Ł. Gembicki a. 1619 celebrata".

W uznaniu prac naukowych powołała go Akademia Duchowna w Petersburgu na swego rektora. Po 27-letniej działalności kapłańskiej stolica Apostolska wyniosła ks. Kakowskiego na godność arcybiskupa warszawskiego. Uroczysty ingres arcybiskupi nastąpił 14 września 1913 roku w warszawskiej Katedrze św. Jana.

Dziś do purpury arcybiskupstwa warszawskiego przyłącza się purpura suwerena.

Z czcią najwyższą i dla osobistych zasług i przymiotów i dla tego Dostojeństwa, które jest pierwszem spełnieniem się najwyższego ideału porozbiorowej Polski, ślemy najżywsze z głębi serca płynące życzenia: „Quod felix, faustum, fortunatumque sit".

Ks. J. Pawelski.

Kilka uwag dopełniających wiadomości o stosunkach Tadeusza Kościuszki ze Sosnowskimi.

Zebrana z wielką pracą i poszukiwaniami przez znanego i wysoko cenionego historyka, Tadeusza Korzona, pod tytułem „Kościuszko. Biografia z dokumentów wysnuta" [1]), stała się podstawą. Przyznaje się jednak autor, że nie zna szczegółów do stosunków osobistych tego męża.

Część braków tych chcąc uzupełnić, a korzystając ze zdarzonej sposobności, pojechałem do Sosnowicy w 1907 r., w której Kościuszko jakiś czas przebywał, przypuszczając, że znajdę wiele do niego materyałów nowych. Było tam rzeczywiście znaczne archiwum, zająłem się uporządkowaniem takowego, czego dokonawszy, porobiłem z niego odpisy i notaty.

Teraz, gdy archiwum to z pałacem i całem wewnętrznem i zewnętrznem urządzeniem przestało istnieć przez pożar, nie przypadkowy w czasie teraźniejszej światowej wojny, opis Sosnowicy oraz pałacu i wypisy z archiwum są jedynym śladem po zniszczonym zabytku.

Teraźniejszy właściciel Sosnowicy, w gubernii siedleckiej, w powiecie chełmskim, leżącej nad rzeką Piwonią, p. Teodor Libiszowski,

---

[1]) T. Kościuszko. Biografia z dokumentów wysnuta i t. d. Kraków 1894 r. (Album Muzeum Narodowego w Rapperswylu. T. IV.

(nabył ją jego ojciec 1892 r. w dniu 3 sierpnia za 120.000 rubli), odziedziczywszy ją po swym ojcu Alfonsie, bezpośrednio po śmierci r. 1905 Waleryi Niepokojczyckiej, która ją ojcu jego, jako jedyna żyjąca spadkobierczyni sprzedała, dozwolił archiwum zbadać i opracować.

Niepokojczycka ta doszła do posiadania Sosnowicy po wuju bezdzietnym, Stanisławie Stefanie Sosnowskim, zmarłym dnia 27 sierpnia 1874 r. Ten siostry swe: Joannę, wydaną za 1-o v. Skaryszewskiego, 2-o v. Bazylego Modesta Krasuskiego i Teklę Karolinę, żonę Jana Niepokojczyckiego spłacił, a syn ich Władysław, Sabina (Zembrzuska), Lucyna i Walerya, tę ostatnią dziedziczką zostawili.

Stanisław Stefan był synem Józefa Kalasantego, szambelana Stanisława Augusta króla i Teresy z Trzebińskich 1-o v. (1789 r.) Wincentowej Gordonowej, majorowej kawaleryi, szefostwa Karnickiego, 2-o v. od 1800 r. Sosnowskiej.

Józef zaś Kalasanty był synem Pawła, wojskiego chełmskiego i Antoniny z Dłużewskich, a brata rodzonego Józefa, hetmana polnego litewskiego, synów Marcina Józefa i Teofili z Kroszyńskich, rotmistrza przedniej straży w wojsku litewskiem. Józef Sosnowski wojewoda (tytularny) połocki zapisał w r. 1782 dnia 11 marca w Łucku swemu imiennikowi i bratankowi, majorowi wojsk Wielkiego Księstwa litewskiego, 100.000 złp. na Szarogrodzie, które spadkobiercy jego mieli wypłacić Józefowi Kalasantemu w rok po śmierci zapisodawcy, z procentem za jeden rok. Wojewoda, skupiwszy rozczłonkowane dobra rodzinne Sosnowicę, a dokupiwszy wiele innych, zapisał je córkom i żonie. Ta, chcąc zostawić Sosnowicę przy nazwisku, w r. 1801 ułożyła się z bratankiem męża o spłatę jej z córkami. Los jednak później inaczej zrządził, że się przy rodzinie Sosnowskich nie utrzymały i przeszły w inne ręce.

Wskutek nieotwierania okien pałacu przez W. Niepokojczycką w części paradnej, powstała wilgoć, co przyczyniło się do podniszczenia wielu pamiątek. Wreszcie przez zapomnienie brzmienia układu ojca z dziedziczką przez nowego właściciela, wiele cennych przedmiotów, zapisanych w hetmańskim inwentarzu, dostało się do obcych.

W archiwum Sosnowskich nie znalazłem jednak ani raz wspomnianego Tadeusza Andrzeja Kościuszki, ale trochę wiadomości do jego ojca i braci, które podaję w dopiskach. Zato znalazły się materyały do stosunków pewnych, jakie łączyły Tadeusza Kościuszkę ze Sosnowskimi, a zwłaszcza z ich córką Ludwiką. Jakie wykształcenie posiadała panna Ludwika Sosnowska, niewiadomo, z listów jednak jej

widać, że władała językiem polskim, którym dobrze i nawet wprawnie pisała, francuskim i niemieckim.

Z listów tych widać pewną egzaltacyę i skłonność do marzycielstwa.

Przypomnę tu, że tak Katarzyna jak Ludwika były tłumaczkami na język polski książki francuskiej „Les lettres sur les Anglais et les Francais", Béat Louis de Muralt (*1665 †1741 r.), szlachcica z kantonu Berny, w Szwajcaryi, która ukazała się w druku pod tytułem: „Sokrates wieśniak, albo opisanie życia gospodarskiego i cnotliwego filozofa, rolą bawiącego się", przez J. J. W. W. Imci Panny Katarzynę i Ludwikę Sosnowskie, pisarzowne polne W. X. Litewskiego z francuskiego na polskie przetłumaczony. W Warszawie, w Drukarni J. K. Mości i Rzeczpospolitey Coll. Soc. Jesu, 1770 r. (206 str., in 8)[1]).

Zapewne Józef Sosnowski, ich ojciec, dostawszy w ręce tę książkę francuską, która musiała mu się ze względu na treść podobać, a brał udział w tworzeniu nowych fabryk i interesował się rolnictwem, namówił je do tego przetłumaczenia i zapewne tytuł jest jego pomysłem.

Zapewne on także zachęcił je do pokazania tłumaczenia, a może nawet sam dawał do czytania wybitnym ludziom w Warszawie. Niezawodnie z ojcem bywały obydwie w stolicy, dosyć, że wśród nich znalazł się ksiądz Jezuita, Ignacy Nagurczewski, profesor retoryki i historyi w Akademii Kadetów J. K. Mości y Rzeczypospolitej. Ten, postarawszy się o pozwolenie drukowania od Andrzeja Stanisława Kostki Młodziejowskiego, biskupa poznańskiego i warszawskiego, w r. 1769 wydał tę książkę i opatrzył sam wstępem: „Do czytelników".

W przedmowie, mówiąc o pannach Sosnowskich, wychwala ich ojca i matkę. O ojcu mówiąc, wspomina, że był marszałkiem sejmu elekcyjnego i nazywa go „Cyceronem polskim", o matki zaś listach „potocznych", które bez podziwienia ktokolwiek czyta, nasycony być nie może". Dalej podnosi ks. Nagurczewski czystość języka panien Sosnowskich w tem tłumaczeniu, znajdą albowiem (w nim) „czemu się dziwić oyczystego miłośnicy języka, obaczą, co za wybór słów, bez szukania ich w grobach starożytności, co za własność bez zaciągania nowych, co za gładkość, co za wybitność polszczyzny i przyznaję, że z przeniesionych naszemi czasy na język nasz narodowy książek trudno jako ta o doskonalszą". Wspomina także o uznaniu tej książki ks. kanclerza Czartoryskiego, także hetmana w X. Lit. i ministrów, a powiada.

[1]) Bibliografia Estreichera pod datą 1770.

że panny Sosnowskie powinny stać się przykładem i wzorem dla innych pań. „W prędkim bardzo czasie przez tak pożyteczne dam w kraju naszym zabawy, obaczylibyśmy niepohybnie narodowy swój język z tej ruiny, w której teraz zostaje, dźwigniony do równej piękności i dostatku z najobfitszymi w Europie językami, przyprowadzony. Tego życzy sobie usilnie Oyczyzna, tego wyglądają mianowicie pracujący około doskonalenia narodowej młodzi w wymowie oyczystej, tym się i mnie bawiącemu w szkole rycerskiej J. K. M. i Rp. było pociągiem, ażebym się usilnie starał i wyjednywał godnych authorek łaskawe pozwolenie stawienia na widok publiczny tak zacnego, tak szacownego dzieła".

Język tłumaczenia tego jest rzeczywiście na te czasy bardzo dobry, niema tu wstawianych zwrotów, zdań i słów łacińskich, niema dziwolągów językowych, ani nieutartych słów, zwłaszcza na samym początku książki. Treść samego dzieła jest ciekawa, bo autor w formie pogadanek filozofa, którego nazwał Kligogg, stara się zachęcać czytelników do podniesienia gospodarstwa wiejskiego, przedstawiając doniosłość jego dla dobrobytu kraju. Wprawdzie autor pisze dla stosunków Szwajcaryi swoją książkę, ale w nich było tyle wówczas podobieństwa do naszych, że musiało to uderzyć tłumaczki i zachęcić do wprowadzenia reform, przez autora podanych, do swego kraju. Między innemi autor uczy nie tylko uprawy roli sztucznymi nawozami i marglem, ale uczy robienia rowów do osuszania łąk, które Sosnowski w swych dobrach wprowadza. Wspomina o jabłkach ziemnych czyli „tartoflach", nazwanych dla podobnego zapachu do „les trufles" czyli trufli, zachęcając do uprawy w większej ilości w ten sposób nazwanych kartofli czyli ziemniaków. Zachęca autor gospodarzy do wspólnej pracy z pomocnikami, wykazując z tego ogromne obustronne korzyści i wiele innych bardzo użytecznych podaje uwag. Chwali też autor wojsko i porównywa go z rolnictwem. Książka ta niezawodnie wywarła pewien wpływ na pojęcia i rozwój rolnictwa w kraju, a największy i widoczny pozostał w Sosnowicy, dlatego dłużej nad tą książką zastanowimy się tutaj. Później, bo w 1821 r., mieści je Jan Sowiński [1]) między uczonemi Polkami, mówiąc, że „zasługują na zaletę".

Sądzę z tego, że obydwie panny Sosnowskie dążyły do okazania swej wyższości nad przeciętnemi szlachciankami, bo zapewne ojciec starał się je przez nauczycieli podnieść umysłowo, a biblioteka jego nieraz służyła mu do zainteresowania córek.

---

[1]) Jan Sowiński: „O uczonych Polkach". Warszawa 1821 r., str. 74.

Serce więc Tadeusza Kościuszki nie trafiło na nieodpowiedni sobie poziom umysłowy, a kiedy wracał z Paryża, na który już wtedy patrzono i na którym się wzorowano, musiał, pomimo małej szarży w porównaniu z ojcem, bo tylko kapitana, sprawić w domu tym zainteresowanie, zwłaszcza, że wiele widział i wiedział ten gość, ze stolicy Francyi przybyły.

Miłość Kościuszki do Ludwiki Sosnowskiej i jej przebieg jest częściowo znany, dopiero może przypadek znalezienia jej listów przedstawia zakończenie jej przykre dla obojga. Zwłaszcza Ludwiką do śmierci swej żyła temi wspomnieniami (zmarła po 1845 r.).

Tadeusz Andrzej Kościuszko musiał się panną Ludwiką interesować, gdyż zapewne starał się nawzajem o to. Być może, że sam zaproponował urządzenie parku niezwykłego, zastawszy około domu skromny sad, a że zarazem chodziło mu o popisanie się przed Sosnowskim, jako wojskowym, ze swoją umiejętnością artyleryjską, skomponował plan parku.

Park, ciągnący się za pałacem, a zwłaszcza aleja, szersza dla powozów, z dwoma po bokach mniejszemi dla konnych, nosiła nazwę alei Kościuszki. Jadąc z Parczewa do Sosnowicy, poza mostem stawu wielkiego wjeżdżało się w aleje grabowe, lipową długą, a około gazonu owalnego aleja ta rozchodziła się na dwie strony. Lewa droga półkolista przechodziła około wyższego boku pałacyku, a potem koło drugiego gazonu owalnego po prawej, z budynkiem, zajeżdżało się przed front dworu. Park sam rozszerzał się dopiero od gazonu począwszy, tworząc wielki prostokąt, z alejami po obu stronach węższych boków pałacu z prawej, nad stawem, zwanym hetmańskim. Środek zaś podzielony był na czworoboki, ustawione naprzemian krótszymi i dłuższymi bokami czyli szańce, wprowadzone w 50 lat później do artyleryi austryackiej [1]) w 1825 r. Drzewa tworzyły te aleje i czworoboki, a rozrosły się tak wspaniale, że stanowiły przy ławeczkach urocze zakątki, a echo tego, co się głośno działo na dziedzińcu, słychać tam i przed dworem z wielką dokładnością. Plan ten mógł tylko dać wojskowy, a zapewne i gazony były jego pomysłem.

Po prawej stronie, zwróciwszy się do ogrodu, w jednym zakątku

[1]) Artillerie Lehre zum Gebrauch des k. k. Feld Artillerie Korps. Wien 1767. „Kurze jedoch gründliche Unterweissung der Hungari und Römisches Königl. Laslko May Zolwic Baltasar Schmick jungen Fauervercker zusamengetragen. Viadona A. 1750, rękopis oficerskiej biblioteki c. k. Festungs artillerie regiment Sponner Nr. 2. Figura 47, 48, 49.

był ślad altany (Le Berceux), którą widziałem w zaciszu; zapewne w niem odbywały się rozmowy czulsze Kościuszki, po których wspomnienia (21 maja) na długo im zostały.

Co do przychylności siostry panny Ludwiki, t. j. Katarzyny, która w r. 1774 wyszła za mąż za Józefa Wincentego hr. Platera, starostę dynaburskiego, pisarza polnego litewskiego, kawalera orła białego, Św. Stanisława i Lwa złotego, oraz komandora maltańskiego w Tołczynie, to z Horynki w odległości znacznej, zwierzeń częstych siostrzanych być między niemi nie mogło, chyba czasami i listownie.

Nieznana starościanka (Korzonowi), to Karolina Zenowiczówna, Franciszka Deszpota, starosty sznitowskiego, marszałka trybunału litewskiego w r. 1723 i pułkownika znaku petyhorskiego buławy litewskiej, (córka Róży Narumowskiej), siostra przyrodnia Tekli Heleny z Zenowiczów Sosnowskiej, (córki Zofii Alexandrowiczówny), starościanka sznitowska, której wojewodzina zapisała 1796 r. dołożyła do 16.000 złp., że dostała 30.000 złp.

Lekcye [1]) rysunków, matematyki i historyi powszechnej mogły się odbywać, a według tradycyi miejscowej miały miejsce w pokoju najdłuższym w całym pałacu, pod kątem prostym załamującego się. Wskazywano tam nawet stół, przy którym miały się odbywać lekcye; stolik ten niezawodnie, jak go badałem, był wcześniejszy. Mogły się były odbywać te wykłady pod okiem starościanki, a w towarzystwie panny Tekli Sosnowskiej, córki Pawła Sosnowskiego, wojskiego chełmskiego i Antoniny z Dłużewskich, siostry Józefa Kalasantego Sosnowskiego. Panna Tekla wyszła w 1795 r. za Pietraszewskiego, a od Tekli wojewodziny dostała posagu 50.000 złp. na Szarogrodzie.

Dwór w Sosnowicy, gdy do niego przyjechał Kościuszko, był już przekształcony z dawniejszego, według planu nieznanego architekty, a Jakub Wieliczko, majster kunsztu mularskiego, po układzie z hetmanem w 1773 r. dnia 8 kwietnia, musiał być już ukończony.

Pokoik, zwany „Kościuszki" w części męskiej, mieścił się w jednym z czterech narożnikowych dobudowek do pierwotnego dworku z 1723 r., o czem świadczył napis na belce, wyciętý w sieni, od frontu umieszczonej. Pokój ten między izbą, pod kątem prostym załamanym, z ozdobnym, rokokowym, snycerskiej roboty, a złoconym nad progiem, prowadzącym do długiej izby od strony ogrodu, przytykającym do saloniku z tejże strony, a z drugiej strony do sali gościnnych zebrań.

---

[1]) Korzon. Kościuszko 101.

Pokoik, w którym mieszkał Kościuszko, miał okno, wychodzące na gazon ogrodu i parku. Miał też drzwi podwójne, wychodzące naprzeciw wyjścia pokoju sypialnego hetmana, w przeciwległym narożniku pałacu. W pokoju tym, ciekawem zrządzeniem losu, były tapety, sprawione przed wyjazdem Kościuszki, ale nie dla niego, a zdobiły je wieńce laurowe, palmy, ale i kajdany. Olbrzymi piec murowany stał blisko okna. W salce tej urządziłem rodzaj muzeum, z mnóstwa na strychu i w schowkach znalezionych przezemnie mebli i drobiazgów, które gdzieindziej opiszę i zailustruję, a i tu złożyłem całe ułożone archiwum Sosnowskich.

Kościuszko niezawodnie mógł tylko w tym pokoju mieszkać, bo to był właściwy gościnny; z osobnym, nie krępującem gościa wejściem. Słusznie też przypuszcza znakomity biograf Kościuszki, Korzon, że bohater nie wypowiedział słów „Finis Poloniae", bo otoczenie jego pod Maciejowicami, gdzie miał je wyrzec, składało się z ludzi niewykształconych i podług mego przypuszczenia, prawdopodobnie słowa „Fries is Polonia" czyli „Pierwsza Polska" [1]), po angielsku wypowiedziane, były chwilą jego wzruszenia ze swego losu, jako otucha wyszeptane. Potwierdził też to Jerzy Deszpot Zenowicz, (urodzony w majątku rodzinnym w Smorgoniach) [2]), który z polecenia Ludwiki ks. Lubomirskiej przygarnięty przez Tadeusza Kościuszkę, nie odstępował go do 1803 r. Oddał on go do szkół francuskich, a po ukończeniu do wojska, jako „Mr. Georges", a Kościuszkę potem wyręczał w pisaniu listów. Następnie w 1818 r. 7 czerwca później jest adjutantem głównym sztabowym Napoleona I., jako pułkownik. Umarł po r. 1820, a przedtem wydał dwa dziełka po francusku, noszące tytuł: Opinion sur l'affaire de Waterloo 1848 i Defense de la Pologne 1812, Paryż. T. A. (Teplor A. sc. nudr. rylko). Miniatura jego w liście, zachowanym w Muzeum hr. Czapskich w Krakowie, że Kościuszko nie życzył sobie, żeby ciało jego przewiezione było do Polski i robi wyrzuty Amutowi. Dopełnienia te kończę na tem, mam nadzieję, że kilka danych o życiu Kościuszki przyczynią się do lepszego poznania jego prywatnego życia.

S. Cercha.

---

[1]) T. Korzon. Kościuszko.

[1]) Biblioteka warszawska 1861. T. II.—237, str. 449.

Z Wystawy Towarzystwa Sztuk Pięknych.

Otwartej w pierwszych dniach października wystawy Towarzystwa sztuk pięknych nie można zaliczyć do zbyt bogatych ilościowo i jakościowo — w każdym razie jednak przedstawia się ona, jak na stosunki obecne, dość korzystnie. Jest, zaś przytem — co teraz się utarło — wystawą zbiorową prac kilku artystów. Takie zbiorowe wystawy mają dużo racyi, bo dają mniej więcej jasny pogląd na twórczość danego malarza przynajmniej z pewnego okresu czasu. Należałoby jednak, urządzając podobne wystawy, pamiętać o tem, że ich uzupełnienie nie powinno odbywać się kosztem takich prób, szkiców, notatek i wógóle drobnostek, które śmiało mogłyby pozostać na ścianach pracowni.

Uwaga powyższa dotyczy także wystawy prac Żarneckiego, składającej się z rzeczy o bardzo nierównomiernej wartości. Obok kilku doskonałych portretów widzi się na niej słabe kwiaty i tzw. „studya portretowe". Określenie „studyum portretowe" nie mówi nic samo przez się, bo rzecz jakaś jest albo studyum, albo portretem i służy chyba do tego jedynie, aby pod jego mianem przemycać na wystawę takie płótna, jakie tam nie powinny się znajdować, czy to ze względu na brak wykończenia, czy też większej wartości artystycznej.

Wśród wystawionych przez Żarneckiego portretów najudatniejszym jest „Portret pułkownika Gl." (popiersie), malowany śmiało, zręcznie i mający dużo wyrazu. Bardzo dobrym jest również „Autoportret" artysty. Sporych rozmiarów „Portret Eksc. Brandnera" byłby doskonałą podobizną, gdyby nie to, że tło jest za mało powietrznem. Skutkiem tego głowa portretowanego, zresztą dzielnie malowana, nie dość od niego odstaje, względnie tło za bliskiem jest widza. Lepszym o wiele co do tła jest „Portret Eksc. Lukasa", — ale zato sama postać wypadła na nim mniej szczęśliwie, niż na portrecie poprzednim. Pastelowe portrety: „Nadporucznika K. J." i „Porucznika K." zwracają na siebie uwagę siłą i oryginalnością faktury.

Kobiece „Studya portretowe" tegoż artysty wypadły nie tak udatnie. Natomiast „Studyum głowy dziewczyny" ma dużo powabnego wdzięku.

Na ogół biorąc, jest Żarnecki — co już po dawniejszych jego pracach można było zauważyć — malarzem szczególniej uzdolnionym w zakresie portretów męskich. Do malowania podobizn kobiecych mniej nadaje się rodzaj jego zdolności, których cechami charakterystycznemi

są: energia, prostota i brak subtelności, tak nieodzownej przy odtwarzaniu oblicza kobiety.

Duża kultura artystyczna przebija z prac Daniela (Kossowskiej). I, jak na twórczość Malczewskiego, który przez pewien czas studyował w Paryżu, pozostało „malgré tout" wybitne, uszlachetniające piękno sztuki francuskiej, tak też na pracach tej artystki widocznem jest, iż odczuła na sobie wpływy tej sztuki. Daniel maluje szeroko, z energią niezwykłą u kobiety, widzi zaś naturę w ten sposób, jak to jest właściwością artystów „z Bożej łaski", a mianowicie tak, że natura nie jest dla niej celem, lecz środkiem do wywołania wrażeń estetycznych. Tak pojętem jest np. jej „Życie", usymbolizowane półpostacią kobiety, o pełnym grozy wyrazie twarzy, tak pojęty jest „Japończyk", z zagadkowym uśmiechem na ustach, tak pojętem jest „Studyum pod figurą", wywołujące wrażenie rozpaczliwego przygnębienia. Postać ludzka na wywieszonych płótnach przykuwa do siebie widza, powiem więcej, ona zmusza widza, by, raz ją obejrzawszy, wracał się i znów na nią patrzył. Ten, że tak powiem, „magnetyczny" wpływ, wywierany przez niektóre dzieła malarskie, jest znanym od dawna. Znajdujemy jego echo w słyszanem nieraz powiedzeniu, że „oczy jakiegoś portretu obracają się za nami". Rzecz prosta, że tego rodzaju wrażenie czynić mogą dzieła nietylko talentu, ale także silnej indywidualności wykonawcy. Tylko taka bowiem indywidualność może suggestyonować widza.

Także portrety Daniela wyróżniają się tem, co nazwaćby można „ideowością" w wykonaniu. Jej podobizny kobiece: „Portret kobiety" i „Portret p. M. W.", oraz charakter portretu posiadające studyum „Przy lusterku" — to nie jakieś wymuskane lalki, lecz istoty żyjące i uduchowione. Artystka przeszła w tych portretach Rubikon, co dzieli „malującego", który jest sługą techniki, od „artysty", który jest jej panem i który nawet w portrecie maluje tak, jak on chce, a nie tak, jak mu się uda, lub chcą inni.

Nie znam Daniela, nie wiem, w jakim artystka jest wieku, ani jak dawno poświęca się malarstwu, stawiać więc nie myślę prognozy co do dalszego rozwoju jej talentu. To jednak stwierdzić mi wolno, że ma talent niepospolity — wielkie odczucie wyrazu, barw i kształtu — talent, zdolny do dalszego rozwoju, wnioskując po jego cechach, wśród których głębsze wnikanie w twórczość malarską przoduje. Spodziewać się więc można, że w przyszłości ujrzymy nowe dzieła tej artystki, bę-

dące logicznem rozwinięciem i uzupełnieniem tego, co dotąd w zakresie malarstwa figuralnego stworzyła.

Sprawozdanie o pracach Daniela byłoby niezupełnem, gdyby się pominęło dwa niewielkie widoczki artystki: „Wieczór“ i „Zima“. Są to wprawdzie prace drobne rozmiarami, ale imponuje w nich poczucie prawdy i siła koloru, obok tonów głębokich w cieniach i wogóle powietrznych.

Józef Czajkowski jest malarzem nastrojonym na ton minorowy. Wszystkie jego pejzaże przepojone są beznadziejnym smutkiem. Artysta czuje się tak dobrze w tem środowisku, że jeżeli nawet kiedy umieści promień słońca na swoich widokach, to i promień ten nie świeci wcale wesoło. To też i od seryi wystawionych obecnie widoczków wieje jakimś smutkiem, pustką, a nawet nudą. Względnie najlepszą jest „Jesień“ (ogród klasztorny), którą możnaby przez kojarzenie się myśli nazwać „Dniem Zadusznym“, taka jest cicha i smętna. „Szpaler“ zaś czyni tak smutno przygnębiające wrażenie, że widz mimowoli pyta sam siebie, jakimi sposobami artysta jest zdolen wywołać ów nastrój w zupełnie pospolitym, bez żadnych ubocznych akcesoryów pejzażu?... Jest to dowodem, że Czajkowski kładzie cząstkę swej duszy w każdą pracę, co bywa udziałem tylko nieprzeciętnych artystów, do których on niezawodnie należy.

Hofmann dał dwa typowe, w specyficznie własnym rodzaju obrazki: „Tęsknota“ i „Duo“. Artysta ten, o którego pracach już tyle razy zdawałem sprawę, stanął na jednym punkcie i choć nie cofa się wstecz, ale naprzód także nie kroczy, a to nie jest dobrze. Wprawdzie każdy wybitniejszy malarz wyrabia sobie z czasem, jeżeli nie „styl“, to przynajmniej „sposób“ malowania, zwany pospolicie „manierą“, ale nie jest wcale rzeczą pożądaną, aby dzisiejszy okaz jakiegoś artysty był jota w jotę podobny do obrazu wczorajszego lub przedwczorajszego i gdy zachodzi obawa, że takim samym będzie obraz jutrzejszy. A tak właśnie ma się rzecz z Hofmannem. Takich grecko-słowiańskich faunów, jak na obrazku „Duo“, widywaliśmy już nieraz u niego, a takie postacie niewieście o mdłym wyrazie, jak ta w „Tęsknocie“, nie są bynajmniej czemś nowem w twórczości artysty. Czas byłby już, aby artysta sięgnął głębiej do swej bogatej wyobraźni artystycznej i wydobył z niej coś nowego, coś, coby nie przypominało owych zmodernizowanych Madon, owych grecko-słowiańskich faunów, owych rachitycznych typów dziecięcych, w których się tak miłuje. Hofmanna stać na to z pewnością.

W e i s s a doskonale malowane „Studyum dziewczyny", patrzącej zezem, potwierdza słuszność miana, jakie mu dawniej dałem, a mianowicie: „malarza brzydoty". Dlaczego bowiem uwiecznił tego zeza na swem płótnie — choćby go nawet, zresztą interesujący bardzo model, posiadał — to wiadomo tylko chyba jemu samemu. Oprócz powyższego studyum wystawił Weiss także „Kościół Maryacki w Krakowie". Ponieważ artysta obrał sobie za bliski punkt, z którego ów kościół rysował, zbiegają się ukośnie na górze kontury wież, co czyni bardzo niemiłe wrażenie. Jest to prawda perspektywiczna, ale żaden rozsądny malarz nie uwzględnia jej, o ile nie jest do tego przez sytuacyę danego gmachu zmuszony. Oddalenia zaś jest chyba dosyć na Rynku krakowskim, względnie na ulicy Floryańskiej, aby módz, rysując Maryacki kościół, takiego zbiegania się linij wież uniknąć.

„Przyjaciele" M a r k o w i c z a są miłą niespodzianką. Artysta zdołał w tym obrazku wyłamać się ze swego szablonowego zimno-fioletowego kolorytu. Przytem typy obu chłopców żydowskich są ładne, nawet sympatyczne, a przytem dobrze rysowane. Zato „Modlitwa poranna" tegoż artysty malowana jest w zwykłej u niego, arcyniemiłej i co do zaniedbanego rysunku i co do fałszywego kolorytu manierze.

Dwa pejzażyki K w i a t k o w s k i e g o: „Wieczór" i „Droga z brzozami" pociągają głębszem odczuciem natury i poetycznym nastrojem. Dwie „Główki chłopczyka" z tego samego modela, malowane „flott", jak mówi Niemiec, mają zwykły u tego artysty błąd, a mianowicie są kwadratowe. Artysta nie zdaje sobie najwidoczniej z tego sprawy, że nie każda głowa ludzka da się wpisać w kwadrat. Oprócz tego popełnia on zawsze jeszcze inny błąd, t. j. osadza głowę portretowanego za nisko w ramionach. Spostrzegamy to również na portrecikach, o których mowa, przez co chłopczyk ów wydaje się na nich garbatym, choć pewnie takim w rzeczywistości nie jest.

Zabytki architektoniczne Krakowa pobudziły już twórczość wielu naszych malarzy. Nie ostatnie miejsce wśród nich zajmuje T u r e k. Ale, jak to często u młodych artystów się zdarza, nie poprzestał na tej jednej gałęzi malarstwa, w której zdobył sobie zasłużone uznanie, i wziął się także do malowania krajobrazów. Ten zwrot nie był przecież fortunnym. Około bowiem dwudziestu pejzaży, które obecnie wystawił, wcale nie zapowiada, aby w tym rodzaju mógł daleko doprowadzić. Wszystkie one są mdłe, bez charakterystyki, malowane wedle jednego szablonu, nie zatrzymują na sobie uwagi ani barwą, ani powietrzną przestrzenią, ani nastrojem. Krótko mówiąc, pejzaż nie powinien —

sądząc przynajmniej po dotychczasowych próbach — odrywać Turka od malowania i rysowania zabytków krakowskich, w którym to zakresie może się pochlubić dorobkiem swej pracy.

Obraz, czy obrazek rodzajowy jestto dzisiaj zaiste „rara avis", nietylko na polskich wystawach. Nie bez interesu więc zbliżamy się do „Ułana" P i o t r o w s k i e g o, w nadziei, że ujrzymy w nim pracę, przypominającą w dodatni sposób „dawne, dobre czasy", gdy obrazy rodzajowe i to tęgo malowane, stanowiły główny kontyngent wystaw. Niestety, spotyka nas przykry zawód. Temat i tło oklepane. W pobliżu płotu stoi ułan (tym razem w mundurze legionisty dla aktualności), trzymając w ręku konie osiodłane — przed nim dwie dziewoje, z ruska ubrane, a zawstydzone widocznie tem, co słyszą z ust ułana. W tle sad i ściana dworku. Niema żadnej akcyi w obrazku, niema właściwie kompozycyi. Wszystkie trzy postacie stoją, tak, jak malarz ustawił modele, nie widać między niemi żadnego wewnętrznego związku, twarze ich niewiele wyrażają, ani śladu temperamentu, którym odznaczały się ongi tego rodzaju właśnie kompozycye Piotrowskiego. Natomiast podnieść trzeba, że obrazek malowany jest starannie, na sposób, który dziś wprawdzie „myszką trąci", ale i tak podobać się może.

Jeżeli na powyżej omówionym obrazku należałoby, ze względu na jego sposób malowania, położyć datę, dajmy na to 1887-go roku — to na wszystkich płótnach Z a w a d o w s k i e g o powinna być o 30 do 40-tu lat wcześniejszą, t. j. możnaby tam położyć rok 1857-my, lub 1847-my. Godnem jest rzeczywiście zastanowienia, że jakiś malarz chce taki gwałt zadać swej naturze, aby zmusić się do malowania w manierze, dającej literalną kopię maniery malarskiej z przed lat 60-ciu czy 70-ciu. Gdyby nie świeżość farb, dałoby się, położywszy na większości płócien Zawadowskiego podpis Stottlera, wyprowadzić w pole każdego znawcę. Jakiś cel praktyczny mieć musi takie dziwactwo, zasadzające się na ignorowaniu dorobku artystycznego z przeciągu lat kilkudziesięciu. Prawdopodobnie jest nim chęć absolutnego wyróżnienia się i zwrócenia na siebie uwagi. Ta chęć musiała być pobudką do tej „maskarady", do tego przeniesienia się „mit Leib und Seele" z czasów wojny światowej w czasy Ludwika Filipa. Twarde, suche kontury, płaskość i brak wszelkiej modelacyi, szarawo-żółty, anemiczny koloryt możemy akceptować w dziełach z onego czasu pochodzących, ale dziś są one nie na miejscu, bo inaczej patrzymy na naturę i w inny sposób chcemy ją widzieć przeniesioną na płótno. Chwilami wprawdzie rzeczy egzotyczne — a do nich chyba należałoby policzyć prace Zawadowskiego — miewają po-

wodzenia, lecz niebawem bierze górę nad takiemi zboczeniami smaku zdrowy rozsądek, nie tracący swych praw przyrodzonych nawet w dziedzinie sztuki. Wszystkie te studya, portrety, krajobrazy i martwe natury Zawadowskiego, zgromadzone na obecnej wystawie, mogą być dobrą dekoracyą do salonu, urządzonego w guście lat 40-tych, ale jakiejś realnej wartości artystycznej nie posiadają wcale — szkoda doprawdy pracy w nie włożonej!

Dobra w ruchu i śmiało modelowana figurka Smolkównej „Kłusownik", choć to szkic tylko, zdradza pewne poczucie plastyki i zdolność obserwacyi.

ka.

Ze świata nauk i wynalazków.

Pociski z chleba i tłuszczu. — Ile razy rocznie człowiek zjada sam siebie. — Człowiek jako motor. — Tayloryzm. — Zakłady fabryczne Forda.

Trudności aprowizacyjne, na jakie obecnie jesteśmy wystawieni, są dla wielu zupełnie niespodziewaną zagadką. Prawda, że odcięto nam dowóz żywności z Ameryki i krajów zamorskich i że ustało dostarczanie zboża z Syberyi, ale przecież państwa, wchodzące w skład związku mocarstw centralnych, same przed wojną produkowały bardzo wiele, tak, że Austrya prawie że zupełnie mogła się wyżywić zbożem własnem, a Niemcy potrzebowały sprowadzać je z zagranicy, głównie dzięki ogromnie wzmożonej konsumcyi, która obecną, wojenną, przewyższała czasami wielokrotnie. Przyczyny braków obecnych są wielorakie i wiele z nich dopiero po wojnie będzie mogło być należycie wyświecone i ocenione; tutaj zwrócę uwagę na jedną, bardzo ważną, a przez ogół zupełnie prawie niedocenianą, a chciałbym nią zająć się dlatego, że jest ona natury czysto przyrodniczej, naukowej, nie mającej żadnego związku z kwestyą społeczną i wolną, złą lub dobrą wolą producenta lub kupca. Jest nią ta okoliczność, że choć wojna obecnie przewyższa okrucieństwem wszystko, co doszło nas o wojnach w historyi ludzkości, to jednak w dosłownem znaczeniu spełnia ona to przysłowie, które każe na wroga rzucać chlebem. Chleb bowiem, czyli pokarm, i to w najkosztowniejszej dla człowieka postaci, bo w postaci tłuszczów i połączeń azotowych, wchodzi w skład dzisiejszych materyałów wybuchowych, bez których wojny ani na chwilę po-

myśleć sobie nie można. Ilość gatunków tych materyałów wybuchowych jest dziś bardzo wielka i powstała osobna gałąź nauki, pośrednia między fizyką i chemią, która się ich badaniem i wynajdowaniem coraz to nowych a silniejszych zajmuje. Dlatego też trudnoby było przechodzić chociażby najważniejsze, więc tylko niejako dla przykładu zajmiemy się najwybitniejszą z materyi wybuchowych, która wchodzi w skład dynamitu, to jest nitrogliceryną.

Nitrogliceryna, zwana inaczej olejem wybuchowym, Sprengöl, jest związkiem chemicznym dwu bardzo niewinnych i łagodnych a nieszkodliwych, owszem, niezmiernie pożytecznych substancyi, mianowicie gliceryny i azotu. Związek to jednak bardzo widocznie nieszczęśliwie dobrany, bo mimo tak łagodnych elementów, jako całość zachowuje się na zewnątrz jak najgorzej. Żółtawy, oleisty płyn, o charakterystycznym zapachu, jest trucizną tak silną, że jedna jego kropla, połknięta przez człowieka, powoduje gwałtowne bóle i zawroty głowy. A nawet samo dotykanie nitrogliceryny rękoma sprawia bóle głowy, i dopiero organizm robotników, którzy codziennie mają z nią do czynienia, nabiera przez przyzwyczajenie się odporności i bólom tym nie podlega. Ale główna siła, albo raczej złośliwość nitrogliceryny polega na jej niesłychanej gwałtowności wybuchu. Podgrzana do 217 stopni Cels., albo uderzona, rozkłada się gwałtownie, przyczem jako produkt rozkładu powstaje woda, bezwodnik kwasu węglowego, swobodny azot i tlen.

Ostatnia okoliczność wykazuje, że dla gospodarstwa przyrody każdy wybuch nitrogliceryny, jak wogóle każde spalenie związku organicznego, zawierającego azot, stanowi poważną stratę. Związki bowiem azotowe są najcenniejszym kapitałem budulcowym przyrody, one są konieczną częścią składową białka, a więc i plazmy, owej substancyi, będącej podłożem życia, głównym składnikiem komórki i jej jądra. Bez białka, a więc bez związków azotowych, życia niema, a tych związków żywe organizmy przeważnie nie mogą wytwarzać sobie same, przez zaczerpnięcie azotu z atmosfery, lecz muszą brać je gotowe z otoczenia. Stąd i między pokarmami człowieka najpożyteczniejsze i najkosztowniejsze są związki azotowe, ciała, zawierające białko.

Organizm nasz potrzebuje, jak wiadomo, jako pokarmu, trzech rodzajów czyli grup związków chemicznych organicznych, mianowicie: białka, tłuszczu i węglowodanów. Najważniejsze jest właśnie białko, bo ono stanowi materyał budulcowy dla rosnących i ciągle zużywa-

jących się tkanek; tłuszcz wchodzi jako tkanka tłuszczowa w skład organizmu, a nadto jest tym materyałem palnym, który utleniając się, dostarcza energii, organizmowi potrzebnej do spełniania wielu funkcyi życiowych; wreszcie węglowodany, które regularnie w skład tkanek nie wchodzą, lecz są wyłącznie pokarmem energetycznym, to jest dostarczającym, równie jak tłuszcze, lecz nie tak obficie, organizmowi energii, potrzebnej do wykonywania funkcyi życiowych i wytwarzania w organiźmie ciepła. Otóż jest rzeczą dziwną, że wszystkie prawie materye wybuchowe muszą zawierać w sobie związki azotowe, a więc pośrednio wyrywają człowiekowi z pod ust najpotrzebniejszy pokarm, bo białko. Tak np. proch strzelniczy zawiera w sobie średnio (są rozmaite gatunki prochów) około 75 procent saletry, która jest azotanem potazu, sodu, baru, amonu. Bawełna strzelnicza powstaje przez oddziaływanie kwasu azotowego, otrzymywanego w przemyśle głównie z saletry, na bawełnę. Ale wspomniana wyżej nitrogliceryna jest o tyle dla człowieka niebezpieczniejszą, że pozbawia go nietylko połączeń azotowych, lecz także i tłuszczu, pochodzi ona bowiem od gliceryny i kwasu azotowego, a więc jest wnuczką tłuszczu i saletry.

Glicerynę mianowicie wyrabia się w ten sposób, że czysty tłuszcz, jakiegokolwiek pochodzenia, ogrzewa się z alkaliami, przez co rozkłada się on na mydło i glicerynę. Teoretycznie z czystego tłuszczu otrzymuje się 10,8 proc. gliceryny, licząc na wagę, czyli okrągło 100 kilogramów tłuszczu czystego daje niespełna 11 kilo gliceryny. Ażeby otrzymać z gliceryny nitrogliceryną, wlewa się glicerynę wąskim, ciągłym strumieniem do mięszaniny kwasu azotowego z kwasem siarkowym, przyczem ten ostatni spełnia tylko rolę pomocniczą, chłonąc w siebie wytwarzającą się wodę, chemicznie bowiem dwie drobiny gliceryny i 6 drobin kwasu azotowego daje jedną drobinę nitrogliceryny i 6 drobin wody.

Ale ciekawszą może jeszcze stronę całej tej sprawy przedstawiają cyfry, które choć wogóle tak suche, tu jednak przewyższają z pewnością, jak to zaraz zobaczymy, wymagania najbardziej nawet wybujałej wyobraźni. Będziemy się mianowicie starali w przybliżeniu ocenić, ile też gliceryny, a więc pośrednio tłuszczu, zużywa się przy obecnym sposobie prowadzenia wojny. Odpowiedź na to pytanie nie będzie dla naszych armii drażliwą, bo użyjemy wyłącznie dat, odnoszących się do armii angielskiej, a zaczerpniętych z referatu, jaki sekretarz finansowej sekcyi ministerstwa wojny, Mr. Forster, wygłosił w parlamencie angielskim dnia 1-go marca b. r. Oto dowiadujemy się stamtąd, że

tysiąc ton, czyli milion kilogramów gliceryny wystarcza na sporządzenie tej ilości nitrogliceryny, jaka jest potrzebna do wyrzucenia z działa 12 i pół milionów pocisków średniej wielkości, bo o ciężarze 9 kilo (18 funtów) każdy. Znaczy to, że na wyrzucenie z armaty 25 takich pocisków potrzeba 2 kilo gliceryny; lecz to wytworzenie tej ilości gliceryny potrzeba zużyć, jak wynika z przytoczonych powyżej danych, blisko 20 kilo tłuszczu, a więc 10 strzałów z małej armaty dzisiejszej zużywa 8 kilo tłuszczu chemicznie czystego, czyli tyle, ile według obecnych naszych norm kartkowych wypada dla jednego człowieka na cały rok.

Jak wiadomo, jednym z najistotniejszych wymogów strategiki dzisiejszej jest obrzucenie przeciwnika jak największą ilością pocisków. Dzienniki podały niedawno, że w roku przeszłym pod Arras Francuzi na jednym niewielkim odcinku dali w ciągu 24 godzin 300 tysięcy armatnich strzałów. Oczywiście były to pociski rozmaitych kalibrów, mniejsze i większe, gdybyśmy jednak przypuścili — będzie to, co prawda, przypuszczenie dosyć dowolne, lecz nie przesadzone — że średnio można uważać te pociski za 18-to funtowe, to otrzymalibyśmy, że na wyrobienie potrzebnej do wyrzucenia tych pocisków ilości nitrogliceryny zużyć musiano 30 ton, czyli 3 wagony chemicznie czystego tłuszczu, a więc około 150 dużych, tłustych wieprzów. Cyfry te wyjaśniają niejedno z trudności wojennej aprowizacyi i pokazują, że pojawiające się tu i ówdzie braki i konieczne oszczędności, które zresztą w krajach nieprzyjacielskich, jak z tamtejszych dzienników widać, są w wielu razach daleko cięższe, nie leżą w złej woli lub niezaradności, lecz są koniecznie związane z warunkami dzisiejszej wojny. Wojna, ta najstraszniejsza kara i plaga ludzkości, niszczy to, co najdroższe, a więc przedewszystkiem życie ludzkie, a dalej pokarm i węgiel. Trzyletnia wojna wielka stwierdziła dowodnie, że pokarm i węgiel, to są materyały, którymi wojnę się dzisiaj prowadzi, a frazes angielski o kulach złotych czy srebrnych nie ma żadnej wartości.

Armaty więc i karabiny potrzebują tych samych pokarmów, co i człowiek, białka i tłuszczu, a pokarmu tego potrzebują wiele i braknąć go im nie może pod grozą narażenia losu wojny i życia bojowników. Zato w źródłach, z których te substancye się czerpie, nie są one wybredne, armaty nie potrzebują bać się zakażenia bakteryami, nie są też wrażliwe na żadne względy estetyczne. Jestto okoliczność bardzo ważna, bo do wyrobów amunicyi można wyzyskać i padlinę i odpadki wszelkiego rodzaju, jak to ze skutkiem stosują u siebie Anglicy. W przy-

toczonem wyżej sprawozdaniu Forstera czytamy, że Anglia i Francya od dłuższego już czasu dokłada wielkiej staranności w gromadzeniu odpadków ze stołu i kuchni, jakie w znacznej ilości zawsze się pozostają w obozach żołnierskich. Dawniej odpadki takie albo niszczono, albo też sprzedawano za nieznaczną sumę. Obecnie gromadzi się wszystko skrzętnie i urządzono w Anglii jedną i we Francyi drugą wielką fabrykę, a wkrótce ma się ich urządzić więcej, w których z tych odpadków wyciągać się będzie znachodzące się tam tłuszcze i wyrabiać z nich glicerynę. Obliczają, że w ten sposób uzyska się około tysiąc ton rocznie gliceryny, przyczem koszt produkcyi wynosi 50 funtów, to znaczy 1200 koron za tonę. Zważywszy, że, jak sprawozdanie owo mówi, tona gliceryny w Stanach Zjednoczonych Ameryki kosztuje 240 funtów, to widzimy, że w ten sposób zyskuje rząd 190.000 funtów, czyli blisko 5 milionów koron. Nie należy jednak zbytnio zachwycać się tą pomysłowością angielską, bo przecież tymi samymi odpadkami karmićby można, jak to u nas w powszechnym jest zwyczaju, wieprze, i uzyskać tłuszcz więcej jeszcze wartościowy, bo zdatny na pokarm człowieka. Ale skoro obecnie człowiek od ust musi odjąć sobie pokarmu a oddać go armacie, to oczywiście taniej wypadnie dać tłuszcz na wyrób amunicyi w postaci odpadków i nieużytków.

Wśród zamieszek wojny obecnej postęp nauk utknął prawie zupełnie, jak tego zresztą oczekiwać należało wobec faktu, że wszystkie zasoby materyalne i wysiłki umysłu ludzkiego kierować się muszą ku sprawom wojennym. Ale właśnie ten konieczny wysiłek ku przezwyciężeniu trudności i braków dał też pochop do wielu wynalazków praktycznych, zwłaszcza w chemii, dozwalających zapomocą surogatów zastąpić używane dawniej substancye. Jednak mimo wszystkich wysiłków nie zdołano dotychczas stworzyć nic, coby mogło zastąpić tłuszcz, czyto w odżywianiu człowieka, czy też w wyrobie amunicyi. Bo o „oliwie“, wytwarzanej gdzieniegdzie z nafty, niema co i mówić — jestto tylko co najwyżej używka, mająca służyć do łatwiejszego połknięcia suchej sałaty, lecz pozbawiona najzupełniej wszelkiej wartości odżywczej. A że wobec zawrotnej liczby pocisków, jakie w tej wojnie zużywają armie wojujące państw wszystkich, ilość tłuszczu, potrzebnego do wyrobu amunicyi, z pewnością znacznie przewyższa tłuszcz, spożywany jako pokarm przez ludność, a tej ilości amunicyi potrzeba coraz to więcej i więcej, bez względu na to, że ilość tłuszczów, jakich chów bydła i roślin tłuszczowych dostarczyć może, musi się zmniejszać, więc też nic dziwnego, że urzędy aprowizacyjne państw wszystkich muszą

z wydzielaniem tłuszczów na pokarm stawać się coraz oszczędniejsze — bo tłuszcz jest potrzebny na bezpośredni pokarm dla samej wojny.

Konieczna ta oszczędność zmusza też pod wieloma względami do czynienia dokładnych obliczeń odnośnie do zużywanych dotychczas ilości pokarmów. Ciekawe są cyfry, jakie podaje prof. Boruttau w artykule [1]), noszącym interesujący tytuł: „Ile razy w roku zjada się człowiek", co znaczy, ile razy waga zjedzonych przez człowieka w ciągu roku pokarmów przewyższa ciężar jego własnego ciała, przyczem za podstawę obliczeń bierze ów uczony daty przedwojenne, a więc odnoszące się do czasów, gdy z powodu taniości pokarmów (wówczas jednak skarżyli się wszyscy na drożyznę i wielu, jak to nieraz mieliśmy sposobność słyszeć, przywoływało wojny, by drożyźnie koniec położyła!) obchodzono się z niemi w sposób nieraz marnotrawny. Otóż według obliczeń tych człowiek, ważący średnio 70 kilo, zjadał rocznie pokarmów okrągłe 666 kilo, nie licząc oczywiście wody, a więc zjadał sam siebie blisko dziesięć razy na rok, czyli raz prawie na miesiąc. Za onych dobrych czasów zjadał obywatel państw centralnych 182 kilo chleba rocznie (dziś naraziłby się przez to na surową karę), tyleż ziemniaków, 52 kilo mięsa i ryb, 73 kilo mleka i t. d. i t. d. Na miasto takie, jak Kraków, liczące około 150.000 mieszkańców, czyni to 103.200 wagonów rocznie. Wlicza się tu jednak tylko sama żywność, bez rozmaitych materyałów luksusowych. Autor powyżej przytoczony oblicza ilość tłuszczu na 17 kilo rocznie, nam zaś karta wojenna pozwala tylko na 7 kilo, widać więc z tego, jakie masy tłuszczu, białka i innych pokarmów oddaje człowiek obecny na pokarm dla karabinów i armat, by walczyły za wolność i sprawiedliwość, o wieczysty pokój. Nie było więc chyba w dziejach tak idealnie ustrojonych ludzi, jak są obecnie żyjący i umierający!

Ale wojna, to matka okrutna, która własne zjada dzieci, nie zadawala się tak hojnie wydzielanym jej pokarmem, lecz nadto pragnie ofiar krwawych, w ludziach. I bierze je nietylko w ludziach zabitych w bezpośredniej walce, których liczbę oceniają już na dziewięć milionów, lecz w zmarłych przedwcześnie z pracy i niedostatku, czyli w zwiększonej znacznie śmiertelności i co jeszcze może ważniejsza, w zmniejszonej liczbie urodzin. Już przed wojną społeczeństwa, stojące na czele kultury, skazywały się dobrowolnie przez tak zwaną śmierć białą na stopniowe wymarcie, lecz teraz, gdy miliony mężczyzn znaj-

[1]) Umschau 6 Oct. 1917.

duje się w polu, zdala od życia rodzinnego, liczba urodzin zmniejsza się w psosób zatrważający. Według oceniań fachowych w samych Niemczech liczbę zmniejszonych urodzin w r. 1916 trzeba ocenić na kilkaset tysięcy, a w wyższym stosunkowo stopniu będzie w krajach takich, jak w Polsce lub we Francyi, gdzie obszary wielkie stały lub stoją pod okupacyą nieprzyjaciela, a liczne rodziny są stale rozbite. Gdy nad nieszczęśliwym światem zajaśnieje kiedyś tęcza pokoju, do warsztatów pracy społecznej staną więc rodziny zubożałe nietylko materyalnie, ale i mniejsze liczbą swych członków, a obciążone nadto ciężką moralnie i materyalnie troską o tych, którzy wrócili wprawdzie żywo, lecz z okaleczałym lub rozbitym organizmem — a tu nietylko trzeba będzie pracować na swe utrzymanie bieżące, lecz nadto spłacać straszne ciężary, jakie wojna w postaci długów i odszkodowań za sobą pociąga. Jak na to poradzić?

Po wojnach napoleońskich w Europie zniszczenie było równie straszne, a może stosunkowo i większe, niż obecnie, a mimo to społeczeństwa europejskie nietylko otrząsnęły się rychło ze skutków wojny, lecz wybuchnęły nowym, nieznanym dobrobytem i rozwojem na wszystkich polach. Co było tego przyczyną i czy i obecnie mamy to samo, co oni lekarstwo? Niestety, nie mamy. Przyczyną tego nagłego rozwoju gospodarstwa społecznego była maszyna parowa, która wyszedłszy właśnie wtedy ze swej kołyski, z pracowni naukowych, zaprzągła do użytku człowieka niezmierzone skarby energii użytecznej, nagromadzonej przez przyrodę pod postacią węgla kamiennego. I gdy miliony i miliony koni parowych, żywionych owym węglem, poczęło wydobywać z ziemi kruszce, uprawiać rolę, prząść, wytwarzać sztuczne nawozy, zwozić z krajów dalekich surowiec, rozwozić wyroby fabryczne — ludzkość wzbogaciła się, jak nigdy, zapanował dobrobyt, a nawet zbytek, któremu dopiero wojna obecna kładzie po części koniec. Dziś już jednak daremnie przytaczać ten przykład, gdy chodzi o otrząśnienie się ze strat i zniszczenia, sprawionego wojną, bo nauka, mimo wszystkich wysiłków nic nie przygotowała nowego. Jest jeszcze trochę nieużytej siły wodnej, możnaby marzyć o użyciu siły wiatrów, miga się coś przed nami w postaci ciał promieniotwórczych i olbrzymich, w ich wnętrzu ukrytych zapasach energii, jednak pierwsze są za małe w stosunku do olbrzymich potrzeb, a wobec drugich, to jest wobec ciał promieni słonecznych, nauka zupełnie jest jeszcze bezsilna i wątpić można, czy je kiedy na usługi człowieka w sposób wydatny oddać zdoła. Jednem słowem, niema i nie widać cudownego motoru,

któryby zdziałał dla nas to, czego w wieku zeszłym dokazała maszyna parowa, to jest, by dostarczył taniej energii użytecznej.

I dzieje się przed nami rzecz dziwna. Z takim motorem występują jednak uczeni, ale nie fizycy i mechanicy, lecz — psychologowie doświadczalni, i wołając radosne eureka, znalazłem, zdumionemu światu wskazują na motor-człowieka. Tak więc po motorach parowych, gazowych, elektrycznych, wraca się ludzkość znowu do tych motorów, które wybudowały piramidy i przeliczne, wspaniałe pomniki architektury i techniki, lecz które nauka zeszłego stulecia tak lubiała podawać w pogardę i lekceważenie wobec motorów silnikowych i cieplnych. Czyż to jednak być może, by była jakaś nadzieja wydobycia czegoś nowego z owych odwiecznie znanych źródeł energii, jaką przedstawia organizm ludzki?

Twierdząca odpowiedź na to pytanie nie powinna nas zbyt zadziwić, gdy sobie przypomnimy, że dopiero od pół niespełna wieku, to jest od powstania psychologii doświadczalnej, organizm nasz, a raczej psychofizyczne zjawiska, w nim się odgrywające, są przedmiotem ścisłych naukowych badań, które dały w rezultacie niejedno ciekawe odkrycie. Wśród tych badań, któremi przetrząsano niejako wszystkie zaułki i skrytki psychofizycznych funkcyi człowieka, zadać sobie musiano pytanie, jak człowiek pracuje. I gdy na to pytanie odpowiedź ze strony fizyologii wypadła bardzo zadowalająco, bo przekonały pomiary i ścisłe badania, że organizm, jako motor cieplny, to jest przemieniający energię chemiczną i cieplną na pracę, jest najdoskonalszym, bardziej ekonomicznym, niż wszystkie, jakie nauka dotychczasowa stworzyć zdołała, to z drugiej strony badania psychofizyczne wykazały, że człowiek pracując, chociażby w tej pracy nabrał wielkiej wprawy, ogromnie dużo traci energii i siły przez wykonywanie ruchów i czynności niepotrzebnych, z pracą żadnego nie mających związku, dla niej bezużytecznych, a więc marnujących czas i siły. Jednym z pierwszych, którzy spostrzeżenie to naukowe rozszerzyli i starali się praktyczne zeń wyciągnąć wnioski, był Anglik, dr. F. W. Taylor. W dziele pod tytułem „Scientific Management“ („Naukowy zarząd“) kładzie fundamenty pod ruch psychologiczno-ekonomiczny, mający na celu dokładne, najściślej naukowe zbadanie rozmaitych prac robotnika, by wysnuć przepisy ścisłe, które usuwając wszystkie niepotrzebne lub niezgrabne wysiłki, każdym ruchem i natężeniem mięśni i nerwów pracującego kierowały ściśle i jak najoszczędniej do tego jedynego celu, by zwiększyć wydatność pracy. Oczywiście zadanie tak określone stawia

przed psychologiem doświadczalnym prawie niewyczerpaną ilość problemów i tematów, bo właściwie każdy rodzaj pracy z osobna trzeba badać i dla niego najszczegółowsze obmyślać przepisy. System ten jednak, jako obiecujący ogromne zyski materyalne, i także ze względów socyalnych, zainteresował bardzo sfery tak przemysłowe, jak i naukowe, zwłaszcza w Ameryce, a po śmierci zmarłego przedwcześnie Taylora na czele „tayloryzmu", jak kierunek ten nazwano, stanął Gilbreth z całą szkołą i nadto pojedyncze wielkie fabryki utworzyły osobne w tym celu laboratorya, nie szczędząc kosztów, które też sowicie wnet się wróciły. W laboratoryach tych zapomocą momentalnej fotografii bada się, regestruje dane zajęcie i następnie analizując pojedyncze ruchy pracującego, zmienia się nieudolne, odrzuca niepotrzebne i zostawia się tylko wyłącznie te, które do wykonania pracy niezbędnie i skutecznie służą, a nadto obmyśla się jak najodpowiedniejsze narzędzia do wykonywania danej pracy. Gdy tak teoretycznie, naukowo rzecz całą opracowano, wtedy kierownik staje przed robotnikiem ze swym skryptem i dyktuje mu najszczegółowiej: teraz weź to a to, teraz zrób tak a tak, teraz spocznij i t. d. Oczywiście rezultaty takich badań trzymają fabryki po większej części w tajemnicy, dla swego własnego użytku, bo są one nie mniej cenne, jak rysunki dobrych, nowo wynalezionych maszyn, ale już z niektórych, ogólnie znanych rezultatów, jakie tayloryzm osiągnął, widać jego niesłychaną doniosłość, tak dla techniki, jak i dla socyologii. Tak np. robotnik, który zgarniał łopatą dziennie 16 ton materyału, węgla czy rudy, pracując zapomocą tej metody, zgarnął dziennie ton 59. Tragarz, ładujący dziennie 12 i pół tony żelaza surowego, teraz ładuje 47 i pół tony dziennie; murarz, który przedtem kładł 1000 cegieł, dziś muruje z szybkością 2.700 cegieł dziennie. To w robotach grubych, a cóż dopiero można zaoszczędzić czasu i wysiłku w pracach bardziej skomplikowanych. Nic dziwnego, że znawcy tacy, jak Artur Greenwood [1]), profesor ekonomii na uniwersytecie w Leeds, dalej Spooner i stojący za nim członkowie parlamentu angielskiego, następnie Kent [2]) i inni, przepowiadają, że tayloryzm tak zrewolucyonuje całą produkcyę i przemysł i taką nieprzedartą siecią otoczy problemy ekonomiczno-społeczne, jak przed stu laty uczyniła to maszyna parowa. Bo jak słusznie zauważa Greenwood, scientific management czyli tayloryzm doprowadzić może do tego, że z człowieka-

[1]) The War and Democracy. London. Macmillan 1914.
[2]) The Nature. London, September 1917.

robotnika uczyni najzupełniejszy automat, pozbawiony wszelkiego dowolnego, swobodnego ruchu — wprawdzie tylko przy pracy, ale któż odgadnąć zdoła, jaki wpływ przymus taki, tłoczony, wywrze na organizm i psychę robotnika przez przeciąg kilku godzin dziennie, może ostatecznie wywrzeć. Dalej metoda taka w ręku nieumiejętnego lub bezwzględnego kierownika fabryki stanie się z jednej strony narzędziem do olbrzymiego wzrostu dochodu fabrykanta, lecz zarazem do niebywałego dotąd w dziejach ludzkości wyzysku i ucisku robotnika, a nadużycia takie, jak wspomina Greenwood, już w Ameryce niejednokrotnie dostrzeżono. Z drugiej jednak strony tayloryzm, umiejętnie i uczciwie praktykowany, dając sposobność fabrykantowi do znakomitego podwyższenia produkcyi i dla robotnika może być środkiem wzmożenia dochodów i zarazem skrócenia czasu pracy, dając mu tem samem więcej godzin wolnych na zaspokojenie słusznej potrzeby rozrywki i własnego kształcenia.

Że mądre i oparte na powyższych zasadach kierownictwo przemysłowe może rzeczywiście dla społeczeństwa, dla robotnika, a także i dla fabrykanta przynieść wprost niespodziewane i zdumiewające korzyści, dał tego przykład praktyczny i daje ciągle amerykański fabrykant automobilów, Henry Ford. Imię to z pewnością nikomu nie jest obce, boć to ten sam Ford pacyfista, który przed paru laty ofiarował miliony i zorganizował ekspedycyę do Europy, by wyrwać świat ze strasznej obecnej zawieruchy. Czytając reklamy, jakie po całym świecie wówczas gazety drukowały, mogło się zdawać, jak słusznie mówi Rosika Schwimmer [1]), która właśnie zastępowała Forda w owej ekspedycyi pokojowej, że Ford to jeden z tych licznych milionerów amerykańskich, którzy przez mniej lub więcej nieuczciwą spekulacyę wycisnąwszy z ludzi miliardy, teraz rozrzucają kapryśnie miliony na rozmaite humanitarne lub kulturalne cele. Tak myślała Rosika Schwimmer, zanim poznała bliżej zakłady Forda, lecz po ich zwiedzeniu zmieniła zdanie gruntownie, a uczynić to musi za nią każdy, kto choćby przeczyta opis tych zakładów. Zaczynając zwykłą drogą milionerów amerykańskich, Ford, jako szesnastoletni chłopiec, puścił się bez centa w kieszeni w świat, z ideą uporczywą w głowie, by zbudować tani gazolinowy motor. Przyszły nań czasy walki i niedostatku, a choć mógł wrócić do domu ojczystego, trwał dalej zacięcie w swem przedsięwzięciu, aż doszedł do tego, że dziś stoi na czele fabryk, zatrudniających blisko 90

[1]) Umschau 22 września 1917, str. 719.

tysięcy ludzi i przynoszących mu czystego już, wyłącznie osobistego dochodu milion dolarów tygodniowo.

Ale dochód materyalny i majątek nie był wcale głównym celem wysiłków Forda, podobnie jak nie był nim wyłącznie przemysł. On prócz maszyn i fabryk miał w głowie jeszcze i przedewszystkiem zorganizowanie systemu pracy, któryby dał robotnikowi dobrobyt i przyczynił się do dobra całego społeczeństwa przez ile możności jak najtańszy wyrób pierwszorzędnej wartości produktów. Oto dosłownie jego główna zasada życiowa: „Czyń to, co dla każdego zasadniczo jest najlepsze. Musimy uznać, że ludzkość cała jest zespolona w sposób niedający się rozwikłać, wszyscy są członami jednej maszyny, a więc wszystko, co szkodę przynosi jednej części ludzkości, musi odbić się szkodliwie na wszystkich“. Do tej zasady głównej dołącza się wiele mniejszych, zawsze głęboką a rozumną filantropią przejętych, jak np.: „Nie należy z ludźmi obchodzić się gorzej, niż z maszynami, a pracodawcę uważać trzeba tylko za pracownika“. Pracuje też Ford z całym wytężeniem nad coraz większem udoskonaleniem nietylko swej fabryki, lecz sposobu bytowania jej pracowników, a tym jego wysiłkom odpowiada rezultat taki, że obiecuje każdemu robotnikowi, jak król Henryk, już nie kurę w garnku, lecz dom i automobil. A gdy zważymy, że od stycznia 1914 r., to jest od czasu przypuszczenia robotników do udziału w dochodach fabryki, zarobek dzienny najmniejszego robotnika wynosi 5 dolarów, a więc prawie tyle, co ministra austryackiego, to nic dziwnego, że wielka część tych robotników-magnatów rzeczywiście dochodzi do posiadania i domu własnego i automobilu.

Cały ten zakład przemysłowy, noszący nazwę: Ford motor Company, na którego czele stoi jako twórca i kierownik Henry Ford, powstał ostatecznie w r. 1903, i w pierwszym roku istnienia wyrobiono 1708 automobilów Forda. Liczba ta jednak wzrastała gwałtownie tak, że w r. 1915 wynosi 308.213, to znaczy więcej, niż połowę wszystkich automobilów, produkowanych na całym świecie. W r. 1916 wyrobiono automobilów 533.921, przyczem fabryka miała jeszcze z końcem tego roku zamówień na 140.000 automobilów, których już dostarczyć nie zdołała. I nic dziwnego, automobile Forda nietylko znane są ze swej trwałości, ale są one niesłychanie tanie, i gdy w r. 1916 prawie wszyscy fabrykanci automobilów podwyższyli cenę o sto dolarów, to Ford zniżył ją o 50 dolarów i obecnie Ford-auto kosztuje tylko 345 dolarów, a więc cena przystępna dla każdego, mniej nawet zamożnego człowieka.

Socyalna organizacya tych zakładów, wraz ze swemi szkołami dla robotników, szpitalami, biurami porady prawnej, porady socyalnej i t. d. i t. d. stanowi przedmiot, godny studyów dla każdego socyologa. Niemniej wybitną jest też strona techniczna. W 29 wielkich miastach Ameryki pracują fabryki Forda wyłącznie nad składaniem w całość tych części składowych automobilów, które w Detroit, głównem gnieździe fabryki, wyrabia 33 tysiące robotników, zebranych z 53 rozmaitych narodowości. Powierzchnia pod dachem będących przestrzeni fabrycznych w samem Detroit wynosi 47 i pół morga, a setki tysięcy maszyn i motorów wprawiane są w ruch przez siedm olbrzymich maszyn parowo-gazowych, pomysłu samego Forda, które tworzą największą na świecie centralę siły popędowej. Hala ta „ma okna szklane, jak biblioteka, a czysto w niej, jak w sali operacyjnej". Ochędostwo, światło, stała temperatura, ogrzewana w jednem miejscu, to oziębiana w innem, oto cechy charakterystyczne wszystkich hal i przestrzeni fabrycznych, aż do ostatniego ich zakątka. A są tam hale takie, że w niektórych stoi po 6000 motorów, pędzonych rzemieniami o łącznej długości 50 mil. — W zakładach tych pracuje gorączkowo każdy przez ośm tylko godzin dziennie, ale jego praca, znakomicie płatna, jest też wyzyskana do ostatniego ruchu, a jej rezultat widomy okazuje się w hali, w której części wytoczone składa się w automobile. Na ruchomym pasie kładą cząstkę fundamentalną automobilu, szkielet ten posuwa się dalej, a wzdłuż toru jego drogi stoją robotnicy, z których każdy dorzuca i montuje jedną tylko część składową. Na końcu taśmy wychodzi gotowy do jazdy automobil, — co 25 sekund wychodzi jeden.

Lecz wobec nowych obstalunków trzeba zakłady rozszerzać, tak, by w roku 1917 mogły pomieścić 99 tysięcy robotników, którzy mają wyrobić milion automobilów w ciągu roku!

Gdy z tego obrazka z życia przemysłu Ameryki zwrócimy wzrok na kraj nasz własny, stanie nam jasno przed oczyma, co można będzie po wojnie zrobić, i zarazem sposób najlepszy odszkodowania kraju po spustoszeniach wojennych. Bo choć mamy prawo i obowiązek starać się, by nam zwrócono to, co podczas wojny zniszczono, to przecież nikt na świecie nie zdoła zwrócić strat wszystkich, lecz ostateczny los nasz, zwłaszcza wobec tych ciężarów niezmiernych finansowych, jakie wszystkie społeczeństwa, a więc i nasze i każdy z jego członków dźwigać na sobie będzie musiał, leży tylko w rękach naszych, mianowicie w bardzo pilnej i idealnie zorganizowanej i pokierowanej pracy. Po wojnie, gdy prawdopodobnie społeczeństwa ludzkie staną się więcej

ruchome i więcej ekspanzywne, pod wpływem nacisku fiskalnego, każde miejsce na powierzchni ziemi, gdzieby chciano, jak nieraz dotąd, żyć łatwo i bez wysiłku, zaleje prąd o wyższem napięciu osobistej energii, a miejsca zgniłe bez litości zatopi. Wzmożona wydatność i jakość pracy będzie tem odszkodowaniem, którem społeczeństwa dźwigać się muszą po wojnie, zapomocą którego jednostki i rodziny sprostać będą mogły nałożonym na nich ciężarom. W tym kierunku trzeba zawczasu wytężyć myśl i ręce.

Ks. Feliks Hortyński.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Ks. J. Pawelski T. J.*

DRUKARNIA EUGENIUSZA I DRA KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.

„Co zawdzięczamy reformacyi?“.

W jednym z krakowskich dzienników z d. 31. paźdz. 1917 str. 4, ukazał się z powodu jubileuszu Lutra, artykuł prof. uniwers. wiedeńskiego dr. v. Zimmermanna, pod napisem: „W a s w i r — (tj. katolicy i protestanci) d e r R e f o r m a t i o n z u v e r d a n k e n h a b e n“. Refleksye p. profesora, poświęcone jubileuszowi reformacyi, owiane są nawskróś duchem liberalnego protestantyzmu, choć ma się wrażenie, że autor miał zamiar pisać w tonie pojednawczym. Z tego powodu nie weźmie nam autor za złe, jeśli, dla wyjaśnienia tak obopólnie ważnej sprawy, oświetlimy jego wywody ze stanowiska katolickiego. Nie piszemy polemiki, lecz rzecz udowodnić pragniemy siłą niezaprzeczanych faktów. Wobec tego, że badania nad Lutrem, podejmowane w ciągu wieków, toczyły się wśród nienawiścią przepojonych i stronniczych sporów, powrót na drogę faktów trzeba uważać za jedyny środek do wzajemnego porozumienia się w tej kwestyi.

1) Pierwsze dobro, jakie Lutrowi zawdzięczać mamy, to — „p r z e k s z t a ł c e n i e d a w n e g o K o ś c i o ł a w w o l n e k r ó l e s t w o d u c h o w e w i a r y i m i ł o ś c i b r a t n i e j“. O czemś podobnem myślał Luter bez wątpienia przynajmniej przez jakiś czas. Zamierzał bowiem wykluczyć powagę Kościoła rządzącego a uznać za obowiązujące to tylko, co się w Piśmie św. zawiera; to zaś znowu o tyle tylko, jak sam je rozumiał i wykładał — często w przeciwieństwie do całej dawnej katolickiej egzegezy. W rzeczywistości wnet sam od tego „ideału“ swego odstąpić

musiał, ponieważ nie można się było zgodzić na jednolite rozumienie Pisma. Nawet z Melanchthonem nie mógł się Luter porozumieć co do najbardziej zasadniczych tekstów. Gdy więc bez autorytetu nie mogło być mowy o jednolitym wykładzie Pisma, nastała w tem „wolnem duchowem królestwie miłości braterskiej" ustawiczna walka. Trzeba było wezwać na pomoc władzę państwa, aby uporządkować stosunki w młodych gminach. Tym sposobem „wolne królestwo duchowe" przerodziło się w kościół państwowy, który po dziś dzień chroma.

Dzisiejsze liberalne i bardzo liberalne prądy w łonie protestantyzmu nie mają Lutra za swego ojca. Chociaż dzisiejsi liberalni protestanci słusznie twierdzą, że ich stanowisko tj. absolutny subjektywizm, jest to samo, co Lutra, to jednak wiemy o tem dobrze, że Luter w starszym wieku odrzucał to, co za młodu głosił. Prądy te powstały pod wpływem różnorodnych wpływów. Właściwie pochodzą od Schleiermachera, a dalej rozkrzewiała je mniej lub więcej racyonalistyczna i modernistyczna liberalna teologia aż do tego pojęcia religii, które świadomie staje w przeciwieństwie do „kościoła" i po części spokojnie kończy się monizmem, filantropizmem lub etyką bez dogmatu — wszystko to są rzeczy, o których Lutrowi ani się nie śniło, i które on byłby zwalczał do upadłego.

2) Powtóre, od Lutra ma pochodzić dzisiejsza tolerancya! Że Luter ongi dla siebie żądał tolerancyi, to rzecz oczywista. I o takiej tolerancyi można było znaleźć w jego pismach wyborne zdania. Pozatem jednak nie przyznawał Luter żadnej tolerancyi tym, którzy nie chcieli głowy skłonić przed powagą wittenberską. Najsilniejsze klątwy i ekskomuniki, rzucane przez koncylia i papieży, są łagodne wobec brutalnych wyrazów, jakimi obrzuca Luter przeciwników w swoim własnym obozie, od anabaptystów aż do Zwingliego i Kalwina. Względem Kościoła katolickiego nie zdobył się Luter nigdy nawet na cień tolerancyi. Według słów samego „reformatora", miała wieczna „nienawiść do Rzymu" być spuścizną, testamentem przekazaną jego uczniom.

Nie wahał się też Luter nigdy użyć przemocy fizycznej wobec tych, co inaczej od niego myśleli. Rady miejskie i książęta

wzywał do najokrutniejszego prześladowania dawnego Kościoła, pochwalał też najhaniebniejsze występki, popełniane na wiernych ślubom zakonnikach i zakonnicach. Luter uważał też za swoje przekonanie zdanie: Cuius regio, eius religio. Znał tolerancyę, i to bardzo szeroką, ale względem książąt, od których był zależny. Tak np. udało się landgrafowi Filipowi z Hessen wyjednać dla siebie „pozwolenie" na bigamię.

I dziś jeszcze kościoły protestanckie nie postąpiły w tolerancyi wyżej od „reformatora"; dziś jeszcze do najmniej tolerancyjnych krajów nie należą np. Hiszpania lub Włochy, lecz protestancka Szwecya, Saksonia, Brunświk i inne.

3) Luter miał dalej wytępić wszelkie zabobony. — Ależ w pismach Lutra roi się wprost od wyobrażeń djabłów, czarownic itp. A wcale już nie zgadza się z historyczną prawdą, żeby Luter miał zniszczyć wiarę w czarownice w Niemczech. Po Lutrze tak samo jak przed nim palono czarownice tak w katolickich jak i w protestanckich krajach. Dopiero Jezuita Fryderyk von Spee odważył się wystąpić stanowczo i z siłą przeciw manii węszenia za czarownicami i rzeczywiście jej koniec położył.

4) Po czwarte. — Luter pierwszy wywalczył wolność dla słowa pisanego i głoszonego? — Proszę tylko czytać, jak swobodnie wypowiadali swe zdania tacy mężowie jak św. Bernard — na kilka wieków przed Lutrem — albo, tacy wielcy misyonarze Niemiec, Francyi i Włoch! Kościół nie bronił nigdy mężom, prawdziwie święte życie wiodącym, słowem i czynem walczyć w obronie obyczajów i reformować społeczeństwo. A to, co spowodowało Kościół do otwartego wystąpienia przeciw Lutrowi, nie była to jego gorliwość o reformę obyczajów, lecz jego nowy dogmat — dziś już nawet przez większość protestantów zarzucony — mianowicie nauka o wierze, usprawiedliwiającej człowieka nawet bez uczynków.

5) Po piąte. Luter miał przynieść pierwszy równe prawo dla pana i sługi („gleiches Recht für Herrn und Knecht"). — Czy rzeczywiście był Luter przyjacielem uciśnionych? Kiedy wieśniacy powstali przeciw szlachcie i książętom, a spodziewali się w reformatorze znaleźć podporę i pomoc, fatalnie się zawiedli. W słowach

nad wyraz krwiożerczych wzywa Luter panów, aby chłopstwo mordowali, topili jak bydlęta. Luter był przedewszystkiem sprzymierzeńcem książąt, a to dlatego, że ich potrzebował. Książęta z swej strony trzymali się pilnie reformacyi, ponieważ w niej widzieli najlepszą obronę absolutyzmu, a jeszcze więcej dlatego, że przez nią dużo dóbr kościelnych dostawało się państwu. Znakomitą illustracyę do tego można znaleźć w pismach króla pruskiego Fryderyka II.... Gdy władza państwowa zaczęła Lutrowi zbyt dokuczać, pisał, prawda, coś przeciw książętom, ale i w tem przebija ton książęcego sługi; z książętami zadzierać nigdy się nie odważył.

6) Po szóste dowiadujemy się z niemałem zdziwieniem, że elita nowszych ludzi w nauce wybitnych — to protestanci! — Jako przykład podaje nam pan profesor Szekspira, Keplera, Lessinga, Schillera, Goethego i Kanta. Historya tymczasem nie dała wcale dowodu, żeby Szekspir był protestantem. Pisma jego najzupełniej zgadzają się z uczuciami katolickiemi, a nie posiadają ani jednego wiersza nauki specyficznie protestanckiej. Kepler był wprawdzie protestantem, ale większym premierem od niego był przecież katolicki kanonik Kopernik. Lessing był wprawdzie synem pastora, ale sam był ojcem racyonalizmu, walczącego z Objawieniem. Co się tyczy Schillera, to wiadomo, że więcej w nim było greka niż chrześcijanina. Jego bogi greckie to nie tylko jakiś grzech młodości, i to tylko przypadkowy. Gdy jednak Schiller szuka prawdziwego piękna w chrześcijaństwie, zwraca się zaraz do katolickiej romantyki, lub do katolickiego Rzymu. Protestant Goethe, i on pisze wprawdzie piosenkę o Lutrze, a nawet ze względów prawnych po długoletniem życiu w dzikiem małżeństwie bierze ślub protestancki. Istotnie był on jednak panteistą, Spinozą w poezyi. Wyznaje przecież sam i to niemal pod koniec życia, że stosunek jego do chrześcijaństwa był taki sam jak Juliana Apostaty. Protestantyzm filozofa królewieckiego, Kanta, był tego rodzaju, że nie bronił mu odrzucić całego Objawienia. Stojąc prawie nad grobem, chce on wprawdzie zaprowadzić znowu religię, jako dźwignię moralności, ale ta jego religia to nie ewangelia Jezusa Chrystusa. Jeszcze słówko o Fryderyku II. Ten przyjaciel Woltera

i niedowiarek na tronie, który tylu zjadliwemi szyderstwami obrzucił reformacyę w Niemczech i w Anglii, z tem wszystkiem obrońca Jezuitów, protestowałby niezawodnie, gdyby ktoś śmiał zaliczyć go do grona protestantów.

Niemała to dla nas też nowina, że wśród 32 najsławniejszych przyrodników ostatnich czasów ma być aż 28 protestantów. Dlaczego to — pytam —jest ich właśnie 32? Dlaczego ci właśnie a nie inni? Którzy to są? A może byli oni tak samo protestantami jak Fryderyk W.? Czy i Haeckel jest między nimi? Czy i Oswald, autor dzieła o chemii i monistycznych kazań niedzielnych? Czy znajdziemy tam Mendla, opata katolickiego zakonu Augustyanów w Bernie? Czy i Darwin tu świeci, chociaż on może i w Boga nie wierzył? Czy zaliczyć tu mamy i Chwolsona, który chyba jest wyznawcą cerkwi rosyjskiej? Czy w jednym rzędzie z protestantami ma może stać i Wasmann, Jezuita? Czemużto ogranicza się p. profesor do najnowszych czasów? Czemu nie uwzględnia prawdziwie wielkich i sławnych katolickich badaczy francuskich, jak Pasteur, Ampère i w. i.? A, co najważniejsza, cóż to ma za sens ten stosunek protestantyzmu do praw natury? Prawa energetyczne nie są przecież ani katolickiego ani protestanckiego wyznania... Dalej, metryka nie wyrokowała nigdy o talencie albo geniuszu... W tego rodzaju rzeczach musimy postępować ostrożniej, bo inaczej gotów kto np. uważać to za dowód szczególnego znaczenia protestantyzmu w Prusiech, bo tam jest około 90 proc. protestanckich landratów i wyższych urzędników... Jeśli mowa już o wielkich mistrzach, toć katolicyzm ma we wszystkich krajach tak genialnych przedstawicieli w architekturze, malarstwie, muzyce i poezyi, że pominięcie ich w szeregu wybitnych ludzi nowszych czasów co najmniej bardzo nas zadziwić musi. Wspommimy tu tylko choćby o Beethowenie, Mozarcie, Haydenie, tych zwłaszcza w Austryi tak cenionych mistrzach. Nowsza sztuka i przyrodoznawstwo nie zawdzięcza Lutrowi żadnego specyficznie ważnego impulsu, również prądy i badania naukowe w dziedzinie przyrody w w. XV. nie miały w nim wcale popleczника; co się zaś tyczy rozwoju na polu socyalno-ekonomicznem, gospodarki finansowej, nauki o procencie itp. postępowych kwestyi, to Luter patrzał na nie okiem nieprzy-

jaznem, chociaż moraliści katoliccy ówcześni lepiej rozumieli ich znaczenie i pożytek. Słowem, fałszuje ten historyę, kto Lutra przedstawia jako człowieka „nowoczesnego“, wyprzedzającego daleko swoją epokę.

7) Po siódme. Luter ma być ojcem nowszej szkoły ludowej? Mógłby takim być, gdyby przed nim nie było, choćby tylko w Niemczech, szkółek dla ludu. Ale fakta świadczą, że takie istniały na wiele wieków przed Lutrem. To tylko można mu przyznać, że tam, gdzie reformacya zniosła klasztory a z nimi i szkoły klasztorne, tam starał się o jakieś zaradzenie smutnym tym brakom. I to mu przyznajmy, że, z natury szczególnie uzdolniony do popularyzowania nauki i wyborny znawca ludu, podał bardzo cenne rady pedagogiczne, ale w tem pracował on tylko na katolickich podstawach. Ojcem szkoły ludowej nie zowie już dziś Lutra nawet nowoczesna nauka protestancka.

Przestarzała to już dziś metoda, jaką posługuje się nasz profesor, gdy z liczby analfabetów we Włoszech chce dowodzić zacofania katolików. Wszak katolicka Belgia może się śmiało mierzyć z każdym krajem protestanckim, a w samych Prusiech do najbujniej kwitnących należą katolickie prowincye Nadrenia i Westfalia.

8) Po ósme. Słyszymy dalej znowu coś bardzo dziwnego, a mianowicie, że Luter miał w jakiś nowy sposób uświęcić stan małżeński... Jest i to fałszem historycznym. Jakże mógł uświęcić małżeństwo ten, który odebrał mu świętość sakramentu i wszystko, co odnosi się do stanu małżeńskiego, poddał pod sąd świecki? Ten, który nawet na bigamię pozwalał? Czy wogóle mógł być reformatorem obyczajów człowiek, który etykę swoją oparł na woli, pozbawionej wolności, i uczył, że uczynki nic nie znaczą, a nawet są szkodliwe? Na wieki przed Lutrem pisali katolicy wspaniałe pochwały o małżeństwie, ale cenić także dziewictwo nauczył ich sam św. Paweł i dawniejsza tradycya kościelna, w której brzmią choćby takie słowa św. Ambrożego, że małżeństwo tam jest najpłodniejsze, gdzie dziewictwo najpiękniej rozkwita. Jakkolwiek bywała i tu przesada, to jednak naukę o małżeństwie rozumiano jasno. Co Luter tu wniósł, i spowodował, to przedewszyst-

kiem: masę świętokradztw u mnichów i mniszek, wprowadzonych przezeń w błąd i wchodzących w stan małżeński mimo ślubów. Nieraz i sam skarżył się na to, że nowi predykanci, którzy dla żony raczej niż dla ewangelii, jak się zdawało, rzucili suknię zakonną, na śmiech narażają jego naukę. Sam uniwersytet w Wittenberdze miał, mimo zabiegów Lutra, pod względem obyczajów najgorszą opinię za jego czasów. Możnaby o tem jeszcze dużo pisać, ale poprzestanę na zdaniu najwybitniejszych dzisiejszych ekonomistów nacyonalnych, że wpływ katolicyzmu na moralność i płodność małżeństwa jest nierównie większy od wpływu kościołów narodowych. Nie przeczymy wcale, że Luter pisał piękne rozprawy dla ludzi, w małżeństwie żyjących, ale obok tego nie możemy i o tem przepomneć, że z bezwstydem, równym i właściwym najsprośniejszym satyrykom ówczesnym, pisał o stosunkach płciowych i małżeńskich.

Końcowa uwaga p. profesora, że Kościół katolicki dzisiejszy nie jest takim samym, jakim był w w. XV i XVI, może mieć dla katolika tylko wtedy sens, jeśli się przez to rozumie fakt, że Kościół katolicki — nie za sprawą Lutra, lecz — przez Sobór Trydencki otrzymał skuteczną reformę pod względem obyczajów i religijnej oświaty i — dzięki tej potędze Bożej, która w Nim zawsze mieszka — zakwitł na nowo cudownem kwieciem życia wewnętrznego i działalności zewnętrznej. Dziwny więc brak zrozumienia ducha katolickiego i uczuć katolickich objawia ten, kto nas, jak autor artykułu, zachęca do śpiewania „Te Deum“ za „Boże dzieło reformacyi“. Jest to tak samo, jak gdyby ktoś zapraszał Francuzów, aby z zapałem śpiewali: „Wacht am Rhein“.

Trudno w ramach artykułu dać odpowiedź wyczerpującą na tyle spraw, poruszonych w panegiryku autora wiedeńskiego na cześć Lutra[1]). Zresztą i Luter sam tak pełny jest kontrastów

[1]) Wyczerpującą odpowiedź na rozprawę prof. Zimmermanna znajdzie czytelnik w trzytomowej biografii Lutra, przez Hartmanna Grisara napisanej.

i zmiennych zdań. Jest to i poeta i mowca i pisarz popularny i człowiek od chwili zależny, ale nie jest systematykiem i człowiekiem zasady. Pełno w nim zagadek psychologicznych, a to ogromnie utrudnia jego charakterystykę.

Pamiętać trzeba dalej o tem, że „reformacya“ to tylko jeden prąd na progu nowszych czasów. Przeobrażenia dokonywały i renesans i humanizm i nowe odkrycia na niebie i ziemi i w ziemi, i filozofia i teozofia, polityka i życie gospodarcze, a przedewszystkiem stary on a wiecznie młody Kościół katolicki. Dziś to już nie uchodzi, chcieć wszystkim zedrzeć z głowy ich korony, i w szumnym panegiryku włożyć je jednemu na skronie. Historya nauczyła nas trzeźwiej myśleć.

Chociaż prof. Zimmermann pisze pod względem formy dość uprzejmie, to jednak w treści jest zjadliwy. Co najgorsza, że pisze całkiem wyraźnie pod adresem katolików, i to jeszcze dla Krakowa, gdzie przecież same kamienie wołają, jak świetna była i niezagasła jest sława Kościoła katolickiego, — i to w organie urzędowym w kraju, w którym oba wyznania są równouprawnione, a nadto jeszcze? w dniach, kiedy to katolicy i protestanci razem za wspólne dobra krew przelewają. Można zrozumieć zamiar, ale wytłómaczyć tego kroku niepodobna!!

X. T. J.

Nowa kodyfikacya prawa kościelnego.

Wśród burzy wojennej, rozszalałej po całym świecie, a nielitościwą ręką niszczącej najcenniejsze plony kultury wieków minionych, Kościół dokonał dzieła, któremu i najwięksi jego wrogowie nie odmówią wysokiej wartości kulturalnej, — dzieła, które zdolne jest zainicyować nową erę rozkwitu, w pierwszej linii w łonie samego Kościoła.

Konstytucyą *Providentissima Mater* ogłosił Benedykt XV. w dniu 27 maja b. r. nowy kodeks prawa kościelnego.

Gdyby nie wielkie przesilenie krwawe, które obecnie przeżywamy, zaprzątające siłą faktu umysły wszystkich, to zaiste fakt, iż Kościół od czasów Klemensa V. (1314) po raz pierwszy przedsięwziął i szczęśliwie do skutku doprowadził wszechstronną reformę swojego prawa i w jednolite ramy ujął cały materyał ustawodawczy, stanowiłby niewątpliwie w oczach całego świata zdarzenie wprost epokowe.

Będzie to zadaniem czasów spokojniejszych ocenić doniosłość tej nowej kodyfikacyi, a w szczególności wykazać wpływ jej tak na wzmocnienie wewnętrznego życia kościelnego, jak i na nowe ukształtowanie się stosunków Kościoła do poszczególnych państw. Na tem miejscu ograniczyć się chcemy tylko do wykazania, jak bardzo nowa kodyfikacya prawa kościelnego

odpowiada prawdziwej potrzebie, od dziesiątków lat głęboko odczuwanej, i że dostrajając w daleko idącej mierze dyscyplinę kościelną do nowych wymogów Kościoła i społeczności ludzkiej, nowy kodeks daje zarazem wymowny wyraz o niespożytej sile życiowej Kościoła, oraz jest nowym i dobitnym dowodem, iż Kościół przed dobrze zrozumianym postępem bynajmniej się nie uchyla.

I.

Ruch kodyfikacyjny przed Piusem X.

Tak zwane Klementyny, ogłoszone po raz pierwszy w r. 1314, a ponownie w r. 1317, po przeprowadzonej rewizyi, były, jak wyżej wspomnieliśmy, ostatnim oficyalnym zbiorem obowiązującego prawa kościelnego. Późniejsze *Extravagantes Jana XXII.* z r. 1325 i *Extravagantes communes*, powstałe u schyłku w. XV., były pracami prywatnemi; a choć wcielone do *Corpus iuris canonici*, nie zmieniły jednak przez to swego charakteru kompilacyi prywatnych [1]). To też na Soborze Trydenckim odezwały się wprawdzie niektóre głosy [2]), żądające kodyfikacyi prawa kościelnego z wydzieleniem wszystkich przepisów już przestarzałych lub mniej pewnych; głosy te atoli pozostały na razie bez rezultatu. Sobór ograniczył się do reformy poszczególnych części dyscypliny kościelnej, co do których reformy żądano; kodeksu jednak, któryby obejmował całe prawo obowiązujące, nie wydał. Owszem, liczne odsyłki do starszych zbiorów wskazują, że przepisy reformacyjne Soboru Trydenckiego miały być tylko korekturą i uzupełnieniem prawa jeszcze obowiązującego. Wkrótce atoli po zamknięciu Soboru przystąpił Grzegorz XIII. (1572—1585) do urzeczywistnienia postulatu, wniesionego na Soborze, przekazując komisyi, złożonej z trzech kardynałów, wypracowanie nowego

[1]) Schulte. Die Geschichte der Quellen u. Literatur des canon. Rechts. Stuttgart 1875. II, 63.

[2]) Theiner Acta genuina ss. Concilii Tridentini. 1874. II, 654; Collectio Lacensis 1890. VII, 840.

zbioru dekretałów[1]). Za Sykstusa V. (1585—1590) i Klemensa VIII. (1592—1605) pracowano dalej, a w r. 1598 schemat nowego zbioru opuścił prasę pod tytułem: *Sanctissimi Domini Nostri D. Clementis Papae VIII. Decretales.* Atoli ani Klemens, który przed wstąpieniem na tron papieski sam należał do redakcyi tego zbioru, ani następca jego Paweł V., który go w latach 1607 i 1608 poddał rewizyi, nie udzielili mu najwyższej swojej sankcyi — a to, jak można przypuścić[2]), ze względów kościelno-politycznych i dla jawnych wad redakcyjnych, które tę pracę cechowały.

Papieże późniejsi już nie podjęli się nowej pracy kodyfikacyjnej, szeroką natomiast rozwinęli działalność ustawodawczą, upatrując swoje zadanie głównie w tem, aby nadewszystko przepisy reformacyjne Soboru Trydenckiego w życie wprowadzać, interpretować, uzupełniać i, o ile możności, przystosowywać do warunków terytoryalnych tak na kontynencie, jak i w nowo dla wiary zdobytych krajach misyjnych.

Nowy ruch, prący już z całą siłą do kodyfikacyi prawa kościelnego, nastąpił dopiero w drugiej połowie zeszłego wieku, równocześnie z pracami przygotowawczemi do Soboru Watykańskiego. Kiedy bowiem Pius IX. dnia 6 grudnia 1864 r. przedłożył kardynałom pytanie, czy uważają zwołanie Soboru powszechnego za wskazane, kilku z nich w swoich referatach obok innych uwag podniosło i to, iż ustawy dyscyplinarne, wydane kiedyś przez Sobór Trydencki, a mające za punkt wyjścia przyjazne współdziałanie Kościoła i państwa, w części już nie odpowiadają warunkom i wymaganiom obecnych czasów. Dowodem tego, tak zaznaczali dalej, jest fakt niezaprzeczony, że niektóre rozporządzenia Soboru Trydenckiego w wielu krajach już wyszły z życia, inne doznały znacznych modyfikacyi, a to nieraz bez upoważnienia Stolicy św., a wreszcie, skutkiem faktycznie zmienionych stosunków pomiędzy Kościołem a państwami, wytworzyły się z czasem w drodze zwy-

[1]) Lämmer, Zur Kodifikation des kanon. Rechts. Freiburg i. Br. 1889. 8.

[2]) Sentis, Clementis Pp. VIII. Decretales, quae vulgo nuncupantur Liber Septimus decretalium Clementis VIII. Friburgi Br. 1870. Prolegomena XV; Lämmer, l. c. 21; Sägmüller, Lehrb. des Kath. K. R. Freiburg i. Br. II. Aufl. 1909. 163.

czajowej praktyki wprost sprzeczne z normami prawa pisanego, tak dalece, iż pewna niejednolitość dyscyplin ykościelnej stanowi jakby jedno z najjaskrawszych i najbardziej może znamiennych zjawisk naszych czasów. Ponieważ więc zarówno faktycznie zmienione stanowisko Kościoła wobec poszczególnych państw, jak też pewna niejednolitość w karności kościelnej przemawiać się zdaje za zmianą w pewnych kierunkach ustaw kościelnych i za obmyśleniem właściwych i skutecznych środków celem wprowadzenia ich w życie, dlatego też, zdaniem wymienionych kardynałów, przyszły Sobór powszechny powinienby zająć się podwójną tą kwestyą i należycie ją rozpatrzeć [1]).

Przejęty słusznością powyższych uwag, Pius IX. polecił w kwietniu następnego roku wręczyć 36 biskupom wezwanie, by przesłali do Kuryi rzymskiej swe postulaty i wnioski co do przedmiotów, jakie wedle ich zdania należałoby omówić na mającym się zwołać Soborze powszechnym. W następstwie tego kilku z tych biskupów wyraziło życzenie, aby normy prawa kanonicznego, obecnie obowiązujące, zebrano, w odpowiedni i krótki sposób skodyfikowano i przygotowano zarazem reformę ustawodawstwa kościelnego w tych punktach, które już nie odpowiadają obecnym stosunkom kościelno-politycznym. A według zdania jednego z tych biskupów, powinienby przyszły Sobór całą dyscyplinę kościelną tak przystosować do obecnych warunków, aby zachowując w swej mocy te normy, które utrzymać się dadzą, zniósł wszystkie przepisy już przestarzałe, a w ten sposób, w miejsce niepewnych i częstokroć niejasnych ustaw, stworzył jasny kodeks prawa obowiązującego, tak bardzo w naszych czasach pożądany [2]).

Wedle tej myśli wytycznej zaczęto niebawem w Rzymie pracować nad rewizyą prawa kościelnego. W licznych referatach poruszali członkowie konsulty dyscyplinarnej wszystkie nieomal ważniejsze kwestye natury prywatno- i publiczno-prawnej. Atoli z 28 projektów, wygotowanych przez komisyę, a odnoszących się do karności kościelnej, zostało zaledwie kilka przedłożonych

[1]) Molitor, Geschichte der allgemeinen Kirchenversammlung im Vatican. Regensburg 1873, I. 8. i nast.

[2]) Tamże, str. 48.

Ojcom Soboru, a z prac Komisyi polityczno-kościelnej, tak ważnych dla kwestyi stosunku Kościoła do państwa, ani jedna nie doczekała się przedłożenia. W następstwie Sobór został przerwany, i tem samem nadzieja wielu, iż Sobór Watykański obdarzy nas nowym kodeksem prawa kościelnego, spełzła na niczem.

Zdaje się nam jednak, że żądano od Soboru Watykańskiego rzeczy niemożliwej, i nie mamy powodu do narzekania, iż kodyfikacya prawa kościelnego wówczas nie przyszła do skutku. Z jednej bowiem strony czas trwania każdego Soboru powszechnego z natury rzeczy jest zbyt ograniczony, a rewizya całego prawa kościelnego, reforma jego i przystosowanie do wymogów obecnego rozwoju społecznego i religijnego, jako też ujęcie wszystkich przepisów prawnych w jedną harmonijną całość połączone są z tyloma trudnościami, takiego wymagają nakładu pracy, iż niepodobna dokonać dzieła tego rozmiaru w krótkim stosunkowo czasie. Z drugiej zaś strony wprost niepodobną zdaje się rzeczą, aby całe kolegium, złożone z kilkuset osób różnych narodowości, różnych zapatrywań i kierunków, zdolnem było do stworzenia dzieła, któreby w równej, o ile możności, mierze uwzględniało potrzeby wszystkich dzielnic świata kościelnego, — dzieła, któreby stanowiło w konsekwencyach ścisłe, jednolite, powszechne prawo Kościoła. A gdyby Sobór Watykański był się zdobył na wydanie nowego kodeksu prawa kościelnego, pewne obawy, czyby ten kodeks był wolny od powierzchowności, czyby nie nosił na sobie cech pracy dorywczej, a co za tem idzie, nie wymagał wkrótce uzupełnień lub daleko idących zmian, zdaniem naszem mogą mieć uzasadnioną podstawę.

Żądania Ojców Soboru Watykańskiego nie pozostały jednak bezskutecznemi. Zapadłe na nim głosy, domagające się reformy i kodyfikacyi prawa kościelnego, odbijają się odtąd szerokiem echem w literaturze kanonistycznej [1]). Raz po raz kwestyę kodyfikacyjną omawiają uczeni fachowi na międzynarodowych

[1]) Scherer, Handbuch des Kirchenrechtes, Graz 1886. I. 275; Wernz, Ius decretalium. Romae 1908, I, 346; Sägmüller, Lehrbuch des kath. Kirchenrechts, Freiburg i. Br. 1909, 2. Aufl. 163.

wiecach katolickich[1]), w gazetach i czasopismach[2]), a cały szereg przedewszystkiem francuskich i włoskich kanonistów (jak Luise, Colomiatti, Pillet, Pezzani, Russo, Deshayes), chcąc niejako przygotować podkład dla przyszłej kodyfikacyi oficyalnej, podejmuje się z prywatnej inicyatywy wypracowania kodeksu kościelnego, z mniej lub więcej pomyślnym sukcesem[3]).

Równolegle z temi usiłowaniami prywatnemi idą urzędowe reformy i kodyfikacye niektórych drobniejszych działów prawa kościelnego. I tak Pius IX. w konstytucyi *Apostolicae Sedis* z 12 października 1869 ogłasza cenzury latae sententiae, ograniczając równocześnie w znacznej mierze ich liczbę, Leon XIII. wydaje 25 stycznia 1897 konstytucyę *Officiorum ac numerum* o publikacyi i cenzurze książek, a przez konstytucyę *Conditae a Christo* z 8-go grudnia 1900 normuje w głównych zarysach stanowisko prawne kongregacyi zakonnych o ślubach prostych. Do rzędu częściowych kodyfikacyi zaliczyć należy Instrukcyę Kongregacyi Bisk. i Zak., wydaną w dniu 11 czerwca 1880 dla sądów kościelnych w przedmiocie postępowania sumarycznego w sprawach dyscyplinarnych i karnych kleryków, oraz dekret Kongregacyi Soboru z dnia 11 maja 1904: *De observandis et evitandis in Missarum manualium satisfactione.*

Były to wszakże tylko początki i jakby urywki reformy. Potrzebę rewizyi i reformy całego ustawodawstwa kościelnego z każdym dniem coraz bardziej się odczuwało. Jeśli bowiem już biskupi francuscy w swoim postulacie, wniesionym do Piusa IX. w r. 1869, powiedzieć mogli: „evidentissimum est, ab omnibus iamdiu agnitum et ubique conclamatum, iuris canonici aliquam

[1]) Turinaz, De l'étude et de la pratique du droit canonique en France à l'heure présente. Note lue a la 1 section des sciences juridiques et sociales du Congrès scient. internat. des catholiques. Paris, 1891; Pillet, De la condification du droit can. Compte rendu du Congrès intern. des cath. Fribourg 1887; Hollweck, die Kodification des kan. Rechts. Akten des 5 internat. Kongresses kath. Gelehrten zu München 1900. — Por. Lämmer, l. c. 194 n.

[2]) Por. Archiv. f. kath. K-R. 1904, 165 n.

[3]) Por. Lämmer, l. c. 214. Z nowszych czasów na wzmiankę zasługują częściowe kodyfikacye: Péries, Code le procédure canonique dans les causes matrimoniales, 1894; Hollweck, Die Kirlichen Strafgesetze, 1899; Bastien, Directoire canonique à l'usage de congrégations à voeux simples. II. éd. 1910.

revisionem et reformationem necessariam esse valdeque urgentem“ [1]), to z większą jeszcze słusznością to samo w okresie posoborowym powtórzyć można było, mimo, że Stolica św. po części, jak widzieliśmy, żądaniu rewizyi i reformy prawa kościelnego zadość uczynić się starała.

W karności kościelnej starannie odróżnić należy pierwiastek niezmienny, nadany jej przez samego Boga, twórcę porządku naturalnego i nadprzyrodzonego, od pierwiastku przypadkowego, który zawisł od ciągle się zmieniających warunków, przez jakie społeczeństwo, a z niem Kościół przechodzi. Przechowując zawsze pierwszy z całą ścisłością i nieskazitelnością, starało się równocześnie ustawodawstwo kościelne w ciągu wieków dostosowywać ten drugi do potrzeb i warunków czasu. Jeśli jednak otworzymy *Corpus iuris canonici*, który do ostatniej jeszcze chwili stanowił pierwszorzędne źródło naszego prawa, znajdziemy tam wiele ustaw, praktycznie zupełnie nieużytecznych dla tej prostej przyczyny, iż skutkiem zmienionych stosunków społecznych straciły wszelką racyę bytu, jak n. p. De treuga et pace (Decr. Greg. I, 34), De forneamentis (ib. V., 13), De sagittariis (ib. V., 15), De coniugio leprosorum (ib. IV., 8). Oprócz takich przestarzałych i z obecnymi warunkami społeczeństwa nie dających się pogodzić przepisów prawnych, zawiera wspomniany zbiór niemałą liczbę i takich, które przez późniejsze ustawy Stolicy Świętej zostały zniesione lub zmodyfikowane; owszem, nie brak i takich nawet, których już nie wykonywano wcale, bądź dlatego, że wytworzyło się w rozmaitych krajach przeciwne prawo zwyczajowe, bądź że Stolica Święta pod naporem stosunków zmuszoną była udzielać ciągle od tych przepisów dyspensy. Jasną jest rzeczą, iż te i im podobne ustawy nie powinny figurować w autentycznym kodeksie, jeszcze obowiązującym. Z punktu widzenia archeologicznego i historycznego posiadają one wprawdzie wysokie znaczenie, uwzględnione one być powinny przy studyum i w wykładach prawa kanonicznego, którego racyonalność, konsekwencyę i niezmierny wpływ na życie społeczne ocenia się dopiero, gdy się zna

[1]) Coll. Lac. VII., 840.

wszystkie fazy jego rozwoju; — lecz kodeks prawa obowiązującego nie powinien zawierać ustaw i instytucyi, należących tylko do historyi już dawno ubiegłych czasów, albo których wykonanie stało się oddawna niemożliwem. Z kodeksu, nie historyi instytucyi prawnych uczyć się mamy, lecz jedynie prawa, posiadającego w chwili obecnej moc obowiązującą, aby je w danych wypadkach stosować i w czyn wprowadzać [1]).

Jeżeli powyższe uwagi uzasadniały potrzebę reformy prawa kanonicznego w pewnych kierunkach, to z drugiej strony nie mniejsza dawała się odczuwać potrzeba pewnego rodzaju uproszczenia. Materyał ustawodawczy od czasu ostatniej autentycznej kodyfikacyi urósł przez wieki do takich rozmiarów, że, jak się dobitnie wyraził Episkopat Neapolitański w memoryale z dnia 12 grudnia 1869, *ingens camelorum onus evasit* [2]). *Obruimur legibus*, skarżą się biskupi francuscy w wyżej cytowanym postulacie. Ustawy kościelne po dziś dzień porozrzucane były po licznych i obszernych bullariach i zbiorach Kongregacyi rzymskich, tak, że zoryentowanie się w tym istnym chaosie nawet fachowcom sprawiało niemałe trudności. Co do mocy obowiązującej zaś i co do interpretacyi wielu przepisów prawnych, niestety dość często niejasno stylizowanych, panowała pomiędzy kanonistami wielka niepewność. Liczba kwestyi, w prawie kościelnem spornych, to cały legion [3]); autorowie cytowali ustawy, dekrety i deklaracye Kongregacyi pro i contra, a do stanowczego porozumienia dojść było trudno. Stąd naturalnem następstwem wyłaniała się owa częsta niepewność niższych sądów kościelnych w zastosowaniu ustaw, co znów z natury rzeczy niemożliwym czyniło prędki i doraźny wymiar sprawiedliwości, powodowało niepotrzebnie przewlekanie spraw w trybunałach kościelnych i zażalenia nieważności wyroków. Za tem wszystkiem wreszcie, jako rys wielce znamienny, szło wzmagające się z dniem każdym zarzucanie Kongregacyi rzymskich szeregiem podań, domagających się zasadniczych objaśnień w sprawie przepisów i rozporządzeń kościelnych,

[1]) Por. Coll. Lac. VII., 826, 840, 874, 879, 882.
[2]) Coll. Lac. VII., 769.
[3]) Por. Lac. VII., 826, 840.

lub rozstrzygania spornych kwestyi. Że taki stan rzeczy obniżać musiał w oczach podwładnych znaczenie i powagę ustaw kościelnych i utrudniać stosowanie ich w życiu, jest rzeczą równie jasną, jak nieuniknioną wobec takiej postaci źródeł ustawodawstwa, jaki naszkicowaliśmy powyżej.

Słusznie więc zaznaczyli już Ojcowie ostatniego Soboru powszechnego w swojem *Postulatum de nova redactione iuris canonici* z dnia 19 lutego 1870: „Ażeby ustawy kościelne w całej pełni wpływ swój wywierały na obyczaje, życie i instytucye ludów chrześcijańskich, niema zaiste rzeczy bardziej odpowiedniej i wskazanej nad ujęcie ich w jeden kodeks, na podstawie którego mogłoby być stosowane prawo w sądach, w szkołach wykładane i w życie codzienne wprowadzane“ [1]).

II.

Nowy kodeks prawa kość. Piusa X.

1. *Prace przygotowawcze.*

Co nie udało się urzeczywistnić wielkiemu Piusowi IX., to Opatrzność zachowała dla Piusa X., który, wierny obranej przez siebie dewizie: „wszystko odnowić w Chrystusie“, i przejęty tą prawdą, iż „do odnowienia w Chrystusie przyczyni się niezawodnie w pierwszym rzędzie dobrze zorganizowana i kwitnąca karność kościelna“[2]), niebawem po wstąpieniu na tron Piotrowy powziął wielką i doniosłą myśl zrewidowania i zreformowania całego prawa kanonicznego. W tym celu powołał przez *Motuproprio „Arduum sane“* z dnia 19 marca 1904 do życia Komisyę, złożoną z 16 kardynałów [3]), która pod jego osobistem przewodnictwem zająć się miała sprawą kodyfikacyjną. Komisyi tej przydzielił do pomocy kilkudziesięciu konsultorów z pośród najwybitniejszych kanonistów i teologów [4]), mających swą siedzibę w Rzymie, a których zadaniem było, pod przewodnictwem ówczesnego sekretarza Kon-

[1]) Coll. Lac. VII., 889.

[2]) Motuproprio „Arduum sane“ z 19 marca 1904. (A. S. S. XXXVI., 549).

[3]) Nazwiska ich podają A. S. S. XXXVI., 551. not. 1.

[4]) Wyliczeni oni są w A. S. S. l. c. 603.

gregacyi dla nadzwyczajnych spraw kościelnych, a obecnego sekretarza stanu, kard. Piotra Gasparri, wygotować wnioski i obrobić materyał dla obrad Komisyi kodyfikacyjnej.

Nie zostały jednak przy tej pracy pominięte te czynniki, które z natury rzeczy najbardziej musiała obchodzić nowa kodyfikacya, t. j. biskupi. Owszem, Pius X. już w wyżej wspomnianem Motuproprio wyraził życzenie, aby cały Episkopat żywy brał udział w tem doniosłem dla Kościoła dziele. Na czem to współpracownictwo biskupów polegać miało, bliżej określił ówczesny sekretarz stanu, kardynał Merry del Val, w okólniku z 25 marca 1904 [1]), wystosowanym do wszystkich biskupów. Mianowicie metropolici, zasięgnąwszy rady swoich sufráganów i innych biskupów, mających prawo udziału w Synodzie prowincyonalnym, przedłożyć mieli w przeciągu 4 miesięcy, licząc od daty okólnika, postulaty swoje, odnośnie do reformy poszczególnych części prawa kościelnego. Ponadto przyznano biskupom pojedynczych narodów prawo wysłania do Rzymu w swojem zastępstwie kanonisty, któryby, przydzielony do konsulty, rezydującej w Rzymie, brał bezpośredni udział w pracach kodyfikacyjnych. Gdyby im zaś więcej dogadzało, mogli wybrać z pomiędzy konsultorów rzymskich jednego, któremuby przesyłali swoje postulaty, lub wyznaczyć jednego z pomiędzy swego kleru, któryby, zostając w kraju, znosił się listownie z konsultorami rzymskimi i w odpowiedni sposób mógł wpływać na przebieg obrad przygotowawczych.

Faktycznie zasiadali w komisyach rzymskich konsultorowie, mający specyalne zlecenia od biskupów rozmaitych dyecezyi. Cały też Episkopat przesłał Stolicy św. swoje postulaty, które potem, uporządkowane podług materyi i drukiem wydane w jednym tomie o 300 str., służyły konsultorom za drogowskaz przy opracowaniu poszczególnych materyi prawnych [2]).

Na tem wszakże nie ograniczył się udział Episkopatu w nowej kodyfikacyi. Gdy bowiem po ukończeniu prac przygotowawczych ustalony został ostatecznie schemat nowego kodeksu, polecił Pius X. porozsyłać wszystkim ordynaryuszom po jednym egzem-

[1]) A. S. S. XXXVI., 603.

[2]) Köln. Volkszeitung, Wochenausgabe Nr. 26, 28. czerwca 1917. str. 10.

plarzu, aby każdy z nich mógł otwarcie wypowiedzieć swoje zdanie co do poszczególnych, w nim zawartych przepisów i uwagi swe czy nowe postulaty przesłać Komisyi kodyfikacyjnej[1]).

W podobny sposób użyto także Uniwersytetów katolickich do pracy kodyfikacyjnej. Pismem z dnia 6 kwietnia 1904[2]) zwrócił się Mrgr. Gasparri do rektorów wspomnianych uczelni z prośbą, by z pośród swojego grona zaproponowali profesorów prawa kościelnego, którzyby się podjęli wypracowania tych lub owych części prawa kanonicznego. Zapewniwszy sobie ponadto w seminaryach duchownych oraz wśród słynnych ze swoich prac naukowych kanonistów całego świata liczny zastęp znakomitych współpracowników, Komisya kodyfikacyjna przystąpiła do wykonania sobie powierzonego dzieła.

Wygotowano nasamprzód szkic ksiąg i rozdziałów, które przyszły kodeks miał zawierać. Opracowanie poszczególnych rozdziałów poruczono najwybitniejszym z pośród kanonistów rzymskich i poza Rzymem. Przytem uwzględniono wedle możności specyalny fach obranych redaktorów, tak, że nieomal każdy z nich opracowywać miał ten dział prawa kanonicznego, nad którym już poprzednio był odbył studya specyalne. Równocześnie podano im pewne reguły, których przy redagowaniu powierzonych im materyi trzymać się mieli. Z pomiędzy tych reguł na wzmiankę zasługują czwarta i piąta. Tamta wypowiadała zasadę, że w kwestyach zawikłanych, co do których zdania uczonych były dotąd rozstrzelone, zaproponować należy jasne i stanowcze rozstrzygnięcie kwestyi spornej; w myśl zaś reguły piątej redaktorowi wolno było zmienić dotychczasowe prawo lub przedstawić jakiś dodatek do przepisu dotychczas obowiązującego.

---

[1]) Dwie pierwsze księgi przesłano Biskupom w r. 1912, następne dwie w r. 1913, a w początkach r. 1915. wreszcie księgę piątą. Biskupom pozwolił Pius X., celem zaopiniowania schematu przybrać sobie jednego, lub dwóch kanonistów. Episkopat Galicyjski urządził wspólną konferencyę swoich konsultorów 18. listop. 1913. w Przemyślu. Wzięli w niej udział pod przewodnictwem JE. X. Biskupa Pelczara X. prałat Zajchowski ze Lwowa, X. kanclerz Mysor z Tarnowa i autor niniejszej pracy jako konsultor JE. Xięcia Biskupa Krakowskiego.

[2]) A. S. S. XXXVII, 130.

Schematy, opracowywane przez wspomnianych kanonistów, stanowiły podkład pod pracę Komisyi konsultorskich, które czasem i trzy równocześnie, odbywały swoje posiedzenia w pewnych oznaczonych dniach tygodnia [1]). Metoda pracy w tych Komisyach nie różniła się od metody, w kuryi rzymskiej powszechnie przyjętej. Po kilku ogólnych uwagach o materyi, stanowiącej przedmiot danego rozdziału, każdy konsultor, przechodząc kanon po kanonie, wypowiadał swoją opinię, proponując pewne korektury czy samej treści, czy tylko formy. Na podstawie tych uwag kardynał Gasparri opracował nowy schemat, nad którym na nowo podjęto dyskusyę. Nieraz i po kilkanaście razy schemat musiał być zmieniony, zanim doprowadzono do ustalenia tekstu, który większość konsultorów zadowolił. W końcu schemat, przez konsultorów aprobowany, przeszedł do komisyi kardynałów, która mu ostatecznej udzieliła aprobaty. Oczywiście taka metoda dużo zabierała czasu, zaprzeczyć się jednak nie da, iż najbardziej odpowiadała celowi, pozwalając roztrząsać każdy przepis prawny pod różnymi kątami widzenia, a tym sposobem ustalić ostatecznie tekst jasny, a pod względem treści i formy odpowiadający wszelkim wymogom. (C. d. n.).

Jan Roth T. J.

---

[1]) Köln. Volkszeitung, l. c.

Wojenne czasy muzyki.

I.

In memoriam...

Wśród trosk o życie obecne, wśród rozmyślań nad przyszłością, wśród żałoby i zastoju w intellektualnem życiu, nie wszyscy może zauważyli, że od czasu wybuchu obecnej wojny śmierć poczyniła w szeregach twórczych muzyków spustoszenia, i to spustoszenia tak wielkie, że w niejednym wypadku przechodzą one straty najwybitniejszych zabytków stuki plastycznej, lub architektury. Gdyby kronikarz miał do zanotowania tylko śmierć największego z muzyków niemieckich — Regera i największego z muzyków rosyjskich — Skriabina, byłyby to straty wystarczająco straszne. Ale poczet ten jest daleko większy. Szeregi tych najlepszych przedstawicieli twórczości muzycznej, nie wyginęły ani w rowach strzeleckich ani na stanowiskach artyleryjskich, ani od pocisków dział oblężniczych lub lotników. Zginęły zdala od wojennej wrzawy, zazwyczaj wcale nie przykuci do łoża przez chorobę, lecz nagle, ze złamanem sercem, w chwili dla swej ojczyzny najcięższej. Wrażliwsi niż każdy inny człowiek, nie zdołali uchronić się od uczuć, które są obce wojownikowi, albo — dostawcy wojennemu... Niejeden z nich tworzył podczas wojny pieśni zagrzewające swój naród do wytrwania i walki, lecz sam nie zniósł natłoku myśli i uczuć, nie wytrzymał konieczności zmniejszenia życia intellektualnego, nie zdołał zatopić się w swej sztuce tak, aby zapomnieć o duchowych niedostatkach obecnej doby. Dzieła niejednego z nich, pisane już

podczas wojny, sprawiają wrażenie, jakby były tworzone wśród idyllicznych warunków, jakby powstały wśród odwrócenia się od zmączonego walką świata, jakby były wyrazem obojętności na to, co obecnie się dzieje. W rzeczywistości jednak nic tym dostojnym duchom bardziej obcego, jak egoizm artystyczny i obojętność. Egoizm narodowy zabił w nich egoizm jednostki. Gdy we wrześniu r. 1914. wkroczyły patrole pruskich ułanów do Senlis, już niedaleko Paryża, wówczas tamże zamieszkały wybitny symfonista francuski, Albéric Magnard, nieopatrznie porwał za flintę, strzelił do nieprzyjaciół i sam poległ, jako „franctireur", przynosząc swej ojczyźnie szkodę wielką, daleko większa niż czasowa utrata Arras'u, lub innej pięknej i bogatej w zabytki dawnej sztuki miejscowości. Ale to jedyny w tej wojnie wypadek tego rodzaju. Choć czytając długie listy strat, wśród muzyków, spotykamy też w szeregach francuskich wybitnego muzykologa, Jules'a Ecorcheville'a, który jako porucznik rezerwowy poległ w lutym r. 1915 we Francyi północnej.

Polskim muzykologom znaną była dobrze wysoce sympatyczna postać Ecorcheville'a. Kilka słów wspomnień należy się temu wytwornemu Paryżaninowi, człowiekowi tak zamożnemu, że mógł sobie pozwolić na gromadzenie bardzo rzadkich starych druków muzycznych i na pracę naukową o wielkich celach. Rozpoczął między innymi katalogowanie bogatych zbiorów muzycznych w „Bibliothèque nationale", posiadającej także polskie muzykalia. Wydane dotąd tomy świadczyły o niezwykłej pracowitości i sumienności. Do muzyki polskiej odnosił się zawsze z wielką sympatyą. Zetknęli się z nim bliżej śp. Mieczysław Karłowicz, nadto Wanda Landowska, dr. Henryk Opieński, dr. Alicya Simonówna i moja mniejszość. Kilka wieczorów spędzonych w Monachium, w zacisznej restauracyi hotelu „Union", z okazyi posiedzeń międzypaństwowej komisyi dla wydania „Corpus scriptorum de musica", (śp. Ecorchevill'e był przedstawicielem Francyi) w towarzystwie wielkiego polonofila, Williama Rittera i słowackiego pisarza, Janka Cadry, dało możność poznania bliżej francuskiego muzykologa. Zaproponował mi napisanie pracy o współczesnej muzyce polskiej, dla redagowanego przezeń doskonale mie-

sięcznika „Revue mensuelle S. I. M.“, a już wprost naglił z dostarczeniem Mu pracy o wpływie muzyki francuskiej na polską do 18. wieku. Niestety wojna obróciła w niwecz najlepsze chęci. Z rozmów można było wywnioskować już na dwa lata przed jej wybuchem, iż w stosunku francusko-niemieckim zaszły tak wielkie zmiany, iż współczesna praca nad wielkiem wydawnictwem nie zapowiada się zbyt pomyślnie. Gdy podczas posiedzenia inauguracyjnego wspomnianej komisyi zdawano sprawę z dotychczasowych prac przygotowawczych, a imieniem Francyi oświadczył Ecorcheville doskonałą niemczyzną: „Wir Francosen haben nichts gemacht“, widocznem było, iż obok zdziwienia powstał wśród zebranych uczonych różnej narodowości nastrój, będący wpływem raczej niedowierzania... Nastroju tego nie zmienił kongres muzykologiczny w Paryżu w r. 1914, owszem, ci, którzy brali w nim udział, nie mogli pozbyć się niepokoju. Przewodniczącym był Ecorcheville, który w pół roku później poległ na polu chwały.

Kilka słów o Alberyku Magnard, tak mało lub wcale u nas nieznanym. Liczył w chwili nieszczęsnego zgonu zaledwie 40 lat, był uczniem Wincentego d'Indy, wielkiego muzyka i nauczyciela niektórych polskich kompozytorów, a nadto sympatykiem naszego narodu. Magnard był w pierwszym rzędzie symfonistą, wychowanym na dobrych wzorach i francuskich i niemieckich. Nie mogę sobie odmówić zacytowania piękna i charakterystyki, napisanej przez Romain Rollanda, autora słynnej odezwy: „Do braci nieprzyjaciół“ i dobrowolnego wygnańca, autora nieśmiertelnego „Jana Krzysztofa“. W jego dziełach odczuwa się rzadkie bogactwo i rzadką swobodę, osobistość to silna, samowolna, pełna fantazyi, surowa i zupełnie samodzielna. Niewielu tylko artystów odsunęło się od Paryża z taką dumą i energią, gardząc powodzeniem i żyjąc tylko dla sztuki. W owej bardzo silnej, ineligentnej i pełnej zapału osobistości, tkwi jakby kawałek Beethovena. Tym Niemcom, którzy w muzyce francuskiej widzą tylko szczęśliwą formę i odmawiają jej wewnętrznej głębi, nie mógłbym wskazać celem przekonania ich o niesłuszności tego poglądu na żadne inne dzieło, jak tylko Alberyka Magnarda, pełnego wyrazu i życia i myśli.

Istotnie w dziełach Magnarda znajdziemy wiele refleksyi

i zamyślenia tak obcego wielu francuskim kompozytorom, nawet najwybitniejszym. Jest to romantyk, może spóźniony, ale romantyk bardzo szlachetny, a przeciw romantyzmowi — jak się raz wyraził Ecorcheville — toczy się we Francyi walka. Romantyzm zbyt przypomina Schumana, Schuberta i... Wernera, który jeszcze pokutuje u wielu kompozytorów francuskich. Walka ta przybrała podczas wojny obecnej bardzo ostry charakter. Na czele niej stanął Saint-Saëns, zdjąwszy ze swej już wiekiem pochylonej szyi pruski order „pour le mérite". Łagodząco działał doskonały Europejczyk, Wincenty d'Indy, który zaprotestował przeciw temu muzycznemu obrazoburstwu i przeciw zwalczaniu sztuki niemieckiej, a w szczególności Wagnera. Wypowiedział słowa bardzo piękne i rozumne: „Nikt nie posądzi mnie o brak patryotyzmu, gdyż w r. 1870 i 1871 walczyłem za Ojczyznę; obecnie walczy na froncie mój syn. Żałuję bardzo, że nie mogę się przyłączyć do nagonki przeciw Wagnerowi, gdyż stworzył dzieła wartości epokowej i wiecznej". Czy Wincentemu d'Indy nie uczyniono zarzutu „....filstwa" wobec tego, że w Niemczech ma tyle wielkiego uznania i że wprowadził do Francyi system Riemana w nauczaniu kompozycyi — nie zdołałem dowiedzieć się. Sądząc według stosunków wszędzie panujących i z zacietrzewień publicznych i prywatnych — nie jest to wcale wykluczone. Wszak Romain Rolland musiał opuścić Francyę. On, pionier ojczystej sztuki i nauki, daleki od płatnego patryotyzmu...

W Anglii, która dotąd nie wykazała się żadnymi poległymi w plejadzie swych duchowych bohaterów... [1]), nie znalazł szowinizm żadnego dostępu. Gdy pierwsze Zeppeliny rzucały śmierciośne ogniowe pozdrowienia z pod chmur na Londyn, odbywał się wielki 2-tygodniowy festival muzyczny, na który rozkupiono odrazu bilety. Grano wyłącznie dzieła niemieckie; Bacha, Beethovena i najbardziej niemieckiego Brahmsa, który wszak jest autorem

[1]) Tylko dwóch mniej wybitnych muzyków zmniejszyło szeregi angielskie: William Haymann Cummings (monografia o Purcellu, największym angielskim kompozytorze z epoki poprzedzającej Händla), zmarł w r. 1915, i Charles Donald Machan (1843—1916), kompozytor instrumentalny mniejszego znaczenia.

„Triumphlied", dzieła, mającego związek z r. 1870. Wagner nie schodzi tam z repertuaru. Wagnerem otwarł szereg włoskich oper swój „wiosenny sezon", choć są złośliwi, którzy twierdzą, że w rozpoczęciu sezonów ostatnią właśnie częścią „Pierścienia Nibelungów", zatytułowaną... „Goetterdaemmerung", tkwi głębszy sens. Jak śmiesznym jest szowinizm nawet w tak wielkiej chwili i nawet u wielkich umysłów, niech poświadczą dwa fakty. Jako argument przeciw „tolerowaniu" Wagnera we Francyi podniósł Saint-Saëns to, iż Wagner napisał komedyę, wyśmiewającą Francuzów i ich klęskę, zakończoną kapitulacyą Paryża. Komedya ta nosi nazwę...: „Kapitulacya"... Trzeba było aż wystąpienia wspomnianego Wincentego d'Indy, który zaklinał się na cześć swego wicehrabiowskiego rodu, iż to jest straszna w swej nieścisłości mylka: Wagner napisał tę komedyę przed wojną niemiecko-francuską, a wyśmiewa w niej teatry niemieckie, które odbywają formalne kapitulacye przed... francuskimi komedyopisarzami. — Drugi pełen bolesnego humoru wypadek miał miejsce w Medyolanie: teatr „La Scala" zapowiedział, że będzie wykonywał tylko autorów oper nie-niemieckich, a w planie umieścił także „Marte" Flotowa. Przypuszczała dyrekcya teatru medyolańskiego, iż Flotow jest... Rosyaninem, ze względu na końcówkę swego nazwiska. Ale Freiherr von Flotow nigdy nim nie był...

Mimo, a może dzięki zapamiętałości, zdołała Francya juz podczas wojny obecnej uwolnić się od wydawnictw muzycznych niemieckich. Wydania wszystkich wielkich mistrzów muzycznych wszelkich niemal narodowości były niejako przywilejem niemieckich księgarzy, a były to bez wyjątku wydania wzorowe, tak jak wydania lipskie Taubnera dawnych greckich i rzymskich klasyków, które też rozpoczęto usuwać, chcąc je zastąpić wydawnictwami filologów francuskich. Kto w Paryżu chciał mieć dobre i kompletne wydanie dzieł Bacha, Mozarta, Schumana lub Chopina, sprowadzał je z konieczności z Lipska od Petersa, Breitkopfa, Steingraebera, z Hannoweru od Litolffa, z Wiednia od wydawców „Universal-Edition". Nawet wydanie niemieckie dzieł fortepianowych wielkiego klasyka francuskiego, mistrza François Couperin'a, zwanego Le Grand, było lepsze, niż francuskie. Stąd jasną i zrozumiałą była

zależność francuskiej konsumcyi od niemieckiej produkcyi wydawniczej. Dopiero podczas wojny rozpoczęto przemyśliwać nad wyswobodzeniem się od tej sytuacyi. Najwybitniejsi francuscy nakładcy muzyczni zawiązali rodzaj syndykatu i z całą energią puścili maszynę edycyjną w ruch, i to nie tylko ilościowo, ale i jakościowo. Wglądnięcie w publikacyę kwartalną p. t.: „Bibliographie musicale française publiée par la chambre syndicale des éditeurs de musique" pozwala ocenić wielkość i rozmiar tej pracy, od 1914 roku począwszy. Do edycyjnej pracy zaprzągnięto największych francuskich muzyków: widnieją tam nazwiska takie, jak: Fauré, Emmanuel, Dukas, Saint-Saëns, Staub, Debussy, Pierné i wielu innych. Scherzami Chopina zajął się nikt mniejszy, jak tylko Debussy. Ceny zeszytów rzadko przekraczają 2 franki. Jak pod względem jakościowym ze stanowiska pedagogicznego przedstawiają się te masowe publikacye, będzie można ocenić po zawarciu zgody między narodami. A tak pięknie, mimo wszystko, zapowiadała się współpraca Francyi i Niemiec na polu kultury muzycznej. Niezapomnianym będzie dla uczestników francuskiego festivalu w Monachium (1910), to sympatyczne współdziałanie muzyków obydwu narodowości, których kultury nie są sobie wrogie, gdyż wzajemnie się uzupełniają. Saint-Saëns dał się wprowadzić na estradę muzykom niemieckim, Widor krzątał się z Albertem Schweitzerem koło organów i dla każdego znalazł chwilę czasu na pełną wyrazistych gestów i zwrotów rozmowę (między innymi wypowiedział bardzo objektywne zdanie o symfonii Paderewskiego), Gustaw Mahler uczęszczał na każdą produkcyę, zajmując lożę ze swym francuskim przyjacielem Casellą, poczem wyjechał do Paryża, gdzie Rodin wykuł w marmurze wspaniałe jego popiersie, zdobiące jedno z rządowych muzeów w Paryżu. Francuscy muzykologowie napisali szereg monografii o mistrzach niemieckich, z Francyi wyszedł nowy kierunek w badaniach nad Bachem, a nim niemiecka muzykologia zdążyła stworzyć podstawowe monografie o rdzennie niemieckich mistrzach 17-go wieku, t. j. o Henryku Schuetzu (znanym w Polsce) i Dietrichu Buxtehudem (poprzedniku Bacha), już André Pirre wystąpił z dziełami podstawowemi klasycznej wprost wartości. Świetną monografię o Mozar-

cie, napisaną przez de Wyzewę i Saint Foix'a nazywa Riemann dziełem podstawowem.

Że mimo podjudzań szowinizm nie wziął we Francyi góry ponad rozsądkiem, dowodzi już choćby ogromna ilość transkrypcyi dzieł Wagnera, które cytuje wspomniana bibliografia. Nawet najbardziej niemiecka z oper Wagnera, t. j. „Śpiewacy mistrza z Norymbergi", cieszy się wielką popularnością. Niedawno zaś można było wyczytać w szwajcarskich pismach, że najpopularniejszą obecnie uwerturą w Anglii jest właśnie wstęp do „Śpiewaków norymberskich"...

Jak wobec niemieckiej muzyki zachowują się rosyjskie instytucye muzyczne, tego nie mogłem stwierdzić.

Również nie jest rzeczą stwierdzoną, jakie są straty wojenne w muzycznych kadrach włoskich. To tylko jest pewne, że Włosi stracili swego największego symfonistę, Giovanniego S g a m b a t i e g o, ur. w r. 1843, zm. w grudniu 1914 r. Był to muzyk o daleko poważniejszych intencyach, aniżeli większość włoskich kompozytorów, hołdujących tylko operze. Liszt i Wagner popierali go gorąco. Dzieła tych dwóch mistrzów, jak również Beethovena, Schumana i Brahmsa starał się rozpowszechniać we Włoszech jako pianista i dyrygent i przyczynić się w ten sposób do pogłębienia smaku muzycznego u swych ziomków, uznających tylko operę za najwyższy wyraz muzycznej twórczości. Widząc, jak bardzo słaba jakościowo i ilościowo jest symfoniczna i kameralna muzyka włoska, tworzył szereg kwartetów i kwintetów, szereg uwertur i 2 symfonie, znane obecnie i poza Włochami. W jego ślady wstępowali później Giuseppe Martucci (1856—1909) i Enrico Marco Bossi (ur. 1861), także Ermanno Wolf-Ferrari (ur. 1876) i Leone Sinigaglia (ur. 1868). Wszyscy oni albo kształcili się w Niemczech (włoskie bowiem konserwatorya przesadnie kultywowały do niedawna wyłącznie prawie wokalizm), albo też opierali się na niemieckich kompozytorach instrumentalnych. Stąd nie da się zaprzeczyć, że ich dzieła (zwłaszcza Sgambatiego) często sprawiają wrażenie dzieł nie-włoskich. Lecz na jakich wzorach włoskich mógł się oprzeć ówczesny włoski instrumentalny kompozytor? Obok wpływów Wagnera i Liszta, zauważyć można u

Sgambatiego dowody gruntownych studyów nad Schumanem, a zwłaszcza Chopinem. Koncert fortepianowy Sgambatiego jest kompozycyą wdzięczną, godną polecenia. Muzyk ten zajmuje w historyi muzyki włoskiej osobną i honorową kartę. Jakże jarmarczne i w złym rodzaju są obok jego dzieł opery Mascagniego, Leoncavalla, Pucciniego i innych „maestri", hołdujących głównie upodobaniom niższego rzędu!! Dzięki Sgambatiemu rozpoczął się we włoskiej muzyce ruch, który budzi nadzieje, że poglądy włoskie na muzykę nabiorą poważniejszego charakteru.

W Rzymie zmarł Francesco Paolo T o s t i (1846—1916), kompozytor przedawnionych już dziś zupełnie włoskich romanz i cangonett, które cieszyły się wielką popularnością, a zwłaszcza w kołach amatorskich.

Rosya straciła szereg muzyków, którzy należeli do najwybitniejszych nietylko w Rosyi, jak Siergiej Iwanowicz T a n e j e w (1856—1915), uczeń Czajkowskiego i profesor kompozycyi konserwatoryum w Moskwie; należał nietylko do najwybitniejszych kompozytorów rosyjskich, ale był może najwybitniejszym z nowszych teoretyków kontrapunktu imitacyjnego (kanonicznego). Jego dwutomowa praca „O imitacyjnym kontrapunkcie w ścisłym stylu" może stanąć obok najlepszych dzieł tego rodzaju, jakkolwiek opiera się na teoryi niemieckiego teoretyka, Ludwika Büsslera. Można powiedzieć, że działalność Tanejewa wprowadziła w muzykę rosyjską ład i skład wyższego typu, stała się jakby „memento" dla rosyjskich kompozytorów, którzy często nie umieli i nie zawsze jeszcze umieją szafować ekonomicznie i artystycznie wielkim skarbem inwencyi, jaki jest im bezsprzecznie właściwy w porównaniu z innemi narodami. Przytem jego działalność wpłynęła na to, co możnaby nazwać „etyką artysty"; nauczyła myśleć poważnie i szlachetnie w sposobie koncepcyi muzycznej. Ten duch przenika całą twórczość wielkiego rosyjskiego muzyka, który napisał wiele szlachetnych dzieł kameralnych i orkiestrowych (4 symfonie), oraz trylogię operową p. t. „Oresteja". Dzieła te nie działają fantastycznością swej inwencyi i nie są tak podniecające fantazyę, jak utwory Czajkowskiego lub Rimskiego-Korsakowa, albo Rachmaninowa, ale budzą szacunek swą idealną szlachetno-

ścią i klasycznym umiarem, nie mówiąc już o wyborowej, mistrzowskiej fakturze polifonicznej i wytwornej dystynkcyi, która budzi wysokie sympatye. Możnaby Tanejewa nazwać poniekąd „rosyjskim Brahmsem". Z drugiej strony jednak wszelki akademizm jest mu obcym. Przypuszczenia Kretzschmara, jakoby Tanejew był przeciwnikiem narodowego pierwiastka w muzyce rosyjskiej, są zupełnie błędne. Tanejew nie jest kompozytorem, któryby dopuszczał do rytmicznych ekscesów melodyki rosyjskiej, będących przez ciągłe powtarzanie tych samych fraz tylko monomanią rytmiczno-harmoniczną, gdyż Tanejew wiedział, jak ten muzyczny „nacyonalizm" mści się na kompozycyach Czajkowskiego, Borodina, a nawet Rimskiego-Korssakowa, czyniąc je nieraz niezrównoważonemi (obok najlepszych miejsc — najgorsze), ale wystarczy zestawić charakter jego dzieł obok Brahmsa, aby odrazu przekonać się, jak bardzo Brahms jest niemieckim, jak bardzo rosyjskim jest Tanejew.

W innym kierunku dążył Anatol Ljadow (1855—1914), uczeń Korssakowa i kompozytor drobiazgów fortepianowych w stylu Schumana, a jeszcze więcej Chopina, oraz utworów symfonicznych w programowym charakterze. Jego poemat symfoniczny p. t. „Baba Jaga" — to jeden z najtypowszych okazów tradycyi i szkoły Mussorgskiego, Glinki, Borodina, Rimskiego-Korssakowa. Wpływy Berlioza i Liszta w instrumentacyi, Liszta i Chopina w harmonice i stylu, z małą domieszką Wagnera, oraz najszersze stosowanie metodyki i rytmiki ludowej rosyjskiej i ich architektonicznych właściwości, z pominięciem absolutnych estetycznych idei, która zbliża do siebie dzieła kompozytorów różnej narodowości, bez konieczności zrzeczenia się ich etnicznej przynależności. Ta folklorystyczna symfonika nabiera bardziej europejskich manier tylko w dziełach tego rodzaju, jak symfoniczne kompozycye Rimskiego-Korssakowa, artysty wielkiego i o czystym smaku muzycznym. Jest przytem rzeczą charakterystyczną, iż ci symfonicy rosyjscy (tworzący tzw. petersburską szkołę), obierają prawie zawsze baśni i podania rosyjskie jako materyał swych twórczych wizyi. Podobnie i Ljadow, którego C. Manclair w swej tuż przed pierwszym miesiącem wojny wydanej książce „Histoire

de la musique européenne, 1850 (!)—1914" (Paris, Librairie Fischbacher) nazywa „symphoniste élegant et de caractère tout slave" (p. 249). Ta z pozoru błaha uwaga ma znaczenie głębsze, niżby się zdawać mogło, jeśli przypomnimy zdanie Kretzschmara o obecnym dyrektorze konserwatoryum petersburskiego, Aleksandrze Glazunowie, jako kompozytorze, który jest „zdecydowanym eklektykiem, godzącym z równą sympatyą pokutnicze myśli Tołstoja z małymi amusements salonów..." („Führer durch Konzertsaal", I., 632) [1]). Coś podobnego można powiedzieć o Ljadowie: partye „eleganckie", przenoszące nas do salonu (zmanierowanego), sąsiadują z ustępami o wybitnej ekspansyi folkloru, na który niema miejsca w kompozycyi wyższego typu (por. dzieła Rachmaninowa, Rimskiego, Gliera, Tanejewa, Skrjabina i t. p. kompozytorów rosyjskich). Mimo to nie można Ljadowowi odmówić talentu większego. Jego instrumentacya choćby dowodzi tego w znacznym stopniu, ten właściwy koloryt, który nadaje się do wizyi baśni, jak to widzimy zwłaszcza w innej kompozycyi symfonicznej p. t. „Kikimora". Ten kierunek znalazł swój najwyższy wyraz w dziełach jednego z najmłodszych i najwybitniejszych rosyjskich kompozytorów, którym w swoim czasie się zajmiemy: mowa o Igorze Strawińskim.

Najdotkliwszą stratę, jaką podczas obecnej wojny poniosła muzyka rosyjska, spowodowała niespodziewana śmierć Aleksandra Mikołajewicza S k r j a b i n a (1872—1915), twórcy dzieł wyłącznie fortepianowych i orkiestrowych. Jego preludya, nokturny, fantazye, etiudy, mazurki, impromptus, polonez i walc należą do najlepszych, jakie powstały od czasów Chopina i Liszta, którzy w pierwszej epoce twórczości Skrjabina (mniej więcej do op. 20—25) są jedynymi dla niego wzorami. Chopin przeważa — i nie ma się u nas wyobrażenia o tem, jak ogromnym jest wpływ naszego mistrza na całą muzykę rosyjską, wpływ, który trwa do dnia dzisiejszego. Nie popełnimy żadnej przesady, jeśli powiemy,

[1]) Podczas inwazyi rosyjskiej urządził pianista i dyrygent rosyjski, p. Smirnow, koncert we Lwowie. Obok „Koryolana" czy też „Egmonta" Beethovena oraz „Trzech odwiecznych pieśni" Karłowicza, uważał za stosowne umieścić prawdziwie rosyjską „Kamarinskaja" Glinki...

że ten wpływ jest w Rosyi daleko większy w swych skutkach, niż w Polsce i — daleko wcześniejszy. Styl Chopina odbył tam ewolucye, których ostatnim wyrazem jest twórczość Skrjabina. Jego dzieła są zresztą nie tylko dalszą ewolucyą Chopina, ale i Liszta, ze znaczną domieszką Wagnera, jako twórcy „Tustana“ i „Parsifala“. Jak nie wielu kompozytorów, zdołał Skrjabin posunąć naprzód fortepianową fakturę, która u niego jest równie w wysokim stopniu barwną, jak i niedoścignioną w swej doskonałości i nie w mniejszym stopniu wyzyskuje Skrjabin całą ekspressywną zdolność instrumentu, jak Debussy, Cyrill Scott i M. Ravel. Jestto niewątpliwie muzyka wirtuozowska, o najwyższych wymaganiach technicznych, ale równocześnie muzyka dla pianisty o wyrafinowanej inteligencyi i wielkiem uduchowieniu. Skrjabin w drugiej epoce swej twórczości jest twórcą o samodzielności absolutnej. Można go poznać odrazu, mimo, że o jakiejś specyficznej manierze trudno mówić. Już system harmonijny jest tak odrębny, jak system Regera albo Debussy'ego. Powiedziałbym nawet, że bardziej wszechstronny, niż zbudowany na gamie całotonowej system Debussy'ego i jego szkoły. U Skrjabina trójdźwięk doskonały i jego przewroty są tem, czem dawniej akord dyssonansowy. Pojawia się zatem rzadko. Ale w tej harmonice, raz pełnej czaru, raz znowu odpychającej, jest metoda logiczna, tak, iż nie dziwię się teoretykom, którzy starają się znaleźć specyalną „gamę Skrjabina“ — co im się dotąd wcale zręcznie udaje przeprowadzić. Alterowanych akordów jest w każdym utworze Skrjabina tyle, ile wogóle akordów. Wszelkie dające się pomyśleć najostrzejsze przyprawy harmonijne składają się na każdą jego kompozycyę, a stąd płynie pewna identyczność jego dzieł, identyczność coprawda zewnętrzna, albowiem zróżniczkowaniu harmonicznemu i konstrukcyi napoły harmonicznej, napoły polifonicznej, towarzyszy nieprzebrane bogactwo wyrazu, nieprzebrane też zróżniczkowanie treści. Dodajmy do tego zupełną negacyę tzw. formy muzycznej. Nie można o kompozycyach Skrjabina powiedzieć, że są pisane w tej lub owej formie. Jeśli swych dziesięć sonat nazywa S. „sonatami“, to chyba ze względu na ich rozmiar, na ich głębszą treść i większe środki. Są to tylko fantazye,, nie dające się ująć w sonatową formę. To

samo dotyczy jego symfonii, z których pierwsze są cykliczne, inne zaś jednoczęściowe (jak u Liszta i R. Straussa). Z nich „Le Poème de l'Extase", „Révene" i „Le poème du feu" (na orkiestrę, chór, fortepian, organy i „clavier a lumière") zjednały mu conajmniej zainteresowanie całej Europy. Jeśli chodzi zaś o charakter jego muzyki, to pominąwszy epokę pierwszą, powiemy, że przenika ją jakiś demoniczny erotyzm, nieraz pełny okrucieństwa i wyrafinowanej przysłowości, to znów zadumy, posuniętej do obłąkanego mistycyzmu; niekiedy płyną dźwięki zupełnie nieziemskie, przejmujące do głębi swym idealizmem, albo myśli prometejskiej siły i płomiennej ekspansyi. Większość jego dzieł, to zapewne muzyczne „Fleurs du mal" — ale nigdy nie banalne ze stanowiska czystego artyzmu, nigdy śmieszne i nigdy płytkie. Nikt w nowszych czasach nie zdołał uchwycić tak bardzo mocno kalejdoskopowego życia duszy, jej stanów jakby podświadomych, jednej sekundy jej życia — tak, jak Skrjabin. Czasem udaje się to Debussy'emu; tak głęboko w duszę sięgnąć umie dziś Reger i Strauss, Szymanowski i Schönberg, może najbardziej do Skrjabina zbliżony. A jeśli jest tak, to zmarły przedwcześnie kompozytor rosyjski ma zapewnioną jedną z najpiękniejszych kart w muzyce nowożytnej.

Mimowolną ofiarą wojny stał się hiszpański kompozytor, Enrique Granados y Campina (1867—1916), który zginął na storpedowanym podczas powrotu z Ameryki parowcu angielskim „Sussex". Granados należał do „najmłodszej Hiszpanii w muzyce" i wraz z Isaakiem Albeniz'em Rupertem, Chapi de Casterac. Manuelem de Falla, Joaquinem Turina, Bretonem i Jimenezem zapoczątkował nowożytną erę w muzyce hiszpańskiej, tworząc głównie pod wpływem Chopina i francuskich impressyonistów muzycznych (Debussy i Ravel) i wyzyskując materyał folklorystyczny najmniej znanych zakątków Hiszpanii. Granados nie był między nimi najwybitniejszym; ale jego hiszpańskie fantazye taneczne i cappriccia, będące illustracyą fantastycznych akwafort Goyi, są ciekawe, chwilami pełne bezpośredniości, jakkolwiek w formie nie zawsze zadowalniają.

Skandynawia również nie pozostała bez strat, jakkolwiek

nie są one dotkliwe. Szwecya straciła wybitnego skrzypka i kompozytora na ten instrument, Tor'a Aulina (1866—1914), zaś Dania Ottona Waldemara Mallinga (1848—1915), ucznia Gade'go i dyrektora konserwatoryum w Kopenhadze. Mniej jego symfonie, sonaty i dzieła kameralne, więcej organowe i dzieła orkiestrowe są rozpowszechnione. Ale wszystkie kompozycye odznaczają się romantycznym charakterem, klasyczną prostotą, narodowym charakterem tematów i miłą instrumentacyą. Nie przejmują do głębi, nie wstrząsają i nie porywają, ale zwracają się — jak wszystko, co Skandynawi piszą — do sentymentu, podobnego do uczuć, doznawanych na widok natury. Walter Niemann zauważa trafnie w swej „Historyi muzyki skandynawskiej" (1906, str. 52), że Malling godzi fakturę i formę klasyczną z nowoczesną techniką kompozytorską. Ten sympatyczny i bynajmniej nie zmniejszający wartości dzieła efektyzm jest właściwy najwybitniejszym nawet mistrzom muzyki współczesnej. Wielkim efektykiem był też Händel.

Kto chce zdać sobie sprawę ze strat, jakie podczas wojny poniosła muzyka niemiecka, ten weźmie do ręki znane lipskie wydawnictwo „Jahrbuch der Musikbibliothek Peters" (począwszy od 21-go rocznika). Jestto istotnie czarna lista, ozdobiona licznymi krzyżami przy nazwiskach poległych. Będziemy mogli w następnej części tej notatki zdać sobie sprawę z tych smutnych strat; zajmiemy się też obrazem muzycznych Niemiec podczas wojny — jest bowiem rzeczą zrozumiałą, że nawet w drodze pośredniej nie można otrzymać żadnych całkowitych informacyi o stanie muzyki w krajach „entente'y".

Prof. Dr. Adolf Chybiński.

Listopad.

Pożółkłe w drogach leży liście,
Mgła przestwór wokół kryje siwa
I tylko czasem wiatr się zrywa
I niesie tęskny płacz w przeświście;
Gdzieniegdzie ognisk dym skłębiony
Nad ściernie wieje — w puste pola
I idzie ludzki ból — niedola
Nad zwiędłe trawy, nad zagony...

Nad zgliszczem, które darń zarasta,
Odarte, głodne stawa dziecko,
Zarazy upiór się zdradziecko
Pod wsie podkrada, popod miasta...
Hej! Tryumf jesień święci chłodna,
Rozwiesza smutne swe sztandary
I ludzkie serca wskróś — aż do dna
Tęsknoty objął odmęt szary!....

Odleciał smutny klucz żórawi
W dalekie szlaki — przez mgłę białą...
Co niegdyś serce ukochało,
Marą się jeno wspomnień jawi;
O! nieraz oczom w kształt się potną
Te mgły skłębione, w pól bezmiarze
I jawią znane, drogie twarze,
Zabrane falą — bezpowrotną!....

Z bojowisk świeżych jeszcze sterczy
Kość wojowników naga, biała,
Zdaleka głucho grają działa
I zioną ognia deszcz morderczy,
Od bratniej kuli brat upada,
Na wszystkich sercach troski brzemię:
Posępne tchnienie Listopada
W zmartwiałą strachem idzie ziemię....

Uwiędły wiosny kwiaty świeże,
Co się tak cudnie słońcu śmiały —
Zbudzone z ciężkich snów rycerze
Nie poszły burzą w boje chwały...
Nad Karpat stokiem, ponad Wartą
Grobowy smutek legł ponury
I orły, co się rwały w chmury,
Przypadły w ziemię — z piersią startą...

Od Belwederu hen, z oddali
Stłumionej salwy lecą echa:
Blask: — to się szopa w Solcu pali,
Z snów twardych budząc roty Lecha:
Do broni! Stopa najezdnika
Nie będzie polskich deptać gruntów!
Lecz cóż to? w krwawej łunie znika
Zbudzony w loty ptak Zygmuntów...

O dziwna polskich pól jesieni:
Ty zwiędłe dawno budzisz kwiaty,
Minionej wiosny sen skrzydlaty
Na twej się twarzy słońcem mieni...!
O dziw! ze mgłami Listopada,
Pod obcych potęg manifestem,
Ze szeptem cichym: „Oto jestem!“
Powstaje ze snu Wolność — blada —

We mgłach jesiennych się wyłania
Sen nasz o mieczu i koronie,

Królewskiej chwały widmo płonie
Nad pustką ruin — w skrach zarania....
Zwaśnione budzą je potęgi,
Przyzywa szumem Bałtyk siny —
Przez mgły, z nad mętnej Wisły wstęgi
Brzask nowej budzi się godziny...

A przecież trwoga serca ściska
O jutro — nim się jawą stanie, —
Ogromne płaczu idzie łkanie
Nad mogił wieńce, nad zwaliska, —
O próg niebiosów hen uderzy,
Przez mgłę, co leży senna, biała,
A w dali głucho grają działa
I pada we krwi łan rycerzy...

Zerwane z wieżyc scichły dzwony,
Przez głuche pola wiatr się miota,
Zdrętwiały smutek i martwota
Na łąki upadł, na zagony, —
Westchnieniem niebu się spowiada
Z niedoli ciężkiej ludzkie plemię:
Posępne tchnienie Listopada
Ze mgłami idzie w Polski ziemie...

Ks. Tadeusz Karyłowski.

Karta z dziejów zapadłej fauny: mamut.

Zwierzęta ssące, które dzisiaj żyją w środkowej Europie, trzeba zdaniem Kobelta uważać tylko za resztki tej niezmiernie bogatej fauny, jaka za czasów okresu trzeciorzędnego i jeszcze nawet w epoce lodowej zapełniała te lądy. Fauna ta, zbadana dzięki pracom i odkryciom paleontologów i archeologów, dosyć dokładnie, przedstawiała, w całości biorąc, inny niż dzisiaj, obraz, a główny jego składnik stanowiły liczne stada włóczących się po stepach i lasach mamutów.

Mamut, zwierzę dziś zupełnie wygasłe, żył jeszcze jednak współcześnie z człowiekiem. Jak go wówczas wabiono, niepodobna oczywiście dociec, dzisiejsza jego nazwa jest rosyjska, znaczy „zwierzę ziemne", bo w jaskiniach znajdowano jego szczątki, a pochodzi rzekomo od tatarskiego wyrazu mama, ziemia, o której jednak twierdzi Lydekker, że wyraz taki w języku tatarskim się nie znachodzi. Zdaniem tegoż uczonego, żadne zwierzę nie pozostawiło po sobie tak licznych i wyczerpujących śladów istnienia, jak mamut. Od Anglii i Szkocyi, od Toskanii przez całą środkową i północną Europę, północną Azyę i północną Amerykę rozsiane są resztki mamuta, a nie tylko resztki w postaci kości lub skór, lecz nieraz całe zwierzęta tak dobrze zachowane, iż mięso ich na Syberyi stanowi często pokarm psów i wilków. Szczególnie liczne są pozostałości po mamucie na

Syberyi, zwłaszcza u ujścia rzek wielkich, a handel kłami olbrzymimi tego słonia, ważącymi do 200 kilogramów para, wychodzący z północnej Syberyi, znany jest w Chinach i Europie już w wieku 10-tym. Middenddorf jest zdania, że w ciągu ostatnich dwustu lat, sprzedaje się z wysp Nowej Syberyi około 200 par kłów mamuta rocznie, a inni fachowcy cyfrę tu uważają nawet za zbyt niską[1]). Bądź co bądź mówi ona dobitnie o niesłychanym rozpowszechnieniu mamuta. Nic też dziwnego, że w tych tak licznych wykopaliskach wielokrotnie spotkano się ze szczególnie korzystnemi stosunkami, które pozwalają dokładnego nabrać pojęcia nietylko o wyglądzie zewnętrznym mamuta, lecz także o jego właściwościach fizyologicznych i biologicznych.

Tak na przykład nie dalej, jak dwa lata temu, bo w r. 1915 znaleziono doskonale zakonserwowane zwłoki mamuta na wyspie Liabow[2]). Części miękkie, a nawet wnętrzności były miejscami utrzymane jakgdyby w stanie świeżym, a w żołądku pozostała jeszcze resztka pokarmu, w kształcie zielonawej masy, która, jak badania pokazały, składała się ze mchów, jakie do dzisiaj napotkać można w strefach północnych, a które wskazują, że mamut ów żył i zginął w kraju o niskim bardzo klimacie.

Jednym z takich wykopalisk, szczególnie sławnych w nauce, są prócz wyżej wymienionego, wykopaliska, jakie imie-

---

[1]) Ciekawe są szczegóły, jakie o tem handlu kłami mamuta podaje znakomity znawca kości słoniowej i sztuki wschodniej Alfred Olge Maskell. „W Anglii — mówi on — świeżo wykopano kły (mamuta). — np. w Dungeness — blisko na 12 stóp długie i dochodzące do 200 funtów wagi. Z pokładów syberyjskich bierze się już od dwu blisko wieków. Pokazuje się, że zapas jest tak niewyczerpalny, jak pola węglowe. Zdaniem niektórych przyjdzie może dzień, że rozrost cywilizacyi spowoduje prawie zupełne zaniknięcie słonia w Afryce, i że wtedy zwrócimy się może do tych właśnie pokładów, jako do jedynego źródła naturalnej kości słoniowej. Ostatniemi laty w Anglii dało się dostrzedz pewne obniżenie użycia kości słoniowej z mamuta. W okresie od r. 1903—1906 nic prawie nie przeszło przez hale sprzedaży w Londynie. Przedtem, ładunki liczące 10 do 20 ton nie były rzadkością. Nie wszystko jest dobrem; z tego, co przychodzi do Anglii, może tylko połowa, reszta jest zbutwiała, zdarzały się jednak okazy tak doskonałe i w tak dobrym stanie, jak gdyby dopiero co były zabite, gdy tymczasem leżały ukryte i przechowywane w lodowej ziemi przez lat tysiące". Ivory, Enc. Brit. r. 1911. XV, 92.

[2]) Umschau 1917, str. 624.

niem akademii umiejętności petersburskiej dokonał w r. 1901 Otto Herz nad Berezówką, poboczną rzeką Kolomy. Doskonale jeszcze zakonserwowany mamut, którego tam znaleziono, zginął widocznie na wiosnę nagle, w jakiejś katastrofie lub z powodu przypadku, miał bowiem jeszcze między zębami doskonale utrzymane resztki pokarmu a z żołądka wydobyto tego pokarmu 30 funtów, złożonego z tych samych roślin, które dzisiaj jeszcze rosną na polach Jakucka. Mięso pod odnóżami przedniemi nie straciło jeszcze nawet czerwonej barwy. Było ono poprzetykane warstwami łtuszczu, i tak podobne wyglądem do świeżego, zakonserwowanego w zimie, że zastanawiano się nad tem, czyby kawałek z niego nie przyprawić i nie spożyć. Że jednak nikt z obecnych na to zdecydować się nie chciał, więc dano je psom, które chętnie specyał ten pożarły. Na mięsie znajdowała się warstwa tłuszczu dziewięć centymetrów gruba, biała, bezwonna, gąbczasta i dająca się łatwo krajać. W ziemi w miejscu, gdzie dotykała warga dolna i piersi zwierzęcia, były włosy, czarnego koloru, długości 36 centymetrów, a były to ułamki, sądząc z ich budowy, wynoszące około dwie trzecie całego włosa, więc długość całych włosów zwierzęcia ocenia Herz na pół metra. Włosy nóg przednich są barwy blond-popielatej, innych części ciała czarne.

Mamut, jak wspomnieliśmy, istniał w czasach, kiedy człowiek zjawił się na ziemi. Jeszcze w początkach 19-go wieku o tem nie wiedziano, a udowodnił to dopiero pierwszy J. Mc. Enery na podstawie badań poczynionych w jaskini Kent koło Torquay, jednak jeszcze w chwili jego śmierci (1841) niezdawano sobie powszechnie należycie sprawy z tych prac. Fakt ten współczesności mamuta z człowiekiem o tyle jest ważny, że pozwolił on nam nabrać pojęcia o wyglądzie tego zwierzęcia. Mianowicie znaleziono wielokrotnie rysunki, pochodzące z ręki człowieka epoki starokamiennej, wyobrażające mamuta, a z pośród tych rysunków najsławniejszy i najcenniejszy jest rysunek na płycie z kości słoniowej, znaleziony w jaskini Dordogne obok La Madelaine we Francyi. Przedhistoryczny artysta, rysujący jednak prawdziwie z rozmachem i wprawą, przedstawia mamuta idącego, zwierzę podobne zupełnie do słonia, z dwoma potężnymi kłami, pokryte długim, gęstym włosem.

Rysunki te przedhistorycznego człowieka, nieocenionej wartości archeologicznej, uderzają przedewszystkiem prawdą, tak, że stanowią pierwszorzędne źródło historyczne. Rysunek z Dordogne stanowi z pewnością najlepszą rekonstrukcyę kształtów zewnętrznych mamuta, jaką możnaby dać z wszystkich, a tak obfitych wykopalisk, pozostałych po tem zwierzęciu. Ale ciekawą jest przytem inna strona tej sprawy, która odbiega wprawdzie nieco od naszego tematu, niema bowiem bezpośredniego związku z mamutem, ale rzuca tak jaskrawe światło na metodę niektórych uczonych i wartość ich dowodzeń, że warto poświęcić jej małą chwilę. Oto znany i sławny fizyolog niemiecki Verworn wszystkie owe zabytki paleolitycznej sztuki nazywa sztuką fizyoplastyczną[1]), to znaczy taką, gdzie rysownik nie reflektuje nic nad przedmiotem odtwarzanym, lecz poprostu regestruje to, co widzi. Utwór więc taki nie mieści w sobie nic z duszy artysty, nie nosi na sobie żadnego śladu, by twórca coś przemyśliwał, rozważał, nad swem modelem, lecz jest raczej podobny do mechanicznie działającego aparatu fotograficznego, odtwarza wyłącznie obrazy pamięci. Dlatego też zdaniem Verworna, nieudolne próby rysunkowe, jakie spotykamy u naszych dzieci lub u dzikich ludów obecnie żyjących, stoją wyżej od obrazów paleolitycznych, bo już na sobie noszą dowody, iż są wytworem nietylko ręki i oka, lecz zarazem myślącego i zastanawiającego się, rozumnego osobnika. Oczywiście z takiego poglądu Verworna wynika bezpośrednio wniosek, że między psychą człowieka poleolitycznego, a człowieka dzisiejszej epoki, chociażby na najniższym stopniu rozwoju stojącego, jest ogromna, zasadnicza różnica, którą zapewne wyrównała czyli raczej wykopała ewolucya, obejmująca nietylko materyalną część człowieka, lecz i umysłową.

Ale wiadomo, jak w ocenianiu dzieł sztuki a zwłaszcza ich wewnętrznej wartości krytycy nieraz między sobą się różnią. Oczywiście, w razie takiego sporu lub wątpliwości oglądać się należy przedewszystkiem za zdaniem fachowych znawców sztuki, którzy przez studya i wrodzony instynkt nabierają takiej wprawy,

[1]) Dr. Alexander Sokolowsky (!?) Vom Mammut. Umschau 1917, str. 627.

że niejako z nieomylną prawie pewnością orzekają tam, gdzie laik stoi zupełnie bezradny. Otóż z pewnością miarodajnym dla zajmującego nas obecnie przedmiotu będzie pogląd, jaki o tych paleolitycznych rysunkach wygłosił w latach ostatnich angielski badacz zabytków archeologicznych, Charles Hercules Read. Jest on pierwszorzędną pod tym względem powagą, bez porównania większą, niż fizyolog Verworn, a jak go w Anglii samej cenią, wynika z tego, że piastuje urząd kierownika działu starożytności w British Museum i jest prezydentem towarzystwa archeologicznego: Society of Antiquaries w Londynie, i powszechnie uznanym fachowym autorem dzieł z zakresu archeologii. Otóż Read mówi dosłownie: „Jaskinie Francyi z okresu poleolitycznego stawiają przed nami rasę artystów o pierwszorzędnych zdolnościach, której dokładnością obserwacyi i zręcznością w wypowiadaniu się charakteru i swoistych właściwości zwierząt, dostrzeganych naokoło siebie, nigdy nie przewyższono. Twierdzenie takie brzmi jakgdyby sprzeczność w pojęciach w skład jego wchodzących. Mamy do czynienia z istotami ludzkiemi, których intelekt, sądząc z ich cech fizycznych, powinien być na równi z Fuegianami lub czarnymi Australii, a daleko niżej od plemienia Maori lub wyspiarzy z Sandwich. A jednak żadne z tych łagodnych i stosunkowo kulturalnych plemion nie wytworzyło na polu sztuki nic takiego, coby w jakimkolwiek znaczeniu mogło iść w porównanie z mistrzowskimi rysunkami lub rzeźbami człowieka jaskiniowego we Francyi. Najlepiej znany z utworów rytowniczych, przedstawiający mamuta a wykonany na kawałku kości słoniowej, znajduje się w Jardin des Plantes w Paryżu. Według intencyi artysty jest to widocznie tylko szkic, linie pięknie zakrzywionych kłów są bowiem powtórzone kilka razy, celem osiągnięcia dokładności. Lecz ociężały chód potężnego zwierzęcia, jego ułożenie ciała, a nawet charakter włochatej skóry, uwydatnia artysta lub poddaje z zręcznością i swobodą, która jest dowodem nietyko codziennego obycia się z wyobrażonym przedmiotem, lecz także zupełnego mistrzowstwa w sztuce przedstawiania idei zapomocą

[1]) Charles H. Read: Archaelog w Encycl. Britan. London 1917, t. II, 346.

pojedynczych linii.Ten rysunek mamuta jest prawdopodobnie najważniejszym i najbardziej monumentalnym, lecz jest jeszcze wiele innych, które posiadają niemniej wybitne, artystyczne przymioty, a ponad to niemniej zdumiewający wdzięk i piękność linii... Rysunki te i rzeźby ceniono zawsze a nawet uważano je za twory znacznie przewyższające stylem swym to, czego należałoby oczekiwać od ludzi, których umieszczano zawsze na najniższym stopniu kultury".

Jak artystycznie wysoko stały owe paleolityczne obrazy, charakteryzuje doskonale epizod, jaki podaje ten sam autor. Pozorna prostota tych rysunków z jednej strony i bezcenna wartość z drugiej kusiła wielu, by zapomocą falsyfikatów łatwym sposobem zdobyć dwie naraz rzeczy: sławę i pieniądze. Między innymi „niejaki Meillet, człowiek, mówi Read, wykształcony, szczególne znajdował upodobanie w wytwarzaniu fałszywych takich okazów, i nawet ogłosił drukiem sprawozdanie o swych rzekomych odkryciach. Lecz tu, podobnie jak we wszystkich zakusach, by naśladować jaskiniowe rysunki, nowoczesne te usiłowania zdradziła ich licha wartość artystyczna, a samo zestawienie nowych odkryć ze staremi wogóle wystarczało, by oszustwo wykryć". Ten też fakt wysokiej wartości artystycznej owych zabytków, której prawdziwi znawcy w żaden sposób nie mogą nie uznać, stanowi gryzącą zagadkę dla tych archeologów, przyrodników, którzy do badań naukowych przystępują z powziętemi z góry uprzedzeniami, teoryami monistycznemi. Charakterystyczny przykład tego stanowi znowu Read. „Te artystyczne wyżyny — mówi on dalej w przytoczonym wstępie — osiągnęła rasa ludzi, której nie możemy (!?) przypisać jakichś wielkich zasobów intelektualnych; przez ludzi, nadto, którzy w codziennej walce borykali się o najprostsze potrzeby życiowe, wśród twardego klimatu i otoczeni fauną, obdarzoną środkami ataku i obrony nieskończenie wyższymi od tych, jakie sami posiadali. Wiele jest zdumiewających problemów w archeologii, lecz żaden z nich tak gwałtownie nie domaga się rozwiązania". A jednak rozwiązanie to takie proste i samo się narzucające! Wystarczy tylko wyzuć się z uprzedzeń monistycznych, utrzymujących, że człowiek musiał rozwinąć

się ze zwierzęcia, a więc że koniecznie psyche człowieka rozwinęła się z duszy zwierzęcej, i pominąwszy już objawienie, pytać się z szczerą prostotą faktów, jakich nam dostarcza przyroda. A wtedy na to pytanie odpowiedzą nam wykopaliska wyżej opisane, że już najpierwsze ślady człowieka, z jakimi się spotykamy, wykazują dowodnie, iż ten człowiek stał na wysokim stopniu rozwoju artystycznego, a więc na wysokim stopniu prawdziwej, duchowej kultury, która, jak widać ze słów Reada, żywo odbija się od stanu umysłowego, w jakim znajdują się obecnie żyjące dzikie plemiona, a więc że stan ten obecnie dziko żyjących plemion, nie jest „pierwotnym", jak go powszechnie nazywają, lecz owszem bardzo pochodnym, bo to stan rozkładu, stan, który wskazuje nie na to, czem człowiek był z początku, u kolebki swego istnienia, lecz czem być i stać się może, gdy za cel swój obierze tylko życie zwierzęce, materyalne.

Zagadka więc tak przykra dla Reada, Verworna i innych im podobnych, dla umysłów szczerze naukowych, to jest szukających jedynie objektywnej prawdy, jest jasną i dawno rozwiązaną. A stary mamut, który na jej omawianie nas naprowadził, da nam dalszy dowód, że rozwiązanie nasze, mówiące o istnieniu rozumnej duszy w pierwszym już człowieku, jest słuszne. Po tej wycieczce w dziedzinę archeologii wróćmy tedy do naszego przedmiotu, to jest do historyi naturalnej mamuta. Mamut należy do zwierząt ssących, mianowicie jest członkiem nielicznego rzędu zwierząt, zwanych trąbowcami (proboscidea), którego najwybitniejszą cechą, jak nazwa sama wskazuje, jest olbrzymi wyrostek w przedniej części głowy, zwany trąbą. Rząd trąbowców składa się z trzech familii, z których pierwszą stanowią słonie, drugą wygasłe już zupełnie mastodony, a do trzeciej zaliczają również kopalniane już tylko zwierzęta, tak zwane deinotheria. Otóż mamut, zwany w języku naukowym Elephas primigenius, należy do rodziny słoniów, z której to rodziny żyją jeszcze dwa gatunki, mianowicie jeden z nich, to słoń indyjski, elephas asiaticus, a drugi słoń afrykański, elephas africanus. A więc między żyjącymi dzisiaj słoniami a mamutem panuje bardzo ścisłe pokrewieństwo, uwydatnione ogromnem podobieństwem budowy i spo-

sobu życia, czyli anatomicznem i biologicznem. Toteż ażeby zrozumieć dobrze mamuta, trzeba najpierw przypomnieć sobie charakterystyczne cechy żyjącego obecnie słonia.

Słoń jestto zwierzę olbrzymie, największe z żyjących obecnie zwierząt lądowych, przyczem słoń afrykański przewyższa swego pobratymca z Azyi, dochodzi bowiem czasami aż do 4 metrów wysokości i 6 ton, czyli 6000 kilo wagi. Z dużej głowy, pokrytej, podobnie jak całe ciało, gładką przeważnie lecz bardzo grubą skórą, zwieszają po obu stronach rozległe, kłapiaste uszy, obramiające twarz o rysach wyjątkowo charakterystycznych: z pośród pary małych, inteligentnych oczek wytryska olbrzymi nos, przekształcony w prawdziwą tą razą trąbę, na parę metrów długą, a otoczony parą kłów potężnych, zakrzywionych. Kły jednak te, anatomicznie biorąc, nie są właściwymi kłami, bo tych słoń wogóle nie posiada, lecz są to zęby przednie, siekacze, wydłużone w sposób niezwykły, a służące zwierzęciu do ataku w walce z innymi słoniami i do ścinania drzew. Są one wewnątrz puste, nie mają korzeni i w miarę ścierania się odrastają od nasady, a są utworzone z zębiny, która właśnie jest ową tak bardzo do rozmaitych wyrobów poszukiwaną kością słoniową, która też, jak widzimy, powinna się zwać nie kością, lecz zębem. Prócz tych siekaczy-kłów ma jeszcze słoń w szczęce po 6 zębów trzonowych z każdej strony, które w miarę ścierania się od przodu odrastają od strony wewnętrznej, i słoń nie może używać nigdy wszystkich naraz, lecz po jednym lub dwóch, gdy te się zetrą, funkcyę ich sprawują dalsze, tylne. Zęby trzonowe słonia są właściwie złożone z większej ilości warstw, ułożonych poprzecznie i jakgdyby sklejonych cementem w jedną całość o rowkowatej powierzchni górnej. Charakterystyczna jest też budowa nóg słonia. Nie mówiąc o ich wyglądzie zewnętrznym, podobnych do potężnych kloców, a zakończonych pięcioma kopytkami, szkielet wewnętrzny odnoży słonia wykazuje ciekawe stosunki. Oto słoń, mimo swego olbrzymiego ciężaru, chodzi podobnie jak kobiety nowoczesne, ubrane w trzewiki o wysokich korkach, nie na całej stopie , lecz na końcach palców. Szkielet bowiem stóp, składających się zupełnie dokładnie z pięciu palców, jest ułożony prawie pionowo, tylko

że ułożenie to stóp dla słonia jest zupełnie nie szkodliwe, bo naturalne. Palce wszystkie razem są otoczone potężną masą mięsa i skóry, i na zewnątrz przedstawiają się, z wyjątkiem samych kończyn, jako jedna masa. Inne szczegóły budowy anatomicznej słonia nie przedstawiają nic charakterystycznego, z wyjątkiem chyba jeszcze, że słoń nie posiada obojczyka.

O ile wygląd zewnętrzny słonia przygniata prawie i przeraża, zarówno ogromem, jak i kształtami, o tyle pod względem biologicznym słoń jest zwierzęciem bardzo delikatnem i sympatycznem. W stanie dzikim żyje zwyczajnie w stadach, które dawniej bardzo wielkie, dziś składają się z 20 do 30 osobników, z czego około 6 jest samców. Stado podlega władzy i przewodnictwu samca, odznaczającego się ponad innymi wielką budową. Słonie lubią miejsca cieniste i wilgotne, niedostępne lasy, i żywią się trawą i gałęziami. Że zaś kark ich jest krótki i sztywny, więc pokarm swój zbierają z ziemi, równie jak i wodę, zapomocą trąby, narządu mimo wielkości niezmiernie zwinnego, zakończonego nadto wyrostkiem giętkim, jakgdyby palcem, zdolnym chwytać przedmioty nawet drobne. Słonie, gdy spragnione, wciągają do trąby wodę i wlewają ją sobie do pyska, młode jednak szczenię nie ssie trąbą, lecz pyskiem. Mimo swej albo może właśnie z powodu swej siły olbrzymiej, dozwalającej z łatwością łamać lub wyrywać z korzeniami drzewa grubości ramienia, słoń jest usposobienia łagodnego, nawet trwożliwego, unika walki, którą przyjmuje dopiero zmuszony, lecz wtedy staje się strasznym. Kłów używa tylko w walce z innymi słoniami, zwyczajnie gdy chodzi o samicę, przeciwników natomiast mniejszych, zwierzęta lub ludzi, powala i depce na miazgę potężnymi klocowatymi stopami. Z powodu łagodności i dużej inteligencyi słoń daje się z łatwością obłaskawiać i służy wtedy za zwierzę domowe, niezmiernie pożyteczne, chociaż kosztowne (potrzebuje dziennie około 80 kilogramów pokarmu, jak siana, wyki itp.). W niewoli rzadko bardzo się mnoży, zastępy słoni domowych trzeba odnawiać z pośród słoni dzikich, chwytając je i obłaskawiając.

Słoń dziko żyjący jest zwierzęciem najpotężniejszem ze wszystkich, nie potrzebuje się obawiać żadnego przeciwnika,

a żywiąc się gałęziami i trawą, nie jest narażony na brak pokarmu, a jednak liczba żyjących słoni maleje w sposób zatrważający, przyczem tragedya słonia biegnie po zwykłej linii wszystkich tragedyi: źródło potęgi bohatera jest równocześnie przyczyną jego zguby. Tem źródłem u słonia są oczywiście kły. Zbyt to wielki i drogocenny skarb, by człowiek nań nie zwrócił uwagi, i nie naraził się dla jego uzyskania na trudy i niebezpieczeństwa. Odkąd zaś do pomocy przyszła człowiekowi doskonała i bardzo silnie bijąca nowoczesna strzelba, los słoni jest zdecydowany. O spustoszeniu, jakie pod tym względem ręka człowieka sprawia w gospodarstwie przyrody, dać mogą pojęcie następujące cyfry: w drugiej połowie zeszłego stulecia wywożono z samej Afryki około 775.000 kilogramów kości słoniowej rocznie, w r. 1905 cyfra ta doszła do 1000 ton czyli milion kilo. Ponieważ wielkość kłów jest bardzo rozmaitą, więc fachowcy oceniają średnio, że 30 do 50 tysięcy słoni potrzeba, by taką ilość kości słoniowej dostarczyć. Jednak sądzą, że z tej ilości tylko 20 proc. kłów pochodzi od zwierząt świeżo zabitych, reszta to zabytki zaoszczędzone przez dzikich dawniej, lub od zmarłych słoni domowych. Bądź co bądź te 50 tysięcy słoni zginąć musiały, teraz czy przedtem, a że zapotrzebowanie rośnie i handel kością słoniową znakomicie się opłaca — w r. 1855 kosztował w Londynie centnar cłowy (50 kilo czyli 100 funtów) najlepszej kości słoniowej, używanej na wyrób kul bilardowych 55 funtów szterlingów czyli koło 130 koron, a w r. 1905 płacono już 167 funtów szterlingów czyli okrągło trzy razy tyle — więc słoniom grozi zupełna zagłada, mimo wszelkich ustaw łowieckich, a grozi im zagłada wyłącznie z ręki człowieka, nie z żadnych innych przyczyn.

Zestawiając te wiadomości o żyjących obecnie gatunkach słoni z tem, co można o mamucie wyczytać z paleontologicznych zabytków i z owych rysunków, pochodzących od współczesnego mamutowi człowieka, zestawić sobie łatwo anatomiczny i biologiczny obraz tego interesującego zwierzęcia. Czas jego pobytu na ziemi przypada na okres po-trzeciorzędny, to jest na epokę lodową, chociaż są dowody, jak twierdzi Flower i Lyddeker[1]), że

[1]) Sir William Henry Flower F. W. S. et Richard Lyddeker F. R. S.: Mammoth w Enc. Brit., t. XVII, str. 531.

żył on w Anglii już przed epoką lodową, a i po tej epoce jeszcze ślady jego pobytu na ziemi można wykazać. W każdym razie główny rozwój mamuta odbywał się w stosunkach bardzo już do naszych geologicznych warunków zbliżonych i styka się z pierwszem pojawieniem się na ziemi człowieka. Osobliwa była jego postać. Podobny całkiem do słonia, zwłaszcza żyjącego obecnie słonia indyjskiego, miał jednak głowę większą, uszy stosunkowo małe, wzrostem wcale nie przewyższał żyjących obecnie gatunków słoni, bo średnio miał około 3 metrów wysokości, licząc od ziemi do ramion. Co do kształtu kłów, nie panuje między uczonymi jedność poglądu. Jedni utrzymują, że szły one ku górze i były zagięte ku zewnątrz, inni natomiast, jak Pfizenmayer sądzą całkiem przeciwnie, że były zakrzywione ku dołowi i ku wewnątrz, według Langa wreszcie miały one kształt śruby. Sokołowski[1]) tłómaczy te sprzeczności rozmaitością ras, twierdzi mianowicie, jak zresztą inni paleontologowie, że w obrębie gatunku mamutów z powodu jego olbrzymiego rozszerzania się po kuli ziemskiej i wynikających ztąd różnorodności warunków bytowania, do których organizmy musiały się przez wieki nieraz przystosowywać, powstały bardzo liczne rasy, różniące się pewnemi szczegółami budowy anatomicznej, głównie zaś uzębieniem, jak to zresztą widać także po zębach trzonowych mamutów. Z powodu twardych warunków klimatycznych, wśród których zwierzę to żyło, skóra jego musiała być i była chronioną gęstym włosem. Mamut miał sierść podwójną, jedną spodnią wełniastą, o czerwono- brunatnej barwie i wierzchnią czarną na pół metra długą, która chroniła ciało zwłaszcza od spodu i po bokach , pokrywając jakgdyby gęstym i ciepłym dywanem śniegi, na których zwierzę musiało spoczywać. Szkielet mamuta, podobny do szkieletu słonia, tem się odeń różni, że w odnóżach tylnych jest palców tylko cztery, a nie, jak u słonia pięć. Zarówno ta okoliczność, jak i inne wskazują wyraźnie, że mamut nietylko nie był przodkiem, protoplastą, obecnie żyjących gatunków słonia, lecz owszem uważać go trzeba za najwyżej rozwinięty gatunek słoni.

Co do sposobu życia to jak wykazują warunki, w których

[1]) L. c. str. 626.

znaleziono szczątki mamuta i resztki pokarmów tak tego zwierzęcia, jako i jego towarzyszy, zwłaszcza nosorożca, które badał Schmalhausen, jest on analogiczny do życia dzisiejszych słoni. Górując swym ogromem nad całym współczesnym światem zwierzęcym, chadzał mamut po ziemi gromadnie, żywiąc się trawą i gałęziami, które łamał potężnymi kłami. Nie potrzebując nic od innych zwierząt a siłą swą zabezpieczony skutecznie od ich napaści, żył mamut spokojnie, zdala od zawziętej walki o byt, dopokąd nie zjawił się na ziemi jego główny albo raczej jedyny, lecz niebezpieczny przeciwnik — człowiek.

Dlaczego mamut zniknął zupełnie z oblicza ziemi? Według przyrodników, dwie są główne przyczyny wyginięcia jakiegoś gatunku, mianowicie jedna zewnętrzna, jak np. żywiołowe katastrofy, niszczące wszystko lub walka o byt zbyt ciężka z jakimś przeciwnikiem, a druga wewnętrzna, która sprawia, że gatunek dany traci zdolność mnożenia się i powoli wymiera. Czy i o ile pomagał ten drugi czynnik do zguby mamuta, trudno oczywiście orzec, to tylko pewne, że główną przyczyną był tu czynnik zewnętrzny, a mianowicie człowiek. Jak dzisiaj słoń, tak wówczas mamut był dla człowieka łakomym łupem, na który chciwie polowali ówcześni łowcy. Z czem jednak mogli występować do walki przeciwko temu olbrzymowi, którego siła miażdżyła wszystko a twarda skóra nieprzedartą tworzyła przeciwko ciosom krzemiennym tarczę? A jednak ten słaby, bezbronny prawie człowiek ówczesny walczył nietylko zwycięsko, lecz tępił nieubłaganie olbrzyma, — a to, co dawało mu wyższość nad ofiarą, nie było nic innego, jak — rozum. I jestto po wspomnianych wyżej rysunkach jaskiniowych drugi walny dowód, że człowiek już u początku swego stał na wyżynach odcinających jego psychę istotnie od reszty świata zwierzęcego, inteligencyą swoją królując nad światem całym. Nie bronią, lecz podstępem przemyślnym, budując pułapki i wabiąc w nie masami mamuty, gdzie je potem z łatwością i bezpiecznie dobić można było, walczył człowiek z takim skutkiem, że wytępił wreszcie całkowicie to potężne a po zimniejszych sferach całej kuli ziemskiej rozszerzone zwierzę. Doszedł więc do tego rezultatu, do którego dąży mimowoli ludzkość dzisiejsza w pogoni za słoniem.

Ks. Feliks Hortyński T. J.

Zasadniczy postulat konstytucyjny i ustawodawczy w nowem Państwie Polskiem.

(Ciąg dalszy).

W różnych szczegółowych dyspozycyach został zmieniony projekt deputacyi w Radzie Stanu, a następnie przesłany monarsze. Zaznaczyć należy, że tytuł V. kodeksu cywilnego uległ najgłówniejszej zmianie, a to wskutek wyraźnej woli króla. Monarcha w dniu 2 (14) sierpnia 1821 r. w tym kierunku polecił podać do wiadomości Deputacyi prawodawczej przez ministra Sekretarza Stanu Sobolewskiego za pośrednictwem Ks. Namiestnika królewskiego główne zasady i system, którego się trzymać powinna w celu, aby jej projekty otrzymały królewskie zatwierdzenie. Namiestnik miał oznajmić Deputacyi prawodawczej w imieniu króla, że w chwili, gdy wszystkie inne rządy, ostrzeżone doświadczeniem, zajmują się sposobami wskrzeszenia zasad religijnych i przywrócenia karności duchownej, nie przystałoby przez nowe rozporządzenia prawodawcze utwierdzać zboczenia od onychże zasad, jakich to zboczeń dopuszczano się w okresie napoleońskim, narzucając krajowi przyjęcie kodeksu obcego. Z woli monarchy, udzielonej przez ministra Sekretarza Stanu w niniejszem jego piśmie do Namiestnika, wypływa następnie, że od przeprowadzenia zmian dotychczasowego cywil-

nego kodeksu Napoleońskiego w duchu katolickiego prawa małżeńskiego zawisło również nadanie temuż obcemu kodeksowi cechy kodeksu narodowego; że tego rodzaju zmiany łatwo mogą być przystosowane bez zerwania potrzebnego związku między innemi częściami prawodawstwa cywilnego wówczas obowiązującego. Na szczególniejszą uwagę zasługują końcowe ustępy w mowie będącego pisma, w których zaznaczoną została stanowcza wola monarchy i jego stanowisko, że rzeczone zmiany tem bardziej są nieodzowne, iż ustawa konstytucyi, zapewniając opiekę wszystkim wyznaniom bez wyjątku (art. 11), szczególniejszym rządu staraniom poleca religię katolicką, wyznawaną przez największą część mieszkańców kraju, i że jest zatem tegoż rządu powinnością czuwać nad tem, aby ta religia używała w całej swej rozciągłości zaręczonej sobie szczególniejszej opieki, i aby jej dogmata i karność utrzymane były w całej swej czystości, tudzież nie przykładać się do żadnego działania, któreby przeciwny sprawić mogło skutek, że z tych powodów monarcha mając mocne przedsięwzięcie nie dawania swej sankcyi żadnemu projektowi, któryby mógł dążyć do osłabienia panowania religii, i nie chcąc, aby Deputacya Prawodawcza drogi czas napróżno traciła, oświadcza, że w rozporządzeniach, nad któremi wzmiankowana Deputacya Prawodawcza będzie miała do wyrzeczenia, nie powinno się znajdować nic takiego, coby mogło uwłaczać dogmatyce lub karności Kościoła katolickiego, że ilekroć nowe projekty do praw przygotowanemi będą, powinny, aby otrzymały przyzwolenie Najj. Pana, dążyć do pogodzenia nowego prawodawstwa z duchem ustawy konstytucyjnej, objawionym w sposobie, którym się względem religii katolickiej taż ustawa tłómaczy, ze zwyczajami religijnemi narodu, z dobrem czci Bożej, nie zaś do pozostawienia onych w sprzeczności [1]). Zgodnie z tak stanowczo objawioną wolą monarchy, skierowaną przeciw ślubom cywilnym, została w projekcie do

[1]) ob. Konic: Dzieje prawa małż w Król. Pol. l. c. Dodatek I. mieści powołane pismo ministra sekretarza stanu Sobolewskiego do namiestnika z d. 2 (14) sierpnia 1821, w całości, skąd takowego wyjątki przytoczyłem. Ob. także Powody w Dyaryuszu Senatu Sejmu Król. Pol. z r. 1825. T. I. str. 135 i nast.

nowego kodeksu dla Królestwa Polskiego na początku tytułu V art 143 Dz. I., który najgłówniejszej uległ zmianie z powodu usuniętych w nim ślubow cywilnych w małżeństwie i przywrócenia religijnych, położona zasada: „że małżeństwo nie może być zawarte inaczej, jak według przepisów religijnych, do czego artykuł powyższy dodaje: »że prócz warunków i form religijnych dopełnionymi być powinny zarazem warunki i formy prawem cywilnem przepisane". W motywach podniesiono atoli, że do rzeczonych warunków i form cywilnych nie dołożono rygoru nieważności aktu dlatego, aby przez to nie były naruszone ustawy religijne. „Wszystko to bowiem, czego religia wyraźnie nie nakazuje — jak opiewają dalej motywa do powyższego projektu — staje się przedmiotem ustaw cywilnych". Nie zapuszczając się w wyczerpujące omawianie poszczególnych artykułów rzeczonego projektu, zaznaczam w dalszym ciągu bardziej charakterystyczne jego postanowienia, pozostające w bliższym związku z głównym naszym problemem. I tak co do stopni pokrewieństwa i powinowactwa po za linią prostą i rodzeństwem, każdy powinien się stosować do ustaw swego wyznania (art. 159—161). Określenie przeszkody pokrewieństwa cywilnego z powodu przysposobienia (adopcyi) było prawie zupełnie zgodne z prawem kanonicznem (art. 162), jak również określane w art. 163 przeszkody różnicy wiary dla osób wiary chrześcijańskiej z osobami wiary niechrześcijańskiej. W dziale III tytułu V w art. 164 i 165 projekt przepisywał pod nieważnością formę zawarcia małżeństwa według ustaw wyznania kontrahentów; jeżeli oni są różnego wyznania, każdy z nich do ustaw swego wyznania stosować się powinien. Kwestya małżeństw mieszanych, a mianowicie małżeństw katolików z osobami wyznania grecko-rosyjskiego, wywołała w dalszym rozwoju ustawodawstwa małżeńskiego w Królestwie Polskiem ostre konflikty i sprzeczności zasadnicze z Kościołem katolickim i jego prawem. Postanowienia działu IV projektu małżeńskiego, jakkolwiek trzymane w granicach przeszkód cywilnych, jako tamujących, jednak pośrednio wkraczały już w zakres kompetencyi Kościoła i jego organów, tudzież sądownictwa duchownego mał-

żeńskiego, nie ograniczając się tylko w myśl zasad kanonicznych do skutków cywilnych małżeństwa. Tak mianowicie w razie zachodzących przeszkód cywilnych publicznych, jak przeszkody węzła małżeńskiego *(impedimentum ligaminis)*, przeszkody pokrewieństwa i powinowactwa w linii prostej (art. 159) tudzież w linii pobocznej odnośnie do rodzeństwa (art. 160), przysposabiania (adopcyi) art 162 nakładał projekt na prokuratorów królewskich obowiązek tamowania małżeństwa. Najgłówniejsze zmiany kodeksu francuskiego znajdowały się w tytule VI projektowanego kodeksu dla Królestwa Polskiego, traktującym o nieważności, o rozwiązaniu małżeństwa ważnie zawartego i o rozłączeniu co do stołu i łoża (Dz. I art 240—256). Dział II tegoż tytułu zawierał przepisy o środkach tymczasowo zaradczych w ciągu sprawy o nieważność małżeństwa, o rozwód albo o rozłączenie (art. 257—259) Dział III zaś normował skutki nieważności małżeństwa, rozwodu, albo rozłączenia (art. 260 do 271). Rzeczone odmienne postanowienia projektu kodeksu dla Królestwa Polskiego w stosunku do kodeksu francuskiego wyniknęły, jak podnoszą motywa (l c. str. 137) z ducha religijnego tegoż projektu, który usuwając śluby cywilne połączył w tytule VI unieważnienia małżeństwa razem z rozwodami. Art. 246 projektu mieścił zasadnicze postanowienie, że nikt odwoływać się nie może do tytułu małżonka, ani do cywilnych skutków małżeństwa, kto nie okaże, że było religijnie zawarte. Zasadniczą nierozwiązalność małżeństwa stwierdzał następny 247 artykuł w słowach, że małżeństwo rozwiązuje się przez śmierć jednego z małżonków, a dalsze artykuły zagubiły konsekwencye zasady, że małżeństwo nie jest aktem prywatno-prawnym, ale że ma charakter prawno-publiczny, nad którego nienaruszalnością i istotnymi jego warunkami czuwać ma właściwa władza duchowna Małżonkowie zatem według art. 248 nie mogą samowolnie zrywać małżeństwa nieważnie zawartego, ani rozwiązywać małżeństwa ważnie zawartego, ani też w sposób samowolny rozłączać się co do stołu i łoża. Artykuł 249 projektu w przeciwstawieniu do kodeksu francuskiego formułował bezwarunkowo i stanowczo zasadę częstokroć zaczepianą, że nieważność mał-

żeństwa, rozwiązanie onegoż i rozłączenie co do stołu i łoża jedynie przez wyrok prawomocny właściwej władzy duchownej na zasadzie ustaw wyznania jednego z małżonków uznanemi być mogą". Atoli końcowe słowa w tej stylizacyi nasuwają, jak widzimy, ze względu na małżeństwa mieszane liczne wątpliwości, mianowicie z uwagi na małżeństwa, w których jedna strona jest katolicką, a zatem tak pod względem prawa materyalnego małżeńskiego, jakoteż pod względem sądownictwa prawem Kościoła katolickiego bezwarunkowo związaną. Nie mniej przeto powyższe postanowienie artykułu 249 miało w ówczesnym stosunku Kościoła do państwa w Królestwie Polskiem wielką zasadniczą doniosłość To też przeciw dopuszczeniu w całości a nawet w części tej koniecznej dogmatycznej konsekwencyi zasad katolickiego Kościoła odnośnie do sakramentalnego charakteru małżeństwa skierowała się, jak zobaczymy w dalszym ciągu, zacięta opozycya ze strony licznych czynników sejmowych, hołdujących zasadom rewolucyi francuskiej i jej ustawodawczemu wytworowi w formie małżeństwa cywilnego. Około tej kwestyi głównie grupują się dalsze losy i dzieje reformy prawa małżeńskiego w Królestwie Polskiem. Ona też stanowiła główny przedmiot, na który z mocy swego apostolskiego posłannictwa musiał baczną zwrócić uwagę episkopat polski, a wśród niego, jako żarliwy obrońca nienaruszalnych kanonów trydenckich, tworzących silne palladium świętości małżeństwa chrześcijańskiego, zajął naczelne stanowisko wyznawcy biskup krakowski X. Karol Skórkowski. Motywa (str. 141 i nast. Dyaryusza Senatu Sejmu Kr. Pol. z r. 1825 l. c. T. I) projektu z norm zasadniczych wyrażonych w art. 247 i 248 (ob. wyżej), wyprowadzają w związku logicznym oczywiste wnioski, „iż gdy małżeństwo nie może być jak tylko religijnie zawarte, a zatem małżeństwo podług prawideł religijnych nieważnie zawarte, tudzież małżeństwo wprawdzie w początku ważnie zawarte, lecz później religijnie rozwiązane, i nakoniec małżeństwo podług zasad religijnych co do stołu i łoża rozłączone, nie może być także w obliczu prawa cywilnego za małżeństwo istniejące uważanem, czyli że ważność lub nieważność, rozwiązanie i rozłą-

czenie małżeństwa, zawartego według prawideł wyznania religijnego małżonków, ocenić potrzeba. Motywa projektu następnie obszerniej roztrząsają pytanie, kto nieważność, jakoteż rozwód i rozłączenie od stołu i łoża podług prawideł religii wyrzec ma, czy sąd cywilny czy duchowny? Przeciw powodom przytaczanym za orzecznictwem sądów cywilnych w sprawach małżeńskich, a opartym rzekomo na konstytucyi Królestwa Polskiego, „która sądów duchownych nie zna, te zaś pod obcemi i od rządu niezawisłemi prawami i pod obcym naczelnym wpływem zostając, powadze panującego się sprzeciwiają i mogą naruszyć porządek w państwie, formując stan w stanie" — przywodzą motywa projektu następujące uwagi godne argumenty[1]): „że lubo w konstytucyi niema wzmianki o sądach duchownych, gdy jednak artykuł 11. konstytucyi wszystkim bez wyłączenia religiom protekcyę, a religii katolickiej szczególniejszą zaręcza opiekę, wypływa stąd, że tenże artykuł konstytucyi zaręcza i sądownictwo duchowne w przypadkach, gdzie to przez religię jest wymaganem. Religia katolicka kładzie za dogmat, że w sprawach małżeńskich sądy duchowne tylko są właściwe, stanowiąc na Soborze powszechnym trydenckim na sesyi 24 w kanonie XII: „że ktoby powiedział, że sprawy małżeńskie nie należą do sądów duchownych, niech będzie przeklętym". Przykład prawodawstwa austryackiego, które, jak zaznaczają motywa l. c., porucza sądownictwo w sprawach małżeńskich sądom cywilnym, nie może wpływać na zasady projektu kodeksu cywilnego dla Królestwa Polskiego, albowiem prawodawstwo austryackie, wcielając w swój kodeks przyczyny religijne do unieważnienia małżeństw, pomieściło także i takie, które kanonom Kościoła katolickiego są przeciwne (n. p. brak zezwolenia ojca względem małoletniego lub brak zezwolenia władzy wojskowej względem osób wojskowych). Takie powody religii i świętości sakramentu małżeńskiego podług wiary katolickiej przeciwne, stawiają ludzi w kolizyi między sumieniem i posłuszeństwem, winnem prawu świeckiemu, a tem samem

[1]) ob. Dyaryusz Senatu Sejmu Król. Pol. z r. 1825 l. c T. I. str. 142.

osłabiają religię i moralność ludu i wstrząsają podstawą porządku towarzyskiego (społecznego). Różnica w tem tylko leży, że w kodeksie francuskim nieposzanowanie religii i zgwałcenie jest jawne, w austryackim jest bardziej ukryte; powtóre, że podług kodeksu austryackiego rozwody czyli raczej unieważnienia są nader trudne do otrzymania i nader rzadkie, co się zgadza z zasadami chrześcijańskiemi, a szczególnie z zasadami Kościoła katolickiego. Przeciw zasadom prawodawstwa austryackiego czynił Rzym i czyni dotąd wielorakie reklamacye, czego dowodzą liczne dzieła kanonistów pod powagą Stolicy Apostolskiej wydawane. Co do innych religii chrześcijańskich kodeks austryacki jednakowe przepisał powody rozwodów, nie wchodząc, czyli one są zgodne z tak rozlicznemi wyznaniami chrześcijańskiemi, a względem niechrześcijańskich tylko dla jednych żydów prawidła ustanowił. „Gdy u nas (kończą dalej motywa l. c.) (t. j. w Królestwie Polskiem) są oprócz Żydów Karaici, Tatarzy i inne wyznania niechrześcijańskie"; wreszcie nie przykład ościennego państwa obcego, ale przykład państwa wielkiego, pod jednem z nami berłem połączonego, to jest przykład prawodawstwa rosyjskiego, które sprawy unieważnienia małżeństwa, rozwodu i rozłączenia od stołu i łoża we wszelkich wyznaniach przy właściwem sądownictwie duchownem zostawia, służyć nam powinien za wskazówkę polityki i woli panującego, która wyraźnie nawet jest objawioną w odezwie ministra sekretarza Stanu z d. 2 (14) sierpnia 1821 r., stanowiąc tę regułę dla nowych prawodawstwa projektów, aby w nich nic nie znajdowało się, coby mogło uwłaczać dogmatom lub karności Kościoła katolickiego albo czci Bożej" [1]).

Przywiedziony powyżej przykład prawodawstwa rosyjskiego i połączonego z nim ściśle wpływu wszechwładnego cara w sprawach cerkwi z jednej strony, z drugiej zaś doktryny gallikańsko-napoleońskie dotyczące spraw kościelnych, schodzące się również w kwestyach supremacyi państwa z teoryami józefińskiemi i febroniańskiemi, które wraz z napoleonizmem

[1]) ob. Brzeziński l. c. str. 236. Dyaryusz Senatu Sejmu l. c. str. 142.

przesiąknęły do sfer rządzących i parlamentarnych w Polsce i doprowadziły autorów omawianego tu projektu i dołączonych do niego motywów w dalszej argumentacyi za sądownictwem duchownem w sprawach małżeńskich do rzekomych dowodów wręcz przeciwnych samoistności sądów duchownych i Kościoła katolickiego i takową znoszących, a zatem przez Kościół potępionych: Mamy tu na myśli osławione gallikańskie i józefińskie „jus Majestaticum circa sacra" i jeden z jego głównych objawów, tj. »*jus placeti regii*«, do którego w rażącej niekonsekwencyi odwoływali się autorowie projektu w dalszym ciągu motywów. Takowe przywodzą oni na zbicie zarzutu, że sądownictwo duchowne, zostając pod „obcemi, od rządu niezawisłemi prawami i pod obcym naczelnym wpływem, ubliża powadze panującego, zrządzić może nieporządek w kraju i tworzy stan w stanie". Zdaniem autorów projektu, wyrażonem w motywach (l. c. str. 143). na podstawie rzeczonego *juris placeti* bez pozwolenia panującego żadna nowa religia do kraju wprowadzoną, a w religiach już w kraju istniejących żadne zmiany ważne ani wprowadzone, ani publikowane być nie mogą. Dziwna ignorancya autorów projektu co do zasadniczego i historycznego stosunku Kościoła do państwa w tej kardynalnej kwestyi zwłaszcza odnośnie do Polski, występuje w ich twierdzeniu, że temu ograniczeniu, tj. przez *jus placeti regii* podlegały zawsze i podlegają bulle papieskie i kanony soborów. W licznych swych aktach Stolica Apostolska formalnie i uroczyście protestowała przeciw wykonywaniu przez władze państwowe owego *placetum* i potępiała je jako nadużycie, jako bezprawne naruszenie wolności i niezawisłości Kościoła[1]).

Dosyć tu przytoczyć konstytucyę pap. Juliusza II „Consueverunt" z r. 1511, wciągniętą do bulli „In Coena Domini", tudzież konstytucyę pap. Innocentego „In eminenti" z 11 listopada 1651. Z dalszych wywodów autorów projektu okazuje się,

[1]) ob. Tarquini Dissertatio de rego placet praefatio, ob. Hinochius System. d. kathol. Kirchen. III. B § 190. S. 752 u. folg. ob. Herders Staatslexikon 4. B. 4. Aufl. S. 153 u. folg.

jak ówczesne sfery rządowe i parlamentarne w Polsce przesiąknięte były błędnemi doktrynami Van-Espena, Febronianów i Józefinistów, według których papieża i prawo kościelne pojmowano jako władzę i prawo obce, przeciw którym wykonuje zwierzchnictwo władza krajowa w formie *placeti regii*. Tego rodzaju uzasadnianie państwowego *placeti regii* odpiera już papież Klemens XI w konstytucyi „Accepimus nuper" z 11 stycznia 1715 r. uwagą, że zakres jurysdykcyjny papieża rozciąga się na świat cały. A przecież w projekcie niniejszym w przeciwstawieniu do ustawodawstwa Napoleońskiego miał być w myśl polecenia Aleksandra I, którego wykonawcami byli właśnie autorowie projektu, uwzględniony moment religijny katolicki, jako pierwiastek najściślej z polskim charakterem narodowym złączony. Wszak w całym ustroju państwowym Polski aż do jej upadku politycznego nie mogło być mowy o stosowaniu *placeti regii* do Kościoła i religii katolickiej, jako religii panującej. Nie było mowy o takowem nawet w czasach reformacyi w Polsce wobec tak doniosłych dla państwa dekretów trydenckich, które bez zastrzeżeń ze strony króla i rządu polskiego w całości zostały przyjęte, zanim jeszcze synodalnie dla zakresu kościelnego zostały ogłoszone i wprowadzone. Zobaczmy teraz, jakie wnioski wyprowadzają autorowie projektu w jego motywach z powyższego fałszywego założenia, które opierają na *placetum regium*. Argumentują oni, iż lubo, sądownictwo duchowne stosować się musi z natury swej do praw obcych, nie są jednak i nie będą nigdy te prawa obce panującemu, bo on zachowując w kraju istniejące już religie, a bardziej jeszcze zaręczając im konstytucyjną protekcyę, już wiedział o prawach religijnych dotychczasowych, a nowe prawa religijne nie mogą nadal bez wiedzy i zezwolenia panującego *sine placete regio* w kraju obowiązywać. A stąd i dalszy wniosek, że wpływ obcy na sądownictwo duchowne nie może być dla porządku krajowego szkodliwym, ani powadze panującego ubliżać, bo wpływ ten tyle tylko może być skutecznym, ile panujący z prawa swego *ex jure majestatico circa sacra* na niego pozwoli. Ztąd nareszcie wypływa ostateczny wnio-

sek, iż duchowieństwo przez udzielenie sądownictwa w sprawach małżeńskich nie będzie tworzyć stanu w stanie, bo to sądownictwo zostanie zawsze pod prawami i pod wpływem panującemu znanemi i przez niego przyjętemi. Wszakże i teraz (opiewają motywa l. c. str. 143) sądownictwo duchowne dla sumienia ma miejsce, chociaż skutków cywilnych nie rozciąga i w takim stosunku można je uważać za niebezpieczniejsze, bo działa skrycie, włada sumieniem ludu i postawione jest w konieczności z ustaw religijnych nakazywać wiarę i czyny lub opuszczenia przepisom cywilnym przewinione. Naostatek wie N. Pan najlepiej, czy i jak dalece prawa religijne i wpływ obcej zwierzchności religijnej, a szczególnie Stolicy Apostolskiej (sic!) sprzeciwiać się mogą najwyższej władzy, gdy mając w cesarstwie swojem więcej zapewne milionów wyznań chrześcijańskich, różniących się od greckiego i katolików, jak się ich w Królestwie Polskiem znajduje, zatrzymał w całej powadze prawa ich religijne i wpływ zwierzchności religijnej."

Dotąd motywa. A więc w pojęciu autorów projektu prawa i zwierzchności religijne, a w szczególności prawo kościelne katolickie i Stolica Apostolska, to prawo i władza dla Królestwa Polskiego obca! przeciw której najskuteczniejszą gwarancyą w ręku panującego, umożliwiającą mu ich znajomość — i zapobieżenie szkodliwym dla państwa następstwom ich działalności i wpływu ma być jego *jus majestaticum circa sacra*, jego *jus inspiciendi* w sprawach kościelnych. Argumenty to zaiste jakby wyjęte z ust najzagorzalszych regalistów, józefinistów i cezaro-papistów, którymi posługiwali się polscy, katoliccy mężowie stanu i kodyfikatorowie w swych ustawowych motywach, aby uzasadnić wobec Sejmu Królestwa Polskiego, że sądy duchowne małżeńskie, jakkolwiek rzekomo obce, obcem, t. j. kościelnem posługujące się prawem i obcej naczelnej podlegające władzy, tj. Stolicy Apostolskiej nie są szkodliwe dla państwa, bo nad jego dobrem czuwa panujący, uzbrojony w *placetum regium* i w *jus majestaticum circa sacra!* Do tego stopnia doszło wśród ówczesnych sfer rządzących i parlamentarnych Królestwa

Polskiego Kongresowego wypaczenie kardynalnych zasad katolickich, dotyczących stosunku państwa do Kościoła!! Trzeba było nieugiętego charakteru Apostolskiego Wyznawcy, aby katolickie, nie dopuszczające kompromisu principia społeczeństwu polskiemu przypomnieć i wobec władz schizmatyckich ich bronić. Mąż taki znalazł się w Senacie Królestwa Polskiego, a był nim powyżej wzmiankowany X. Karol Skórkowski, biskup krakowski, jak o tem świadczy wybitnie nie spożytkowane dotąd jego biskupie archiwum.' (Dok. nast.)

J. Brzeziński.

Upiór w poezyi Adama Mickiewicza.

(Ciąg dalszy).

W balladach, ogłoszonych drukiem w 1822 roku, użył Mickiewicz motywu upiora w „Liliach“, w „To lubię“ i w „Romantyczności“. O pierwszym wierszu, jeszcze nieukończonym, pisze poeta 5 maja 1820 w liście do Jeżowskiego (pod nazwą „Lilia“). 10 maja tegoż roku wspomina Jeżowski „To lubię“, które Malewski już był wręczył Borowskiemu; 8 czerwca odczytano tę balladę na zebraniu filomatów. W tym samym czasie pracuje Mickiewicz nad przekładem „Rękawiczki“ i nad „Tukajem“, który bezpośrednio wyprzedza „Lilie“, używa zaś, dodajmy, tej samej miary wiersza, na której opiera się forma „Ucieczki“.

Maj 1820 roku można zatem nazwać miesiącem ballad, z których dwie posługują się motywami, pokrewnymi osnowie „Ucieczki“, trzecia przypomina ją budową formalną. Obie ballady, „Lilie“ i „To lubię“, łączy nadto charakter „pieśni gminnych“, zaznaczony przez samego twórcę w nagłówku i uwadze wstępnej (zob. wydanie z 1822) W tym kierunku jednak zachodzą tu znaczne różnice.

Wiersz „To lubię“ — ukończony wcześniej, jak poucza korespondencya — wprowadza tylko szczegóły ludowego pomysłu. Przysłania je silnie działający motor osobistych wspomnień oraz forma, która wcale nie zamierza naśladować prostoty ludowego tonu.

Motyw upiora wystąpił epizodycznie w opowiadaniu pokutującego ducha dziewczyny. Rysy ludowe splątały się tu z odgłosem przeżyć subjektywnych. Przyczyna pośmiertnej męk nieczułej Maryli nie jest obca ludowym wyobrażeniom. Kolberg wymieniając „To lubię" dodaje, że w podaniach lubelskich duchi dziewczyny, „co żadnego kochać nie chciała, zabiega drogę dorosłym młodzieńcom, jedną rękę kładzie na ustach, a drugą na sercu" (Lud XVII, II. s. 86). Ta nieczułość staje się powodem śmierci Józia, który „poszedł i umarł z miłości", zapewne sam sobie życie odebrawszy, skoro później powraca z piekieł po zemstę. I ten pomysł — samobójstwo z powodu nieodwzajemnionej miłości — zanotowali polscy etnografowie, Czacki i Wójcicki[1]).

W literackich opracowaniach balladowych miejsce nieczułości zastępuje zwyczajnie zdrada, przez co zwiększa się stopień winy i lepiej uzasadnia kara, która spada na niewierną kochankę. Ten typ jest pochodzenia niemieckiego, jakkolwiek silnie rozszedł się i w literaturze angielskiej w dalszych naśladownictwach „Lenory". Z dzieła Bürgera wzięła początek jaskrawa forma zjawienia się upiora, a zwłaszcza okropna scena kary. Tutaj tkwią początki „romantyki grozy", znajdując już gotowe dekoracye w dawniejszych naśladownictwach Younga (zob. zwłaszcza „Kościół śmierci" Feutry'ego[2]). Tło i rzecz sama już były znane oddawna w literaturze polskiej, zanim wystąpił Mickiewicz.

Józio w „To lubię" należy do kategoryi duchów-potępieńców: o północy, wśród „hałasu, szumu i świstów":

> Przyleciał Józio w straszliwej postawie,
> Jak potępieniec ognisty.
> Porwał, udusił gęszczą dymnych kłębów,
> W czyścowe rzucił potoki.

Tam „pośród jęku i zgrzytania zębów" od stu lat trwa w męce duch Maryli. Tylko na noc opadają łańcuchy, pokutnica

---

[1]) Cytuje Kolberg „Lud" XXI, II. s. 148, 9.

[2]) Por. Szyjkowski M.: Edwarda Younga „Myśli nowe" w poezyi polskiej, Kraków, Ak. Um. Wydz. fil. 1916.

porzuca „ogniste głębinie“, strasząc na rozdrożu i oczekując zbawcy, który ma ją wyzwolić od męki.

Jaskrawość tych rysów odczuł sam poeta. W późniejszym wstępie „Do Przyjaciół“ rzecz całą w żart obraca, zapowiadając, że „chce coś okropnie, coś pisać miłośnie o strachach i o Maryli“: balladą „To lubię“ „straszył“ Marylę, „żegnając ją na dobranoc“ — jak straszy się niepoprawne dziecko, chcąc wykorzenić z niego złe przyzwyczajenie. Takie pseudo-pedagogiczne założenie uzasadnia istotnie do pewnego stopnia rolę upiora-potępieńca i okropność kary bohaterki w „To lubię“. Na dnie tej tendencyi, później dorobionej, leży zapewne wzgląd artystyczny, zamiar zcieniowania barw, zbyt rażących w osnowie ballady.

Ballada „Lilie“ jest jedynym utworem Mickiewicza, który posiada ten sam, co „Ucieczka“, charakter. Na treść jej złożyły się dwie pieśni ludowe, powtarzane na Litwie — podobnie jak temat lenorowy — „między drobną szlachtą i klasą służących, mówiących po polsku“. Pierwszą z nich: o zabiciu pana i zemście braci — zapisał Wacław z Oleska; drugą opracował w „Malinach“ Aleksander Chodźko. Do obu tych podań dołączył poeta motyw upiora, tak żywo zajmujący ówcześnie wyobraźnię twórcy „Dziadów“; przez umiejscowienie akcyi w historycznych czasach kijowskiej wyprawy Bolesława Śmiałego zaznaczył się związek „Lilij“ z poprzedzającym rozwojem „dumy“ oraz zależność jej pod tym względem od literackich opracowań balladowych motywów.

Pomimo różnic w treści i w budowie formalnej s t y l „Lilij“ czyni je bliźniaczym utworem w porównaniu z „Ucieczką“ Jest w tej balladzie ta sama niezrównana prostota tonu, oparta wprawdzie na odmiennej konstrukcyi trójstopowego siedmiozgłoskowca, jednak używająca bardzo podobnych środków stylistycznych. Podobna metoda szkicowania wypadków, które szybko po sobie następują, anaforyzm w budowie zdań, figura powtarzania w różnych formach, użyta w „Liliach“ jeszcze częściej, aniżeli w „Ucieczce“ wreszcie, jako nowość, onomatopeje (stuk, stuk, traf, traf, skrzyp, skrzyp) — takie są zasadnicze

cechy stylu „Lilij". Te cechy wyniknęły z takiej samej metody opracowania tematu: poeta dostosował styl całości do zapamiętanych wierszy z „pieśni gminnej", które wprowadził do poematu niemal bez zmiany. Tego samego sposobu użył Chodźko w „Malinach"; a skutkiem tego trzy te utwory: „Lilie", „Ucieczka" i „Maliny" tworzą jedną grupę wierszy, w których ballada polska osiąga najwyższy stopień zbliżenia do charakteru ludowej pieśni.

Nie znaczy to, ażeby na kreacyę „Lilij" nie oddziałały również wpływy literackie. We formie onomatopeje, choć nie psują ludowego tonu, są zapewne wynikiem lektury „Lenory". Poeta naśladuje pukanie i odgłos drzwi otwieranych. Nie pominął tego szczegółu w „Ucieczce" („Skrzypnęły dolne podwoje...") wprowadził go w podobnem miejscu w „Liliach", posługując się naśladowaniem głosu. Podobna sytuacya jest w „Lenorze":

Und klirrend stieg ein Reiter ab,
An des Geländers Stufen;
Und horch! und horch! den Pfortenring
Ganz lose, leise, *Klinglingling!*

W „Liliach" pani „nakształt upiora" puka do chaty pustelnika; opowiadá mu o nocnych odwiedzinach zamordowanego męża:

Zaledwie przymknę oczy,
Traf, traf, klamka odskoczy,

Skrzyp, skrzyp, i już nad łożem
Skrwawionym sięga nożem

Historycyzm ballady jest również znamieniem „Lenory" a zarazem pozostałością po „dumach". Z niemi również łączy się motyw upiora w „Liliach". Użył go poeta naprzód jako środka opisowego, malując przerażenie „pani" po dokonanej zbrodni:

Pani nakształt upiora
Z krzykiem do chatki leci.
Ha! ha! zsiniałe usta,

Oczy przewraca w słup,
Drżąca, zbladła jak chusta

Upiór w „Liliach“ należy do tej samej kategoryi, co Józio w „To lubię“; duch Alonza w „dumie“ Niemcewicza stanowi w poezyi polskiej prototyp literacki dla obu tych mar Mickiewicza. Nocą nawiedza upiór-potępieniec niewierną żonę:

Skrwawionym sięga nożem
I iskry z pyska sypie.

Działa z poza grobu, wzniecając bratobójczą walkę pomiędzy braćmi i spieszy sam z pomstą za wiarołomstwo w chwili zamierzonego zawarcia nowego małżeństwa:

Wtem drzwi kościoła trzasły,
Wiatr zawiał, świece zgasły,
Wchodzi osoba w bieli:
Znany chód, znana zbroja...
Staje, wszyscy zadrżeli,
Staje, patrzy ukosem,
Podziemnym woła głosem.

Taka sama katastrofa, jaka przerwała ślub niewiernej Heleny w przeróbce utworu Lewis'a, spada na niewierną żonę i jej wspólników w „Liliach“. Jedynie maska upiora, wymierzającego sprawiedliwość, nie nosi tych wszystkich rysów trupich, które tak lubią gromadzić naśladowcy Bürgera. Poeta polski, który tym razem nie miał zamiaru nikogo „straszyć“, zrzekł się łatwego efektu za cenę zachowania artystycznej miary.

Osobliwe miejsce wśród ballad Mickiewicza zajmuje „Romantyczność“, posłana w liście do Zana 13 stycznia 1821 roku i powtórnie w dwa dni później (we wspólnym liście do Zana i Jeżowskiego). Wiersz ten, napisany po ukończeniu znacznej części ballad, a przed rozpoczęciem, jak się zdaje, „Dziadów“, pomieścił poeta na czele drukowanego zbioru po dedykacyi w „Pierwiosnku“, zaznaczając już w tytule swoje „c r e d o“ literackie i polemizując w treści z poglądami racyonalistów. Nie wystarczyło poecie uzasadnienie romantycznego programu w pro-

zaicznej „przemowie". Podniecony artykułem Jana Śniadeckiego z 1819 roku (w „Dzienniku Wileńskim") zareplikował ostro we formie poetyckiej paraboli, proklamując prawa „czucia i wiary", żywych prawd, które dojrzeć można tylko „oczyma duszy".

Rozprawa Śniadeckiego, do której odsyła sam Mickiewicz w rękopisie „Romantyczności", odbiła się głośnem echem w ówczesnej polemice dwóch obozów. Brodziński, jakkolwiek nie mógł się uważać za dotkniętego, odpowiedział pośrednio, tłómacząc w „Pamiętniku Warszawskim" artykuł z francuskiej „Minerwy" „O poetycznej literaturze niemieckiej" — i uzupełniając tłumaczenie własnemi uwagami. W sprawie romantycznej „dziwności" — którą tak nielitościwie skrytykował profesor wileński — uspokajał Brodziński: „Obłąkania metafizyki (na której karb bardzo lekko przychodzi dowcipom i nieznającym literatury niemieckiej dawać o niej ogólne wyroki) niech nas nie zastraszają".

Sam autor „Wiesława" nie jest jej zwolennikiem: „widzieliśmy — pisze — „i z pociechą widzimy dotąd, że ten płód bezużyteczny nigdy się narodu naszego nie uczepi i daj Boże! abyśmy tak, jak od tej wady, od powyż wymienionych wad francuskich zapewnieni byli" („Pamiętniki Warsz." 1819, kwiecień).

Daleko energiczniej przeciwko „obelgom" — jak pisze — starego klasyka wystąpił bezimienny autor „Uwag nad Jana Śniadeckiego rozprawą o pismach klasycznych i romantycznych" („Pam. Warsz." 1819, sierpień), choć i ten krytyk niezupełnie stanowczo broni romantycznej „machiny cudownej". W tym kierunku zarzuca autor „Uwag" Śniadeckiemu niesłuszne uogólnienia. „Nie należy bowiem — pisze — zapatrywać się na potwory od samych romantyków potępione, jak to czyni (Śniadecki)... gdzie z jednej trajedyi Goethego mniej sumiennym sposobem rzuca potwarz na romantyczność, jakoby ta wprowadzała na scenę schadzki czarownic, ich gusła, wieszczby, duchów chodzących i upiorów". W dodanej jednak nocie ten sam pisarz broni „Fausta", wywodząc: „że Goethe w tym dramacie duchy wprowadza, każdy mu przebaczy, co wzgląd mieć zechce, że

autor ten wystawia Fausta podług bajecznych o nim ludu powieści i że zatem to dzieło co do układu do średnich raczej wieków należy".

Inni dramaturdzy niemieccy nie poszli zresztą za przykładem „Fausta"; u Schillera niema „ani dyabła, ani upiora, ani anioła" — a zatem nie jest prawdą, jakoby romantyczność „wprowadzała na scenę schadzki czarownic, ich gusła, wieszczby i t. d." Śniadecki nie czytał arcydzieł nowej szkoły; nawet „Fausta" ocenia tylko na podstawie nieprzychylnej recenzyi. Nie rozumie „cudowności religii Chrystusa", która „napełniła romantyczną poezyę jakby natchnieniem". Nie umie wyjść poza „obręb zimnego kadłuba", nie czuje nowych piękności poetyckich, do których przystępuje z „nożycami zimnego matematycznego rozsądku", zapominając, „że mówi o poezyi" i biorąc wpoetów za matematyków".

W Wilnie sprawa „cudowności" była oddawna aktualna. Poruszyła ją w powieściach, tutaj wydanych, Mostowska, zachęcają do zbierania przesądów gminnych dla celów naukowych instrukcye uniwersytetu, piszą o tem również „Wiadomości brukowe" w związku z coraz modniejszym mesmeryzmem [1]).

W 1821 r. drukuje organ Szubrawców, tak bliski filomatom, artykuł p. t. „Karczma zaczarowana" (23 lipca). Jest to opowiadanie, utrzymane w tonie satyryczno-humorystycznym, właściwym czasopismu, w którem Zan ogłasza swoje „rozdziałki". Wstęp jednak do tej humoreski jest poważny, a porusza w nim autor zagadnienie, tak żywo zajmujące myśl ówczesną. „Wiek dzisiejszy oświecony — czytamy tutaj — jak się sam nie wiedzieć dlaczego przezwał, wyśmiewa dawne czasy, upatrując w nich przesądy i zabobony, którym wierzyć nie raczy. Stąd powieści o wróżkach, czarach, urokach, upiorach, sobótkach, a nawet o nieocenionych skutkach magnetyzmu zwierzęcego, za baśnie uwagi niegodne przez wielu mniemanych filozofów

[1]) W latach 1816—1818 wychodzi drukiem „Pamiętnik magnetyczny wileński", pod redakcyą I. E. Lachnickiego, o którym wspomina Mickiewicz w liście do Czeczota z listopada 1822 roku.

dzisiejszych ze szkodą poezyi, wymowy, medycyny i wszystkich sztuk wyzwolonych są poczytywane. Prawda atoli nie przestała być prawdą: romantycy dzisiejsi wraz ze stronnikami i praktykantami mezmeryzmu dla dobra i chwały cierpiącej ludzkości korzystają z niej, ile mogą. Rodzaj ludzki, pomimo skażenia prawie powszechnego, nie może się odmienić co do istoty swojej, ani się wyłamać z pod wpływu sił nadprzyrodzonych, które, na złość niedowiarkom, codziennie swe skutki okazują".

Cały ten wywód pozostaje w widocznym związku z polemiką ówczesną; w określeniu „mniemanych filozofów" dopatrywać się można nawet aluzyi do artykułu Śniadeckiego. Postawiono przytem sprawę najszerzej: jako zagadnienie, które obejmuje całą myśl człowieka i należy do istoty rodzaju ludzkiego.

Taki sam punkt widzenia zajął Mickiewicz w „Romantyczności". Kwestyę „machiny cudownej" poruszył był już przedtem autor „Kartofli" w rozprawie o „Jagellonidzie", czytanej w kwietniu i maju 1818 r.; tam jednak chodziło jedynie o literacką modernizacyę „dziwności epickiej", a i w tym kierunku nie umiał jeszcze młody krytyk zająć zdecydowanego stanowiska.

Od tego czasu zmieniło się bardzo wiele. „Dziwność" romantyczna weszła w skład ballad, równocześnie zaś dokonała się przemiana teoretycznych poglądów. Tutaj polemika ze Śniadeckim wywarła wpływ widoczny. W przemowie do „ballad i romansów" zbył poeta krótko sprawę „cudowności", zajmując to samo względnie umiarkowane stanowisko, co bezimienny autor „Uwag" nad rozprawą Śniadeckiego; wspomniał, że istota romantyzmu nie polega na „łamaniu prawideł i wprowadzaniu dyabłów".

Tak ogólnikowe załatwienie tej kwestyi nie mogło wystarczyć; sprawa bowiem przestawała być przy bliższem wejrzeniu literacką i sięgała daleko głębiej aż do samej istoty tej idei, która już podówczas kształtuje się w mózgu poety, ażeby niebawem wydać dzieło życia: „Dziady". Śniadecki, zalecając „nożyce zimnego rozsądku", zaprzeczył żądaniom lirycznego zapału, którego wagę i znaczenie podniósł wymownie krytyk „dum"

Czeczota; przedewszystkiem zaś sponiewierał wiarę w transcedentalny związek dusz, w metafizyczną możliwość porozumienia się dwóch serc, rozdzielonych zrządzeniem jakiejś materyalnej siły. Tę wiarę w duchów obcowanie zasypał uczony profesor stekiem obelg: nazwał ją kilkakrotnie „dubami" prostactwa, „głupstwem" „spodlonego niewiadomością i zabobonem umysłu", „barbaryzmem", „karykaturą fałszu i głupstwa". Szekspira, który „wywodzi na scenę umarłych z grobu", usprawiedliwia tylko do pewnego stopnia epoka ciemnoty umysłowej, kiedy teatr przypominał „karczmę" lub „rynek jarmarkowy". Gdyby ten sam „dziki geniusz" żył w czasach „oświecenia", z pewnością nie wywoływałby „z grobu dawno zagrzebanych głupstw".

Z początkiem 1819 roku, kiedy ogłoszono artykuł Śniadeckiego, nie czuł się zapewne Mickiewicz tak żywo dotkniętym treścią i tonem rozprawy. Wszakże dopiero w dwa lata później pisze „Romantyczność". W tych dwóch latach ustala się kierunek literackiego rozwoju twórcy „Ody do młodości", a nadto przybywają momenty osobiste, które domagają się energicznego uzasadnienia. Idealizm Schillera wypełnia duszę polskiego twórcy, posiłkuje go zaś rozpoczęta pod koniec 1820 roku tragedya życia Gustawa. Ustalona niemożliwość połączenia się z Marylą i wiadomość o śmierci matki, zwraca myśl poety w sferę ponadzmysłową. Motyw upiora, dotąd literacki, staje się dziwnie odpowiednią formą na wyrażenie uczuć, tęsknot i cierpień, których nie chce zrozumieć i odczuć chłodna rzeczywistość. Mało subtelne, „rozsądne" uwagi Zana i Jeżowskiego, którzy również ze „szkiełkiem w oku" przyglądają się cierpieniom Gustawa — rozdrażniają jeszcze bardziej poetę. Potrzeba odpowiedzieć i Śniadeckiemu i tym wszystkim, którzy odrzucają „czucie i wiarę", gdyż nie mieści się w „obrębie zimnego kałkułu".

Tak rodzi się „Romantyczność", skierowana na ręce Zana i Jeżowskiego. Otwiera ją motto z „Hamleta", podobnie jak drugą część „Dziadów"; już w tym wyborze epigrafu z tragedyi, w której Szekspir „wywodzi na scenę umarłych z grobu", jest jakby aluzya do krytyki Śniadeckiego. Pozatem motto zostało bardzo szczęśliwie dobrane. Istotnie: dziewczyna, gmin

i sam poeta widzą przed „oczyma duszy swojej“ to, czego nie może dopatrzeć myśl mędrca, pozbawiona wewnętrznej zdolności patrzenia. Przytem angielskie cechy wizyi upiora zostały już jakby w ten sposób zapowiedziane. Ta wizya stanowi oś osnowy wiersza, staje się tem zjawiskiem spornem, które wywołuje zasadniczy rozdział na realistów i idealistów. Tęsknota kochanki przywodzi przed oczy duszy postać zmarłego Jasia zgodnie z wyobrażeniem ludowem i balladą szkocką.

Pozatem jednak oraz poza wspomnianem pianiem koguta „Romantyczność“ nie ma żadnych znamion ludowości. O wiele silniej przypomina literacką stylizacyę w guście „Snu Marysi“ Niemcewicza, opartą na „duchu lubego Wilhelma“. Karusia jest historycznie i artystycznie kreacyą pokrewną „dziewicy“ Czartoryskiego oraz innych bohaterek poezyi i romansu na początku XIX wieku. Wizya upiora nie ma tu znaczenia materyalnego faktu, jak w lenorowych tematach. Odbywa się ona na poły we śnie: „to może we śnie?“ — zapytuje sama Karusia. Jej świadomość jest w stanie katalepsyi, co w pierwotnej redakcyi oznaczył poeta wyraźniej, aniżeli w później ustalonej, opisując:

Stoi zbladła jak trup,
Oczy przewraca w słup.

Zwracając się dwukrotnie do Zana, zaleca poeta, ażeby „od tego wiersza *Tyżeś to w nocy* „aż do końca mowy“ deklamował „tonem drzemiącym, jak owo proroctwo u Jeża“.

Dziewczyna wie o tem, że widzi ducha zmarłego Jasieńka — widzi w tej materyalnej postaci, w jakiej ostatni raz wyglądało ciało na marach: w „białej sukience“ sam „zimny i biały jak chusta“. Poeta unika wszelkich sztucznych dodatków, łączy prostotę z naturalnością, zaznacza eteryczność wizyi. Tylko dziewczyna widzi duszę kochanka — prostota gminu w i e r z y, że „Jasio być musi przy swej Karusi“, choć żadnych materyalnych dowodów na to nie posiada.

Zaszedł fakt metafizyczny, którego nie można stwierdzić doświadczeniem — fakt nie oderwany, ale przytoczony jakby przykładowo, zastępujący metonimicznie całą sferę zjawisk po-

nadzmysłowych. Na tem polega olbrzymie rozrośnięcie się balladowego pomysłu do znaczenia konfliktu pomiędzy wiarą a wiedzą. Mędrzec ze szkiełkiem w oku, powtarzając wyrażenia z rozprawy Śniadeckiego, ciska „obelgi" na całość zjawisk metafizycznych — poeta występuje z obroną nietylko gminnej wiary w upiory, ale całego kierunku idealistycznego, któremu nie wystarczają granice przestrzeni i czasu.

Ta odpowiedź „mędrcowi" kosztowała też poetę najwięcej pracy: ostatnie zwrotki „Romantyczności" są w rękopisie kreślone najsilniej i powtarzają się w kilku waryantach [1]). Pierwotne zakończenie brzmiało:

> Lecz gdy chcesz dojrzeć upioru i cudu,
> Miej serce i patrzaj w serce.

(Podobnie w odmianie, zapisanej ręką Czeczota).

W ostatecznej postaci „upiór" przeszedł w szerokie określenie „prawd żywych", w myśl ogólnej idei utworu. Poeta z trudem przetwarzał myśli, zanim osiągnął wyraz ostateczny. Upiór stał się metonimią całego programu myśli, w imię której „ystępuje do boju Mistrz polskiej poezyi. (D. n.)

Maryan Szyjkowski.

[1]) Analizę tych waryantów „Romantyczności" podaliśmy w rozprawie: „Mickiewicz w świetle nieznanych pism", zob. „Biblioteka Warszawska" 1910/II.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

X. Fr. Lisowski. **Charakter Sakramentalny.** Studyum historyczno-dogmatyczne. Lwów 1916. (Str. VII + 185, 8°).

Autor, znany już ze swej pracy o Epiklezie, dał nam znowu jedno z takich studyów teologicznych, jakiemi w ostatnich dziesiątkach lat zasłynęła przedewszystkiem Francya. Wybitniejsi bowiem teologowie tego kraju oddają się z pewnem upodobaniem teologii t. zw. pozytywnej i obdarzyli już świat katolicki szeregiem bardzo cenionych dzieł z jej zakresu. Na potwierdzenie wystarczy przytoczyć takie nazwiska, jak Tixeront, Pourrat, Prat, Batiffol, d'Ales, Vacandard i t. p.

Metoda teologii pozytywnej w przeciwstawieniu do spekulatywnej polega w swej zasadzie na tem, że podczas gdy ta ostatnia bada daną prawdę wiary samą w sobie: starając się wniknąć w jej głębie i stosunki do innych prawd, nie wiele zaś się troszczy o jej losy w ciągu wieków; to pierwsza podejmuje właśnie to drugie zadanie i śledzi pilnie przejawy owej prawdy czy to na pewnym tylko odcinku Podania chrześcijańskiego, lub też na całej jego linii: od czasów Chrystusa aż po dzisiejsze. Żmudną i długą drogę musi odbyć teolog pozytywny, bo do niego należy zbadać, czy i o ile dany dogmat zawiera się w księgach św., jak został zrozumiany przez Ojców, jak go rozwinęli wielcy teologowie, co mówią wreszcie o nim sobory. Słowem przejść musi całą Tradycyę, by zobaczyć i wykazać, że nieraz prawda złożona jakby w zalążku w Piśmie św., rozrasta się następnie we wspaniałe drzewo.

Otóż tej metody jął się autor, by nam stawić przed oczy rozwój

dogmatu o sakramentalnych charakterach — nie ograniczył się jednak do części pozytywnej tylko, bo w drugiej połowie książki bada charaktery pod względem spekulatywnym. A zatem chce nam dać o swym przedmiocie pełny obraz.

Jakżeż się z tego zadania autor wywiązał? Skreśliwszy we wstępie w ogólnych rzutach pierwotną ekonomię Bożą względem rodzaju ludzkiego — załamaną przez grzech pierworodny — następnie zaś zbawczem dziełem Jezusa odnowioną, stwierdza, że właśnie w tej nowej ekonomii, którą możnaby krótko nazwać: mistycznem ciałem Chrystusa, charakter odgrywa wybitną rolę czynnika organizacyjnego w tem ciele, czyli w Kościele św. W cz. I. widzimy, jak wątłe nasiona — dla przyszłego dogmatu o charakterach sakramentalnych — zawarte w owem niepozornem *signaculum* św. Pawła zaczynają już w nauce Ojców przed św. Augustynem puszczać korzonki — słabe jeszcze na razie. Wzmocni je niezadługo w świadomości chrześcijańskiej burza wywołana sporem o niepowtarzalność chrztu za św. Cypryana, a jeszcze więcej walka z Donatystami. Pogromca ich — św. biskup z Hippony — oddzieli już jasno charakter od łaski — ustali nietylko jego istnienie, ale i cel i główne przymioty. We wczesnem średniowieczu dość głucho o tej ważnej prawdzie dla niepowtarzalności trzech sakramentów — stąd nierzadkie nadużycia powtórnych święceń kapłańskich. Ale wielcy teologowie z 12 i 13 wieku przyczynią się znów swoim geniuszem do wyjaśnienia natury charakterów, ich zdania odnośnie do kultu Bożego; poruszą zajmującą kwestyę, jaki zachodzi stosunek między poszczególnymi charakterami w sakramencie kapłaństwa. Naukę wielkich mistrzów scholastyki — która była pewną reasumpcyą i wykończeniem spuścizny poprzedniej tradycyi — ujął Kościół na soborze florenckim w orędziu do Ormian, posiadającem wysoką powagę autentycznej deklaracyi. Brak więc tylko chrześcijańskiej prawdzie o charakterach orzeczenia dogmatycznego. Wywoła je reformacya protestancka, która, przyjmując nowe pojęcie usprawiedliwienia, spaczyła pogląd na sakramenta wogóle, a charaktery odrzuciła — jako wymysł ciemnych mnichów. Sobór trydencki orzeka nieomylnie, że trzy sakramenta wyciskają na duszy charakter t. j. znak duchowy, niezniszczalny i że tych 3 sakramentów powtarzać nie można. Tak się przedstawia w pobieżnem streszczeniu rozwój tego dogmatu. Autor stawia nam przed oczy ten rozwój w sposób istotnie jasny i przejrzysty. Idąc za nim widzimy, czy i o ile w danym okresie nauka o charakterach posuwa się naprzód; nie ogranicza się bowiem autor do chronologicznego zestawienia odnośnych

tekstów z literatury kościelnej, ale każdy etap — czy to skrypturystyczny, czy Ojców z pierwszych 4 wieków, czy augustyański, czy też wreszcie wielkich mistrzów średniowiecza i trydencki — poddaje spokojnej i rzeczowej ocenie, starając się wyłowić to złote ziarno, jakie każdy z nich przynosi do skarbnicy chrześcijańskiej nauki o charakterach.

Zstąpmy teraz do paru szczegółów. W zakończeniu I. cz. powiada autor, że nauka o sakram. charakterach jest klasycznym przykładem rozwoju dogmatów — to prawda, szkoda jednak wielka, że nie została bliżej określona natura jego, mianowicie czy jest on formalnym tylko, czy wirtualnym. Teologia katolicka odrzucając przedmiotowy rozwój dogmatów, przyjmuje podmiotowy, polegający na tem, że świadomość chrześcijańska poznaje coraz wyraźniej i pewniej prawdy objawione. Dziś np. nie ulega żadnej wątpliwości, że do szeregu prawd objawionych należy Niepokalane Poczęcie. Nie było tak w w. 13, gdyby bowiem ta prawda cieszyła się wtenczas takim samym stopniem jasności i pewności, nie mogliby tacy wielcy, jak św. Tomasz i Bonawentura pisać, że Niepok. Poczęcie „derogaret dignitati Christi“ i że „pietati fidei magis consonat“, żeby bł. Dziewica dopiero po zaciągnięciu pierworodnej winy została uświęconą — a w dodatku popierać swą opinię całym szeregiem argumentów. Przykład ten pokazuje niezbicie, że nie wszystkie dogmaty równie jasno zawierają się w Objawieniu, kiedy mogą być przeczone, a nawet zaprzeczone przez umysły tak potężne i przenikliwe. Stąd pytanie, w jaki sposób ma się znajdować dana prawda w źródłach Objawienia, by się stać mogła właściwym dogmatem. Jedni teolodzy twierdzą, że musi zawierać się w nich formalnie tj. temi samemi, lub conajmniej równoznacznemi słowy tak, żeby przez proste wyjaśnienie odnośnych miejsc z Objawienia uzyskać prawdę, o którą chodzi — nie zaś przez wnioskowanie. Inni skromniejsi w żądaniach (Cano, Saurez, Vazquez, Ripalda, Lugo) sądzą, że i taka prawda, która się wirtualnie tylko w Objawieniu mieści, podobnie jak wniosek w swej przesłance, może być ścisłym dogmatem, zwłaszcza jeśli się przyłączy do tego nieomylne orzeczenie Kościoła. Pierwsi przyjmują ciaśniejszy rozwój dogmatów: formalny, drudzy nieco szerszy: wirtualny. Otóż autor, jako specyalista w rozwoju dogmatu o charakterach, mógłby rozwiązać to ciekawe pytanie, czy mamy w naszym wypadku okaz rozwoju formalnego, czy też wirtualnego. Rozstrzygnięcie tej kwestyi podniosłoby niemało naukowe znaczenie dziełka. Autor stara się wytłumaczyć i uniewinnić harde bądź co bądź stanowisko św.

Cypryana, a zaciekłe i grubijańskie jego licznych towarzyszów tak z Afryki, jak i Azyi wobec rozporządzenia papieża Stefana — przesuwając punkt ciężkości w całym sporze z porządku dogmatycznego na dyscyplinarny. Zdaje się nam jednak, że to nie wystarcza, bo nawet i wtedy narzuca się z całą siłą to pytanie, jak mógł ś. męczennik i tylu biskupów z taką zuchwałością i uporem sprzeciwiać się nakazowi władzy najwyższej. Trzeba raczej przypuścić za Funkiem i Batiffolem, że Cypryan, choć uważał Kościół rzymski za rzeczywisty punkt jedności dla całego Kościoła, to jednak nie przyznawał mu właściwego prymatu juryzdykcyi. W braku jasnego pojęcia o pełności władzy biskupa rzymskiego — lub wogóle rozpoznawaniu jej — zdaje się tkwić istotny powód tego wysoce nielojalnego stanowiska biskupa kartagińskiego i jego stronnictwa. Wina ich ma swe siedlisko nie tyle w woli — ile raczej w niedostatecznem poznaniu.

Na str. 98 czytamy: „Jest dogmatem wiary, że prezbyterat jest sakramentem i że wyciska charakter". Jeśli słowa dogmat użyto tu w ścisłem znaczeniu, to zdaje się nam, że za wysoką notę teologiczną dał autor i jednej i drugiej prawdzie, bo żadnej z nich nie określił ani temi samemi, ani równoznacznemi słowy sobór trydencki. Powszechne zaś przekonanie w Kościele, że prezbyterat jest sakramentem, nie wystarcza dla nadania tej prawdzie tytułu dogmatu, wszak i Wniebowzięcie zaliczamy do nauk powszechnie w Kościele przyjętych, a mimo to czekamy dopiero na dogmatyczne orzeczenie— Ze strony 110 i 111 odnosi się również to wrażenie, że autor uważa za orzeczenie dogmatyczne nietylko te dwie prawdy: 1-a) trzy sakramenta wyciskają charakter, 2-a) nie można ich powtarzać, ale nadto sam przyczynowy związek między niemi — tak, że otrzymujemy prócz powyższych dwu prawd dogmatycznych jeszcze trzecią, która zawiera się w podaniu racyi: dlatego właśnie, że wyciskają charakter, nie można ich powtarzać. Jeśli wrażenie nasze nie jest czysto subjektywnem, to zdaje się nam, że sam związek przyczynowy między wyciśnięciem charakterów — a niepowtarzalnością odnośnych sakramentów nie podpada pod określenie dogmatyczne, bo naprzód wyrażenie: „unde" nie oddaje wystarczająco tego związku, powtóre z kanonu nie widać bynajmniej, żeby sobór chciał samą racyę niepowtarzalności podawać jako dogmat do wierzenia pod utratą zbawienia.

Część II. rozpatruje naprzód istotę samego charakteru. Wykluczywszy błędną teoryę Duranda i niektórych skotystów, jakoby charakter był tylko stosunkiem logicznym lub realnym, ale bez funda-

mentu rzeczywistego w duszy, wykłada autor powszechną naukę teologów, że charakter jest przypadłością duszy fizyczną, nadprzyrodzoną. W szczegółowszem zaś wytłómaczeniu natury charakteru idzie za zdaniem św. Tomasza. Ciekawą kwestyę o stosunku, jaki zachodzi pomiędzy charakterami dyakonatu, prezbyteratu i biskupstwa rozwiązuje w myśl nowszych teologów, że jest to właściwie jeden znak, lecz stopniowo udoskonalany. Z wielkiem zadowoleniem duchowem czyta się rozdziały, które badają charakter pod względem praktycznym — t. zn. w stosunku do Boga, Chrystusa Arcykapłana i Kościoła, a następnie do łaski jako uzupełnienia charakteru. Widzimy, jak przez charakter chrztu stają się ludzie członkami mistycznego ciała Chrystusa i otrzymują pewien udział w Jego arcykapłaństwie — w ten sposób powstaje stan wiernych, poświęconych na wieczystą służbę Boga. Charakter bierzmowania tworzy wojsko duchowe, które nietylko powinno mężnie podług wiary żyć, lecz i przeciwko jej nieprzyjaciołom dzielnie walczyć. Charakter zaś kapłański stwarza pośredników między ludźmi i Bogiem. W ostatnim rozdziale wykłada autor stosunek łaski do charakteru, pokazując ich podobieństwa, różnice i wzajemną łączność.

Zamyka się książkę z jednej strony z uczuciem wdzięczności dla autora, że polską literaturę teologiczną wzbogacił o jedno dzieło, które nie rości sobie może pretensyi do oryginalności — ale o którem też powiedzieć trzeba, że jest jasnym i potoczystym wykładem — a zarazem dość wyczerpującem i głębokiem ujęciem nauki chrześcijańskiej o charakterach — z drugiej zaś strony z pewnym żalem, że te właśnie dary Boże tak na ogół przez wiernych są zapoznane i niedocenione. Stąd rodzi się pragnienie, by tę książkę wziął do rąk i młody teolog, bo da mu ona wspaniały przykład rozwoju prawd chrześcijańskich, wprowadzi go w głębsze zrozumienie struktury sakramentów i wewnętrznej organizacyi Kościoła. Również i kapłan, zajęty pracą nad duszami, znajdzie w niej takie partye, jak np. wstęp, a zwłaszcza cz. II. B., które wybornie posłużyć mogą do ożywienia i dogmatycznego pogłębienia kazań.

A teraz słów parę o stylu książki. Napisana jest stylem poprawnym, potoczystym, który w pewnych częściach, jak np. we wstępie przechodzi nawet we wzniosły. Obniżają jednak te zalety tu i ówdzie — częste powtarzanie tych samych wyrażeń, które łatwo da się zastąpić innemi, nadużywanie spójnika „jest“, zbyt długie zdania nie zawsze szczęśliwie zbudowane. Zwłaszcza rozdział o stosunku charakteru do łaski robi wrażenie pewnego pośpiechu i co za tem idzie opuszczenia

się stylowego. Wyrugowanie ile możności łaciny z właściwego tekstu i przełożenie jej do przypisków usunęłoby trochę nieestetyczną pstrokaciznę tekstu. Słowa ex officio, de facto, ryt można dokładnie oddać wyrażeniami polskiemi, a już owo żargonowe dwukrotnie użyte: „ex offo“ nie powinno szpecić poważnego dzieła pod żadnym warunkiem. Ciekawą jest ta osobliwość autora, że zdaje się odmawiać miana scholastyków Suarezowi, Vazquezowi, Bellarminowi, już to nazywając Gabr. Biela ostatnim scholastykiem, już to przeciwstawiając na str. 122 wspomnianych autorów scholastykom. Zbyteczną jest metamorfoza Skota na Szkota. Te i t. p. drobiazgi możnaby uwzględnić w nowem wydaniu.

J. Andrasz.

Dzieje Kościoła polskiego w zarysie. — Część I. Dodatek: Zatarg ś. Stanisława z Bolesławem II. Śmiałym. — Napisał Aleksander Kozicki. — Lublin 1916. — Stron 184 i VI. — Cena 8 złp.

Całość historyi Kościoła w Koronie i Litwie, oddawna czeka na opracowanie, dzieło bowiem ks. Bulińskiego jest nieskończone a ks. Kanteka, ile że dopiero zaczęte na większą skalę, nie prędko jeszcze dobiegnie do końca. Wobec tego ks. Aleksander Kozicki, były prefekt szkoły w Siedlcach (dyecez. podlaskiej), rozpoczął w r. 1915 ułożenie zarysu Dziejów Kościoła Polskiego, którego część I. ukazała się niedawno, sięgając roku 1520. — Autor dzieli ją na 8 epok; w każdej przedstawia z osobna jej dzieje zewnętrzne i wewnętrzne — rozumiejąc przez pierwsze rozszerzenie Kościoła i stosunek tegoż do Państwa. — Zaletą tego dzieła jest korzystanie z najnowszych, bardzo poważnych monografij (choć nie wszystkich), bogactwo szczegółów, styl treściwy, a wcale nie ciężki. Dobrze jest przedstawiony stosunek Krzyżaków do Rzymu i do Polski, jako też działalność Henryka Kietlicza i Jakóba II. Świnki. Jest jednak pewna nierównomierność zarówno w treści, jak w przytaczaniu aparatu naukowego. I tak część I. ma sięgać do r. 1520., tymczasem o latach po zgonie Kazimierza Jagiellończyka nie wiele się dowiadujemy. O wejściu Żydów do Polski, o napadach Tatarów, o rzezi w Sandomierzu głucho, o Zbigniewie Oleśnickim i o Janie Długoszu pragnęłoby się więcej wyczytać. Wiadomości o zarządzeniach Papieży w sprawach Kościoła w Polsce przed wiekiem XIII. podano zanadto zwięźle, zaczem czytelnik, skądinąd ich nieświadomy, może rzeczy nie zrozumieć i nabrać fałszywego pojęcia ze szkodą dla

treści. Twierdzenie, że za synów Krzywoustego celibat był nieznany w Polsce (str. 67), że w XIII. jeszcze wieku większa część polskich księży nie umiała powiedzieć kazania — sądzimy, że są za śmiałe, a należało je udokumentować. Ustęp o pogaństwie (w jeden czambuł zbity) w Polsce i na Litwie, niełatwo ujdzie krytyki ścisłej, gdyż są to rzeczy nieznane dokładnie i dotąd nie zbadane.

Aparat naukowy, obficie cytowany w dziejach zewnętrznych, mało jest uwidoczniony w rozdziałach o klasztorach, a prawie zupełnie pominięty, gdy mowa o osobach do czci ołtarza wyniesionych. Gdy mowa o absolutyźmie Kazimierza Jagiellończyka, nie zacytowano pracy ks. Jana Koźmiana, chyba najgruntowniejszej w tej materyi. Kilka szczegółów musimy też sprostować. I tak w krypcie św. Leonarda w katedrze krakowskiej nie tylko są ślady na murze z XI. wieku, ale ona cała z owego stulecia pochodzi. Trzy błogosławione: Kingę, Salomeę i Jolentę liczy cały zakon Klarysek w Polsce, a nie wyłącznie klasztor w Gnieźnie (str. 106). Uroczystość bł. Kingi polecił Benedykt XIII. obchodzić w niedzielę po 23 lipca. Na str. 117. czytamy: „Litwa (Żmudź), rozdzieliła Prusy od Inflant, z którymi Krzyżacy już się zjednoczyli w r. 1332.“ — jeżeli tu mowa o wcieleniu Kawalerów mieczowych do Zakonu niemieckiego, to ono nastąpiło wcześniej, bo jeszcze w 1237. Twierdzenia, jakoby Olgierd został chrześcijaninem obrządku wschodniego, Autor nie uzasadnia. W kościele św. Barbary w Krakowie, mają być dwa słupy (wspierające sklepienie). Tak było w rzeczy samej, ale wtedy, gdy świątynia ta miała styl gotycki; przy tej okazyi można było dodać, że w jednym z najpiękniejszych zabytków stylu gotyckiego, jakim jest kościół św. Katarzyny na Kazimierzu, zarówno dwie kaplice, jak i zakrystya, mają sklepienie wsparte na jednym słupie. Świątobliwy Michał Gedroyć wstąpił do klasztoru w Bystrzycy (dyecez. wileńska), w Brzeźnicy zaś nigdy Kanoników regularnych „de Poenitentia“ nie było. Napotkaliśmy też kilka spaczeń językowych: nieraz w 4. przypadku czytamy „go“, zamiast „je“. „Pełny“, zamiast „zupełny“. Wyrażenia „Klarysek sprowadziła z Pragi“ (str. 106.), nie rozumiemy.— Jeszcze jedna uwaga: oto żałujemy, że Autor nie dał wydrukować aprobaty biskupiej, a przedmowę zamieścił na okładce w ciemnej barwie, wskutek czego uciążliwem jest odczytanie; dając książkę do oprawy, należy okładki nie oddzierać.

M. G. i M. B.

Ks. Jan Gajkowski: **Benedyktynki Sandomierskie.** Sandomierz 1917, in 12°, str. 172.

Niemałą zasługę w początkowem rozkrzewianiu wiary chrześcijańskiej w Polsce położył zakon Benedyktynów, których Bolesław Chrobry z Włoch i Francyi sprowadził, a pierwsze ich klasztory na Łysej Górze 1006, w Sieciechowie 1010 i na Tyńcu 1015 osadził; to też słusznie ów zakon cywilizacyjnym zakonem nazwanym został. Dźwigał bowiem klasztory swoje na wzgórzach[1]) nakształt obronnych zamków, karczował lasy, uprawiał rolę, uczył rolnictwa i rzemiosł, zakładał wsi i miasta, a napół barbarzyńskie plemiona przemieniał w cywilizowane narody. Pracowitę ich dłonie szybko zamieniały bezużyteczne bagniska i zarośla w urodzajne pola. A cóż dopiero powiedzieć o dawnych benedyktyńskich miniaturach: na Mszałach, Antyfonarzach, Graduałach, Psałterzach, wykonanych na pergaminie, żywymi kolorami, tak że po tylu wiekach ząb czasu nie zdołał wycisnąć na nich piętna zniszczenia swego. Od czasu zaś do czasu wysyłał z grona swego gorliwych apostołów do dalszych i bliższych krajów, którzy z krzyżem w ręku, miłością Bożą w sercu i słowem Ewangelii św. na ustach, pozyskiwali coraz to nowe ludy Chrystusowi i prawdziwej oświacie.

Oprócz klasztorów męskich, powstały żeńskie, przeznaczone do modłów chórowych we dnie i w nocy. Najstarszym z pomiędzy nich jest klasztor staniątecki, fundowany w pierwszej połowie XIII. wieku[2]) przez Klemensa na Ruszczy i Klimontowie, kasztelana krakowskiego, dla córki jedynaczki Wizenny (1289). Nas tu głównie obchodzi klasztor sandomierski, normujący się podług reformy chełmińskiej, świątobliwej Magdaleny Mortęskiej[3]) (1631). Pierwszą i właściwą założycielką klasztoru Benedyktynek reformy chełmińskiej w Sandomierzu, była Elżbieta z Gostomskich Sieniawska, marszałkowa koronna, wdowa po Prokopie Sieniawskim. Wybudowała tu na prędce drewniany klasztor z kościółkiem, wśród murów miejskich, za bramą Zawichojską, naprzeciwko kościoła św. Ducha. Budowę ukończyła 1615 i tegoż roku 30 października za zezwoleniem papieża Pawła V, oraz biskupów chełmińskiego i krakowskiego, sprowadziła marszałkowa na

[1]) Wyraża to wybornie znany łaciński wiersz: Bernardus valles, montes Benedictus amabat, oppida Franciscus, magnas Ignatius urbes.

[2]) Data fundacyi nie jest ustalona: jedni podają rok 1216, drudzy 1240.

[3]) Ks. Gajkowski stale pisze: Mortęcka, zamiast Mortęska. Tak samo klasztor staniątkowski, zam. staniątecki.

nową fundacyę z Chełmna starszą swoją córkę Zofię (młodsza Elżbieta zmarła w nowicyacie) wraz z 12 zakonnicami. W r. 1616 zapisała swej córce i klasztorowi sandomierskiemu dobra: Góry wyższe, Góry niższe, Gałkowice i Ocin.

Na podstawie przechowanych klasztornych kronik, naszkicował ks. Gajkowski po prostu i bez pretensyi życiorys pierwszej ksieni Zofia Sieniawska (1624—1629), jak również 18 następnych tegoż klasztoru ksień aż do r. 1903, kiedy nieprzyjaciele katolickiego kościoła zamknęli klasztor w Sandomierzu, a pozostałe zakonnice przeniesli do klasztoru Benedyktynek w Łomży. Życiorysy ksień zamykają niejako dzieje klasztoru sandomierskiego, opowiadają o jego doli i niedoli, jakie przechodził w czasie 3-wiekowego blisko istnienia swego.

X. Jan Sygański.

Do podstaw wychowania narodowego, Stanisław P i g o ń, Kraków 1917. VIII. 171.

Rozłam naszego społeczeństwa na dwa stany „lud" i „inteligencyę" „wlecze się" od dawna przez życie Polski. Od wieku usiłowano podźwignąć drogą ekonomiczną i oświatową chłopa, by złożyć na jego barki część odpowiedzialności narodowej. Obydwie drogi dotychczas zawodziły, bo „chłop, dźwigając się społecznie — nie tworzy swojej, nowej polskiej kultury, ale wchodzi w starą, „pańską", przeważnie wzmaga i kondensuje jej strony ujemne" (17). „Ludzie zaś, idący na wieś, by nieść oświatę... traktują ją jako groszodawczynię... jako zawód" (18). Tymczasem należy w chłopie wzbudzić instynkt poświęcenia się za sprawę wyższą, wskazać mu narodową wytyczną dla tego poświęcenia się — uświadomić. „Uświadomienia narodowego na wsi — przynajmniej galicyjskiej — jest zdumiewająco mało, a co najmniej 50 procent — nijakie. Słońcem, koło którego się obraca cały system publicznego życia chłopa w Galicyi — jest Wiedeń" (23). Należy w ludzie wyrobić poczucie osobistej odpowiedzialności za sprawę narodu, pracą metodyczną, nawracając do opiekunów ludu naszego z dawnej Polski: Frycza Modrzewskiego, Skargi i t. d. Muszą się też przedewszystkiem wyższe warstwy uszlachetnić, muszą zastosować w swem życiu prawo powszechnej miłości, a wtedy dopiero może być mowa o rzetelnym czynie dla Ojczyzny.

Oto treść dwu pierwszych rozdziałów. Drugi jest w intencyi autora

„cichem stóp pocałowaniem" dla Witkiewicza, któremu autor wiele zawdzięcza, którego uwielbia, a dodajmy od nas, aż zanadto uwielbia.

W szeregu następnych rozdziałów zajmuje się autor kwestyą, jak w sercach naszej młodzieży rozbudzić, spotęgować prawdziwie czynny patryotyzm.

Historya literatury polskiej powinna być historyą polskiego patryotyzmu. Nowsza zwłaszcza literatura patryotyczna ma ogromną wartość narodowo-wychowawczą. Nie należy jednak czerpać z utworów naszych wieszczów tylko nienawiść do wrogów, gdyż jest jej i tak zadużo. Młode dusze trzeba karmić „czarnoleskim", „państwowo-twórczym" patryotyzmem z lat wolności i z pokolenia jej najbliższego. Z pośród wszystkich poetów XIX wieku przedewszystkiem „życie i dzieła Mickiewicza należy uczynić szczytem i ośrodkiem narodowego wychowania przez litaraturę" (91). Z niego, jako Grecy z Homera, może się młodzież uczyć przeszłości narodowej, języka tak pięknego, a tak sponiewieranego przez nasze dedukcyjne gramatyki, może się uczyć religii.

Z utworów zaś Mickiewicza najwięcej pewno wartości wychowawczych ma „Pan Tadeusz", któremu „w Polsce dzieje się krzywda". Utwór ten ulepsza już, jak każde piękno, jako wzór powszedniego, ale zarazem podniosłego życia i — mimo epickiej objektywności — uczy „opowiadając przeszłość, jak w przyszłości żyć należy" (116). Naukę „bohaterstwa dnia powszedniego — nie wiedzącego o sobie", wcielił Mickiewicz w postać Robaka.

To bohaterstwo w życiu codziennem na rzecz Ojczyzny usiłuje wyrobić w naszej młodzieży nowy czynnik wychowawczy — skauting. Wycieczki, połączone z ćwiczeniami, oparte na posłuchu i rygorze wojskowym, z planowym poznawaniem naszego kraju, gawędy obozowe, to wszystko zmierza do nauczenia się „czynnej polskości", do rozbudzenia „instynktu państwowego". Ten cel mają i inne zabiegi wychowania skautowego, dające się objąć jednem słowem: wstrzemięźliwość.

Wstrzemięźliwość jest nad wyraz ważnym czynnikiem w życiu państwowem. Dotychczasowe państwa trwają na namiętnościach egoistycznych i dlatego nie są nigdy pewne swego, bo „rychło, a rozwarcholić się mogą komórki przeciw organizmowi" (154). Wstrzemięźliwość zaś tępi egoizm, wyrabia instynkt ofiary na rzecz drugich — narodu.

Ten duch ofiary na rzecz ogółu olbrzymieje dziś w czasie wojny, przez t. zw. chrzest ogniowy, w którym rodzi się nowy człowiek, przezwyciężający śmierć, niszczący w sobie strach przed nią. (164). Pewno,

nie wszyscy tej przemianie ulegają, tylko ten „w kim była zaródź świętego płomienia“ (165). Tych przeobrażonych wróci po wojnie spora ilość, wskrzeszając jakby dawny typ napoleonidów. I reszta społeczeństwa musi się podnieść do tych duchów kowanych w kuźni wojny. A jest do tego sposobność „w bezwzględnem oddaniu się służbie społecznej“ dla tej połowy Polski, co zeszła na żebractwo, co je — o ile je — gorzki chleb litości, w poniewierce, żebraniu... co oglądają w gruzach pracę swoją... zgorzeliny domostw, hańbę dzieci i patrzą zapuchłemi oczyma w twarz śmierci, jak nadchodzi cichcem, leniwo poza głodem, poza zarazą“ (168).

Tak się przedstawia treść, którą autor ujął w piękną szatę dzisiejszego polskiego słowa. Nie podobna też rzeczywiście przeczytać dziełka p. Pigonia bez wrażenia, bo w niem pomieścił duszę swą płomienną, miłującą Polskę nad wszystko, tak! dosłownie nad wszystko. W tem tkwi zaleta dziełka p. Pigonia i w tem niebezpieczeństwo.

Autor w całej swej rozprawce apoteozuje ojczyznę, stawia ją tam, gdzie Kościół stawia Boga. Dlatego do Ojczyzny odnosi parafrazę przykazania: „nie będziesz miał nic wyższego w życiu nademnie“ (117) i słowa Pisma św.: „Czy jecie, czy pijecie, czy cokolwiek czynicie, wszystko czyńcie w imię i dla Ojczyzny“ (147) i dlatego też „najwyższy kształt natężonego patryotyzmu“ nazywa religią, „mickiewiczowską religią narodowości“ (97) i takiej religii każe nauczać w szkołach z „Pana Tadeusza.

Lecz p. Pigoń nie jest ateistą — broń Boże. Rozczytany w Piśmie św., z całem nawet uznaniem dla tak wysokiej ascezy, o jakiej pisze Tomasz a Kempis. Ale i Bóg i wiara ma według niego służyć jednemu — ojczyźnie i o tyle to wszystko potrzebne, o ile wyrabia tęgich obywateli, Polaków. Jest to zatem nic innego, jak unarodowienie religii, bez mała kościół narodowy.

Może autor nawet nie chce tego wszystkiego powiedzieć, ale przecież to najbliższe konsekwencye jego przesłanek. I te zresztą wnioski wysnuwają protoplaści tych poglądów, w których p. Pigoń jest zapatrzony, na których wpływy otwarł na ścieżaj swą duszę: Mickiewicz, w okresie Towianizmu, Szczepanowski, Lutosławski i cała „Eleuzis“, w której autor, według wyrażenia Chrzanowskiego „brał niezmiernie żywy udział“. (Przedmowa VII).

Mógł mieć autor najlepszą intencyę, jednakowoż napinając strunę miłości ojczyzny na najwyższy ton, przeciągnął ją, wywołał dyssonans, w poglądach. A pocóż mącić najprostsze i najbardziej podstawowe po-

jęcia? Zgoda, nie jest zadaniem poety w „Panu Tadeuszu“, ani autora, uczyć prawd wiary, ale przecież i Mickiewicz właśnie w tym utworze i to przedewszystkiem w ks. X., na Jacku Soplicy, przedstawia nie tylko zwyczajną religię, nakazującą bić czołem wobec Boga, ale prawdziwie ascetyczną pokorę i to właśnie w tych wierszach, które prawdopodobnie autor wziął za podstawę swej myśli, o bohaterstwie dnia powszedniego. (Ks. X. w. 835—839). Pocóż więc krzywdzić wieszcza, zasłaniając oczy sobie i innym na to, co rzeczywiście napisał.

I dalej. Słuszną, konieczną jest myśl autora, przenikająca jego pracę od strony pierwszej do ostatniej, że do prawdziwej wolności, wielkości narodowej, potrzeba przeobrażenia wewnętrznego, podeptania egoizmu, potrzeba życia w powszechej miłości, ale to wszystko ma sens, jeśli jest coś więcej nad ojczyznę, nad doczesność i to wszystko da się dokonać, jeśli naród podda dusze do obrobienia tym, którzy są wysłannikami „urzędowego Kościoła“.

Gdy się tedy uwzględni to sprostowanie, można czytać dziełko p. Pigonia nawet z pewnem zadowoleniem, gdyż nie jest elukubracyą na zamówienie, ale raczej wyrazem rozognionego namiętną miłością ojczyzny serca i rwącego się w świetlane krainy prawdy umysłu. Dla wielkich zaś myśli, dla szlachetnych uczuć ma się prawdziwą cześć, choćby nawet raziły nieco swem przebarwieniem.

J. Krzep.

Ks. B. Chełmiński: **Nieomylność kościoła katolickiego.** „Głosy na czasie“ Nr. 37. Poznań 1914.

Krótkie, ale treściwe przedstawienie dogmatu nieomylności Kościoła i kwestyi z nią związanych podaje w swojej broszurze Sz. Autor.Mówi więc o samym fakcie nieomylności, opierającym się na nadprzyrodzonym fundamencie, którego domaga się zarówno cel i zadanie Kościoła, jak i potrzeba jedności; przytacza świadectwa Pisma św., tradycyi i historyi, stwierdzające zgodnie nieomylny charakter nauczycielskiego urzędu Kościoła; wyjaśnia istotę nieomylności, jej przedmiot, organa władzy kościelnej, którym przywilej ten przysługuje, wreszcie dodaje kilka punktów o nieomylności głowy kościoła, papieża.

Rzecz przedstawiona jasno, przystępnie z uwzględnieniem głównych potrzeb naszych czasów, do podręcznych bibliotek apologetycznych znakomicie sie nadaie.

„Studya na dobie“ III. X. Dr. Cz. Jasionowski. Teozofia i teozofowie współcześni. — Warszawa 1914.

Na podłożu współczesnego życia niezwykle bujnie krzewią się wszelkiego rodzaju zboczenia religijne, które ludziom niewierzącym mają zastąpić Objawienie i jego wskazania. Do rzędu takich surogatów religii zaliczyć trzeba teozofię, czyli pseudo-mądrość, dążącą do intuicyjnego już w tym życiu poznania Boga zapomocą różnego rodzaju praktyk, przepisanych przez mistrzów. Ojczyzną teozoficznych spekulacyi są Indye, gdzie też teozofia najwięcej liczy zwolenników. Ale i w krajach Europy, a także na ziemiach Nowego Świata nawet w naszej dobie idee teozoficzne mają swoich wyznawców. O nich to w krótkości informuje czytelników polskich ks. Cz. Jasionowski w szkicu „Teozofia i teozofowie współcześni“. Próżnobyśmy tam szukali wyczerpującego przedstawienia teozoficznej doktryny, albo też kompletnego zbicia błędnych majaczeń, ale bo też to w naszych warunkach jest zgoła zbyteczne. Autorowi widocznie chodziło tylko o to, żeby czytelnikowi w jak najprzystępniejszej formie podać szereg wiadomości o kilku głównych apostołach teozoficznego ruchu, o ich poglądzie na świat, o stworzonych przez nich organizacyach, praktykach członków, a wreszcie o stosunku pomienionego ruchu do chrześcijaństwa. Rzecz z natury swojej wielce interesująca, u nas zaś mało stosunkowo znana.

Janusz Jamoult. **Lew Tołstoj.** — Odczyt, Warszawa 1914.

Z pisarzy rosyjskich o światowym rozgłosie najbardziej chyba u nas znanym i najbardziej acz niesłusznie cenionym jest marzyciel-utopista z Jasnej Polany. Ekscentryczne jego teorye społeczno-etyczne znajdują pewien oddźwięk w wyważonych z równowagi duchowej umysłach i budzą sympatyę graniczącą niestety nieraz z uwielbieniem. Czy na kult taki Tołstoj zasługuje? Czy właściwości jego pisarskie i filozoficzne dają mu prawo do tytułu geniusza? — Oto mniej więcej pytania, jakie stawia sobie p. Janusz Jamoult w odczycie o Lwie Tołstoju.

Odpowiedź na te pytania niezbyt pomyślnie wypadła dla wielkiego pisarza. Ani w artystycznym przedstawieniu osób lub wydarzeń, ani w psychologicznej analizie duszy, ani w solidności teoryi społecznej lub głębokości filozoficznych i teologicznych dociekań tkwi potęga tołstojowskiego wpływu, ale w mistrzowskim łączeniu fałszu

z prawdą, pokarmu z trucizną. To autor wykazuje, zaznaczając przytem, iż wielkość realna Tołstoja polegała na tem, że „był najlepszym", najzupełniejszym uosobieniem geniuszu narodu swojego. Nie był on pochodnią, wskazującą narodowi temu drogę, ale był raczej najdoskonalszą soczewką koncentrującą wszystkie jego promienie — był zwierciadłem ducha rosyjskiego ze wszystkiemi jego przymiotami i wadami". Jakkolwiekby kto się nie godził na wszystkie poglądy autora, przyznać musi, iż sąd jego jest wogóle trafny, język barwny, przedstawienie jasne. Broszura nadaje się bardzo do bibliotek apologetycznych, zwłaszcza dla inteligentnej młodzieży.

Kalendarz Apostolstwa modlitwy na rok 1918. — Kraków. Nakładem wydawnictw T. J.

Chociaż ze zgrzytem, tarciem i coraz wzmagającą się trudnością, maszyna cywilizacyi porusza się jeszcze, mimo podgryzających ją gwałtownie katastrof. Wychodzą więc dzienniki, wychudłe wprawdzie często i w liczbie zmniejszonej, pojawia się tu i ówdzie jakaś nowa książka, na bogatym przedwojennym, lub mizernym wojennym tłoczona papierze, a nawet jako grabarze zapadającego się starego, choć głęboko w dzieje ludzkości wżerającego się roku wojennego, a złudne może mary lepszej przyszłości przepowiadającego nowego roku, pstrzyć się z rzadka zaczynają na wystawach księgarskich kalendarze. Niema tam już wszystkich, do których od lat przywykliśmy, niektóre zakończyły swój żywot, zdławione trudnościami — zato też z tem większą radością, o ile dziś o radości może być mowa — witamy dawne znajome, z którymi od lat, za lepszych jeszcze czasów, zaprzyjaźniliśmy się i zżyli. Pewnie, że dla katolika-Polaka pierwsze między niemi zajmuje miejsce Kalendarz Serca Jezusowego. Dzięki Bogu, że przyszedł. Przypomni skołatanym sercom, że tam w górze, poza ciemnemi chmurami, czuwa Serce Boga-człowieka, który niegdyś dla ludzkości przecierpiał więcej, niż cała ludzkość przed nim i po nim; że więc przyjmować trzeba męki cicho i z poddaniem się, lecz nie zapominać, że nadzieja jest i gdzie jej szukać. Zagrzeje zmartwiałe bólem i przerażeniem dusze i rozświeci w nich promyki nadziei. Pouczy, wzmocni, pokrzepi i będzie dobrym i wiernym towarzyszem na ten rok nowy, tak ciemną, gęstą i ponurą okryty przed nami zasłoną.

Dzięki Bogu, że nietylko przyszedł, ale i oczekiwania swych przyjaciół nie zawiódł. Na trzystu przeszło dużych kolumnach umiał wydawca

poza bogatą i wyczerpującą stroną kalendarzowo-informacyjną, zebrać obfity i niezwykły treścią materyał literacki, objaśniony hojnie bardzo dobrymi przeważnie ilustracyami, który treścią i formą wywołać musi zadowolenie czytelników zarówno wybrednych, jak i prostszych. Prawdziwie kalendarz to powszechny, dla wszystkich serc po katolicku i po polsku myślących i czujących. Szereg wdzięcznych, a treścią głębokich nowelek, barwne opisy wydarzeń chwil dopiero co minionych, rzewne i często prawdziwie wartościowe utwory poetyczne, a nawet i kącik humorystyczny — bo jakże by kalendarz, chociaż wojenny, bez niego mógł się obejść — a wszystko oryginalne, pogodną miłością Boga i ojczyzny przejęte, oto treść krótka tego prawdziwie udatnego i z pewnością bardzo pożytecznego wydawnictwa. Nie ulega wątpliwości, że wszelki człowiek dobrej woli powinien starać się usilnie, by Kalendarz Boskiego Serca Jezusa zaszedł do każdej rodziny katolickiej, biednej czy bogatej. Gdy raz tam wejdzie, stanie on się z pewnością miłym i wielce pożytecznym towarzyszem i opiekunem, i niejedna w nim rzecz, po raz pierwszy przeczytana z ciekawością, pociągnie powtóre i może wielokrotnie do siebie, by się przypomnieć i w duszę wgłębić. — Dzięki Bogu, że przyszedł.

F. H.

Z piśmiennictw obcych.

Joseph Graf zu Stolberg—Wertheim. 1804—1859. Seine Verdienste um die katholische Kirche Deutschlands. Ein Lebensbild von **Otto Pfülf T. J.** Freiburg in/Br. Herdersche Verlagshandl. Str. 11—193 z portretem.

W sposób zwięzły a zajmujący, przedstawiony został w tej książeczce żywot jednego z najwybitniejszych działaczy katolickich w Niemczech, względnie w Prusiech z drugiej połowy ubiegłego stulecia, hr. Józefa Stolberga.

O. Pfülf charakteryzuje jego osobistość temi słowy:

„Kto podejmuje badania nad rozwojem pierwszych dziesięciu niemieckich kongresów katolickich, lub nad rozwojem misyj ludowych, w czasach pomarcowych w Niemczech, albo też nad początkami katolickiego parlamentaryzmu w Izbach pruskich, ten wszędzie się spotka

z nazwiskiem, świecącem przed wszystkiemi innemi, w rocznikach naszego „Bonifaziusverein'u", z nazwiskiem hr. Józefa Stolberga, które będzie zawsze drogiem dla katolików niemieckich".

Hr. Stolberg miał dość ruchliwą młodość. Naprzód zamierzał zostać księdzem i jako kleryk zakonu Jezuitów przez lat kilka studyował teologię. Przekonawszy się jednak o braku rzeczywistego powołania do życia zakonnego, wystąpił od Jezuitów za pozwoleniem przełożonych i został porucznikiem szwoleżerów w armii austryackiej, gdzie już służył jeden z jego starszych braci.

Odbywszy kilkoletnią służbę w Austryi, dokąd spieszyło wonczas na służbę wojskową wielu katolików z pruskiej arystokracyi, powrócił w strony rodzinne, do Westfalii, i ożenił się. Czas jakiś był landratem z wyboru współziemian, później został członkiem pruskiej Izby poselskiej.

Jako działacz katolicki, był jednym z głównych założycieli „Bonifaziusverein'u", któreto towarzystwo oddało niespożyte przysługi katolicyzmowi, szczególniej w Niemczech północnych. Jako zaś parlamentarzysta, stał zawsze twardo, bez kompromisów, przy sprawie katolickiej.

Dziełko O. Pfülfa może być z prawdziwym pożytkiem czytane u nas, gdzie istnieje dość „klerykałów", a tak mało rzeczywistych katolików, stwierdzających czynami w życiu publicznem hasła przez siebie głoszone. I jeżeli czego winniśmy uczyć się od Niemców-katolików, to właśnie tej konsekwencyi, z jaką najwybitniejsi wśród nich postępują nie tylko w życiu prywatnem, ale także i publicznem.

J. Trepka.

Das Oesterreichische historische Institut in Rom. 1901—1913. Festgabe Ludwig v. Pastor zum 60. Geburtstage am 31 Jänner 1914, dargebracht von Dr. Philipp Dengel, A—O Prof. d. Geschichte an d. Universität, Innsbruck. Wien u. Freiburg in/B., Herdersche Verlagshandlung, Str. 99 i 3 ryciny.

Od r. 1882 istnieje w Rzymie „Austryacki Instytut historyczny, którego dyrektorem jest od r. 1901 — po ustąpieniu założyciela tegoż Instytutu prof. Sickla — historyk światowej sławy, Dr. Ludwik Pastor. Powyższą broszurę poświęcił prof. Dengel temu uczonemu dziejopisowi Papieży dla uczczenia 60-tej rocznicy jego urodzin, dając w niej krótki

rys obfitej w rezultaty działalności rzeczonego „Instytutu“ za czas 22 lat, tj. za czas, w którym na jego czele stoi Pastor.

Dla polskiego czytelnika najwięcej interesu przedstawia w wymienionej broszurze wiadomość o udziale, jaki w pracach „Instytutu“ biorą Polacy. Wiadomo bowiem, że, począwszy od 1903 roku, stypendyści „ekspedycyi rzymskiej“ krakowskiej Akademii Umiejętności, są nadzwyczajnymi członkami „Instytutu austryackiego“.

W załączonym do broszury prof. Dengla spisie uczonych, pracujących pod egidą tegoż „Instytutu“, spotykamy, w porządku chronologicznym, następujących Polaków, oraz zakres ich studyów, i tytuły prac, ogłoszonych przez nich drukiem:

Dr. Józef Brzeziński prof. Uniw. Jag., Dr. Jan Ptaśnik prof. nadzw. Uniw. Jag., Dr. Mateusz Laret prof. gimn. ze Lwowa, Dr. Stanisław Zakrzewski prof. Uniw. lwow., Dr. Ludwik Boratyński prof. gimn. z Krakowa, Dr. Stanisław Kościałkowski prof. gimn. z Wilna, Dr. Karol Hadaczek prof. Uniw. lwow., Dr. Tadeusz Sinko prof. Uniw. Jag., Dr. Edmund Długopolski prof. gimn. z Krakowa, Dr. Stefan Wuczyński doc. Uniw. Jag. zmarły 1908 r. w Atenach, Ks. Dr. Juliusz Gołąb archiwaryusz katedry krakowskiej i prof. Szkoły realnej z Krakowa, Dr. Stanisław Zachorowski asystent seminaryum hist. z Krakowa, Dr. Gustaw Przychocki doc. Uniw. Jag., Dr. Abdon Kłodziński adjunkt Archiwum kraj. z Krakowa, Dr. Jan Rutkowski, Dr. Edmund Bulanda doc. Uniw. Jag., Dr. Jan Sajdak doc. Uniw. Jag., Dr. Stanisław Kętrzyński doc. Uniw. Jag., Dr. Czesław Nanke prof. gimn. ze Lwowa, i Dr. Mieczysław Tarnawski prof. gimn. ze Lwowa.

Godnemi uwagi są słowa uznania i gorącej podzięki, jakie wyraża prof. Dengel dla niezapomnianego, wielkiego Papieża Leona XIII, który otworzył dostęp uczonym do nieprzebranych skarbów, kryjących się w archiwach watykańskich. Fakt ten świadczy wymownie, jak błahym jest zarzut obskurantyzmu, czyniony w pewnych sferach papiestwu. Podczas, gdy wiele archiwów w rozmaitych państwach europejskich jest jeszcze niedostępnych dla badań naukowych, Watykan otwarł swe archiwa, bo.... nie ma co ukrywać, nie ma czego się wstydzić.

Józef Trepka.

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Katolicyzm w projekcie Konstytucyi państwa polskiego. — Chrystus rosyjski.

Katolicyzm w projekcie konstytucyi państwa polskiego.

Jak w każdym okresie przełomowym, przeżywamy dziś chwile bardzo ciężkie i bardzo radosne; niema środka, niema szarzyzny. Chwile radosne wiążą się oczywiście dla każdego Polaka ze wszystkiem, co sprawę polską dźwiga w górę. Szczególniejszą zaś radość przynosi każda wiadomość o wewnętrznem wzmożeniu się w siły, o nabytku istotnym, zdobytym własną pracą, jak o postępach w organizacyi sądownictwa lub szkolnictwa.

Taką nową radosną wiadomością jest ta, że komisya sejmowo-konstytucyjna byłej Tymczasowej Rady stanu przyjęła po pięciomiesięcznej pracy projekt konstytucyi Królestwa. A więc już istnieją w projekcie szczegółowe konstytucyjne zarysy Królestwa Polskiego. Przyszłość przyniesie zapewne niejedną poprawkę, ale już jest podstawa, na której oprzeć się może praca krytyczna i dopełniająca.

Plan i główną treść projektu ułożył Dr. Zygmunt Cybichowski, profesor prawa państwowego w uniwersytecie warszawskim. Redakcya „Kuryera Warszawskiego“ otrzymała od Dra Cybichowskiego szereg informacyi o zarysach najważniejszych rozdziałów i motywach, które kierowały postanowieniami komisyi. Z informacyi tych wyjmujemy ustęp, odnoszący się do katolicyzmu. Informacya udzielona Redakcyi Kuryera przez Dra Cybichowskiego brzmi, jak następuje:

„Olbrzymia większość społeczeństwa polskiego wyznaje religię rzymsko-katolicką. Dlatego konstytucya żąda, aby monarcha i jego rodzina należeli do tego wyznania i ogłasza religię rzymsko-katolicką religią stanu. W tłómaczeniu na języki obce mógłby ten przepis budzić wątpliwość. Religia stanu to po niemiecku „Staatsreligion", po francusku „religion d'Etat", a więc religia państwowa. Jednakże żadna religia nie może być państwową, bo państwo nie ma religii; religię ma ludność w państwie mieszkająca. Mylnym wnioskom zapobiega konstytucya, umieszczając po słowach: „religia rzymsko-katolicka jest religią stanu" dwukropek: poczem idą słowa: „akty religijne towarzyszące uroczystościom państwowym odbywają się według obrządku rzymsko-katolickiego". Przepis o religii stanu ma więc to znaczenie, że zgodnie z katolickim charakterem większości społeczeństwa uroczystości państwowe mogą być połączone tylko z obrządkami rzymsko-katolickimi. Przykładem jest koronacya króla; odbyć się może tylko w formach religijnych Kościoła rzymsko-katolickiego, co odpowiada naszym dawnym tradycyom i kwestyonowane być nie może. Licząc się ze znaczeniem jednej religii, konstytucya nie krzywdzi innych religij, lecz głosi zasadę wolności wyznań i autonomij Kościołów i związków religijnych w państwie".

Tyle informacyi Dra Cybichowskiego znajdujemy w Kuryerze Warszawskim. Informacya autentyczna, bo z ust samego autora a choć zapewne nie wchodzi we wszystkie szczegóły, podaje istotę rzeczy i ducha nowej ustawy.

Zaznaczmy odrazu, że jak z najwyższą radością przyjęliśmy wiadomość, że istnieje już projekt konstytucyi, jak z najwyższym pietyzmem odnosimy się do pracy w ten projekt włożonej, tak z najbezwzględniejszą stanowczością protestujemy przeciw tej koncepcyi, jaka mieści się w „religii stanu" tegoż projektu.

Jest to właśnie to, czegośmy w nowej Polsce najbardziej się bali. Dobrze jeszcze, że zawczasu uchylono nam rąbek tej tajemnicy, jaka zazwyczaj projekty tego rodzaju osłania i odkrywaną bywa zwykle w toku pełnych obrad, kiedy sprawa na pół już stracona. Dziś mamy jeszcze czasu dosyć. Jesteśmy pewni, że wszystko, co jest szczerze polskiem i katolickiem w kraju, weźmie sobie tę sprawę do serca. Sprawa jest pierwszorzędnej wagi. Duch praw narodu jak jest wykwitem narodowej duszy tak też jest i kierownikiem historyi narodu. Od mądrych praw głównie normalny bieg historyi zależy. I oto właśnie dziś chwila, dziś, gdy zakłada się fundamenty państwa, gdy zaczęła się praca nad

kodeksem prawa polskiego, ażeby uczynić wszystko, by odsunąć od prawodawstwa polskiego widmo ponownych nieszczęść. Zwłaszcza katolicy przypilnować muszą, by nie powtórzyły się w nowej Polsce sceny z przed stu lat, gdzieto na sejmach Królestwa Kongresowego wygłaszano poglądy, godzące w istotę katolicyzmu, gdzie Papieża traktowano jako czynnik obcy, gdzie domagano się, by stosunek Papieża z Kościołem polskim zależnym był od placetum schyzmatyckiego cara. A przypilnować tembardziej trzeba, że cała właściwa historya polska to jeden tryumfalny obchód najserdeczniejszych zrękowin katolicyzmu z polskością, że takim jest duch narodu i duch jego dziejów. Dziś jeszcze czas, by Polska, jak była państwem rdzennie katolickiem, tak i państwem katolickiem na przyszłość pozostała. Wbrew wszystkim liberalizmom, wbrew teoryom o bezreligijności państwa, Polska musi być, jak była, państwem katolickiem. Gdyby w tej chwili katolicy zaspali sprawy, gdyby pozwolili rozróść się w prawodawstwie polskiem chwastom fałszu, gdyby nie dokazali tego, żeby to prawo oparło się na prawdzie i na zasadzie katolickiej, to i sprawa katolicyzmu byłaby w tym kraju przesądzona i sprawa pomyślności polskiej historyi.

P. Cybichowskiego nie znamy, nic przeciw niemu nie mamy. Odnosimy się doń jak do człowieka pracy i nauki z pełnym szacunkiem i sądzimy, że jako człowiek rozumny pojmie, że sprawa jest za wielką, by kierował nami wzgląd na jednostkę. Nie zwalczamy p. Cybichowskiego, ale idee, które głosi. W dalszym ciągu nie będziemy nawet przytaczać nazwiska autora, tylko tytuł dziennika.

Otóż pogląd wyrażony w Kuryerze Warszawskim jest to skrajny radykalizm, hołdujący antyreligijnym zasadom francuskiej rewolucyi — pogląd, który tylko przez niekonsekwencyę, dla czysto zewnętrznego względu na historyczną tradycyę narodową, uznaje pewne ceremonie katolickie — bynajmniej jednak nie uznaje katolicyzmu. „Religia stanu“ w informacyi Kuryera Warszawskiego, znaczy tylko tyle, „że akty religijne towarzyszące uroczystościom państwowym odbywają się podług obrządku rzymsko- katolickiego“. Nic więcej. Unika się troskliwie wyrażenia „religia państwowa“, „bo państwo nie ma religii; religię ma ludność w państwie mieszkająca“. Poza ceremonią przy galowem nabożeństwie i poza religią króla nie ma katolicyzm z państwem żadnego związku.

Zanim wejdziemy w bliższe roztrząśnięcie sprawy, ujmiemy naczelny nasz na nią pogląd w następującą formę: Jeżeli państwo „nie ma religii“, to nonsensem jest, by uroczystościom państwowym towarzy-

szyły jakiekolwiek akty religijne; jeżeli zaś państwo ma religię, to nonsensem jest, by rola tej religii polegała tylko na obrządkowem towarzyszeniu uroczystościom państwowym i na wyznaniowości rodziny królewskiej. Istota rzeczy leży w tem, by katolicyzm, jako religia panująca, był umocniony w swoich prawach.

Filozoficzna strona kwestyi jest aż nadto jasno wyłożona w odpowiednich podręcznikach. Dlatego w dyskurs filozoficzny wdamy się tylko przygodnie, tylko o tyle, o ile tego wymaga odrębność stanowiska p. Cybichowskiego.

Na początek dyskusyi weźmy następujące zdanie Kuryera Warszawskiego: „państwo nie ma religii, religię ma ludność w państwie mieszkająca". Dla wykazania fałszu, jaki w tem zdaniu się mieści, wystarczy wstawić w to zdanie, w miejsce słowa „religia", jakieś inne słowo, wyrażające istotny przymiot natury ludzkiej. Wobec jedności duszy ludzkiej postępowanie takie jest zupełnie słuszne i uprawnione. A więc naprzykład: „państwo nie ma rozumu, rozum ma ludność w państwie mieszkająca". Albo: „pństwo nie ma celu i sensu, cel i sens ma ludność w państwie mieszkająca". Jeżeli przyjmiemy za Kuryerem, że w pojęcie państwa nie wchodzi wcale ludność, to zdania powyższe są zupełnie słuszne i prawdziwe. Jeżeli zaś każdemu oczywistym jest absurd tych zdań, to znak, że absurdem jest wyłączać ludność z pojęcia państwa, że zatem absurdem jest odmawiać państwu przymiotów istotnych, właściwych ludziom, jak rozumu, celu, sensu, a temsamem i religii.

Nie będziemy zatrzymywać się dłużej nad oczywistą bezzasadnością, jaka tkwi w rozdziale ludności od pojęcia państwa. W pewnem abstrakcyjnem pojęciu rozdział taki mógłby być możliwy — sofizmat jednak Kuryera polega na tem, że bierze ideę państwa abstrakcyjnie i łączy ją z konkretnemi funkcyami państwa. W tem tkwi bałamuctwo. Jeżeli ktoś mówi o konkretnych funkcyach państwa, to mówi o państwie konkretnem, którego bez ludności pojąć nie można. Tyle w tej sprawie wystarczy. Warto natomiast poświęcić krótką uwagę tej prawdzie, jak razem z ludźmi, wchodzącymi w pojęcie państwa, w toż pojęcie wchodzi i religia.

W jednostce ludzkiej i w luźnem zbiorowisku takich jednostek uznaje autor fakt istnienia religii. Czy nie zastanowiło jednak autora to, że każdy istotny związek społeczny tych jednostek staje się zarazem związkiem religijnym — związek istotny społecznie a nie okolicznościowo, jak klub jakiś lub konsorcyum kupieckie. Dwie jednostki ludzkie tworzą rodzinę, a to, że każda z tych jednostek jest istotą re-

ligijną, sprawia, że i rodzina jest związkiem religijnym. Używamy często zwrotu „rodzina katolicka“ i rozumiemy jego znaczenie. Rodzina katolicka to sakrament, który ją jednoczy, to chrzest dzieci, to wychowywanie dzieci w duchu katolickim, to życie całej rodziny podług przepisów wiary. — Z pewnej ilości rodzin powstaje nowy związek, gmina, i znowu rozumiemy, co to znaczy „gmina katolicka“. Gmina katolicka to jest wspólny kościół, wspólne nabożeństwa, wspólny opiekun duchowny, wspólny charakter życia według zasad religii. A jeżeli charakter religijny jednostki ludzkiej przechodzi na każdy istotny stopień społeczny, jaki ta jednostka tworzy, to dlaczegoż nie miałby przejść na ten związek, który jest związkiem pewnej ilości gmin a który się państwem nazywa?

„Państwo nie ma religii“ twierdzi Kuryer! Czy państwo nie jest związkiem jednostek religijnych, rodzin religijnych, gmin religijnych? Czy państwo nie jest wynikiem tej samej dążności człowiekowi wrodzonej do uspołecznienia, która tworzy rodzinę i gminę, dążności, którą Bóg jako prawo natury postawił i jako takie w duszę ludzką wszczepił? A jeżeli tak, to jak Bóg jest twórcą natury ludzkiej, wszystkich jej dążności i uzdolnień, tak temsamem jest twórcą wszelkiej istotności, jaką ta natura tworzy, a więc i państwa. Z tego stosunku stworzenia do Stwórcy płynie religia jednostki, rodziny, gminy a więc także i państwa. Bóg jest Stwórcą, Panem i Dobroczyńcą całego rozumnego stworzenia i od całego rozumnego stworzenia, a więc także i od państwa, należy mu się cześć, wdzięczność i służba. Nietylko cześć zewnętrzna ale i służba.

Zdanie Kuryera „państwo nie ma religii“ jest przestarzałym sprzętem, wydobytym z gabinetu pana Rousseau i oficyn rewolucyi francuskiej. Od tych czasów upłynęło już wody wiele, doświadczenie życia pouczyło, jaki fałsz i jaka zbrodniczość tkwiły w tej teoryi, a mądrość ludzka stwierdziła niejednokrotnie jej bezpodstawność. Taki koryfeusz nauki prawa państwowego jak protestant i mason Bluntschli żąda moralnych wartości w podstawach państwa. Pocóż zresztą przykłady obce, kiedy mamy rodzime. Konstytucya 3. Maja powstała w dwa lata po rewolucyi francuskiej i po ogłoszeniu bezreligijności państwa przez Francyę. A choć Francya była wówczas w Polsce w modzie, choć nie w modzie była wówczas religijność, to jednak teorya francuska nie zawróciła wcale głowy twórcom Konstytucyi 3. Maja, dodajmy w nawiasie umysłom pierwszorzędnym, którzy w naczelnym artykule postanowili, że „religią narodową p a n u j ą c ą jest i będzie wiara święta rzymsko-ka-

tolicka ze wszystkiemi jej prawami". To zupełnie co innego, jak Rousseau'wska bezreligijność państwa, którą głosi Kuryer. Zresztą sam Rousseau był na tyle pojętny, że, gdy mu dano do przeczytania ustawy Konstytucyi 3. Maja, nie miał im nic do zarzucenia.

I tu formułujemy ostatecznie nasz zarzut. Konstytucyę 3. Maja autor znał; byłoby obelgą przypuszczać, że Konstytucyi tej nie zna prawnik polski, zwłaszcza prawnik zabierający się do pisania nowej konstytucyi polskiej. Jakiemże więc prawem zmienia autor ducha tej ukochanej przez naród Konstytucyi, w sprawie, w której zmiana nietylko nie jest wskazaną i niczem nieuzasadnioną, lecz przeciwnie jest lekkomyślnością taką, której przebaczyć nie wolno!

Co znaczy wyrażenie Konstytucyi 3. Maja „wiara święta rzymsko-katolicka ze wszystkimi jej prawami"!? Całą kwestyę wyświetlił pod każdym względem rozstrzygająco myśliciel tej miary, co Leon XIII, w nieśmiertelnej swojej encyklice o chrześcijańskim ustroju państw. Tę encyklikę powinienby autor dobrze znać, najpierw, jako człowiek kulturalny, bo encyklika ta, jako dokument filozoficzno-prawniczy, jest dziełem pierwszorzędnem, otwierającem po okresie liberalizmu nowy okres historyi — a powtóre, jako ten, któremu powierzono spisanie konstytucyi dla Polski, w której, jak sam przyznaje, „olbrzymia większość społeczeństwa wyznaje religię rzymsko-katolicką. Jedno z dwojga: albo autor tej encykliki nieznał i wtedy nie dorósł do wysokości zadania, albo ją znał i nie chciał się pogodzić z jej tezami, a wtedy powinien był od pracy nad konstytucyą usunąć się. Encyklika ta jest dla narodu katolickiego obowiązującą i nietylko nie wolno jej ignorować, ale nie wolno jej w żadnym szczególe umniejszyć. Urzeczywistnienie tej encykliki w ustroju i w życiu państwa jest nieodzownym obowiązkiem narodu katolickiego, jakim naród polski chce być.

W tej encyklice znajdzie autor głębokie filozoficzne uzasadnienie, dlaczego państwo ma religię, z czego już łatwy wniosek, dlaczego nabożeństwa galowe są tylko pierwszym stopniem religijności państwa. Z prostej zasady, że wszystko ziemskie ma dopomagać człowiekowi do osiągnięcia ostatecznego celu, znajdzie tam wyprowadzony wniosek, że państwo ma „religię otaczać opieką, przychylnością osłaniać, powagą swą i prawami bronić, a niczego nie ustanawiać i nic nie zarządzać takiego, coby jej nietykalność naruszało". Dowie się także, że państwo katolickie powinno uznać Kościół katolicki za zwierzchność w katolickich sprawach religijnych od państwa niezależną — a w sprawach stykających się z religią powinno Kościół przypuścić do współpracy,

uznać jego wpływ na rodzinę, na wychowanie młodzieży, na szkołę, na prawodawstwo. To ostatnie dzisiaj, gdy powstało nowe prawo kościelne, ma szczególniejszą doniosłość, zwłaszcza co do części o prawie małżeńskiem. Znajdzie tam także, że uznanie katolicyzmu za religię państwa nie wiąże się z prześladowaniem innych wyznań, ale z ich tolerancyą. Przeczytawszy zaś całą encyklikę i zastanowiwszy się nad nią głębiej, zrozumie, że w takiem postawieniu kwestyi nie chodzi o klerykalizm ale o istotę rzeczy, że takiem jest prawo natury i takim porządek świata, od którego wiernego zachowania zależy dobrobyt i pomyślność państwa. Stąd też katolicyzm, umocniony w swoich prawach, jest najsilniejszym filarem państwowości. Tę samą prawdę stwierdza wstęp do Konstytucyi 3. Maja.

Nie wątpimy ani na chwilę, że katolicy polscy wezmą tę sprawę w swoje ręce. Hasło, że katolicki duch Konstytucyi 3. Maja ma pozostać w nowej Polsce, że encyklika Leona XIII łącznie z nowym kodeksem prawa kościelnego musi być w państwie polskiem urzeczywistnioną, jest godnem gorliwości katolika i patryoty.

Chrystus rosyjski. Kiedy wywożono jako więźnia Metropolitę Szeptyckiego, była chwila, w której wydawało się, że nad katolicyzm nadciąga czarna chmura zwycięskiej schyzmy. Milionowe armie rosyjskie zalały Galicyę aż po Kraków a wraz z podbojem wojskowym i politycznym szerzyły także podbój religijny. Wiedziało się z góry, że zwycięska Rosya prędzej czy później zdusi unię a prawosławie wzniesie na wysoki szczebel ludzkiej świetności. Gdyby zamierzone zajęcie Konstantynopola doszło było do skutku, widzielibyśmy, jak rozsypane dzisiaj drobiny kościołów wschodnich zjednoczyłyby się rychło w jeden wielki schyzmatycki Wschód — i naprzeciw watykańskiego wzgórza wznosić się i z dniem każdym olbrzymieć zaczęłby bizantyjsko-rosyjski Fanar.

Czarna chmura rozeszła się. Okres zaczęty wywiezieniem Metropolity za to, że jako dobry pasterz przestrzegał owczarnię swoją przed zbliżającem się ku niej niebezpieczeństwem, skończył się po trzech latach tryumfalnym powrotem Metropolity na lwowską stolicę. Powtórzył się epizod w historyi Kościoła częsty. Tak szli na wygnanie i tak nieraz z wygnania wracali wielcy Ojcowie wschodu; z podobnym tryumfem wracał na swoją biskupią stolicę święty Jan Chryzostom.

W tych trzech latach rozstrzygnęły się losy Rosyi. Nie znamy

w historyi drugiego, równie wstrząsającego zjawiska, by jedno z najpotężniejszych państw świata tak w jednej chwili rozsypało się w ruinę zupełnego bezrządu i ostatniej niemocy. Ale z początkiem tego okresu, gdy zwycięstwo służyło orężowi rosyjskiemu, było inaczej. Co wówczas nie roiło się w rosyjskiej duszy? jakie i jak daleko sięgające plany rozpłomieniały ją wtedy!

Za zwycięską armią rosyjską postępował młody i zdolny literat Sergiusz Sołowiew, wnuk znakomitego rosyjskiego historyka Sergiusza Sołowiewa a bratanek Włodzimierza Sołowiewa, wybitnego filozofa i jednego z najidealniejszych ludzi, jakich Rosya wydała. Myśli i wrażenia, jakich wówczas doznawał, spisał młody Sołowiew w książce, której dał tytuł: „Bogosłowskije i kriticzeskije oczerki". Książka była wydana przed odwrotem Rosyan z Galicyi. Myślom tej książki warto się przypatrzeć.

Naczelne twierdzenie autora jest to: „Europa zaczyna rozumieć, że Rosya bizantyjska, prawosławna Rosya, nie jest dla niej przeciwieństwem, lecz zbawieniem i pokojem". Dla wyjaśnienia tej myśli przeciwstawia Rosyę Niemcom. Dziś, pisze, niesłusznie krzyczą w fanatycznem zaślepieniu, że germanizm to żelazna pięść i nic więcej. Germanizm ma swój ideał, któremu na imię kultura. Ale kultara ta ignoruje stosunek duszy do Boga. „Tę kulturę swoją, swoje uniwersytety i swoje fabryki niesie germanizm narodom podbitym". Rosya natomiast idzie do narodów podbitych, do świata całego, z Chrystusem. Tu przytacza autor słowa, które Mereżkowski włożył w powieści swojej w usta cárewicza Aleksego: „Jesteście — mówi Aleksy do Niemki, frejliny Arnheim — mądrzy, silni, uczciwi, znakomici. Wszystko u was jest. A Chrystusa niema. Bo i na co on wam potrzebny? Wy sami siebie zbawiacie. My zaś kłamcy, żebracy, nadzy i pijani niechluje, gorsi jesteśmy od barbarzyńców, gorsi od bydląt. Ale Chrystus, ojciec nasz jest z nami i będzie po wszystkie wieki wieków. I on nas zbawia". Do tych słów Mereżkowskiego dodaje Sołowiew swoje: „Rzym, zdobywając narody świata, obdarzał je kulturą swoją, swemi doskonałemi prawami i administracyą. A ty — zapytają nas narody Europy — co dajesz światu, narodzie dziki, upadający z braku kultury i nauki i zmuszony we wszystkiem nas naśladować? Co dajesz plemionom, które odrywasz od kultury niemieckiej? „My" — odpowie Rosya — niesiemy im zmartwychwstałego Chrystusa". Te słowa Mereżkowskiego i Sołowiewa, warto zapamiętać, jako charakterystykę duszy rosyjskiej. Chrystus rosyjski to wybujała

uczuciowość wyznawstwa stojąca w groteskowej sprzeczności z życiem i czynami.

Prawdziwość swojej idei widzi Sołowiew urzeczywistnioną w Galicyi. „Pierwsze kroki prawosławia dowiodły, że stanęło ono na właściwej drodze. Jeżeli pysznym uroszczeniom Rzymu i arystokratyzmowi duchowieństwa katolickiego będziemy i nadal przeciwstawiali Chrystusa, który się narodził w żłóbku i nie po to przyszedł, aby mu służono, albowiem sam ludziom służył i ich zbawił — to stanie się jasnem dla wszystkich, gdzie jest prawdziwy duch ewangeliczny, u nas czy w Rzymie — i duchowe zwycięstwo prawosławia w Galicyi będzie wówczas zapewnione". Owszem, to zwycięstwo już jest, bo „dążenie Rusi katolickiej do zlania się z prawosławiem jest potężne i żywiołowe, jak wylew wód wiosennych". „Zrywając z niej kajdany, które ją do Rzymu przywiązywały, Cerkiew rosyjska idzie na spotkanie powszechnemu jej życzeniu", ona niesie jej i wszystkim tym ludom słowiańskim, które wyzwala z pod jarzma rzymskiego „ewangelię i kielich z krwią Chrystusową" i niszczy sztuczną przegrodę, którą postawił Rzym „między duszą człowieka a słowem i krwią Zbawiciela".

Że ten „wylew wód wiosennych" w stronę Rosyi, że ta chrystusowość rosyjskiego apostolstwa nie bardzo się godzi z gwałtownem wywiezieniem Metropolity Szeptyckiego, ani na myśl nie przychodzi Sołowiewowi. Owszem z pewnym humorem a nawet sympatyą dla Metropolity o tem pisze. Dorożkarz we Lwowie, który wiózł Sołowiewa z dworca kolejowego do miasta, wskazał mu na cerkiew św. Jura, mówiąc: „ to Szeptycki". „I pomieszkawszy we Lwowie, przekonałem się, że to rzeczywiście Szeptycki, że Szeptycki był tam królem duchowym, podobnie jak jego św. Jur, który króluje nad wszystkimi gmachami miasta". Sołowiew zwiedził następnie mieszkanie Metropolity. „Tu on się pogrążał w studyach nad Arystotelesem; tu, w jego sypialni, stoi trumna, w której spędzał on każdego roku noc z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę; tu natężał on ostatnie wysiłki swoje, aby wstrzymać zwycięstwo prawosławia i zachować Galicyę dla Rzymu; tu padł on ofiarą swego głębokiego przekonania. Genialny człowiek, genialne życie! Galicya była dla niego wszystkiem. Cerkiew unicka, unia z Rzymem, obrządek wschodni, Arystoteles i Bazyli Wielki — temu on służył życiem całem". „I nie sprzeniewierzył się myśli swojej, gdy już żadnej nadziei zwycięstwa nie było. Galicya oderwana była od Rzymu, dzięki zwycięskiemu wtargnięciu wojsk rosyjskich, on zaś śmiało z ambony mówił to, co myślał". „Zwycięzcom cześć — zwyciężonym mi-

łość". Nie przeczuwał Metropolita, gdy go pędzono po wszystkich kątach Rosyi, gdy nie dopuszczono go do ołtarza, że była to „miłość", że był on jedną z fal „wylewu wód wiosennych", cisnących się gwałtem ku Rosyi, że we Lwowie ustąpił miejsca „zmartwychwstałemu Chrystusowi", którego dopiero Rosya wprowadziła do Galicyi i chciała dalej wprowadzać w świat.

Nietylko na Galicyę rozciąga się apetyt prawosławny Sołowiewa. „Południe — zachód Rosyi, to jest Galicya, Ukraina, Litwa i Polska, powołane są do odegrania w bliskiej przyszłości ważnej i wdzięcznej roli w kulturze rosyjskiej, przedewszystkiem w zakresie religii". Odegranie „wdzięcznej roli" wcale sympatyczna propozycya! „Świątynie Poczajowa, Chełma i Częstochowy nie są zabytkami archeologicznemi; one skupiają w sobie nową, rodzącą się teraz w kościele moc". Cóż to za nowa moc łącząca schyzmatycki Poczajów z katolicką Częstochową — co wogóle jest starą mocą a co mocą nową? Tu z literata zaczyna wyłazić chytry Moskal; powoli i nieznacznie usiłuje przeciwstawić Polskę Rzymowi. Stara, zwietrzała moc to Rzym. „W żadnej ze świątyń rzymskich nie doznałem nastroju modlitewnego, lecz zmieniłem pogląd swój w Polsce". „Gdy wszedłem do katedry we Lwowie, zapomniałem o wszystkiem na świecie..." „sklepienia nad wielkim ołtarzem pogrążone są w tajemniczym, głębokim mroku, który trochę rozświecają plamami z purpury i zieleni gotyckie witraże; powietrze przesycone słodką wonią kadzideł; ołtarze boczne też w półmroku; u góry barwy blade i poblakłe, niby gasnące, wiosenne niebo; całe dnie można w katedrze tej spędzać". „A modlący się tłum! W kościołach Rzymu widziałem tylko turystów z Bedekerem; tam nikt się nie modlił; ale jak się modlą kobiety Polki!" To tumanienie głowy i zawracanie oczu ku modlącym się Polkom i ku bladym i wyblakłym barwom sklepienia, godne jest Homera. W dalszym ciągu czytamy, że po wojnie papież oceni, że tylko monarcha Rosyi może być pewnym dla niego sprzymierzeńcem i opiekunem i wtedy nadejdzie „dzień pokuty i odrodzenia" dla Rzymu — „wyrzekłszy się" długowiekowych błędów Watykanu, papież wyciągnie rękę do Moskwy". To już zupełnie jasne. Najwspanialszy finał. Słowami Mickiewicza zwraca się Sołowiew do „Panny, co Jasnej broni Częstochowy i w Ostrej świeci Bramie" w nadziei, że ta, której kult łączy Kościół wschodni z zachodnim, wyjedna u Boga jedność kościelną — oczywiście po wyrzeczeniu się długowiekowych błędów Watykanu. Teraz już rozumiemy, jaką to „wdzięczną rolę" ma

odegrać w bliskiej przyszłości Polska „w kulturze rosyjskiej, przedewszystkiem w zakresie religii".

Mimochodem zaznaczmy, że jak Sergiusz Sołowiew kończy swój wywód Częstochową, tak przed 20 laty również Częstochową zakończył stryj jego, Włodzimierz Sołowiew artykuł swój, zatytułowany: „Polski kościół narodowy". Potępiwszy machinacye rosyjskie, dążące do stworzenia schyzmy w Polsce, pisze Włodzimierz Sołowiew: „Pośród najmożliwszych poglądów na rosyjsko-polskie stosunki, zapomniano o tym poglądzie, który, zdawałoby się, jedynie tylko przystoi patryotom Świętej Rusi — poglądzie opartym na wierze i pobożności. W poglądzie tym kwestya jest ta: jak się zapatruje na rosyjsko-polskie stosunki Ta, której starożytny obraz na Jasnej Górze przyciąga do Siebie i w duchu jednej pobożności łączy z roku na rok niezliczone tłumy prawosławnych Rosyan i Polaków katolików? Pytanie śmieszne dla niewierzących, gorszące dla obłudników, ale każdy, dla kogo świętość religijna jest żywą rzeczywistością, wie, że to śmieszne i gorszące pytanie jest jedynie ważnem w naszej sprawie. A postawić je — znaczy, już rozwiązać". Znanem jest, że kwestyę tę rozwiązał dla siebie Włodzimierz Sołowiew, nawracając się na katolicyzm; bratanek jego Sergiusz Sołowiew chce ją obecnie rozwiązać na korzyść prawosławia. Tensam motyw końcowy w wywodach Sergiusza co u Włodzimierza i tensam cytat Krasińskiego u obu świadczą, że rozprawa Włodzimierza była znaną Sergiuszowi, że zatem, unikając jasnego wyrażenia, wiedział jasno, co proponuje Polsce.

„Cudnie marzyłem, srodze mnie zbudzono" — powtarza sobie zapewne dzisiaj pan Sergiusz Sołowiew. Wczorajsi zwyciężeni dzisiaj są zwycięzcami a galicyjski „wylew wód wiosennych" wrócił już dawno w swoje koryto. „Zmartwychwstały Chrystus" podziękował Rosyi za dobre chęci wprowadzenia go w świat, zostawiając prawosławiu troskę, jakby się w samej Rosyi ostać mogło. Jeżeli w całym tym okresie schyzmatyckich zakusów może być mowa o Chrystusie, to tylko o dźwigającym krzyż Chrystusie, który wiernym sługom dozwolił łaskawie cząstkę ciężaru krzyża swego na Golgotę wyznawstwa dźwigać. Metropolita Szeptycki z głębokiem rozrzewnieniem duszy powiedzieć sobie dziś może: „Ego vinctus in Domino".

Ks. J. Pawelski.

Z nowych wydawnictw.

Przegląd dyecezyalny, miesięcznik pasterski dyecezyi kieleckiej rok 1917, zeszyt 1 i 2.

Po dłuższej przerwie, spowodowanej wojennymi stosunkami, Przegląd dyecezyalny kielecki zaczął znowu wychodzić. Mamy właśnie przed sobą dwa pierwsze zeszyty świeżo rozpoczętego rocznika. Z przyjemnością zaznaczamy wielkie ożywienie tego czasopisma, tak pod względem treści jak i formy. Przedewszystkiem należy podnieść wielką aktualność artykułów z dziedziny teologii pasterskiej, tudzież ustawodawstwa kościelnego. Zeszyt pierwszy rozpoczyna się od encykliki Benedykta XV. *Humani generis redemptionem* o głoszeniu słowa Bożego. Artykuł ks. W. Z. p. t. „Potrzeba czasu" wykazuje konieczność zogniskowania pracy duchowieństwa parafialnego i proponuje w tym celu zgromadzanie się kleru na t. zw. „zebrania pasterskie", których — jak słusznie zauważa autor — żadne czasopismo nie zastąpi. Praktyka ta oddawna stosowana w Niemczech i Szwajcaryi, a tu i ówdzie u nas, powinna stać się powszechną — jest to chyba postulatem obecnej chwili. — Oba zeszyty zawierają „Sprawozdanie z kursu społecznego w Kielcach". Jeśli sprawozdanie szczegółowe tego kursu nie wyjdzie osobno drukiem, to radzibyśmy w następnych zeszytach „Przeglądu kieleckiego" ujrzeć w całości podane referaty ks. Dziekana Mayera: o „nowoczesnem duszpasterstwie", oraz „O pracy społecznej jako części duszpasterstwa". Na czele 2-go zeszytu umieszczono interesujący artykuł ks. Dra Zegarlińskiego p. t. „Nowe prawo o rezerwatach biskupich"; po nim następuje referat ks. W. N. „O częstej Komunii św. w duszpasterstwie". — Oto najważniejsze artykuły główne, obok których obszerny dział poświęcono zwięzłym informacyom o kwestyach, należących do prawa kościelnego, liturgiki i teologii duszpasterskiej. Ostatni dział stanowią recenzye.

Tak aktualny dla spraw kościelnych miesięcznik, jakim jest obecnie „Przegląd dyecezyalny kielecki" znajdzie niewątpliwie znaczną liczbę prenumeratorów także poza granicami Dyecezyi. Zdaniem naszem wielce się do tego przyczyni umieszczanie w poszczególnych zeszytach pod osobną rubryką: *Acta Apostolicae Sedis* ważniejszych rozporządzeń, ogłaszanych przez powyższy urzędowy organ papieski. Radzimy nadto, za przykładem *Ateneum kapłańskiego,* podawać co kwartał, na końcu zeszytu, spis nowych dzieł katolickich, ujęty w systematyczne działy. Spisy takie, razem zebrane, mogą z czasem stać

się nieocenioną pomocą dla samych kapłanów dla siebie, jak niemniej wskazówką przy zakładaniu bibliotek w czytelniach parafialnych.

Nie przez zapomnienie, ale z umysłu dopiero po naszych uwagach o nowych zeszytach „Przeglądu kieleckiego" zaznaczamy, iż prawdziwą jego ozdobą jest szkic wspaniałej patryotycznej przemowy, którą J. E. ksiądz Biskup kielecki wypowiedział 21. paźdz. b. r. przy odsłonięciu płaskorzeźby T. Kościuszki w Kielcach. — „Polska, — mówił Dostojny Mowca — pocięta na trzy części, tem samem złożoną została do grobu przez trzech panujących, — co usiedli jakby na wieku jej trumny. Samo imię jej zostało wymazane. I to, co stanowi podstawę życia narodu, poczęto rozbijać i niszczyć: wiara katolicka w ucisku... język polski i historya — wzbroniona... szkolnictwo i wychowanie młodzieży — w duchu obcym... Polacy wezwani do służby obcym mocarstwom, lub zmuszeni dla kawałka chleba opuszczać kraj ojczysty... Tak Kościuszko umarł — i Polska legła w grobie".

Lecz zaraz, jakby poprawiając się, mówi ks. Biskup dalej: „100 lat minęło dziś od śmierci Kościuszki, a przez ten czas naród polski żył i oddychał tem, czem żył i oddychał Kościuszko. Testament Naczelnika był pochodnią jasną i orzeźwieniem dla narodu w krzyżowej jego drodze... Cóż to wszystko znaczy? — To, że Polska pogrzebaną została nie umarła, lecz żywą. Dlatego wciąż rusza się — podnosi wieko swej trumny; i ciężko a niewygodnie rozbiorcom na niem siedzieć... Powiadają, że Polska dziś „zmartwychwstaje"... lecz ona nie umarła; była tylko skutą kajdanami niewoli, i nie uspokoi się, aż sprawa jej „wolności, całości i niepodległości" zostanie rozwiązana według prawa Bożego i międzynarodowej sprawiedliwości".

O ziszczenie tych ostatnich słów Dostojnego Pasterza prawi synowie Ojczyzny polskiej codzień przed tron Najsprawiedliwszego Sędziego zasyłają swe modły.

X. St. Bartynowski T. J.

Z wystawy Towarzystwa Sztuk Pięknych w Krakowie.

Zasługi, położone koło jakiejś sprawy, nakładają na tego, który je oddał, obowiązek, aby tych zasług nie lekceważył i sam nie obniżał. Taka poważna i zasłużona instytucya, jak krakowskie Towarzystwo Sztuk pięknych, zbyt dobrze zapisała się w dziejach sztuki polskiej, by nie miała rozumieć swej godności. Tymczasem otwarcie podwoi swego

gmachu wystawie t. zw. „ekspressyonistów“ musi tę godność i to bardzo dotkliwie obniżyć. Wszelkie tłómaczenia w tym sensie, że Towarzystwo nie chce ignorować żadnego nowego prądu w sztuce, nie wytrzymuje tym razem krytyki. Co innego bowiem jest sztuka, a co innego humbug, za jaki uważać trzeba pomienioną wystawę.

Jeżeli za granicą nikt nie brał i nie bierze na seryo „futurystów“, to dlaczegoż ma się traktować poważnie domorosłych „ekspressyonistów“, którzy zagranicznych „futurystów“ niewolniczo małpują? Zresztą są pewne wątpliwości, czy ci pseudoartyści sami siebie biorą na seryo. Gdyby jednak tak było — to należałoby ich traktować jako psychopatów. Ja przecież nie patrzę na rzeczy tak tragicznie i jestem pewien, że drwią sobie oni w duszy z publiczności, oglądającej ich „dzieła“. Ale mimo tego pozostaje faktem bardzo przykrym, że czynią to pod egidą Towarzystwa Sztuk pięknych. Czyżby interesy tego Towarzystwa były w tak rozpaczliwym stanie, że zmuszonem jest chwytać się takich jarmarcznych sposobów dla zwabienia publiczności do swego gmachu?... Bądź jak bądź, produkcya „ekspressyonistów“ leży poza obrębem sztuki takiej, jaką rozumieją ludzie o zdrowych zmysłach a nie degeneraci. Miejsce więc dla niej może znaleźć się wszędzie, byle nie na wystawie sztuk pięknych.

Że w tem, co napisałem, niema słowa przesady, przyzna każdy, co rzeczoną wystawę obejrzał.

Trudno jest wogóle wyrazić słowami efekt tych wstrętnych dziwactw, jakie w niby-obrazach i niby-rzeźbach wystawili panowie „ekspressyoniści“. Wrażenie znów wprost komiczne czyni powoływanie się na autorytet Mickiewicza w przedmowie do katalogu ich wystawy. I tak, Mickiewicz twierdzi, że „sztuka nie jest i nie może być czem innem, jak tylko wyrażeniem widzenia“. Otóż nie można uwierzyć w to, aby człowiek normalny — o zdrowym mózgu — mógł w ten sposób widzieć, jak o tem chcą nas przekonać „ekspressyoniści“. To, co pragną w nas wmówić, jest kłamstwem konwencyonalnem, ukutem w pogoni za oryginalnością a opierającem się na braku wszelkiego poczucia malarskiego i na grubem nieuctwie.

Okazy malowideł i rzeźb futurystycznych znane u nas były dotąd tylko ze słuchu, lub z nielicznych reprodukcyj po pismach obrazkowych. Ruch, który je wywołał, zrodził się we Włoszech mniej więcej 7—8 lat temu a dostał się do nas przez Francyę i Niemcy pod nazwą

„ekspressyonizmu". Już Pascal powiedział, że niema granic dla ludzkiego głupstwa. Jego słowa sprawdzają się na „ekspressyonizmie".

Tym, co pragnąc zaspokoić swą ciekawość, pójdą na wystawę, o której mowa, zalecam, aby przedewszystkiem zapoznali się z „dziełami" pp.: Zbigniewa Pronaszki, Andrzeja Pronaszki, Tytusa Czyżewskiego i Jana Hrynkowskiego. Są to *pur sang* „ekspressyoniści". Kilku bowiem innych wystawców, jak np. p. Tymona Niesiołowskiego lub Jacka Mierzejewskiego, należałoby, w stosunku do poprzednich, nazwać zacofańcami, gdyż w ich pracach widać jeszcze pewne ślady sensu.

Palmę pierwszeństwa należy oczywiście przyznać p. Czyżewskiemu, który wystawił obrazy wielopłaszczyznowe. Są one kwintesencyą ekspressyonizmu; jakie nowe głupstwo po nich przyjdzie, narazie niewiadomo. Proszę wyobrazić sobie malaturę, wykonaną na kilku stykających się ze sobą pod rozmaitymi kątami płaszczyznach i to tak, że na jednej z nich widać coś, niby oko, na drugiej — coś, niby usta, na trzeciej — coś, niby podbródek a wszystko to razem nazywa się „Portretem". Tak samo malowanymi są tegoż autora: „Salome" i dwa pejzaże.

Na równi z tymi dziwotworami stoi p. Zbigniewa Pronaszki: „Fragment kaplicy, polichromia i wypukłorzeźba polichromowana". Dla jakiego kultu służyć ma owa projektowana kaplica — domyśleć się trudno, ale to tylko pewna, że nawet w głębiach Afryki centralnej murzyn umiałby z większym smakiem i sensem ozdobić świątynię dla swych fetyszów. Widzimy tam między innymi niby-postać ludzką wymalowaną po połowie na dwóch płaszczyznach, stykających się pod kątem prostym.

Tym znowu, co się interesują krajobrazem ekspressyonistycznym, radzę przypatrzeć się „Giewontowi" p. Czyżewskiego. Jestto coś niezrównanego, albo takie miasto p. Leona Chwistka! Wart obejrzenia jest „Akt kobiecy" p. Hrynkowskiego zarówno ze względu na rysunek, jak i koloryt. Szczególniej piękny efekt czyni wzdłuż stosu pacierzowego modelki namalowana czarna pręga, jaką widuje się nieraz na grzbiecie jasnobułanych koni. Wprost bajecznemi są „Martwe natury" p. Jana Rerutkiewicza i p. Gustawa Gwozdeckiego.

I jeszcze o jednym obrazku wspomnieć muszę a mianowicie o p. Mierzejewskiego „Kompozycyi I" przedstawiającej — o ile domyśleć się można — dwie pijane ladacznice, usiłujące podnieść z bruku

ulicznego jakiegoś pijaka. Choć może ta „kompozycya“ ma zupełnie co innego przedstawiać.

Ale, dosyć już o „ekspressyonistach“. Jedynie obowiązek sprawozdawczy zmusił mnie do tego, abym pisał o ich wystawie. Na zakończenie jednak niniejszego sprawozdania muszę stwierdzić, że stała się krzywda „Podhalańskim malowidłom na szkle“, gdy wystawiono je razem z bohomazami ekspresyonitycznymi. Przez swoją prostotę i niekłamaną naiwność stoją one o całe niebo wyżej. Ci, co malowali je, nie umieli inaczej malować — byli szczerymi. Tymczasem pp. Pronaszkowie *e tutti quanti* powinniby wiedzieć, że tak malować, jak oni malują, niewolno pod grozą być uznanym albo za kłamcę, albo za niespełna rozumu człowieka.

* * *

Z uczuciem wstrętu opuściwszy poprzednią wystawę, przechodzimy na zbiorową wystawę prac Wyczółkowskiego[1]). Trudno zaiste o większy kontrast.

Znakomity ten malarz poprostu wysadził się na obecnej wystawie zbiorowej — dał bowiem na nią kilkadziesiąt prac tak pięknych, tak świeżych, tak naprawdę artystycznych, że niemożna dość się im napatrzeć.

Uderza w nich ogromna łatwość wykonania połączona z oryginalnością ujęcia tematu. Taki np. Wawel, tyle setek razy malowany i rysowany przez dziesiątki naszych malarzy, staje przed nami w zupełnie nowej szacie artystycznej. Dalej, zastanowienia godną jest świeżość ostatnich prac Wyczółkowskiego, o której codopiero wspomniałem. Oglądając je, odnosi się wrażenie, że te gwasze, akwarelle, rysunki wyszły z pod ręki młodzieńca a nie człowieka, co dawno już sześćdziesiątkę przekroczył. Wreszcie i na to trzeba zwrócić uwagę, że Wyczółkowski opanował, jak się pokazuje teraz, w tymsamym stopniu technikę malowania farbami wodnemi, co pastelą i techniką olejną.

Nie wiem doprawdy, którą z prac wystawowych wymienić na pierwszem miejscu, chyba że „Wawel“ spowity we mgle. Widok ten pięknym jest jak marzenie. Prześliczny jest także „Fragment Katedry

---

[1]) Najświeższą nowością na wystawie Tow. Szt. Pięknych jest to, że nie drukuje się katalogu dzieł wystawionych, ale nawet nie daje się kartek z opisem, objaśniającym o tytule dzieła i zawierającym nazwisko autora.

wawelskiej", okrytej śniegiem, zaś arcydziełami w swym rodzaju są dwa „Widoki kaplicy Zygmuntowskiej".

Szereg widoków Zamku królewskiego na Wawelu, wziętych z zewnątrz i od strony dziedzińca, stanowi całość wysokiej wartości. Prym wśród nich trzyma „Widok dziedzińca zamkowego", wzięty z pod arkady bramy wjazdowej. „Widok na Kraków" z bastyonu obok Katedry należy do najpiękniejszych widoków grodu podwawelskiego, jakie dotąd namalowano. Patrząc na architekturę, malowaną przez Wyczółkowskiego, widzi się, ile poezyi może jej nadać twórczy talent malarza.

Przepyszne są także studya pejzażowe i studya pojedynczych sosen. — Dwie głowy rysowane węglem — jedna zdaje się przedstawiać Szopena — nie są niespodzianką, wiadomo bowiem, jakim mistrzem w rysowaniu głów jest Wyczółkowski! Świadczy o tem również studyum: „Dziewczyna wiejska", bajecznie namalowane akwarellą.

Cztery „Widoki ogrodu" M e h o f f e r a są bardzo starannie wykończone, ale surowe w kolorze. Nie widać na nich wcale tego stonowania, jakie daje barwom w rzeczywistości powietrze. Ktoś o tych widokach wyraził się trafnie, że „to natura nakryta kloszem, z którego powietrze wypompowano". I, choć artysta najwidoczniej starał się być w nich wiernym naśladowcą natury, to jednak przedstawił ją zimno, sztucznie i z jakąś niepotrzebną afektacyą.

W e i s s a „Akt kobiecy" przedstawia nagą kobietę, która, w bardzo nieestetycznej a przytem niewygodnej pozie leżąc na otomanie, zabrała się do czytania gazety. Rzecz to malowana lepiej, niż podobne, ale jeszcze mniej estetyczne studyum, które niewiadomo dzięki czemu znalazło się w Muzeum Narodowem, ale sama w sobie błaha i nieładna.

Studya pejzażowe tegoż malarza nie interesują ani wyborem tematu, ani wykonaniem.

Zgrabnie i, jak zwykle, z pewnem francuskiem zacięciem malowane niewielkie „Studyum", przedstawiające młodą, ładną kobietę, nadesłał K a r p i ń s k i. Szkoda tylko, że wyszukawszy sobie pewien typ, ciągle go powtarza. Takiego zdolnego, jak on, malarza stać pewnie na to, aby sam siebie nie kopiował.

ka.

Kronika ekonomiczna.

Centrale.

Przyznać musi każdy bezstronny obserwator, że nigdy chyba rządy państw, prowadzących straszną walkę na śmierć i życie, nie rozwinęły równocześnie tylu wysiłków i starania, by ludności cywilnej, od której wojna z natury swojej żąda ciągle jak największych ofiar, oszczędzić ile możności cierpień i braków, dla działań wojennych bezużytecznych. To humanitarne dążenie rządu było z pewnością jedną z przyczyn utworzenia organizacyi, mających na celu skupowanie pewnych artykułów ogólnego zapotrzebowania, by je po cenach przystępnych rozdzielić sprawiedliwie między całą ludność. Są to tak zwane centrale. Krótki jest byt tych instytucyi, ale już dostateczny zupełnie, by wyrobić sobie jasno zdanie o ich pożyteczności, charakterze i znaczeniu.

dobrze będzie rozpatrzyć całkiem objektywnie i spokojnie, czy i o ile te zarzuty przeciwko centralom są uzasadnione.

Czem są w rzeczywistości nasze centrale? Odpowiedź ekonomisty bezstronnego jedną tylko być może: są to upaństwowione kartele. Zdaje się, że nigdy w dziejach nie zjawiły się instytucye podobne, przynajmniej na taką skalę. Jednego z najwcześniejszych przykładów centrali, lecz tylko zbożowej, dostarcza nam historya Egiptu faraonów. Wiemy bowiem z dziejów biblijnych, że Józef egipski poradził ówczesnemu faraonowi, by zboże podczas lata niezwykłego urodzaju nakazał zwozić do spichrzy państwowych, czyli założył centralę zbożową, i tak nagromadzone zapasy sprzedawał potem podczas głodu za dowolnie ustanowioną cenę. Ta centrala zbożowa Józefa stała się prawdopodobnie głównem źródłem autokratyzmu faraona i potęgi i znaczenia żydów w Egipcie. Wszakże wynalazca centrali Józef, otrzymał najwyższy order czyli odznaczenie w państwie, i pierwszą władzę po monarsze. Niejeden z nas, ucząc się jako dziecko tego ustępu z Biblii, myślał sobie ze zdumieniem: Jak to było możliwe wykupić zboże z całego wielkiego państwa i jego sprzedaż w jednym zjednoczyć ręku! Dziś już wiemy, że to możliwe i jak możliwe. — Później władcy rozmaitych państw wyciskali nieraz podatki w postaci plonów zabranych,

lecz zawsze zostawiano dominium, prawo własności plonu pozostałego. W wiekach średnich książęta niektórzy także tworzyli czasami coś w rodzaju centrali. Mianowicie nadawali oni żydom olbrzymie przywileje handlowe i ci na tej podstawie dochodzili wkrótce do wielkich fortun. Zaledwie jednak się zbogacili, a już książęta konfiskowali im nagromadzone w ten sposób skarby. Oczywiście ze źródła trudno wodę do dna wysączyć — więc i żydom monopolistom także coś się zostawało, a opinii publicznej, domagającej się kary i powściągnięcia wyzyskiwaczy, stawało się zadość. W Ameryce, ku grozie i oburzeniu uczciwych ekonomistów, w ostatnich dziesiątkach lat powstały pod wpływem przemożnego kapitału kartele i trusty, które brały w monopol, chociaż nie prawny, lecz faktyczny, pewną gałęź gospodarstwa społecznego. Zapomocą ustawodawstwa starano się je, dotychczas bezskutecznie złamać.

Inną zupełnie drogą powstały centrale nasze. Teoretycznie dało im początek dążenie, by podnieconej pod wpływem wojny spekulacyi odjąć możność zbytecznego powiększania cen, by ludności ubogiej zapewnić możność nabycia towarów, gdyż inaczej zamożni, ofiarując ceny wysokie, dostaliby wszystkiego w ilości dozwolonej, a brakłoby artykułów żywności dla biednych — a wreszcie chodziło o zaspokojenie potrzeb armii. Otworzono więc centrale, kartele, ubogacone w przywileje niebywałe, bo nietylko mają one monopol danego artykułu, lecz poprostu nabywają wyłączne prawo jego posiadania. Producent prawo własności wytworów zupełnie traci, jest tylko robotnikiem na swej glebie, a te tak zwane „ceny maksymalne", które centrala czy rząd pod jej wpływem, ustanawia, nie są właściwie, ze stanowiska ekonomii biorąc, żadnemi cenami, lecz są to tylko dowolne, z rzeczywistym kosztem produkcyi i stosunkami handlowymi często w żadnym związku nie stojące odszkodowania za skonfiskowany artykuł.

Jak gigantyczne i niebywałe są wysiłki, które państwa w wojnie obecnej muszą czynić, celem pokonania przeciwnika, tak też olbrzymie i wyjątkowe muszą być środki, które państwo w tej walce musi mieć do rozporządzenia. Państwo, które od swych poddanych ma prawo żądać ofiary z dobra największego, bo z życia, ma też i prawo żądać ofiar z dóbr innych, chwilowo zawieszając prawo własności prywatnej, na rzecz dobra ogólnego. Ale chwytając się takich zarządzeń, musi mieć rękojmię i pewność, że rzeczywiście one do celu prowadzą. O tem, o tej ich użyteczności, nie zawsze odrazu można się przekonać.

Obowiązkiem jest jednak czynników odpowiedzialnych, rzecz całą od czasu do czasu poddawać sumiennemu badaniu, a w tym celu dopuścić do głosu bezstronną krytykę. Cóż się tedy pokazuje, gdy zsumujemy działanie naszych centrali? Przywiedźmy sobie na pamięć tylko całkiem ogólne fakta, znane i omawiane po tysiąc razy w dziennikach i na zgromadzeniach publicznych.

Więc najpierw fakt, że pojawienie się centrali jakiegoś artykułu natychmiast sprawia, iż zapasy tego artykułu, dotychczas istniejące, gdzieś nikną — nikną w spiżarniach ludzi zamożnych a bez porównania więcej w magazynach spekulantów. Z drugiej strony ceny nietylko idą w górę, lecz rozdwajają się. Jedną bowiem cenę naznacza dowolnie centrala, a równocześnie zaczyna się szalony handel pokątny, o cenach przechodzących granicę wyobraźni. Które ceny są słuszne? Właściwie ze stanowiska ekonomicznego, ani jedne, ani drugie nie są cenami. Tak zwane ceny maksymalne są dowolnem odszkodowaniem za konfiskatę, a ceny handlu łańcuszkowego, są to sumy powstałe z rozmaitych pozycyi: więc wartość towaru, jego podaż i popyt, zysk lichwiarski i wreszcie odszkodowanie za ryzyko, na jakie się kupiec-spekulant naraża. Jak wobec tego orzec, ile można s u m i e n n i e za towar żądać — tego nikt chyba dokonać nie potrafi.

A teraz co do samych towarów. Część ich psuje się po spiżarniach prywatnych, gdzie je w obawie przed brakiem w nadmiernej ilości nagromadzono i gdzie ich należycie przechować nie umieją lub nie mogą. Większa jeszcze część gnije lub butwieje w magazynach spekulantów, a nawet w magazynach samych centrali. A wreszcie niektóre towary ulegają masowo strasznemu zniszczeniu przez to, że centrala nie umie lub nie jest w możności skonfiskowane czyli zajęte u producentów towary zwieźć i odpowiednio zawczasu rozdzielić, jak to ciągle się dzieje z ziemniakami i kapustą a często i ze zbożem. Zresztą natura ludzka jest zawsze jednaka i zawsze ogólnie mówiąc człowiek inaczej pilnuje swego a inaczej cudzego, inaczej pracuje i dogląda właściciel a inaczej najemnik w centrali, który i tak swoje dostać musi.

Jakże te stosunki odbijają się na ludności? W sposób bardzo prosty. Bogaci, jak przedtem, tak i teraz mają poddostatkiem wszystkiego, czego dusza zapragnie, tylko za ceny olbrzymie. A biedni, w których interesie tych niesłychanych przewrotów społecznych dokonano, jak przedtem, tak i tem bardziej teraz, cierpią brak i nędzę. Tylko o tyle jeszcze gorszą, że ich najlepsi opiekunowie i najpewniejsze ostoje, klasy średnie, cierpią nędzę zarówno z nimi, więc choć serce się rozdziera,

nie mogą nic im dopomódz. Oczywiście to zniszczenie masy żywności lub jej ukrywanie, musi się w sposób wysoce niekorzystny odbić także i na zaprowiantowaniu armii.

To są strony ciemne centrali — przeraźliwie ciemne. Lecz są i tacy, którzy z central zyskują. Więc oczywiście najpierw wielcy finansiści i instytucye bankowe, którzy centrale prowadzą. Ci zagarniają tydzień za tygodniem, dzień za dniem, wielokrotne miliony. A dalej zyskuje olbrzymio skarb państwowy. Najpierw bezpośrednio, bo on zabiera „nadwyżkę“ dochodów centrali, dalej przez to, iż najpierw zabiera zwykłe podatki od dochodów, a następnie przez ustanowienie wysokich podatków od zysków wojennych, równających się konfiskacie częściowej tych zysków.

zawsze jeszcze głównym menerom centrali zostanie tyle, że mimo narzekań i protestów na zewnątrz, w duszy mogą się jeszcze z weselem w przyszłość ciemną patrzyć.

Wreszcie dotknąć choć z lekka trzeba najsmutniejszej strony tej kwestyi, strony społeczno-etycznej. Nie mówiąc już o uświadomionych mniejszych lub większych rzezimieszkach tu grasujących, nie mówiąc o tem, że centrale odciągnęły od użytecznej dla społeczeństwa pracy tysiące i dziesiątki może tysięcy ludzi dzielnych i zaprzągnęły je w postaci różnych funkcyonaryuszów centralowych w swoje jarzmo, czyniąc ich poniewolnemi narzędziami swych manipulacyi — ale nawet najuczciwsi ludzie dziś coraz więcej tracą poczucie etyczne handlowe, co wolno a czego niewolno, a z ust najbardziej prawych wyrywa się bolesny okrzyk: „dziś każdy musi oszukiwać i kłamać, by módz żyć“. Nawet tacy, którzy dawniej nie zataili jednego halerza w fasyi podatkowej, dziś nie mogą wprost i nie mają odwagi dostosować się do tych wszystkich wymagań, jakie na nich nakładają centrale.

Jeżeli prawo paszportowe czyni z nas to, czem byli wieśniacy za czasów pańszczyzny, glebae adscripti, to jest przykuwa nas do miejsca pobytu, jeżeli prawo cenzurowania listów wdziera się w tajniki życia prywatnego, to centrale wżerają się w nasze wnętrzności, wgryzają w sumienie.

I spotykamy się tu z zagadką niezmiernie dziwną. Jeżeli centrale są tem wszystkiem, jeżeli krótki ich obraz, jaki nakreśliliśmy, nie jest przesadny, lecz raczej za słaby — a przyzna każdy, że tak jest rzeczywiście — to zapytać się ze zdumieniem trzeba: Jakże się to dzieje, że instytucye takie istnieć mogą w naszym czasie, w wieku wolności i parlamentaryzmu? Rozwiązanie tej sprzeczności łatwo się znajdzie, gdy sobie przypomnimy, że centrale opierają się na utopiach, które w naszych czasach, a zwłaszcza w latach ostatnich, ogromne mają wzięcie, a mianowicie są one wypływem zasad socyalistycznych i komunistycznych, są wyrazem praktycznym dwóch utopii: jedna, że ludzie wszyscy są równi, a druga, z tamtej wynikająca, że można dobra tej ziemi rozdzielić w sposób zupełnie równy. Gdy tylko ludzie zaczynają otwierać oczy na znaczenie i działanie centrali, zaraz sypie się im w nie piasek o równości rozdziału dóbr i o obronie ekonomicznie słabszego. A tymczasem, jak z każdej utopii socyalnej, kapitał wielki wzmaga się i zbiera plon stokrotny i tysiąckrotny. A nadto na czele centrali stoją ludzie, którzy jak widzieliśmy mają władzę potężną, a władza wielka ma i to ze sobą, że daje środki do jej utwierdzenia, do utrzymania się przy niej.

Econ.

Nadesłano do Redakcyi następujące książki:

Nakładem księgarni św. Wojciecha, Poznań 1917.

Wachowiak Dr. Stanisław: **Odczyty ekonomiczne,** str. 66 in 12⁰.

Jeske-Choiński: **W pogoni za prawdą,** Serya V-ta, wyd. 2 gie, str. 372 in 12⁰.

O. Zenon z Maniowy: **W pogoni za prawdą,** Serya VI-ta, Drogowskaz życia, podług dziełka O. Emerama Glaschrödera, str. 237 in 12⁰.

X. Dr. Szydelski: **Religia a wychowanie i szkoła,** str. 101 in 12⁰.

Czuj Dr. Jan: **Buddyzm,** Nr. 41 Głosów na czasie, str. 101 in 12⁰.

X. Adamski, Patron: **Sprawozdanie związku Spółek zarobkowych,** str. 72 in 4⁰.

Domańska Antonina: **Legendy z życia Swiętych,** str. 178 in 12⁰.

X. Hattler Franciszek T. J.: **Kwiaty z Bożego ogrodu,** str. 294 in 12⁰.

X. Marekowski Tadeusz: **U stóp Twych o Maryo!** Czytania na maj lub październik, str. 133 in 12⁰.

X. St. Krzeszkiewicz: **Ojciec św. Pius X,** str. 134 in 12⁰.

X. Adamski Józef St. T. J.: **Nieśmiertelność duszy ludzkiej w świetle rozumu,** str. 55 in 12⁰.

Św. Alfons Liguori: **O powołaniu zakonnem,** str. 218 in 12⁰.

Czeska Marya: **Dwaj Rymszowie,** str. 250 in 12⁰.

Czeska Marya: **Opowieści Chrystusowe,** str. 214 in 8⁰.

X. Kruszyński Józef: **Wstęp szczegółowy do Ksiąg świętych Nowego Testamentu,** str. 740 in 8⁰, Włocławek 1916.

X. Sokołowski Dr. Czesław: **Przysięga antymodernistyczna,** str. 210 i XXX in 9⁰, Warszawa 1916.

— **Mowy żałobne ku uczczeniu pamięci H. Sienkiewicza,** str. 56 in 8⁰, Sandomierż 1916.

X. Huonder Antoni T. J.: **U stóp Mistrza,** krótkie rozmyślania dla kapłanów, przełożył z niemiec. X. Dr. Korzonkiewicz, str. 348 in 16°, Kraków 1917.

X. J. K.: **Swięcenia kapłańskie** czyli obrzędy przy udzielaniu kapłaństwa, str. 78 in 16° Kraków 1917.

X. Gajkowski Jan: **Benedyktynki Sandomierskie,** str. 172 in 12°, Sandomierz 1917.

X. Kasprzycki Antoni: **Manuale liturgicum in usum alumnorum et sacerdotum,** str. 290 in 8°, Radom 1917.

X. Marchewka Stanisław: **Bł. Wincenty Kadłubek,** opis klasztoru w Jędrzejowie, żywot i cuda Błogosławionego, str. 123 in 16°, Kraków 1917.

Chołoniewski Antoni: **Duch dziejów Polski,** str. 141 in 12°, Kraków 1917.

Finkel Prof. Dr. Ludwik: **Inwentarz archiwum uniwersytetu lwowskiego,** str. 62 in 8° Lwów 1917.

Divéky Dr. Adorjan: **Węgry i sprawa polska w czasie wojny** str. 16, Kraków 1917.

X. Szczepański Prof. Władysław: **Jeruzalem i Jerycho,** cztery odczyty, 130 rycin, str. 174, Kraków 1917.

X. Biskup Pelczar: **Przemowa do legionistów dn. 7 paźdz. 1917,** Przemyśl 1917.

X. Wais Dr. Kazimierz: **Dusza ludzka,** Kraków 1917, str. 304.

Sokołowski Dr. Alfred: **Wielkie klęski społeczne** (choroby zakaźne, płucne, weneryczne, alkoholizm) **i walka z niemi.** Nakładem Gebethnera, Kraków 1917, str. 376 in 12°.

Nakładem księgarni B. Herdera, Fryburg w Bryzgowii 1917.

Schäfer Dr. Jakób: **Der Rosenkranz ein Pilgergebet,** str. 84 in 12°.

von Kasteren Joh. Peter S. J.: **Wie Jesus predigte,** deutsche Bearbeitung von Spendel S. J., str. 112 in 12°.

Eickholt Klemens, päpstlicher Offizier a. D.: **Roms letzte Tage unter der Tiara,** str. 320 in 12°.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Ks. J. Pawelski T. J.*

DRUKARNIA EUGENIUSZA I DRA KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.

Od Redakcyi
w sprawie wydawnictwa.

Zmuszeni drożyzną wojenną, podnieśliśmy przed rokiem prenumeratę naszego pisma. Niestety, kończący się obecnie rok sprawę drożyzny jeszcze bardziej zaostrzył i to w zatrważający sposób. Zwłaszcza ceny papieru poszły tylokrotnie w górę, że dla związania końców w kosztach wydawnictwa trzebaby podnieść znowu prenumeratę i to do wysokości wprost odstraszającej.

Ponieważ nowego podwyższenia prenumeraty chcemy za wszelką cenę uniknąć, a charakter i rozmiary każdego zeszytu zachować, nie pozostaje nam nic innego, jak na czas trwającej drożyzny wydawać zeszyt co dwa miesiące, zachowując prenumeratę, która była w r. 1917. W ten sposób, w przyszłym roku wyjdzie tylko sześć zeszytów.

Nie potrzebujemy zapewniać, że pierwsza nadarzona sposobność do wydawania pisma ponownie co miesiąc będzie przez nas powitaną skwapliwie.

Redakcya.

W pierwszą rocznicę śmierci dwu polskich zakonodawców.

Nie godzi się nie skłonić głowy przed pierwszą rocznicą śmierci Brata Alberta i Ojca Honorata. Obydwaj umarli rok temu w miesiącu grudniu. Dwaj wielcy miłośnicy Boga i bliźniego, dwa prawdziwe klejnoty polskiego katolicyzmu, dwie Boże garści apostolskiej soli, jakie spodobało się łaskawej Opatrzności rzucić w zoraną ziemię polskich dusz!

Życie ich trafiło na dobę ruchów społecznych, na chwilę, kiedy katolicyzm społeczny stawał do walki z liberalizmem i socyalizmem. Zagadnienie to rozwiązali obydwaj w tym samym duchu, w duchu św. Franciszka z Asyżu, podejmując się podniesienia społeczeństwa przez stowarzyszenia tercyarskie. W ten sposób duch Franciszkański, który już w średnich wiekach współdziałał skutecznie przy zażegnaniu przesilenia społecznego, wstąpił dziś także i na polską ziemię w nowej postaci.

Duch „żebraka z Asyżu“, zjawiający się w dzisiejszym świecie ze wzmożoną siłą, jest objawem, któremu wartoby poświęcić osobne studyum. W sferach literackich Europy żaden ze świętych nie cieszy się dziś takim mirem, jak święty Franciszek: z prac o św. Franciszku możnaby złożyć bibliotekę, i to z prac, pisanych nieraz przez pierwszorzędnych autorów, nawet przez protestantów i przez ludzi niewierzących. Działa tu niewątpliwie idealny urok serafickiej postaci, przedewszystkiem jednak działa

odpowiedniość charakteru Świętego do potrzeb naszego czasu. Stąd płynie owo olbrzymie wzmaganie się tercyarstwa franciszkańskiego w świecie, naturalny odruch wyższych dusz ludzkich przeciw błędom i niedomaganiom współczesnego społeczeństwa. Idei tej poświęcił jedną ze swych przemów Leon XIII., zestawiając czasy św. Franciszka z Asyżu z naszymi czasami: „Kierunek naszych czasów zbliża się pod pewnymi względami do kierunku ówczesnego. Jak bowiem w XIII. wieku, tak i obecnie miłość Boża niezmiernie ostygła; niemałe też w przedmiocie powinności chrześcijańskich panuje zamieszanie, pochodzące po większej części z niedbalstwa... Podnoszą godło braterstwa ludów, a przecież to braterstwo raczej na ustach, niż w uczynkach mają; uwodzi ich bowiem miłość własna, a prawdziwa miłość względem słabych i biednych z każdym dniem maleje. W owym czasie wielorakie błędy Albigensów, podnosząc bunt przeciw Kościołowi, zaburzały równocześnie stany świeckie, torując drogę do pewnego rodzaju socyalizmu. I dziś podobnież rozmnożyli się tegoż systemu zwolennicy, którzy odmawiając uporczywie posłuszeństwa Kościołowi, targają się nawet na władzę świecką, zalecają ludowi gwałty i rozkosze, przeczą własności osobistej, a schlebiając żądzom proletaryatu, burzą podstawy porządku domowego i publicznego. W trzecim zakonie św. Franciszka słusznie można pokładać nadzieję. Skoro instytucya ta zakwitnie, wraz z nią rozwinie się wiara, pobożność i cnoty chrześcijańskie wszelkiego rodzaju, a wzgarda rzeczy znikomych zachęci wielu do poskromienia swoich namiętności. Złączeni węzłem bratniej zgody, ludzie zaczną miłować się prawdziwie, a z ubogimi i nieszczęśliwymi obchodzić się będą z przynależną im względnością. Przejąwszy się zasadami religii chrześcijańskiej, nabiorą niewątpliwie przekonania, że prawowitej władzy należy się posłuszeństwo, że krzywdzić nie wolno w niczem i nikogo, że wszelkie gwałty, żądza nowości, nienawiść pomiędzy rozmaitemi warstwami społeczeństwa, stanowią początek i broń socyalizmu. Nareszcie stosunek bogatych do ubogich, nad którym mężowie stanu tyle się trudzą i mozolą, najlepiej zostanie uporządkowany na podstawie niewzruszonego przekonania, że i ubóstwo nie jest pozbawione godności". Kończy tę przemowę

Leon XIII. słowy: „Tym sposobem cały świat chrześcijański za sprawą Patryarchy z Asyżu przeszedłby z otchłani zamieszek do przybytku pokoju".

Zaznaczmy mimochodem, o czem mało się wie, że Leon XIII. stawiał równorzędnie z wielką swoją akcyą społeczną troskę o rozwój tercyarstwa. Wiele razy do tej sprawy wracał i doniosłość tercyarstwa dla kwestyi społecznej zaznaczał w najsilniejszych wyrazach. Sam był członkiem trzeciego zakonu, w czem zresztą miał za poprzedników papieży i królów i takich ludzi, jak Kolumb i Michał Anioł.

Dzieło Brata Alberta i Ojca Honorata zasługuje na pilną uwagę nie tylko jako dzieło dwu wybitnych i świątobliwych Polaków, ale także jako sprawa szczególniejszej wagi dla naszego społeczeństwa. Są w tem dziele głębsze rysy, są utajone wielkie siły. O wielu ważnych szczegółach tego dzieła mało kto posiada wiadomość, a i ta wiadomość bywa czasem zabarwiona zbyt podmiotową oceną. Dziś, przy kształtowaniu się stosunków w nowem państwie polskiem, warto na to dzieło wskazać palcem, bo kto się niem umiejętnie posłuży, ten nie tylko trafi do tych szerokich warstw, do których inną drogą trafić trudno, ale i wielu niedomaganiom społecznym w Polsce skutecznie zabieży.

Pierwszy do pracy stanął Ojciec Honorat (Wacław Koźmiński), członek zakonu OO. Kapucynów w Królestwie. Ojciec Honorat znany był szerszemu ogółowi jako wybitny pisarz ascetyczny i niezrównany kierownik dusz, przedewszystkiem jako człowiek wielkiej modlitwy i wielkich umartwień. Na szerszej widowni zaznaczył się tem, że stał czujnie na straży wyższego religijnego życia w Królestwie; wbrew rosyjskiemu rządowi, który tępił życie zakonne, czynił Ojciec Honorat wszystko, by to życie w tej dzielnicy podtrzymać. On sprawił, że OO. Kapucyni, mimo, że rząd rosyjski zamknął im nowicyat i za opuszczenie Królestwa ofiarował im subwencyę, nie opuścili swojej dzielnicy, ale trwali i doczekali się dzisiaj szczęśliwszej doby. On też dokazał tego cudu, że, gdy Rosya zacierała ręce, iż już ducha zakonnego w Prywislenju poza kilku skazanymi na wymarcie klasztorami niema, duch ten ożywiał kilkanaście tysięcy ludzi. Wszystkim ludziom, którzy

dla zadośćuczynienia powołaniu zakonnemu, chcieli się udawać do zakordonowych klasztorów, tłumaczył na wszystkie sposoby, by zostali w Królestwie. Jak wielki był wpływ tego człowieka, gdy mógł sprawić, że tysiące osób, idąc za jego skazówką, pędziło życie ukryte, a zarazem ścierające się w walce o kawałek chleba, bez tych pomocy duchowych, jaką daje wyrobiona organizacya, życie narażone na prześladowanie i rewizye policyi, często napastowane przez swoich nierozumiejących ducha idei. Ideą zaś Ojca Honorata było, że w tak ciężkich warunkach, w jakich było Królestwo, zwłaszcza pod względem religijnym, nie można dopuszczać, by kraj pustoszał z gorętszych dusz i z tego wielkiego wpływu moralnego, jaki te dusze powodują. Chciał też mieć pod ręką jak najwięcej pomocników do urzeczywistnienia swego ideału społecznego.

Początek tej idei ukrytych zgromadzeń powstał z konieczności; trzeba się było przed rządem rosyjskim ukrywać. Równocześnie widział O. Honorat, że za granicą istnieją podobne zgromadzenia, zatwierdzone przez Rzym, a więc, że z konieczności zatwierdzoną jest sama zasada. Wyraża ją O. Honorat w swoich pismach-tak: „Duch sekularyzacyi, który ogarnął ludzkość, chociaż w źródle jest złym, zniewolił jednak do pewnego uwzględnienia siebie. Habit zakonny jest dziś znienawidzony, i dość na tem, że go kto nosi, aby mu nie ufano, posługą jego gardzono, a nawet aby jej wzbraniano... Więc chcąc ratować dusze, trzeba wyrzec się noszenia sukni świętej... Zresztą należy zauważyć, że te zgromadzenia tylko pozór mają ukrytych. Ukrywają się co prawda przed światem, ale jedynie ze swojem poświęceniem, ale w rzeczy samej jawniejsze są, niż wszystkie inne zakony. Głównym ich celem jest przedstawienie zbliska bezbożnemu światu przykładu moralności i cnót chrześcijańskich, oraz uczenie wszystkich, jakim sposobem obowiązki względem rodziny i towarzystwa można pogodzić z zachowaniem przykazań, z moralnością chrześcijańską a nawet z praktyką rad ewangelicznych".

Przy zakładaniu tych zgromadzeń powodował się następującemi zasadami. Najpierw kładł nacisk, aby dobierały się osoby jednego stanu i poświęcały się na pracę koło tegoż stanu. „Tym

sposobem, pisze O. Honorat, każdy stan będzie się sam w sobie reformował i uświęcał i sam w sobie znajdował środki do zaspokojenia swych potrzeb materyalnych i moralnych". Założył też z tą myślą kilkanaście ukrytych zgromadzeń; jedne dla wyższych stanów i osób wykształconych, inne dla średnich, inne i tych najwięcej, dla niższych. Drugą zasadą było, że „jednocześnie z pracą społeczną, a może jeszcze przed nią zabiegać trzeba o uświątobliwienie każdego stanu... Gdy się oprze fundament na odnowieniu ducha Chrystusowego, wszystko się samo przez się ułoży". — Trzecią zasadą było, by nie działać odrazu na całe masy, ale zaczynać od dusz gorliwych i stałego charakteru. „Trzeba małe kółko zebrać, a gdy to urządzi się po Bożemu, wziąć się do wpływu na resztę tej klasy".

W obszernym memoryale O. Honorata o tych zgromadzeniach czyta się wiele ciekawych a ważnych zastosowań do tych zasad. Dla ilustracyi przytoczymy kilka obszerniejszych ustępów. Weźmy, na przykład, ustęp o zgromadzeniu tercyarskiem mężczyzn na wsi: „Równolegle z żeńskiem, do tego samego celu dąży zgromadzenie z mężczyzn złożone. Członkowie jego trudnią się po większej części uprawą roli oraz ogrodnictwem, mieszkając w domach rodzinnych lub prywatnych. Obok dzieł miłosierdzia i wychowania młodzieży wiejskiej, przyczyniają się oni do zawiązywania spółek, mających na celu podniesienie gospodarstwa i dobrobytu wśród ludu, starając się szerzyć wstrzemięźliwość od wódki i tytoniu, odwodzą od emigracyi lub wychodzenia na zarobki w inne kraje, szerzą zamiłowanie drobnego przemysłu. Organizują śpiewy choralne lub kapele, dając w ten sposób okazye do szlachetnej rozrywki, a odwodząc od złych i gorszących. Jednem słowem starają się wdrożyć do pracy społecznej ten bogaty materyał, jakim jest ogół wiejskiego ludu, który jednak wskutek zaniedbania i zostawienia samemu sobie, żył do niedawna w ciemnocie, niechlujstwie i w innych nałogach, a gdzieniegdzie nawet nadstawiał ucha zgubnym podszeptom socyalizmu, obudzającym rozgoryczenie względem panów. — W domu Macierzyńskim Bracia mają piekarnię, warsztat krawiecki, szewski, stolarski, tkactwo sukienne, introligatornię i kuźnię. W zakładach księcia Radziwiłła

nauczają dzieci siejdu. Przyjmują też posługi po kościołach, klasztorach, seminaryach i u proboszczów. Bracia są jeszcze dozorcami w przytułkach sierót i w domach noclegowych, w szpitalach i innych zakładach tercyarskich".

Albo ustęp z rozdziału: „Rzemiosła": „Bracia ci podobnie się urządzają, jak się mówiło o wiejskich, prowadzą różne rzemiosła, jak krawiectwo, szewstwo, stolarstwo, introligatorstwo. W ważniejszych miastach, jak Częstochowa, Łódź i t. d. mają pierwszorzędne sklepy i warsztaty, oraz mnóstwo czeladzi i terminatorów, których przełożeni są głównymi seniorami swego cechu. Najmują także ogrody w miastach i niemały wpływ wywierają na mieszkania robotników przy kopalniach i fabrykach. Mieszkań takich bardzo ludnych i urządzonych po Bożemu, mają kilkanaście, prowadzą przytem ochrony po miastach z uznaniem kapłanów i biskupów. Wszędzie rozszerzają pożyteczne książki, prowadzą nawet księgarnie katolickie, wydają swoje pismo, ściągają ludzi na czytania moralne i naukę rzeczy pożytecznych, szczególniej w niedzielę i święta. Szerzą bractwa, przewodniczą w rekolekcyach, uczą katechizmu. W jednem na przykład mieście przygotowali więcej, niż dwa tysiące dzieci do pierwszej Komunii świętej i mają tam około 30 wianków żywego różańca".

Albo ustęp z rozdziału: „Fabryki, stowarzyszenie żeńskie": „Obecnie rzadką jest fabryka, w którejby nie pracowało kilka lub nawet kilkanaście osób Bogu poświęconych, gdyż liczba ich dochodzi już do dwu tysięcy. Przedstawiają się one naprzód jako zwyczajne robotnice i znoszą zwykle z początku prześladowania i szyderstwa swoich współpracowników; powoli jednak zyskują zaufanie majstrów, którzy z czasem ulegają ich dobroczynnemu wpływowi, a z drugiej strony zaufanie robotników, powstrzymując ich od wielu czynów niechrześcijańskich i przerabiając wszystko w koło siebie na modłę Chrystusową. Socyaliści widzą w nich obecnie największą przeszkodę do rozszerzania swojej niszczącej działalności i wcale się z tem nie kryją. Grożą nawet fabrykantom i wyższym oficyalistom, nakazując im wydalić te „dziewki narodowe", a samym Siostrom każą zapisywać się na listę ich członków, zagrażając w przeciwnym razie śmiercią. Żadna jednak

dotąd nie dała się pociągnąć, ani nie uległa żadnemu wypadkowi, tak, że nawet w czasach ciągłych i tłumnych aresztowań ani jedna nie została uwięzioną; kozacy, którzy na żądanie właściciela jednej z fabryk wpadali do domów z nahajkami i zapędzali ludzi do roboty, mieszkanie tychże Sióstr ominęli. Fabrykanci i oficyaliści bynajmniej nie chcą ich wydalać, widząc w nich doskonałe pracownice, niepotrzebujące nadzoru, owszem, przykładem swoim zachęcające innych do sumienności i uczciwości. Co więcej, ze względu na nie lub pod ich wpływem czynią różne folgi dla ogółu pracujących; jedni np. dają robotnicom co rok 10 lub więcej dni bez wytrącenia z zarobku; inni stawiają dla fabryki kaplice, wszędzie wznoszą ochronki dla dziatwy ludu fabrycznego i powierzają je Siostrom. Siostry wpływają znakomicie na moralność i dobrobyt swoich współpracownic, urządzając wspólne mieszkania dla tych, które nie mają na miejscu bliskiej rodziny i musiałyby mieszkać u obcych. Mieszkania takie są przy każdej niemal fabryce, a w niektórych miejscowościach jest ich po kilka. W nich 20 lub 30 osób łączy się razem, obierając z pomiędzy siebie jedną za gospodynię, drugą za kucharkę, i wspólnym a daleko tańszym kosztem porządnie się żywią i mieszkają, mając nadto towarzystwo, opiekę w chorobie i pomoc w potrzebach materyalnych i moralnych. Błogosławieństwo Boże tak widoczne jest nad niemi, że choć w obecnych ciężkich czasach z powodu strajków wiele ludu fabrycznego cierpi głód i nędzę, one nigdy jeszcze w żadnym domu głodu nie zaznały; owszem, nie tylko nie potrzebowały udawać się o wsparcie do komitetów dobroczynnych, ale same, pomimo skromnych środków, niosą pomoc innym rodzinom fabrycznym. W wolnych chwilach chodzą do chorych kobiet, zastępując je w obowiązkach domowych, szyją i karmią dzieci, gotują posiłek. Każda ma jakąś rodzinę albo i kilka na swojej pieczy, przez co nie ma czasu myśleć o próżnościach, właściwych temu stanowi, lecz cała oddaje się na posługi bliźnich, pociągając inne dziewczęta swoim przykładem. W niektórych miejscach Siostry utrzymują własną pracą przytułki dla suchotnic. Bardzo też wiele zrobiły dobrego w walce z różnemi sektami, które się do fabryk wdzierają, np. z anabaptystami, masonami, nie mówiąc już o pro-

testantach i kalwinach. Propaganda tych sekt odbywa się w fabrykach na większą skalę, niżby to można było przypuszczać, a przynętą są głównie pieniądze, lepsze wynagrodzenie za pracę lub posag, gdy dziewczyna fabryczna zgodzi się wyjść za mąż za anabaptystę, i t. p. Mnóstwo takich zostało powstrzymane przez Siostry od zguby".

Są to rzeczy i jako pomysł i jako wykonanie pierwszego rzędu, przynoszące najwyższy zaszczyt tej dzielnicy, która to dzieło wydała. Zakonnica w postaci wyrobnicy, pracująca na kawałek chleba w fabryce i wprowadzająca do fabryki przykładem życia ducha Chrystusowego, to jest coś, co przechodzi zwykły porządek rzeczy. Gdyby te rzeczy działy się we Francyi lub w Belgii, nie byłoby w naszej prasie i w naszych towarzystwach końca zachwytom.

W ten lub podobny sposób toczy się życie i dokonywa praca apostolsko-społeczna w innych stowarzyszeniach, które obejmują już dzisiaj wieś i miasto, fabrykę, rzemiosło i handel, sługi i pracodawców, sfery średnie i warstwy arystokratyczne. Jedno stowarzyszenie prowadzi wyższą szkołę żeńską; jedno jest stowarzyszenie księży świeckich. Wszędzie, odpowiednio do warunków, odmienne stosowanie tych samych zasad. Powiedzieć poniekąd można, że już część społeczeństwa we wszystkich stanach jest tercyarską regułą objęta.

Nie obyło się oczywiście bez przeciwieństw i trudności. Niejedną ciężką chwilę przechodził Ojciec Honorat. Nie mówimy już o tem, że go nagabywano o maryawitów, ale ileż ataków przenieść musiał o każde niepowodzenie każdego z początkujących zgromadzeń. Nie zetknęliśmy się bezpośrednio ze żadnem z tych zgromadzeń, znamy je tylko ze sprawozdań i z memoryału Ojca Honorata, sąd więc wydać możemy o samej tylko zasadzie. A ta zdaje się być wyższą nad wszelką dyskusyę. Mogły być trudności jak w początkach każdego dzieła, zwłaszcza w tak trudnych warunkach, jak pod prześladowczym rządem rosyjskim; z kłopotów materyalnych, nieraz z braku opieki duchownej, mogły może powstawać komplikacye, co wszystko jednak nie przesądza o istocie rzeczy. Zresztą błogosławił temu dziełu kilkakrotnie Leon XIII.

a Pius X. przyrzekł tym zgromadzeniom oddzielne potwierdzenie. Gdy mu w tym celu przedstawiono kilka Sióstr jednego z tych zgromadzeń, powiedział: „Będziecie potwierdzone, bo zakonnice nie habit stanowi, ale cnoty i śluby zakonne".

Kończy Ojciec Honorat swój memoryał następującemi słowy: „Niechże więc wszyscy, którzy kochają kraj po Bożemu i chcą go mieć katolickim, zwrócą w tę stronę swoje ofiary, zwłaszcza, że dla względów ludzkich często niosą pomoc tam, gdzie jest ona mniej potrzebną". Te słowa powtarza już dzisiaj z za grobu.

* * *

Ojca Honorata nie mieliśmy szczęścia znać osobiście; dzieliły nas kordony. Po Bracie Albercie (Adam Chmielowski) pozostała nam na zawsze pamięć dobrego przyjaciela. Zachodził często do naszej redakcyi. Mawiał żartem, że obecny nowy świat zna tylko z „Przeglądu powszechnego". Wielką wagę przywiązywał do stylu. Stylu pewnych autorów nie znosił i prace ich choć rzeczowo najlepsze, z wielkim tylko trudem mógł czytać. Żeby mu rzecz całkiem trafiła do przekonania, musiała być pisana odpowiadającym mu stylem. Pewna miara artystyczna wchodziła w istotę jego poglądu na świat.

Była to też dusza nawskróś artystyczna. Po pierwszym okresie młodości, zakończonym ofiarą na ołtarzu ojczyzny w roku 1863 i złączonem na całe życie z tą ofiarą kalectwem nogi, oddał się malarstwu, w którem doszedł do znacznych wyników. W miarę jednak, jak pogłębiać się w nim zaczęło właściwe powołanie, od malarstwa coraz bardziej się odsuwał, aż wreszcie zerwał ze sztuką zupełnie. Nie zerwał jednak i nie potrzebował zrywać z podstawą artystycznej duszy. W tej dobie przetrawiania się wewnętrznego szedł tą samą drogą, jak jego pierwowzór, św. Franciszek z Asyżu. Całkowite zerwanie ze wszystkiem, co od Boga mogło odprowadzać, oddanie się w ofierze całopalenia Bogu, życie twarde i pełne zaparcia, są to objawy, właściwe wszystkim, którzy na seryo rozpoczynają służbę bożą — ale pustelnie, lepianki, wór jako ubranie, prawie wyłączne obcowanie z prostaczkami, to były właściwości św. Franciszka i Brata Alberta, dwu wielkich artystów nawet

w pracy uświęcania się. Wyobraźnia i uczuciowość, grające większą rolę w takich duszach, muszą znaleść odpowiednie sobie uzewnętrznienie.

W pamięci ogółu został Brat Albert taki, jakim był, gdy okres wielkich walk i przemian był w jego życiu już ukończony. Wyniosłej postaci, o uderzających rysach twarzy, odziany w wór, przewiązany sznurem, jawił się na ulicach miasta, jak żywy protest dla rozbawionego świata. Była jednak w tym proteście taka głębia duszy, że widok jego nietylko nie odpychał nikogo, ale owszem nakazywał cześć i podsuwał myśl o wielkim celu życia ludzkiego. Widziało się tę postać w różnych chwilach i warunkach życia zawsze skupioną, zawsze przejętą duchem swego Chrystusowego posłannictwa, zawsze wyższą nad ziemskie dążenia i rachuby. Względem niższych i poddanych umiał łączyć miłość ojcowską z ojcowską godnością, pewien rygor żołnierski, domagający się karności i posłuchu, gotów każdej chwili na widok przestępstwa wybuchnąć świętym gniewem, zachowujący jednak zawsze pod szorstką powierzchnią głębokie wyrozumienie i współczucie dla nędzy ludzkiej. Względem równych i obcych był zawsze dobrym tą nieskrępowaną, swobodną dobrocią, która często miała urok dobroci dziecka, i zawsze prostym tą najwyższą prostotą, która zawsze prostą drogą do prostego i dobrego celu idzie. Takim go znano, takiego ceniono, ale mało kto zdawał sobie sprawę, ile trudu, ilu walk, jakich wysiłków woli trzeba było, ażeby rzucić pomost ponad tę przepaść, jaka dzieli niestałość natury i twórczości artystycznej od wytrwałości twardego obowiązku, spełnianego codziennie zawsze z dnia na dzień taksamo. Silna, żelazna, zahartowana w trudach, uświęcona bożą łaską, wola, musząca za każdą gorliwą cenę dojść do wytkniętego wielkiego celu, to była ta jasna lampa Brata Alberta, którą niósł dostojnie w dłoniach przez życie i którą poniósł we wieczność.

Taksamo i dzieło społeczne, które stworzył, nie przyszło mu odrazu na myśl. Długo szukał, zanim znalazł tę ścieżkę. Zwróciwszy się całkowicie ku Bogu, zamyślał oddać mu życie w pewnym zakonie; potem chciał stworzyć religijne bractwo malarzy. Dopiero dobry uczynek miłości bliźniego wskazał mu drogę, którą

poszedł. Gdzieś w twardej zimie spotkał w Krakowie, na ulicy Basztowej, zziębniętego biedaka. Wziął go do mieszkania, opatrzył mu odmrożone nogi i przy tej sposobności dowiedział się od niego o istniejących miejskich ogrzewalniach. Wtedy powstała w nim myśl otwierania przytulisk dla nędzy miejskiej. Oddać się łagodzeniu najjaskrawszych przejawów tej nędzy, ratować ciała i podnosić dusze, poświęcić się tej pracy samemu i natchnąć tym duchem poświęcenia drugich, oto dzieło życia Brata Alberta. Nazywa się to dzieło: Zgromadzenie Braci i Sióstr trzeciego zakonu św. Franciszka, posługujących ubogim.

Opatrzność Boża dopomogła, że pierwsi współpracownicy byli najlepszym materyałem, jaki w Polsce można było znaleść, byli to zbiegli z Podlasia unici i unitki. Twardy tryb życia, który Brat Albert sobie i swoim przepisał, znalazł w nich chętnych wykonawców. Dziś Braci i Sióstr jest ponad setkę; pracują z całem poświęceniem w kilkunastu domach, rozrzuconych po Galicyi, a pracują na wszelki sposób, jaki tylko ubogim na pożytek wyjść może. Najistotniejszym jednak sposobem jest utrzymywanie schronisk dla bezdomnych; w tych schroniskach istnieją różne warsztaty, dające skromny zarobek. Od takiego przytuliska na Kazimierzu rozpoczął swą pracę Brat Albert. Zbierali się w niem różni ludzie, i prawdziwi ubodzy dobrej woli, i biedacy, których przypadek rzucił na bruk miejski, ale byli i ludzie najgorszej konduity. Nikt nie był odepchnięty, kto o przyjęcie zapukał, każdy znalazł dach nad głową, tapczan i porcyę ciepłej strawy. Z tym dobrym uczynkiem dla ciała łączył się i dobry uczynek dla duszy. W przytulisku podsuwają Bracia sposobność do pracy i zarobku, zachęcają i podnoszą dobrem słowem i przykładem. Odbywają się nadto wspólne modlitwy, w niedziele i święta msza i kazanie, prócz tego w stosownym czasie rekolekcye. Ile dobra zeszło na Polskę przez te przytuliska, ile łez otarto biednym, ilu sprowadzono na prawą drogę, wie o tem całe społeczeństwo.

Dzieło Brata Alberta jest bardzo prostem, tak prostem, jak prostym był Brat Albert. Brat Albert był człowiekiem wykształconym, wyrobionym towarzysko, ale nie był umysłem, odsłaniającym szerokie widnokręgi, ani zdolnym do stworzenia ścisłej orga-

nizacyi. Co widzimy w dziele Ojca Honorata, plan rozległy obejmujący wszystkie warstwy społeczne i nowe drogi do urzeczywistnienia tego planu, tego w dziele Brata Alberta darmo szukać. Jest za to coś w tem dziele, czego w zgromadzeniach Ojca Honorata niema. Ojciec Honorat żali się niejednokrotnie w swoim memoryale, że o zgromadzeniach jego nic ludzie zdają się nie wiedzieć, przynajmniej nie przychodzą im z pomocą. Na to Brat Albert nie potrzebował się żalić. Całem ujęciem swojej idei, pewnymi zwłaszcza akcesoryami, sprawił, że ogół społeczeństwa musiał uświadomić sobie, że istnieją praktyczne obowiązki społeczne. Każdy Brat Albertyn, zjawiający się na ulicy w swoim worku i w trepkach na bosych nogach, jest krzykiem społecznej kwestyi. Jakżeż dopiero zdejmuje bielmo z oczu jedno spojrzenie w przytulisko, rojące się od spojrzeń dzikich i błędnych! Każde przytulisko Brata Alberta, o każdej porze dnia i nocy, odsłania ranę społeczeństwa. Co Brat Albert odczuł, gdy po raz pierwszy spotkał się z nędzą, to uwidocznił w swojem dziele tak, że każdy, patrząc na nie, podobnie czuć musi. O dziele Brata Alberta, ludzie, choćby nie chcieli, muszą wiedzieć i muszą pamiętać.

Obydwu zakonodawcom, gorącym Polakom, dał Pan Bóg tę łaskę, że pod wieczór życia swego oglądali świt wolnej ojczyzny. Tak pragnęli obydwaj oglądać rozkwit dzieł swoich w niepodległej Polsce! Można oczekiwać, że ten rozkwit będzie niewiędniejącym wieńcem na ich mogile złożonym.

A nadszedł czas, który okaże, że z pomiędzy miłośników ojczyzny, ofiarujących jej wszystko, na co kogo stać, oni obydwaj ofiarowali jej cząstkę najlepszą. Wiele objawów wskazuje, iż zanosi się w przyszłym powojennym świecie na takie zaostrzenie kwestyi społecznej, iż dotychczasowy groźny jej stan był tylko jej sielankową przygrywką. Zubożenie całego świata, idące i z wojny i z przyszłej spłaty olbrzymich długów państwowych, wywoła nędzę i powszechną i długoletnią, która jest najodpowiedniejszem podłożem dla stwarzania skrajnych dążeń społecznych, zwłaszcza dla rozwoju socyalizmu. Przyłącza się i to, że komunistyczne teorye socyalizmu święcą już dzisiaj pełny tryumf, stawszy się najwyższą formą państwowej aprowizacyi — stan, który i po wojnie

zapewne będzie trwał dalej. Jeżeli doda się, że Rosya zamieniła się w wulkan socyalistyczny, którego lawa zalewać zaczyna już dzisiaj świat cały, a zwłaszcza sąsiadującą Polskę, to w przybliżeniu możemy przeczuwać, jak będzie wyglądał świat po wojnie światowej. Z tego stanu rozbicia społecznego ratować ludzkość może tylko duch Chrystusowy, przejawiający się w różnej postaci, także w postaci naśladowców „żebraka z Asyżu".

Ks. J. Pawelski.

Jubileuszowa monografia o Suarezie[1].

„Mało jest ludzi, powiada ks. Scoraille we wstępie do swej monografii, którzyby w dziedzinie nauki katolickiej położyli tak wielkie zasługi, jak Fr. Suarez, a jednak i tych zasług nie odpłacono mu w należnej mierze.

Już trzy wieki mija, jak uczeni, czy to na katedrach uniwersytetu, czy mężowie pióra, filozofowie i teologowie, kanoniści i legiści, moraliści i pisarze ascetyczni, wszyscy, jużto chcąc zasilić swe wykłady, jużto wzbogacić swe pisma, pełnemi rękoma czerpią z jego dzieł naukę czystą, rozległą, jakiej pełne są te księgi [1]).

Zawiera się w tem bezsprzecznie najwyższe uznanie, jakie tylko można było okazać dla jego geniuszu, ponieważ jedynie cześć i podziw mogą nakłonić ludzi do podobnego kroku. Atoli rzecz szczególna! Względem Suareza ograniczono się tylko, lub prawie tylko do takiego hołdu, podczas gdy inni, stawiani obok niego lub od niego niżsi, odbierali głośniejsze i świetniejsze pochwały. Taki los Suareza —udawano się do jego dzieł, mało zaj-

[1]) François Suarez de la Compagnie de Jésus d'après se lettres, ses autres écrits inédits et un grand nombre de documents nouveaux. Par le Père Raoul de Scorraille de la Compagnie de Jésus. T. I L'Etudiant — Le Maître. T. II. Le Docteur — Le Religieux gr. 8°. XXII, 474+550 pg. Cena 15 fr. Paris, P. Lethielleux, Libaire Editeur.

[1]) Mam Suareza po mojej stronie, mówi Jan Sanchez, a to znaczy mieć tysiąc teologów za swojem zdaniem, bo więcej jak tysiąc wzięło od niego to, co napisali.

mując się ich twórcą. A zresztą i co do samej jego pracy — korzystano z niej szeroko, rzadko i mało, albo nawet wcale nie myśląc o tem, by jej również oddać zasłużoną chwałę.

Praca Suareza zasługiwała na większą cześć, a pracownik na większą wdzięczność".

Istotnie wśród mistrzów, którzy w ciągu wieków budowali wspaniały gmach filozofii a zwłaszcza teologii katolickiej, zajmuje Suarez bezsprzecznie jedno z miejsc najszczytniejszych. Słusznie też zowie go potomność chlubnym tytułem: Doctor eximius. Jest on bowiem nietylko pierwszym przedstawicielem nauki chrześcijańskiej w łonie własnego zakonu, lecz bez długiego wahania „godzi się wskazać temu wielkiemu mężowi miejsce w szeregu kilku rzadkich, opatrznościowych geniuszów, którzy dominują nad historyą nauk scholastycznych i których imiona znaczą w niej okresy najbardziej owocne.

Mimo tej wielkości przypadł Suarezowi los podobny do losu owych artystów starożytności, których arcydzieła ceniono, osobami ich atoli i życiem niewiele się zajmowano. Kiedy przejrzymy to wszystko, co o Suarezie jako człowieku napisano, to prócz kilku szkiców biograficznych, zamieszczanych zwykle na początku jego dzieł, za całe trzy wieki znajdziemy ledwo dwa obszerniejsze żywoty. Pierwszy to Vida del Venerable Padre Francisco Suarez... Perpinan 1671. Autor jego Antoni Descampes T. J. złożył w nim owoc swej poważnej pracy i sumiennych, choć niekompletnych poszukiwań. Niestety na książce tej zbyt się odbił smak ówczesny — wybujały panegiryzm i wycieczki moralno-ascetyczne niemile rażą i nużą nowoczesnego czytelnika. Druga ważniejsza biografia napisana przez O. Bernarda Sartolo T. J. pod tytułem: El Doctor Eximio y Venerable Padre Francisco Suarez... En Salamanca 1693, uwzględnia kilka nowych dokumentów i choć co do rozmiarów od poprzedniej szczuplejsza, w układzie jednak poprawniejsza. Szpecą ją również, w słabszej jednak mierze, napuszystość i nieumiarkowane pochwały. Wreszcie pod koniec 19-go wieku z okazyi 300-letniej rocznicy objęcia przez Suareza naczelnej katedry uniwersyteckiej w Koimbrze pojawił się „un tres

beau et très precieux volume", napisany przez dr. Ant. Vasconcelloz'a p. t.: Francisco Suarez... Coimbra 1897. Uwzględnia on jednak przeważnie dwudziestolecie profesury Suareza na wspomnianym uniwersytecie, w większej zaś swej części jest zbiorem dokumentów. Nie daje nam przeto pełnego obrazu życia i twórczej działalności Doktora Znamienitego. Mając zaś na uwadze i tę okoliczność, że wspomniane prace — tak nieliczne — napisane były w języku na ogół nieużywanym w Europie, pozostawały jako źródła, z których czerpano znajomość Suareza, krótkie życiorysy łacińskie, jakiemi poprzedzano jego dzieła, lub jeszcze krótsze artykuły encyklopedyczne.

Ten dotkliwy brak monografii, któraby rozsnuła przed oczyma naszemi koleje życia i twórczości Suareza, a zarazem uczyniła zadość wszystkim wymogom dzisiejszej krytyki historycznej, skłonił O. Scorraille'a do długich badań i poszukiwań. Nie przeróbkę bowiem starych żywotów, może doskonalszą w kompozycyi, więcej do smaku naszego przystosowaną, ale nową biografię, któraby była prawdziwą konstrukcyą historyczną, chciał autor stworzyć i postawić w ten sposób na 300-letni jubileusz zgonu pomnik Doktorowi Znamienitemu, pomnik godny jego nauki i świętości.

Posłuchajmy samego autora, jak pojął swój stosunek do dawnych żywiołów, posłuchajmy jego opowiadania o wędrówce za nowemi źródłami i przypatrzmy się, jaki wynik uwieńczył jego zabiegi.

„W niniejszem dziele, mówi X. Scorraille, posługiwałem się, rzecz jasna, także dawnymi Żywotami, lecz tak, że uzupełniając na szeroką skalę wszystko, nie raz jeden poprawiłem zachodzące w nich niedokładności. Dorzuciłem też sporo interesujących zdarzeń takich, o których one zupełnie milczą, co zawdzięczam innym dziełom, a zwłaszcza dokumentom dotychczas niewydanym. Kiedy nas jako zakonników wypędzono z Francyi, wydanej na łup niegodziwych rządów, ja i ks. Riviere uzyskaliśmy w ten sposób sposobność do przedsięwzięcia i dokonania w obcych krajach długotrwałych poszukiwań, które bezowocnemi nie były. Centralne i miejscowe archiwa Towarzystwa Jezusowego,

archiwa i wielkie biblioteki Rzymu, zwłaszcza na Watykanie, i w Angelica, potem w Madrycie, wSimancas, Eworze, Paryżu, Londynie, Brukseli, żeby tylko główniejsze wymienić, dalej biblioteki i archiwa miejsc pobytu Suareza, a więc Granada, Salamanka, Segowia, Valladolid, kolegium Rzymskie, Alkala, Koimbra, które sklasyfikowane mogą dać ogólne pojęcie o całości.

Składa się na nią: 80 listów przez Suareza pisanych, a 40 do niego.

Około setki innych jego pism, dotąd niewydanych.

Kilkaset listów, lub wyjątków z tychże, pisanych głównie przez jego przełożonych lub współbraci, a dotyczących mniej lub więcej blizko wypadków z jego życia.

Mnóstwo innych dokumentów i źródeł urzędowych lub prywatnych, szczególnie źródeł dyplomatycznych, które również mogą służyć do wyjaśnienia faktów, lub też do oświetlenia ich z nieznanej dotychczas strony.

Wreszcie liczne niewydane jeszcze dzieła dostarczyły mi także bardzo cennych wskazówek".

Oto żniwo, prawdziwie obfite, jakiem uwieńczone zostały długie i żmudne poszukiwania autora. A równocześnie niemała pociecha dla serca historyka.

Przez swe poszukiwania rzucił zarazem ks. Scorraille trwały fundament pod wspaniały pomnik, jaki wzniósł Doktorowi Znamienitemu w przeddzień jego jubileuszu. Atoli przeczuwa niejako autor zarzut, że tego rodzaju prace uchybiają często wierności i dokładności historycznej. Sużąc bowiem przedewszystkiem ku uświetnieniu danej postaci, wydobywają skrzętnie na jaw strony dodatnie, pomijają zaś, lub zręcznie retuszują strony ciemniejsze. Ścisłość zaś historyczna żąda, by nietylko samą prawdę, lecz i całą prawdę powiedzieć. Autor zapewnia nas, że nie pierwszą, lecz tą ostatnią drogą poszedł.

„W niniejszem Życiu Suareza zamieściłem wszystko, co tylko znalazłem o nim, przynajmniej wszystko to, co zasługiwało na zaznaczenie w jego charakterze, słowach i czynach. Nie zadawałem sobie przytem wcale pytania, czy to, co mówię o nim, będzie dla niego wywyższeniem, czy też może ujmą wielkości.

I muszę wyznać prawdę. Uzyskałem na tej drodze jedynie plon wielkości Suareza. Są bowiem ludzie, których się najpewniej chwali, gdy się o nich najszczerzej mówi. I w tym wypadku jednej sztuki potrzeba: umieć wykazać, że się nic nie ukrywa".

Życie atoli i twórczość Doktora Znamienitego to pole niesłychanie rozległe — nie będzie ich zatem można w jednem dziele wyczerpać. To też autor w następnych słowach kreśli sobie granice, wśród których popłynie jego opowiadanie:

„Celem uchylenia wszelkich nieporozumień winienem jeszcze zaznaczyć, że książka moja wcale nie stawia sobie za zadanie ni wykładu, ni rozbioru nauki Suareza. Jeśli bowiem o nią chodzi, powstałby w ten sposób materyał wprost olbrzymi, który dołączony do biegu wypadków tylkoby im zaszkodził, a powplatany w życie Suareza pochłonąłby jego treść i po większej części ją zaćmił. Rzecz nie do darowania. Zasłonięty przez własne dzieło zniknąłby z oczu twórca, który nie mniej od swego dzieła zasługuje na to, by go poznano. Nie będę zatem roztrząsał zdań, polemik i pism Suareza, potrącę o nie tylko o tyle, o ile to będzie konieczne do wyjaśnienia i powiązania zdarzeń" [1]).

Biografia rozpada się na sześć dużych ksiąg. Pierwsza z nich daje nam pogląd na dziecięce lata Suareza, a przedewszystkiem na powołanie zakonne i studya. Druga opowiada historyę jego profesury po różnych kolegiach Tow. Jezusowego i równoległej z nią działalności pisarskiej. W trzeciej mamy przed-

[1]) Dzieła, któreby oceniło krytycznie całość nauki Suareza, zestawiając ją z tym dorobkiem, jaki już na polu teologii i filozofii chrześcijańskiej przed nim zrobiono z jednej strony, z drugiej zaś wskazując na wpływy, jakie ta nauka wywarła na scholastykę w okresie potrydenckim, dotychczas nie posiadamy. Istnieje wprawdzie poważna dwutomowa praca dra Karola Wernera p. t. „Franz Suarez und die Scholastik der letzten Jahrhunderte", wydana w Regensburgu 1861; spełnia ona jednak do pewnego stopnia tylko drugą część powyższego zadania, omawia bowiem stosunek nauki Suareza do nowszej scholastyki i to niezbyt wyczerpująco, pierwszej zaś części wcale nie tyka. X. Scorraille wspomina w przedmowie, że w niedługim czasie ukaże się praca innego autora, która nam wskaże, jakie miejsce zajmuje twórczość Doktora Znamienitego w dziejach myśli chrześcijańskiej.

stawione jedyne może w dziejach turnieje teologiczne, znane ogólnie pod nazwą: de auxilis divinae gratiae — a zarazem wybitny, choć ideowy tylko udział, jaki w nich przypadł „Teologowi łaski“[1]). W czwartej widzimy Suareza, jaśniejącego już szeroko sławą wielkości, na królewskim uniwersytecie w Koimbrze w charakterze pierwszego profesora. Skreślone tu zarazem dzieje twórczej jego pracy, przypadającej na ten okres. W dwu ostatnich wreszcie księgach stara się autor ogarnąć szerokim rzutem oka życie serca i życie umysłu Doktora Znamienitego. Daje przeto w ogólnych rysach świetną charakterystykę spuścizny pisarskiej Suareza, a zarazem głębokie i subtelne ujęcie owej najbardziej wewnętrznej treści każdej duszy, jaką wytwarza jej stosunek do Boga. Z ujęcia tego przekonywamy się, jak słusznie obok przydomka „Eximius“ nadano Suarezowi tytuł: D o c t o r p i u s.

Tak się przedstawia w ogólnym zarysie treść dzieła. A jak szczegółowe jej ujęcie? Rozpatrzmy je, idąc w ślad za autorem i opierając się na pewnych wytycznych, od których zależy naukowa wartość biografii.

Powiedział wielki poeta niemiecki, że „wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen“. Prawda ta w swej powszechności obejmuje nietyko poetów, ale wszystkich wybitnych twórców, bez względu na to, czy polem ich twórczości była dziedzina piękna, czy też uczucia lub myśli, czy wreszcie praktycznego czynu. Stała się też prawda powyższa jednym z głównych kanonów nowożytnej biografii. W jej imię domaga się ona, by bohatera nie przedstawiać w oderwaniu od kraju, w jakim wzrastał, ani w oderwaniu od stosunków, wśród których działał. I słusznie— człowiek bowiem wielki czerpie potężnie z ducha swej epoki, ale też i wpływa potężnie na tego ducha — tą świeżą nadwyżką sił osobistych, jakie z sobą w bieg dziejów przynosi. Bez narysowania więc t. zw. tła historycznego niemożliwą jest przedstawić ani

[1]) Ten zaszczytny tytuł nadaje Suarezowi uczony kardynał Kamil Mazzella w znakomitem swem dziele: De gratia Christi. We wstępie tak powiada: „uti autem S. Augustinum P a t r e m, ita Suaresium Gratiae T h e o l o g u m iure dixeris“.

obustronnego oddziaływania, ani też określić, w czem tkwi oryginalność bohatera.

Rozumie to dobrze X. Scorraille, dlatego też od pierwszych kart, które nas wprowadzają do rodzinnego miejsca Suareza, uroczej Granady, stolicy maurytańskiego ongiś królestwa, nie szczędzi wiadomości ni o samym kraju, ni o rycerskich przodkach Franciszka, ani o obecnej jego rodzinie. Można poniekąd wyczuć tę atmosferę, wśród jakiej wzrastał. Suarez atoli ma rozwinąć w przyszłości niepospolitą działalność na polach myśli chrześcijańskiej, ma być twórcą w dziedzinie nauki, dlatego słusznie zwraca autor szczególniejszą uwagę na ówczesny stan umysłowy i na wykładnik: szkoły. Zanim pośle czternastoletniego Franciszka, który już ukończył „4 annos de granatica", na uniwersytet w Salamance celem studyowania prawa kanonicznego, daje krótki szkic historyczny hiszpańskich Estudios Generales, z których się wyłoniły później właściwe uniwersytety. Zatrzymuje się dłużej nad dziejami uniwersytetu w Salamance, założonego z początkiem wieku 13-go, który za czasów Suareza, w XVI. wieku, osiągnął największą prawie światową sławę. Liczył stałych katedr 70, ilość zaś słuchaczy dobiegała 7000. Salamanka stała się wtenczas ogniskiem życia chrześcijańskiego i wiedzy na Półwyspie, to też chętnie nazywała się drugim Rzymem i Atenami Hiszpanii. Charakteryzuje autor następnie młodzież akademicką, wśród której, jakby na sprawdzenie starej maksymy, że nic nowego pod słońcem, znajdujemy spory odsetek estudiantes, que no estudian, obok młodzieży szczerze pobożnej i oblegającej z zapałem katedry. W takim to środowisku odbywa Suarez pierwsze studya wyższe i chociaż ich nie ukończył, były prawdopodobnie podstawą do późniejszych dzieł, w których się ukazał „kanonistą uczonym i głębokim legistą".

Tymczasem młodego Suareza woła Bóg do młodego również, ale rozwijającego się potężnie zakonu, do Towarzystwa Jezusowego. Autor już w I. rozdz. zaznaczył, jakie Franciszek mógł mieć stosunki z Jezuitami — w drugim zaś opisuje ich stanowisko w Salamance. Dziwne koleje powołania, dziwniejsze jeszcze lata pierwszych studyów w zakonie, a przedziwne wprost,

bo nagłe a świetne rozbudzenie się zdolności u Suareza barwnie opowiedziane stanowią treść drugiego rozdziału.

Trzeci prowadzi nas znowu do Salamanki, na jej bowiem uniwersytecie studyować będzie Suarez tę naukę, której w przyszłości stanie się jednym z najznakomitszych mistrzów, mianowicie teologię. W świecie ówczesnym studya teologiczne zażywały wielkiego poważania, a niezwykłego wprost w Hiszpanii. To też kraj ten wydaje w XVI. w. najtęższych teologów. Kiedy w reszcie Europy ruch humanistyczny uwięził wiele niezwykłych umysłów w zbyt wyłącznym, często przesadnym kulcie literatury starożytnej — do Hiszpanii tenże ruch przychodzi w formie złagodzonej. Posiada i Hiszpania wybitnych humanistów — lecz by zyskać znaczenie i sławę, nie potrzeba tu koniecznie do ich grona się zaliczać. Studyum języków starożytnych uważano za przygotowanie do wyższych nauk, nie zaś jako kulturę wystarczającą i zamkniętą w sobie. Powódź zaś reformacyi, niszcząca inne kraje, wstrzymała się przed olbrzymiemi zwałami Pirenejów — lub raczej przed duchem hiszpańskim nawskróś katolickim.

„To też nic nie zmieniło, nic nie sprowadziło z drogi geniuszu Hiszpanii. Stąd to, gdy wraz z narodem osiągnął pełnię swoich sił życiowych, mógł i on ujawnić swobodnie nieposzlakowany, oryginalny swój charakter. A był to geniusz z istoty swej religijny, tak jak życie, jak dusza tego narodu. Przeniknięty nawskroś duchem wiary katolickiej, tej wiary, która ośm wieków zbroiła naród do walecznego boju z niewiernymi, geniusz Hiszpanii siłą rzeczy szedł za natchnieniem tejże wiary, czyniąc z nich najmilszy przedmiot swych uczonych dociekań. Pełny rozkwit tego geniuszu winien był sprowadzić i sprowadził rzeczywiście takiż rozkwit nauk świętych. I wówczas to, obok wielkich świętych ukazały się liczne postaci wielkich teologów. Jednych i drugich znamionowała święta namiętność szukania Boga. Pierwsi znajdowali Go w niebiańskich wzlotach serca i wynurzeniach mistycznego życia, a drudzy w najgłębszych dociekaniach swych bogatych i potężnych umysłów".

Ogniskiem zaś tych głębokich dociekań stały się liczne uniwersytety Półwyspu zwłaszcza Koimbra, Evora, Alkala, Valladolid, a nadewszystko Salamanka, która spełniła podobnie za-

szczytną rolę względem scholastyki potrydenckiej, jak Paryż wobec średniowiecznej. Autor opisuje dokładnie wewnętrzne urządzenie ówczesnych uniwersytetów; uderza jeden szczegół, mianowicie szeroka tolerancya, jaką się odznaczały względem różnych szkół scholastycznych. Obok Piotra Lombarda, który dzierży i dość długo jeszcze dzierżyć będzie naczelne katedry, wykładano na innych katedrach św. Tomasza, Skota, Duranda, Gabr. Biela. Nie wewnętrznej atoli organizacyi, lecz szeregowi wybitnych ludzi, którzy umieli wyzwolić teologię ze zbytniej spekulacyi, z tysiąca kwestyjek banalnych, w jakie popadła, i sprowadzić św. wiedzę do właściwych jej źródeł: Pisma św. dzieł Ojców, orzeczeń soborów i papieży — zawdzięczają uniwersytety, a w pierwszym rzędzie Salamanka, swe odrodzenie. Tutaj to w r. 1526 objął pierwszą katedrę Franc. Vitoria, dominikanin, uważany za inicyatora odrodzenia teologicznego, które dalej prowadzili godnie jego bracia zakonni: Melch. Cano, de Soto, Jan Mancio, de Medina, Bannez.

W tym czasie właśnie słucha wykładów teologicznych młody Suarez. Mistrzem jego był z pośród wielu innych także i Jan Mancio „z tej linii dominikanów, którzy przez własne zasługi uczynili z naczelnej katedry w Salamance pewien rodzaj lenna dla swej familii zakonnej". Szybko wyróżnił O. Mancio wśród uczniów swoich Suareza i okazywał wysoki szacunek dla jego niepospolitych zdolności, które jeszcze bardziej się ujawniały wskutek jego osobistej metody, z jaką studyował teologię. Mimo bowiem świeżego prądu, jaki powiał od czasów Vitoryi, dawał się odczuwać brak należytej swobody i śmiałości w badaniu, trzymano się starych rutyn, uczono wielu opinii nie dość pewnych, które mimo to uważano jakby za maksymy. Suarez charakteryzuje to zbyt wygodne i bezkrytyczne przyjmowanie opinii teologicznych dosadnym zwrotem: „Znalazłem tu teologię starych kajetów".

Sam zaś „bronił się całą siłą przed wszystkiem, co nosiło na sobie bodaj cień strupieszałości i biernoty. Później jako profesor ku wielkiej korzyści uczniów będzie mógł wprowadzić w życie metodę, do jakiej wdrożył się już jako uczeń, obierając od początku z wielkim pożytkiem drogę pracy samodzielnej i osobistej.

Wniósł do swych studyów ten żywy i wyłączny cel: dosięgnąć we wszystkiem prawdy... Szczerze i z całą otwartością ducha ją tylko mieć pragnął, ją jedną. Swym szczęśliwym instynktem inicyatywy szukał jej, a gdziekolwiek znalazł, obejmował ją z nadzwyczajną, sobie właściwą, szerokością poglądu. Ta rozumna niezależność sądu była dlań tem konieczniejsza, że odbywał swoje studya w środowisku, gdzie miały prawo głosu wszystkie szkoły. Ta też niezależność sprawiła, że się jął studyum dzieł wielkich teologów na własną rękę. Z pośród nich wszystkich wybrał sobie św. Tomasza za mistrza i przewodnika. Żadnej kwestyi z jego S u m y t e o l o g i c z n e j nie pominął, by jej nie przemyśleć i nie pogłębić. Lubił także czytywać Skota, którego przenikliwość zaostrzała jego umysł w osobistych badaniach, a którego żarliwość o cześć Matki Boga czarowała jego duszę.

Wszystko zaś, co usłyszał lub przeczytał, roztrząsał samodzielnie i starał się prowadzić do kategoryi prawdy, fałszu lub wątpliwości. Wystrzegał się najstaranniej przyjmowania jakiejkolwiek opinii bez krytycznej oceny, strzegł się wszelkich konwencyonalnych doktryn... Była to praca nader owocna, bardzo różna od pracy będącej w powszechnem wówczas użyciu i cenie — pracy przepisywania gotowego materyału z pożyczanych kajetów".

Z umysłu zatrzymaliśmy się dłużej nad metodą studyowania u Suareza, której pozostanie wierny jako mistrz i pisarz. Jej to bowiem zawdzięczamy rozległą, gruntowną i czystą naukę Doktora Znamienitego. Ona również daje nam klucz do zrozumienia, czemu obok niezwykłego uznania, spotykało się prawie każde jego dzieło z licznymi przeciwnikami i przeciwnościami. Otóż samodzielność i krytycyzm, wobec których ustąpić musiały pewne rutyny, a zwłaszcza opinie teologiczne zbyt łatwo wprowadzone, kazały widzieć ludziom, obdarzonym większą gorącością serca, niż siłą umysłu, w Suarezie nieroztropnego nowatora. Dołączyła się również i zawiść, która zwykle ściga wielkich ludzi.

Księga druga kreśli nam dzieje profesury Suareza w różnych kolegiach Towarzystwa i początki jego pracy pisarskiej. Przesuwają się przed oczyma naszemi różne placówki pracy Suareza,

a zatem Segovia, gdzie uczy filozofii, Valladolid, Rzym, Alkala, Salamanka, gdzie wykłada teologię. Autor, zanim do którejkolwiek z tych miejscowości wyśle swego bohatera, zawsze obznajamia czytelnika z tłem historycznem i z miejscowem środowiskiem tak, że się dokładnie widzi, wśród jakich warunków Suarez pracuje i jakie czynniki wpływają na jego rozwój. Z szczególniejszem atoli zajęciem śledzi się trudności naukowe, na których i jemu samemu i Towarzystwu podówczas nie schodziło. Główną ich osią, może raczej pretekstem, był zarzut nie dość ścisłego trzymania się nauki św. Tomasza. Autor omawia wyczerpująco ten zarzut, rozpatruje sposób, w jaki Towarzystwo od początku postępowało za św. Tomaszem, którego sobie jako mistrza swojego obrało, a w jaki od zarania swojego istnienia wzbraniało się pójść. Podkreślenia godnem jest to, co uczeni Towarzystwa zdziałali dla rozszerzenia i utwierdzenia sławy Doktora Anielskiego jako pierwszego i powszechnego autora klasycznego w dziedzinie teologii.

To naprężenie stosunków między młodym, ale szybko krokami olbrzyma na polu nauk chrześcijańskich postępującym zakonem [1]) z jednej strony, a kilka wieków za sobą już liczącym zakonem św. Dominika, który podówczas dzierżył pierwszeństwo na katedrach teologicznych z drugiej strony — wybuchnęło wielkim dogmatycznym sporem o to, jak należy pojąć stosunek łaski do woli ludzkiej. Iskrę na palne materyały rzuciła słynna książka O. Ludw. Moliny T. J.: Concordia liberi arbitrii cum gratiae donis... Olysippone 1588. Rozgorzała przeto wielka walka ideowa, o której jeden ze współczesnych powiada, że nie pozostała w ciasnych granicach uniwersytetów, lecz objęła prawie świat cały, dzieląc teologów na wrogie obozy, wzniecając wśród zakonów namiętności. Napełniła sobą nietylko katedry, lecz i kościoły. Zachwiała jednością i zgodą, bo katolicy — ku uciesze heretyków — wyzywali się wzajemnie jużto pelagianami, jużto kalwinistami. Historyę tej walki, zwanej de auxiliis, na podstawie wielu nowych źródeł z prawdziwie dramatycznem

[1]) Świadczą o tym wzroście takie imiona, jak Toletus, Molina, Bellarmin, Suarez, Lessyusz, Lugo. Wszyscy z nich, prócz ostatniego, żyli jeszcze za czasów św. Ignacego, założyciela zakonu.

napięciem skreślił autor w trzeciej księdze — uwzględniając oczywiście szeroko udział, jaki w niej miał Suarez.

Strudzony niemal trzydziestoletniem nauczaniem, licząc 50 lat wieku, tęsknił Suarez za spokojnym, wolnym od profesury czasem, by módz swobodnie bogaty owoc myśli swoich złożyć w dzieła. Tymczasem życzenie, a raczej wola Filipa II, od której mimo starań nie zdołał się uchylić, rzuciła go na zupełnie nowy dlań posterunek: uniwersytet w Koimbrze ma go przyjąć jako profesora teologii, na tak zwanej cathedra de Prima. Stanowisko nader zaszczytne, ideał, do jakiego wzdychało podówczas wielu profesorów. To też choć Suareza poprzedziła sława wielkości, akademicki senat przyjął nowego kolegę naogół niechętnie, upatrując w nim niepożądanego prawie że intruza. Atoli tę chłodną atmosferę niechęci, a nawet zawiści rozproszyła z czasem niezwykle delikatna uprzejmość i miłość Suareza, wzbijająca się aż do wyżyn heroicznej ofiary. Uniwersytet wkrótce ocenił, jakąto przewagę nad innymi daje mu ten skromny zakonnik. Dlatego też, choć Suarez po kilkakroć w ciągu dwudziestoletniej niemal profesury starał się o zwolnienie od obowiązku nauczania, by się oddać wyłącznie pisarskiej pracy, nigdy do urzeczywistnienia tych zabiegów nie dopuścił. Stosunek Suareza do nowych kolegów-profesorów i do nowego zastępu młodzieży, głośna a dla naszego Doktora nad wyraz przykra sprawa spowiedzi i rozgrzeszenia na odległość i rozgłośniejsza jeszcze, bo na całą Europę słynna sprawa jego książki Defensio fidei, historya twórczości i ostatnie lata profesora-jubilata dopełniają treści księgi czwartej.

Nietylko środowisko naukowe, wśród którego upływa prawie całe życie Suareza, znajdujemy wiernie odtworzone w dziele O. Scorraille'a, ale i to drugie: środowisko nowej rodziny, jaką był dla niego zakon przez 54 lat, mamy wyczerpująco przedstawione. I słusznie poświęcił mu autor baczną uwagę, bo nie mniej odbiło się na wewnętrznem ukształtowaniu duszy Suareza, niż pierwsze, zatem równie niezbędne jest do pełnego zrozumienia jego postaci. Wśród otoczenia zakonnego rozwija się jego głęboka pobożność i świętość, której było danem wznieść się aż na mistyczne stopnie zachwytów. Bóg zaś stwierdził ją nawet cudami. Scharakteryzo-

waniu ducha pracy i umartwienia, niezwykle głębokiego zjednoczenia się z Bogiem, serdecznej miłości ku Maryi i innych rysów świętości Suareza poświęca autor księgę piątą.

Człowiek wielki nietylko bierze z ducha epoki, lecz i tworzy, a twórczą pracą swoją oddziaływa na współczesnych i potomnych. X. Scorraille zastrzegł się wprawdzie we wstępie, że nie będzie omawiał samej twórczości Suareza i pominąwszy parę wyjątków, np. w sprawie spowiedzi na odległość, istotnie nie analizuje treści nauki, atoli podaje genezę każdego dzieła i opisuje nam przyjęcie, jakiego doznawały u współczesnych. A losy dzieł Suareza doprawdy ciekawe: wszystkie przyjmowano z żywem zainteresowaniem, świadczą o tem choćby wczesne powtórne wydania tych olbrzymich foliałów, a wiele z nich, ukazując się na światło dzienne, wywoływało burze. Czasami bywały to burze w szklance wody, jakie wzniecali niechętni mu teologowie jużto z zawiści, lub też z żalu za opiniami, z któremi się zżyli, a które Suarez jako nieuzasadnione słusznie odrzucał. Bywały atoli i burze poważniejsze. Taka np. rozkołysała się z powodu jego Defensio Fidei catholicae.... adversus Anglicanae sectae errores. Pominąwszy obfitą literaturę polemiczną, jaka około tej książki się wytworzyła — spalono ją publicznie ręką kata w Londynie, a parlament paryski rzucił na nią swe anathema. Zdało się im bowiem, że zbyt demokratyczne zasady głosi. Prócz tej, by tak powiedzieć, zewnętrznej historyi każdego dzieła, autor w ks. 6 ogólnymi rzutami charakteryzuje naukę Suareza, wskazując na jej powszechność, prawowierność, oryginalność w ujmowaniu i cświetlaniu kwestyi.

Oto suche streszczenie, a właściwie kilkanaście rysów wziętych z bogatej biografii, które tam znajdziemy rozprowadzone obszernie, żywo i barwnie.

Oparłszy się na szerokiej podstawie samoistnych badań, autor namalował tak bogate tło i tak sumiennie opowiedział wypadki owych czasów — czasów niezmiernie ruchliwych, płodnych a burzliwych pod względem teologicznym, że jego dzieło niemal

takiesamo ma znaczenie dla poznania spółczesnego ruchu na polu chrześcijańskich nauk, jak i dla poznania samej postaci Doktora Znamienitego.

A wśród tego bujnego środowiska, wśród mnóstwa prawie innych postaci, których dzieje również poznajemy czasami za obszernie, snuje się ciche życie, rozwija się bogata twórczość jednego z pośród największych teologów. Odkłada się książkę z głęboką czcią dla tego męża, który niezwykłe uzdolnienie swoje oddał w pracy wytrwałej i natężonej na służbę wiedzy św., a z rozległą nauką umiał połączyć niecodzienną świętość. A jeśliby się czegoś pragnęło od tej znakomitej monografii, to chyba tego, by postać Suareza wśród powodzi zdarzeń wyraziściej się przedstawiała. Bogate tło przesłania czasami osobę bohatera. Co więcej, odnosi się w niektórych partyach wrażenie, jakoby tło szło swoją drogą, a obok niego postępował Suarez. Nie osiągnął autor przynajmniej w stopniu wyższym tego, co znakomicie wprost uczynił ks. Meschler w biografii św. Alojzego, w której bohater występuje wszędzie na planie pierwszym, a tło jest mu tak doskonale podporządkowane, że ogólny obraz tworzy jedną jednolitą psychologiczną całość.

Troska się autor we wstępie, czy długie życie Suareza, bo 70-letnie, a dość monotonne, bo oddane wyłącznie nauce, zdoła opowiedzieć zajmująco, a i czytelnik, kiedy się zabiera do tych dwu potężnych tomów, pragnąc znaleźć u t i l e c u m d u l c i, podziela jego troskę.

W miarę jednak, jak się zagłębia w dzieło, doznaje miłego wrażenia: opowiadanie bowiem płynie potoczyście, swobodnie, bez przymusu. Słowem treść mądra przedstawiona miłe i jasno. Dlatego bynajmniej nie z mniejszem zajęciem i zadowoleniem czyta się biografię tego wielkiego scholastyka, niż znakomite monografie o wieszczach naszych pióra Tarnowskiego, Kallenbacha czy Tretiaka. Spokojny epicki ton opowiadania podnosi O. Scorraille w niektórych partyach, n.p. w ks. III.: „De auxiliis", lub w ks. IV. r. 4: „Defensio fidei", aż do żywości i natężenia dramatycznego. Mimo tych niezaprzeczonych zalet pożądanąby była większa zwięzłość i oszczędniejsze szafowanie dokumentami w całej ich roz-

ciągłości. Dokumenta mniej ważne możnaby bez uszczerbku dla rzeczy przytaczać w streszczeniu i wciągać we własny tok opowiadania. Opowiadanie straciłoby w ten sposób nieco na szerokości, tu i ówdzie na rozlewności, zyskałoby jednak na spoistości i wyrazistści.

Co się tyczy zewnętrznej strony monografii należy podnieść staranny druk i przejrzystość w rozkładzie materyału. Dzieło zdobi portret Suareza, kilka faksimiliów jego pisma i fotografia domu urodzenia. Pod koniec t. II. zamieścił autor 9 dodatków. Pierwszy z nich podaje sporne punkta w nauce Suareza i Vazqueza, następne cztery tyczą się aktów, biografii, memoryałów teologicznych w sprawie de auxiliis. Dodatek szósty zawiera tekst sądu kard. Bellarmina o wyroku, jaki wymierzył parlament paryski przeciwko Defensio fidei. Siódmy wymienia najważniejsze książki ułożone na podstawie dzieł Suareza. Należą tu różne compendia, summae, epitome, cursus teologiczne, filozoficzne, prawnicze i t. p. Dodatek ósmy podaje w oryginale korespondencyę między Pawłem V. a Suarezem, ostatni zaś dwa epitafia ku czci Doktora Znamienitego. Kończy dzieło alfabetyczna tablica nazwisk i rzeczy.

J. Andrasz T. J.

W czwartą „Wigilię".

O Chryste! — u stóp Pana, Anioł — stróż narodu,
złożył swój hołd i chyląc twarz zalaną łzami,
błagał: — Zbaw nas od wojny, zarazy i głodu,
Ty, któryś za nas cierpiał, zmiłuj się nad nami....
Cofnij dłoń Twą o Panie, gromami władnącą,
wznieś nad światem te drugą... te błogosławiącą....

Oto Ci niosę w hołdzie, dziś, w dniu Narodzenia,
plon, który uzbierałem na ziemi o Panie,
łzy, krew, ogrom pokory i ogrom cierpienia
i te krzyże, co wzrosły na ugornym łanie....
Czwarty rok wojny... Chryste!... mogiły go znaczą...
płaczą ojcowie dzieci... dzieci, ojców płaczą....

I niema prawie domu, gdzieby duch żałoby,
nie rozpostarł swych skrzydeł, w tę noc Twego cudu,
i niema prawie ziemi, gdzieby świeże groby
nie świadczyły o krwawej męce Twego ludu...
a jednak Panie... słyszysz... krzyż niosą bez skargi
i cichym szeptem modłów sławią Cię ich wargi.

Zbiera szatan obfity plon na ziemi, Chryste,
prawa znikły, w dostatki opływa morderca,
a jednak większość ludów duchy tworzą czyste,
w cierpieniu, zrozumiały Cię niejedne serca...
I nie tylko ustami hołd Ci niosą, Panie,
władasz wśród Twego ludu, masz ich miłowanie.

Cisza śmierci nad światem, ni świateł ni pieśni,
w niejednym domu... chleba zabrakło na stole...
O Wszechmocny! wyprowadź ich z śmiertelnych cieśni.
promieniem Twojej łaski, rozjaśń ich niedole.
a nam pozwól radosną wieść zanieść ku ziemi:
„Pokój ludziom“ — Duch Boży znów zamieszkał z niemi.

Marya Czeska.

Katolicyzm a tolerancya.

Zanim zaczniemy mówić o nietolerancyi Kościoła, wypada powiedzieć, co nazywamy tolerancyą, czyli przeciwieństwem nietolerancyi. Tolerancya jest to słowo łacińskie, oznaczające tyle, co znoszenie, cierpienie, pobłażanie, albo patrzenie przez palce na coś niewłaściwego, czego na razie pokonać nie chcemy, lub nie możemy. Gdy słyszymy wyraz „tolerancya“ — to zaraz staje nam na myśli coś złego, ujemnego, co właściwie być nie powinno, ale na co pozwalamy z konieczności, by nie wywoływać zamieszania i nie powodować większych jeszcze nieszczęść. Gdy chodzi o prawdę, dobro, lub piękno, nigdy nie używamy słowa tolerancya, bo słowo to stosujemy zawsze do pojęć ujemnych, negatywnych.

Prawdę, dobro lub piękno kochamy i cieszymy się ich posiadaniem; pod ich wpływem jesteśmy szczęśliwymi, a nie cierpimy, czyli o tolerancyi nie może tu być mowy.

Na tej ziemi jednak nigdy całej prawdy, ani piękna, ani dobra nie poznamy i nie posiądziemy, bo to zachowane dla nas dopiero w przyszłem, lepszem życiu, dlatego szczęście nasze tutaj zupełnem być nie może, czyli zawsze jesteśmy narażeni na różne braki. Ponieważ zaś tych braków powodem tak my sami jesteśmy, jak i nasi bliźni, dlatego z wyrozumiałością musimy znosić drugich, jeżeli chcemy, by i oni nas znosili. Taką tolerancyę głosi nam Kościół św. katolicki, który nam podaje w świetle czystej miłości bliźniego wielkie i piękne wzory cnót do naśladowania.

Założycielem Kościoła św. jest Bóg, Stwórca i Ojciec

wszystkich ludzi, który Syna swego posłał po to, by świat pojednał z niebem i związał ludzi wzajemnie. Bóg nietylko na sprawiedliwych zsyła promienie słońca i krople deszczu, ale i na grzeszników, bo jeżeli dla wszystkich ma przymiot miłości, to dla błądzących ma nadto cierpliwość i miłosierdzie. O tem Kościół był zawsze przekonany i dlatego nawet w czasach najsurowszej pokuty kierował się miłosierdziem względem swych upadłych dzieci i odpuszczał im grzechy, a takich, którzy uczyli inaczej, t. zn. nie chcieli odpuszczać pewnych grzechów, potępiał jako heretyków. Nawet tych, którzy żyją zdala od Kościoła, Kościół nie skazuje na potępienie, bo mogą błądzić całkiem nieświadomie.

Kościół jest głosicielem nauki Chrystusowej i dlatego tylko ten Kościół wydawał takich mężów, jak św. Wincenty a Paulo, którzy wszystkim ludziom bez wyjątku czynili dobrze, pielęgnowali ludzi różnych wyznań i przekonań i goili rany. Kiedy w średnich wiekach od czasu do czasu zrywały się burze przeciwko żydom, nieraz zapewne przez nich samych wywołane, Kościół zawsze występował w ich obronie i ostro karcił nadużycia, bo według moralności katolickiej nigdy nikomu nie wolno wyrządzać krzywdy. W każdy wielki piątek modli się Kościół za heretyków, żydów, pogan i grzeszników, by weszli na drogę prawdy i porzucili błędy.

Wobec tego niesprawiedliwym jest i krzywdzącym zarzut, jaki stawiają innowiercy, jakoby Kościół głosił bezwzględną zasadę „po za Kościołem niema zbawienia“ i wszystkich nie należących do Kościoła skazywał tem samem nieodwołalnie na potępienie. Kościół głosi podobną zasadę, ale także tłómaczy jej znaczenie, a mianowicie: Kto pozna Kościół jego naukę dostatecznie, ten ma obowiązek przejść na jego łono, bo tylko w tym Kościele są środki, potrzebne do osiągnięcia zbawienia, a gdzieindziej ich niema. Ktoby zaś — mimo poznania nauki Chrystusowej — trwał dalej w błędzie, żył po za Kościołem, ten dobrowolnie pozbawia się pomocy koniecznej do zbawienia, nie chce korzystać ze środków, czyli umyślnie skazuje się sam na zatracenie.

Naukę swoją opiera Kościół na nauce Chrystusa. Przed Chrystusem Panem w St. Zakonie sprawiedliwymi i wybranymi

nazywali się tylko synowie Izraela, a poganami gardzili. Zbawiciel zaś odzywa się tak do mieszkańców miasteczek żydowskich: Korozaim i Betsaidy: „Biada tobie, Korozaim, biada tobie, Betsaido; bo gdyby się były w Tyrze i w Sydonie cuda stały, które się stały w was, dawnoby były we włosienicy i w popiele pokutę czyniły“[1]). Przez to chce pokazać, że żydów niewiernych nie zasłoni przed karą przynależność do prawowiernego zakonu, a z drugiej strony, że i w pogańskich miastach mogą być ludzie, lepiej usposobieni od tych, którzy się mienią prawowiernymi i dumni są z tego.

A jakto powiedział Chrystus Pan, kiedy zjawił się Setnik z prośbą o uzdrowienie sługi? „Zaprawdę, powiadam wam, nie znalazłem tak wielkiej wiary w Izraelu. A powiadam wam, iż wielu ich ze wschodu słońca i z zachodu przyjdzie i usiądą z Abrahamem i Izaakiem i Jakóbem w królestwie niebieskiem. A synowie królestwa będą wyrzuceni w ciemności zewnętrzne“ [2]). Z tego wynika, że nie wystarcza sama tylko fizyczna przynależność do królestwa wybranych, jeżeli się doń nie należy duchem, a przeciwnie, nawet po za obrębem tego królestwa mogą być tacy, których bardzo łatwo sprowadzić, bo oni duchem doń należą, chociaż dzieli ich przestrzeń fizyczna.

Św. Paweł uczy: „Żadnemu złem za złe nie oddawając, przemyśliwając to, coby było dobrego nie tylko przed Bogiem, ale też i przed wszystkimi ludźmi. Jeśli możebna rzecz, ile z was jest, ze wszystkimi ludźmi pokój mający“ [3]). A na innem miejscu: „A chwała i cześć i pokój wszelkiemu czyniącemu dobrze, naprzód Żydowi i Greczynowi. Albowiem niema względu na osoby u Boga. Bo którzykolwek bez zakonu zgrzeszyli, bez zakonu poginą; a którzykolwiek w zakonie zgrzeszyli, przez zakon będą sądzeni“[3]).

Z tego wyrozumieć nie trudno, że w oczach Bożych nie ci są prawowiernymi, którzy prawo posiadają, ale ci, którzy się prawa trzymają i według niego żyją. A co jest z poganami? Co dla

[1]) Mat. XI. 21.
[2]) Mat. VIII, 10—12.
[3]) Rzym XII. 17—18. II, 10—13.

nich jest prawem? Posłuchajmy jeszcze św. Pawła „Bo gdy poganie, którzy nie mają zakonu, z przyrodzenia czynią, co zakonu ma, tacy zakonu nie mający, sami sobie są zakonem i którzy okazują dzieło zakonu napisane na sercach swoich, gdy im sumienie ich świadectwo daje i myśli między sobą różne, albo ich oskarżające albo też wymawiające“ [1]).

Jakżeż więc wobec tak jasnych dowodów i przykazań tak samego Boskiego Mistrza jak i Jego Apostoła mógłby Kościół skazywać pogan, czy innych błędnowierców bezwzględnie na potępienie ?

Za nauką Boskiego Zbawiciela i Apostoła narodów idą Ojcowie i pisarze Kościoła, idą papieże i całe prawodawstwo kościelne. Stąd też wynika łagodne postępowanie Kościoła nawet z heretykami t. j. tymi, którzy świadomie błądzą.

Św. Ignacy z Antyochii, uczeń apostolski, biskup i męczennik († 107) w liście swoim do mieszkańców Efezu pisał: „Są fałszywi ludzie, którzy się niewłaściwie nazywają Chrześcijanami i niegodnie względem Boga postępują ; unikajcie ich jak dzikich zwierząt... Wiem, że przybyli do was ludzie, którzy hołdują błędnej nauce; wy jednak ich nie słuchaliście i zamknęliście przed nimi uszy. Módlcie się także i za tych, którzy jeszcze jęczą w jarzmie bałwochwalstwa; mamy nadzieję, że Bóg ich pokutą do siebie nawróci. Znoście ich wśród siebie i starajcie się o to, by przez wasze uczynki nauczyli się czegoś lepszego“.

W liście do Smyrneńczyków pisał: „Nie pozostaje Wam nic innego, jak modlić się za nich (tj. heretyków), jakkolwiek ciężko by się nawrócili i pokutowali; tymczasem Jezus Chrystus, który jest naszem prawdziwem życiem, może ich łatwo odmienić [2]).

Tertulian, pisarz kościelny (od 160—240) w 24. rozdziale swojej „Obrony“, skierowanej do cesarza Sewera, powiada: „Miej się na baczności i nie broń niewiary, bo przez to szkodzisz wolności religii i prawa i przeszkadzasz służyć memu Bogu, jak mi się podoba, gdy mię zmuszasz do wstrętnej mi wiary. Nikt nie życzy sobie wiary wymuszonej, ani jeden człowiek“. A dalej

[1]) Rzym II. 14—15.

[2]) Hefele: Patrum Apostol. op. Tub. 1839 i 1847.

w rozdz. 28. „Żadnego wolnego człowieka nie można zmuszać do ofiary, do której nie nakłania go jego wewnętrzne przekonanie, bo do służby bożej należy wolna wola“ [1]).

Św. Cypryan, biskup i męczennik († 258) w piśmie swojem do kapłana Maksyma między innemi tak się wyraża: „Według słów Apostoła w bogatym domu są naczynia nietylko ze złota i srebra, ale także z drzewa i gliny; tamte są naczyniami honorowemi, te pospolitemi, lecz Pan tylko ma moc rozbijać naczynia gliniane, bo jemu tylko na to dano żelazną rózgę“.

W liście do Pomponiusa pisze: „W Starym Zakonie wypowiedział Bóg karę śmierci na tych, którzy byli nieposłuszni kapłanom i sędziom... odkąd jednak dla wiernych w Panu duchowe obrzezanie nastąpiło, używa się przeciw pysznym i upartym jedynie duchownego miecza, a ten polega na tem, że się ich wyrzuca ze społeczności“ [2]).

Laktancyusz, nauczyciel filozofii i retor (około 270—330) wydał piękne dzieło p. t. Institutiones. W dziele tem pisze: „W rzeczach wiary nie powinno się posługiwać gwałtem, gdyż wiary gwałtem narzucić nie można. Rozum, a nie środki karne skłaniać muszą wolę. Niech przeciwnicy zaczną z nami duchową walkę, jeżeli prawda jest po ich stronie, niech nam ją pokażą, jesteśmy gotowi ją przyjąć“ [3]).

Św. Atanazy Wielki (między 297 a 372) w liście do pustelników pisze: „Jeżeli jest karygodnem to, że niektórzy biskupi z bojaźni zmienili swe przekonania, o ileż bardziej zbrodniczą jest rzeczą zmuszać ludzi wbrew ich woli do zmiany wiary? Bo nie przy pomocy broni należy głosić prawdę, ale radą i przekonywaniem“ [4]).

Św. Ambroży (341—397) w objaśnieniu ewangelii św. Łukasza powiada: „Chrystus polecił swym Apostołom iść bez laski na głoszenie Ewangelii. Bo czemże innem jest laska, jak nie oznaką władzy i narzędziem kary? Pan jednak kazał im szerzyć

---

[1]) Mignet: Patres — Lipsk. Oehler 1853.
[2]) Op. Cypr. Maurin. Paryż 1726. Ep. 51 ad Max Presb. Ep. 62 ad Pomp.
[3]) L. V. C. 20. Lipsk. 1739.
[4]) Ep. ad solit. vitam agentes. Montfaucon. Paryż 1693—98.

wiarę przez nauczanie, bez zadawania przy tem gwałtu komukolwiek. Dlatego na innem miejscu — kiedy Go uczniowie prosili, by ogień siarczysty spuścił na Samarytan za to, że Go do miasta nie przyjęli — „Nie wiecie, czyjego ducha jesteście Syn Człowieczy nie przyszedł tracić dusz, lecz je zbawiać“ [3]).

Cytaty z Ojców Kościoła na potwierdzenie naszej nauki możnaby mnożyć w nieskończoność. Poprzestaniemy jednak na kilku przytoczonych, a zwrócimy jeszcze uwagę na jednego, największego ze wszystkich, na św. Augustyna.

W swem najwspanialszem dziele „De civitate Dei“ kładzie Augustyn silny nacisk na zasadę „po za Kościołem Chrystusowym niema zbawienia“ i kwestyi tej poświęcił całą połowę dzieła. Posypały się zarzuty i do ostatnich jeszcze czasów u krytyków protestanckich biskup z Hipony uchodzi za zwolennika, a raczej twórcę nietolerancyi religijnej.

Zapominają o tem, że w epoce Augustyna Kościół toczył zacięty bój z herezyą i schizmą, która groziła zalewem, że Donatyści przekraczali granice możliwości. Mimo to Augustyn szanuje wolność osobistą, karci łagodnie i stara się perswazyami zbłąkanych sprowadzić na prostą drogę. Niestety próby się rozbiły o butną postawę heretyków. Brak przekonań w nadnaturalne posłannictwo Kościoła, ani znajomości prawd wiary usprawiedliwić ich nie mógł — jakby to np. mogło być w I. wieku ery chrześcijańskiej — wszak właśnie dokonywał się ogólny przewrót, religia Chrystusowa, nieskażona tryumfowała.

W zapale walki zwracał się Augustyn do władzy świeckiej o pomoc celem ograniczenia swobody heretyków w rozsiewaniu błędów. A owo mieszanie się państwa w sprawy religijne wówczas nie raziło, bo ogólnem było przekonanie, że władza świecka może wkraczać w dziedzinę religii dla przywrócenia porządku i spokoju. W praktyce sami heretycy przyznawali państwu to prawo, bo często zwracali się do niego o pomoc przeciw katolikom, gdy mieli widoki powodzenia; gdy jednak tych widoków nie mieli, wpadali w złość i szamotali się z zazdrości. To mieszanie się pań-

1) Com. in Luc. VII. 10. Wydanie paryskie 1686.

stwa do spraw Kościoła starał się Augustyn głębiej uzasadnić. Zanadto był bystrym i zbyt trzeźwo patrzył na świat, by się miał łudzić, że przymus religijny nie stworzy wielu obłudników. Jednej rzeczy żałować należy, mianowicie, że w walce z heretykami stracił Augustyn zimną krew i zmienił przekonanie wbrew poprzedniemu swemu zapatrywaniu, że w rzeczach sumienia przymus zewnętrzny nie ma racyi bytu.

Trzeba jednak wytłómaczyć i poniekąd usprawiedliwić tę zmianę w przekonaniach Augustyna i to ze stanowiska psychologicznego. Kiedy po wielu nieudałych próbach widział, że wszystkie tłumaczenia i perswazye nic nie pomagają, że wyczerpały się wszystkie środki łagodności i cierpliwości, a przeciwnicy odpowiadają tylko obelgami i szyderstwami, doszedł do przekonania, że nie pozostaje nic innego, jak chwycić się ostatecznych środków fizycznych. Wielki Doktor nie mógł zrozumieć, że może znaleźć się pod słońcem człowiek, któryby po wielu naukach i wykładach prawd wiary trwał jeszcze w błędzie i miał przytem spokojne sumienie. Kto się nie pozwala z błędu na prostą wyprowadzić drogę, albo — mimo rozwiązania trudności — trwa dalej rozmyślnie w złem, ten zasługuje na karę. Widzimy więc, że jakiekolwiek były jego zapatrywania na kwestyę tolerancyi w różnych fazach życia, Augustyn potępiał jedynie upartych heretyków, świadomie i dobrowolnie pozostających w złości. Wszak i Chrystus P. często wypowiadał „biada“ Faryzeuszom. Błądzącym nieświadomie Augustyn nie zamykał drogi do zbawienia i zasadę „poza Kościołem niema zbawienia“ wykładał w duchu Kościoła św.

Na usprawiedliwienie zaś stosunku Augustyna do heretyków dodać należy, że pojęcie tolerancyi w całem znaczeniu słowa tak, jak my ją rozumiemy, jest owocem późniejszych, wiekowych walk i ścierania się zapatrywań w sprawie obchodzącej całą ludzkość [1]).

Nie tylko w teoryi głosili przedstawiciele Kościoła zasady tolerancyi, ale wyznawali je także w praktyce. Kiedy np. w r. 385 z rozkazu cesarza Maksyma stracono heretyka Prysciliana z jego

[1]) Porównaj: X. Jan Czuj „Kościół a państwo u św. Augustyna“ — Miesięcznik kat. i wych. Lwów 1916—1917.

zwolennikami, na co miał się zgodzić hszpański biskup Itacyusz, podnieśli głos najpoważniejsi biskupi i fakt ten potępili, jako niesłychane okrucieństwo. Papież Syrycyusz, św. Marcin, biskup z Tours, św. Ambroży, biskup Medyolanu i w. i. wstawiali się do cesarza za Pryscylianistami, a z biskupem Itacyuszem zerwali wszelkie stosunki.

Papież Grzegorz Wielki (590—604) występował w obronie Żydów i zabraniał odbierania im synagog. Kiedy zaś wysyłał do Anglii św. Augustyna opata, dał mu polecenie, by królowi Etelbertowi zaznaczył wyraźnie, że nie można używać żadnych środków gwałtownych, gdyby który z jego podwładnych nie chciał naśladować przykładu króla w przyjęciu religii chrześcijańskiej[1]).

Z zasadami głoszonemi przez Ojców Kościoła od zarania ery chrześcijańskiej zgadza się prawo kanoniczne, które pod hasłem: „Ecclesia non sitit sanguinem — Kościół nie pragnie krwi" zabrania udziału duchownym we wszystkiem, co ma styczność z fizyczną śmiercią jak np. chirurgii, czynnego udziału w wojnie, choćby sprawiedliwej, a na tych, którzy udział brali, nakłada osobny rodzaj kary t. zw. „irregularitas" t. j. nieprawidłowości, iż nie mogą być przypuszczeni do święceń, a jeżeliby święcenia mieli, nie mogą ich wykonywać.

Nawet na najbardziej zatwardziałego i zawziętego kacerza sędzia duchowny nie ma innej kary, tylko duchowną i na niej poprzestać musi.

Jak z jednej strony krwi Kościół nie pragnie, tak z drugiej strony nie spieszy się ze skazywaniem kogokolwiek na potępienie, kto żyje po za Kościołem. Gdzie się obróci dusza człowieka, żyjącego i umierającego zdala od Kościoła, o tem sąd należy do Boga. „Nikt bowiem nie może oznaczyć granic nieświadomości niepokonalnej z powodu różnorodności narodów, krajów, uzdolnień i innych licznych okoliczności" — powiada papież Pius IX [2]).

Po tych ogólnych uwagach, streszczających zasady nauki

[1]) Beda: Hist. Eccl. I. 26.
[2]) If. Al. „Singulari quadam" q. XII. 1854.

katolickiej o tolerancyi — przechodzimy do sprawy, która była i jest dla innowierców i wogóle wrogów Kościoła św. kamieniem obrażenia i źródłem niewyczerpanem zarzutów, do sprawy inkwizycyi kościelnej, instytucyi tak zohydzonej i wprost potwornie przez stronniczych historyków i niehistoryków przedstawianej.

(C. d. n.). *X. Dr Jan Czuj.*

Nowa kodyfikacya prawa kościelnego.

2. Układ i stylizacya nowego kodeksu.

Nie da się zaprzeczyć, iż formalna strona kodeksu jest momentem nad wyraz doniosłym, od którego, rzec można, cała jego wartość i użyteczność zawisła. Łatwe bowiem oryentowanie się w kodeksie, jasna interpretacya jego przepisów i odpowiednie stosowanie ich do poszczególnych wypadków możliwem jest tylko wtedy, kiedy kodeks odznacza się rzeczowym i jasnym rozkładem całego materyału, krótkością i zwięzłością norm prawnych i precyzyjną ich stylizacyą. A ten ostatni z czynników, składających się na doskonałą formę każdego kodeksu, bodaj czy nie przewyższa ważnością poprzedzających. Albowiem norma prawna sama w sobie zawierać powinna wszystkie dane, któreby umożliwiały jasną i nad wszelką wątpliwość pewną interpretacyę. Racya, dla której ustawodawca jej nadał tę a nie inną formę, jeżeli ona ze samej osnowy nie wypływa, jest dla tłumacza całkiem obojętną; natomiast ustalony raz tekst właśnie dlatego, że ze siebie musi być interpretowany, nabiera prawnego znaczenia i spełnia rolę prawa bez względu na to, czy takie czy inne znaczenie miał na myśli ustawodawca. Dla tego też najdrobniejsza niedokładność w układzie zdania, najmniejsza niejasność lub chwiejność w stylizacyi, może pociągnąć za sobą daleko idące konsekwencye i nietylko spowodować zupełnie nie zamierzoną przez ustawodacę

interpretacyę, ale także wywołać w danym razie cały szereg zawiłych i kosztownych procesów[1]).

Że nasz dawny *Corpus iuris canonici,* choć stanowi bez wątpienia najwspanialszy pomnik ustawodawstwa średniowiecznego, jednak ani pod względem rzeczowego układu, ani też pod względem sformułowania norm prawnych nie dorównał nowoczesnym kodeksom, jest rzeczą równie znaną, jak łatwo zrozumiałą. Wszakże dopiero z w. XIX. zawitała nowa dla kodyfikacyi era, zrywająca zupełnie z dawniejszą techniką, i prowadząca ją pewnym i szybkim krokiem, prawie że powiedzieć można, do szczytu doskonałości.

Redaktorowie urzędowych części starego *Corpus iuris canonici* szli drogą utorowaną przez Bernarda z Pawii, który w swej t. zw. *Compilatio prima,* powstałej w drugiej połowie XII. w.[2]), opierając się mniej na istocie i treści prawa kościelnego, niż na wzorach prawa rzymskiego, podzielił cały materyał na pięć ksiąg, których treść ujęto znanym wierszem: iudex, iudicium, clerus, connubia, crimen. Pod względem zaś sformułowania pojedynczych przepisów prawnych *Corpus iuris canonici* nosi jeszcze wybitną cechę kazuistyczną. W przeważnej części przepisy jego zawierają rozstrzygnięcia i odpowiedzi na poszczególne wypadki, podczas gdy stosunkowo tylko nie wielka znajduje się w nim liczba postanowień prawnych ogólnych i zasadniczo rzecz normujących[3]). Rzecz jasna, że taka forma kazuistyczna rodzić musi wielką niepewność prawną i wielce utrudniać szybki i słuszny wymiar sprawiedliwości. Sędzia bowiem, nie znajdując w samej ustawie rozstrzygnięcia i odpowiedzi na każdy z najróżnorodniejszych objawów życia prawnego, częstokroć zniewolonym się widzi operować analogią, lub z poszczególnych rostrzygnięć ustawowych uformować sobie musi normę ogólną, abstrakcyjną, przy czem oczywiście napotyka często na niemałe trudności, i z natury rzeczy wywoływać może zacięte spory, —bo quod capita, tot sensus.

Na Soborze Watykańskim domagano się wprawdzie „no-

[1]) Zittelmann, Die Kunst der Gesetzgebung. 1904, 14.
[2]) Schulte, l. c. I, 82.
[3]) Schulte, l. c. II, 39.

wego kodeksu prawa kanonicznego", „nowej kolekcyi kanonów jeszcze obowiązujących", „nowego kodeksu, do dzisiejszej praktyki dostosowanego", „nowej redakcyi prawa kanonicznego"[1]), atoli kwestyi systemizacyi kodeksu i sformułowania pojedynczych norm prawnych nie poruszano prawie wcale. Biskupi francuscy[2]), podobnie jak i belgijscy[3]), zadowolili się postulatem, ażeby opracowano nowy kodeks bardziej odpowiadający obecnym warunkom Kościoła, rzeczowo uporządkowany i podzielony na tytuły, rozdziały i artykuły. Episkopat zaś Neapolitański[4]) z góry oświadczył się przeciwnym formie redakcyjnej, przyjętej w nowoczesnych kodeksach państwowych.

Komisya kodyfikacyjna, powołana do życia przez Piusa X., widocznie zdawała sobie sprawę z nadzwyczajnej doniosłości systemizacyi i stylizacyi kodeksu, skoro odrazu na pierwszy plan wysunęła kwestyę, jaką szatę nadać mającemu powstać kodeksowi prawa kościelnego. Jakie zaś wobec tej kwestyi zajęła stanowisko, nie trudno było odgadnąć, kiedy Msgr. Gasparri w okólniku swoim z dnia 6 kwietnia 1904 Rektorom uniwersytetów katolckich doniósł, że w myśl Piusa X. zamierza komisya kodyfikacyjna sporządzić kodeks „na wzór nowoczesnych kodeksów" (ad formam recentiorum codicum), dzieląc cały materyał w rzeczowy sposób na kanony czyli artykuły. Już z tej krótkiej zapowiedzi wnioskować było można, że redaktorowie nowego kodeksu nie podzielają zdania wygłoszonego przez Biskupów prowincyi Neapolitańskiej na Soborze Watykańskim, ani nie idą śladami prywatnych kodyfikatorów włoskch, jak Luise i Lezzani, lecz na miejsce przestarzałej metodyki dekretałów wprowadzają nową, przyjętą po raz

[1]) Coll. Lac. VII, 826, 840, 875, 879, 882, 889.

[2]) ...novum Corpus iuris... statui praesenti ecclesiae aptius accommodatum titulisque, capitibus et articulis iuxta materiarum ordinem digestum. Coll. Lac. VII, 840.

[3]) Coll. Lac. VII, 879.

[4]) At non expedit quidem, quod Ecclesia formam, quae in conficiendis Codicibus a nostris iurisconsultis habetur, omnino servet ac tuetur, qui excidentes tot in sectiunculis leges eo rem deducant, ut harum vis et robur dispergatur et causa lateat, cur sancitae fuerunt. Coll. Lac. VII, 826.

pierwszy przez Kodeks Napoleoński, a następnie zastosowaną już we wszystkich kodeksach państw cywilizowanych.

I rzeczywiście nowy kodeks prawa kanonicznego zrywa zupełnie z dawniejszą formą kazuistyczną. W miejsce kazuistyki w zwykłem tego słowa znaczeniu, zaprowadza kazuistykę abstrakcyjną, t. j. ujmuje materyę prawną w normę ogólną, zasadniczą, pod którą dadzą się podciągnąć wszystkie poszczególne wypadki, jako konsekwencye wypływające z ogólnej zasady. Wszelako obok zasadniczego unormowania stosuje nowy kodeks w pewnych granicach i zasadę specyfikacyi, przez co ułatwia interpretacyę normy ogólnej, z drugiej zaś strony ogranicza i ścieśnia do pewnego stopnia zbytnią swobodę sędziego w stosowaniu normy abstrakcyjnej do wypadków poszczególnych. Tak n. p. kan. 139, § 1 stawia ogólną zasadę: „klerycy niech też unikają wszystkiego, co, choć nie uwłacza ich godności, jednak ze stanem duchownym nie da się pogodzić". W następnych zaś §§. 2, 3, 4 wylicza kodeks niektóre takie zawody i zajęcia, określając zarazem, czy je bezwzględnie za zakazane uważać należy, czy niekiedy i pod jakimi warunkami klerykom dozwolone być mogą.

Pojedyncze kanony wypowiadają daną normę prawną ze wzorową precyzyą i dokładnością, a mimo całej ich zwięzłości nie brak im jasności, dzięki trafnej stylizacyi, skrupulatnemu wyborowi słów i pięknej, wolnej od tajemniczo brzmiących a ciemnych zwrotów łacinie, która zrozumienie i interpretacyę norm prawnych w znacznej mierze ułatwia, a studyum kodeksu nadaje nawet pewien urok. Pod względem formalnym mierzyć się może nowy kodeks z najbardziej udatnymi kodeksami cywilnymi naszych czasów. Aby zaś uzmysłowić sobie, jak dodatnio się wyróżnia od dawnych dekretaliów, wystarczy wziąść pod uwagę, że cały materyał ustawodawczy wyczerpuje w niedużym tomiku o niespełna 500 stronach, podczas gdy stary *Corpus iuris canonici* stanowił pokaźny foliant o objętości co najmniej pięć razy większej. Jeżeli się nadto rozważy, że w nowym kodeksie unormowany został cały szereg stosunków, o których dawne dekretały milczą, można mieć pojęcie, ile niepotrzebnego balastu, nagromadzonego w starym *Corpus iuris canonici*, przy nowej kodyfikacyi odpadło.

Dla uzupełnienia obrazu o formie zewnętrznej nowego kodeksu prawa kanonicznego, wypada jeszcze słów kilka poświęcić jego układowi.

Wedle wyżej wspomnianej enuncyacyi Msgr. Gasparri'ego z dnia 6 kwietnia 1904 r. zamierzała komisya kodyfikacyjna po części wstępnej i ogólnej, zawierającej tytuły De Summa Trinitate et fide catholica (1), De consuetudine (2) i De rescriptis (3), rozmieścić cały materyał w pięciu księgach: De personis (I), De sacramentis (II), De rebus et locis sacris (III), De delictis et paenis (IV) i De iudiciis (V).

Jak na pierwszy rzut oka widać, miała ta systemizacya, zachowując z pietyzmem tradycye dawnych dekretałów, równocześnie i nowszym wymogom w szerokiej mierze zadość uczynić. I rzeczywiście bardziej niż dawniejsza zbliża się do systemu przyjętego w ostatnich czasach przy wykładzie i w podręcznikach prawa kościelnego. Dotąd bowiem powszechnie przyjmowano za zasadę podział prawa kościelnego na ustrój i administracyę kościelną, a w części wstępnej omawiano prawną istotę Kościoła, jego stosunek do państwa i do innych społeczeństw religijnych, oraz materyalne i formalne źródła prawa kościelnego. W ten sposób powstały 4 księgi, z których pierwsza traktowała rzecz o prawnej istocie Kościoła i jego stosunku do państwa i do innych społeczeństw religijnych — która to część obecnie nie ma odpowiedniego działu w systemie przez komisyę kodyfikacyjną projektowanym, — druga przedstawiała rzecz o źródłach prawa kanonicznego (— Pars generalis), trzecia o ustroju Kościoła (— L. I), a czwarta o administracyi kościelnej (— L. II., III., IV., V).

Co do dyspozycyi i systemizacyi można mieć różne zapatrywania. To też Msgr. Gasparri z góry oświadczył, że podział i układ, w powyższym liście wskazany, może ulegnie jeszcze zmianie w toku prac kodyfkacyjnych. I tego też słusznie spodziewać się można było, gdyż podział na: *sacramenta, res et loca sacra* nie zdawał się być trafnym. Jeśli już bowiem oddziela się *sacramenta od res,* i stawia różnicę pomiędzy *res sacras i loca sacra,* dlaczego nie dodać jeszcze *tempora sacra i ritus sacri?* Albo — co jeszcze więcej rzecz upraszcza — czyż nie możnaby pod

pojęcie „*res* — rzeczy“ w szerszem tego słowa znaczeniu podciągnąć też sakramentów? [1]).

I faktycznie, pierwotny plan kodeksu uległ zmianie w podwójnym kierunku. Nasamprzód bowiem złączyła komisya kodyfikacyjna księgę II. o Sakramentach i księgę III. o rzeczach i miejscach św. w jedną pod wspólnym napisem De rebus; powtóre wcieliła wstęp, projektowany jako część ogólną, do kodeksu jako księgę I. W ten sposób uzyskano podział kodeksu na 5 ksiąg, podział najbardziej odpowiadający istocie i treści prawa kościelnego. Pojedyncze zaś przedmioty, wchodzące w ramy poszczególnych ksiąg, zestawiono logicznie i rzeczowo, tak, iż nowy kodeks przedstawia się jako dzieło głęboko obmyślane i starannie opracowane, jako dzieło mimo swej rozbieżnej treści jednolite i jakby ulane z jednej formy.

Nowy kodeks prawa kanonicznego ukazał się dotychczas tylko w wydaniu urzędowem, jako druga część dziewiątego tomu *Acta Apostolicae Sedis*. Obejmuje on w 521 str. in 8-o: 1. konstytucyę *Providentissima Mater* z dnia 27 maja 1917, przez którą Benedykt XV. kodeks promulguje, oraz przyszłą uroczystość Zesłania Ducha św., t. j. dzień 19 maja 1918 r. naznacza jako termin, w którym kodeks zacznie obowiązywać (str. 5—8); 2. formułę wyznania wiary katolickiej (str. 9—10); 3. tekst ustawowy w 2414 kanonach (str. 11—456); szereg dawniejszych konstytucyi papieskich, na które ustawodawca w tekście się powołuje (str. 457—510); wreszcie 5. spis rzeczy (str. 511—521).

Tekst ustawowy obejmuje, jak wspomnieliśmy, 5 ksiąg. Księgi podzielone są na części, sekcye, tytuły, rozdziały, artykuły i kanony. Te ostatnie znowu w miarę potrzeby rozpadają się na paragrafy, a te wreszcie na numery. Kanony idą przez wszystkie księgi w numeracyi ciągłej od 1 do 2414, tak iż cytowanie odnośnego przepisu nie wymaga innego oznaczenia prócz wymienienia liczby kanonu, z dodatkiem, o ile potrzeba zachodzi, paragrafu i numeru, n. p. kan. 531 lub kan. 1166, § 3, lub kan. 2279, § 2, n. 8.

[1]) Roth, W sprawie kodyfikacyi prawa kościelnego (Wiadomości paterskie. 1905, 427 i nast.).

Księga pierwsza z napisem *Normae generales (Normy ogólne)* stanowi jakby klucz do interpretacyi i zrozumienia całego kodeksu. Podczas gdy w sześciu tytułach od kan. 8—86 traktuje o ustawach kościelnych, o prawie zwyczajowem, o obliczeniu czasu, o reskryptach, przywilejach i dyspenzach, zawiera ona we wstępnych 7 kanonach ustawę wprowadczą, określającą zwięźle i nadzwyczaj jasno stosunek przepisów w kodeksie zawartych do kościoła wschodniego (kan. 1), do prawa liturgicznego (kan. 2), do konkordatów i umów pomiędzy Stolicą św. a państwami (kan. 3), do przywilejów nadanych przez Stolicę św. osobom fizycznym czy moralnym (kan. 4) i do zwyczajów, które się wytworzyły czy to w całym Kościele czy tylko w poszczególnych jego dzielnicach, a niezgodne są z przepisami nowego kodeksu (kan. 5). Kanon 6 podaje sześć reguł, mających służyć do interpretacyi kodeksu, a wreszcie w kan. 7 wypowiada ustawodawca, co rozumieć należy przez wyraz Stolica Apostolska lub Stolica św., ile razy w kodeksie przychodzi.

Księga druga, która nosi napis *De personis (Prawo osobowe)*, składa się z wstępu i trzech części. We wstępie, obejmującym kan. 87—107, określa ustawodawca nasamprzód pojęcie osoby fizycznej i różnice pod względem stanowiska prawnego osób fizycznych co do wieku, zamieszkania, pokrewieństwa, powinowactwa i obrządku. Przechodząc potem do osób prawnych czyli moralnych, określa ich pojęcie, powstanie, sposób działania i wygaśnięcie. Następnie mówi o wpływie bojaźni, przymusu i błędu na czynności prawne, oraz o ograniczeniu skuteczności aktów prawnych przez ewentualnie nakazane w ustawie zasięgnięcie rady lub uzyskanie zezwolenia osób trzecich. W końcu zaś normuje prawo pierwszeństwa pomiędzy różnemi osobami fizycznemi i moralnemi, i toruje sobie drogę do następnego podziału, wypowiadając w kan. 107 zasadę, że na mocy prawa bożego klerycy się różnią od laików, a do obydwu tych stanów należeć mogą zakonnicy.

Pierwsza część tej drugiej księgi traktuje w dwóch sekcyach o klerykach w ogólności (kan. 108—214) i w szczególności (kan. 215—486). Sekcya pierwsza normuje w sześciu tytułach przyłą-

czenie kleryków do pewnej dyecezyi, prawa, przywileje i obowiązki kleryków wogóle, prowizyę i utratę urzędów kościelnych, władzę kościelną z urzędu wypływającą i zleconą, i w końcu podaje normy prawne w sprawie ściągnięcia kleryków do stanu świeckiego.

Sekcya druga zajmuje się w dwóch tytułach stanowiskiem prawnem kleryków w szczególności. W tytule VII. więc mowa jest o najwyższej władzy kościelnej i o tych, którzy wedle prawa kościelnego w niej mają jakiś udział, a zatem o papieżu i soborze powszechnym, o kardynałach i kuryi rzymskiej, o legatach, patryarchach, prymasach i metropolitach, o soborach plenarnych i prowincyonalnych, o wikaryuszach, prefektach i administratorach apostolskich, wreszcie o niższych prałatach. Tytuł zaś VIII. obejmuje rzecz o biskupach i ich pomocnikach. Obok więc biskupów i ich koadjutorów i sufraganów omawia tu kodeks szczegółowo sferę działania i atrybucye synodu dyecezyalnego, kuryi biskupiej, kapituły, konsultorów dyecezyalnych, wikaryusza kapitulnego, dziekanów, proboszczów, wikarych i zwykłych rządców kościołów.

Część druga księgi drugiej poświęcona jest prawu zakonnemu (kan. 487—681) i podzielona jest na dziewięć tytułów (tyt. IX—XVII), z których pierwsze ośm normują rzecz o stowarzyszeniach zakonnych, dziewiąty zaś traktuje o stowarzyszeniach osób męskich lub żeńskich wspólnie na wzór zakonników żyjących, ale żadnymi ślubami nie związanych. Po ustaleniu nomenklatury w tym dziale używanej, mówi kodeks nasamprzód o zawiązywaniu i znoszeniu stowarzyszeń, prowincyi i domów zakonnych, dalej przedstawia ich zarząd wewnętrzny, oraz stosunek do Ordynaryuszów miejscowych i normuje przyjmowanie i wychowanie zakonników, ich studya, obowiązki i przywileje. Trzy końcowe artykuły zawierają normy prawne o przejściu z jednego zakonu do drugiego, o dobrowolnem opuszczeniu zakonu, wreszcie o przymusowej dymisyi.

Trzecia część tejże księgi drugiej, obejmująca kan. 682 do 725, normuje stanowisko prawne osób świeckich w kościele, a w szczególności zrzeszenie się wiernych w związki o celach pobożnych lub humanitarnych, podając szczegółowe przepisy od-

nośnie do t. zw. trzecich zakonów świeckich, bractw i innych stowarzyszeń pobożnych.

Księga trzecia z napisem *De rebus (Prawo rzeczowe)* składa się z wstępu i sześciu części, obejmujących kan. 726—1551. Oprócz pojęcia rzeczy i ich rodzajów, określają wstępne kanony 726—730 symonię, jej rodzaje i skutki prawne. Następnie traktuje pierwsza część w ośmiu artykułach o Sakramentach — więc i o prawie małżeńskiem, i o Sakramentaliach. Druga część, De locis et temporibus sacris, zawiera w pierwszej sekcyi przepisy prawne o kościołach, kaplicach, ołtarzach i cmentarzach, w drugiej zaś normuje prawo o świątkowaniu i postach. W trzeciej części, De cultu divino, podane są przepisy tyczące się przechowywania i czci Eucharystyi, czci należnej Świętym i ich obrazom i relikwiom, procesyi, naczyń i szat świętych, wreszcie przepisy o ślubach i przysiędze. Część czwarta nosi napis De magisterio ecclesiastico. W pięciu tytułach obejmuje ona prawo o głoszeniu słowa bożego w katechizacyach, kazaniach i misyach, o seminaryach duchownych i szkołach, o cenzurze i zakazie książek, i o wyznaniu wiary. Dwa tytuły części piątej poświęcone są nauce o beneficyach kościelnych. W końcu część szósta zawiera prawo majątkowe i traktuje szczegółowo o prawie nabywania dóbr kościelnych, o ich zarządzie, o umowach i o fundacyach pobożnych.

Księga czwarta kodeksu z napisem *De processibus (Proces kanoniczny)* podzielona jest na trzy części i obejmuje kan. 1552—2194. Podczas gdy część pierwsza w pierwszej sekcyi przedstawia procedurę kościelną w ogólności, druga jej sekcya podaje w tytule VIII. sposoby unikania procesów przez ugodę lub sądy rozjemcze, w następnych zaś trzech tytułach normuje szczegółowo procedurę karną, proces małżeński oraz postępowanie w sprawach tyczących się wyższych święceń. W części drugiej mamy skodyfikowane postępowanie sądowe w sprawach beatyfikacyi i kanonizacyi. Wreszcie część trzecia księgi czwartej zawiera normy, odnoszące się do postępowania przy załatwianiu niektórych w kodeksie określonych spraw lub przy stosowaniu niektórych postanowień karnych. I tak traktuje tu kodeks w siedmiu tytułach o postępowaniu przy usuwaniu proboszczów tak z na-

tury rzeczy nieusuwalnych jak i usuwalnych, o postępowaniu w sprawach przenoszenia proboszczów, o postępowaniu przeciw klerykom nierezydującym lub żyjącym w konkubinacie, o postępowaniu przeciw proboszczom niedbałym w sprawowaniu swego urzędu, wreszcie o postępowaniu przy stosowaniu kary t. zw. suspenzy ex informata conscientia.

Księga piąta kodeksu *De delictis et poenis (Prawo karne)* obejmująca kan. 2195—2414, podzielona jest na trzy części. Pierwsza z nich, zawierająca naukę o przestępstwie, określa pojęcie, istotę i rodzaje przestępstw, rozwija dalej rzecz o poczytalności, o udziale w przestępstwie i o przestępstwie powrotnem, wreszcie normuje rzecz o przestępstwie usiłowanem. Następna część zajmuje się w sekcyi pierwszej nauką o karze w ogólności, w drugiej zaś omawia w szczególności środki karne, znajdujące zastosowanie w prawie kościelnem. W trzeciej części wreszcie zestawia ustawodawca przestępstwa i ich karygodność, łącząc je wszystkie w jeden system organiczny, a opierając się przy ich klasyfikacyi na naturze naruszanych przez nie interesów prawnych czy to jednostek czy też społeczności kościelnej. Kodeks zna dziewięć klas przestępstw, mianowicie: 1-o przestępstwa przeciwko wierze i jedności kościelnej, 2-o przestępstwa przeciwko religii, 3-o przestępstwa przeciwko władzy, osobom i rzeczom kościelnym, 4-o przestępstwa przeciwko życiu, wolności, własności i sławie cudzej oraz przeciw dobrym obyczajom, 5-o fałszowanie urzędowych pism kościelnych i fałszywy donos o solicytacyi, 6-o przestępstwa popełniane w sprawowaniu lub przyjmowaniu Sakramentów, 7-o przestępstwa kleryków i zakonników przeciwko obowiązkom ich stanowi właściwym, 8-o przestępstwa popełniane przy nadawaniu, przyjęciu lub oddaniu godności, urzędów i benefisów kościelnych, wreszcie 9-o przestępstwa popełniane przez nadużycie władzy lub urzędu kościelnego.

* * *

Tak się przedstawia w ogólnych rysach nowy kodeks prawa kanonicznego. Z chwilą jego wydania rozpoczęła się niewątpliwie dla nauki prawa kościelnego nowa era rozkwitu. To,

co najbardziej odstraszało uczonych, zwłaszcza świeckich, od pogłębienia nauki prawa kościelnego, przestarzała a zawiła forma zewnętrzna jego źródeł, szczęśliwie odpadło. W nowej swej szacie stanie się kodeks kościelny przystępnym dla wszystkich, a nawet ponętnym jako studyum, a dla samego Kościoła przyniesie, jak się spodziewać można, wiele jak najdonioślejszych korzyści. Nowy kodeks jest w swoich przepisach skrystalizowanym wyrazem tego uduchowienia i umocnienia, które się stopniowo dokonywało w życiu kościelnem w ciągu XIX w. a przedewszystkiem od czasów po Soborze Watykańskim. A jak z jednej strony on sam tę charakterystyczną cechę Kościoła w obecnej dobie odzwierciedla, tak z drugiej strony wszystkie jego przepisy zmierzają silnie i celowo do jednego ideału, — aby mianowicie spotęgować i coraz bardziej wydoskonalić ten moment duchowny, nadprzyrodzony w klerze zarówno, jak i w świeckch, a tym sposobem zdobyć Kościołowi tę potęgę i tę przewagę, jaką w myśl swego posłannictwa posiadać powinien w życiu prywatnem i publicznem ludzkości.

Jan Roth T. J.

Upiór w poezyi Adama Mickiewicza.

(Dokończenie).

Ideowy związek „Dziadów“ wileńsko-kowieńskich z „Romantycznością“ jest bardzo ścisły i widoczny. Zaznaczył go sam twórca. Dochował się w szczątkach I. części poematu „chór młodzieńców“, który pociesza rozpaczającą Karusię. Hamletowski epigraf z „Romantyczności“ uzupełnia się mottem, które widnieje nad II częścią „Dziadów“. To ostatnie, wyszydzając krótkowidztwo filozofów, atakuje racyonalizm „mędrców ze szkiełkiem w oku“ — podczas gdy misteryum tej części poematu rozgrywać się może tylko przed „oczyma duszy“ wierzącego gminu.

Treść czwartej części poematu jest dalszem rozwinięciem polemiki, rozpoczętej w „Romantyczności“; Gustaw-upiór-pustelnik prowadzi dalej spór z księdzem-wychowawcą na temat istnienia świata dziwów, „o których ani śniło się naszym filozofom“: — „nie dziw, głosu natury nie dosłyszą starzy“. Nie dojdzie ich ucha tajemniczy głos z pod kantorka, nie pojmą przyczyny gaśnięcia świec, oznaki mijania niepowrotnych godzin nauki i przestrogi. Każdy cud chcą tłómaczyć — rozumem.

Lecz natura jak człowiek ma swe tajemnice,
Które nietylko chowa przed oczyma tłumu,
Ale żadnemu księdzu i mędrcom nie wyzna.

„Więc żadnych niema duchów?“ — pyta Gustaw, smagając biczem ironii mądrość tych, dla których „duchy karczemnej tworem gawiedzi“; ci martwe tylko znają prawdy, „o kołach o sprężynach, rozum ich naucza, lecz nie widzą ręki i klucza“.

Nie zmienił się punkt wyjścia i zasadnicze tło argumentów tej polemiki. Tylko wymowa obrońcy „prawd żywych“ stała się porywająca. Wszakże wyszedł on z roli biernego obserwatora wizyi Karusi, przedzierzgnął się sam w upiora i wytoczył sprawę o własne, utracone szczęście.

To utożsamienie siebie z upiorem, bohaterem młodocianej spowiedzi miłosnej, jest szczytowym, najwyższym punktem, do którego dochodzi Mickiewicz, a z nim i cały romantyzm polsk w zużytkowaniu tego wpływu.

Wiemy, jakie życiowe momenty urodziły tę koncepcyę. Wytworzył ją rozpaczliwy stan uczuć poety po zamążpójściu Maryli, zbyt lekko ważony przez niektórych przyjaciół-filomatów (zwłaszcza niedoceniony przez Zana). Myśli o samobójstwie, obrona praw zranionego serca, które nawet najprzychylniejsi chcieli leczyć zdawkowem słowem pociechy — wywołując skutek przeciwny zamierzeniu — to utworzyło realną podstawę pomysłu Gustawa-upiora. Podobno rozeszły się nawet pogłoski o śmierci poety, tak, że gdy pewien mieszczanin nowogródzk spotkał go bladego i w nieładzie — przeżegnawszy się, uciekł czemprędzej, przekonany, że „widział upiora Adama Mickiewicza“ [1]).

Już w samej istocie tej miłosnej tragedyi tkwi żywy podkład romantycznego uniesienia, którego napięcie i wybuch dokonał się w sposób przygotowany i podsycany lekturą „Nowej Heloizy“, „Wertera“, romansów pani Krüdener oraz całego szeregu utworów romantyki niemieckiej, od Schillera do Jeana Paula. Przypomnijmy zupełnie analogiczne przeżycie Novalisa, który po śmierci narzeczonej nosił się z zamiarem samobójstwa, notując w pamiętniku: „Mein Tod soll Beweis meines Gefühls

[1]) Opowiada o tem Krystyn Ostrowski, francuski tłumacz Mickiewicza („Oluvres de Adam Mickiewicz...“, Paris 1841).

für das Höchste sein; echte Aufopferung, nicht Flucht und Notmittel".

To samo myślał Mickiewicz, szkicując postać Gustawa-upiora. Jest to na modłę romantyczną skrystalizowany w poezyi zamiar, który na szczęście w życiu w czyn się nie przerodził. Stopiła się w tej kreacyi bardzo obfita suma rysów romantycznych. Podobnych, jeszcze o wiele kapryśniejszych pomysłów nie brak w produkcyi romantyków niemieckich, których najskrajniejszym przedstawicielem jest E. T. A. Hoffmann. Myśli o śmierci na tle nocnego krajobrazu, zapoczątkowane w trenach Younga i zasilone systemem duchów Ossyana oraz ballady angielskiej — wydały bujne pokłosie w utworach drugorzędnych poetów niemieckich (Justyn Kerner, Achim von Arnim, Klemens Brentano i i.).

Silnie zarysowane u Younga i Ossyana przeciwstawienie życia i śmierci doszło z czasem u skrajnych romantyków do pogardy życia, a ubóstwiania śmierci, która otwiera bramę do królestwa ducha. „Życie jest chorobą ducha" — powiedział Novalis. W powieści „Henryk z Ofterdingen" mówią umarli:

Immer wächst und blüht Verlangen
Am Geliebten festzuhangen,
Ihn im Innern zu empfangen,
Eins mit ihm zu sein;
Seinem Durste nicht zu wehren,
Sich im Wechsel zu verzehren,
Von einander sich zu nähren,
Von einander nur allein.
So in Lieb' und hoher Wollust
Sind wir immerdar versunken,
Seit der wilde, trübe Funken
Jener Welt erlosch;
Seit der Hügel sich geschlossen
Und der Scheiterhaufen sprühte
Und dem schauernden Gemüte
Nun das Erdgesicht zerfloss.

Mistycyzm „Dziadów", ten najbardziej istotny rys poematu, jest wynikiem przejęcia się atmosferą romantyki grozy, która przedziwnie odpowiadała zawiedzionej miłości Gustawa.

Punktem wyjścia tej miłości — zaznaczonym w szczątkach I. części dzieła — jest romantyczna wiara w preegzystencyę, szeroko rozpowszechniona w niemieckim romantyzmie. Daje jej wyraz dziewica w monologu wstępnym („Jest i musi być kędyś..") — przeczuwa to samo Gustaw na polowaniu (ktoś „około mnie krąży nakształt cienia").

O upiorze raz jeden wspomina chór młodzieży, za to w sposób charakterystyczny, antycypując poniekąd wyrzuty, czynione księdzu przez Gustawa w czwartej części „Dziadów".

Ale kto z nas w młode lata
Nie działa rzeźwem ramieniem,
Ale sercem i myśleniem,
Taki zgubiony dla świata.

Kto jak zwierz pustyni szuka,
Jak puhacz po nocy lata,
Jak u p i o r do trumny puka:
Taki zgubiony dla świata.

Nietrudno się domyśleć, że „zgubionym dla świata" za to, że działał tylko „sercem i myśleniem" — jest później „umarły dla świata" bohater poematu.

Nie znamy rozwoju akcyi miłosnej, o której epilogu dowiadujemy się dopiero w czwartej części. Gustaw-upiór zjawia się już w gotowej formie, zamykając obrzęd „Dziadów". Należy do angielskiej grupy mar cichych i bladych, oraz przybrany jest — podobnie jak duch kochanka z „Romantyczności" — w „białą sukienkę",:

„ . . . . zapada podłoga
I blade widmo powstaje;
Zwraca stopy ku pasterce
Białe lice i obsłony,
Jako śnieg po nowym roku.
Wzrok dziki i zasępiony
Utopił całkiem w jej oku.
Patrzcie, ach patrzcie na serce!
Jaka to pąsowa pręga,
Tak jakby pąsowa wstęga,
Albo jak sznurkiem korale,
Od piersi aż do nóg sięga.

Co to jest, nie zgadnę wcale!
Pokazał ręką na serce:
Lecz nic nie mówi pasterce.

Stoi „niemo, głucho, nieruchomie, jak kamień pośród cmentarza". Jest zasadniczo odmienny od widma okrutnego pana, które Guślarz nazywa również upiorem („Wszelki duch! jakaż potwora! Widzicie w oknie upiora?")

Więcej może, aniżeli „dym i błyskawice" „włos rozczochrany" i trzask iskier, sypiących się dookoła głowy — przeraża gromadę nieruchomość i grobowe milczenie kochanka pasterki. Tę niemotę objaśni Guślarz po latach w IX. scenie III. części „Dziadów":

„On żył może, gdym go badał,
Dlatego nie odpowiadał".

Ten późny komentarz nie jest niezbędny. Wszakże upiór w „Dziadach" wileńskich ma widoczne pokrewieństwo z milczącem widmem Jasia z „Romantyczności" — nadto zaś nie odpowiada on w drugiej części poematu tylko na wezwania Guślarza. Z pasterką prowadzi on niemą dla innych rozmowę, która wyraziła się w jej uśmiechu („Czegoż uśmiechasz się? czego? Co w nim widzisz wesołego?)" i we wspólnem opuszczeniu kaplicy.

Nietylko treść IV. części „Dziadów" oraz wstępnego wiersza „Upiór" — ale i rysy, zawarte w pierwszej aparycyi ducha, podają w wątpliwości późniejszy, drezdeński komentarz końcowej sceny obrzędu. Raczej przypuszczać trzeba, że pierwotnie miał poeta na myśli jedynie ducha samobójcy, nie zaś żywą postać, która wyszedłszy z pod podłogi daje nieboszczyka. Strumień krwi, płynący z rozdartego serca i niemy gest ręką, objaśniają fakt i sposób śmierci.

Ta poza ma podkład literacki. Właściwa jest mitologii Ossyana, jak to już dawniej zaznaczyliśmy[1]) oraz balladom

[1]) Zob. Szyjkowski Maryan: „Ossyan w Polsce", Akad. Umiej., Kraków 1912, str. 33.

Hölty'ego[2]) — a nadto ma bardzo bliską antecedencyę w przypisywanej dawniej Mickiewiczowi „Karylli" (drukował „Tygodnik Wileński" 1819 r. w maju). W tej przeróbce z „Dekamerona" jawi się we śnie przed Karyllą duch zabitego, „pokazuje przebite dwiema strzałami i razami sztyletów piersi..", poczem wzywa, ażeby szła za nim i prowadzi za sobą.

Powód tragicznego końca i pośmiertnej zjawy na obrzędzie „Dziadów" nie jest wyraźnie podany. Nie wiadomo, czy upiór, wyłaniający się z pod podłogi już po skończonej uroczystości, należy do gromady pokutujących duchów. Nie przyszedł na zaklęcie i nie wyraża żadnych pragnień. Nie występuje też w charakterze mściciela. Zaklęła go zapewne w widomą postać tęsknota pasterki, która usiadła na grobie w żałobnej szacie, choć „mąż i rodzina zdrowa"

Pomiędzy niemi toczy się niepochwytny dla innych uszu dyalog — rozgrywa się tragedya miłosna, której istoty nie mieszczą ramy ludowego święta zmarłych.

Przebieg tej drugiej, osobistej akcyi przedstawi poeta na innym terenie, w celi księdza-filozofa i wychowawcy, który nauczył go czytać „w pięknych księgach i w pięknem przyrodzeniu", a przez to, wyrobiwszy w uczniu czułość serca i wyobraźni, stał się pośrednim sprawcą późniejszej jego tragedyi miłosnej.

Fragmentaryczność „Dziadów", brak pośredniego, w dramacie miłosnym centralnego ogniwa pomiędzy drugą a czwartą częścią dzieła — utrudnia w wysokim stopniu śledzenie rozwoju i zmian, którym ulegał pomysł upiora. Trochę nowego światła rzuca na tę sprawę korespondencya filomatów, a w szczególności wzajemna wymiana listów na temat „Dziadów" pomiędzy Mickiewiczem a Czeczotem. Na usilne nalegania przyjaciół (Czeczota i Zana) donosi poeta 25 stycznia 1823 roku: „Dziadów

[2]) Zob. Bruchnalski Wilhelm: „Przyczynki do genezy Upiora i drugiej części „Dziadów" w „Księdze pam. Uniw. lwowsk.", Kraków 1911. Oprócz wzmianki Mickiewicza w przemowie do I. tomiku poezyi, wspomina nazwisko Hölty'ego Czeczot w liście do Mickiewicza z 18. I. 1823 r. — zob. „Korespondencya filomatów", Archiwum, cz. I., Kraków 1913.

część większą odeszlę; nic nie umiałem poprawić.... do części drugiej nie staje kilku wierszy w dorobionem kilkunastowierszowem przejściu, a i te trudno mi dorobić".

Za przejście (raczej przeskok) od II. do IV. części poematu można uważać jedynie końcową scenę obrzędu, w której jawi się uparte widmo, związane tajemniczym węzłem z pasterką.

W części czwartej „upiór" już ma wyraźne rysy Gustawa, pasterka zaś porzuca anachronistyczny kostyum sielankowy i okazuje się Marylą.

Wysnuty z osobistych przeżyć autora „Romantyczności" pomysł opowiedzenia tragedyi własnego serca przez usta upiora — nosi w sobie również ślady literackich refleksów. Zwrócono już uwagę na ustęp tłómaczonego przez Mickiewicza „Giaura" Byrona, w którym „upiór"

„ . . . . . z grobu wyłażąc wieczorem
Pójdzie nawiedzać krainę rodzinną".

Ważniejsze bodaj znaczenie mógł mieć w tym kierunku pseudo-Byronowy „Upiór", przerobiony na scenę i wydany drukiem w 1821 roku[1]). Głośne „melodrama" grane z olbrzymiem powodzeniem w Warszawie — a zapewne i w Wilnie — musiało działać już samą fakturą sceniczną na wyobraźnię twórcy „Dziadów".

Występujący w akcyi „geniusz małżeństw", który nie dopuszcza do skojarzenia się nieszczęsnego ducha z Malwiną, zawiera jakby aluzyę do życiowej sytuacyi kowieńskiego nauczyciela. Sam upiór, jakkolwiek krwawy i okrutny, budzi za pierwszem zjawieniem się w sercu Malwiny współczucie, pociąga ją ubezwładnia rysem męki, która widnieje na twarzy potępieńca.

Oto jak opowiada bohaterka o tej strasznej scenie, którą —

---

[1]) Zob. Szyjkowski M. „Dzieje polskiego Upiora przed wystąpieniem Mickiewicza". Rozpr. Akad. Um., Wydz. filol. 1917. Rozprawa, którą ogłaszamy obecnie w „Przegl. Powsz." stanowi w pomyśle i przeprowadzeniu integralną część pracy, powyżej cytowanej Jako taka powinna być uważana za „Dziejów polskiego upiora" część drugą.

jak sądzi — przeżyła w sennem widzeniu pod skałą, zwaną „grobem Fingala": „Widma wybladłe wychodzą z grobów na pół otwartych. Jedno z nich ku mnie zmierza; dreszcz mnie ogarnął. Lecz przez moc jakąś zostałam jak wryta, nieporuszona i oczy moje nie mogły się oderwać od strasznego zjawiska. Wpatrzyłam się w nie. O zadziwienie! ujrzałam rysy młodzieńca, był blady i zdawał się cierpieć; jego oczy, wlepione we mnie z wyrazem najtkliwszym, zdawały się żądać pomocy i im się bardziej ku mnie przybliżał, tem się bardziej bojaźń moja, którą uczułam, zmniejszała. Ale gdy już był mnie blisko, gdy jego twarz zdawała się mojej prawie dotykać — o przestrachu! oczy jego stały się zapadłe, nadzwyczajnym iskrzały ogniem".

Poparte nazwiskiem Byrona senzacyjne widowisko, wprowadzające upiora, jako bohatera, rozporządzającego 36-ciogodzinnem pozornem życiem, które przedłużyć może jedynie małżeństwo z Malwiną — nie pozostało zapewne bez wpływu na ostateczne skrystalizowanie się pomysłu kreacyi Gustawa-pustelnika, którego od przybrania „larwy potępieńca" i wywarcia zemsty powstrzymuje jedynie siła miłosnego uczucia.

Gustaw zginął śmiercią samobójcy. W noc zaduszną, obdarzony trzygodzinnym okresem doczesnego trwania, przybywa do celi księdza, ażeby życie swoje „ścisnąć w trzy krótkie godziny": miłości, rozpaczy i przestrogi.

Jawi się ubrany dziwacznie w liście, ciągnąc za sobą towarzysza: gałąź jedliny W tych akcesoryach można dopatrywać się śladu wyobrażeń ludowych, które duchom samobójców przypisują chętnie właściwości upiora, doradzając wbijać w gardło lub w serce trupa kołek osikowy, „ażeby nie był upiorem"[1]). W opisie zabobonów mazowieckich zanotował Kolberg zwyczaj, że „na mogiłach przypadkowo zab tych, czy to po lasach, czy przy gościńcach, każdy z przechodzących winien zawsze porzucić gałązkę... Znaczenia zwyczaju tego lud dzisiaj już nie rozumie, ale go tradycyjnie aż dotąd przechowuje"[2]).

[1]) Zob. Kolberg „Lud", Lubelskie, str. 92, Chełmskie str. 141.

[2]) Ibidem, Mazowsze I. str. 217. Podobnie lud chełmski rzuca kije lub gałęzie na groby zmarłych śmiercią gwałtowną. (Chełmskie I., str. 180).

Gałąź w ręku Gustawa jest — być może — tego rodzaju refleksem folklorystycznym.

Najpełniej wystąpiło tło ludowe w wierszu wstępnym p. t. „Upiór". Napisał go Mickiewicz już po wysłaniu do Wilna „Ułamków z poematu Dziady", zawiadamiając Czeczota w liście z 1 lutego 1823 roku: „napisałem kilkanaście strof nibyto prologu p. t. „Upiór".

Z wiersza tego nie był zadowolony. Załączając go do listu w tydzień później, tak o nim pisał: „Według obietnicy jedzie Upior. Kiedy w niedostatku dawnych Bogów Muza obcuje z dyabłami, nie dziw, że się tworzą podobne monstra. Ja, ponieważ wydałem wyrok o dawniejszych płodach, o tym ogonie nic nie powiem: nie masz tu nawet ani piersi ogniem buchających, ani oczu zapalonych, bo tylko ogon. Ty, Janie, jeden z tych, którzy najlepiej tego upiora zrozumieją, znajdziesz w nim interes; innym przyda się do zrozumienia rzeczy, nakoniec jest to ostatnia podobna robota w tym rodzaju, przynajmniej na długo" (do Czeczota, 8 lutego 1823 r.).

Przeciwko tej surowej autokrytyce zaprotestował Czeczot krótko: „Upiór twój dobry; oddałem Lelewelowi" (15 luty 1823). Zdając sprawę z rozbieżności wrażenia, jakie sprawił nowy poemat w kołach klasyków i romantyków, kończy korespondent: „ . . . romantycy znajdują geniusz twórczy, a kobiety płaczą nad ukochanym Upiorem"

Płacz kobiet wywołał element subjektywny, który po raz pierwszy w poezyi polskiej podłożony został pod motyw upiora.

Ten wiersz Mickiewicza rozpada się na dwie zbyt luźnie w konstrukcyi wewnętrznej związane części. Osiem zwrotek wstępnych ma znaczenie dekoracyjne. Kreśli okoliczności czasu i miejsca, motywy zjawienia się i charakterystykę wyglądu upiora. Na tę całość złożyły się rysy literackie i etnograficzne. Ich złożenie każe zaliczyć „Upiora" do tej kategoryi duchów, które, wziąwszy początek w balladzie niemieckiej, stoją na linii „romantyki grozy" [1]) W poezyi polskiej prototyp tego rodzaju

[1]) Nowy wzór w balladzie Hölty'ego ustalił dla "Upiora" Bruchnalski l. c.

stworzył Niemcewicz; wśród ballad Mickiewicza najbliżej „Upiora" stoi Józio, który „poszedł i umarł z miłości" („To lubię").

Zdaniem etnografów ballada Mickiewicza o „Upiorze" „jest zupełnie ludową, treść jej albowiem w każdej okolicy jest u nas znajoma i opowiadana"[2]). W istocie jednak treść pierwszej części „Upiora" nie musiała być we wszystkich rysach czerpaną bezpośrednio z „pieśni gminnej". Czas i miejsce: pora nocna i cmentarz — są wspólne i konwencyonalne zarówno dla folkloru, jak i dla literackich opracowań. Peryodyczny powrót potępionego ducha pomiędzy ludzi, który w podaniach ludowych może odbywać się o każdej północy albo też tylko „na nowiu księżyca w noc ciemną, a szczególniej w noc wietrzną lub przy księżycu w noc pochmurną", trwa zaś aż do piania kura — ten termin ograniczył Mickiewicz do jednorazowego jawienia się w noc zaduszną, a z drugiej strony rozszerzył do czwartej niedzieli („aż gdy zadzwonią na niedzielę czwartą").

Najdokładniej wyobrażeniom ludowym odpowiada pierwsza chwila zjawienia się ducha samobójcy:

„ . . . upiór skoro wyszedł z ziemi
Oczy na gwiazdę poranną wywrócił."[3])

Jęk, buchanie płomieniem, skrwawione piersi, kara i pokuta, a wreszcie faktura przedstawienia (opowiadanie w ustach zakrystyana) znajdują się już w opracowaniach balladowych (polskich i obcych) przed Mickiewiczem.

Zupełnie odmienny charakter nosi druga część wiersza, miłosna skarga upiora. Jedynie wzmianka o peryodyczności kary, oraz przypomnienie trupiej głowy („może się trupiej nie ulęknie głowy") wiąże tę spowiedź Gustawa z balladowym wstępem.

Zasadniczym celem tej lirycznej konfesyi jest rozrachunek z tymi wszystkimi, którzy nie umieli, czy nie chcieli docenić

---

[2]) Kolberg, „Lud" II., str. 194.

[3]) Kolberg l. c. str. 95 (Upiór) „po wyjściu z ziemi oczy swe na wschód obraca". W nocie: „Mickiewicz także w swej balladzie: Wstęp do Dziadów, użył tego przesądu ludu".

siły i charakteru miłości poety. Nawet najbliżsi „zwali tęsknotę dziwactwem, przesadą". Z ogłoszonej korespondencyi wynika niedwuznacznie, że do „śmieszków" należał Zan, do nieproszonych zaś „radców" Jeżowski. W czwartej części poematu ten wzgląd został poruszony w ogólniejszym zakresie ze stanowiska walki dwóch kierunków. W „Upiorze" powrócił poeta do tej sprawy w zacieśnionym obrębie osobistych wyjaśnień. Wiersz ten miał „przydać się do zrozumienia reszty". Czeczot, który okazał najwięcej odczucia i szacunku, patrząc na rozgrywający się dramat serca przyjaciela, musiał rzeczywiście „najlepiej tego upiora zrozumieć", jak to przypuszcza sam twórca „Dziadów"

* * *

Motyw upiora, pojawiwszy się przed wiekami na tle teologicznej walki *cum maleficio*, przeszedłszy następnie fazę sporu kulturalno-obyczajowego w epoce oświecenia — staje się następnie niemal równocześnie wątkiem literackim i zagadnieniem ludoznawczem Jako takie ma w dumach i balladach polskich przedewszystkiem znaczenie dekoracyjne, które oddziałać miało na wyobraźnię czytelnika.

Mickiewicz znaczenie to rozszerzył w kierunku sfery uczuciowej. Stanąwszy na linii „królowej ballad" „Lenory"; nadał jej charakter swojski i oryginalny, nietylko przez mechaniczną lokalizacyę szczegółów zewnętrznych, ale przez zużytkowanie żywiołów swojskich we własnej oryginalnej formie.

Stworzywszy polską balladę, posunął się dalej, przybrawszy sam maskę upiora i przetwarzając w ten sposób wątek epicki na środek subjektywno-liryczny.

Jest to najwyższy szczyt ideowy, który motyw upiora osiągnął w poezyi polskiej, Z tego szczytu zeszedł sam twórca z chwilą, gy Gustaw przeobraził się w Konrada. Już nie jedna miłosna rana, ale ran tysiące pokryło jego piersi:

Pierś miał zbroczoną posoką,
Bo w tej piersi jest ran wiele:
Straszne cierpi on katusze,
Tysiąc mieczów miał on w ciele
A wszystkie przeszły aż w duszę.

„Któż weń wraził tyle mieczy?“ — pyta kobieta w ostatniej scenie III. części „Dziadów“. „Narodu nieprzyjaciele“ — odpowiada Guślarz.

Na bój za miliony wybrał się Konrad z rozbudzoną pieśnią zemsty na ustach.

Pieśń ma była już w grobie, już chłodna;
Krew poczuła: z pod ziemi wygląda
I jak upiór powstaje, krwi żąda.

Upiór przeradza się w wampira, który myśl o zemście wpija w dusze rodaków, wysysa krew wroga i w myśl zaleceń starodawnych ciało jego rąbie toporem:

By nie powstał i nie był upiorem.

Wnet jednak tę „pieśń szatańską“ przytłumił w duszy Konrada ksiądz Piotr, wytyczając dla niej inne, słoneczne przestwory zbawczej miłości.

Maryan Szyjkowski.

Pitagoreizm dawniej — a dziś.

II.

(Mistyka liczbowa u Platona).

... Jakaż to otucha
Czasy podsłuchać, przenieść się w ich duchá
Wiedzieć, jak myślał ów starzec przed nami,
Jak po nim dalej — uszliśmy my sami!
Goethe.

Zbyt małą stosunkowo wagę przypisywać się zwykło do znaczenia, jakie system pitagorejski wywrzeć miał na poetycko-filozoficzne marzenia boskiego Platona oraz jego następców, złączonych w zwartą szkołę tzw. Akademików, którzy tworzyć mieli przez długie jeszcze lata w młodszych swoich latoroślach samotną twierdzę rojeń pogańskich i zachwytów mistycznych w rozlewającej się coraz to potężniej fali chrystianizmu. Wspierani i cenieni przez niektórych cezarów (Antoniusze wyznaczyli im nawet żołdy z kas państwowych), gnębieni byli i ścigani przez innych i tworzyli wieki całe zajadłą sektę nieprzejednanych wrogów nowego porządku oraz Kościoła nowego. Dopiero rok 529 naszej rachuby zmiata ich, za pomocą znanego edyktu Justiniana I., z powierzchni ziem greckich i rozprasza ostatnich siedmiu niedobitków platonizmu, każąc im ocalenia szukać w Persyi u władcy Chosroesa. A zaprzeczyć się nie da, że drogocenny pył „złotych myśli“ Pitagorasa pokryć miał —bardziej, niż jakakolwiek z myśli doby przedsokratesowej—nietylko arcydzieła Platona, ale i zaiskrzyć w dziełach później-

szych Ojców Kościoła. Czy to, jeśli rozważyć zechcemy, że głoszona w Fedonie nauka o nieśmiertelności duszy oraz związanej z nią wędrówce (metempsychozie) wraz z tkwiącymi w niej pierwiastkami wiedzy ludzkiej, jako odnawianiu się i „przypominaniu" widzianych w prabycie idei prawdy i harmonii — powtórzeniem jest zazdrośnie ukrywanych objawień pitagorejskich. Czy w ideale „państwa" platońskiego, w którym filozofowie rządy dzierżyć mają, aby wespół z nieliczną kastą wojowników dopomagać wcielaniu się w życie społeczeństwa idei „piękna" i „sprawiedliwości" — upatrywać możemy teoretyczny wyraz dokonanego przez pitagorejczyków związku bractwa oligarchów. Czy też, jeśli wreszcie rozważymy, że: „cała platońska nauka o „ideach" nie jest niczem właściwie innem, jak próbą narzucenia pitagorejskiej zasady „ograniczoności" (tzw. po grecku peras) wraz z jej wyrażającą się w muzyce orkiestralnej „jednością we wielości" czyli poprostu „harmonią" — różnorodnemu i wielobarwnemu materyałowi naszych doświadczeń codziennych, będących czemś zupełnie nieskończonem, form ani granic nie mającem"[1]), które było dla jednego z poprzedników Pitagorasa, kosmologa jońskiego Anaximandra, chaosem tylko i bezładem: „apeiron" zwanem.

Nauka, która dostąpiła, jako jedyna, tej godności, że jej w starożytności uczyć się powinno — była nią matematyka — nie mogła oczywiście pozostać bez wpływu na poglądy Platona oraz jego uczniów. Na portalu szkoły akademickiej wyryto napis: „ktokolwiek nieświadom geometryi, niech tu nie wchodzi", jako widomy znak szacunku, którym miała się ona cieszyć u adeptów platonizmu; a także nim tylko wytłumaczyć można owe poglądy, które w późniejszym wieku u twórcy akademii i jego następców przeradzać się poczęły w mistykę liczbową [2]).

* * *

[1]) Walter Pater: Plato und der Platonismus. Eugen Diederichs. Jena 1914.

[2]) Sąd Platona o matematyce nie jest zresztą jednolity, odmawia on jej bowiem niekiedy zupełnie wartości. Por. X. Dr. Pawlicki: Historya filozofii. II. 459.

Pomylilibyśmy się bardzo, gdybyśmy zechcieli przykładać do przyrodniczych badań Platona dzisiejszą miarę rozwiniętej wysoko metody empirycznej. Brakło mu do niej koniecznego warunku, a jest nim: poszanowanie dla eksperymentu, który był dla niego karygodnem wdzieraniem się w dziedzinę boską, nieusprawiedliwioną zarozumiałością słabego umysłu ludzkiego [1]). Rozwiązać można zagadkę bytu zupełnie dobrze „bez doświadczenia", mocą natężenia umysłu; wysnuwania wniosków z ogólnej byle „doskonałej" zasady; dedukcyą. Ileż to zresztą awanturniczych pomysłów powstawać miało później na tejże samej drodze zwłaszcza w średniowieczu, kiedy np. zamiast badać kwiaty czy rośliny, przyjrzeć się ich budowie i próbować je układać wedle związków wewnętrznych — wolano je umieszczać obok siebie wedle liter alfabetu ich nazw...

Kiedy Platon, będąc już siedmdziesięcioletnim starcem, przystępował do opracowywania swojej fizyki w dyalogu „Timeusz", zastał w dorobku zapatrywań greckich dwie myśli, których nie omieszkał wcielić w krąg swoich zapatrywań. Po pierwsze rozróżniano już oddawna (wiemy to np. z Homera) obok materyalnych sobowtórów ludzkich, tzw. psyche, które przechadzały się po śmierci ludzkiej na łąkach elizejskich, pewien rodzaj niematerialnego pierwiastka, którybyśmy dziś nazwali duszą a który wówczas był niejako oparem, z krwi ludzkiej się unoszącym [2]) i jemu przydzielali rolę czynności psychicznych: chcenia, uczucia i poznania. (Empedokles). Powtóre znano i ceniono dokonane już przedtem przeciwstawienie pitagorejskie dwu zasad przeciwnych: „doskonałego" i „niedoskonałego", które znalazły swój wyraz w dziesięciu „przykazaniach" mistrza. Aby świat powstał, musi — zdaniem Pla-

[1]) O nim np. wiemy, że gromił pomysły wielkiego swojego poprzednika Demokryta, człowieka olbrzymiej wiedzy przyrodniczej, poważanego matematyka i twórcy przyjętego dziś poglądu atomistycznego. Platon żądał poprostu spalenia jego 72 dzieł, jako „bezbożnych".

[2]) Zwał się on po grecku thymos, a źródłosłowem swoim przypomina łaciński „fumus", a polski „dym".

tena — istnieć „dusza wszechświata [1]), ta zaś może tylko o tyle istnieć, o ile jest „najdoskonalszą"! Że taki „optymizm kosmologiczny" mógł zaświtać w umyśle Platona i mógł czerpać swoje soki z pitagoreizmu, zrozumiemy wtedy, jeśli zważymy, że zależność Platona od Pitagorasa jest niezaprzeczalną i że żyjący kilkadziesiąt lat później Hermippus podnosi publiczny zarzut, iż Plato kupił sobie książki pitagorejczyków na to, aby z nich swojego Timeusza — odpisać!

Bóg, powiada Timaeus, musiał się dobrze namyśleć, zanim świat nasz utworzył i musiał przyjść do przekonania, że nic „nierozumnego" nie może się kiedykolwiek stać „rozumnem", a rozum „nus" nie może zamieszkać gdziekolwiek jeno w utworzonej dla tego celu „duszy". Trzeba tedy było, zanim jeszcze istniały jakiekolwiek ciała, stworzyć najpierw taką duszę, napełnić nią cały wszechświat i z niej dopiero wyprowadzić ten najlepszy ze światów wraz z istniejącymi w nim umysłami ludzkimi.

Proceder ten nie był jednak, nawet dla boga, tak łatwym,

[1]) Drzemiąca u Platona myśl o „duszy świata" miała znaleźć swój poetycki i doskonały wyraz we filozofii wieku XVIII. w systemie przyrodniczo-filozoficznym Szellinga, przypominającego zresztą Platona pod wielu względami. Twierdzi on, że zrozumienie świata jest niemożliwem, jeśli się zechce przyjąć istniejące odrębnie od siebie ciała, materye i atomy, oraz wtłoczone w nie z zewnątrz „siły", które miałyby działać wedle jakichś praw z góry ustalonych. Uznać raczej trzeba, że we wszechświecie manifestuje się „dusza", budząca się już w poszczególnych tworach do samopoznania, aby wkońcu dojść w pigmeju, zwanym potocznie człowiekiem, do szczytu poznania, a zarazem podziwu nad sobą. (W. Windelband: Die Blütezeit der Deutsch. Phil., Leipzig 1907, str. 249, sqq.). Porówn. zresztą wiersz jego:

„Ich bin der Gott, den sie (sc. Welt) im Busen trägt,
Der Geist, der sich in allem bewegt.
Vom ersten Ringen dunkler Kräfte
Bis zum Erguss der ersten Lebenssäfte...
. . . . . .
Eine Kraft, ein Wechselspiel und Weben,
Ein Trieb und Drang nach immer höherm Leben".

Podobne myśli przeprowadza przed Szellingiem polski kantvsta, żyd. Salomon Majmon (1754—1800) w pracy „Entelechia universi" (O duszy świata) z r. 1790. W naszych czasach jest Fechner kontynuatorem myśli Szellinga, o ile uważa świat cały jako ciało, w którem przemieszkuje dusza boga.

jakby się na pozór zdawać mogło. Trzeba było zmieszać dwa pierwiastki, dość zresztą niezrozumiałe, gdyż jeden był „tożsamo", a drugi „coś innego", uczynić to po dwakroć a oto i materyał gotowy, z którego wykroić później można duszę dla każdego z ludzi.[1]) Zdaje się, że myślą przewodnią tej zawiłej koncepcyi Platona było, aby ową „duszę" umieścić we środku między światem „idei" z jednej a światem „zjawisk" z drugiej strony. Miała ona łączyć w sobie czynnik idealny, jako przejście, potrzebne do poznawania wiecznych idei z czynnikiem zmysłowym, któremu zawdzięczamy doświadczenie otaczających nas zjawisk. Jeżeli sobie teraz zamieszka w takiej materyi „rozum", to nic dziwnego, że będzie mógł oglądać równie dobrze prawa wieczne (dobro, piekno, prawdę), jak i prawa zmienne i ziemskie. Znajdzie w niej pomieszczenie także rozum „świata", który wszak jest niezbędnym, aby wytłumaczyć ten wspaniały ład i ową boską harmonię, wiążącą planety w ich wzajemnym biegu.

Ogołociwszy poglądy mityczne w Timeuszu z ich pierwiastka mglistego, możemy przedstawić K o s m o g o n i ę Platona w formie następującej: Wymieniona wyżej „dusza świata" zostaje — mocą bliżej niezbadanej, w niej tkwiącej siły — przedzielona na dwie części, które kształtują się w dwa koła (obręcze) i ustawiają się do siebie skośnie, tworząc niejako rusztowanie, trwałe ramy, w które wcisnąć się mają wydzielające się z „materyi" światy. Obręcz zewnętrzna jest sferą gwiazd stałych, obręcz wewnętrzna ulega dalszemu podziałowi na s i e d m kół planetarnych. Ażeby te planety jakoś ustosunkować i umieścić w oznaczonej odległości od ziemi, trzeba przeprowadzić zawiłe i pomysłowe rozważania

[1]) „Żeby zaś żadna nie czuła się pokrzywdzoną, dostanie każda ciało mężczyzny, bo doskonalsze jest od niewieściego, a jeśli przeżyje pobożnie, wedle zasad sprawiedliwości, czas sobie wyznaczony, powróci na gwiazdę swoją, aby tam po wszystkie już czasy używać szczęścia najwyższego. Ktoby zaś grzeszny prowadził żywot podczas pierwszej pielgrzymki swojej, narodzi się po raz wtóry kobietą, a gdyby kara ta nie poskutkowała, przejdzie w postać zwierzęcia, o pobobnych obyczajach, a nie doczeka się końca przemian i utrapień, dopóki nie pokona cielesnych skłonności i wzburzeń za pomocą rozsądku i nie odzyska dawnej, pierwotnej zacności". (Cyt. u ks. Dra Pawlickiego: Historya filozofii greckiej. II. 379, 380).

arytmetyczne. Obierzmy sobie — za Platonem — dla tego celu liczby: 1, 2, 3, ich k w a d r a t y oraz s z e ś c i a n y i ułóżmy tak powstałe liczby w jeden rząd:

1, 2, 3, 4, 9, 8, 27
$[2^2]$, $[3^2]$, $[2^3]$, $[3^3]$.

Będą one miały — jak zobaczymy niebawem — ogromne znaczenie dla rozmieszczenia poszczególnych planet, które „muszą" być ułożone „harmonicznie", gdyż układ świata — jako w zupełności doskonały — nie może przecież w innym pozostawać stosunku. Bardzo zawiłe rozumowania i wywody arytmetyczne wykazują w ostateczności, że owe wymienione wyżej liczby (w ilości: siedmiu) mają pośredni związek z harmonią strun napiętych, które Platon badał bardzo szczegółowo, podobnie, jak to czynił przed nim Pitagoras. A czynił to — jak już naprzód zauważyć pragnę — uzależniając wysokości tonów od d ł u g o ś c i strun, a n i e, jak my dziś czynimy, o d c z ę s t o ś c i drgania na sekundę.

Chodziło najpierw o stronę arytmetyczną, aby te wymienione liczby (1, 2, 3... i t. d.) włączyć w jakiś system liczbowy, gdzieby one mogły swobodnie „rządzić" i stwarzać pozór, iż są p r z y c z y n ą s p r a w c z ą liczb innych! Platon wynalazł przedewszystkiem liczbę, od której wyszedł (384), która miała i tę własność, że operacye na niej dokonywane, dawały zawsze wyniki c a ł k o w i t e. Ustawił teraz dwojakie tablice:

I. tzw. d i p l a z i a d i a s t e m a t a, w której liczby mają się do siebie jak 1 : 2 albo jej wielokrotne 2 : 4; 4 : 8 — więc:

1 : 2	384 ——— 768.
2 : 4	768 ——— 1536.
4 : 8	1536 ——— 3072.

i II. tzw. t r i p l a z i a d i a s t e m a t a o stosunku 1 : 3 lub ich wielokrotnych 3 : 9; 9 : 27 —— więc:

1 : 3	384 ——— 1152.
3 : 9	1152 ——— 3456.
9 : 27	3456 ——— 10368.

Między owe liczby należy wstawić po dwie dalsze liczby .) utworzoną ze średniej harmonicznej, wedle wzoru nam już znanego $s = \frac{2ab}{a+b}$ i γ.) ze średniej arytmetycznej z wzoru $s = \frac{a+b}{2}$. Otrzymamy tedy schemat:

I.

	α	β	γ	δ
1 : 2	384	512	576	768
2 : 4	768	1024*)	1152	1536
4 : 8	1536	2048	2304	3072

II.

	α	β	γ	δ
1 : 3	384	576	768	1152
3 : 9	1152	1728	2304	3456
9 : 27	3456	5184	6912	10368

W schemacie I ma się $\alpha : \beta = 3 : 4$; $\beta : \gamma = 8 : 9$; $\gamma : \delta = 3 : 4$.
W schemacie II. ma się $\alpha : \beta = 2 : 3$; $\beta : \gamma = 3 : 4$; $\gamma : \delta = 2 : 3$.

Powstają tedy do rozważania trzy stosunki liczb: 1) 2 : 3; 2) 3 : 4; 3) 8 : 9. Dwa pierwsze wypełniają kolumnę II. tzw. triplazia, dwa ostatnie kolumnę I. tzw. diplazię. Mamy bowiem:

1 : 2) 384 — 512 — 576 — 768 (liczby z diplazii)
gdzie 384 : 512 = 3 : 4
512 : 576 = 8 : 9
576 : 768 = 3 : 4 oraz

1 : 3) 384 — 576 — 768 — 1152 (liczby z triplazii)
gdzie 384 : 576 = 2 : 3
576 : 768 = 3 : 4
768 : 1152 = 2 : 3

*) Porównaj znaczenie tej gwiazdki na str. 14.

Połączywszy te dwa szeregi razem i opuściwszy liczby powtarzające się, otrzymamy kolumnę:
384 — 512 — 576 — 768 — 1152 a zaopatrzywszy ich miejsca porządkowe liczbami rzymskiemi:

I II III IV V,

możemy je przedstawić w następującej „kabalistycznej" figurze:

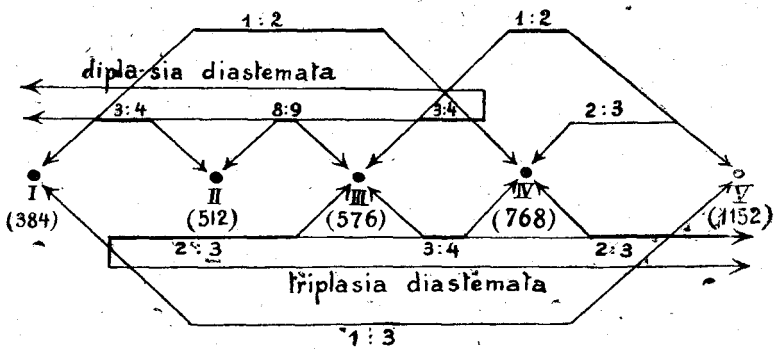


Fig. 1.

Zauważmy jednak dalej, że $^2/_3$ podzielone przez $^3/_4$ wynosi $^8/_9$ czyli, że ułamek pierwszy jest od drugiego $^8/_9$ razy większy i próbujmy, czyby nie można ułożyć takiego układu liczb, aby wymienione trzy stosunki były sprowadzone do j e d n e g o największego t. j. 8 : 9. Zacznijmy od stosunku 3 : 4, zachodzącego między 384 a 512.

384 : x = 8 : 9 daje na x = 432.
432 : x = 8 : 9 daje na x = 486.
486 : x = 8 : 9 nie da na x liczby całkowitej.

Możemy tedy, przyjmując stosunek 8 : 9, wstawić między 384 a 512 tylko d w i e liczby tzn.: 432 i 486 a na stosunek między 486 a sąsiednią 512 pozostanie stosunek i n n y niż 8 : 9, mianowicie 243 : 256. Przeprowadźmy analogiczne rozważania na temat stosunku 2 : 3, zachodzącego między liczbami 768 a 1152, o ile ten da się sprowadzić do 8 : 9. Mamy więc:

768 : x = 8 : 9 stąd x = 864.
864 : x = 8 : 9 stąd x = 972.
972 : x = 8 : 9 z tej proporcyi nie znajdziemy na x liczby całkowitej. A zatem wypadałaby na stosunek liczby 972 do sąsiedniej 1152 liczba 27 : 32. Istnieje jednak liczba jedna, mianowicie 1024 (por str. 11), która odgrywa podwójną rolę. Tworzy bowiem między sobą a 972 znany nam już stosunek 243 : 256 a między sobą ą następującą 1152 szukany stosunek 8 : 9. Umożliwia tedy sprowadzenie stosunku 2 : 3 do dwu znanych: 243 : 256 oraz 8 : 9 z tej prostej racyi, iż ich iloczyn jest równym stosunkowi 27 : 32, zachodzącemu między liczbami 972 a 1152.

Otrzymawszy tedy następujący układ liczb:[1])

A

384	
432	8 : 9
486	8 : 9
512	243 : 256
576	8 : 9
648	8 : 9
729	243 : 256
768	

B

768	
864	8 : 9
972	8 : 9
1024	243 : 256
1152	8 : 9

itd.

Ograniczam się do tych kilku liczb, których stosunki powyżej przedstawiłem, z wyraźnem nadmienieniem, że nie są to już wszystkie liczby układu platońskiego, który kończy się — jak wiemy z wywodów poprzednich — liczbą: 10368. W wielotomowej historyi filozofii greckiej, napisanej przez Dra Edwarda Zellera (Lipsk 1889) jest podane całkowite wyprowadzenie oraz układ owych liczb (tom I-szy [4] część 2. str. 778), nie zdaje mi się jednak, aby był zupełnie trafnym. Mogę go zresztą także i dlatego pominąć, że potrzebne nam będą jedynie liczby kolumny A) dla dalszych naszych wywodów.

Platon przywiązywał — jak już zresztą wiemy — do

[1]) Liczby objęte ramkami są właśnie liczbami schematu, przedstawionego na figurze 1 (str.).

tych liczb ogromne znaczenie nie tylko dla ich właściwości arytmetycznych, ale także i dlatego, że odkrył, iż wyrażają one długość strun, których tony tworzą układ „oktawy", przyczem niektóre ich połączenia są harmonijne. Wszak tylko dzięki temu może on nazwać podany powyżej szereg 1, 2, 3, 4, 9, 8, 27. — który owe wywody arytmetyczne na liczbach umożliwia, — w pewnem znaczeniu harmonijnem. Weźmy sobie bowiem strunę pewnej określonej długości, którą możemy dowolnie skracać, i wydobywajmy kolejno rozmaite tony, a spostrzeżemy, że tony „oktawy" zawisłe są od długości każdorazowo brzmiącej struny, przyczem stosunki tych długości mają się u Platona wyrażać liczbami, podanemi u nas w kolumnie A) str. 15. Dla lepszego uwydatnienia toku myśli przyjmijmy istnienie instrumentu o ośmiu strunach rozmaitych długości, których tony wiązałyby się w system oktawy, a wówczas liczby, wyrażające długości strun, mają pozostawać w stosunku liczb: 384 : 432 : itd. (kol. A).

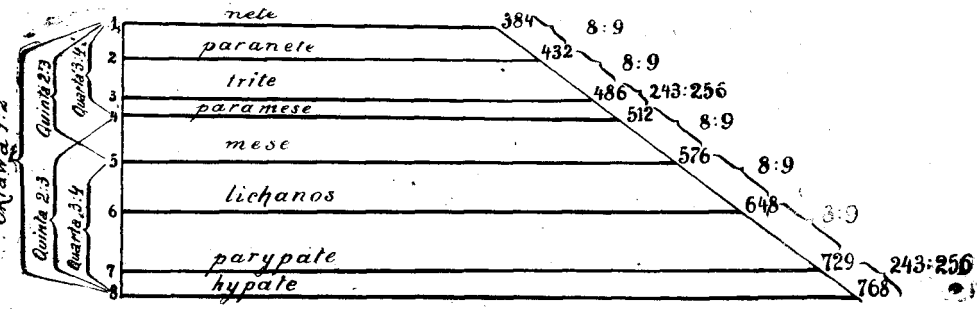


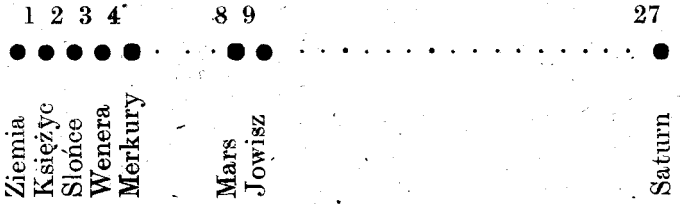
Fig. 2.

gdzie struna o długości 384 wydaje ton o oktawę wyższy, niż struna dwa razy dłuższa (768). Długość primy do oktawy ma się tak, jak 1 : 2; primy do kwinty jak 2 : 3; primy do kwarty jak 3 : 4; jeżeli stosunek długości strun wyraża się liczbami 8 : 9. wtedy dostarczają one całych tonów, jeżeli wynosi 243 : 256, dają mały półton [1]). Tak tedy mniema Platon, że liczby

[1]) Obecnie rozumowania w akustyce postępują inną zupełnie drogą. Przedewszystkiem uwzględniamy nie długości strun, tylko częstość drgania.

układu: 1, 2, 3, 4, 9, 8, 27 mają znaczenie w harmonii, (można je bowiem przez zawiłe badania w liczbach długości tych strun wyśledzić!) — są tedy harmoniczne a zatem rządzą także w obszarze układu wszechświata. I tutaj następuje niezrozumiała wprost dowolność myśli platońskiej, która rozmieszcza planety wedle następującego porządku:

Fig. 3.



Rozważywszy stosunki odległości planet od ziemi, wykryjemy owe ważne dla Platona liczby szeregu 1, 2, 3, 4, 9, 8, 27, zbudowane, jak wiemy, z liczb: 1, 2, 3. Albowiem odległość:

I. księżyca i słońca od ziemi, ma się tak, jak 1 : 2 albo 2 : 4 albo 4 : 8.

taksamo słońca i Merkurego od ziemi, ma się tak, jak 1 : 2 albo 2 : 4 albo 4 : 8.

taksamo Merkurego i Marsa od ziemi, ma się tak, jak 1 : 2 albo 2 : 4 albo 4 : 8.

II. Księżyca i Wenery od ziemi ma się tak, jak 1 : 3 albo 3 : 9 albo 9 : 27.

taksamo Wenery i Jowisza od ziemi ma się tak, jak 1 : 3 albo 3 : 9 albo 9 : 27.

taksamo Jowisza i Saturna od ziemi ma się tak, jak 1 : 3 albo 3 : 9 albo 9 : 27.

---

im częstsze drganie, tem ton wyższy. Idziemy więc odwrotnie, jak u Platona, który postępuje od tonu wyższego ku niższym. Stosunki częstości sąsiednich tonów do siebie, które nazywamy interwałem muzycznym, nie są tak proste, jak u Platona, są stosunki długości strun sąsiednich do siebie tonów, które u niego wynoszą albo 8/9, albo 243/256. U nas mogą być albo 9/8, albo 10/9. albo wreszcie 16/15; w ostatnim wypadku prawie dwa razy mniejszy interwał, niż w dwu pierwszych, przyjętych za równe. W pierwszych dwu dajemy im miano: c a ł y c h t o n ó w, w drugim miano p ó ł t o n ó w. Związki oktawy, kwarty i kwinty do primy są t e s a m e.

Nie potrzebuję przytem dodawać, że jak dowolnym jest stosunek tych odległości, tak też nieoznaczoną jest miara tych odległości.

* * *

Powiedzieliśmy już powyżej, że rusztowanie dla świata zostało utworzone — trzeba było jednak „materyału", z któregoby mógł powstać. Wiemy z historyi rozwoju myśli greckiej, że Platon zastał już gotową odpowiedź na pytanie, z czego świat powstał. „Z wody" — twierdził Tales; „z powietrza" — mówił Anaximenes; „z ognia" — wywodził go Heraklita kompromisowiec Empedokles uznał ważność wymienionych trzech zasad, dodając od siebie czwartą: „ziemię", stając się w ten sposób twórcą i ojcem czterech elementów. Nie dał tylko żadnych na to argumentów. Rozwinięcie się myśli krytycznej, którą możemy śledzić u dwu filarów filozofii greckiej: Platona i Arystotelesa, objawia się m. i. także w tej okoliczności, iż próbują oni doszukać pewnych argumentów — każdy z nich czyni to w sposób odmienny — tłumaczących owe elementa.

Arystoteles, wychodzący stale przy swych rozważaniach od słów oraz znaczeń z nimi związanych, próbuje wywieść naturę elementów od czterech przymiotników: 1) gorący 2) zimny 3) wilgotny 4) suchy, przypisywanych zazwyczaj rzeczom, o ile je rozpatrujemy w odniesieniu do naszego zmysłu dotyku. Są wprawdzie i inne przymiotniki, wzięte z tegoż samego stosunku (szorstki, gładki; twardy, miękki itd.), te zostają jednakowoż dla najrozmaitszych powodów wyłączone, podobnie jak zresztą także takie przeciwstawienia: czarny, biały; słodki, kwaśny itd. Z czterech własności można ustawić sześć grup po dwie, a ponieważ należy odrzucić dwa zestawienia (gorący—zimny i wilgotny—suchy) jako sprzeczne — przeto pozostaną cztery zestawienia, odpowiadające czterem elementom. Gorące—wilgotne tj. powietrze (para); gorące—suche tj. ogień; zimne—wilgotne tj. woda i zimne—suche tj. ziemia.

Jeżeli to rozumowanie po części tylko obejmuje sobą rozważania arytmetyczne, to u Platona będzie miała matematyka znowu

wpływ decydujący. Wyprowadza on bowiem owe cztery elementa (stoicheia) nie tylko w drodze dedukcyi arytmetycznej, ale także z zasad stereometryi.

Świat, jako ustrój cielesny, musi być widzialny i dotykalny. Do pierwszego warunku potrzeba o g n i a, do drugiego z i e m i, jako podstawy wszystkiego stałego. Aby te dwa elementa ze sobą połączyć, musi istnieć jakieś wiązadło, łączące ze sobą owe dwie sfery. Najpiękniejszych połączeń dostarcza p r o p o r c y a, dająca dla powierzchni j e d e n człon, dla brył d w a człony łączące. Pamiętajmy przytem, że iloczyn dwu równych czynników (np. 5×5) jest dla Platona liczbą kwadratową, mającą znaczenie powierzchni t. j. kwadratu; iloczyn trzech równych czynników ($3 \times 3 \times 3$) jest dla niego synonimem bryły[1]). Wiemy, że jeżeli $2 \times 2 = 4$ i $3 \times 3 = 9$, wtedy można między 4 a 9 wstawić średnią, t. j. 6, gdyż $4 : 6 = 6 : 9$. Nie wolno jednak twierdzić, jakoby t y l k o między liczbami kwadratowemi dawały się wstawiać średnie, są bowiem i inne iloczyny, gdzie takie wstawienie jest dopuszczalnem. Np. $3 \times 4 = 12$ i $6 \times 8 = 48$, wtedy średnią jest: 24, gdyż $12 : 24 = 24 : 48$. Jest to wtedy, gdy czynniki obu iloczynów są wielokrotnościami. Nie można też dalej mniemać, jakoby między kwadratami była t y l k o jedna średnia, są bowiem i takie wypadki, gdzie ich jest więcej. Np. $2 \times 2 = 4$ i $16 \times 16 = 256$. Wtedy można między 4 a 256 wstawić t r z y liczby: 16, 32, 64, bo: $4 : 16 = 16 : 64 = 64 : 256$. Zwykłe rozważanie wykaże, że czynniki w obu wypadkach muszą być wzajemnemi wielokrotnemi. Tak samo też mniemanie Platona, jakoby między kubami (liczbami sześciennemi), a co za tem idzie i między bryłami, musiały być dwie średnie tak dobrane, iż między sobą nowej średniej nie dopuszczają, nie we wszystkich wypadkach jest trafnem. Dla wypadku $2 \times 2 \times 2 = 8$ i $3 \times 3 \times 3 = 27$ możemy wyszukać dwie liczby: 12 i 18, które są dla 8 i 27 proporcyonalne: $8 : 12 = 12 : 18 = 18 : 27$ ale między sobą średniej nie dopuszczają. Ale już np. dla wypadku $2 \times 2 \times 2 = 8$ i $8 \times 8 \times 8 = 512$ są dwie średnie 32 i 128, dopuszczające

[1]) Dlatego mówi o liczbach „powierzchniowych“ i „bryłowych“.

między sobą nową średnią: 64, gdyż: 32 : 64 = 64 : 128. Jeżeli jednak przyjmiemy założenie platońskie o istnieniu d w u średnich między dwiema liczbami „bryłowatemi", prawo mające wedle niego znaczenie dla całego wogóle świata, zrozumiemy zarazem, jak sobie teraz może poradzić z elementami świata. Dwa już są: ogień i ziemia a dwa muszą je łączyć. Są nimi: powietrze i woda A zatem istniałby taki stosunek arytmetyczny: ogień : powietrza = powietrze : wody = woda : ziemi.

Podane tu wywody arytmetyczne mogą się nam wydawać sztucznymi i zgoła istnienia czterech i to tych właśnie elementów nie dowodzącymi. A jednak wywoływały one u wielu uczonych zachwyt i uznanie. Do nich należy np. filozof niemiecki H e g e l (XVIII w.), który całą arytmetyką dyalogu „Timeusz" był tak zachwyconym, że przyjął jej wywody bez zastrzeżenia a nawet habilitował się na uniwersytecie w Jenie rozprawą łacińską o obiegu płanet, w której, wychodząc z przypuszczenia, że szereg liczbowy platoński jest wyrazem porządku natury, próbował dowieść, iż między Marsem a Jowiszem n i e m o ż e być żadnej płanety, chociaż np. odkryto doświadczalnie istnienie Cerery.

Skoro już mamy ilość elementów, chodziłoby teraz o to, jaką im przypisać postać. Do tego też celu przyjdzie Platonowi geometrya z pomocą. Zastanawiając się nad „naturą" trójkątów, dochodzi Platon do wniosku, iż powstają one zawsze ze składników prostszych, mianowicie z dwu rodzaj trójkątów prostokątnych. Trójkąty te mogą mieć albo obie przyprostokątnie sobie równe (będą tedy równoramienne) albo też różne (będąc wówczas różnoramiennymi). Trójkąty typu pierwszego są wszystkie „doskonałe"; z typu drugiego tylko te, których przyprostokątnia mniejsza ma się do przeciwprostokątni jak 1 : 2. Naturalnie dopuści Platon tylko „doskonałe" składniki do współdziału w budowie owych wyznaczonych powyżej elementów świata. Jeżeli zestawimy w sposób odpowiedni cztery równoramienne, prostokątne trójkąty, powstanie kwadrat — sześć trójkątów prostokątnych o stosunku ramion 1 : 2 dostarczy trójkąta równobocznego.

Doskonałość tych trójkątów także i z innego powodu mogła zwracać na siebie uwagę Platona. Owe dwa elementarne trój-

kąty mają rzeczywiście taką własność, że można je uważać za zbudowane z jednorodnych składników. Wystarczy bowiem dzielić je liniami łamanemi w dowolnych kierunkach a otrzymamy zawsze figury mniejsze przy nienaruszonym stosunku boków pierwotnych. Jeżeli więc składniki są doskonałe, to i ich połączenia (kwadrat i trójkąt równoboczny) zostaną takiemiż. To samo dotyczy także brył, o ile one będą otoczone temi wybranemi figurami. Bryłami temi są: kostka, czworościan, ośmiościan i dwunastościan[1]), które będą odpowiadały czterem elementom, jako ich zasadnicze formy, w których muszą się zjawiać i istnieć. Są to: ziemia, ogień, powietrze i woda. Doskonałość ich manifestuje się ponadto także i tą okolicznością, że można na nich opisać kulę (a ta jest szczytem doskonałości!), że więc są poprostu bryłami regularnemi. Atomy „ziemi" mają kształt kostki; „ognia" : czworościanu; „powietrza" : ośmiościanu a „woda" składa się z dwunastościanów. Odegrała tu niewątpliwie pewną rolę także obserwacya tych elementów, więc kształt płomienia (czworościan), nieruchliwość ziemi (kostka) itd. Z wyjątkiem ziemi mogą inne elementa wzajemnie w siebie się przekształcać a dziać się to ma w ten sposób, iż składniki elementarne (t. j. trójkąty prostokątne o stosunku 1 : 2) rozpadają się i wchodzą w nowe połączenia, stwarzając w ten sposób kolejno coraz to inne elementa. Ziemia, utworzona z innego gatunku trójkątów, może dostarczać materyału jedynie do mieszaniny.

* * *

Starałem się w powyższych wywodach podkreślić pewną skłonność starzejącego się Platona do przywiązywania szczególniejszego znaczenia niektórym ciekawym z punktu widzenia matematycznego związkom arytmetycznym. Skłonność ta nie wygasła w umysłach ludzkich po dzień dzisiejszy. Mówiłem powyżej o znanej Mickiewiczowskiej liczbie 44, przyczem pospieszam dodać, że jakiś zapalony alchemista liczbowy wykombinował na ła-

[1]) Rola piątej bryły umiarowej : dwudziestościanu jest u Platona dwuznaczną. Kształt jej przypisywał albo eterowi, albo — ze względu na podobieństwo do kuli — całemu wszechświatowi.

mąch pewnego pisma codziennego za pomocą „permutacyi kabalistycznych“, iż oznacza ona nazwisko brygadyera: P i ł s u d s k i e g o. Zwolenników tego rodzaju zagadnień mogę upewnić, że już u P l a t o n a znajdujemy taką liczbę symbolistyczną, nad którą sobie długo głowę łamano, której poświęcono zresztą wielką literaturę. (Np. P. Albert: Die platonische Zahl itd. Wien. 1896). Ma ona być regulatywem przy zawieraniu małżeństwa, normującym należyty rozwój zdrowego potomstwa. Watrość tej liczby „małżeńskiej“ oznaczono ostatnimi czasy na: $3^4 \cdot 4^4 \cdot 5^4$; chodzi tylko o drobnostkę: o sprawdzenie jej doniosłości...

Dr. Leopold Wołowicz.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa polskiego.

Księga pamiątkowa ku czci Bolesława Orzechowicza. Dwa tomy. We Lwowie. Nakładem Towarzystwa dla popierania nauki polskiej. Z fundacyi Bolesława Orzechowicza. 1916. 8-ka lex, tom pierwszy: str. XXVII i 544 z 10 tablicami i 2 rycinami w tekście; tom drugi, str. 661 z tabl. i ryc. w tekście, koron 36.

Kiedy przed dwoma laty z górą otrzymało „Towarzystwo dla popierania nauki polskiej“ od p. Bol. Orzechowicza iście królewską ofiarę w postaci pół miliona koron, odczuło gorącą potrzebę ujawnienia na zewnątrz uczuć czci i hołdu, a zarazem niewygasłej wdzięczności dla osoby fundatora. Wobec tego, że uchylał on się statecznie od przyjmowania jakichkolwiek objawów wdzięczności, powstała myśl oddania wdzięczności przez zbiorowy czyn naukowy, odpowiadający treścią zakreślonym przez fundacyę Orzechowicza celom.

Tak przyszło do wydania omawianej „Księgi pamiątkowej“. Praca nad urzeczywistnieniem pomysłu rozpoczęła się tuż po dokonaniu fundacyi, w ostatnich miesiącach przed rozpętaniem się wielkiej zawieruchy światowej. Pewno — udział współpracowników w wydawnictwie tem byłby bez porównania większy, gdyby nie trudności, wywołane wojną: bo jedni, choć najchętniejsi, już się doń żadną pracą przyczynić nie zdołali, a inni dla różnych przeszkód wojennych zobowiązań spełnić nie mogli.

Ale i to, co się w tych trudnych warunkach zgromadzić dało, przedstawia plon obfity jakościowo i pokaźny ilościowo. Z górą pół sta badaczy naukowych polskich ze wszystkich dzielnic Rzeczypospolitej,

pośród nich bogaty szereg nazwisk, błyszczących najwybitniejszemi w naszej nauce zasługami, stanęło do apelu, żeby zaświadczyć cześć swoją dla dokonanego czynu. Można stwierdzić bez przesady, że przez nich cały świat naukowy polski zjednoczył się w tym hołdzie, tak żywo odczuto w całej Polsce znaczenie fundacyi i tak powszechnie odezwało się uczucie wdzięczności z powodu jej dokonania. Zdarzył przypadek, że nawet ci, którym sądzono było paść ofiarą tej wojny, złożyli tutaj owoce swej pracy, dziś szczególnie cenne przez to, że ostatnie to po nich pamiątki: tyle zasłużony Krczek i nieodżałowany prof. Hadaczek.

Na bliższą uwagę zasługuje zawartość omawianego wydawnictwa. Ogłoszone w niem prace sięgają w dziedzinę: filozofii, matematyki i nauk technicznych, fizyki, chemii, biologii, nauk lekarskich, geologii, paleontologii, antropologii, etnologii, folkloru, archeologii, historyi politycznej, historyi kościoła, historyi prawa, numizmatyki, filologii, historyi literatury, historyi i teoryi sztuki, estetyki, nauki gospodarstwa społecznego i różnych działów nauk prawniczych, więc: prawa cywilnego, karnego, procesowego i międzynarodowego. W szeregu prac działu humanistycznego lwia część tyczy się oczywiście rzeczy polskich, w tym jednak sposobie, że rozpatrywane są także zagadnienia dotyczące Polski do krajów, w politycznym lub kulturalnym związku z nią zostających, więc: urządzenia ustrojowe i zabytki literackie na Rusi, stosunek prawny do Litwy, związki kulturalne między Polską a krajami pruskiemi; niepominięte także ogólno-słowiańskie podstawy niektórych urządzeń prawnych. W dziedzinie historyi politycznej wyświetlono pewne szczegóły stosunku do Czech czy Brandenburgii i Szwecyi, a pozatem rozpatrzono niektóre ważne zagadnienia z dziejów literatury zachodniej, przedewszystkiem romańskiej, tudzież teoryi sztuki w Niemczech; także niektóre pytania z dziedziny archeologii i sztuki greckiej znalazły tu naukowe objaśnienie, podobnie, jak wreszcie także wierzenia i urządzenia prawne ludów aryjskich, semickich i turańskich.

Ten pogląd treści przygodnie złożonego wydawnictwa daje podstawę do pocieszających wniosków: bo świadczy, że nauka nasza nie zasklepia się w jakichś tylko specyalnościach, że obejmuje śmiało wszelkie dziedziny wiedzy, że zajmuje się zagadnieniami nie tylko narodowego bytu i przeszłości narodowej, ale wogóle ludzkości całej; że ma otwarte przed sobą szerokie i dalekie widnokręgi, że, jednem słowem, — jest wszechstronna. A przez to usprawiedliwia pośrednio użyteczność i celowość ofiar na jej ołtarzu składanych.

Wobec tego, że w wydawnictwie omawianem uszeregowano,

zresztą zupełnie słusznie, prace po sobie, nie wedle ich materyi, lecz wedle alfabetycznego porządku nazwisk autorów, przeto w tym pobieżnym przeglądzie będziemy trzymać się przyjętej w dziele kolei.

Rozpoczyna „Księgę pamiątkową“ na nadzwyczaj obfitych źródłach oparta rozprawa prof. dra Władysława Abrahama p. n. „Z dziejów prawa małżeńskiego w Polsce“ (str. 1—70). Swoboda zawierania małżeństw w wiekach średnich, ścieśniona i tak już znacznie potrzebą zgody władzy rodzicielskiej względnie opiekuńczej, ograniczona była nadto często jeszcze więcej wymaganiem zezwolenia czy to panującego, czy lennodawcy lub właściciela gruntowego na małżeństwa osób, ich władztwu poddanych albo też koniecznością uiszczania pewnych opłat ze strony oblubieńców na rzecz swych panów. Władztwo to uwydatniało się, najjaskrawiej w instytucyi niewoli, gdzie pan mógł z niewolnikiem, jak z rzeczą swą, zrobić co mu się podobało. Z czasem jednak, pod wpływem postępu kultury, przedewszystkiem zaś skutkiem oddziaływania Kościoła, który szerząc zasady moralności chrześcijańskiej, sam także, jako właściciel licznej rzeszy poddanych winien był dawać przykład innego z nimi postępowania, owa dawna dowolność stosunku panów do poddanek musiała doznać pewnej zmiany, a w jej miejsce mogło powstać właśnie prawo zezwalania panów na małżeństwo poddanych kobiet. Na ukształtowanie się jednak tego prawa oddziaływały w znaczniejszej jeszcze mierze nadto względy natury politycznej oraz ekonomicznej. Polityka państwowa wymagała bowiem wówczas nieraz, aby panujący wywierał wpływ swój na zawieranie związków małżeńskich wśród tych warstw, na których głównie opierało się jego panowanie. Co się tyczy opłat małżeńskich, to natura ich nie wydaje się być jednolita. Najczęściej weszły one w miejsce dawnego prawa zezwolenia panów na małżeństwo jako opłata za zezwolenie. Nie jest jednak wykluczone tu i ówdzie uzasadnianie ich także prawem udziału pana w cenie kupna żony, względnie w zapłacie czy podarku, składanym przez oblubieńca tym, pod których władzą kobieta pozostawała, a często, zwłaszcza w czasach późniejszych, posiadają one charakter wykupu kobiety od dawnego pana, gdy wychodziła za poddanego kogoś innego. Wszystkie wywody autora zostały oparte na niezwykle bogatym materyale, jakiego dostarczyły źródła dziejowe.

Prof. dr. Oswald Balzer daje ustęp z większej całości p. n. „Polonia, Poloni, gens Polonica w świetle źródeł drugiej połowy wieku XIII“ [1]) (str. 71—93). Wynika stąd, że w drugiej połowie XIII i po-

czątkach XIV wieku były w najpowszechniejszem użyciu wspólne określenia całego terytoryum Polski i całego narodu polskiego, że idea jedności narodowej i terytoryalnej przejawiała się na zewnątrz bardzo dobitnie w samem już wyrazownictwie owych czasów.

W rozprawie p. n. „Bartłomiej Strobel, malarz śląski XVII wieku“ (str. 94—119) odtworzył dr. Zygmunt Batowski sylwetę artysty, którego spuścizna jest stosunkowo pokaźna, a nawet wyjątkowo bogata. Z malarzy pierwszej połowy XVII wieku, pracujących w Polsce, stają w parze tylko Tomasz Dolabella i Strobel jako dwaj tacy, którzy najwięcej mają za sobą dochowanych dzieł malarskich i są zarazem przedstawicielami najwybitniejszymi dwu różnych kierunków: jeden weneckiego, drugi eklektycznego niemieckiego malarstwa. O reszcie bowiem malarzy tego okresu pozostało nieporównanie więcej wiadomości archiwalnych, niż się dochowało po nich samych dzieł autentycznych.

„Boreasz i Oreitya na wazach greckich w Krakowie i Oksfordzie“ (str. 120—129) są przedmiotem krótkiego szkicu prof. dra Piotra Bieńkowskiego. Został w nim zmodyfikowany pogląd dotychczasowy, jakoby najcenniejszą właściwością greckiej sztuki stosowanej był jej wstręt do wytwórczości masowej, tak znamienny dla dzisiejszego przemysłu artystycznego, jej upodobanie w indywidualnem dziele sztuki. Tymczasem zapatrywanie to należy przyjmować z wielkiemi zastrzeżeniami.

Z kolei następuje wycinek z większej całości prof. dra Wilhelma Bruchnalskiego p. t. „Libri de educatione principum“ XII wieku, jako źródło poetyki średniowiecznej“ (str. 130—156). Rzecz ta o niebywale głębokiem ujęciu przedmiotu traktuje o św. Tomaszu z Akwinu, Egidiusie Kolumnusie i Wincentym z Beauvais. Na wymienionych trzech autorów położył szan. profesor nacisk już to dlatego, że ogólna ich działalność przypada na czas rozwoju szczytowego literatury średniowiecznej, już też, że traktaty ich obszernością i interesem materyału przenoszą inne tegoż rodzaju większe i mniejsze traktaty, poświęcone wychowaniu księcia, a wcielone w różne „libri de educandis filiis regum“.

„Cechy literatury szlacheckiej i miejskiej wieku XVII“ zostały nadzwyczaj trafnie ujęte przez znakomitego znawcę tej właśnie epoki, prof. dra Aleksandra Brücknera (str. 157—187). Wyodrębniwszy wiek XVII, wykazał szan. autor cechy, właściwe temu wiekowi, które go wyróżniają od literatury XVI wieku i od epoki saskiej. Okazuje się

stąd, że reakcya katolicka nie doznała wprawdzie w Polsce przewrotu umysłowego, lecz żyła dorobkiem dawniejszym, humanistycznym. Ale unarodowiła literaturę jak najzupełniej, wlała w formy stare i mysli ducha nowego, polskiego i szlacheckiego, katolickiego i kastowego, tradycyjnego i patryarchalnego. Obniżyła się artystycznie ta literatura, ale zyskała na rodzimości, odtworzyła najwierniej i tryb życia i tok myśli staropolskiej. Wobec jej wszechwładztwa zamilkły inne głosy.

Następna praca prof. dra Zygmunta Cybichowskiego „O pojęciu i źródłach prawa narodów“ (str. 188—221) przychodzi do wniosku, że sądownictwo polubowne powinno być obowiązkowe, a nadto że obok sądów polubownych potrzebne są dla pewnych sporów trybunały stałe, jak to uznały państwa w Hadze 1907 roku, podpisując umowę o utworzenie trybunału międzynarodowego, któryby był instancyą wyższą wobec krajowych sądów morskich. Lecz nie tylko dla tych sporów potrzebny jest trybunał stały. Przedewszystkiem należałoby go utworzyć dla prywatnych skarg jednostek przeciw obcym państwom, gdyż sądownictwo państwa pozwanego, z reguły właściwie, narusza zasadę, że nikt w własnej sprawie sędzią być nie może. Gdy trybunały stałe zdobędą zaufanie państw, będzie można pomyśleć o rozszerzeniu ich właściwości na spory, podległe sądom polubownym. Jest rzeczą wątpliwą, czy obecnie nadszedł już czas do reformy? Reformy pożądane powinna przygotować nauka, ogłaszając obok dzieł ściśle zawodowych rozprawy popularne dla szerokich kół publiczności, ażeby zyskać poparcie ogółu w prawie międzynarodowem.

„Przyczynki do bilansu społeczno-antropologicznego Królestwa Polskiego“ (str. 222—233) podał prof. Jan Czerkawski. Okazuje się z nich rzecz niezmiernej wagi, że rozwój ekonomiczno-społeczny Królestwa Polskiego nie obejmuje całego kraju równomiernie. Stwierdzając w całym kraju poprawę warunków bytu ludności, nie należy zamykać oczu na możliwość pewną względnego, jakkolwiek nieznacznego pogorszenia w stosunku do elementów napływowych. Na ogół dla ludności naszej bilans jest dodatni.

Prof. dr. Przemysław Dąbkowski podał szereg nader interesujących szczegółów obyczajowych w rozprawce p. n. „Z przeszłości ksiąg grodzkich i ziemskich żydaczowskich“ (str. 234—256), opatrując ją przedrukiem 14 z nich wyjętych aktów.

„Przeszłość Nankera, biskupa krakowskiego, następnie wrocławskiego“ została odtworzona w iście benedyktyńskiej pracowitości studyum ks. prof. dra Jana Fijałka (str. 257—282). Po Muskacie —

Nanker. Rozumiało się samo przez się — pisze autor — iż następcą Muskaty mógł zostać tylko Polak, cieszący się szczególniejszą łaską lub przynajmniej pełnem zaufaniem nowego króla polskiego, duchowny nie tylko z nauką i wiedzą kościelną, ale i z charakterem, mąż godny zaszczytu i ciężaru urzędu biskupiego, zarówno przez wybitne kwalifikacye umysłowe jak i przymioty moralne. Takiego i sam Łokietek pragnął, gdyż dbał zawsze o dobór biskupów w swem państwie światłych, sprawie ojczystej zasłużonych i pełnych ducha bożego. W całej pełni posiadał je Nanker. Duchowny ze szczerego powołania, by się poświęcić wyłącznie służbie Kościoła, umiłował zarazem naukę, bez której sama pobożność jest jałowa i drugim nieużyteczna. Wykształcenie w sztukach wyzwolonych i teologii, jakie nabył w szkole katedralnej macierzystego swego Kościoła, pogłębił nauką prawa kanonicznego, teoretycznie przez studyum jego za granicą, w uniwersytetach włoskich, praktycznie na urzędach kościelnych swojej dyecezyi. Kapłan żarliwy a światły, pozostając na stanowisku przełożonego różnych kościołów, miał aż nadto sposobności przez lat wiele poznać dokładnie niedomagania i potrzeby dyecezyi i kleru. Rozprzężone stosunki religijno-kościelne w dyecezyi krakowskiej przez biskupa-germanizatora Jana Muskatę, wymagały pasterza, któryby program ich naprawy umiał mądrze postawić i zdołał go przeprowadzić skutecznie. Spełniają to zadanie statuty synodalne biskupa Nankera.

Z pracy prof. dra Stanisława Głąbińskiego p. n. „Nauka a dobrobyt“ (str. 283—296) godzi się przytoczyć na tem miejscu następujący ustęp: „Wogóle kultura ludzka i postęp gospodarczy polegają nie tylko na opanowywaniu zewnętrznych darów i sił przyrody, jak mniemało i mniema wielu socyologów, ale także na poskramianiu i opanowywaniu własnej natury ludzkiej, własnych popędów, żądz i sobkostwa, na wyrabianiu charakterów ludzkich. Dopiero człowiek, który poznał siebie obok przyrody zewnętrznej, tudzież potrafił zapanować nad przyrodą, jest owym panem świata, który rozstrzygać może o losach własnych i nadawać nowe kierunki cywilizacyi ludzkiej. Bogactwo i dobrobyt narodu są także ściśle skojarzone z kulturą w takiem znaczeniu. Wszystkie czynniki, które kulturę zapładniają i rozszerzają, są zarazem czynnikami dobrobytu narodowego, nieraz niewidzialnymi, a jednak często potężniejszymi od widzialnych materyalnych warunków wytwarzania. Pierwszorzędnym czynnikiem tego rodzaju jest nauka i jej emanacya w zasadach obyczajowych, przyjętych w narodzie jako niewzruszone prawdy i wskazówki dla życia praktycznego; nauka, któ-

ra wnika żywiołowo w psychologię społeczną i dźwiga wychowanie narodowe na wyżyny prawdziwej kultury".

Prof. dr Tadeusz Grabowski daje szkic z dziejów literatury unicko-prawosławnej wieku XVII p. n. „Ostatnie lata Melecyusza Smotryckiego ((str. 297—327), z którego okazuje się, iż odstęptwo Smotryckiego od prawosławia sprawy nie naprawiło. Podyktowały je znakomitemu polemiście różne pobudki. Najważniejszą z nich była jednak niezawodnie wysoka kultura umysłowa, która uległa wpływom niezrównanej wiedzy i dyalektyki Bellarmina i jego naśladowców w Polsce. W ten sposób zapewne dokonało się nawrócenie człowieka, który, obok Wiszeńskiego stanowił najświetniejszy wyraz literacki czasu swojego. Jeśli nie był szlachcicem, to w każdym razie miał szlachecką fantazyę, z którą szła miłość dla narodu ruskiego szczera i niekłamana. Był to człowiek szerokiego horyzontu umysłowego, bujnej uczuciowości. Dwie kultury wybiły na nim piętno wydatne. Niezaprzeczenie przypomina on Orzechowskiego, którego przewyższa przecież teologicznie wiedzą i charakterem. Prywaty niema w nim niewątpliwie, jest zaś miłość dla narodu, która nie zrywała jednak z ideą jedności państwa. Orzechowski i Smotrycki wyobrażają typ wiernego Rzeczypospolitej Rusina. Dzięki Smotryckiemu nadto teologia zachodnia wkroczyła do Kijowa. Niestety! politykę Smotryckiego zwyciężyła polityka popów, bractw, czerni i kozactwa, poduszczanych przez Moskwę. Ta polityka zniszczyła skuteczniej naród małoruski, niż mogła to uczynić tolerancyjna, niezdecydowana, chwiejna polityka polska. W dziele Smotryckiego uwydatniła się ewolucya literatury polemicznej ruskiej od bizantynizmu do latynizmu, od zacofania do postępu, od zastoju do kultury.

Z kolei prof. dr. Bronisław Gubrynowicz podaje garść szczegółów do biografii i charakterystyki Andrzeja Brodzińskiego (str. 328—342), dr Maryan Gumowski omawia „Wpływy polskie na pieniężne stosunki Śląska w pierwszej połowie XVI wieku" (str. 343—367), prof. Hadaczek figuruje tu z pracą pośmiertną p. t. „Uczniowie Fidiasa" (str. 383—392), prof. dr Wiktor Hahn mówi „O komedyi przypisywanej Józefowi Wybickiemu p. t. „Mędrzec" (str. 398—404). Każdy z tych drobnych przyczynków stanowi trwały dobytek w naszej literaturze naukowej.

Tylekroć zasłużony prof. dr. Julian Talko-Hryncewicz przynosi pyszne studyum p. t. „Górale polscy jako grupa antropologiczna" (str. 405—427), które jest jakby cząstką całości, zakrojonej na szersze rozmiary. Okazuje się z niego, że Górale stanowią typ prawie

jednolity, jakiego nie można spotkać u innych plemion polskich. Typ ten z pewnemi odmianami idzie z zachodu od źródeł Wisły na wschód do Szczawnicy, zaludniając wysokości i pochyłości Karpat. Prototypem górala jest wzrost mierny, wiotki, wysmukła postawa, o zręcznych ruchach, nie skłonna do otyłości, o rozrośniętym mocnym układzie kostnym i mięśniowym i nieco jest częstszy typ ciemny. Czaszką o znaczniejszych rozmiarach wyróżnia się Góral od innych ludów naszych, miernie wydłużona i silnie rozwinięta w szerokość jest najbardziej charakterystyczną cechą góralską, podobnie jak u mongoła, tylko kiedy u pierwszego szerokość największa czaszki najczęściej występuje ponad uszami, u ostatniego bliżej ku potylicy i guzów ciemieniowych, jest więc wybitnym krótkogłowcem, przewyższającym wszystkie ludy nasze. Czoło nie szerokie, wyniosłe, w tył odchylone, ciemię nie długie, sklepione, potylica zaokrąglona, mało wydatna, skronie płaskie, twarz długa, miernie szeroka, w profilu wydatne nadnosie i pięknie a silnie zarysowujące się łuki nadczołowe na wyniosłem czole są główną ozdobą twarzy i stanowią charakterystyczne cechy górala. Z boku występuje prognatyzm nosowy, przy dużym wąskim nosie o ostrych konturach, prostym, a nieraz jastrzębim, oczy poziomo stojące, głęboko osadzone, usta wąskie, ostro ścięte, mocna budowa żuchwy ze znacznie wydatną naprzód bródką, nadają twarzy wyraz pewnej energii i siły, twarz pokryta miernym zarostem.

Kobiety Góralki są przy mężczyznach swych niższego znacznie wzrostu i drobnej budowy, typu nieco ciemniejszego, czaszka mniejszych rozmiarów, lecz z zachowaniem tych samych stosunków, co u mężczyzn, wyraźnie krótkogłowa, twarz też mniejsza, szeroka i długa, nos krótszy, lecz szerszy, niema ostrych konturów, właściwych mężczyznom.

Jeżeli budowa fizyczna obok temperamentu wesołego i pewnej rycerskości pozwalają nazwać Polaków szlachtą pośród ludów słowiańskich, to takież miejsce pośród Polaków mogą zająć górale. Przy typie cechującym Górali, w przymieszce występują i inne, n. p. ten, który Maier i Kopernicki przezwali równiakami, niższego wzrostu, jaśniejszy, krępszej budowy, o czaszce mniej krótkogłowej, o twarzy krótszej i szerszej, który da się odszukać w korelacyach lub ciemniejszy typ Wałachów na wyniosłościach bliżej ku wschodnim Karpatom. Na Podhalu, w okolicach Poronina, da się niezawodnie stwierdzić u ludności pewien wpływ dawnych osad muślimów, t. z. tatarskich, występujących w nazwach niektórych miejscowości, wreszcie w cechach antropo-

logicznych. W grupach oddzielnych nie można nie dostrzedz pewnych cech wspólnych. W zachodnich Beskidach powiat cieszyński jest jakby ośrodkiem etnograficznym, w którym skupiają się różne grupy ludności. Na zachód od Cieszyna wciska się ludność lacka, mieszając się z góralską i wałaską, to znowu z ludnością czeską Morawy lub przybywającą z Galicyi. Ludność lacka ma wygląd słabszy w porównaniu z Wiślanami i Wałachami o budowie silniejszej.

Wobec wielu cech podobieństwa, łączących mieszkańców podgórza z góralszczyzą, można przyjąć, że jeszcze w dobie przeddziejowej ludność polska początkowo osiadła na pochyłości podkarpackiej, gdzie znalazła lepsze warunki istnienia, i stąd dość późno, bo w XV i XVI w. zasiedliła wysokości. Od tego czasu ludność Podhala podlegała rozmaitym wpływom mieszania się z mieszkańcami równin. W ostatniej ćwierci wieku silnie rozradzająca się ludność góralska musiała szukać nowych miejsc dla zasiedlenia, emigrując to do Ameryki, to schodząc z gór na pochyłości. Dlatego to czysty typ góralski z lepiej zachowanemi cechami coraz częściej spotyka się pośród ludności wałaskiej i lackiej na Śląsku. Taka imigracya z gór odbywa się i w Sądeczyźnie, do której nadciągają górale, parcelując folwarczki szlacheckie. W przyszłości, być może, że napływ ten na Podgórze jeszcze zwiększy się i typ górski stanie się dominujący nietylko tam, ale przenikać będzie dalej na równiny.

Po zbyt specyalnej pracy prof. dra Maksymiliana H u b e r a „O pewnym przypadku równowagi sprężystej płyty prostokątnej z materyału nierówno kierunkowego“ (str. 428—438) następują dwie prace o Słowackim, obie wyszłe z pod piór najznakomitszych współczesnych badaczy literackich. Prof. dr. J. K a l l e n b a c h w studyum „Anhelli i Ostatni“ (str. 437—448) wykazał, co obu poetów łączyło, co ich spajało, co było im siłą, a z nich na nas siłą spływało i spływa. Dr Juliusz K l e i n e r znowu dał ustęp „Z badań nad źródłami filozofii Słowackiego“ (str. 449—465), w którym wykazał, iż system Bouchera de Perthes odegrał bardzo ważną rolę w powstawaniu ideowego zespołu u Słowackiego, oraz to, że jakkolwiek w pojmowaniu ewolucyi był Słowacki bardzo bliski pisarzowi francuskiemu, nie wszystkie przecież pomysły, wspólne myślicielowi francuskiemu i polskiemu poecie, źródło właściwe miały u Bouchera. Zresztą nie we wszystkiem zgadza się autor „Genezis z Ducha“ z uczonym francuskim. Duch chrześcijański, przenikający naukę Słowackiego, biorący Chrystusa na kierownika w pochodzie metampsychicznym, obcy był Boucherowi. Religijność pisarza francuskiego podporządkowała się tendencyom przyrodniczo-ewolucyonistycznym.

Bóg u Bouchera de Porthes jest istotą najwyższą, ale nie wszechmocną i nie doskonałą; Bóg również podlega ewolucyi, doskonali się i wyrasta w potęgę. I Boga i duszę uznaje Boucher za substancyę materyalną, zarazem zaś przypisuje materyi byt niezależny od duszy. Słowacki Boga stawia poza obrębem ewolucyi, a samoistność materyi odrzuca, widząc w niej tylko wytwór ducha. U Słowackiego linia ewolucyi, obejmując solidarną republikę duchów, przechodzi na teren historyi, na teren kształtowania form społecznych. Szczytem sięgając śmiało ku rozsłonecznionej Jerozolimie przyszłego anielstwa, genezyjską naukę wiąże świat organiczny nietylko ze światem form nieorganicznych, ale z powstawaniem stopniowem sił przyrody. Sięgając lotem myśli i fantazyi poza granice systemu Bouchera de Perthes, szedł Słowacki po tych szlakach ideowych za innymi przewodnikami, które to kwestye zamierza autor omówić w obszerniejszej pracy.

Z kolei dr. Ludwik K o l à n k o w s k i w studyum p. n. „Obrona Rusi za Jagiellonów na przełomie XV i XVI wieku“ (str. 466—480) przedstawia na podstawie źródeł i cyfr pracę i wysiłki Korony, nieuznawane przez niektórych synów Rusi dzisiejszej, które znała i uznawała Ruś Jagiellońska. Tym to praesidiom koronnym na Rusi, tej zdolności Korony zrobienia wysiłków na rzecz Ukrain, a nie czemu innemu, należy przypisać dążenie Rusi litewskiej i petycye ziemian z nieobronionych tak wydatnie przez Litwę ziemic Podola, Bracławszczyzny i Kijowszczyzny o przyłączenie ich do Korony. A gdy żądanie to wypełniono, gdy stannice żołnierza koronnego stanęły nad Dnieprem, zawrzało pod ich osłoną w drugiej połowie XVI wieku na Ukrainie, Podolu, Wołyniu, na całej wogóle Rusi bujne życie, które dopiero w połowie wieku następnego, za nowej edycyi tatarskich na Ruś pochodów, tym razem prowadzonych przez Kozaków, pogrążyć się miało w nowej ruinie.

W notatce p. n. „John Browning, poeta angielski i Kazimierz Brodziński“ wydrukował p. Aleksander K r a u s h a r (str. 481—488) parę listów poety angielskiego do Brodzińskiego, a ś. p. dr. Franciszek K r c z e k dał w szeregu dokumentów „Nowe szczegóły o rodzinie Mickiewiczów“, będące zarazem przyczynkiem do zrozumienia języka Adama Mickiewicza (str. 489—509).

Tom pierwszy wydawnictwa kończy dra Ludwika K u b a l i „Trzydniowa bitwa pod Warszawą“ (str. 510—544), wspaniałe wprost stanowiąca p e n d e n t do Sienkiewiczowskiego „Potopu“.

Na czele tomu drugiego spotykamy krótką rozprawkę p. Romana L o n g c h a m p s a d e B e r i e r „Z dziedziny prawa cywilnego“

(str. 1—9), w której została rozpatrzona kwestya, czy nabywca rzeczy wadliwej w rozumieniu §. 922 nast. u. c. może domagać się jej naprawy z tytułu rękojmi?

Z kolei następuje „Zarys rozwoju wersyfikacyi polskiej“ prof. Jana Łosia (str. 10—40). Nadzwyczaj trafne spostrzeżenia swoje, będące syntezą i streszczeniem kilkoletnich poszukiwań analitycznych, ograniczył autor tylko głównymi prądami rozwoju rytmiki polskiej. Można stąd przekonać się, że technika rytmiki wiersza polskiego kształciła się i kształci ciągle, że wyszedłszy z zasad średniowiecznej wersyfikacyi zachodnio-europejskiej i prawdopodobnie wchłonąwszy w siebie niektóre pierwiastki poezyi ludowej, przez długie wieki wzbogacała się i że każdy z poetów aż do ostatnich czasów w języku znalazł zawsze te środki techniczne, których potrzebował, aby wyrazić w formie artystycznej „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“.

Prof. dr. Juliusz Makarewicz znowu rozpatruje „Nowe zjawiska w karnem ustawodawstwie“ (str. 41—63), dr. Jan Nowak bada „Znamiona ogólne przemian u ostatnich amonitów“ (str. 64—71(, prof. dr. Józef Nusbaum-Hilarowicz podaje „Badania nad restytucyą u rozgwiazd morskich“ (str. 72—86), dr. Stanisław Opolski wspólnie z T. Zwisłockim pisze „O nitrofenyloоctanach“ (str. 87—90), wreszcie prof. dr. Kazimierz Orzechowski przynosi „Badania nad patogenezą chorób myotonicznych“ (str. 91—147) z oddziału chorób nerwowych szpitala powszechnego we Lwowie. O wszystkich tych pracach, jako zbyt specyalnych, musimy ograniczyć się tylko tą wzmianką ze względu na rozmiary niniejszego sprawozdania.

W nadzwyczaj wykwintną formę ujął hr. Leon Piniński obszerne swoje studyum p. n. „Sądy Goethego o sztuce włoskiej“ (str. 148—194). Okazuje się stąd, że ów wielki Goethe był w swoich opiniach w najwyższym stopniu dziecięciem wieku, niewolnikiem jednostronnych teoryi, posłusznym sługą panujących haseł. Ponadto — kształcony w epoce wysokiej wprawdzie, lecz jednostronnie ciasnej kultury artystycznej wieków średnich przed rozkwitem renesansu, co u umysłu tak wszechstronnego zadziwieniem przejmuje, nie zdradza wcale zmysłu dla historycznego rozwoju sztuki. Wykształcenie jego w tym względzie, i to nawet po odbytej podróży, wykazuje, w porównaniu z wiadomościami, które dziś spotykamy u znawców sztuki włoskiej, tak wielkie braki i luki, iż możnaby Goethemu w niejednym kierunku wprost ignorancyę zarzucić. A jednak pomimo tak wielkich wad w artystycznych zapatrywaniach Goethego, podróż jego do Włoch i wyraz uczuć

i opinii, które ta podróż spowodowała, są wypadkiem dziejowym w rozwoju kultury europejskiej. Sądy jego mogą być mylne, pełne braków, luk i uprzedzeń, lecz entuzyazm był wielki i szczery tak, że udzielił się innym mieszkańcom północy i zachęcił do pielgrzymek do Włoch, które są kolebką naszej kultury. Zapewne Goethe pod względem artystycznym i dziejowym nie „odkrył" we Włoszech niczego zgoła, a mnóstwo cennych rzeczy „prześlepił", ale za to on głównie przyczynił się do odkrycia ludom północy tej prawdy, że bez zetknięcia się bliższego z ziemią i sztuką włoską nie masz wyższej kultury, nie masz szerszego poglądu na dzieje świata.

Z zakresu historyi sztuki jest również następna praca „Miniatury tynieckich ksiąg liturgiczych w Bibliotece uniwersyteckiej we Lwowie" (str. 195—210) dra Władysława P o d l a c h y, na której samem zanotowaniu, jako rzeczy zbyt specyalnej, musimy poprzestać.

Niezmiernie rzadko można spotkać w współczesnej nowej literaturze naukowej prace o tak rozległych horyzontach i głębokości myśli, jaką jest świetna w każdym wierszu rozprawa prof. dra Edwarda P o r ę b o w i c z a p. n. „Nowe piękno wieków średnich" (str. 211—240). „Osławiona nieproduktywność wieków średnich! — woła autor. Ślęczą mnisi nad pulpitami, murem odgrodzeni od gwaru życia; przepisują z księgi w księgę. Tysiące istot ludzkich, wyczerpujących się w trudzie bezcelowym, miliony godzin straconej energii w dociekaniu zagadnień z gruntu nierozwiązalnych, w komentowaniu prawd niedowiedzionych i chimerycznych. A jednak w tej mrówczej pracy, budującej kopce, co je rozburzy jeden cios krytyki„ jest jakiś rozmach olbrzymi: chęć opanowania wszech zjawisk, budowanie systemów, sięgających po horyzonty bytu, szukanie syntezy i absolutu. Na zatopie dawnego świata, wyłaniają się nowe kontynenty, przeniknięte owymi prądy aż do najdrobniejszych żyłek, aż do najgłębszych pokładów; przerabia się miąsz intelektualny ludzkości aż do najtajniejszego tętna. Co za trud olbrzymi przetworzyć cały świat fizyczny i moralny, tym razem z ducha chrześcijańskiego. I któż powie, że wieki średnie nie są twórcze? Nowe systemy państwowe, nowa socyologia i morał, nowe prawodawstwo, nowy Kościół, nowa literatura, sztuka, umiejętność. Choćby ten ogrom produkcyi klerycкiej przestał być zgoła użyteczny, to ma wartość przez swój gest potężny, przez swoją dziwność niewidzianą, przez masę nowych pomysłów pseudo-przyrodniczych, tak śmiesznych jako wiedza, ale często tak pięknych jako fikcya!" W pracy wymienionej zajął się szan. autor poważnie utworami na tle mitologicznem, które uderzają

bądź wdziękiem poetyckim, bądź potwornością, bądź majestatem, bądź wagą moralną. Za rozkosz estetyczną, jaką sprawia ta praca, należy się autorowi osobna podzięka.

W monografii p. n. „Książę Husyta“ (str. 241—279) nakreślił dr. Antoni Prochaska sylwetę księcia Korybuta, którego działalność ze względu na historyę czeską i rewolucyę nie jest bez znaczenia. W rezultacie bowiem działalnością swoją podsycił on pożar rewolucyi. Wskutek wysłania go do Czech Husytyzm spotężniał. Poczęły się rozlewać nowiny „prawdy“ na Śląsk, Morawę, na Słowaczyznę węgierską, na Miśnię, Łużyce, a nawet na Polskę. Raz po razu ponosili Niemcy straszne klęski, krucyaty jedna za drugą spełzają — wielka Rzesza niemiecka okazuje bezsilność w stłumieniu husytyzmu. Wprawdzie świadectwa króla Zygmunta, elektorów Rzeszy, legatów podnoszą, że obecność księcia Korybuta w Czechach przyczyniła się do tych klęsk, a same fakty, jak zasilanie rewolucyonistami polskiemi, bronią, amunicyą, dzielnymi partyzantami i sprowadzanie coraz nowych drużyn z Polski, dodawały sił husytyzmowi. Z drugiej strony cechowała działalność Korybuta dążność do zgody z Rzymem tak, że za każdym swoim pobytem otwarcie lub skrycie, wedle okoliczności dąży do porozumienia z Kuryą, wzywa do pomocy dla sprowadzenia zgody z Kościołem króla Polski, nawet wroga Czech, króla Zygmunta, nie waha się prosić. Tym sposobem Korybut, podejmując myśl w Polsce mu poddaną toruje drogę kompaktatom bazylejskim. Całkiem odwrotnie ma się rzecz ze znaczeniem Korybuta w dziejach polskich. Już przez to samo, że złamał wolę mocodawcy swgo, że stał się następnie zdrajcą i wywołańcem z Korony, że zaciągał do swych wypraw, wbrew woli i polityce króla, polskich do Czech wojowników, zgubne tem samem dla swej ojczyzny spowodował skutki. Wychował bowiem dla Polski elementy, przesiąkłe ideami przewrotu.

W rozprawie, p. t. „Księżna wojewodzina bracławska jako przyrodniczka“ (str. 280—303) mówi dr Józef Rostafiński o Annie z książąt Sapiehów księżnie Jabłonowskiej.

Wprost wyjątkowe jest studyum porównawcze prawno-etnologiczne prof. dra Władysława Semkowicza p. n. „Przysięga na słońce“ (str. 304—377). Na podstawie nadzwyczaj bogatego materyału porównawczego poddano w tej pracy zbadaniu szczególny rodzaj dawnej przysięgi, polegający na tem, że przysięgający wzywa interwencyi słońca, względnie bóstwa słonecznego, a składa ją najczęściej z twarzą, zwróconą i z palcami, wytkniętemi ku słońcu lub ku wschodowi. Pracę

podzielił autor na dwie części. W pierwszej podał przegląd materyału do przysięgi na słońce. Obrawszy za punkt wyjścia Polskę postępuje kolejno od ludu do ludu i to od bliższego nam pochodzeniem do coraz dalszych, szukając wszędzie śladów przysięgi na słońce, badając jej formy i znaczenie w stosunku do innych rodzajów przysiąg. Naprzód tedy poddano zbadaniu materyał słowiański, poczem przeszedł autor do innych szczepów aryjskich: Germanów, Greko-Italów i Indo-Irańczyków, aby następnie rozpatrzyć zwykły materyał, dotyczący przynajmniej niearyjskich ludów rasy śródziemnomorskiej, zwłaszcza zaś starego pnia semickiego, a zakończył badania zestawieniem przykładowem analogicznych przejawów u ludów innych ras, różnego pochodzenia i stopnia kultury. W drugiej części tej pracy znajdujemy przedstawienie genezy i rozwoju przysięgi na słońce na tle wierzeń i pojęć pierwotnych. Przy końcu podano dwa dodatki ze źródeł rękopiśmiennych, z których pierwszy zmierza do wyświetlenia charakteru rycerskiego przysięgi na słońce w Czechach i w Polsce, drugi podaje nieznany akt z r. 1573, tyczący się przysięgi tureckiej. Za pracę tę winna prof. Semkowiczowi wdzięczność niecodzienną przedewszystkiem etnologia polska i porównawcza.

Niemniej doniosłe ma znaczenie studyum prof. dra Józefa Siemiradzkiego p. n. „Teorya ewolucyjna w świetle współczesnej paleontologii“ (str. 378—416), z którego okazuje się, że bez przyczyny nic w przyrodzie nie dzieje się, że ewolucya powolna lub szybka, stosownie do większej lub mniejszej zmiany warunków otoczenia, nie pociąga za sobą nigdy wytępienia żadnej słabszej rasy w walce z silniejszą, inaczej bowiem równoczesne istnienie obok siebie fauny dzisiejszej i przeżytków dawno zaginionego świata zwierzęcego, które w walce o byt dawno zginąć były powinny, byłoby niemożliwe tak samo, jak n. p. sprowadzenie psa do Australii, gdzie istniały tylko niższe drapieżce bezłożyskowe, powinnoby spowodować całkowite wytępienie pierwotnych mieszkańców, co się dotychczas nie stało i według wszelkiego prawdopodobieństwa nie stanie, o ile człowiek, jako jeneralny niszczyciel wszystkiego, co żyje, ręki do tego nie przyłoży.

Rozprawa prof. dra Tadeusza Sinki „Około Mickiewiczowskiego sonetu „Do Nietuna“ (str. 417—430), tyczy się zakresu metryki wierszowej. Z kolei p. Władysław Smoleński porusza „Sprawę stosunku Litwy do Polski na Sejmie wielkim“ (str. 431—444) nader zwięźle a wyraziście. „Uwagi o pojęciu przypadku w zjawiskach fizycznych“ prof. dra Maryana Smoluchowskiego (str. 445—458) oraz „Rzut oka na historyczny rozwój prawa egzekucyjnego“ (str. 459—499) prof. dra

Kamila Stefki, jako zbyt specyalne jedynie tutaj notujemy. W obszernej notacie p. n. „Kulty polne i leśne w dawnej Polsce“ (str. 500—509) porusza prof. dr Adam Szelągowski szereg wierzeń, polegających na czci zjawisk przyrody wśród ludu polskiego. Prof. dr Ernest Till kreśli w szkicu p. n. „Intromisye polskie“ epizod z pierwszych czasów panowania austryackiego w Galicyi (str. 510—531). A dalej prof. dr Józef Tretiak kreśli z dawniejszych wykładów uniwersyteckich o literaturze polskiej XVIII wieku sylwetkę „Stanisława Konarskiego jako filozofa“ (str. 532—550), prof. dr Mścisław Wartenberg rozważa „Zagadnienie czasu“ (str. 551—604), prof. Zygmunt Weyberg daje „Przyczynki chemiczno-analityczne“ (str. 606—622), prof. dr Stanisław Witkowski odszukuje „Echa klasyczne u Mikołaja Sępa Szarzyńskiego“ (str. 623—628), prof. dr Rudolf Zuber rozważa „Geologiczne podstawy występowania oleju skalnego“, wreszcie prof. dr Kazimierz Żórawski kończy dzieło całe rozprawą p. n. „O warunkach nakładalności linii krzywych oraz o problemach równoważności“ (str. 641—661).

Jak tedy okazuje się z niniejszego pobieżnego przeglądu „Księga pamiątkowa“ przyniosła zarówno multum ilościowo, jak niemniej multa jakościowo. To też wydanie jej przysparza nowy liść wawrzynu do wieńca zasług, położonych przez promotora omówionego wydawnictwa na polu popierania nauki polskiej, czcigodnego prof. Balzera.

Dr. Stanisław Zdziarski.

Ks. Nikodem Cieszyński. **„Z naszej podróży do Lourdes“.** Poznań 1916. Nakładem Drukarni Katolickiej Bolesława Winiewicza.

W r. 1914 polska pielgrzymka eucharystyczna wyruszyła z Poznania do Lourdes na Berlin, Kolonię, Paryż, wrażenia z tej podróży ujął ks. Cieszyński w książkę barwną i zajmującą. Trochę wprawdzie za szybko, z rozmachem kuryerskiego pociągu mijamy wymienione powyżej miasta, ale gdy dostajemy się do Lourdes, to w tym cudnym zakątku francuskich gór, w podróżniku budzi się nagle ksiądz i poeta, nie spieszy już naprzód, głęboka wiara, siła odczucia piękna natury i potęgi Boga snuć się zaczyna wśród kart i wzrusza, porywa czytelników. Równocześnie zaś, pracuje zmysł krytyczny autora i daje nam jasny pogląd na ową dzieweczkę prostą i wiarygodność jej zeznań. Takie gołębie duchy jak Bernadetta Soubirous, takie proste, czyste duchy właśnie, bywały zazwyczaj pośrednikami pomiędzy ziemią a niebem. Ks. Cie-

szyński w swojej książce daje nam dokładną historyę rozwoju Lourdes, a każdy szczegół rozwoju miejsca wybranego do tylu objawień i cudów, jak również historyę życia i śmierci Bernadetty opiera o źródła zebrane i przestudyowane starannie, nie żałując nakładu pracy. A że obok prawdy historycznej, znajdujemy takie poetycznie piękne obrazy, jak: opis procesyi, groty, piękna natury, że chwilami udziela się nam zapał autora i czujemy wraz z nim piękno i podniosłość chwil, które przeżywał, więc książka ma niepoślednią wartość. Piękny, barwny język (gdzieniegdzie tylko zeszpecony wpływem słów używanych w Poznańskiem) sprawia, że książka od pierwszej do ostatniej strony czyta się z zajęciem i chociaż droga tam i z powrotem szybka jest i pobieżna, to jednak za samo głębokie piękno w przedstawieniu „Lourdes" wdzięczność czujemy dla autora. Nie wiele jest bowiem książek, w których tak harmonijnie łączy się piękno z wiarą silną.

M. Czeska.

Z obcych niw. Kartki z podróży po Europie. Serya pierwsza. Bronisław Janowski. Lwów, 1917. Wydane kosztem komitetu c. k. gal. Tow. gospodarskiego. 8-ka, nlb. 4, str. 192.

Nazwisko autora wymienionej książki nie obce jest szerokim kołom, zwłaszcza naszych ziemian. P. Janowski bowiem prowadzi nietylko świetnie tygodnik lwowski „Rolnik", ale też dał się pznać z szeregu prac z zakresu uprawy łąk i pastwisk, oraz z opracowania rozpowszechnianych szeroko popularnych tablic ważniejszych roślin łąkowych, wydanych nakładem Komitetu c. k. Towarz. gospodarskiego we Lwowie.

Teraz zaś obdarzył literaturę naszą seryą obrazków z podróży rolniczych po Europie zachodniej, odbytych w latach 1909—1913. Ale — czyliż to pora dzisiaj odpowiednia na czytanie takich właśnie wspomnień z podróży? Otóż właśnie dzisiaj, w porze odbudowy zniszczonych przez wojnę gospodarstw, a zarazem przewidywanej konieczności w niedługim czasie ich przebudowy; ze względu na nadchodzące zmiany polityczne i ekonomiczne na ziemiach polskich, właśnie dzisiaj skrzętne rozpatrywanie obcych wzorów, wybieranie z nich tego wszystkiego, co w naszych warunkach mogłoby stać się pożyteczne, a zarazem unikanie błędów, które gdzieindziej okazały się szkodliwe pod względem gospodarczym, jest bardzo na czasie i polecenia godne każdemu, kto tylko ze sprawami temi ma do czynienia.

Nadzwyczaj barwnie skreślił autor obrazki, przedstawiające pa-

stwiska w Eupen i Herve, wzorowe gospodarstwo włościańskie we Flandryi, pola zalewowe pod Berlinem, czy nowoczesne pastwiska trwałe w Niemczech. Nadzwyczaj żywych jest parę wspomnień z wystawy we Frauenfeld czy z wysp normandzkich, czy z wystawy rolniczej w Hamburgu. Zwłaszcza stosunkom normandzkim poświęcono tu kilka szkiców, z których wyróżnia się rzecz o hodowli bydła w Normandyi. Z kolei wędrujemy z autorem przez Anglię południową, oglądamy wystawę rolniczą w Liwerpoolu i takąż wystawę francuską w Rouen, ażeby przejść do duńskich hodowli traw nasiennych Gralöf i Weilbullsholm.

Z książki p. Janowskigo, którą przeczyta z zajęciem nietylko fachowiec, ale dzięki żywości przedstawienia każdy inteligentny człowiek, dowiadujemy się o zapobiegliwości innych narodów w wyzyskiwaniu darów przyrody, o szczęściu i dobrobycie, miasto biedy i nędzy nagminnej u nas i wyganiającej lud za morze po chleb codzienny, którego w kraju niema.

Ale niewesołe refleksye, jakie muszą obudzić się w umyśle każdego po przeczytaniu szkiców omawianych, winny pobudzić do tem większej pracowitości na własnym zagonie i do niesienia kultury rolniczej nowoczesnej pod strzechy włościańskie. Jeśli książka p. Janowskiego dokona tego, a ma wszystkie zalety, potrzebne do dokonania reformy w naszem gospodarstwie wiejskiem, będzie mógł autor z dumą powiedzieć, iż dokonał czynu prawdziwie obywatelskiego.

Oby tylko nie przyszło w obecnych trudnych warunkach wydawniczych czekać nam zbyt długo na drugą seryę pięknych obrazków.

Zet.

Sprawozdanie ze stanu i działalności Pracowni antropologicznej Towarzystwa Naukowego Warszawskiego za rok 1916. Kazimierz Stołyhwo (Odbitka z „Roczn. Tow. nauk. warsz."). Warszawa 1917.

Pomimo wojny pracownia antropologiczna rozwijała się w 11-m roku swego istnienia pomyślnie, pomimo licznych utrudnień i przeszkód. Ze względu na stosunki wojenne musiano ograniczyć się przeważnie do opracowywania materyału naukowego, zebranego w latach ubiegłych, gdyż gromadzenie nowych zbiorów było niezmiernie utrudnione. Działalność naukowa była w okresie sprawozdawczym wcale żywa, co ilustruje pokaźny spis prac, pisanych w pracowni. Wystarczy, jeśli powiemy, że od początku istnienia Pracowni antropologicznej ogłoszono drukiem bądź też zakwalifikowano do druku 62 prace naukowe, które zo-

stały w niej wykonane. W okresie sprawozdawczym odbyło 8 posiedzeń konferencyjnych, na których rozpatrzono i przedyskutowano 8 referatów i rozpraw, z których wymieniamy: dra Stan. Poniatowskiego „W sprawie metody etnologii", ks. B. Rosińskiego „Badania antropologiczne nad żuchwami ziem polskich" i K. Stołyhwy „Ustalenie pojęcia cech prymitywnych w antropologii". Odbywały się również w pracowni ćwiczenia praktyczne z antropologii i anatomii człowieka pod kierunkiem p. K. Stołyhwy, w których brało udział 42 osób. Zbiory pracowni wykazują również przyrost, co prawda, niewielki, ale tłómaczy się ta oszczędność nowych nabytków wypadkami wojennymi. Gdyby każda nasza instytucya naukowa mogła pochlubić się równie wydatnymi wynikami prac swoich w roku ubiegłym, to możnaby z otuchą spoglądać w przyszłość. **Zet.**

Z piśmiennictw obcych.

Abbe G. Arnaud d'Agnel: „**Benoit XV et le conflict europeen**". 1. A la lumiere de l'Evangile. 2. A la lumiere de l'histoire. Paris. P. Lethielleux. 10. Rue Cassette.

Stanowisko Benedykta XV w obecnej wojnie, Jego znakomite zdolności dyplomatyczne, a nadewszystko głęboki umysł i gorąco czująca dusza, sprawiły, iż **na Stolicę Piotrową zwrócone** są oczy całego świata. Jedni chylą się do stóp Namiestnika Chrystusa z uczuciem **najkorniejszej** czci i miłości — inni śledzą każde Jego słowo, komentują każdy krok, oświetlając je wedle swoich poglądów, są i tacy, którzy wprost wrogo do nich się odnoszą, ale niema takich, którzyby z miłością czy zawiścią nie odczuwali, że Watykan, to jakby latarnia morska wśród spiętrzonych fal oceanu, że stamtąd spłynąć może tak upragniony przez ludzkość pokój.

Ks. Arnaud d'Agnel w dwutomowem dziele swojem rozpatruje działalność obecnego Papieża w czasie wojny. Stanowisko jego było przedmiotem przeróżnych krytyk, jedne podyktowała nieznajomość rzeczy, inne nienawiść. Ogólne podniecenie umysłów i komentarze dzienników zamąciły nawet czasami katolickie sumienia i sądy. Dla nich to głównie napisaną jest książka o Benedykcie XV, wykazująca

w nim świetlany ideał papiestwa. Rozpoczyna ją analogia pomiędzy obecnem położeniem Papieża a stanowiskiem Chrystusa, gdy Go Faryzeusze pytali o grosz czynszowy. Aby zrozumieć ten fakt ewangeliczny, trzeba rozpatrzyć trzy punkta: stan umysłów faryzejskich, stanowisko moralne Chrystusa, wreszcie stosunek żydów do Rzymian, odpowiedź na te problemy dają pierwsze rozdziały książki.

Rozpatrzywszy stanowisko Papieża w świetle Ewangelii i boskiego pierwowzoru, porównuje je autor ze stanowiskiem, zajmowanem w ciągu wieków przez najznakomitszych poprzedników Benedykta XV. i udowadnia zupełną zgodność jego myśli z myślą Świętych i geniuszów, którzy zasiadali przed nim na Stolicy Piotrowej.

Nawołując nieustannie wojujące państwa do zawarcia pokoju, Benedykt XV postępuje śladami tych prawdziwych książąt pokoju, jakimi byli między innymi Leon I, Grzegorz VII i Innocenty III. Niezmierne korzyści, jakie przyniosły cywilizowanemu światu pokojowe interwencye Papieży, zatwierdzają prawo Benedykta XV do pośredniczenia w obecnych zapasach wojennych.

Dla nieuprzedzonych umysłów, milczenie Papieża i niezłomna jego neutralność są równie podziwu godną mądrością i siłą ducha, jak piękną jest pełna poświęcenia działalność jego, którą stara się nieść ulgę cierpieniom, wojną wywołanym.

Świat katolicki winien dzięki czynić Bogu za to, że w Namiestniku swoim złączył dwie tak rzadko u wielkich ludzi zjednoczone właściwości duchowe: gorącość serca i ostrożność działania, oraz trudną sztukę powstrzymywania zapału wówczas, gdy bierność i milczenie pożyteczniejszemi są ludziom, niż czyny i słowa. Bezwątpienia, Benedykt XV jest godnym podziwu w swem działaniu, ale równie na podziw zasługuje wtedy, gdy świadomie od działania się powstrzymuje. Późniejsi historycy ocenią z pewnością tego Papieża, obranego na początku najstraszniejszej z wojen, a obierającego odrazu i bez wahania tę politykę, która jest najzgodniejszą z wiekową rolą Stolicy św. jak i z potrzebami chwili. Ojcowska dłoń Piusa X, błogosławiąca przed skonem przyszłemu pokojowi, pobłogosławiła równocześnie pokojowej działalności swego następcy.

Autor oparł się w swej książce na dokumentach, pisanych przez samego Papieża lub przez Kardynała Sekretarza Stanu, mniej znacznie na interwiewach, drukowanych przez prasę różnych stronnictw.

Celem tej pracy jest porównanie stanowiska Benedykta XV do Chrystusowego wzoru, jakoteż do stanowiska poprzedników.

Neutralność Namiestnika Chrystusowego nie jest synonimem obojętnej bierności. Każda ze stron wojujących bliską jest jego ojcowskiemu sercu. W Liście pokojowym, datowanym z 8. IX-1914 r., Papież wyraża boleść, jaką napełnią go potworny widok nieszczęść, spowodowanych wojną. W pierwszej swojej Encyklice Benedykt XV daje również wymowny wyraz tym uczuciom, wyrywają się również z jego duszy w pismach, zwracanych do rządów państw wojujących, do kardynała Mercier, do dziekana św. Kollegium. Wspominając z boleścią, iż nawoływania jego pozostały bez skutku, mówi Papież: „Głos przyjaciela i ojca nie został wysłuchany... Oby echo tego głosu mogło dojść do wszystkich naszych synów, dotkniętych klęską wojny, oby ich zapewniło, jak wielki bierzemy udział w ich smutkach, bo każda boleść synów odbija się głęboko w sercu ojca".

Długie trwanie wojny nie osłabia w niczem tych uczuć Benedykta XV, zdają się owszem potęgować, jak świadczy o tem dokument, zda się pisany łzami w rocznicę wypowiedzenia wojny:

„...Rzucając spojrzenia na krwawe pobojowiska, odczuwamy rozdarcie serca ojca, który patrzy na zniszczenia swego domu, spustoszałego przez straszliwą burzę. Myślimy z niewymowną boleścią o młodocianych naszych synach, których śmierć kosi tysiącami. W sercu, napełnionem miłosierdziem Chrystusowem, odczuwamy rozpacz matek i żon, łzy sierót, pozbawionych przedwcześnie opieki ojcowskiej.

Przeświadczeni o wielkiej powinności, spadającej na nas w tej tak smutnej dobie, postanowiliśmy poświęcić całą naszą władzę i zdolność czynu w celu pojednania narodów wojujących. Złożyliśmy to uroczyste przyrzeczenie u stóp Zbawiciela, który ceną Swej Krwi najświętszej wszystkich ludzi uczynił braćmi. Pierwsze słowa, jakie zwróciliśmy do narodów na mocy naszego najwyższego pasterstwa, były słowami pokoju i miłości. Ale nasze ojcowskie rady i nalegania nie zostały wysłuchane. Ta odmowa powiększyła naszą boleść, ale nie osłabiła postanowienia. Zwracamy się dalej z ufnością do Wszechmogącego, który dzierży w dłoni umysły i serca królów i poddanych, błagając Go o kres tej straszliwej klęski".

Papież nie zadowolił się odczuwaniem boleści i wysyłaniem słów pociechy; w mowie swej na Konsystorzu z 22. I-1915 r. wypowiada następujące słowa: „Jeżeli nie jest nam danem przyspieszyć kres tej straszliwej klęski, to przynajmniej staramy się umniejszać jej bolesne następstwa. Czyniliśmy dotąd wszystko, co było w naszej mocy i nie

omieszkamy zająć się tem na przyszłość, tak długo, jak konieczność tego wymagać będzie".

Pierwszym wynikiem miłosierdziaPapieża jest ulga w doli jeńców wojennych. W liście do kardynała Hartmanna, arcybiskupa kolońskiego, Papież wyraża radość, że starania jego odniosły w Niemczech pewien rezultat, wypowiada też życzenie, by duchowieństwo niemieckie otoczyło tę sprawę opieką, bez względu na wyznanie i narodowość jeńców. Podobne polecenie zwraca Benedykt XV do arcybiskupa Dobrecie w Czarnogórze.

Drugim ważnym rezultatem polityki papieskiej w tym kierunku jest wymiana jeńców, którzy skutkiem odniesionych na wojnie ran stali się niezdolni do dalszej służby wojskowej. Wszyscy panujący odnośnych krajów oświadczyli się z pełną szacunku gotowością w tej sprawie. Benedykt XV, nienasycony, gdy chodzi o dobro, postanowił rozszerzyć to dobrodziejstwo i na jeńców cywilnych, a wytrwałe jego zabiegi zostały i tu uwieńczoone pomyślnym skutkiem.

Używając z pełną mądrości przezornością swego moralngo autorytetu w czasie wojny, Papież zachowuje go tem silniej dla rokowań pokojowych. Helena Skolimowska.

Compendium theologiae dogmaticae. Auotore Christiano P e s c h S. J. Friburgi Brisgoviae B. Herder MCMXIV.

Dziewięciotomowe dzieło ujął autor w czterech tomach. Z natury rzeczy może tego rodzaju praca podać główne rzeczy z opuszczeniem podrzędnych lub może podać mniej więcej wszystko, co zawiera większe dzieło, lecz bez obszerniejszego omówienia i uzasadnienia. W ten sposób zwięźlejsze wydanie jest albo skróceniem albo streszczeniem.

Autor wydał dla publiczności ten ostatni rodzaj krótszego ujęcia swego poprzedniego dzieła, czyli wydał prawdziwe jego streszczenie. Pierwszy tom wielkiego dzieła zajmuje także pierwszy tom streszczenia, bo aktualność kwestyi o objawieniu, kościele i natchnieniu wymagała obszerniejszego opracowania. Drugi tom zawiera naukę o P. Bogu, Trójcy Przen. i o rzeczach ostatecznych. Trzeci omawia tajemnicę Wcielenia i Odkupienia i z nimi łączy się traktat o łasce i cnotach teologicznych. Ostatni tom jest cały poświęcony nauce o Sakramentach świętych.

Sposób przeprowadzenia jest bardzo przeźroczysty. Główne i ważniejsze prawdy są podane w tezach, które zawsze poprzedza wy-

jaśnienie pojęć, rzut oka na wchodzące w temat fakta historyczne i na przeciwników; podrzędne i mniej ważne są umieszczone w uwagach dodatkowych (Corollaria et Scholia). W trudnościach, które autor w sposób ściśle scholastyczny przedkłada i rozwiązuje, znachodzi się krótkie i jasne rozwiązanie wielu zagadnień, które samą kwestyę i różne zarzuty, w ciągu wieków przeciw niej podniesione, rozświetlają.

Wynik pracy przedstawia się naogół dodatnio. Przeźroczystością to Compendium stanowczo przewyższa samo dzieło, a podając przytem materyał wchodzący w zakres teologii, prawie kompletnie, osiąga dwie korzyści, bo służyć może wybornie teologowi, który już kurs nauk ukończył, jako repetitorium, i pragnie sobie krótko treść teologii przypomnieć, i może także być użyte jako podręcznik dla alumnów oddających się nauce teologii pod przewodnictwem profesora. Jasny podział, krótkość zdań, łatwość stylu, podanie w tekście liczb marginesowych, w których się poprzednio omówiła pokrewna materya, studyum i lekturę książki znacznie ułatwiają. Uwaga recenzyi, która się pojawiła w jednem z czasopism niemieckich, że to Compendium będzie wkrótce należało do najmilszych książek, zdaje się nie być przesadą.

Oczywista, że nie można tego twierdzić w znaczeniu, jakoby książce nie można wcale nic zarzucić. Owszem samo streszczenie, choć samo w sobie szczęśliwe, ma tę niedogodność, że nowicyusz teologii, mimo jasności zdań często ich brzemiennej treści nie uchwyci bez obszerniejszego omówienia przez profesora. Czasami także objaśnienia dodane do cytatów z Pisma św. zbyt zwięźle wypadły. Przytoczenie kilku tekstów razem bez zaznaczenia dowodowej siły, również zrozumienie nieco utrudnia. Miejscami również by pożądane było odgraniczenie pojedynczych dowodów przez rozpoczęcie nowego wiersza.

Rzeczowo trzyma się autor, jak w głównem dziele, zdań umiarkowanych. Chociaż jest stanowczym zwolennikiem nauki św. Tomasza, nie przyjmuje jednak tegoż tłómaczeń podawanych przez tak zwaną tomistyczną szkołę, n. p. w traktacie o przeznaczeniu lub o łasce. Zbija stare błędy z dostatecznem napomknieniem zdarzeń historycznych, i uwzględnia nowsze zboczenia od prawdy. Wprawdzie nie rozwodzi się nigdzie szczegółowo nad modernizmem, ale za to stale zaznacza fałszywe jego twierdzenia w pojedyncych traktatach i tezach.

Ze zadowoleniem również czyta się (t. IV, n. 179) sprostowanie prawie powszechnie przez teologów przyjętego mniemania [1]), jakoby

[1]) Por. n. p. Tanquerey. Vol. sec. n. 631 ed. 14.

słynny hiszpański teolog Vasquez bronił niedopuszczalnego zdania o istocie ofiary Mszy św. t. j. jakoby na czczem wyobrażeniu ofiary krzyżowej polegała. Podobne uwagi o niektórych innych teologach świadczą o długoletniej pracy autora i o samodzielnem zbadaniu źródeł, na których się opiera i są wielką, choć nie wpadającą w oczy zasługą na polu ścisłej teologii. *Ks. L. T. J.*

Waffen des Lichtes von Dr Michael von Faulhaber, Bischof von Speyer. Freiburg im Breisgau 1915. S. 181. 16. Herdersche Verlagshandlung.

Taki tytuł mają najnowsze kazania wojenne ks. Biskupa Faulhabera ze Spiry, a obecnie Arcybiskupa z Monachium i polowego biskupa armii bawarskiej. Wszystkich tych kazań jest dwanaście. Wieje z nich miłość Boga i ojczyzny. Są to przemowy ogniste do żołnierzy wygłoszone, a trzeba dodać, że Najprz. ks. Arcybiskup osobiście odwiedza i front zachodni i wschodni, styka się oko w oko z tymi żołnierzami, zna ich życie obozowe i w polu na wylot, miłuje ich i jest od nich kochany. Jako wzór bohatera stawia im Jonatę, syna Saula, a przyjaciela najwierniejszego króla Dawida. Napis na chorągwiach żołnierzy ma takie hasło: miłość, siła, ufność, zachęca ich do męstwa, do modlitwy, przyczem cały „Ojcze nasz“ objaśnia i przypomina im szczególnie, aby się za poległych na placu boju modlili. A chociaż te kazania mają w pierwszej linii na oku żołnierzy, przecież Najprz. kaznodzieja nie zapomina i o tych, co w domu zostali. Nawołuje tedy matki, aby dzieci, jak najpobożniej wychowywały, aby razem z córkami rannych pielęgnowały, ostrzega, aby się zbytnio nie stroić i dodaje, żeby życie czyste i święte prowadzić. Przypomina wreszcie zamożnym, aby środków spożywczych nie skupowali i za drogo nie sprzedawali. Dla kapelanów obozowych te kazania są wzorem, jak mają przemawiać do żołnierzy swoich. Styl przemówienia, materyał, układ i podział bardzo dobry.

Der hl. Kamillus von Lellis und sein Orden. Zur dritten Jahrhundertfeier des Todestages des Heiligen herausgegeben von den deutschen Kamillianerpatres. Mit 20 Bildern. Freiburg im Breisgau. Str. XI i 346.

Aczkolwiek i Kamil de Lellis jest w całym Kościele czczony, a Leon XIII ogłosił Go w 1866 Patronem chorych i szpitali, a imię Jego

w litanii za konających zamieścić polecił, mimo to jest Jego życie mało u nas znanem, co pochodzi stąd zapewne, że pierwsza osada Jego synów zakonnych zaistniała w naszych stronach (w Tarnowskich Górach na Szląsku) dopiero w pierwszych latach XX wieku. Dziełko w mowie będące ma trzy części: pierwsza opowiada życie Świętego, druga kreśli dzieje Zakonu posługujących chorym oraz przesuwa przed czytelnikiem życie i sprawy osób w nim wybitnych, trzecia podaje historyę powstania ośmiu domów, prowincyi najmłodszej, ale dobrze na przyszłość wróżącej, prowincyi niemieckiej. Działalność zakonu obejmuje nietylko odwiedzanie chorych w ich mieszkaniach i po szpitalach, ale i utrzymywanie przez zakon szpitali. W Niemczech służy też zakon propagandzie antyalkoholicznej, już to mając zakłady dla takich, o których można przypuszczać, że dadzą się nakłonić do porzucenia alkoholu, już to schroniska dla tych, co wskutek swego nałogu stali się niezdolni do zarobkowania. Z dziełka w mowie będącego dowiadujemy się, że zakonnikom w Tarnowskich Górach rząd położył za warunek pochodzenie niemieckie. Sądzimy jednak, że to nie powstrzyma ich od wyrzeczenia się mowy polskiej, bez czego praca w okolicach, gdzie jest ludność polska, byłaby zbyt utrudniona. Szkoda, że dziełko nie podaje krótkich wiadomości o ustroju zakonu, warunkach doń przyjęcia i że brak najświeższych dat statystycznych. Piękne ryciny zdobią tę staranną i pożyteczną publikacyę. **M. B.**

Polen und Juden. Zeitgemässe Beitragen von Dr Max Rosenfeld. 1917, R. Löwit. Verlag. Berlin und Wien. Str. 63.

„Zasada narodowościowa zwycięża: państwa centralne przekonały się, że Austrya może dać rozmaitym narodowościom na swem terytoryum wolność rozporządzania własnym losem, nie czekając na walkę o nią z ich strony. Austrya z pewnością będzie gotowa to uczynić. Przy tym ogólnym rozkwicie życia narodowego nie powinien mały, lecz zdolny i wierny naród żydowski wyjść niezadowolonym, bo z próżnemi rękoma".

„Odnośnie do Polaków zaznaczamy w końcu: Jeżeli gdzie, to w dawnej Polsce, autonomia żydów była wzorową. I my także pragniemy powrotu do dawnych tradycyj pełnych sławy, chcemy posiąść dawną autonomię, która kwitła w Polsce.

„Ruch żydowski z racyi swej istoty nie dąży do jakichkolwiek zdobyczy prawnopaństwowych, lecz do narodowych. Jesteśmy tu bez prawa państwowego, bez dokumentów. Jedynym celem tego ruchu jest pokojowy rozwój żydowskiego narodu w duchu nacyonalnym".

Temi słowy kończy Dr Rosenfeld swą broszurę. Jasno przebija się z nich to, co obszernie wyłuszcza w jej treści, a mianowicie postulat utworzenia wśród polskiego narodu odrębnego narodu żydowskiego. Zastrzega się on wprawdzie, jakoby ruch żydowski zmierzał do zdobyczy prawno-państwowych, ale niemożliwem jest wyobrazić sobie istnienie odrębnego narodu żydowskiego bez tych właśnie zdobyczy.

Za jeden z głównych środków do racyonalnego ukształtowania bytu żydów wśród polskiego społeczeństwa — zarówno w Galicyi jak i w „Polsce" utworzonej aktem z d. 5 listopada 1916 r. — uważa Dr. Rosenfeld kahały.

„Kahały — pisze on — należy zdobyć, a reforma ich będzie oznaczała nową erę w życiu żydowskiem; w nich bowiem leży ukryta siła i potęga. Organizacya kahałów i połączenie ich w jeden związek równa się organizacyi całego narodu żydowskiego".

Związek ten — zdaniem żydowskiego publicysty — winien mieć cele ekonomiczne, kulturalne i polityczne, jako „polityczne przedstawicielstwo, powołane do kierowania żydami pod względem narodowym".

To, co przytoczyłem, wystarczy chyba do zoryentowania się w intencyach autora omawianej broszury. Polemizować z nim wcale nie mam zamiaru. Ale muszę stwierdzić, że Dr. Rozenfeld w ślad za wszystkimi swymi żydowskimi kolegami po piórze obrzuca obelgami naszą przeszłość, do której tak perfidnie apeluje w zakończeniu swej broszury. Nie dotyka on też, mówiąc o przeszłości „położenia żydów w innych krajach Europy, oczywiście dlatego, ponieważ odnośne zestawienie wypadłoby na korzyść Polski, co nie zgadzałoby się z treścią i tendencyą broszury. Wreszcie i to godnem jest uwagi, że Dr. Rozenfeld wyeliminował ze swych roztrząsań sprawę żydowską w prowincyach dawnej Polski, zostających pod panowaniem pruskiem, gdzie, jak wiadomo, społeczeństwo polskie rozwiązało ją w sposób radykalny, lecz bynajmniej nie odpowiadający aspiracyom nacyonalistów żydowskich.

W czasach obecnych — jak zwykle podczas wielkich przewrotów dziejowych — broszura polityczna zdobyła sobie znów prawo obywatelstwa, którego pozbawiły ją w czasach normalnych dzienniki. Otóż

byłoby ze wszechmiar pożądanem, aby i z naszej, polskiej strony, kwestya żydowska była częściej poruszaną w broszurach politycznych, pisanych po niemiecku, jakiemi publicyści żydowscy formalnie zasypują zagranicę, informując ją w tej sprawie na sposób dla nas wrogi bez uwzględniania prawdy historycznej oraz faktycznego stanu rzeczy.

O sprawie żydowskiej, która nas, Polaków, tak mocno obchodzi, piszą prawie sami tylko żydzi — byłby czas, aby i druga strona została wysłuchaną. *J. Trepka.*

Sprawozdanie z ruchu
religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Socyalizm dziś i po wojnie. — Hrabia Hertling.

Socyalizm dziś i po wojnie.

Ze zbliżającą się do końca wojną kończyć się też zaczyna wewnętrzny rozejm stronnictw i obozów. Ludzie z kadrów wojskowych powrócą w kadry obowiązku społecznego i do pułków idei i zacznie się napowrót to wielostronne życie, które w ciągu wojny całkowicie zamarło. Była w ciągu tej wojny przerażająca pustka ideowa w świecie, tak przerażająca, że z pewnością, jak świat światem, równej jeszcze nie było. Jedynym przedmiotem myśli i rozmów była albo wojna, o której po pewnym czasie nic do powiedzenia nowego nie było, albo zastanawianie się nad rozmaitymi brakami środków do życia, zastanawianie się zupełnie bezowocne, bo jeżeli kiedy spełniło się słowo Pisma św., że człowiek sam sobie łokcia nie dołoży, to w tym czasie.

Bardzo ciekawą jest sprawa, jak z powrotem ludzi z rowów do ognisk domowych ułożą się ideowe, społeczne i polityczne stosunki. Czy w ciągu tej wojny coś zamarło, czy coś nowego się urodziło, czy dawny świat powróci do życia, czy zjawi się nowy?

Jedno już jest dzisiaj pewnem, że socyalizm, jak był przed wojną, tak będzie i po niej, owszem, że będzie silniejszy — a kto

wie, czy nie dojdzie do takich rozmiarów, że brak nam w tej chwili słowa na ich określenie. Zaznaczamy to dlatego, że chcemy zbudzić z wojennego letargu akcyę katolicko-społeczną. Czas już, już w tej chwili najwyższy czas, wziąć się do pracy natężonej i wielostronnej, bo kto wie, czy nie zbliża się „godzina ciemności“ i to takich, że zamrzeć w nich gotowa wszelka nadzieja rychłego świtu.

Socyalizm polski przestrzegał w początkach tej wojny zasad wewnętrznego pokoju obywatelskiego, a nawet stanął w pierwszych szeregach idei narodowej. Ale rychło okazało się, że ideę tę po swojemu rozumie. Socyalistyczna Polska ludowa, oto cel, do którego dążył. Gdy wypadki dążeniom tym stanęły na przeszkodzie, nie zawahał się socyalizm przed rozbiciem tak ideowo narodowego dzieła, jak były legiony. Równocześnie porzucił wszystkie względy na wewnętrzny rozejm obywatelski. W Królestwie już przed pół rokiem, mimo stanu wojennego, rozpoczęła się na nowo agitacya socyalistyczna w pełnym rynsztunku. W odnośnej odezwie partyi zwracał zwłaszcza uwagę ustęp, kładący nacisk na opanowanie wsi, na tworzenie wiejskich komitetów. Również prasa socyalistyczna od kilku miesięcy wróciła zupełnie do praktyk przedwojennych. Ulubiony dział napaści na różnych księży uprawiany jest dziś z całem zawodowem doświadczeniem. Nadto różne echa socyalistycznych międzynarodowych dążności znajdują w tej prasie odpowiedni oddźwięk.

Jest tu miejsce na rzut oka, zdający sprawę z pewnych przejawów międzynarodowego socyalizmu w tej chwili. W początkach wojny światowej była chwila dla socyalizmu krytyczna. Pojawiło się wiele broszur i wiele artykułów w prasie całego świata, stwierdzających, że socyalizm popadł w bankructwo, że prawie we wszystkich krajach musiał ugiąć czoła przed zasadą narodowości. W rzeczywistości było też tak, że hasło: „proletaryusze wszystkich krajów, łączcie się“ zostało zawieszone na kołku, i proletaryusz francuski czy angielski mordował proletaryusza niemieckiego i odwrotnie. I ten stan trwa do tej chwili. Dopiero w dalszym ciągu wojny zaszły wypadki, które z innych względów położenie socyalizmu poprawiły. Zaczęła szerokim war-

stwom doskwierać nędza i głód, a ten stan zawsze sprzyja mnożeniu się bakcyli socyalistycznych. Dodajmy, że stan ten jeszcze długie lata po wojnie trwać będzie, zwłaszcza, że przyjdzie spłata miliardowych długów państwowych. Patrzymy nadto, jak państwa, zagrożone brakiem środków żywnościowych i surowców, przyjęły hasło socyalistycznego komunizmu za najwyższą formę aprowizacyi państwowej. Jest to tryumf wielki, z którego socyalizm już dziś obiecuje wyciągnąć wszystkie następstwa. W jednem z socyalistycznych pism polskich czytamy takie wywody, powtarzane za zagranicznymi „towarzyszami“: „Obecne państwo nie śmie po wojnie być organem tak jednostronnego panowania klasowego, jak dotychczas. Obecnie partya socyalistyczna, wobec wzrostu swej siły, nie może zadowolić się samą tylko krytyką: musi wziąć udział we władzy państwowej... Demokratyzacya musi stać się hasłem dnia... Trzeba pamiętać, że odbudowa po wojnie będzie niemożliwą bez zastosowania środków socyalistycznych: bez oddania części majątków (oczywiście wielkich) i bez monopolów nie może być mowy o uporządkowaniu finansów... Widmo rewolucyi socyalnej staje przed panującą biurokracyą i burżuazyą... Te warstwy muszą nieco przychylić ucha do naszych haseł, albowiem zbyt wiele stoi dla nich w grze... Niechże każdy partyjny towarzysz... wyobrazi sobie ten bój wielki, jaki klasa robocza musi wydać klasom posiadającym po wojnie... Po demobilizacyi wojsk walczących musi nastąpić wielka mobilizacya sił robotniczych w potężnych organizacyach“.

Przyszła potem chwila, w której socyalizm pod wpływem zwycięstwa rewolucyi rosyjskiej zdawał się być czynnikiem, który przyniesie pokój światu. Sztandar pokoju rozwinęli socyaliści prawie we wszystkich krajach i wśród ludzkości, zmęczonej na śmierć wojną, prowadzili pod nim dość pomyślny werbunek partyjny. Chwiejność stosunków rosyjskich sprawiła, że pokój socyalistyczny na chwilę załamał się, zwycięstwo jednak bolszewików poprawiło znowu szanse socyalizmu. Dziś państwa centralne prowadzą już rokowania o pokój odrębny z Rosyą, a kto wie, czy nie będzie to początkiem ogólnego pokoju. Jakkolwiek

ta sprawa się skończy, prasa socyalistyczna już dziś głosi, że socyalizm jest jedynym sprawcą pokoju w świecie.

Tryumf bolszewików jest tryumfem całego socyalizmu, nie tylko jako początek pokoju. Tryumf ten sprawił, że otworzył się w Europie wulkan, zalewający świat lawą skrajnych socyalistycznych pomysłów i eksperymentów. Konfiskata prywatnej własności ziemskiej spadła nie tylko strasznym ciosem na Rosyę, ale już dziś odbija się echem w Austryi, w kołach rusińskich i czeskich. Jakiś oddźwięk znajdujemy już także na łamach polskiej prasy socyalistycznej: „Te same zadania stoją przed rządem polskim. Własność chłopska w Polsce jest niezmiernie rozdrobniona, małorolna. Wpływy haseł rosyjskich są tu nadzwyczaj silne. Aby uzdrowić te stosunki, trzeba dać małorolnym chłopom ziemię. Rządy jednak w Polsce ujmuje w swe ręce kler i szlachta, ci główni wrogowie ludu roboczego w mieście i na wsi. Radę regencyjną stanowi arcybiskup i 2 obszarników. Podobne będzie ministeryum i podobny sejm. To też lud roboczy musi się dziś organizować i wytworzyć taką siłę, któraby potrafiła skutecznie przeprowadzić swoje żądania wobec kliki klerykalno-szlacheckiej, chcącej na trupach klasy pracującej utrwalić swoje rządy".

Można pojąć, że i inne zapowiedziane już reformy bolszewików będą bodźcem dla socyalistów innych krajów, a więc rozdział Kościoła od państwa, konfiskata dóbr i kosztowności kościelnych, wogóle konfiskata wszelkiej własności prywatnej. A jeżeli gdzie to niebezpieczeństwo zawleczenia zarazy będzie szczególniej groźne, to chyba w kraju, sąsiadującym z Rosyą o miedzę.

Bolszewicy dziś są u steru rządu, jutro może ich nie być — trudno więc twierdzić, że te wszystkie obawy się spełnią. Jest jeszcze ewentualność, że praktyki bolszewików, choćby ci nawet ostali się przez jakiś czas przy władzy, ponieważ są tak potworne w wykonaniu, nie będą działały zbyt zachęcająco na zagranicę. Podnosi tę ideę jedno z pism rosyjskch, porównywując bolszewików z rzeźnikiem, któremu polecono dokonać operacyi chorego człowieka. „Dla chirurga, którego lancet ma się zagłębić w ciało pacyenta, ciało to przedstawia cały splot mięśni, naczyń krwionośnych, ścięgien, gruczołów, które należy delikatnie oddzielać, prze-

wiązywać, przekładać przy krajaniu, ażeby przez nieostrożne cięcia nie położyć kresu życiu pacyenta. Dla rzeźnika jest ciało człowieka, przed nim leżące, tylko kawałem mięsa, który należy odwalić wraz z kością potężnem uderzeniem siekiery. Chora Rosya doznała obecnie pierwszego rąbnięcia z rąk rzeźnika, pod którego władzę się dostała". Kto wie zresztą, czy w tak krwiożerczych czasach, jak obecne, i takie potworności nie znajdą chętnych naśladowców?

Oto dość szczegółów, stwierdzających jasno, że socyalizm ze wzmożoną siłą zaczyna zagrażać uświęconym i nienaruszalnym zasadom ludzkości.

Przypuszczać oczywiście należy, że wszystkie czynniki ideowe, społeczne i państwowe, które z różnych powodów stoją na przeciwnem socyalizmowi stanowisku, zjednoczą się obecnie pod grozą katastrofy w celach samoobrony. Mogłoby to być nawet dla akcyi katolicko-społecznej z korzyścią, że miałaby łatwiejszy dostęp do kół, które dotychczas od niej stroniły. Dylemat: albo katolicyzm, albo socyalizm, który z natury rzeczy wynika i jako taki już nieraz był głoszony, staje dziś z całą siłą przed światem. Staje szczególniej przed młodem państwem polskiem. Już dziś należy rozpocząć uświadamiać społeczeństwo, że kto nie chce, by nowa Polska była Polską socyalistyczną, ten w obecnych warunkach wszystkich sił dołożyć musi, by była Polską katolicką.

Sztandar katolicyzmu społecznego w Polsce należy ponownie jak najrychlej i jak najszerzej rozwinąć.

Hrabia Hertling Katolik tej miary, co Hertling, zjawiając się na stanowisku, ongiś zajmowanem przez Bismarka, i to w chwili tak przełomowej, jak obecna, to wypadek niezwykły. Kiedy żelazny kanclerz, stojący u zenitu swojej potęgi, zwalczał katolicyzm i katolickie centrum i rzucał hasło: „Nie pójdziemy do Kanossy", młody profesor i początkujący poseł Hertling siedział w tyle reichstagu, nie przeczuwając tej odmiany losów, jaka teraz z jego osobą dokonała się w państwie niemieckiem.

Znanem jest wybitne znamię katolickie Hertlinga. Jako

profesor uniwersytetu w Bonn i w Monachium, jako filozof i historyk, jako twórca Towarzystwa Goerresa, jako poseł, a potem minister i kierownik rządu bawarskiego, zawsze był niezachwianym w swojem wyznawstwie katolickiem. Pewnymi czynami położył nawet pierwszorzędne zasługi dla katolicyzmu, jak książką o świętym Augustynie, jak Towarzystwem Goerresa, jak afirmacyą zasady katolickiej w bawarskim rządzie. A co główne, w prywatnem życiu katolik gorliwy i praktykujący, szczególniejszy czciciel Eucharystyi, człowiek duszą i sercem oddany papieżowi, rozumiejący, że to jest rdzeń katolicyzmu. Mamy pod ręką mowę, jaką wygłosił przed kilku laty na dyplomatycznym bankiecie, ku czci Piusa X.; czytamy tam między innymi: „Papiestwo stoi. Poprzez różnorodność narodów, poprzez walkę materyalnych interesów, przenika głos papieża. Nie może go zagłuszyć głośna wrzawa tryumfującej technicznej kultury. Miliony słuchają tego głosu i idą za nim. W ten sposób przejawia się wyższość tej władzy, która nie jest uzbrojona w materyalne środki, nie jest zwrócona ku ziemi, władzy wewnętrznie duchowej, moralnej mocy, która jako taka nie jest w służbie jednego państwa, jednej rasy, jednej gospodarczej grupy, ale władztwem swojem obejmuje to, co wszystkich zarówno obchodzi, świat religii i obyczajów". I oto człowiek, taką zasadę głoszący, staje dziś na czele państwa niemieckiego, jako jego kanclerz.

Niejeden wypadek zdawałby się przemawiać za tem, że w łonie społeczeństwa niemieckiego dokonywać się zaczyna przemiana. To, że cały świat powstał przeciw Niemcom i to z nienawiścią, natężoną do najwyższego stopnia, było dość wystarczającym powodem do wejścia w siebie. Niemiec Bismarka począł odgrzebywać w sobie Niemca z lepszych czasów, z czasów Lenaua, Niemca myśliciela, romantyka, zapalającego się dla wolności ludów. Wiele umysłów zaczęło wnikać w dzisiejszą duszę narodu i dostrzegłszy zboczenie, miało odwagę na nie wskazać.

Typowym jest taki Foerster, który już od początku wojny głosi krucyatę przeciw tradycyom Bismarka. Niektóre zdania i ustępy Foerstera, wygłoszone przed dwoma lub trzema laty, mają dziś coraz pełniejszą aktualność. „Dla pokoju brak jeszcze

dziś atmosfery moralnej — pisze w jednem miejscu Foerster. — Tym wszystkim, którzy wprawdzie pragną pokoju, ale ani myślą o zmianie tonu w międzynarodowych stosunkach, tym wszystkim zdaje się zaiste, że wojna będzie trwała do godziny 7 minut 10, a pokój zacznie się o godzinie 7 minut 11; do godziny 7 minut 10 będą sobie ludzie wzajem rzucali w twarz wszelkie możliwe obelgi i oszczerstwa, a w minutę później nastanie pokój. Ci wierzący w takie cuda ludzie zapominają, że na pokój trzeba zasłużyć nie tylko czynami oręża, lecz cichymi czynami abnegacyi i uświadomienia sobie własnych grzechów, błędów i win, i że tylko w ten sposób stworzona zostanie atmosfera, w której twarde pojęcie własnego autorytetu złagodnieje, a idea nowej Europy zakorzeni się w duszach z żywotną siłą. Żaden wielki spór na świecie nie da się zażegnać, póki obaj walczący przeciwnicy nie zadadzą sobie pytania: ileż masz winy w tem wszystkiem i czem zgrzeszyłeś przeciw zasadom pokoju ziemskiego? Dopiero po takim rachunku sumienia człowiek wznosi się ponad poziom sporu, ponad zacietrzewienie uporu, i także u przeciwnika wyzwala te same uczucia, oczyszcza się z klątwy własnej przeszłości". Albo ustęp z mowy do młodzieży akademickiej: „Od początku mego zawodu uniwersyteckiego nie zajmowałem się żadnym problemem intenzywniej, jak problemem polityki a moralności, i dzięki tym studyom i obserwacyi świata w kraju i za granicą stałem się radykalnym przeciwnikiem tradycyi Bismark-Treitschke, oceniając zresztą sprawiedliwie osobistą wielkość i tragiczność tej tradycyi. Głęboko jestem przeświadczony, że o tyle tylko sprostamy naszym przyszłym zadaniom, o ile wyjdziemy poza obręb tej tradycyi, podobnie jak i inne narody wyzwolić się muszą z pod wpływu swych tradycyj mocarstwowej polityki, jeżeli Europa nie ma utonąć w odmętach krwi i szału". W innem miejscu bardzo rozumnie przepowiada, że jeżeli ta wojna nie urwie głowy podobnym tradycyom, to „przyjdzie nowy pożar świata, w którym cała ludzka kultura spłonie".

Foerster jest najwybitniejszym przedstawicielem tego zdrowego kierunku w Niemczech, ale nie jest bynajmniej sam. Może nie z tych samych idealnych pobudek, zapewne raczej z prostego

zrozumienia sprawy, że sama racya bytu domaga się odrzucenia tradycyj Bismarka, wielu myślicieli niemieckich wypowiada dziś przekonanie, że kierunek ostatniego okresu był błędny, i jeżeli chce się utrzymać współzawodnictwo i współpracownictwo z innymi narodami, powinno się z innemi hasłami stanąć wobec ludzkości. Za myślicielami poszli politycy i pewne stronnictwa niemieckie i dziś widzimy, jak zaczęła się walka z dotychczasowym kierunkiem, dążąca do rządu parlamentarnego w Rzeszy, do reformy wyborczej w Prusiech. Padła już pewna ilość praw wyjątkowych, zaczyna chwiać się kurs antypolski, a akt 5 listopada mógłby być nawet pozytywnym krokiem w tym kierunku. Najważniejszym objawem jest to, że większość parlamentarna stanęła na stanowisku pokoju bez aneksyj i uznała antymilitarną zasadę rozbrojenia po wojnie i poddania się międzynarodowym trybunałom rozjemczym.

Ale jest to jedna strona medalu. Wiemy wszyscy, że istnieje w Niemczech potężne stronnictwo aneksyonistyczne i trzymające się oburącz tradycyj Bismarka. Przeciwko Foersterowi powstał cały fakultet filozoficzny monachijski i potępił go publicznie za to, że „wyrażał poglądy na Bismarka, państwo niemieckie i jego zadania i używał zwrotów, które oburzyć muszą każdego Niemca".

Potężne na zewnątrz państwo niemieckie okazuje w tej chwili wewnątrz wielką chwiejność i rozbieżność zwalczających się wzajemnie haseł i dążności.

Rzecz naturalna przy każdem powstawaniu nowego kierunku. Chodzi tylko o to, który kierunek ostatecznie zwycięży. Nazwisko Hertlinga zdaje się być pieczęcią, gwarantującą nowy program, ale czy oznacza, że Bismark na stałe poszedł do Kanosy? Jest to zagadka, którą sami Niemcy rozwiązać muszą. Od tego rozwiązania zależy, czy ta wojna przyniesie stały pokój światu, czy po niej, jak mówi Foerster, nie „przyjdzie nowy pożar świata, w którym cała ludzka kultura spłonie".

Ks. J. Pawelski.

Jubileusz Suareza w Granadzie.

Leżały w gruzach mury Granady,
Ale Granada znów kwitnie
I pochód dziejów wyrył jej ślady,
Świat czci ich pamięć zaszczytnie.

I Granada przyjęła gościnnie z obu półkuli zastęp przyjezdnych na kongres międzynarodowy w trzechsetną rocznicę jednego ze sławnych granadyjczyków: księdza Franciszka Suareza. Poezya i proza, odczyty i przemowy, muzyka i pieśni składały się na objawy zapału, z jakim Granada cieszy się swoją chlubą przed narodami. Przy trudnych dziś stosunkach z Granadą, dowiadujemy się jednak, że już przed kongresem liczne obchody, rozpoczęte od wielu miesięcy, gromadziły uroczyście obecne pokolenie w Granadzie, aby je uświadomić o chwale ich rodzimej. Uczelnie i zakłady wychowawcze, związki obywatelskie i społeczne rozbrzmiewały imieniem męża, którego zasługę wielostronnie sławiły. Z tych jego pochwał można nabyć pojęcia, przez co Suarez zdobył rozgłos dziś wszechświatowy.

W kolegium teologicznem miał jeden z jego zarządców, ks. Dr Ventajo Milan, odczyt o Suarezie, jako o teologu Niepokalanego Poczęcia. Dziękował najprzód za zaszczyt wyświadczony teologicznemu kolegium, iż dostąpiło udziału w hołdzie składanym wiekopomnemu Granadyjczykowi, przeszedł następnie na treść odczytu, którą wysnuł z dowodów bardzo szczegółowych i rzeczoznawczo pojętych.

Po burzliwych dla niego oklaskach wystąpił ks. kan. Velo z sonetem aleksandryjskim

DO GRANADY

na trzechsetną rocznicę ks. Suareza

Już w mroku bałwochwalstwa wieńczyły się te blaski,
o których trwa pieśń wierna i pamięć nie zatarta.
O tobie w księdze dziejów wspaniała świadczy karta,
Że nie drżysz przed Maurami, nie żebrzesz u nich łaski —
Aż słońce zwycięstw zejdzie: na jego pierwsze brzaski
W bój rwą się bohatery... o! patrz, na krzyżu sparta
Chorągiew już proroka z wież Alpuhary zdarta,
Wnet przed pościgiem pierzcha za morza w skwarne piaski!
Z nauką odtąd cnota — to perły w twej koronie,

Bo świętych oraz mędrców piastujesz wciąż na tronie;
A ileż stolic sławnych prześcigasz wieczną chwałą,
Iż zastęp twój uczonych Suareza ma na przedzie!
Bo sam ten olbrzym pracy w tór zasług setki wiedzie,
Pochodnią dzieł bez liku oświeca ziemię całą!

Ledwo przebrzmiały oklaski, gdy ks. Dr. Medina Olmo rozpoczął odczyt od pochwał oddanych innym uczelniom, iż również uroczyście obchodziły trzechsetlecie wielkiego Granadyjczyka i świetnie go opisały, ale niewyczerpana jego sława pozostawia jeszcze olbrzymi przestwór dla mowców i pisarzy, więc postanowił wyszczególnić piętna Suareza jako prawnika. Przyznał, że Suarez w teologii i filozofii spotyka prócz wielbicieli także przeciwników, opatrzonych w zarzuty, ale co jednogłośnie przypisują mu i swoi i obcy, o czem nikt nie wątpi? oto że dzieło jego w dziedzinie prawa stanowi piętno właściwe jego sławy, najwznioślejszy pomnik umysłu w nim olbrzymiego, utwór najumiejętniejszy i doskonały, za który mu przystoi miejsce przednie w gronie uczonych. Suarez wiedzą swoją wyczerpał wszystkie źródła, odkrywane wiekami aż po jego czasy. Filozofia grecka, prawnictwo rzymskie, rozprawy scholastyczne dostarczyły mu całej treści i myśli przewodniej w jego nauce: nieporuszyły zagadek, nie wprowadziły zasad, nie wprowadziły zasad, którychby Suarez nie dostrzegł. Dzieło jego „De legibus ac de legislatore", choć pisane dopiero w późnem wieku, wypadło tak znakomicie, że za nie samo Suarez zasłużyłby na miano „Doctor eximius". Okazał w tem dziele umysł niezwykle przestronny, a zarazem głęboki. Objął rozmiar całej wiedzy na polu wtedy obrobionem, a nie powierzchownie rzucił okiem na jakibądź zagon czy bruzdę: wglądnął w każdy szczegół dokładnie a przy tym rozbiorze analitycznym trzymał ciągle przed okiem nić związku z myślą przewodnią i złożył z pojedynczych rozpraw budowlę wykończoną, jako mistrz syntezy.

Słuchacze niezwykłym grzmotem oklasków dziękowali za odczyt, a obecny arcybiskup Mesiguer y Costa zabrał nadto głos w krótkiej przemowie, aby za wszystkie odczyty dziękować i zachęcić obecną młodzież do pracy wzorem uczonego rodaka.

Młodzież hymnem suareziańskim żegnała gości.

Niebawem Związek społeczny zebrał członków i gości na obchód trzechsetlecia.

Pierwszy z mowców, p. Lasheras, oświadczył na wstępie, że z wielką uciechą spieszy ze swoim objawem czci dla sławnego Suareza, chluby

i dumy miasta Granady, zatem przemówił o wyjątkowej potędze umysłowej Suareza, który obeznany z całym światem poglądów, pojęć i zasad dostrzegł nieodzowną potrzebę socyologii, to też jako socyolog wykończony przedstawia się w dziełach „De legibus“ i „Defensio fidei“. Pamięć jego nie rozpowszechniła się jeszcze wobec szczupłej liczby umysłów zamiłowanych w najściślejszej nauce: oto czemu imię Suareza nie doczekało się uroczystej czci przez wyrok, że zjednało Granadzie chwałę najrzetelniejszą i urok najtrwalszy; oto dlaczego p. Lopez-Doriga, przewódca Granady w pracy narodowej i społecznej, powziął myśl o międzynarodowym kongresie na cześć tego syna Granady, aby podnieść promienną i świetlaną postać olbrzyma, który przez naukę wzbił wysoko imię rodzimego miasta. Zakończył uwagą, że cześć oddawana Suarezowi z ognistym zapałem, godnym najrzęsistszych oklasków, to czyn iście patryotyczny, pokłon przed wielką ojczyzną, umiłowaną z całego serca.

Wymowne słowa wywołały najhuczniej oklask i dziękczynne okrzyki.

Następnie p. Aneas rozpoczął od uwagi, że słyszy, jak wszystkie dzielnice hiszpańskie ubiegają się o zaszczyt, żeby w Suarezie upatrzyć odblask ducha własnego, otóż odpowiada, że Suarez zjawił się jako wytwór umysłu andaluzyjskiego: zatem wyszczególnia piętna ludu w Andaluzyi i zdaje sprawę ze znamion ich osobliwych, odpiera zwracane na Andaluzyę zarzuty i wnosi, że ta kraina stanowi odrębną jednostkę narodowościowo. Otóż Suarez wytknął drogę, która prowadzi do decentralizacyi rządów; za jego przewodem sławetne miasta dotrą do kresu gorących zamiarów: w dziełach i nauce Suareza znajdą niezbite dowody na obronę samorządu Andaluzyi.

Gdy z kolei przychodził do głosu p. Lopez-Doriga, przewodni duch obchodów i kongresu, budynek cały drgał w burzy oklasków i powitalnych okrzyków. Zaraz wdzięcznie odpowiedział, że każdy członek Związku, jako Granadyjczyk, spełnia obowiązek przez uczestnictwo w obchodach, odbywanych tak wspaniale z ognistym zapałem. Zatem odczytał rozprawę o Suarezie jako socyologu; znajduje całkowitą socyologię u niego, choć nie zebraną w dziele osobnem, przecie podaną w ustępach ksiąg „De legibus ac de Deo legislatore“, „Defensio fidei catholicae“, „De virtute charitatis“ i w cennem dziele „De instituto Soc. Jesu“. Ustawia tedy odpowiednie ustępy w porządku przedmiotowym, wyłuszcza, co Suarez rozumie przez ustrój społeczny i wszelakie jego odmiany, określa pojęcia pojedynczych ustrojów i bada stosunki

między nimi; zwraca uwagę na zasadę samorządu u Suareza; z nim broni poglądu, że nastać może i rzeczywiście ma powstać zrzeszony powszechnie ustrój społeczeństwa narodów; zdaje sprawę z pojęcia o powszechnym sądzie rozjemczym, wykłada zasady Suareza o wojnie i wyjaśnia je na obecnych zapasach narodów. Zakończył stanowczą odezwą Suareza do katolików wraz z jego wywodem, że do Kościoła należy wszczynać pojednawcze zabiegi w zamieszce wojennej.

Zapał słuchaczy przerywał mowcy wybuchami oklasków a przeszedł w tryumfalne okrzyki dziękczynne za odczyt niepospolity.

Ale nad wszystkie obchody podobno najświetniej wypadł hołd wszechnicy, złożony okazale i uroczyście sławnemu Granadyjczykowi.

Profesor prawa międzynarodowego, Torres Campos, wygłosił odczyt o Suarezie, jako poprzedniku Grotiusa. Przedstawia zawiązki rzeczowego prawa u rzymskich „feciales", dalszy rozwój w dekrecie Graciana, coraz szersze pojęcia u św. Augustyna, rozrost ich w prawie kanonicznym, wskazówki najdobitniej dostosowane do potrzeb u św. Tomasza, nakoniec ich wykład u Suareza. Kończy wnioskiem, że przesławny myśliciel granadyjski zdobył pierwszorzędne miejsce w bibliografii prawa narodów i dał mu wyraz najdoskonalszy o tyle, o ile on wiąże się z teologią. Po długotrwałych oklaskach przemówił prof. De los Rios o poglądzie Suareza na władzę państwową: że oczywiście od Boga pochodzi wszelka władza mocarzy, ale nie bezpośrednio, tylko przez społeczeństwo; gdy się to tworzy jako osobny ustrój państwowy, tedy powierza nad sobą władzę wybrańcowi, ale zawsze odpowiedzialnemu przed niem, a nigdy nie uprawnionemu do samowoli; niesprawiedliwy jego rozkaz nie obowiązuje nikogo.

Wobec trudnych przy wojnie stosunków z Hiszpanią, na powyższych szczegółach poprzestać wypada. C.

Międzynarodowe komitety niesienia pomocy.

Odpoczynkiem dla duszy, zmęczonej ciężką atmosferą wojny, choćby oczy nie oglądały bezpośrednio jej grozy i zniszczenia — pokrzepieniem dla serca, ściskającego się żalem i współczuciem dla tylu jej ofiar, jest zatrzymać się chwilę przy tych dowodach chrześcijańskiej miłości bratniej, która wśród szczęku broni i rozpętania nienawiści snuje swoje miłościwe dzieło. Trudno dziś, a nawet niepodobna objąć całokształtu prac przedsięwziętych w krajach neutralnych lub wojujących

dla niesienia ulgi cierpieniom chwili — dobrze choć niektóre poznać, zagrzać wolę do naśladownictwa i rozjaśnić duszę nadzieją, że przyszłość z tych usiłowań, miłością natchnionych, zaczerpnie siły do odbudowy tylu zniszczonych kształtów życia. „Międzynarodowa Agencya dla jeńców wojennych (Agence internationale des prisonniers de guerre), założona w Genewie w jesieni 1914 r. stała się prawdziwą opatrznością dla całych zastępów ludzi, cierpiących skutkiem gwałtownego rozdziału z bliskimi i dojmującego niepokoju o ich los, a przytem pozbawionych wolności. Agencya pracuje pod egidą międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża, zajmując przeszło 300 ochotników z różnych warstw społecznych, wspomagających swym czasem i trudem miłosierne dzieło. Dziennie przechodzi przez ich ręce przeszło kilkanaście tysięcy listów od rodzin do jeńców i vice-versa, oraz mnogie przesyłki pieniężne.

Za pomocą tego dzieła pokoju, przez zebrane informacye, przez bezstronną znajomość faktów, wpływa na złagodzenie nienawistnych uczuć i uprzedzeń i często skierowuje na właściwą drogę prądy dobroczynności publicznej czy prywatnej. Pokrewnem tej agencyi dziełem jest opieka, rozciągnięta nad jeńcami cywilnymi i internowanymi, których śmiało nazwać można pariasami wojny. Są oni innowacyą jej, dotąd nieznaną i dlatego na razie nic nie przygotowano dla złagodzenia tej ciężkiej doli. Pierwsza inicyatywa w tym celu wyszła od Dra Ferriere w Genewie, około którego zebrało się grono ludzi dobrej woli. Na razie sporządzano spisy zaginionych, starano się wszelkiemi siłami dotrzeć do miejsca ich internowania, by módz nakoniec nawiązać nici pomiędzy rozerwanemi rodzinami.

Obecna wojna wykopała istną przepaść pomiędzy Anglią i Niemcami, a przecież i pomiędzy nimi nawiązały się najszlachetniejsze węzły wzajemnej pomocy, niesionej nieprzyjacielowi. We dwa dni po wypowiedzeniu wojny powstało w Londynie stowarzyszenie, zawiązane z inicyatywy arcybiskupa z Canterbury i wybitnych osobistości z grona posłów do parlamentu i członków arystokracyi. Związek ten nosi nawę: „Emergency Committee for the Assistance of Germans, Austrians and Hungarians in Distress (Komitet niesienia pomocy potrzebującym jej Niemcom, Austryakom i Węgrom), płaci koszta podróży do kraju rodzinnego osobom cywilnym, pozbawionym funduszów, stara się o odpowiednią opiekę w tej podróży dla samotnych kobiet niemieckich, wyszukuje im, o ile zostają w Anglii, odpowiednią pracę i zarobek. W pierwszych miesiącach wojny, tj. tylko do końca grudnia 1914 r. wydano na ten cel około 200.000 K. Subkomitety z łona tego Związku odwiedzają obozy

jeńców, ułatwiają korespondencyę pomiędzy wojującymi krajami, a na pierwsze Boże Narodzenie w okresie wojennym oddano internowanym „nieprzyjaciołom" przeszło 20.000 pakietów i 200.000 choinek.

Inne stowarzyszenie angielskie, istniejące jeszcze przed wojną p. n. „Society of friends of foreigners in distress" (Związek przyjaciół cudzoziemców w potrzebie) utrzymuje stale 1500 ubogich rodzin niemieckich i austryackich, mieszkających w Anglii. Wreszcie, centralne londyńskie biuro „Ligi dla prawa wyborczego kobiet" oddało czasu wojny wielkie usługi kobietom cudzoziemkom, płacąc znacznej ich liczbie koszta powrotu do ojczyzny.

W Niemczech powstało w Berlinie analogiczne biuro dla informacyi i pomocy Niemcom na obczyźnie i cudzoziemcom w Niemczech. „Auskunft- und Hilfestelle für Deutsche im Ausland und Ausländer in Deutschland". Pomiędzy członkami tego stowarzyszenia czyta się nazwiska z arystokracyi rodowej i umysłowej Niemiec. Na jego czele stoi kobieta o szerokiej wiedzy i prawdziwie religijnym duchu, Dr Elżbieta Rotten. Oto w jakich słowach upomina się o prawo pełnienia swego podniosłego zadania:

„Od początku wojny odczuliśmy obowiązek zajęcia się obcokrajowcami, walczącymi w Niemczech z mnogiemi trudnościami. Wysiłki nasze są równie niepopularne u nas, jak i w innych krajach. W chwili gdy cały nasz naród stawia czoło nieprzyjacielowi, wielu uważa, że zbytecznem jest zajmowanie się poddanymi państw wrogich ponad najściślejszą konieczność.

Nam jednak nietylko myśl o naszych rodakach, cierpiących na obczyźnie, jest bodźcem w naszej działalności, ale także pragnienie oddania przyjacielskich usług (Freundesdienste) tym, którzy cierpią niewinnie z powodu wojny. Każdy, kto potrzebuje naszej pomocy, jest naszym bliźnim także i w czasie wojny, a miłość nieprzyjaciół (Feindesliebe) jest zawsze znamieniem tych, którzy wierzą w Boga i służą Mu.

Zdołaliśmy uspokoić wiele rodzin niemieckich co do losu ich członków, znajdujących się w krajach nieprzyjacielskich, a w zamian podać do wiadomości cudzoziemców, że ich bliscy znajdą w nas pomoc, o ile jej potrzebują w naszym kraju. Oddaliśmy niejednokrotnie bliźnie usługi (Nächstendienste) wielu niewinnym „wrogom", w których widzimy nieszczęśliwych braci i siostry...

Poza praktyczną pomocą, której udzielamy, jest dla nas pociechą i pokrzepieniem duchowem módz iść za głosem ludzkości i miłości bliźniego. Tragedya, rozgrywająca się na świecie, napełnia nas religijnym

szacunkiem dla cierpień ludzkich, a równocześnie rozszerza nasze dusze, budząc w nich współczucie i pragnienie niesienia pomocy i ulgi.

To pragnienie nie zna i nie uznaje granic, a wytryskuje z tem większą siłą tam, gdzie w cudzem cierpieniu znajdujemy podobieństwo z naszem własnem. Pierwiastek, łączący ludzi, głębsze ma korzenie niż ten, który ich dzieli. Możność opatrywania ran, które zmuszeni jesteśmy zadawać, oraz przeświadczenie, że tak samo dzieje się i w kraju nieprzyjacielskim, są nam rękojmią, że zaświtają lepsze dni, zbroją nasze męstwo i budzą nadzieję, iż przyszłość zbuduje mosty, po których ludzie, dziś rozdzieleni, przejdą, by połączyć swe siły do wspólnego błogosławionego działania". *Helena Skolimowska.*

Z wystawy „Powszechn. Związku Artystów pol's",

Na nieustającej wystawie „Związku" przeważają od pewnego czasu obrazy treści religijnej, a na wiele z nich i to bardzo dobrych miałem już sposobność na tem miejscu zwrócić uwagę. Objaw to pocieszający, bo dowodzi, że ten rodzaj malarstwa naszego nie leży odłogiem, czego można się było obawiać w ostatnich latach.

Perłą obecnej wystawy jest obraz napoły religijny, napoły rodzajowy, Olszewskiego, „Św. Rodzina jako przykład pracy". Gdyby technika była dopisała sentymentowi artysty, możnaby ten obraz nazwać doskonałym. Tymczasem jednak autor tego obrazu wypłatał sam sobie figla. Zamierzając bowiem być bardzo oryginalnym, namalował swój obraz w ten sposób, że czyni wrażenie wypełzłej w słońcu akwarelli, lub też jak gdyby był przysłonięty gazą. W tym wypadku można domyślać się dobrych intencyj autora, który, poza treścią obrazu, pragnął wywołać szczególny nastrój także za pomocą techniki, oryginalnej wprawdzie, ale aż do przesady delikatnej. Eksperyment jednak się nie udał, a szkoda, bo w obrazie tym, po mozolnem wpatrywaniu się, odkrywamy pierwszorzędne zalety. Składają się na nie: prześliczna postać P. Jezusa, młodzieniaszka 13-letniego, dźwigającego deskę, piękne tło krajobrazowe, wreszcie prosty, jasny układ kompozycyi i ogólny, naprawdę religijny nastrój. Malarz, tak starannie komponujący swój obraz, jak Olszewski, powinien uważać, aby każdy w nim szczegół był umotywowany. Otóż, zaznaczam, że piłka i siekiera zamieszczone są tak wysoko na słupie werandy, gdzie Św. Rodzina pracuje, że Św. Józef, chcąc je tam zawiesić, lub zdjąć, musiałby używać drabinki. Jestto drobnostka, ale nonsensowa, takich póz powinien każdy malarz unikać

Z prawdziwą ciekawością należy oczekiwać, co następnie wystawi Olszewski, gdyż omawiany obraz, mimo pewnych usterek wykonania, dużo zapowiada.

„Syn marnotrawny" Hofmana należy do jego udatniejszych obrazków o tyle, że myśl jego tłómacy się jaśniej cokolwiek, niż zazwyczaj na innych kompozycyach tego artysty. Nie byłby jednak Hofman sobą, gdyby nie zostawił widzowi pola do domysłów. Niewiadomo tedy, czy ów, bijący czołem o ziemię chłopiec klęczy przed figurą drewnianą, czy też przed inną postacią. Zresztą sam chłopiec jest, jak „drewniany", twardy w liniach, płaski w modelunku. Ołowiano-brudnawe niebo, odrzynające się ostro od sucho malowanego terenu, tyle już razy oglądało się na obrazach i obrazkach tego artysty, że byłby już czas, aby w tłach swych kompozycyj zaprowadził jakąś zmianę, aby przestały być „robione" wciąż wedle tego samego szablonu.

Stachiewicz dał trzem głowom, rysowanym czerwoną kredką, ogólny tytuł: „Przenajświętsza Rodzina". Główka Dzieciątka Jezus oraz głowy N. Maryi P. i św. Józefa doprowadzone są do możliwie dokładnego wykończenia, tak, że możnaby je, jak miniatury przez lupę oglądać. Wobec dziś powszechnego lekceważenia rysunku w malarstwie i przy pogardzie, jaką okazuje się wykończeniu — są te rysunki czemś zaiste osobliwem i przez swą odrębność cofają wstecz widza o lat kilkadziesiąt. Ponieważ zaś jeszcze niecały nasz ogół należy do zwolenników najnowszego, rozwichrzonego malarstwa, przeto prace Stachiewicza znajdują jeszcze zwolenników. I nic w tem dziwnego, bo tak starannie rysować, nawet ze spółczesnych mu malarzy niewielu musiało — o młodszej generacyi niema co wspominać, gdyż dla niej rysunek i kontur nie istnieją.

Zbiorowa wystawa prac Bukowskiego daje poznać tego zdolnego artystę jako dekoratora wnętrz kościelnych, jako autora projektów rozmaitych prac z zakresu przemysłu artystycznego oraz jako ilustratora. Z pomiędzy licznych projektów polichromii kościołów najwięcej mogącym Krakowian zainteresować, jest projekt polichromii w nowym kościele OO. Jezuitów na Wesołej. Ponieważ kościół ten, gdzie pomieniony projekt wielobarwności został wykonany, zapewne już niezadługo będzie można oglądać, nie wydaję przeto o nim sądu, a stwierdzam jedynie, że swą bezstylowością odpowiada zupełnie owemu kościołowi. Najlepszymi, sądziłbym, są projekty na polichromię: kościółka św. Józefa w Krakowie (już wykonany) i kościoła parafial-

nego w Bochni. Mniej udatnym jest projekt dekoracyi kościoła w Zawierciu, a zupełnie chybionym projekt wielkiego ołtarza do tegoż kościoła, niby to gotyk „flomboryant", właściwie zaś jakiś „barok" gotycki. Bukowski znanym jest oddawna jako zręczny kompozytor inicyałów i rozmaitych ozdób drukarskich. W tym rodzaju wystawił teraz ładnie ozdobiony tekst pieśni „Bogu Rodzica" z przeważającymi motywami romańskimi. Najmniej odpowiadają rodzajowi talentu tego artysty witraże. Wystarczy, aby się o tem przekonać, spojrzeć na taki projekt witrażu z Matką B. Ostrobramską. Ta pewna delikatność, powiedziałbym, nieśmiałość w robocie, przez którą gdzieindziej osiąga dobre efekty, zawodzi w witrażach. Tam koniecznym jest wigor w rysunku i barwie.

Tego wigoru aż zawiele posiada M e h o f f e r, tak, że jego witraże czynią wrażenie czegoś chaotycznego, mającego pretensyę do monumentalności, ale nie posiadającego onej „grandezzy", właściwej witrażom takiego n. p. Wyspiańskiego. Na pierwszy plan śród obecnie wystawionych projektów wysuwają się „Witraże do kaplicy cmentarnej w Opawie". Innymi są wprawdzie wymagania kompozycyi witrażowej, niż kompozycyi obrazu, ale i od niej wymagać wolno, aby była jasną, aby się tłómaczyła, aby było widać, co i jak artysta chciał wyrazić. O tem wszystkiem widz się nie dowie z witrażów Mehoffera bez ustnego lub pisemnego komentarza. I tak, wspomniane witraże mają przedstawiać „Zaśnięcie Matki Boskiej", „Sprawiedliwość i miłosierdzie", „Wiarę, nadzieję i miłość". Bez objaśnienia niktby się tego nie domyślił. Podobnie niezrozumiałym jest także „Projekt witrażu do kaplicy Błog. Wincentego Kadłubka" na Wawelu, gdzie alegorya z symbolistyką walczą o lepsze. Artysta, zdaje się, przytem zapominać, że w i t r a ż e n i e s ł u ż ą t y l k o d o z a c i e m n i a n i a w n ę t r z a, o n e b o w i e m p o w i n n y p r z e p u s z c z a ć d o ń p e w n ą i l o ś ć ś w i a t ł a. Aby zaś to osiągnąć, musi być natężenie barw na witrażach miarkowane. Gdy zaś Mehoffer zupełnie na to nie zważa, jego witraże są zamało przeźroczyste, za ciężkie co do tonu i barwy, wogóle, za ciemne.

Dziesięć pasteli T u r k a, odtwarzających zabytki Krakowa, tworzy bardzo sympatyczną kolekcyę, w której zresztą każdy pastel tworzy dla siebie całość.

G u m o w s k i e g o kilka dzielnie rysowanych autolitografij ze szkicami miejskich kościółków, kapliczek przydrożnych itp. zwraca na siebie uwagę malowniczem ujęciem tematu.

Cały, ogromny zasób środków artystycznych, którymi rozporządza Małachowski przy malowaniu widoków morskich, daje się ocenić w jego przepysznem płótnie „Po burzy". Pierwszy promień słońca przebija złowrogie chmury oddalającej się burzy, morze prawie się uspokoiło, tylko krótkie jego fale uderzają o brzeg piaszczysty, na który wyrzuciły próżną łódź rybacką... dookoła pustka, smutek bezbrzeżny... próżna łódź świadczy o tragedyi, jaka rozegrała się gdzieś blisko... Jednem słowem, obraz kapitalny i pod względem nastroju i pod względem wykonania. Tegoż artysty malutki „Widok mostu podgórskiego" o zmroku jest arcydziełem kolorystycznem, artysta odtworzył bowiem na nim w sposób mistrzowski tę tak trudną do pochwycenia porę gasnącego dnia a zbliżającej się szybko nocy.

„Chrystus na krzyżu" Raszki jest modelem do powiększonej wielokrotnie figury, która stanęła na tęczy w nowym kościele OO. Jezuitów w Krakowie. Z tak stosunkowo małego modelu nie można wyrobić sobie pojęcia, jak wygląda na miejscu figura ogromnych rozmiarów.

Doskonale modelowany i śmiało cięty w marmurze biust roboty Gettera, nazwany przez niego „Św. Janem Chrzcicielem" jest co się tyczy strony technicznej pracą poważną i prawie bez zarzutu. Inaczej zaś ma się rzecz z tytułem, jestto bowiem chłopak o wybitnym lecz pospolitym typie semickim, którego twarz nie tylko nie zdradza jakiegokolwiek uduchowienia, ale, owszem, posiada wyraz tępy i osowiały.

ka.

Ze świata nauk i wynalazków.

Biały węgiel. — Siły wodne Europy. — Nowy olbrzymi teleskop Mt. Wilson w Ameryce. — Hojny ofiarodawca. — Zwierciadło astronomiczne. — Podstawa i kopuła nowego teleskopu. — Nadzieje na przyszłość. — Najnowsza ocena liczby gwiazd.

Odszkodowanie, czyto pojedynczych krajów, czy też jednostek za poniesione straty na wojnie, chociaż ze stanowiska społecznego i etycznego konieczne, jest przecież, patrząc na rzecz z ogólnoludzkiego punktu widzenia, niczem innem, jak tylko rozłożeniem poniesionych strat na wszystkie warstwy społeczeństwa, które z wojny, zarówno zwycięskiej, jak i nieszczęśliwej, musi wyjść ogromnie zubożałe. To też właściwego odszkodowania społecznego trzeba szukać nie

w pieniądzach i złocie, jak to już na tem miejscu podnosiliśmy, lecz w zmożonej wydatności pracy i w wyszukaniu ile możności jak najtańszych źródeł energii. Czasy ponapoleońskie znalazły takie źródło w maszynie parowej, pędzonej węglem kamiennym. Obecnie maszyna ta należy już do starego inwentarza dzisiejszego gospodarstwa społecznego, wchodzi w jego kapitał zakładowy, a więc na nowe conto wliczoną być nie może. I niema niestety na razie nic w naukach fizycznych i chemicznych takiego, coby dawało nadzieję pomyślniejszej kalkulacyi na przyszłość. Jedynie zostaje tylko jedno, to jest tak zwany biały węgiel, czyli energia, którą zaczerpnąć można z płynących wód.

Z energii wodnej korzystano bardzo dawno, a wodne młyny, kuźnie, tartaki, w najdalszych zakątkach Europy i innych krajów pomagały człowiekowi w pracy już wtedy, gdy o maszynach parowych jeszcze nic słychać nie było. Ale czerpanie tej energii odbywało się bardzo nieudolnie, jak gdyby wiadrem na kiju, bo umiano tylko przemieniać energię wodną wprost na energię mechaniczną, pędzącą w ruch bardzo nieudolne przyrządy. Nadto i do tych źródeł przybliżano się bardzo nieśmiało, atakowano przeważnie tylko małe strumyki lub rzeczki, bo wielkich zbiorników nie dało się środkami ówczesnej techniki okiełznać i w służbę człowieka zaprzągnąć. Dziś im źródło energii większe i gwałtowniejsze, tem lepiej; technika daje sobie z nimi radę tak, jak poradziła sobie z Niagarą. Że zaś energię mechaniczną wody przemienia się na elektryczną, więc otrzymuje się do rozporządzenia olbrzymie masy energii użytecznej w formie nadzwyczaj dogodnej, bo można ją łatwo przenosić po cienkich drutach o dziesiątki i setki kilometrów. Nadto najnowsze odkrycia z dziedziny chemii czystej i elektrochemii pozwalają użyć tej energii elektrycznej do wytworzenia rozmaitych związków chemicznych, niezmiernie ważnych w gospodarstwie społecznem, których przedtem albo całkiem nie znano, jak np. karbid, służący do wytworu acetylenu, albo też musiano bardzo drogo i uciążliwie wyrywać je w stanie gotowym z łona przyrody, jak metale niektóre, a zwłaszcza związki azotowe, tak zwane nawozy sztuczne, mające dla rolnictwa, zwłaszcza przy dzisiejszem intenzywnem gospodarstwie, znaczenie wprost pierwszorzędne.

Zwrócenie się choćby bardzo intenzywne do wyzyskiwania wodnych źródeł energii nie sprawi ani w przybliżeniu takiego przewrotu, jaki powstał pod wpływem pojawienia się maszyny parowej, ale stanowić ono będzie wielki dodatek do czynnego majątku społecznego.

O tej sprawie mówiono i radzono wiele już na kilka lat przed rokiem 1914 i jak zwykle, inni radzili, a Niemcy robili i dziś, według obliczeń francuskich i angielskich, Niemcy wyzyskują już 30 procent całkowitej siły wodnej, jaką u siebie mają do rozporządzenia, podczas gdy najwyżej pod względem eksploatacyi białego węgla stojąca Francya ujarzmiła tylko 10 procent tej siły, a inne kraje Europy, nie mówiąc już o nas, daleko mniej. My, jak zwykle, czekamy, aż obce kapitały do kraju przyjdą i sprawę zagarną dla siebie i potem albo będziemy bezradnie załamywać ręce, albo za drogie pieniądze nasze wody z rąk obcych wykupywać. Musimy spolszczać polski węgiel, polską naftę, a potem kiedyś przyjdzie do konieczności spolszczenia rzek i strumieni polskich.

Mimo ucisku, w jakim teraz Francya się znajduje, sprawą tą wyzyskania źródeł energii wód zajmują się tam żywo i nie zważając na wysokie ceny materyałów i robotnika, instalacye wodne starają się rozszerzyć. Bodźcem do tego jest tam zresztą i ta okoliczność, że prawie trzy czwarte kopalń węglowych francuskich znalazło się w ręku nieprzyjaciela, a i w czasach pokojowych Francya zawisłą jest od węgla obcego. Odpowiednio do tego także i teoretyczna strona kwestyi jest tam przedmiotem dokładnych roztrząsań, a dla nas najciekawsze są może z tego cyfry, jakie w tym celu zestawiono [1]). Rozpatrując wszystkie źródła wodne rozmaitych krajów, pokazało się, że we Francyi wydać one mogą 9,200.000 koni i to conajmniej w przeciągu 180 dni rocznie, a więc Francya jest pod tym względem najbogaciej uposażona ze wszystkich państw europejskich. W Norwegii bowiem z wody otrzymać można 7,500.000 koni, w Szwecyi 6,750.000, w monarchii austryacko-węgierskiej 6,450.000 koni, we Włoszech 5,500.000 koni, w Hiszpanii 5,000.000 koni, w Szwajcaryi 1,500.000 koni, w Niemczech 1,425.500 koni, w Brytanii 396.000 koni. — Dla eksploatacyi tej siły ważną jest okoliczność, czy w danym kraju jest wielka liczba możliwych do wyzyskania rzek i wodospadów, lecz są one słabe, czy też raczej ma się do rozporządzenia chociażby nieliczne, ale potężne masy płynącej wody, o bardzo wysokim spadzie. Tylko drugi rodzaj kopalni białego węgla może mieć znaczenie większe dla wielkiego przemysłu. By jasno zdać sobie sprawę ze stosunków pod tym względem, ułożono statystyczne tabele, które wykazują, ile koni otrzymać można z energii wodnej na jednym kilometrze kwadra-

[1]) Podajemy je za londyńską „Nature“ z 4 paźdz. 1917, str. 94.

towym danego kraju. Pokazuje się, że największe skupienie sił wodnych wykazuje Norwegia, bo średnio 36,6 koni na przestrzeni jednego kilometra kwadratowego, następnie Francya z 25 końmi na takiej samej przestrzeni, przyczem w samych tylko okolicach alpejskich Francya ma do rozporządzenia 4,000.000 koni, Szwecya 20 koni na kilometrze kwadratowym, monarchia austryacko-węgierska 19,46 koni, Hiszpania i Włochy po 10 koni, Anglia i Niemcy do 3 koni na kilometrze kwadratowym.

Ważne i ciekawe jest pytanie, jakim ilościom węgla odpowiadają powyżej wymienione konie, to znaczy, ile węgla trzeba zużyć, by zapomocą parowej maszyny wytworzyć taką siłę, jaką bezpośrednio zaczerpnąć można z siły wodnej. Najnowsze maszyny parowe, turbinowe, zwłaszcza wielkie, zużywają tylko pół klgr. węgla na konia i godzinę. Jednak w obliczeniach naszych nie można ograniczyć się na indywidualnej maszynie, lecz trzeba rzucić okiem na całokształt gospodarstwa społecznego i zauważyć, że te pół kilograma węgla, które znajduje się już w piecu maszyny, musiało samo zużyć niejako wielką ilość pracy, zanim z kopalni na ognisko maszyny się dostało, bo trzeba je było maszynami i pracą robotnika, także do swych celów potrzebującego węgla, z kopalni wydobyć, następnie kolejami parowemi lub statkami do fabryki dowieźć i t. d. Biorąc pod uwagę wszystkie takie okoliczności, oblicza ekonomista francuski Loucher, że jeden koń parowy, wytworzony przez parową maszynę, odpowiada całkowitemu zużyciu dwu i pół kilograma węgla z kopalni. Ażeby więc otrzymać pracę 9,200.000, to jest taką, jakiej dostarczają siły wodne Francyi, potrzeba w ciągu godziny zużyć 20.000 ton węgla, czyli 180 milionów ton, a więc 18 milionów wagonów węgla rocznie. Ponieważ roczne zapotrzebowanie węgla we Francyi ocenić można na 30 milionów ton rocznie, więc teoretycznie biorąc, możnaby całkowitą ilość węgla czarnego zastąpić we Francyi węglem białym. Jednak nie trzeba zapominać, że są okoliczności, w których węgiel kamienny jest konieczny, w większości wszakże wypadków możnaby całe gałęzie przemysłu i prawie wszystkie koleje żelazne utrzymywać w ruchu prądem elektrycznym, otrzymywanym stosunkowo tanio z motorów wodnych. Nadto elektryczność, używana do ogrzewania i gotowania, jest i będzie zawsze zbyt drogą, by nią można zastąpić węgiel, gdyż na przeróbce energii chemicznej, zawartej w węglu, na prąd, a następnie prądu tego znowu na energię cieplną do ogrzewania, strata jest ogromna, tak, że gdyby się chciało zapomocą prądu elektrycznego otrzymać tyle ciepła,

ile wytwarza jeden kilogram węgla, spalony wprost w piecu, potrzebaby zużyć tyle prądu, że na jego otrzymanie musi się zużyć obecnie około 10 kilogramów węgla z kopalni. Do innych jednak celów, zwłaszcza do wykonywania pracy zapomocą motorów elektromagnetycznych i do działań elektrochemicznych, energia prądu elektrycznego, czerpana z węgla białego, byłaby znacznie tańszą, niż energia z maszyny parowej, poruszanej węglem.

Przed wojną kilowat-godzina, to jest 1000 watów na godzinę, otrzymywane z instalacyi wodnej, kosztował około 20 razy taniej, niż czerpane z maszyn elektrodynamicznych, poruszanych maszynami parowemi. Dziś stosunek ten zmieni się nieco z powodu znacznej ceny materyałów. Nowe instalacye elektro-wodne wymagają bardzo dużo miedzi, tak do maszyn, jak i do przewodów, a cena miedzi dopiero chyba w kilka lat po wojnie znacznie spadnie. Jednak z pewnością przemysł wytęży usiłowania w kierunku węgla białego, tem bardziej, że ze stanowiska ogólno-ludzkiego przedstawia on jeszcze jedną korzyść niezmiernie ważną. Oto zapasy węgla w ziemi, chociaż olbrzymie, przecież nie rosną, lecz owszem gwałtownie ulegają wyczerpaniu i jeżeli będzie się węgle zużywać w takiem tempie, jak obecnie, to najśmielsze obliczenia obecnej pojemności wielkiej części znanych kopalń tylko na jakie 600 lat rokują nadzieję; potem ludzkość byłaby bez węgla, a więc musiałaby poprostu większość ludzi wyginąć, a reszta wyrzec się życia cywilizowanego. Tymczasem źródła węgla białego wcale się nie wyczerpują i wyzyskując je w zupełności, ani potomności, ani nikomu krzywdy nie czynimy, lecz owszem zaoszczędzamy dla potomności węgiel kamienny, dla niektórych celów niezbędny.

Ameryka, która wszystko chce mieć rozmiarami jak największe, dominuje obecnie i w dziedzinie astronomii dzieła rekordowego. Czasopisma naukowe przynoszą mianowicie opis senzacyjny największego na świecie teleskopu, tak zwanego reflektora, jaki tam kończą już montować w obserwatoryum Mt. Wilson. Zwierciadło wklęsłe tej wielkiej Bestyi astronomicznej posiąda przekrój 100 cali, to znaczy przeszło półtrzecia metra, podczas gdy największy reflektor dotychczas używany, miał zwierciadło o przekroju 60 cali, a więc o połowę prawie mniejsze. Historya powstania tego teleskopu jest niezmiernie ciekawą, z tego zwłaszcza względu, że daje ona zarazem obraz trudności, jakie zbudowanie takiego przyrządu przedstawia. Dlatego przytoczymy

tu główne jej momenty, idąc za sprawozdaniem, jakie główny aktor tego dramatu, prof. Hale, podaje w londyńskiej „Nature“ [1]).

Obserwatoryum na Mount Wilson w Kalifornii, na wysokości 6000 stóp czyli 1828 metrów ponad poziom morza, założyła w r. 1904 Carnegie Institution, amerykańska instytucya naukowa, ufundowana kosztem 50 milionów koron przez znanego amerykańskiego miliardera, Andrzeja Carnegie. Jest ono już z wielu względów sławne w astronomii. Przedewszystkiem dyrektorem jego jest wybitny astronom, prof. G. E. Hale i pod jego właśnie kierownictwem skonstruował G. W. Ritchey największy dotychczas reflektor, mianowicie reflektor, opatrzony zwierciadłem wklęsłem o przekroju 60 cali, czyli 152 cmtr. i mający długości ogniskowej 25 stóp (7 m. 62 cm.) a ważącem przeszło 1000 kilogramów. Doświadczenia, jakie tak prof. Hale, jak i konstruktor Ritchey poczynili z tym największym dotychczas przyrządem astronomicznym, były tak zachęcające, że zaczęto zabawiać się projektem, by jeszcze większą astronomiczną zbudować lunetę, mianowicie opatrzoną w zwierciadło wklęsłe o przekroju 100 cali. Trzeba jednak było znaleźć fundatora takiego, któryby nietylko przeznaczył większą sumę na cel powyższy, ale nadto byłby zrezygnowany na to, że całe przedsięwzięcie nie osiągnie pomyślnego wyniku, gdyż przewyższa może ogromem trudności i swymi rozmiarami siły techniki. W Ameryce taki dawca wkrótce się znalazł. Był nim niejaki Mr. John D. Hooker, z Los Angelos, który na sprawienie samego zwierciadła ofiarował wspaniałomyślnie 45.000 dolarów. Suma ta miała wystarczyć na zakupno potrzebnej bryły szklanej i na jej wyszlifowanie, a gdyby się ta część zadania udała, to nie ulegało wątpliwości, że w Ameryce łatwo znajdą się fundusze na dalsze części teleskopu. Jesienią roku 1906 zamówiono bryłę szklaną w hutach francuskich St. Gobain, a w zimie tego roku gotowy już był umyślny budynek, w którym miano bryłę ową szlifować i badać. Bo skonstruowanie takiego zwierciadła przedstawia już teoretycznie trudności wprost niezmierne, a jakie one były w praktyce, to można nabrać pojęcia z opisu budowy tego teleskopu. Ażeby go lepiej zrozumieć i ocenić, dobrze będzie przypomnieć sobie główne rysy dzisiejszych teleskopów.

W astronomii, jak wiadomo, znamy dwa główne typy teleskopów, mianowicie tak zwane refraktory, to jest lunety, zaopatrzone dwoma systemami soczewek, z których przedni o wielkim przekroju,

[1]) „Nature“ 12 July 1917.

zwrócony ku niebu, jest zwany objektywem, a drugi, mały, tuż przy oku obserwatora, okularem. Największy ze znanych refraktorów znajduje się obecnie w Williams Bay, w Stanach Zjednoczonych Ameryki (w stanie Wis.), w tak zwanem obserwatoryum Yerkes, które jest własnością uniwersytetu w Chicago. Teleskop ten ma objektyw o przekroju 101 cm. (40 cali) i jest około 20 metrów długi. Drugi typ teleskopów stanowią tak zwane reflektory, w których, jak nazwa wskazuje, promienie światła, idące od ciał niebieskich, nie przechodzą przez objektyw, lecz padają na wklęsłe zwierciadło, które tworzy obraz ich powiększony i na ten obraz patrzy się przez okular. Zanim promienie, odbite od wielkiego zwierciadła, dojdą do okularu, poddaje się je jeszcze zwykle powtórnemu odbiciu i to albo zapomocą zwierciadła płaskiego — jest to reflektor systemu Newtona — albo zapomocą zwierciadła wklęsłego, i wtedy mamy reflektor systemu Cassegraina. Ten drugi właśnie system jest użyty w M. Wilson przy 60-ciu calowym teleskopie„ a ma on tę zaletę, że przy tej samej długości tuby jest długość ogniskowa teleskopu większą, niż w systemie Newtona, co nastręcza wielkie dogodności, zwłaszcza przy badaniach spektroskopicznych ciał niebieskich. Jednak nowy, stucalowy teleskop urządził prof. Hale w ten sposób, że jest on zaopatrzony w zwierciadło i płaskie i wklęsłe, tak, że można używać dowoli jednego lub drugiego, a więc zamieniać system Newtona na Cassegraina.

Najwięcej troski i trudności w budowie sprawia oczywiście zawsze główne zwierciadło wklęsłe, bo od wielkości jego przekroju i od jego doskonałości zależy wartość teleskopu. W teleskopach dawnych zwierciadła te były metalowe, polerowane. Najlepszym metalem do ich wyrobu okazał się aliaż, podany przez Newtona, mianowicie składający się na wagę z 252 części miedzi i 177,8 części cyny. Metal ten jest bardzo twardy, a przytem kruchy, daje się więc dobrze polerować i utrzymuje długo w dobrym stanie gładką, błyszczącą powierzchnię. Powierzchnię tę otrzymuje się w ten sposób, że najpierw przez grubsze szlifowanie nadaje się bryle metalu kształt wklęsły, kulisty, a potem, szlifując ostrożnie i ciągle wykonując bardzo dokładne pomiary, powierzchnię tę kulistą zamienia się na paraboliczną. Taka jednak powierzchnia zwierciadła metalowego po pewnym czasie matuje się, zwłaszcza pod wpływem wilgoci i pyłu i trzeba ją na nowo szlifować, przyczem często doznaje zmiany odległość ogniskowa zwierciadła, skąd płyną potem przy porównywaniu nowych obserwacyi z dawnemi, duże niedogodności. Znane są jednak

w nauce zwierciadła metalowe trwałe. Swego czasu sławne dobrocią i trwałością były zwierciadła angielskie, sporządzane przez Shorta i jeszcze do dzisiaj znajduje się w użyciu astronomów zwierciadło 6-cio calowe, zrobione przez Shorta w r. 1760, którego powierzchnia zachowała swą czystość pierwotną, jak gdyby dopiero co wyszła z pod ręki szlifierza. W każdym razie jednak zwierciadła metalowe były drogie, ciężkie i nietrwałe. To też reflektorów używano z początku prawie wyłącznie dlatego, że nie umiano wyrabiać soczewek achromatycznych. Owszem, genialny Newton popełnił błąd, przykry dla nauki w swych skutkach, że udowodnił, iż soczewki achromatyczne są niemożliwe do zrobienia. Gdy jednak wreszcie po wielu latach udało się, mimo powagi Newtona, takie soczewki achromatyczne zrobić, wtedy oczywiście znalazły one szerokie zastosowanie także i w teleskopach. Odtąd też zamiast reflektorów, to jest teleskopów, opatrzonych zwierciadłem, używano coraz więcej refraktorów, złożonych, jak wspomnieliśmy wyżej, tylko z dwóch systemów soczewek, bez zwierciadeł.

W połowie ubiegłego stulecia nastąpił jednak znowu przewrót w tych stosunkach, a spowodował go nie jakiś astronom, lecz sławny chemik Liebig. Uczony ten odkrył, że niektóre sole srebrne mają tę własność, iż na dnie szklanego naczynia strąca się z nich metaliczne srebro i osadza w kształcie bardzo gładkiej, błyszczącej powierzchni, tworząc przez to metaliczne zwierciadło. To odkrycie niepozorne miało dla astronomii pierwszorzędne znaczenie i jest ono dobrym przykładem, jak w nauce nieraz małe okruszyny, odkrycia niepozorne, stanowić mogą podstawę do nowych rozdziałów w dziejach badań doświadczalnych. Odkrycie Liebiga dozwala w sposób łatwy, tani i prosty otrzymywać srebrne zwierciadła, o dowolnym kształcie i powierzchni. To zwierciadło więc będzie miało kształt taki, jaki posiada powierzchnia szklana, na której warstwa srebra się osadzi. Że zaś szkło jest tańsze od metalu, a nadto sztywniejsze i do szlifowania podatniejsze, więc zamiast szlifować, jak dawniej, zwierciadła z metalu, można teraz z bryły szkła wyszlifować dowolnej wielkości i kształtu powierzchnię, poddać ją pod działanie roztworu Liebiga i otrzymać na niej doskonałe, srebrne zwierciadło. Ponieważ nadto łatwiej zrobić jedno wielkie zwierciadło szklane, gdzie gatunek szkła nie wchodzi w rachubę, byle było bez skazy, niż system wielkich soczewek, zrobionych ze szkła o ściśle określonych składnikach chemicznych, gdzie trzeba szlifować nie jedną, lecz kilka powierzchni, a każda o innej krzywiźnie,

więc nić dziwnego, że obecnie, gdy chodzi o wielkie zwłaszcza teleskopy, chętniej buduje się reflektory o parabolicznych zwierciadłach, niż reflektory o skombinowanych systemach soczewkowych. Dlatego też tej metody użyto w obserwatoryum M. Wilson, mianowicie teleskopu, opatrzonego stucalowem zwierciadłem, sporządzonem metodą Liebiga.

Zamówiona w r. 1906 bryła szklana, z której zwierciadło miano na miejscu w obserwatoryum M. Wilson wyszlifować, nadeszła do Kalifornii w dwa lata później w r. 1908. Pokazało się jednak po bliższem zbadaniu, że ma ona tyle wad, że trzeba ją było odrzucić. — Huty szklane zaofiarowały się same zrobić drugą bryłę. Zbudowano umyślnie piec i wielki kocioł do topienia, w którym można było pomieścić 20 ton szkła, w r. 1910 ulano nową bryłę; jednak miała ona skutkiem wadliwości formy, smugi i trzeba ją było zniszczyć. Temu samemu losowi uległa i trzecia bryła, którą usiłowano zrobić, aż wreszcie czwarta się udała, lecz miała tę wadę, że była stosunkowo za cienką, bo miała grubości tylko 20 centymetrów. Zwrócono się więc znowu do pierwszej bryły. Postępując metodą zwykłą, wyszlifowano w niej najpierw powierzchnię wklęsłą, kulistą, a potem przez dalsze, bardzo ostrożne i dokładne szlifowanie, zamieniono ją na powierzchnię paraboliczną. Jak żmudna to praca, można z tego nabrać pojęcia, że samo nadanie powierzchni parabolicznej zabrało rok cały. Trzeba było bowiem nie tylko szlifować, lecz ustawicznie kontrolować przebieg pracy zapomocą bardzo dokładnych pomiarów. Czyniono je metodą optyczną z taką ścisłością, że oznaczano promień krzywizny miejsce przy miejscu z dokładnością jednej tysiącznej części cala. Po skończonem już szlifowaniu zapomocą mechanicznych przyrządów, jeszcze ostatniego dotknięcia niejako dokonano ręcznie, co trwało już tylko 24 godziny, a potem jeszcze raz miejsce przy miejscu mierzono metodą fotograficzną i regestrowano zarazem, by mieć na zawsze dokument, jak wyglądał właściwy kształt zwierciadła, co także ważną rolę odgrywa przy ocenianiu wartości, dokonywanych tym przyrządem astronomicznych obserwacyi. Pomiary fotograficzne pokazały, że największe, jakie wyśledzono, zboczenie od teoretycznego promienia krzywizny, wynosi 0,14 mm. Wyszlifowano więc zwierciadło z dokładnością taką, że błąd największy wynosi jedną 92-tysiączną część promienia krzywizny w danem miejscu. Ludzie fachowi, mający praktycznie do czynienia z przyrządami naukowymi, wiedzą, że taki rezultat jest zdumiewająco doskonały. Ci zaś, którzy stoją poza sferami nauk ścisłych, a którzy nieraz

taką bezwzględną pewność przypisują doświadczeniom naukowym, mają tu rpzykład, że przyrządu absolutnie doskonałego wykonać nie można. Nad wyszlifowaniem jednego zwierciadła pracowało rok grono ludzi najdzielniejszych i najznakomitszych, tak pod względem nauki teoretycznej, jak i fachowego doświadczenia, oddani tylko tej jedynej pracy, uposażeni w najdoskonalsze środki, jakimi nauka i technika rozporządza, a mimo to pozostawiają w rezultacie błąd większy, niż jedna stutysięczna ideału teoretycznego. Oczywiście, gdy chodzi o mierzenie ilości tak olbrzymich, z jakiemi spotyka się astronomia, pochodne takiego błędu, samego w sobie znikomo małego, mogą przybierać wartości olbrzymie. Dlatego też na straży musi stać rozum i obmyślać ciągłe środki i pomiary kontrolne, by błędy obserwacyi ile możności wyeliminować, wyłączyć. Dziś psychologia doświadczalna udowodniła, że całkowicie nigdy tego uczynić się nie da, bo choć przyrząd byłby idealnie dokładny, to nigdy nim nie będzie sam obserwator. A więc i rezultaty nauk doświadczalnych muszą być oglądane zewsząd i kontrolowane przez rozum, przez zdrową filozofię.

Po ostatecznem wyszlifowaniu i poczynieniu możliwie najdokładniejszych pomiarów, pokazało się, że to nowe zwierciadło wklęsłe paraboliczne, które stanowi najwyższy wyraz astronomii doświadczalnej, ma przekroju użytecznego 101 cali czyli dwa i pół metra (dokładnie: 256.5 cm.), posiada długość ogniskową 42 stóp i 3 i pół cala, więc blisko 13 metrów (dokładnie: 12 m. 88,9 cm.), po krańcach zwierciadła szkło jest grube na 324 mm., a zagłębienie środka 38 mm. Ciężar całego zwierciadła wynosi ponad 4 tony, czyli więcej, niż 4.000 kilogr.

Gdy już szlifowanie zupełnie ukończono, trzeba było przystąpić do posrebrzenia powierzchni zwierciadła. Dokonano tego metodą Liebiga, powyżej opisaną, przyczem trzeba było zużyć przeszło 680 litrów wody destylowanej i kilogram azotanu srebra. Pojemność zwierciadła wynosi przeszło 200 litrów. Całe posrebrzanie tą metodą chemiczną odbyło się w sposób prosty i łatwy w ciągu kwadransa.

Celem użycia zwierciadła jako teleskop Cassegraina, zrobiono dwa wklęsłe zwierciadła, które można zmieniać dowoli. Jedno z nich, większe, grube na 16,5 cm., ma przekrój 73 cm., promień krzywizny 8 m. 80 cm. i daje w połączeniu z wielkim zwierciadłem teleskop o długości ogniskowej 35 m. 72 cm. Drugie natomiast zwierciadło, mniejsze nieco, daje skombinowane z wielkiem zwierciadłem ogniskową 76,5 m. Jest to więc najpotężniejszy teleskop ze wszystkich na świecie.

Części optyczne teleskopu, chociaż oczywiście najważniejsze,

wtedy dopiero mogą być należycie wyzyskane, gdy się je osadzi w sposób pewny, a przytem łatwy do poruszania. Zwierciadła oba ujęte muszą być w rurę, bardzo sztywną i silną, tak, żeby pod ciężarem zwierciadeł się nie przeginała, bo takie przegięcie zniszczyłoby oś optyczną, a tem samem i całą użyteczność przyrządu, a jednak posłuszną w swych ruchach najmniejszym rękoczynom obserwatora. Nadto musi ona być ciągle zapomocą przyrządu zegarowego tak poruszaną, by teleskop nastawiony raz na jedną gwiazdę stałą, ciągle mimo obrotu ziemi koło swej osi była ku niej zwróconą, by jednem słowem gwiazda stale była w tem samem polu obserwacyjnem. Można sobie wyobrazić, jak potężną musi być tuba metalowa, która ma służyć za oprawę i podstawę dwóch zwierciadeł, z których jedno waży przeszło 4 tysiące kilogr. Nic też dziwnego, że rura ma przekroju blisko 3 i pół metra i waży przeszło 10.000 kilogr., a waga przy przyrządzie zegarowym, mającym teleskop poruszać, przeszło 2.000 kilogr. Przy obserwacyach jest rzeczą konieczną, ażeby astronom mógł z łatwością poruszać teleskopem i nadawać mu lekko tak mikroskopijnie małe, jak i wielkie przesunięcia, inaczej przyrząd służyłby tylko za reklamę dla techniki, a nie za użyteczny instrument astronomiczny. Do osiągnięcia tego celu prowadzą przy naszym teleskopie dwa systemy urządzeń. Jedno z nich znosi niejako ciężar teleskopu, robiąc go znikomo lekkim, a drugie na usługi ruchom ręki astronoma oddaje olbrzymie siły. Pierwszy system polega na tem, że całemu teleskopowi każe się pływać w rtęci. Mianowicie na obu końcach osi teleskopu są dwa olbrzymie poprzeczne metalowe krążki, pływaki, które zanurzają się w półkolistych kadziach, napełnionych rtęcią. Ciało pływające, jak wiemy, traci pozornie czyli praktycznie na ciężarze, zależnie od gęstości płynu, ponieważ zaś ciężar gatunkowy rtęci dwa razy prawie przewyższa ciężar metalu, więc można stosunki tak ułożyć, że cały olbrzymi teleskop traci pozornie na ciężarze całą swoją wagę i poruszeniom z zewnątrz pochodzącym nie stawia oporu żadnego innego, jak tylko ten, który pochodzi od tarcia o ściany pływaków o rtęć. Do poruszania zaś teleskopu i należnych do niego urządzeń astronom ma do rozporządzenia czterdzieści motorów elektrycznych, mniejszych i większych, od 1/20 do 7 i pół konia, o łącznej sile 50 koni; długość przewodów elektrycznych wynosi przeszło 13 mil.

Lecz sam teleskop, to dopiero jądro obserwatoryum astronomicznego, które potrzebuje rozmaitych pomocniczych przyrządów, by oddać należyte usługi nauce. Więc przedewszystkiem niezmiernie wa-

żnym jest słup podstawowy, na którym teleskop spoczywa. W naszym przyrządzie jestto budowla potężna, 10 metrów, a więc na dwa piętra wysoka, mająca u podstawy 6 metrów szerokości a 14 długości, czyli rozmiary dosyć dużej kamienicy, o bardzo skomplikowanym ustroju. Fundamenty jego, odpowiednio do ciężaru, który ma nosić, są utworzone przez 40 betonowych słupów, 180 cm. wysokich i tyleż grubych, ustawionych w dwa współśrodkowe pierścienie. Sama budowla, mająca żebra stalowe i ściany z blachy, rozpada się wewnątrz na kilka przedziałów. W jednym z nich, na wysokości 5 metrów od ziemi, jest wielki zbiornik, dostarczający na górę wody, która ciągle opływa zwierciadło stucalowe, by utrzymywać je stale w tej samej temperaturze. Ponad tym zbiornikiem, na wysokości 7 i pół metra ponad ziemią, znajduje się sklepienie betonowo żelazne, tworzące posadzkę sali, w której umieszczono przyrząd zegarowy teleskopu. Znajduje się tu także sala do posrebrzania zwierciadła, które można sprowadzać zapomocą osobnej elektrycznej windy. Po stronie południowej słupa biegnie przestrzeń, mieszcząca w sobie wielki spektrograf, czyli przyrząd do badań widmowych, zaopatrzony w dwie siatki refrakcyjne, o ogniskowej 6 i 9 metrów.

Oczywiście cały ten teleskop wraz ze słupem trzeba ochronić od działania wpływów atmosferycznych, trzeba go schować pod dach. Ochronę taką, jak zwykle przy teleskopach, tak i tu, stanowi kopuła, tylko o odpowiednich rozmiarach. Ponieważ jest ona ze stali, a przekrój jej wynosi u spodu przeszło 30 metrów, więc nic dziwnego, że waży cała przeszło 650 ton. Obserwatoryum znajduje się na górze, leżącej, jak widzieliśmy, 6000 stóp nad poziomem morza, a prowadzi do niego droga, która wzdłuż kilku kilometrów końcowych ma szerokości tylko metr; że zaś niektóre kawałki pojedyncze kopuły ważyły po 4 i pół tony, więc oczywiście cały ten kolos trzeba było transportować na ową wysoką górę zapomocą osobno do tego zbudowanego automobilu ciężarowego, dla którego trzeba było znowu rozszerzać drogę z jednego metra na dwa i pół metra.

Widzimy więc, że przyrząd nowy odpowiada i epoce, w której powstał i krajowi, w którym go zbudowano; jest on prawdziwie amerykański. Jaki będzie z niego pożytek dla nauki, dziś przewidzieć niepodobna. Sądząc z rozmiarów zwierciadła i bocznych urządzeń, oceniają astronomowie, że zapomocą tego teleskopu można będzie dosiągnąć 300 milionów gwiazd. Co to znaczy, daje nam pojęcie ten fakt, że podczas czystej, gwiaździstej nocy oko nasze, patrząc na gęsto zasiane

niebo, dostrzega gwiazd zaledwie 4 tysiące. Gdyby więc koło każdej gwiazdy, którą widzimy, ugrupowało się tyle gwiazd, ile ich dostrzegamy na niebie, to uczyniłoby to tylko 16 milionów, a więc prawie 19 razy mniej, niż 300 milionów. Ta wielka Berta astronomiczna, wymierzona w wszechświat, roztrąci może niejedną twierdzę tajemnicy przyrody.

A właśnie dopiero co przytoczone cyfry potrącają o jedną z takich tajemnic, wobec której ustaje już nie tylko potęga rozumu, lecz nawet najśmielsza wyobraźnia. Jest nią to piekące pytanie, tyle razy nadaremno przez astronomów najznakomitszych stawiane: ile jest gwiazd wszystkich i jakie ich w przestrzeni wszechświata rozmieszczenie? Nie chodzi tu oczywiście o gwiazdy widzialne gołem okiem, to jest gdzieś do piątej czy szóstej wielkości, lecz o wszystkie, a więc i takie, które tylko zapomocą metody fotograficznej i to przy użyciu najsilniejszych przyrządów wykryć można, a nadto i takie, które wogóle istnieją, chociaż z pola naszego dostrzegania się usuwają.

Wiadomo już od dawna, że ilość gwiazd pierwszej wielkości, widzianych na naszej północnej półkuli, jest 14, drugiej jest ich już 48, trzeciej 152, szóstej 200 i t. d. To są jednak gwiazdy, widzialne już gołem okiem lub zupełnie łatwo dostępne dla słabych nawet przyrządów. Wątpliwości i trudności zaczynają się dopiero przy wyższych rzędach, przy gwiazdach o mniejszej sile świetlnej, dlatego ta sprawa ilości gwiazd jest ciągle w astronomii bardzo aktualną. Obecnie wyszły z druku nowe prace w tej dziedzinie, wykonane w pracowni obserwatoryum astronomicznego w Groningen, przez Dra van Rhijna, który obliczenia swoje i rozwiązania teoretyczne opiera na płytach fotograficznych nieba, zdjętych w Harvard Observatory i we wspomnianem wyżej obserwatoryum Mount Wilson, a sięgających gwiazdy aż do 17,5 wielkości[1]). Najnowsze te prace niezmiernie są ciekawe tak pod względem materyału doświadczalnego, jakoteż i w swych wynikach teoretycznych, odnośnie do budowy wszechświata, dlatego też osobno i obszernie o nich kiedyś trzeba będzie pomówić. Tu tylko podamy, że dr.

[1]) Publications of the Astronomical Laboratory at Groningen. „On the Number of Stars", by Dr. T. J. van Rhijn 1917. Streszczone w londyńskiej „Nature" z dnia 18 października b. r.

Rhijn ocenia liczbę gwiazd jaśniejszych, niż wielkość 16-ta, na 33 miliony, zaś ilość wszystkich gwiazd wogóle naszego wszechświata na 3360 milionów, z czego połowa blisko jest jaśniejsza, niż wielkość 25,5. Gdyby więc obdzielono gwiazdami wszystkich ludzi na ziemi, to dla każdego człowieka przypadłoby po dwie gwiazdki. Lecz najpotężniejszy teleskop na ziemi, opisany powyżej, dosięgnie tylko jedenastą część gwiazd istniejących, a przecież wiele z tych gwiazd jest dziesiątki tysięcy większe od naszego słońca. A co poza tym systemem naszym gwiazd? I czemże jest człowiek i jego tragedye wobec tego zawrotnego ogromu, a czem jest wobec tej mądrości i potęgi nieskończonej, która te miliony światów stworzyła i nimi rządzi...

Ks. F. Hortyński.

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *Ks. J. Pawelski T. J.*

DRUKARNIA EUGENIUSZA I DRA KAZIMIERZA KOZIAŃSKICH.

Babel i Bastylia.

Czy współczesna nam kultura, co obiecywała zamienić ziemię w niebo, a dziś dogorywa w pożodze wojny światowej, nie przypomina nam losu wieży Babel? A zapadające się trony i państwa, niejednokrotnie warownie ucisku, czy nie przypominają losów Bastylii?

Babel i Bastylia — dwie wieże najgłośniejsze z tych, jakie budowała ludzkość, a obie w ruinie!

Gruzy jednej, rozsypane na dalekich równinach babilońskich, zawiane piaskiem i mułem, przypominają budowlę, co, podług tradycyj hebrajskich, miała być walką, wypowiedzianą Bogu przez ziemię. Otoczona wieńcem tysięcy wieżyczek, wieża Babel stała się symbolem świata, który i w swej istocie i w tysiącznych przejawach swego życia nie uznaje Boga. I dlatego, podług tych tradycyj, miała niedokończona legnąć w gruzach.

Druga, ośmiowieżowa cytadela, rozbudowana na ludnem przedmieściu wielkiego Paryża, zrównana została z ziemią w początkach rewolucyi francuskiej, jako symbol państwa, nadużywającego swojej władzy i swego przeznaczenia. Ponura turma, jeden wysoki mur bez okna na zewnątrz, czyż nie uzmysławia tych państw, co nie miały oka na ludzkość?

Jak nad Babelem zawisnął płomienisty wyrok Boga, tak Bastylię skruszył kilof człowieka, walczącego obłędnie o godność natury ludzkiej. Gruzy obu wież to klęska obłędu ludzkiego i sąd nad tym obłędem.

Dziś wysuwają się w pomroku dziejów na horyzont pamięci te dwie historyczne ruiny. Czy nie spoczywa w nich jedyny sens, jaki w skutkach tej wojny da się dotąd przejrzeć?

* * *

Ku jakiej idei zbliża się przez obecną wojnę świat — jaka myśl Boża iści się obecnie w zmiennych losach ziemi?

Nie jest łatwą na to pytanie odpowiedź! Nietylko w ogniu wielkich wypadków, ale nieraz na popiołach po nich, nie można ich znaczenia należycie zrozumieć i ocenić. Przypomnijmy sobie, że dziś jeszcze, w sto lat po epoce napoleońskiej, nie pojmujemy dokładnie, jaki właściwie rozumny sens tkwił w tych wypadkach. Co ma oznaczać Napoleon? Czyż miałby być tylko furtką, jak chcą niektórzy, przez którą rewolucya przeszła w uporządkowaną siłę?

Zwłaszcza współczesnym, zwłaszcza w samym środku faktów, trudno o dokładny sąd. Co dogasa, a co się rodzi, — co z tego, co w oczach przyszło na świat, zmarnieje, a co pozostanie przy życiu, — które z wydarzeń zsuną się na linię drugorzędną, a co będzie linią przewodnią, — wszystko to usuwa się z pod oceny. A przytem, jak łatwo własne kąty widzenia uznać za jedynie słuszny punkt wyjścia, jak odmienne są zawodowe stanowiska; inaczej patrzy na rzeczy teolog, inaczej socyolog, inaczej historyk.

A jednak, mimo tych trudności i mimo takiej możliwości błędu, widzi się dokoła tyle prób podobnej syntezy. Jest w tem nieodzowna właściwość ludzkiego umysłu, w tym wypadku i z tego względu dodatnia, że w ciemności usiłuje wnieść światło, w burzę ukojenie. Bo niewątpliwie przyniosłoby ukojenie, gdyby potrafiło się dojrzeć w obecnym chaosie powstający nowy porządek, w przelanej krwi posiew nowego życia, w pożodze ludzkiej złości powstającego z popiołów feniksa. Gdyby obok gruzów rozsypujących się królestw ziemskich dojrzało się powstające nowe węzły królestwa Bożego, gdyby poprzez płomienie pożerających się nawzajem namiętności ludzkich dojrzeć się dało nieśmiertelne słońce myśli Bożej, to lżej byłoby ponosić ofiary, jakie dziś świat cały

i każdy człowiek ponosi. Wiedziałoby się, że są to ofiary, które przyniosą obfity plon, nietylko na dziś, ale i na dalekie jutro, dla odległych pokoleń i wieków, że każda dzisiejsza chwila trudu i wytrwałości będzie przez potomków z błogosławieństwem wspominana.

Czy są oznaki po temu?

Słyszy się czasem, że już sam pierwszy rzut oka wskazuje, iż królestwo Boże w dniach tej wojny zaczyna się iścić na ziemi. Świat spoważniał, ustało życie nad stan, ludzie biorą się do Boga. Łagodnieją różnice społeczne, bo na polu bitwy walczy obok syna górnika syn księcia i obaj wspólnie giną. Rodzi się w czasie wojny bohaterski animusz, hart ciała i duszy, duch skory do poświęcenia wszystkiego na ołtarzu wyższego dobra. Budzi się do życia i bujnie rozwija nieznana przedtem uczynność chrześcijańska; rannym synom chłopskim zawiązują w szpitalach bandaże królowe, a na łagodzenie nędzy ludzkiej płyną dobrowolne milionowe ofiary. Kobieta, którą wielu pojmowało dotąd jako zabawkę czy klejnot, zakasuje ręce do pracy ciężkiej i zajmuje godnie miejsce mężczyzny i zajmować je będzie przez szereg lat. Takich dodatnich objawów tej wojny można przytoczyć znaczną jeszcze ilość. Tkwi w nich niewątpliwie wielkie dobro i widoczny jest palec Bożej Opatrzności.

Ale obok tych dodatnich skutków ileż widać ujemnych, jakie każda wojna, a szczególniej ta przynosi? Ileż strasznej nędzy, która jest najgorszym doradcą — ileż rozwydrzenia obyczajowego — ileż chciwości i potwornego wyzysku? A nadto, czyż ma się pewność, że w tych dodatnich objawach jest zadatek trwałości, czy nie ustaną one, jeśli nie zaraz z końcem wojny, to w krótkim po niej czasie? Czyż już dziś nie zagasło niejedno światło, które w pierwszym okresie wojny świeciło, czyż już dziś nie zmniejszyło się dobro, a natomiast, czy nie wzrosła niepomiernie złość!? Stwierdzić dodatnie strony trzeba z wielką radością, ale brać ich w rachubę pewną, gdy chodzi o trwałą wartość i dalszą przyszłość, nie można.

Inni wskazują na dalekie cele ideowe, społeczne, obyczajowe, religijne, jako na pośrednie cele tej wojny w zamiarach

Bożych. Zapewne, że tak wielki przewrót w życiu narodów, jak wojna światowa, w każdej dziedzinie ludzkiej zostawi ślady, a w niektórych nawet przełomowe. Ale w jakim stopniu, w jakim kierunku, któż dzisiaj określić potrafi! Czy zniknie skrajny racyonalizm i liberalizm, czy wzmoże się spirytualizm i romantyzm? Czy kult złotego cielca i epikureizmu ustąpi cząstki swego dziedzictwa idealnym dążeniom duszy ludzkiej? Czy wzrośnie demokracya, czy imperyalizm i absolutyzm, czy rozpocznie się okres samopostanowiania narodów o sobie, czy rozpoczną się syndykaty państwowe? Pytań takich wiele.

Nowy świat z potopu tej wojny nie wyłonił się jeszcze. Z fal tej powodzi sterczą dotąd tylko dwie symboliczne ruiny: Babel i Bastylia.

* * *

Babel! Ileż razy na dziełach, myślach i kierunkach zeszłego i obecnego stulecia widniało to imię? To było hasło naczelne tego okresu, duch tego okresu i jego istota.

Nikt nigdy nie będzie śmiał przeczyć, że okres ten miał swoje wielkie przymioty. Wyswobodzenie społeczeństw z pod absolutyzmu królów, walka o wolność i godność natury ludzkiej, ogólnie, a nawet i jednostkowo pojętej, olbrzymi rozwój nauk pozytywnych, zwłaszcza przyrodniczych i technicznych, potężne opanowanie sił przyrody i wyzyskanie ich ku służbie człowieka, — to wszystko są rzeczy wielkie, niejednokrotnie zdumiewające umysł. Dzięki nim stało się, że ziemia zaczęła się przemieniać w miejsce względnej pomyślności, a człowiek zaczął się czuć panem ziemi.

Nie jest zadaniem niniejszego miejsca wchodzić głębiej w genezę powodów, dla których okres ten cywilizacyjny, tak wspaniały w pewnych swoich przejawach, rychło zmieniać się począł w karykaturę i w skarlałe potomstwo. Czy działała tu ta przewaga materyalnej strony cywilizacyi, która dążyła do tego, by zapewnić człowiekowi jak najwygodniejsze istnienie na ziemi, tak przez ujarzmianie przyrody, jak przez kruszenie jarzma społecznego, — czy wpłynęły na to tradycye, przekazane przez

poprzedni okres — czy, co najwidoczniejszem się zdaje, działały tu zjednoczone wpływy obydwu pomienionych przyczyn? — są to kwestye i niejednokrotnie roztrząsane i wielostronnie rozjaśnione. W tem miejscu wystarczy stwierdzić, co po tysiące razy przez myślicieli różnych obozów było stwierdzone, że okresowi temu, przy wielkiej obfitości niezwykłych przymiotów, brakowało jednego tylko przymiotu — religii i etyki. I to jest, co nazywa się budowaniem wieży Babel.

Zajmować się religią nie zakazywano w tym okresie nikomu. Zajmować się nią mogą teologowie, zajmować się nią można nawet w życiu prywatnem, jako rzeczą osobistą. Zazwyczaj nie świadczy to nadzwyczajnie o mózgu i charakterze człowieka, ale, ostatecznie, wolno każdemu u siebie być samym sobą. Jeden z koryfeuszów tej epoki, który stał u jej kolebki, Rousseau, był w tych prywatnych swoich przekonaniach deistą, ale gdy układał kontrakt społeczny, to sądził, że państwo nie ma religii, że władza nie pochodzi od Boga. I tak było w tym okresie wszędzie. Słuszną była dążność tego okresu do praw wolnego człowieka, ale niesłuszną podstawa, na której się oparła. Co w prawie państwowem zaznaczyło się kontraktem społecznym, to w administracyi państwowej tryumfowało jako liberalizm, w polityce rządziło światem jako machiawelizm i „siła przed prawem“, w gospodarstwie państwowem i w teoryach ekonomii nazywało się teoryą manchesterską, we filozofii raz odgrywało rolę jako racyonalizm, to znowu jako pozytywizm lub ewolucyonizm, w nauce występowało jako sprzeczność nauki z wiarą, w etyce przejawiało się Kantowską autonomią lub Guyau'wską etyką bez sankcyi, nawet w logice Fichtowskie „ja“ ma z tym kierunkiem związek. Życie poza płotem prywatnych dziwactw, życie jako takie, nie zna nic poza sobą, nie wie nic o drugiem, pozagrobowem życiu, nie zna Boga, nieba, wiary, nie zna jakiejkolwiek odpowiedzialności ludzkiej poza odpowiedzialnością państwową. — Gdy w ten sposób zatarasowano Bogu dostęp do świata, mógł pozytywizm rzucić hasło: „diis exstinctis successit humanitas“. W miejsce Boga, jako bożyszcze stanął człowiek i ludzkość, w miejsce praw Bożych przyszły „prawa człowieka“, w miejsce

wiary religijnej kult wszechpotęgi ludzkiego rozumu, w miejsce zaziemskich ideałów kult powodzenia i złotego cielca. Religijne teorye, że ziemia jest padołem płaczu, że na tym padole człowiek ma oczyszczać i doskonalić swoją skażoną i zepsutą naturę, są średniowieczną histeryą. Człowiek z natury swojej jest dobrym, a ziemia da się zamienić w niebo. Powszechna oświata wyruguje zewsząd ciemnotę i zapewni tryumf rozumowi ludzkiemu, wolność słowa da zwycięstwo prawdzie, wolność handlu i przemysłu wypędzi nędzę i sprowadzi ogólny dostatek, siła techniki i opanowanie przyrody zbliży i złączy ze sobą wszystkie narody i państwa. Zapanuje wszędzie rozum, dobrobyt, harmonia, szczęście; ziemia zamieni się w niebo. — Jeden cierń tylko jest w tem wszystkiem, a są nim religijne przewidzenia i skrupuły. Ale z biegiem lat, z postępem oświaty, i to zniknie; tak przynajmniej marzyli różni myśliciele, tak marzył Guyau, kiedy głosił „bezreligijność przyszłości".

Czyż taka cywilizacya była czem innem, jak budowaniem wieży Babel, jak buntem przeciw Bogu i niebu!?

Jak w ciele ludzkiem naruszenie jednego organu powoduje słabość całego ciała, tak i naruszenie czynników duchowych wywołać musi zaburzenie w ludzkiem społeczeństwie, tem cięższe, tem bardziej śmiertelne, że naruszonym jest najistotniejszy czynnik duchowy, religia.

Nic dziwnego też, że skutki takiego stanu nie długo kazały na siebie czekać. Przyszedł upadek obyczajowy warstw wyższych i rosnące zdziczenie mas. Nieograniczona wolność słowa przyniosła wyuzdanie słowa, nieograniczona wolność handlu i przemysłu sprowadziła orgie industryalizmu i kapitalizmu, co stworzyło znowu nowego raka, socyalizm. Teoretycy, siedzący przy zielonym stoliku, zaczęli wtedy ograniczać „nieograniczoną wolność", co znowu trzeba było przekreślić; jęli ratować społeczeństwo rozszerzaniem praw politycznych i zwiększaniem szkółek ludowych, łudząc się naiwnie, że takimi środkami można rozwiązać kwestyę moralnego pauperyzmu. Człowiek, pozbawiony Boga i wędzidła religii, musi spaść niżej zwierzęcia.

Nie będziemy w tem miejscu roztaczać bolesnych obrazów,

które każdy zna. Każdy wie, jak olbrzymią jest liczba samobójstw w dzisiejszym świecie, jak smutną statystyka kryminalna, jaki procent wypadków obłędu i chorób, idących z występku, jaka ilość rozwodów i jak straszną depopulacya. Okres, który miał być niebem, stał się okresem wielkiego upadku i rozkładu ludzkości.

Ludzie głębsi, patrząc trzeźwo na to staczanie się świata w przepaść, przewidywali i przepowiadali jasno idącą katastrofę. Byłoby bardzo pouczającem zestawić zdania tych ludzi, z przed lat dwudziestu, trzydziestu, kilkudziesięciu, zdania, nie opierające się na jakichś proroctwach, ale na ścisłym rachunku, na prostym wniosku, że panujące stosunki muszą sprowadzić klęskę świata. Nie mówimy już o tak głośnych książkach, jak „Zwyrodnienie" Nordaua i o całym tym dziale publicystyki, który możnaby nazwać zwierciadłem kultury współczesnej, a który piętnując obecną epokę, raz jako erę szwindlu, to znowu jako okres dekadencyi i fin de siecle'u, widzi w niej to samo gnicie i to samo zapadanie się wszystkiego w nicość, jak w najgorszych okresach ludzkości. Nie innem jest zdanie poważnych przedstawicieli współczesnej umysłowości. Ekonomista Roscher pisze, że, jeżeli świat nie cofnie się z obecnej drogi, musi przyjść katastrofa. Maurer widzi, że otwiera się przed nami przyszłość bez dna. Inny twierdzi, że muszą zaciężyć nad ludzkością całe stulecia zniszczenia, dopóki w nowej ludzkości nie zatrze się ostatnie wspomnienie po tem, co dzisiejszą ludzkość stanowi; dopiero wtedy powstać może odmłodzona ludzkość, jak feniks z popiołów. Taki Funck-Brentano w swojej książce o prawach cywilizacyi stwierdza, że cofamy się pod każdym względem w tył i to beznadziejnie; bez wiary, bez zdrowego obyczaju, bez zasad, musi każdy naród się rozpaść. Nasz filozof Morawski pisze: „Coby nie dały narody, żeby się wydobyć z tego stanu, żeby odkląć tego demona, który je gnębi, wysysa, trwoży dniem i nocą!... Darmo! ten stan rzeczy jest karą Bożą i jest naturalną konsekwencyą zasad 1789 roku, na których ludzkość stanęła. Skoro się zaprzeczyło przyrodzony i Boży pierwiastek prawa, skoro się oparło zasadniczo wszelkie prawo na sile i mnóstwie, tem samem wpadło się pod absolutne panowanie

siły i trzeba jej tyranię znosić... A jak długo tak dalej? — chyba, aż się siły społeczeństwa do ostatka wyczerpią, albo przewrót socyalny wszystko w powietrze wysadzi".

Czyż po tem wszystkiem, co powiedziało się o współczesnym stanie społeczeństw, trzeba jeszcze wskazywać, jak wyglądały bez Boga i religii najwyższe formy społeczne, dzisiejsze państwa? Trawił je najpierw rozstrój wewnętrzny, na który dopiero co wskazaliśmy. A potem, wskutek braku religii, zapanował nad niemi system brutalnego egoizmu, który nie oglądając się na żadne prawo i żadną uczciwość, okłamuje cynicznie każdego, kogo się da okłamać, przy każdej sposobności kopie pod drugimi dołki, a przedewszystkiem łupi i grabi wszystko, co mu pod rękę podpadnie. Ta żądza bogacenia się cudzym kosztem i deptanie cudzych praw, rosnąc ustawicznie, znieprawiały coraz bardziej świat cały i doprowadziły w końcu do takiego zdziczenia idei narodowej i państwowej, że w niewielu okresach równego dopatrzeć się można. Cóż dziwnego, że w stosunki międzynarodowe wtargnęła najpierw nieufność, potem nienawiść, że na straży tych stosunków stanął tylokrotnie w dniach dzisiejszych wyklinany militaryzm. Wraz z militaryzmem przyszedł tak zwany pokój zbrojny, zbrojenie się ustawiczne świata całego, które wyniszczało nowoczesne państwa dopóty, aż z dopełnieniem się miary padło wszystko ofiarą katastrofy, w postaci wojny światowej.

Niektórzy z obrońców dzisiejszej cywilizacyi, gdy wojna światowa przybrała takie rozmiary, iż zaniosło się na katastrofę, zaczęli przebąkiwać o znaczeniu przypadku w świecie: lawina w górach, orkan stepowy, dżuma, niosą ze sobą taksamo zniszczenie, z którego jednak żadnych wniosków wyciągać nie wolno. Przepraszamy bardzo, ale tu mamy do czynienia nie z przypadkiem, tylko z żelazną konsekwencyą systemu. Błąd i występek mają także swoją konsekwencyę i rozwój, a ostatnim szczeblem tego rozwoju jest katastrofa. Błędem i występkiem tej cywilizacyi było zapoznanie Boga i religii, za tem poszło odrzucenie wszelkiego wędzidła, jakie Bóg i religia na namiętności ludzkie nakładają i sił, jakich udzielają — a bezpośrednim skutkiem tego

było, że ludzkość okazała się gromadą dzikich zwierząt, rozszarpujących się wzajemnie i zagryzających na śmierć.

Dziś cała ta cywilizacya, jak ongiś wieża Babel, legła w gruzach u naszych stóp. Wyrok nad tą cywilizacyą wykonały prawa, które Bóg w naturze rzeczy złożył, a wykonały z taką siłą, iż w dniach dzisiejszych dotykalnie czujemy, że nad ziemią odbywa się sąd Boży.

I sąd ten jest doprawdy groźny. Słowa Pisma św.: „Straszna jest rzecz wpaść w ręce sprawiedliwego Boga", spełniają się dosłownie. Pierwszy akt sądu, obnażenie prawdy, dokonał się z przerażającą jasnością, że aż oczy zasłonić trzeba. Ziemia, która w dytyrambach swoich wielbicieli miała być przystanią szczęścia i niebem, stanęła dziś w oczach świata nietylko jako padoł płaczu, lecz jak „kałuża z łez, ze krwi i błota". Co było ozdobą tej ziemi, wielkie miasta i wielkie budowle, albo opustoszały, albo rozsypały się w ruinę. Zbytni dobrobyt przemienił się w nędzę i głód, wolność nadmierna zmieniła się nawet we własnem państwie w niewolę, niehamowana radość życia pogrążyła się w żałobie. Bożyszcze tej ziemi, ludzkość, która miała się składać z istot dobrych i nieskażonych złością, przejawiła się jak gehenna zwyrodniałych i zbrodniczych namiętności i występków. — A cóż dopiero akt drugi, wykonanie wyroku! Wyrok dokonał się samym biegiem rzeczy, własną ręką przestępców na samych sobie. Mord milionów ludzi przez ludzi, morze łez i krwi, zniszczenie dzieł i pracy pokoleń całych, zaniknięcie wszystkich środków do życia, setki miliardów długu, rzucenie potomnych w długoletnią nędzę, oto wyrok. Co zaś było najwyższą chlubą tej cywilizacyi, umiejętność i technika, opanowujące przyrodę, to przemieniło się w najstraszniejsze narzędzie mordercze. Ze stali, przeznaczonej na puklerz człowieka, powstał sztylet, w jego pierś godzący. Jeśli Bóg nie buduje domu, próżną jest praca tych, co budują.

* * *

Nad nocą dzisiejszego chaosu zaczyna jednak rumienić się świt. Hasło, którem rozbrzmiewa dzisiaj świat cały, proklamacya prawa narodów, jest tak wielkie w sobie i tak zmieniłoby oblicze

ziemi, że powitać je należy, jako zwiastuna nowego okresu historyi.

Sam fakt, że hasło to pojawiło się, jest poważnem zagrożeniem imperyalizmu. Imperyalizm, dążący do władztwa nad światem kosztem drugich narodów, zwłaszcza narodów małych i słabych, jak był panującym duchem nowoczesnych państw, tak był i ich zmorą i klęską. Ktoś powiedział, że „pierwszy krok do panowania nad światem jest pierwszym gwoździem do trumny narodów" — i to nietylko trumny innych narodów, ale i narodu własnego, jak dowodnie stwierdza obecna wojna.

Podstawy imperyalizmu chwiały się już od lat. Moloch ten porywał w swoją służbę najświeższą siłę społeczeństw, młodzież, a nadto pożerał olbrzymie sumy na rosnące ustawicznie zbrojenia. Doszło do takich wydatków, że opinia publiczna społeczeństw stwierdzała niejednokrotnie, że ciężar ten zaczyna przechodzić ludzkie siły. Coraz też częściej odczuwała ta opinia, że zaborcze imperyalistyczne państwa, których najbardziej widomym znakiem były koszary żołnierskie, opasujące świat cały, to turma więzienna świata, ta jego Bastylia. I, oto, na dobitek tej całej udręki, tych wszystkich ogromnych ofiar ostatecznym celem i wynikiem okazuje się jedna z najsmutniejszych katastrof, jakie widziała ziemia. Czyż dziwne, że cała ludzkość żąda dziś innego porządku państwowego, którego podstawą byłoby prawo narodów, a nie dotychczasowa siła, narody gwałcąca. I to jest, co nazywamy ruiną dzisiejszej Bastylii. Ruiny właściwej Bastylii grzebały absolutyzm królewski i łączyły się z ogłoszeniem praw człowieka. Dziś linia dziejów przesunęła się na wyższy poziom; ruina dzisiejszej Bastylii łączy się z proklamowaniem prawa narodów. Nawet taka Rosya, która dziś dopiero zdołała ogłosić prawa człowieka, głosi również prawo narodów i to najdobitniej ze wszystkich.

Należymy do tych, co ze słabą ufnością odnoszą się do rychłego ziszczenia się tego hasła. Najpierw jest jasnem, że państwa, głoszące to hasło, mają w zanadrzu swoje imperyalistyczne cele, i tem hasłem posługują się tylko dlatego, ażeby wobec świata i własnego społeczeństwa pozbyć się odpowiedzialności za zbyt

krwawą i zbyt kosztowną wojnę. Ogłasza się przeto wojnę świętą, która ma zgnieść militaryzm i na podstawie prawa narodów założyć ma trwały pokój świata. Zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że w razie pełnego zwycięstwa jednej strony pognębionym byłby tylko imperyalizm strony przeciwnej. Te ustępstwa, które strona zwycięska zrobiłaby na korzyść prawa innych narodów, byłyby najprawdopodobniej znikająco małe.

Niezależnie od tych trudności, płynących z egoizmu, sam program nowego porządku państwowego jest tego rodzaju, że tylko zwolna może się urzeczywistniać. W miejsce dzisiejszych państw miałby powstać związek wolnych i równych narodów, z których każdy, najsłabszy nawet i najmniejszy, miałby zagwarantowane prawo postanawiania o sobie i gwarancyę bezpieczeństwa swojej samodzielności. Gwarancya tkwiłaby w powszechnem przymusowem rozbrojeniu, w uzależnieniu kwestyi wojny i pokoju od woli ludów, w oddaniu międzynarodowych spraw spornych pod międzynarodowy trybunał, którego wyroków broniłyby wszystkie państwa przeciw temu, któreby nie chciało ich uznać. Otóż pomijając utopię, jaka tkwi w idei, że wszystkie drobne narody świata mają pewnego dnia rozpocząć o sobie postanawiać, — pomijając kwestyę rozbrojenia i międzynarodowego sądu rozjemczego, które, jako sprawy technicznej natury, są łatwiejsze do wykonania — któż nie widzi, ile innych piętrzy się trudności! Najpierw sama teorya, sam kodeks prawa narodów, są w dzisiejszym stanie umysłowości rzeczą prawie że nie istniejącą. To, co nazywamy dziś prawem międzynarodowem, jest zbiorem konkretnych układów, jakie dwa lub więcej państw między sobą zawierały. Składają się na ten zbiór układy mniej więcej od westfalskiego pokoju, a więc z bardziej znanych kongres wiedeński, konwencya genewska, kongres berliński, wkońcu dwie pokojowe konferencye hagskie. Jakichś stałych zasad, wyższych nad chwilowe traktaty, dzisiejsze prawo międzynarodowe nie zna. Ile trzebaby pracy i czasu, żeby dziś taki kodeks zasad międzynarodowych stworzyć. I trzeba dodać, że przedsięwzięcie takie przy dzisiejszym stanie prawa byłoby wręcz niemożliwe, bo w dzisiejszym świecie prawniczym panuje pojęcie, że prawo wszelkie jest tylko utworem

danego państwa; trzebaby chyba stworzyć dopiero jakiś nadpaństwowy organ, któryby stawiał zasady, mogące zobowiązywać wszystkie państwa. Krótszą i jedynie prawdziwą drogą byłoby uznać prawo przyrodzone, wspólne wszystkim narodom, ale to suponuje uznanie Stwórcy tego prawa. Ileż zaś minie czasu, nim ta idea utoruje sobie drogę do teoryi prawa.

Zapytać się następnie można, kto jest dzisiaj tym, coby umiał ów braterski związek równych narodów przeprowadzić? Papież? — chyba tylko dla katolików! Bolszewicy? — chyba tylko dla Rosyi! Zdawałoby się, że jest to zadanie owej elity ludzi, co rządzi Europą — ale cóż łączy dzisiaj ze sobą ową elitę w stosunku do ogólno ludzkich ideałów? Bardzo wymownie stawia podobną kwestyę jeden z naszych publicystów. Co ma wspólnego w panteonie swych wartości owa europejska elita polityczna i społeczna, naukowa i dyplomatyczna, która odbywała zjazdy i kongresy międzynarodowe, zakładała instytucye o godłach wszechludzkich, głosiła ideały powszechne, składała przysięgi na ołtarzach uniwersalnego dobra i łamała się chlebem wszechświatowego braterstwa? — co ma w swojem łonie wspólnego Europa, uosobiona w swych wierzchołkach kierowniczych, w ministrach i ambasadorach, trybunach ludu i w magnatach zasługi, patentu, sławy i nazwiska? — owa Europa, mająca salon swój na jasnym brzegu, giełdę w Londynie, stolicę smaku w Paryżu? Na to pytanie jedna jest tylko odpowiedź, że obecna wojna na śmierć i życie okazała, iż tych ludzi nic ze sobą nie łączy. Jest im wspólną tylko chciwość, wzajemna nienawiść i technika mordowania się z osłony rowów strzeleckich. Ażeby na seryo wziąść na swoje barki podobną ideę braterskiego związku wolnych narodów, trzeba być pokoleniem na innych zasadach wychowanem. Może pokolenie przyszłe, które przetrawi naukę, jaką daje obecna wojna, tego zadania podejmie się.

Choć nie wierzymy w rychłe urzeczywistnienie się tego hasła, sądzimy jednak, że ziarno, z którego to hasło jako kłos wykwitnie, padło w ziemię. Doświadczenie, jakie spadło na świat, było za silne, by mogło być bezowocnem. Ponadto to hasło było tak często i tak dosadnie przez cały ciąg wojny głoszone, że w łą-

czności z tem doświadczeniem głębokie w duszach zapuściło korzenie.

Jakiż rychły tryumf obchodziłoby to hasło wtedy, gdyby żadna z walczących stron obecnej wojny nie była zwycięską — wtedy obie strony, znużone i wyczerpane, poddaćby się musiały antyimperyalistycznym programom, przez siebie głoszonym.

Już i dziś poniekąd zaczęło się to hasło urzeczywistniać. Odpowiedź państw centralnych na notę Papieża stwierdza, że niema dziś państwa w Europie, któreby było przeciwne idei powszechnego rozbrojenia i międzynarodowego sądu rozjemczego. Manifest zaś rosyjskiego rządu bolszewików proklamuje prawo narodów z taką siłą i z taką hojnością, że podobnego aktu historya świata nie zna. Państwo, które żyło dotąd tylko zaborem i gwałtem względem innych narodów, dziś pozwala narodom dotychczas z niem złączonym, postanawiać o sobie, wedle swego uznania.

Jedynym dotąd narodem, który z gruzów imperyalistycznej Bastylii wyniósł częściową wolność, jest Polska. Dziś wszystkie narody uznają jej prawo do niepodległego bytu — a wiele narodów uznaje prawo całej niepodległej Polski. Jak razem z upadkiem Polski zaczynał się ten okres historyi, którego symbolem są dzisiaj ruiny Babelu i Bastylii, tak z jej dzisiejszem powstaniem zdaje się dobiegać do końca.

* * *

Czy będą inne jeszcze dodatnie skutki tej wojny?

Co na nadzieję w tej mierze pozwala, to jest ogrom cierpienia, jaki ludzkość w tych latach wojny dźwigać musiała. Były to lata wielkiego nawiedzenia Bożego, po których zawsze wielkie pozostaje dobro. Jakie będzie to dobro w całości, to już lepiej ocenią potomni.

Cierpienie z wojną się nie skończy; przyjdą po wojnie długie lata niedostatku i skutków z nim związanych. Szczęśliwe pokolenia, którym na te lata młodość życia przypadnie. Cierpienie

i ubóstwo są lepszym mistrzem, niż powodzenie i dostatek. Tym też zapewne pokoleniom dostanie się zadanie naprawiać błędy, które złożyły się na katastrofę obecnej wojny i zbierać plon z dobrego posiewu, jaki ta wojna w glebę ludzkości rzuciła.

Ks. J. Pawelski.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Strona
27 PAŹDZIERNIKA. Przez *Ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*
W STULECIE KOŚCIUSZKI. Przez *Wacława Tokarza* .	6*
UNIWERSAŁY KOŚCIUSZKI.	11*
DATY KOŚCIUSZKOWSKIE. Przez *M. dz.*	15*
ISTOTA WIELKOŚCI TADEUSZA KOŚCIUSZKI. Przez *Dr. Feliksa Koneczneg*o	409
POSĄG KOŚCIUSZKI. Przez *Ks. Tadeusza Karylowskiego T. J.*	443
HISTORYCZNE PODSTAWY WŁADZY PAPIESKIEJ. Przez *Ks. H. Grisara*	445
ZASADNICZY POSTULAT KONSTYTUCYJNY I USTAWODAWCZY W NOWEM PAŃSTWIE POLSKIEM. Przez *J. Brzezińskiego*	469, 580
BABEL I BASTYLIA. Przez *Ks. J. Pawelskiego T. J.*	1*
„CO ZAWDZIĘCZAMY REFORMACYI?". Przez *X. T. J.*	533
NOWA KODYFIKACYA PRAWA KOŚCIELNEGO. Przez *Ks. J. Rotha T. J.*	541, 685
WOJENNE CZASY MUZYKI. Przez *Prof. Dr. Adolfa Chybińskiego*	553
LISTOPAD. Przez *Ks. Tadeusza Karylowskiego T. J.*	566

Strona

KARTA Z DZIEJÓW ZAPADŁEJ FAUNY: MAMUT. Przez *Ks. Feliksa Hortyńskiego T. J.* 569

UPIÓR W POEZYI ADAMA MICKIEWICZA. Przez *Maryana Szyjkowskiego* 592, 696

OD RĘDAKCYI W SPRAWIE WYDAWNICTWA 645

W PIERWSZĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI DWU POLSKICH ZAKONODAWCÓW. Przez *Ks. J. Pawelskiego T. J.* 646

JUBILEUSZOWA MONOGRAFIA O SUAREZIE. Przez *Ks. J. Andrasza T. J.* 659

W CZWARTĄ „WIGILIĘ". Przez *Maryę Czeską* . . 674

KATOLICYZM A TOLERANCYA. Przez *Ks. Dr. Jana Czuja* 676

PITAGOREIZM DAWNIEJ — A DZIŚ. Przez *Dr. Leopolda Wołowicza* 708

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa polskiego.

Opowieści Chrystusowe. Marya Czeska. — (*X. Nikodem Cieszyński*). 478

Zagadnienie społeczne. Ks Dr. A. Szymański. (*J. Krzep.*) 485

Dopuśćcie dziatkom iść do mnie. Bressieres Albert Ks. T. J. (*K.*). 489

Religia a wychowanie i szkoła. Ks. Dr. Szydelski. (*Z.*) 489

Buddyzm. Czuj Jan Dr. (*L.*). 490

Odczyty ekonomiczne. Dr. St. Wachowiak. (*W.*) 491

Tadeusz Kościuszko. (Obraz historyczny). Marya Dembińska. (*K.*) . 491

Charakter Sakramentalny. X. Fr. Lisowski (*J. Andrasz*) 603

Dzieje Kościoła polskiego w zarysie. Aleksander Kozicki. (*M. G. i M. B.*) 608

Benedyktynki Sandomierskie. (*X. Jan Sygański*). 610

Do podstaw wychowania narodowego. Stanisław Pigoń. (*J. Krzep.*). 611

Nieomylność Kościoła katolickiego Ks. B. Chełmiński 614

Strona

„Studya na dobie". X. Dr. Cz. Jasionowski 615

Lew Tołstoj. Janusz Jamoult 615

Kalendarz Apostolstwa modlitwy na rok 1918. (*F. H.*) 616

Księga pamiątkowa ku czci Bolesława Orzechowicza. Nakładem Tow. dla popierania nauki polskiej. (*Dr. Stanisław Zdziarski*). . 724

„Z naszej podróży do Lourdes". Ks. Nikodem Cieszyński. (*M. Czeska*)

Z obcych niw. Bronisław Janowski. (*Zet*) . . . . . .

Sprawozdanie ze stanu i działalności Pracowni antropologicznej Tow. Naukowego Warszawskiego za rok 1916. Kazimierz Stołyehwo. (*Zet.*) 724

Z piśmiennictw obcych.

Die Grossmächte der Gegenwart. Dr. R. Kjellén. — Die politische Probleme des Weltkrieges. Dr. R. Kjellén. (*J. Trepka*) 492

Impressions de guerre de Prêtres Soldats. Leonce de Grandmaison. (*Helena Skolimowska*). 494

Joseph Graf zu Stolberg-Wertheim. Otto Pfülf T. J. (*J. Trepka*). 617

Der Oesterreichische historische Institut in Rom. Dr. Philipp Dengel. (*I. Trepka*). 618

„Benoit XV et le conflict europeen". Abbe G. Arnaud d'Agnel. (*Helena Skolimowska*) 741

Compendium theologiae dogmaticae. Christian Pesch S. J. (*Ks. L. T. J.*) 744

Waffen des Lichtes. Dr. Michael von Faulhaber, Bischof von Speyer. 746

Der hl. Kamillus von Lellis und sein Orden. (*M. B.*) 746

Polen und Juden. Dr. Max Rosenfeld, (*J. Trepka*) 747

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

Sprawy Kościoła: Pokojowa działalność Papieża. — Pokój papieski a katolicyzm. — Enuncyacye Księdza Biskupa Pelczara. — Arcybiskup warszawski regentem. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 497

Kilka uwag dopełniających wiadomości o stosunkach Tadeusza Kościuszki ze Sosnowskimi. (*S. Cercha*). 507

Strona

Z wystawy Towarzystwa Sztuk pięknych w Krakowie. (*ka*) . . 514
Ze świata nauk i wynalazków. (*Ks. Feliks Hortyński T. J.*) . . . 519

LISTOPAD.

Sprawy Kościoła: Katolicyzm w projekcie Konstytucyi państwa polskiego. — Chrystus rosyjski. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 620
Z nowych wydawnictw: Przegląd dyecezyalny. (*X. St. Bartynowski T. J.*) 631
Z wystawy Towarzystwa Sztuk pięknych w Krakowie. (*ka*) . . 632
Kronika ekonomiczna. Centrale. 637

GRUDZIEŃ.

Sprawy Kościoła: Socyalizm dziś i po wojnie. — Hrabia Hertling. (*Ks. J. Pawelski T. J.*) 747
Jubileusz Suareza w Granadzie. (*C.*) 755
Międzynarodowe komitety niesienia pomocy. (*Helena Skolimowska*) 758
Z wystawy „Powszechn. Związku Artystów pols.“. (*ka*) . . . 761
Ze świata nauk i wynalazków. (Biały węgiel. — Siły wodne Europy. — Nowy olbrzymi teleskop Mt. Wilson w Ameryce. — Hojny ofiarodawca. — Zwierciadło astronomiczne. — Podstawa i kopuła nowego teleskopu. — Nadzieje na przyszłość. — Najnowsza ocena liczby gwiazd). (*Ks. F. Hortyński T. J.*) 764